

UCZNIOWIE HIPPOKRATESA

AŁBENA GRABOWSKA

DOKTOR ANNA

MARGINESY



AUTORKA STULECIA WINNYCH I MATEK I CÓREK

**AŁBENA
GRABOWSKA**

UCZNIOWIE HIPPOKRATESA

DOKTOR ANNA

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

Elizabeth Blackwell (1821–1910)

Rozdział I

Charles Darwin (1809–1882)

Rozdział II

Florence Nightingale (1820–1910)

Rozdział III

Louis Pasteur (1822–1895)

Rozdział IV

Joseph Lister (1827–1912)

Rozdział V

Felix Hoffmann (1868–1946)

Rozdział VI

Wilhelm Röntgen (1845–1923)

Rozdział VII

Epilog

Przypisy

Wydawca ADAM PLUSZKA
Redaktorka prowadząca AGNIESZKA RADTKE
Redakcja KAROLINA WĄSOWSKA
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych ANNA POL
Opracowanie typograficzne, łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Ałbena Grabowska
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

Warszawa 2021
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66863-33-0

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

WSTĘP

Przedstawiam Wam historię Anny Tomaszewicz-Dobrskiej, pierwszej polskiej dyplomowanej lekarki, prekursorki opieki położniczej w Polsce, jednej z najbardziej świątłych postaci medycyny XIX i XX wieku. Osoby pięknej i szlachetnej – wzoru nie tylko dla kobiet i lekarek.

Medycyna już w drugiej połowie XX wieku była zawodem sfeminizowanym. Dziś sześćdziesiąt procent lekarzy, szczególnie w specjalnościach niezabiegowych, to przedstawicielki płci pięknej. Trudno nam sobie wyobrazić, że w XIX wieku kobiety nie mogły studiować medycyny. Te, którym się to w końcu udało, początkowo w Stanach Zjednoczonych, potem w Anglii i Szwajcarii, były szykanowane i wykpiwane na każdym kroku. Nawet po ukończeniu studiów nie mogły znaleźć pracy albo nie miały pacjentów. Walczyły jednak o prawo do leczenia chorych, przyjmowały ich bezpłatnie, zakładały szpitale dla ubogich położnic i dzieci z biednych rodzin. Dziś szumnie nazywa się je ginekolożkami, ale to nie jest do końca prawdą. Leczyły kobiety, ponieważ tylko to pozwalano im robić – opiekować się tymi, którymi i tak nikt by się nie zajął. Były wspaniałymi klinicystkami, wykładowczyniami, działały społecznie na rzecz ubogich i wykluczonych, walczyły o prawa kobiet. Pracowały bez wytchnienia, aby udowodnić, że nie są gorsze od mężczyzn. Zwykle były od nich lepsze i bardziej zdeterminowane.

Opowieść fabularną o Annie przetykam historiami prawdziwych postaci. Zabieg ten zastosowałam już w poprzednim tomie, aby łatwiej było zrozumieć czasy, w których żyły moje postaci. Głównym bohaterem niniejszej powieści, podobnie jak w pierwszej z tego cyklu, jest medycyna – jej rozwój i ograniczenia. O ile w poprzednim tomie historie dotyczyły wyłącznie lekarzy, o tyle w tym zdecydowałam się opisać życie osób, które nie były lekarzami, ale ich działalność, wynalazki czy doświadczenia

wyraźnie wpłynęły na rozwój medycyny XIX i XX wieku. Są to: Elizabeth Blackwell (lekarka), Louis Pasteur (chemik), Wilhelm Röntgen (fizyk), Charles Darwin (biolog), Felix Hoffmann (chemik) oraz Florence Nightingale (pielęgniarka).

Zacniemy od Elizabeth Blackwell, pierwszej kobiety, która uzyskała dyplom lekarza.

Elizabeth Blackwell

1821–1910

– To nieporozumienie, panienko. – Sekretarz dyrektora Geneva College w Nowym Jorku uśmiechnął się cierpko i pogładził bujne bokobrody.

Elizabeth zamrugła oczami.

– Jak to „nieporozumienie”? – spytała grzecznie.

– Jest pani kobietą – powiedział sekretarz tonem pełnym zażenowania i kaszlnął kilka razy, zapewne aby jeszcze bardziej podkreślić niestosowność jej płci.

– Owszem, jestem kobietą – podkreśliła słowo „kobieta”. – Co to ma do rzeczy?

– Kobiety nie studiują medycyny – wyjaśnił, jakby mówił do dziecka.

– Przyjęliście mnie w poczet studentów – przypomniała i na dowód wyciągnęła list informujący, że została studentką wydziału medycznego.

– Jak mówiłem – sekretarz się skrzywił – zaszło nieporozumienie. Nie zwróciliśmy uwagi na pani imię. Została pani początkowo wpisana jako Ebenezer Blackwell. Wzięliśmy panią, co zrozumiąle, za mężczyznę.

– Tu jest napisane Elizabeth. – Podsunęła mu list pod nos. – A nie Ebenezer. Elizabeth to bez wątpienia imię żeńskie i nie może być mowy o pomyłce.

– A jednak to pomyłka – upierał się sekretarz. – Nie może pani studiować medycyny.

Postanowiła, że nie podda się bez walki.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości – powiedziała stanowczo i ponownie potrząsnęła swoim listem. – Kiedy przyjmowano mnie na studia, wzięto zapewne pod uwagę moje wykształcenie?

Sekretarz skinął głową.

– Przyznaję, że ma pani odpowiednie wykształcenie. Nie zmienia to jednak faktu, że jest pani kobietą.

Tak, była kobietą, ale skończyła college. W Anglii, gdzie przyszła na świat, jej ojciec był właścicielem cukrowni. Rodzina należała do zamożnych, a rodzice przykładali szczególną wagę do wykształcenia swoich dziewięciorga dzieci. Po śmierci ojca w 1832 roku cała rodzina przeniosła się do Nowego Jorku. Matka z pomocą najstarszego brata założyła cukiernię. Elizabeth zaczęła pracować jako nauczycielka. Była jednak kobietą z ambicjami i pragnęła od życia czegoś więcej niż poprawiania zadań domowych uczniów oraz uczenia ich gramatyki i geometrii. Chciała zostać lekarzem.

– Jak już mówiłam: przyjęliście mnie i mam potwierdzenie tego na piśmie – powtórzyła uparcie.

Aplikowała do wszystkich znanych jej uczelni w całym kraju i wszystkie jej odmawiały. Nie umiała powiedzieć, ile razy czytała słowa: „Nie została Pani przyjęta w poczet studentów naszej uczelni” albo „Nie został Pan przyjęty w poczet studentów naszej uczelni”. Niektóre uczelnie zadawały sobie nieco trudu i przesyłały jej listy wyjaśniające, dlaczego kobieta nie może wykonywać zawodu medyka. Padały zawsze te same argumenty: kobiety mają za mało siły zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Kobiety nie mają wystarczających zdolności, aby opanować tak szeroki zakres wiedzy. Wreszcie: kobiety nigdy nie będą szanowane w zawodzie lekarza i żaden pacjent nie zdecyduje się powierzyć im swojego życia czy zdrowia. Oczywiście nie odpisywała, bo i po co. Odpowiadała na te absurdalne zarzuty w zaciszu swojego domu, mówiąc do ściany albo do Harriet Beecher Stowe^[1], swojej najlepszej przyjaciółki. Przekonywała, że zawód lekarza nie wymaga użycia nadludzkiej siły. Przecież poradziłaby sobie nawet z amputacją nogi. W domu rodzinnym zdarzało się jej dźwigać ciężkie garnki z zupą, rąbać drewno na opał czy nosić wodę ze studni. Niejednokrotnie piłowała razem z bratem grube pnie drewna, a brat chwalił ją, że ma tyle siły co mężczyzna. Była świadkiem śmierci przyjaciółki na gruźlicę, ojca na serce, wyniszczającej choroby ciotki i agonii małego braciszka, który umierał

na jej rękach po stratowaniu go przez konia. Radziła sobie z cierpieniem jak mało kto. Argumenty, że nie ma wystarczającej chłonności umysłu, aby nauczyć się anatomii i fizjologii człowieka, także mogła z łatwością podważyć, gdyby ktoś dał jej szansę – potrafiła wyrecytować z pamięci większość sonetów Szekspira, wiersze Byrona i jej ulubionej George Eliot. Jako nauczycielka musiała opanować tematy związane z botaniką, przyrodą i geografiami. Miała rozległą wiedzę na temat roślin, znała nazwy większości gór, rzek, jezior i miast oraz ich miejsce na mapie świata. Mogła się założyć, że jej pamięć była o wiele lepsza niż większości mężczyzn. Ostatni powód mogła obalić, przytaczając historię, która nakłoniła ją do myśli o medycynie. Jedną z bliskich jej kuzynek miała poważne dolegliwości dróg rodnych i musiała skorzystać z porady lekarskiej. Czuła się wyjątkowo zawstydzona, pokazując się mężczyźnie bez bielizny. Kiedy opowiadała o tym Elizabeth, wzdychała: „Gdybym tak mogła leczyć się u kobiety”.

– Proszę pana – podjęła kolejną próbę przekonania sekretarza Geneva College. – Nie ruszę się stąd, dopóki nie porozmawiam z pana przełożonym.

– Profesor Blessing – rzucił z przekąsem sekretarz – jest bardzo zajęty.

– Poczekam – powiedziała Elizabeth i usiadła na krześle, patrząc sekretarzowi prosto w oczy.

Dwie godziny później wciąż siedziała w tym samym miejscu, nie spuszczać wzroku z sekretarza, który przekładał papiery i pisał coś na marginesach książek, wyraźnie czekając, aż Elizabeth się znudzi i opuści budynek uczelni.

– Ja się stąd nie ruszę – powiedziała po kolejnej godzinie.

Sekretarz wstał, wygładził włosy, zażył tabaki i rzucił jej złe spojrzenie.

– Dobrze, pójdę porozmawiać z profesorem Blessingiem.



– Proszę zrozumieć – wyjaśniał profesor William Blessing, wybitny chirurg. – Nie może pani studiować.

– Proszę zrozumieć – upierała się Elizabeth. – Przyjęliście mnie, a teraz bez żadnego powodu wyrzucacie, a jeszcze nie zdążyłam przekroczyć progu sali wykładowej.

Sekretarz bezradnie rozłożył ręce.

– Tłumaczyłem panie Blackwell, że została przyjęta przez pomyłkę.

– Nie mam do ciebie pretensji, Stubbins. – Blessing machnął ręką. – Droga panienko...

– Proszę nie nazywać mnie „drogą panienką” – powiedziała Elizabeth, starając się nad sobą zapanować.

– Panno Blackwell – poprawił się profesor Blessing. – Nie może pani studiować medycyny.

– Proszę pokazać mi status uczelni i zapis, który to stwierdza – zażądała stanowczo.

Profesor Blessing spojrzał na Stubbinsa.

– Nie mamy takiego zapisu – stwierdził. – Ale nasza uczelnia opiera się na tradycji. A ta mówi, że kobieta lekarz to coś sprzecznego z naturą.

– A ja panu mówię, że nie.

– Może pani zostać pielęgniarką, w ten sposób pracować w służbie zdrowia – zasugerował.

– Nie – odpowiedziała stanowczo. – Chcę być lekarzem i mam do tego wszelkie prawo, o zdolnościach nie wspominając. Niech mnie pan dopuści do studiów. Jeśli sobie nie poradzę, będzie pan triumfował.

Blessing wyraźnie się wahał, wobec czego Elizabeth szybko dodała:

– A jeśli uda mi się skończyć studia, niewątpliwie Geneva College przejdzie do historii. Wziął pan to pod uwagę?

Stubbins parsknął śmiechem.

– Panno Blackwell – powiedział dyrektor college’u – poddam pod głosowanie kwestię przyjęcia pani na studia. Jeśli studenci się na to zgodzą, będzie pani mogła studiować.

Stubbins ze zdumieniem spojrzał na swojego pryncypała. Elizabeth chwilę rozważała wszelkie za i przeciw, ale doszła do wniosku, że nie ma innego

wyjścia, jak się zgodzić.

– Dobrze. Czy daje pan słowo, że to będzie uczciwe głosowanie? – spytała.

Profesor Blackwell zachnął się.

– Proszę nie podawać tego faktu w wątpliwość – burknął Stubbins.

– No nie wiem. – Elizabeth spojrzała na obu ze stanowczością. – Najpierw pozwalacie mi studiować, potem mnie wyrzucacie. Teraz uzależniacie moją obecność na uczelni od głosowania. Mogę wam wierzyć?

Profesor Blessing pokiwał głową.

– Jutro poddam pani kandydaturę pod głosowanie. Proszę przyjść koło południa, przedstawię pani wyniki.

– Do zobaczenia – powiedziała i rzuciła Stubbinsowi triumfujące spojrzenie.

– Kobieta chce zostać lekarzem – powiedział z namysłem profesor Blessing. – Może jej pozwolić? Przestraszy się, kiedy tylko zobaczy trupa.

– A jeśli się nie przestraszy? – spytał Stubbins, wpatrując się w drzwi, przez które wyszła Elizabeth.

– Wyobrażasz sobie, żeby ktokolwiek pozwolił się jej zbadać? O zoperowaniu nie wspomnę.



Profesor Blessing stał przed zgromadzeniem studentów.

– Drodzy koledzy – zaczął. – Zwracam się do was z nietypową prośbą. Chciałbym poddać pewną sprawę pod głosowanie.

Na sali było około sześćdziesięciu osób. Większość szeptała coś między sobą, kilku studentów, jak dostrzegł profesor, czytało gazety, tylko nieliczni patrzyli na niego z zainteresowaniem.

– Otóż jest pewna... – chrząknął – kobieta, która pragnie studiować medycynę ramię w ramię z wami. To od was zależy, czy zostanie dopuszczona do studiów.

Szepty ucichły.

– Musimy poddać pod głosowanie jej kandydaturę – kontynuował Blessing.

– Stary chyba najadł się szaleju – mruknął Tom Hiddle do swojego kolegi Raymonda Ratta, który siedział obok.

– O co chodzi? – spytał Ratt, ukradkiem zerkając na gazetę. Zaraz po zajęciach wybierał się na wyścigi konne. Miał pewniaka i zamierzał trochę zarobić. Jego ojciec, bogaty przemysłowiec, już dawno zakręcił kurek z pieniędzmi, mając na uwadze fatalne wyniki syna w nauce.

– Stary mówi, że kobieta chce być lekarzem, i pyta, czy się na to zgadzamy – powiedział Tom.

– A co my mamy do tego? – Raymond wciąż wpatrywał się w rozkład gonitw.

– Chce studiować na naszej uczelni. Mamy głosować – wyjaśnił Tom. – Czy się zgadzamy czy nie.

– Głosować? – Raymond nie zrozumiał.

– Jeśli zagłosujemy za, to kobieta będzie z nami studiowała. – Tom zrobił niepewną minę. – Rozumiesz? Będzie lekarzem. Jak my.

– A to dobry dowcip. – Raymond zaśmiał się cicho. – Wiesz co? Głosujemy za. Staremu wyjdą oczy z orbit.

– A wiesz, że to niezły pomysł. – Tom też się roześmiał. – Zróbmy mu na złość.

Odwrócił się dyskretnie do siedzącego z tyłu Grega Damiana.

– Zrobimy Blessingowi numer. Głosujemy za tym, żeby dziewczyna mogła z nami studiować.

Greg pokiwał głową i pochylił się w stronę swojego sąsiada po lewej stronie.

– Głosujemy za. Podaj dalej.

Profesor Blessing kończył swoją przemowę:

– Proszę napisać wyraźnie „tak” albo „nie”. „Tak” oznacza zgodę na to, aby panna Blackwell studiowała z wami ramię w ramię, żeby wchodziła do prosektorium i badała ludzi, zarówno kobiety, jak i mężczyzn. „Nie” oznacza,

że nie jesteśmy gotowi, aby kobieta sprawowała zawód tak trudny, tak szlachetny i tak dostojny.

– „Nie” oznacza „tak, tak, tak” – naśladował Blessinga Raymond. Tak trudny, tak szlachetny, tak dostojny...

Po czym wydarł kawałek kartki i napisał na niej ołówkiem „tak”.

– Miejmy nadzieję, że to będzie ładna niewiasta – zaśmiał się w stronę Toma.



– To jakiś żart. – Blessing rozłożył bezradnie ręce.

– Ja też sądziłem, że nie wyrażą zgody, tymczasem dziewięciu na dziesięciu głosowało za.

– Nie rozumiem tego – dumął Blessing. – Jak oni sobie wyobrażają wspólną naukę?

– Prosektorium na przykład? – podchwycił Stubbins.

– Ucieknie – stwierdził Blessing.

– Koledzy jej nie zaakceptują. – Stubbins pochylił się w jego stronę. – Nigdy w życiu.

Profesor westchnął.

– No cóż – powiedział. – Zobaczymy. Słowo się rzekło, nie ma co dywagować, tylko trzeba tę pannę zaprosić w progi uczelni. I zrobić wszystko, żeby sama odeszła.

– Też tak myślę. – Stubbins z nadzieją spojrział w sufit, jakby chciał, żeby usłyszał go sam Bóg, który, jak wiadomo, jest mężczyzną.

– Ja nie zamierzam jej pobłażać – orzekł dyrektor Geneva College. – Przeciwnie, będę ją traktować z całą surowością. Niech ma, czego chciała. Ot co.

– Dochodzi dwunasta – zauważył Stubbins. – Zaraz tu będzie.



– Proszę podejść, panienko – zawołał ją profesor Dark. – Koledzy, zróbcie miejsce panie Blackwell.

Studenci, którzy do tej pory umyślnie zasłaniali zwłoki mężczyzny leżącego na stole prosektoryjnym, niechętnie odsunęli się, aby zrobić miejsce koleżance. Elizabeth podeszła. Profesor Dark pokazał na serce.

– Proszę opisać krążenie wieńcowe i w tym czasie wskazywać odpowiednie tętnice oraz żyły – zwrócił się do niej.

Zaczęła omawiać po kolei wszystkie naczynia, wskazując je palcem.

– Bardzo dobrze, panienko. – Dark uśmiechnął się do niej, gdy skończyła. – Słyszycie, koledzy? Każdy ma w takim stopniu opanować budowę naczyń wieńcowych.

Za jej plecami rozległy się niechętnie szepty. Była do tego przyzwyczajona i nic sobie z nich nie robiła. Zdumiona i zaskoczona pozytywnym wynikiem głosowania, ale niezmiernie szczęśliwa zgłosiła się na zajęcia. Natychmiast dowiedziała się, że głosowanie za jej kandydaturą miało być „żartem z Blessinga” i tak naprawdę nikt jej tu chce. Od razu dało się to zauważyć. Większość studentów była jej wyraźnie niechętna. Miała wrażenie, że ta nieżyczliwość wynika z dwóch powodów. Pierwszy napawał ją dumą, drugi rozczarowaniem. Otóż Elizabeth była lepsza od wszystkich mężczyzn, którzy z nią studiowali. Wszystko ją ciekawiło. Budowa serca, mózgu, wątroby, naczyń tętniczych i żylnych. Przychodziła na sekcje pierwsza, wychodziła ostatnia. Opanowywała materiał natychmiast, wystarczyło, by kilka razy spojrzała na przebieg tętnicy czy nerwu, a już umiała go opisać z pamięci. Co zrozumiałe, nie spotykało się to z życzliwym przyjęciem kolegów, chociaż profesor Dark, jej ulubiony wykładowca, od razu dostrzegł jej zdolności oraz wspaniałą pamięć i bardzo ją chwalił.

– Może udzieli mi pani korepetycji? – spytał Raymond, kiedy skończyły się zajęcia.

Stała zaskoczona. Do tej pory raczej nikt się do niej nie odzywał.

– A potrzebuje ich pan? – odpowiedziała pytaniem.

Raymond był przystojny i pochodził z szanowanej rodziny z tradycjami.

– Nie wiem, jak pani to robi, że wszystko umie – wyznał z dziwnym uśmiechem.

– Uczę się – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Ja też się uczę – stwierdził.

– Ja się uczę bardzo dużo – dodała, chcąc go pocieszyć, bo minę miał dość nieszczęśliwą. – Wie pan, zanim zaczęłam studiować na Geneva College, wynajmowałam mieszkanie, w którym kiedyś mieszkał lekarz. Zostawił po sobie książki medyczne, a ja zaczęłam je studiować.

Chciała mu szczegółowo opowiedzieć, jak zaczytywała się w księgach o anatomii i fizjologii, studiowała piśmiennictwo o lekach i różnych objawach chorobowych, ale Raymond chyba nie był zainteresowany, bo zmienił temat:

– Mogłaby pani udostępnić mi swój rysunek serca z tymi... naczyniami?

Pokiwała głową.

– Proszę – powiedziała.

Raymond wziął od niej arkusz i uśmiechnął się, prezentując komplet białych zębów.

– Dziękuję bardzo. Moja wdzięczność nie ma granic.

– Nie przerysuje pan? – spytała, widząc, że odchodzi ze szkicem serca, na który poświęciła dwie godziny.

– Nie mam na czym – odparł niechętnie.

Ponownie otworzyła teczkę, wyjęła czystą kartkę oraz ołówek.

– Proszę – powtórzyła.

Raymond westchnął.

– Niech pani posłucha, Elizabeth – powiedział, patrząc na nią z niechęcią.

– Nie mam czasu rysować. Zresztą nie umiem i nie lubię. Czemu nie da mi pani tego rysunku? Dark już pani nie spyta, a na mnie jest cięty.

Ponownie wyciągnęła ku niemu kartkę i ołówek.

– Z dwóch powodów – wyjaśniła koledze Elizabeth, która była niezwykle dokładna. – Po pierwsze, nie nauczy się pan, jeśli nie przerysuje, a po drugie,

poświęciłam dwie godziny na stworzenie tego rysunku i nie chcę, żeby zginął.

Raymond wyglądał, jakby go uderzyła. Uniósł szkic naczyń wieńcowych, złapał kartkę drugą ręką i przedarł ją na jej oczach na pół. Potem starannie złożył połówki i również je przedarł. Patrzyła z żalem.

– Dlaczego pan to zrobił? – spytała. – Zmarnował pan moją pracę, ale to pan nie będzie miał się teraz z czego uczyć.

– Słuchaj no, jak ci tam... – wciąż patrzył na nią ze złością – ...panno Blackwell. Ja sobie poradzę. Ale ty uważaj.

Po czym splunął jej pod nogi i odszedł wolnym krokiem.



Drugą przyczyną niechęci studentów była jej płeć i tak zwane dobre obyczaje, co powracało zawsze przy okazji lekcji anatomii męskich narządów płciowych.

– Nie wyrażamy zgody, aby panna Blackwell była obecna na tej lekcji – perorował Raymond Ratt. – Nie powinna oglądać męskich genitaliów.

– Tak, stanowczo nie powinna – dodał Tom Hiddle z bardzo poważną miną.

– Jednak... – zaczął profesor Dark, ale kilkunastu studentów podniosło wrzawę.

– To tylko w trosce o morale tej panienki – zapewnił Will Stone.

– Tak, mamy na uwadze jej dobro – dodał Terry Hays. – Nic innego.

– Mogłaby dostać pomieszania zmysłów – dodał Raymond Ratt z wielką troską w głosie, po czym spojrzał na nią z udawaną życzliwością. – Nasza Elizabeth mogłaby to przypłacić utratą zdrowia.

Zachowała obojętność, chociaż wszystko się w niej gotowało ze złości.

– Nie sądzę, aby moje zmysły ucierpiały – powiedziała spokojnie.

– Kochana Elizabeth – Raymond wyciągnął ku niej dłonie złożone jak do modlitwy – błagam cię, usłuchaj nas i odejdz. Przynajmniej na tę jedną godzinę.

Elizabeth spojrzała na niego z obrzydzeniem. Dark natomiast patrzył na nią niepewnie. Pomyślała, że nie będzie przydawała trosk temu miłemu człowiekowi swoim uporem. W końcu on jedyny cenił jej wiedzę, podczas gdy pozostali wykładowcy w najlepszym razie ignorowali ją, a w najgorszym dokuczali jej na każdym kroku i utrudniali naukę. Wstała z miejsca.

– Dobrze, wyjdę – powiedziała do profesora. – Poczekam na zewnątrz.

Siedziała cierpliwie pod drzwiami przez ponad godzinę, aż studenci skończyli zgłębiać budowę męskich narządów płciowych. Pierwszy salę opuścił Dark i spojrzał w jej stronę.

– Tak mi przykro, panno Blackwell – powiedział.

– Absolutnie proszę sobie nie czynić wyrzutów – odpowiedziała i widząc, że mija ich Raymond Ratt, dodała głośno: – Pan Ratt miał absolutną rację, nie powinnam uczestniczyć w tego typu lekcjach.

Ratt stanął niedaleko i zaczął rozmawiać z Tomem Hiddle'em. Wyraźnie czekał, aż wszyscy sobie pójdą i zostanie z Elizabeth sam. Zastanawiała się, czy nie odejść, ale uznała, że tym samym dałaby mu satysfakcję. Postanowiła, że nie będzie uciekać. Kiedy zostali sami, Raymond przystąpił do ataku.

– I co, Blackwell? – Wykrzywił ironicznie twarz. – Pewnie jest ci przykro, że nie zobaczyłaś męskich genitaliów, co?

Nie uznała za stosowne odpowiedzieć. Stała spokojnie i wpatrywała się z lekkim uśmiechem w Raymonda.

– A może ja zdejmę spodnie, a ty narysujesz moje narządy, co? – Jego twarz jeszcze bardziej się wykrzywiła. – Radziłbym skorzystać z propozycji, bo z twoją brzydotą innych raczej nie zobaczysz.

– Chętnie bym skorzystała, ale nie mam przy sobie lupy – odpowiedziała, po czym odwróciła się na pięcie, zostawiając Raymonda czerwonego ze złości.

Mimo wszystko stwierdzenie, że jest brzydka, bardzo ją zabolowało.

– Gdybym była ładna – skarżyła się bratowej, Lucy Stone^[2], znanej feministce – byłoby mi łatwiej.

– Daj spokój. – Lucy machnęła ręką. – Jesteś wystarczająco ładna, żeby zostać lekarką. A ludzie pokroju tego szczura^[3] nigdy się nie wybiją.

– Dokuczają mi na każdym kroku, Lucy – dodała. – Muszę pilnować notatek, bo inaczej je zniszczą, zawsze muszę mieć kilka ołówków, bo znikają z pulpitu. Przychodzę pierwsza, żeby zająć miejsce, gdyż nagle okazuje się, że nie mam gdzie usiąść. I często jestem wypraszana z zajęć, ponieważ ich temat jest rzekomo dla mnie nieodpowiedni.

– To jest cena, jaką płacisz za możliwość zaistnienia w męskim świecie – zawyrokowała Lucy, zdumiona tym, co usłyszała.

– Całe szczęście, że mam książki medyczne w domu i mogę się z nich uczyć. Założę się, że na egzaminie pytania będą dotyczyć tych właśnie lekcji, na których nie pozwolono mi być.

– Moje biedactwo. – Lucy pogłaskała ją po głowie. – Pomyśl, że przejdziesz do historii. A pan Szczur przeminie niezauważony.

Nieprzekonana do końca Elizabeth pokiwała głową.



– Proszę omówić budowę męskich narządów płciowych. – Profesor Blessing spojrział jej prosto w oczy.

– Panna Blackwell nie uczestniczyła w tych zajęciach na wniosek kolegów – rzucił szybko profesor Dark, zerkając na Elizabeth z niepokojem.

– Ach tak? – Blessing skrzywił się, po czym zwrócił się do studentki: – Skoro pani nie umie odpowiedzieć, nie mogę...

– Ależ potrafię udzielić odpowiedzi na pańskie pytanie – powiedziała, po czym uśmiechnęła się uprzejmie i zaczęła szybko wymieniać oraz szczegółowo opisywać pierwszo-, drugo- i trzeciorzędowe cechy płciowe.

Wcześniej profesor przepytał ją dokładnie z budowy mięśni, kości i stawów, kazał wymienić i omówić po kolei narządy jamy brzusznej i klatki piersiowej. Spytał o stan ówczesnej wiedzy o mózgu. Elizabeth za każdym razem wyczerpująco odpowiadała na wszystkie pytania. Widziała niechęć na twarzy dyrektora Geneva College. Koledzy, którzy zdawali przed nią, dostawali po dwa, trzy pytania i wychodzili zadowoleni jak Tom Hiddle albo

wściekli jak Raymond Ratt. Ona siedziała przed komisją ponad godzinę. Wydawało się, że dadzą jej wreszcie spokój, tymczasem dyrektor wytoczył najcięższe działo. Musiał wiedzieć o szykanach i nieobecności na zajęciach. Po jego minie widziała, że zaskoczyła go jej znajomość tej tematyki. Wyraźnie nie spodziewał się po niej tak szczegółowych odpowiedzi.

– No cóż – westchnął. – Muszę pani wystawić ocenę celującą. Pani wiedza jest równa męskiej.

Moja wiedza przewyższa pańską, zaproponowała w myślach.

– Dziękuję bardzo – powiedziała. Wychodząc, odwróciła się w stronę profesora Darka i ukłoniła mu się. – Jest pan najlepszym wykładowcą w całych Stanach Zjednoczonych. To dzięki panu posiadam tak gruntowną wiedzę – dodała.

Zdażyła zauważyć, jak profesor Dark się rozpromienił.



– Twoje zdrowie, Lizzy! – wzniosła toast matka. – Moja córka jest pierwszą kobietą lekarzem na świecie!

– Jesteś wzorem dla nas wszystkich, dla wszystkich feministek! – dodała Lucy.

– Moja mała siostrzyczka lekarką – wzruszył się jeden z braci, Samuel.

– Ja i Lucy nazywamy się feministkami – powiedziała Antoinette Brown^[4], żona Samuela – ale ty, moja droga, dajesz świadectwo, że dla nas, kobiet, wszystko jest możliwe. Brawo!

Elizabeth wypła łyk wina.

– Trzeba cię włączyć w ruch abolicyjny! – powiedziała nagle Lucy.

– Już jestem abolicjonistką – przypomniała Elizabeth. – To ja cię poznałam z Harriet Beecher Stowe.

– No tak. – Lucy uderzyła się ręką w czoło. – Ona dużo dla nas robi, ale ty mogłabyś zainteresować naszym ruchem swoich kolegów doktorów. Potrzeba

nam świątłych ludzi, którzy opowiedzą światu o strasznych rzeczach dziejących się na amerykańskim Południu.

– Raczej mnie nie posłuchają. – Elizabeth spojrzała znacząco na Lucy. – Opowiadałam ci przecież, że mieli mnie za nic.

– Dlatego że byłaś najlepsza! – krzyknęła Lucy.

– Żebyście widzieli ich miny, kiedy skończyłam studia z najlepszym wynikiem. Zwłaszcza Raymonda Ratta, który nie zaliczył egzaminów i musi przystąpić do nich jeszcze raz.

Roześmiała się na wspomnienie spojrzenia, jakim ją obdarzył.

– Co teraz zrobisz, kochanie? – spytała matka.

– Dokończę pracę doktorską o tyfusie – odpowiedziała.

– Nie chcesz zacząć pracować? – dopytywała Lucy.

– Właśnie, Lizzy – dodała Antoinette. – Sądziłam, że od razu będziesz chciała pójść do pracy.

– Chciałam – wyznała. – Ale na razie nikt nie chce mnie zatrudnić.

W pokoju zapadła cisza.

– Skończyłam studia – powiedziała gorzko – ale nie przestałam być kobietą.



– Niech pani wróci do rannych i nie przeszkadza! – wrzasnął doktor Doyle i przyspieszył kroku.

– Niech pan na mnie nie wrzeszczy! – odkrzyknęła głosem tak silnym, że lekarz znieruchomiał.

Odwrócił się do niej.

– Jest pani jak strup na głowie – rzucił ze złością. – Trwa wojna^[5]. Chorych przybywa, nie wiem, w co mam ręce włożyć, a pani...

– Właśnie – przerwała mu. – Ucina pan ręce, nogi, opatruje rany, chorzy mrą jak muchy, a pan mnie nie słucha, nie pozwala pracować.

– A co? – Lekarz wziął się pod boki. – Umie pani, tak jak ja, amputować kończynę?

– Owszem – przytaknęła Elizabeth ze złością w głosie. – Umiem nie gorzej od pana. Wystarczy, żeby pan przestał nas traktować protekcyjnie i dał sobie pomóc.

Doktorowi Doyle'owi nagle opadły ręce. Został sam w szpitalu polowym po tym, jak szrapnel uszkodził nogę drugiemu lekarzowi. Owszem, kręciła się tu ta irytująca kobieta podająca się za lekarkę, która twierdziła, że wraz z nią w szpitalu pracuje jeszcze kilka kobiet lekarek, ale nie traktował ich poważnie. Skierował je do pracy pielęgniarskiej i kazał nie zbliżać się do namiotu, gdzie wykonywano zabiegi.

– Co pani proponuje? – spytał spokojniejszym tonem.

– Ja i moja siostra Emily, która jest chirurgiem, możemy operować. Jest z nami grupa wyszkolonych pielęgniarek, będą asystować. Nam i panu, doktorze.

Przez chwilę rozważał tę propozycję.

– Dziękuję – powiedział w końcu, zdając sobie sprawę, że sam sobie nie poradzi, a nie wiadomo, kiedy przyślą kogoś nowego. – Przyjmuję pomoc.

Kiwnęła głową.

– Jeszcze jedno. Uważam, że wysoka śmiertelność jest spowodowana nie tylko poważnymi ranami, jakie nasi chłopcy odnieśli w boju, ale brudem. Przede wszystkim brudem.

– Brudem? – Doyle nie rozumiał.

– Rany są zanieczyszczone ziemią, narzędzia chirurgiczne nie są myte. U rannych rozwija się zgorzel. Umierają w gorączce po udanej interwencji chirurgicznej.

– Pierwsze słyszę. – Wzruszył ramionami.

– A słyszał pan o Amerykańskiej Komisji Sanitarnej? – I nie czekając na odpowiedź, wyjaśniła: – Pomogłam ją ustanowić. Sam prezydent Lincoln objął nad nami patronat.

– I co zaleca prezydent Lincoln? – spytał Doyle ze zmęczeniem w głosie.

– Trzeba myć narzędzia i oczyszczać rany z brudu i ziemi. Zauważyłam też, że pańscy chłopcy polewają rany gorącą oliwą.

– To dobry sposób na przyżeganie ran, dziwne, że pani o tym nie wie, skoro skończyła szkołę medyczną.

– Z całym szacunkiem – odparła – ranę trzeba zaszyć, a otwarte naczynia dobrze podwiązać. Całość umyć ciepłą wodą. Gorąca oliwa przyczynia się jedynie do cierpienia.

Doyle machnął ręką.

– Zabrakło nam oliwy. Niech pani robi, co chce. Sam i tak sobie nie poradzę.

– Za kilka dni pana kolega będzie mógł operować – powiedziała i uśmiechnęła się z satysfakcją.

Doyle popatrzył na nią zaskoczony.

– Hutchingsonowi szrapnel utkwiał w udzie, blisko tętnicy. Nie można go usunąć, bo wykrwawi się na śmierć. Nie może stać na tej nodze. Jakim cudem miałby operować?

– Usunęłam pocisk. Tkwiał między tętnicą, żyłą udową a nerwem. Uszkodził tylko część nerwu. Hutchingson będzie utykał.

Posłała zaskoczonemu lekarzowi uśmiech, odwróciła się i poszła do Emily z wiadomością, że doktor Doyle wyraził zgodę, aby mogły operować.



Doyle siedział obok niej przy ognisku. Oboje w milczeniu jedli fasolę z puszek. Wkrótce dołączyła do nich Emily.

– Zajrzałam do doktora Hutchingsona. Wszystko z nim dobrze – przerwała ciszę Emily.

Doktor popatrzył na nią uważnie.

– Proszę, aby przyjęła pani moje przeprosiny i podziękowanie – powiedział i zwrócił się do Emily: – Pani również.

Zmęczenie pozwoliło Emily jedynie na pokiwanie głową.

– Na tym polega nasz zawód – powiedziała cicho Elizabeth.

– Pani go operowała?

Elizabeth pokręciła głową i wskazała na siostrę.

– Emily to zrobiła. Jest chirurgiem. Ja jestem położnikiem.

– Jest pani chirurgiem – zaprotestował – i to świetnym.

Znów pokręciła głową.

– Chciałam być chirurgiem, ale pewien wypadek pokrzyżował mi plany.

Doyle wyjął zza pazuchy butelkę whisky i podał jej. Odmówiła.

– Można spytać jaki?

– Po studiach nikt w Nowym Jorku nie chciał mnie zatrudnić, chociaż skończyłam Geneva College z najlepszym wynikiem – opowiadała. – Pojechałam do Londynu, potem do Paryża. Powiedziano mi, że jako kobieta lekarka mogę leczyć wyłącznie kobiety, dlatego zajęłam się położnictwem. Pracowałam na oddziale noworodkowym. Operowałam niemowlę, którego matka zmarła na gorączkę połogową. Mimo że stosowałam się do wszelkich zasad czystości, zaraziłam się. Straciłam wzrok w jednym oku. Mogę operować lżejsze przypadki, ale nie zrobię już skomplikowanej operacji.

Doyle spojrział na nią z sympatią.

– Przykro mi – powiedział.

– Niepotrzebnie. – Uśmiechnęła się. – Zajęłam się kliniką. Jestem wysoko wykwalifikowanym położnikiem. Prowadzę także szeroko zakrojoną działalność edukacyjną. W Londynie otworzyłam szkołę medyczną. W Paryżu prowadziłam wykłady na Sorbonie. Zamierzałam stworzyć Medical Women College w Nowym Jorku, ale wybuchła wojna. Na szczęście zdążyłam wybudować przychodnię dla ubogich kobiet i dzieci.

– Nowojorska Izba Chorych? To pani dzieło?

Pokiwała głową.

– Pracujemy tam razem z Emily i Marie Zakrzewski^[6]. Nie poznał jej pan jeszcze. Dogląda chorych.

Doyle pokiwał głową z podziwem.

– Lizzy walczy o prawa kobiet – dodała Emily. – Gdyby nie ona, nie skończyłabym studiów.

– Wiele kobiet mogłoby skończyć studia i pracować, ale do tego daleka droga – powiedziała Elizabeth do Doyle’a. – Najpierw uwolnimy niewolników, potem kobiety.

– Moja żona także ma na imię Elizabeth. – Lekarz spojrzął przed siebie i uśmiechnął się. – Mówię na nią Bethy. Mamy pięcioro dzieci.

– Pięknie. – Elizabeth odłożyła pustą puszkę po fasoli i dorzuciła nieco drew do ognia. – Niech pan się prześpi, Doyle. Kanonada trwa od godziny. Pewnie za kilka godzin przywiozą nam nowych rannych.



Elizabeth Blackwell ukończyła studia w 1849 roku. Jest pierwszą kobietą z dyplomem lekarskim na świecie. Nostryfikowała dyplom w Anglii oraz we Francji. Jako pierwsza kobieta została wpisana na listę British Medical Register. Założyła liczne szpitale, kliniki i przytułki oraz szkoły dla pielęgniarek, felczerów i lekarzy. Pod koniec lat sześćdziesiątych XIX wieku otworzyła Women’s Medical College – szkołę medyczną dla kobiet. Uczelnia słynęła z wysokiego poziomu, ustrukturalizowanego i konkurencyjnego programu nauczania. Absolwentkami WMC były między innymi siostra Elizabeth, Emily Blackwell, i Marie E. Zakrzewski – Amerykanka polskiego pochodzenia. Nowojorska Izba Chorych, którą założyła, jako instytucja dla ubogich kobiet i dzieci przetrwała sto lat. Elizabeth Blackwell napisała poradnik dla studentek medycyny *The Moral Education of the Young* (1879) oraz autobiografię *Pioneer Work in Opening the Medical Profession to Women* (1895). Przez całe życie walczyła o prawa kobiet.

W 1869 roku Elizabeth wróciła do Wielkiej Brytanii. Została pochowana na wiejskim cmentarzu w Szkocji.

ROZDZIAŁ I

w którym poznajemy Annę Tomaszewiczównę, absolwentkę Wydziału Medycznego uniwersytetu w Zurychu, jej protektorów – rodzinę Korzyńskich, Grażynę – ich krnąbrną córkę i przyjaciółkę Anny, uroczą służącą Kasię i dowiadujemy się, że dyplom lekarski, działalność naukowa oraz życzliwość niektórych profesorów medycyny nie mają większego znaczenia, kiedy do Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego aplikuje kobieta.

– Czym mogę panience służyć?

Anna obejrzała się. Za jej plecami stał szczupły młodzieniec. Zza okularów spoglądały na nią życzliwie małe oczy. Uśmiechał się do niej zachęcająco. Odchrząknęła.

– Chciałabym się widzieć z profesorem Hoyerem.

Młodzieniec wyprostował się, a spojrzenie z życzliwego zmieniło się w świdrujące.

– Hmm... – mruknął i przetaił ręką wypomadowane włosy. Zaraz cofnął ją szybko, jakby zawstydzził się tego gestu. – Chciałaby się panienka widzieć z profesorem Hoyerem?

Gdyby nie była tak zdenerwowana, rozbawiłoby ją to. Młodzieniec zapewne pomyślał, że jest jedną z matek bądź córek jakiegoś biedaka, który zachorował i bezpośrednio u profesora Hoyera pragnie uzyskać nadzieję, obietnicę rewolucyjnej terapii, która mogłaby ocalić komuś życie.

– Czy profesor mnie przyjmie? – spytała.

– Profesor jest zajęty człowiekiem – odparł młody człowiek protekcyjnym tonem.

– Mimo to chciałabym się z nim zobaczyć – powiedziała już pewniejszym głosem. – Nie zajmę wiele czasu.

– A w jakiej sprawie panienka przychodzi? – nie ustępował.

– Daruje pan, ale wyjaśnię to profesorowi. – Wyprostowała się i spojrzała dumnie, zauważając przy okazji u swego rozmówcy liczne kaszaki na powiekach i pod oczami, które najwyraźniej próbował usunąć domowym sposobem, przez co doprowadził do zakażenia. Ledwie powstrzymała się od udzielenia mu porady medycznej. – To jest niezwykle ważna sprawa.

– Hmm... – Usłyszała kolejne chrząknięcie. – Jestem osobistym asystentem pana profesora i to ja decyduję, która sprawa jest ważna.

– Rozumiem. – Kiwnęła głową. – W takim razie proszę powiedzieć panu profesorowi, że nazywam się Anna Tomaszewicz i przysłałam złożyć aplikację do Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego.

– W imieniu męża? – dociekał młodzieniec.

Miesiące dobijania się do różnych instytucji, które mogłyby umożliwić jej wykonywanie wyuczonego zawodu, sprawiły, że nie umiała powstrzymać poirytowania.

– Szanowny panie...? Nie przedstawił się pan... – rzuciła cierpko.

Mężczyzna uklonił się nieznacznie.

– Alfred Dziubiński – powiedział.

– Szanowny panie Dziubiński... Doktorze Dziubiński? – spytała Anna.

– Nie jestem lekarzem – odparł. – Jako asystent pana profesora zajmuję się sprawami administracyjnymi i pragnę panią poinformować, że aplikację trzeba złożyć osobiście. Proszę zatem przekazać szanownemu mężowi, że...

Anna przerwała mu gestem, po czym zaczęła wyrzucać z siebie słowa:

– Szanowny panie Dziubiński. Jestem absolwentką Wydziału Medycznego uniwersytetu w Zurychu. Wróciłam do Polski i pragnę podjąć praktykę lekarską. Chciałabym złożyć aplikację do Towarzystwa. Osobiście. Na ręce profesora Hoyera.

Młodzieniec stał z otwartymi ustami. Anna przywykła do tego widoku. Nie budził w niej jednak rozbawienia. Już miała dość mężczyzn patrzących na nią jak na dziwoląga.

Ciężkie dębowe drzwi z mosiężną tabliczką informującą: „Profesor Henryk Hoyer. Prezes Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego”, uchyliły się nagle i stanął w nich niski, siwowłosy mężczyzna.

– Alfredzie? – zwrócił się do asystenta po tym, jak ukłonił się Annie z szacunkiem. – Cóż to za krzyki?

Alfred Dziubiński wycelował palec w stronę kobiety.

– Ta pani – powiedział przyciszonym głosem, jakby obawiał się, że donośniejszy ton jest w tej chwili niestosowny – twierdzi, że studiowała medycynę, i przyszła zapisać się do Towarzystwa.

Po wypowiedzeniu tych słów zastygł z pełnym oburzenia wyrazem twarzy. Następnie skrzyżował ręce na piersiach i stanął w takiej pozie obok posągu ojca wszystkich lekarzy – Hippokratesa. Wyglądał przy tym dość groteskowo i Anna mimowolnie się uśmiechnęła.

– Tak twierdzą, bo to jest prawda – powiedziała z westchnieniem.

Profesor popatrzył na swojego asystenta.

– Alfredzie, trzeba było mnie niezwłocznie wezwać. Jeśli ktoś przychodzi złożyć aplikację, musi to zrobić osobiście i porozmawiać ze mną, zatem nie może mnie pan pominąć.

Alfred rozłożył ręce.

– Ale ta pani mówi, że... – Urwał i złapał się za głowę, po czym schował twarz w dłoniach, jakby bał się spojrzeć na kobietę, która śmie twierdzić, że uprawia zawód, którego uprawiać nie może. Już za sam taki pomysł Alfred powinien związać nieszczęsną, a potem zaprowadzić czym prędzej do miejsca dla obłąkanych. Brat Alfreda krótko pracował w takim przytułku i opowiadał, że roi się tam od Napoleonów Bonapartych, królowych Wiktorii i kobiet, które opowiadają, jak spółkowały z diabłem. Wśród takich właśnie indywiduów powinna znaleźć się niewiasta, która upiera się, że ukończyła studia medyczne.

Profesor przeniósł wzrok na Annę, a ona wyciągnęła rękę.

– Anna Tomaszewiczówna – przedstawiła się. – Skończyłam medycynę w Zurychu, mogłam podjąć pracę w Szwajcarii czy Japonii, ale pragnę praktykować w Warszawie...

– Proszę do mnie – przerwał jej profesor. – Nie będziemy rozmawiać na korytarzu.

Anna obrzuciła Alfreda Dziubińskiego spojrzeniem pełnym satysfakcji i weszła za wybitnym polskim embriologiem do obszernego gabinetu.

– Proszę usiąść, droga pani. – Wskazał jej skórzany fotel.

Anna położyła teczkę ze swoimi pracami na biurku profesora i usiadła.

– Chciałabym złożyć aplikację... – zaczęła ponownie.

– Co pani sądzi o pracach Virchowa? – profesor zwrócił się do Anny po niemiecku.

Zamrugła.

– Nie rozumie pani? – spytał znów po niemiecku. Anna natychmiast odzyskała mowę.

– Rozumiem doskonale – odpowiedziała płynną niemczyzną. – Wiem, że pracował pan pod kierunkiem profesora Rudolfa Virchowa w Berlinie, stąd zapewne pana pytanie. Uważam, że teoria patologii komórkowej prezentowana przez profesora Virchowa jest błędna. Pasteur wykazał te błędy i ja...

Hoyer uniósł rękę, a Anna zamilkła.

– Również uważam, że ta teoria jest błędna – powiedział już po polsku. – A polemiki z Pasteurem wielce niefortunne.

– Pasteur – Anna uśmiechnęła się – obalił teorię samoródtwa. Ludzkość zawdzięcza mu tyle samo co Kopernikowi.

– O tak – zgodził się profesor Hoyer. – To samo mówiłem na wykładach. Studenci mają bardziej otwarte umysły. Niektórzy moi koledzy nadal tkwią mentalnie w czasach teorii miazmatów fruujących w powietrzu.

– Nie jest zatem dziwne, że tak wielki klinicysta jak Virchow nie może się przekonać do badań Pasteura – rzuciła obronnym tonem. – Ma wielkie zasługi na innych polach.

– Virchow jest praktykiem. – Profesor Hoyer patrzył na nią z nieukrywaną sympatią. – Jako pierwszy wykonywał biopsje...

– Proszę wybaczyć – przerwała rozmówcy – ale nie jako pierwszy, tylko jeden z pierwszych. Osobiście znam udokumentowane przypadki biopsji i oceny mikroskopowej tkanek przewodu pokarmowego, wątroby, mięśni,

a nawet mózgu, i to w Warszawie, proszę sobie wyobrazić... – Anna uśmiechnęła się do profesora. – W roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym w Szpitalu Dzieciątka Jezus dokonali tego doktorzy...

– ...Bogumił Korzyński i Leopold Teraz-Zawisza – dokończył profesor Hoyer i zdjął okulary. – Pierwszy z nich jest członkiem naszego Towarzystwa.

– I doktor Ludwik Koniecpolski – dopowiedziała Anna.

– Tak! – wykrzyknął Hoyer. – Tak! Ma pani rację!

Anna zastanawiała się, czy wykrzyknienia profesora dotyczą wiary w jej medyczne wykształcenie czy też tego, że znała tę wybitną trójkę klinicystów, którzy zdolnościami nie ustępowali wielkim lekarzom z Wiednia, Edynburga czy Berlina. Nie ośmieliła się jednak przerwać ciszy.

– Słyszałem o pani – powiedział w końcu profesor Hoyer. – Byłem jej nawet ciekaw...

Anna już miała powiedzieć, że jest przyzwyczajona do traktowania jej niczym cyrkowej małpy, ale widząc na sobie wzrok profesora, niewątpliwie pełen szacunku, nie skomentowała tego.

– Pani profesorze – położyła rękę na sercu – nie jestem pierwszą kobietą, która skończyła Wydział Medyczny uniwersytetu w Zurychu. Wyprzedziło mnie sześć Rosjanek, cztery Niemki, trzy Angielki i jedna Amerykanka. Wydawało mi się, że moja droga do praktyki jest już przetarta. Tymczasem... – Spojrzała bezradnie.

– Pani doktor – głos profesora brzmiał niezwykle łagodnie – wie pani, że warunkiem przyjęcia aplikacji jest praca naukowa. Czy ma pani odpowiedni dorobek?

– Tak. – Wskazała wzrokiem na sfatygowaną skórzaną teczkę. – Na przedostatnim roku studiów uzyskałam asystenturę u profesora Hitziga i prowadziłam badania dotyczące aktywności elektrycznej kory mózgu u psa. Profesor, doceniając mój wkład w owe badania, przedstawił mnie jako współautorkę publikacji.

Anna nie dodała, że asystentura pozwoliła jej przetrwać w Zurychu i nie umrzeć z głodu. Nie powiedziała także, że w czasie owych badań

w niewiadomy sposób zaraziła się tyfusem i przez kilka dni balansowała na granicy życia i śmierci. Tylko rzetelnej, wręcz czułej opiece swoich mentorów zawdzięczała pełny powrót do zdrowia.

– Słyszałem o tych badaniach i o ich przerwaniu. – Profesor wziął teczkę i otworzył ją. Obejrzał pierwszą z umieszczonych tam prac. – Ubolewam, że w naukowym świecie nie można przedłożyć rozwoju wiedzy nad pewne aspekty... inne – zakończył niezręcznie.

Anna uśmiechnęła się.

– Owszem, władze uczelni zakazały profesorom Hitzigowi i Fritschowi badań na terenie uczelni, ale z powodzeniem zakończyli je w domu. Po publikacji tych przełomowych badań mogli kontynuować prace już jawnie.

Rozległo się głośne pukanie, drzwi uchyliły się, a następnie stanął w nich Alfred Dziubiński.

– Czy wszystko w porządku, panie profesorze? – spytał.

– W jak najlepszym – zapewnił go Hoyer. – Chociaż bardzo dobrze, że pana widzę, bo uświadomiłem sobie, że nie zaproponowałem pani doktor nawet filiżanki herbaty. Czy wybaczy mi pani?

Anna kiwnęła głową.

– Prosimy dwie filiżanki – powiedział Dziubińskiemu i odprawił zdumionego asystenta ruchem ręki.

– Na czym skończyliśmy? – spytał.

– Na moich badaniach kory motorycznej i czuciowej, które prowadziłam pod kierunkiem...

– A tak – przerwał jej Hoyer. – Chciała pani specjalizować się w chorobach nerwowych, tak?

– Tak – potwierdziła. – Jednak los zdecydował inaczej. Badania na mózgu są kontrowersyjne. Wciąż nie wiemy, jak doświadczenia na zwierzętach można przenieść na ludzi.

– To prawda. – Profesor pokiwał głową. – Sam bym się nie ośmielił. To jedyna dziedzina fizjologii, która wciąż pozostaje tajemnicą. O której nie możemy wiele powiedzieć na podstawie sekcji.

Anna spojrzała z wdzięcznością na tego człowieka. „Boże, Boże”, pomyślała, „żeby tylko dwie trzecie członków Towarzystwa Lekarskiego było podobnych do profesora Hoyera”. Tyle bowiem głosów potrzebowała, aby przyjęto jej aplikację.

– Trafiłam pod skrzydła profesora Hermanna i pod jego kierunkiem napisałam i obroniłam pracę *O niektórych funkcjach labiryntu* – dodała, nie kryjąc dumy.

– Niezwykłe! – Profesor klasnął w dłonie i ponownie wziął do ręki skórzaną teczkę. – Czy ta praca tu jest?

Wyglądał przy tym jak dziecko, które pragnie czym prędzej dostać się do deseru.

– Oczywiście. – Anna skinęła głową. – Jest też kilka innych. Poza tym znajdzie pan profesor mój dyplom i listy polecające od kilku profesorów. Mam nadzieję, że to wystarczy, aby przyjęto moją kandydaturę.

Drzwi uchyliły się i do gabinetu wszedł ponownie Alfred Dziubiński w towarzystwie służącej. Dziewczyna niosła tacę, na której spoczywały dwie włoskie filiżanki pełne bursztynowego płynu, obok niewielka cukierniczka, talerzyk, na którym piętrzył się stos ciasteczek, i dwie pięknie ozdobione łyżeczki. Annie, która miała bardzo ograniczone środki finansowe i przez to niewiele jadła, a już na pewno nie ciasteczka, napłynęła ślina do ust.

– Panie profesorze, ośmielę się przypomnieć, że niedługo ma pan...

– Zebranie, wiem – przerwał mu Hoyer, po czym wyjął z kieszeni surduta zegarek i sprawdził godzinę. – Będę punktualnie, proszę się nie martwić.

Służąca postawiła tacę na stole i dygnęła. Dziubiński ukłonił się, kiwnął na dziewczynę i razem wyszli, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Rozumiem, że ma pan ograniczony czas – powiedziała Anna, biorąc do ręki filiżankę, wcześniej obficie posłodzwszy herbatę, i sięgając po ciasteczko. „Guzik mnie obchodzi, czy to wypada”, pomyślała i zaraz po zjedzeniu jednego sięgnęła po kolejne.

– Nie, pani doktor. – Profesor machnął ręką. – Mój asystent jest nieprzyzwyczajony do tego, że rozmawiam z kobietą o jej kwalifikacjach naukowych. Prawdopodobnie nie wierzy w to, że pani ukończyła

jakiegokolwiek studia, a tym bardziej medyczne, i sądzi, że grozi mi z pani strony wielkie niebezpieczeństwo.

– Nie jest w swojej opinii odosobniony, niestety – westchnęła. – Przynajmniej w Polsce. Jedynie w Zurychu nie podawano w wątpliwość mojej wiedzy, chociaż na studiach traktowano mnie surowiej niż mężczyzn.

Wzięła do ręki kolejne ciasteczko, modląc się, żeby nie zaczęło jej burczeć w brzuchu.

– Drogie dziecko – profesor uśmiechnął się łagodnie – proszę wybaczyć, że tak do pani mówię... Spotka się pani z niejednym nieżyczliwym pani mężczyzną. Oby kobiety panią wspierały.

Anna dopiła reszkę herbaty.

– Zapoznam się z pani pracami i przedstawię je na zebraniu Towarzystwa. Jeśli są tak znakomite, jak sądzę, gorąco zarekomenduję pani kandydaturę – powiedział Henryk Hoyer.

Poczuła spokój i głęboką sympatię dla tego otwartego człowieka.

– Dziękuję panu najserdeczniej za to, że zechciał mnie pan przyjąć i poświęcić mi swój czas. Moja wdzięczność nie ma granic.

Profesor ujął jej rękę, ścisnął i patrząc jej głęboko w oczy, powiedział:

– Przyjdzie czas, kiedy nie będzie musiała pani walczyć o uznanie swoich racji. Głęboko w to wierzę.

Po wyjściu z gabinetu profesora podeszła do wieszaka i poczekała, aż Alfred Dziubiński poda jej płaszcz. Asystent profesora wziął jej palto koniuszkami palców i obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem. „Nie byłabym biedna, gdybym mogła pracować”, chciała krzyknąć, ale zamiast tego starała się sprawiać wrażenie, że lichota odzienia jej nie przeszkadza, że jest swoistą ekstrawagancją, a nie wynikiem ubóstwa.

– Dziękuję panu bardzo – powiedziała, wychodząc. – Herbata była wyborna. Podobnie ciasteczka.



Droga Grażyno,

pogoda tutaj jest okropna. Zimno i wietrznie, śnieg po pas. Nie zawsze można znaleźć dorożkę. Przyzwyczaiałam się, że chodzę wszędzie piechotą, chociaż mam świadomość, że po przebyciu tyfusu powinnam o siebie dbać. Złożyłam papiery na ręce profesora Hoyera. Przyjął mnie niezwykle życzliwie, poświęcił wiele czasu i rozmawiał jak równy z równym. Niecały tydzień później przysłał list, w którym chwalił moje znakomite prace. Napisał, że wiele się dowiedziała na temat fizjologii naszego umysłu oraz działania labiryntu. „W czasach, kiedy największymi problemami warszawskiego medyka są brud, bieda i zaraza, ktoś, kto niesie ze sobą naukę, jest na wagę złota”. Wyobrażasz sobie? Tak mądry człowiek okazał się także zacnym. Będzie mnie gorąco rekomendował. Ale nawet on nie jest w stanie zagwarantować mi, że inni mężczyźni zechcą zmierzyć się z moim damskim umysłem. Piszę to gorzkim tonem, ale wiem, Grażynko, że mnie rozumiesz. Ty jedyna mnie rozumiesz jak nikt.

Śmiałaś się ze mnie, że zawsze muszę rozbudować swoją odpowiedź zamiast napisać wprost co i jak. Zatem to zrobię, chociaż wzruszenie ściska mi gardło. Dziękuję Ci, moja kochana przyjaciółko, za dach nad głową i morze życzliwości, które dostałam od Ciebie, Twoich rodziców i siostr. Panieńskie mieszkanko Twojej ciotki, które otrzymałam, jest cudem, moim schronieniem, domkiem z bajki i marzeń. Nigdy Ci się nie wypłacę za to, że mnie zmusiałaś, bym przełknęła dumę i przyjęła pomoc od Ciebie i Twoich rodziców. Nigdy nie zapomnę Twoich słów: „Jedź tam i mieszkaj, ale przedtem odkurz dobrze wszystkie kąty. Zabierz to, co zostało po dziadku Remigiuszu, ciotce Auguście i zaopiekuj się ich dorobkiem naukowym. Co jest warte zostawienia, zostaw, resztę spal”. Tak zrobiłam, kochana przyjaciółko. Twoja rodzina jest mi niezwykle życzliwa. Twoja mama jest cudowna, tak trafnie ją opisałaś. To przepiękna kobieta, przyjęła mnie jak córkę. Podobnie pan Bogumił, który podzielił się ze mną całym swoim doświadczeniem naukowym i zrobił wszystko, żebym mogła uczyć się na prowadzone przez niego wykłady w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Pan Bogumił liczył na to, że jako dyrektor będzie mógł sprawić, bym sama stanęła na katedrze i podzieliła się swoim doświadczeniem z Zurychu. Pewnie sądził, że przetrę i Tobie szlak, a kiedy wrócisz, od razu wejdiesz do sali wykładowej. Gdzie tam... Władze rosyjskie wymagają nostryfikacji zagranicznych dyplomów. Sęk w tym, że wobec kobiet powinna być zastosowana inna procedura, a takowej nie ma. I sprawa stanęła w martwym punkcie. Jak wiesz, byle co mnie nie zraża i niejednej odmowy w życiu doświadczyłam. Uparłam się, że zdam egzamin, i udałam się w tym celu do kuratora okręgu naukowego...

Anna przerwała na chwilę, przypomniałszy sobie, że aby opłacić podróż, sprzedała skórzane rękawiczki i mufkę. Byłaby zamarzła, bo był już koniec jesieni i spadł śnieg, gdyby pani Domicela nie wyciągnęła z dużego kufra szynszylowej mufki i rękawic swojej zmarłej matki i nie wcisnęła ich Annie niemalże siłą, argumentując, że mamcia w grobie spoczywa, a w zaświatach rękawic nikomu nie potrzeba.

...a ten odesłał mnie do ministra. Pojechałam i tam, powiedziałam, co moje, a minister, wyobraź sobie, zgody mi nie dał. Aplikowałam do Polskiego Czerwonego Krzyża, bo łatwo mogłam przedstawić im swoje referencje z samego Zurychu, ale oni także odmówili, jako przyczynę podając brak praktyki. Jak mogę praktykować, kiedy mi nie pozwalają? W taki oto sposób koło się

zamyka. Nie mogę pracować, bo mi nie pozwalają, nie pozwalają, bo nie mam praktyki, a jak mogę ją zdobyć, nie pracując? Piszę Ci to wszystko, bo przecież Ty też tego doświadczysz, kiedy wrócisz. O ile wrócisz... Może powinnaś jechać do Bostonu? Mówiłaś, że tam Twój wuj i ciotka robią wszystko, żebyś pracowała jako lekarka. Tu czekają Cię jedynie frustracja i obijanie się od drzwi do drzwi. Obym nie miała racji i oby przemawiała przede mną jedynie gorycz. Tak. Oby tak było.

Ale wiesz, kochana Grażynko, są i dobre tego strony. Mój upór sprawił, że stałam się sławna. No, w pewnych kręgach, oczywiście. „Przegląd Lekarski” napisał o mnie: „Z żalem przyznać trzeba, że pannę Tomaszewicz na samym wstępie w jej zawodzie same tylko nieprzyjemności spotykają. Pragnęła tutaj egzamin składać i udała się w tym celu do kuratora okręgu naukowego, ten ją odesłał do ministra, a minister pozwolenia na to odmówił. Nadto ofiarowała swoje usługi Towarzystwu Czerwonego Krzyża, ale to odrzuciło jej propozycję”.

No nic... Może los się odmieni. Szkoda, że nie jestem tak ładna jak Ty. Może to by pomogło...

Znowu przerwała pisanie i przywołała w pamięci przyjaciółkę. Grażyna Korzyńska była najpiękniejszą kobietą, jaką widziała. Niestety także najbardziej krnąbrną i upartą jak osioł. „Jak to dziwnie życie się układa”, rozważała Anna. „Jednego dnia ratujemy ludzi i dajemy im schronienie, a drugiego to oni sprawiają, że mamy gdzie mieszkać i co jeść”, pomyślała. Pożałowała, że napisała zdanie o urodzie Grażyny. Przecież przez tę piękność stało się nieszczęście i Grażyna przerwała karierę naukową. Anna wróciła myślami do wydarzeń z Zurychu. Kiedy usłyszała, że „pewna Polka ma wielkie kłopoty, bo prowadzi się niemoralnie”, nawet przez chwilę nie zastanawiała się, czy jej pomóc. Pierwszy raz spotkały się właśnie wtedy. Grażyna była chora, samotna, mieszkała kątem u stróżki po tym, jak straciła dom, a duma nie pozwalała jej wrócić do Polski. Zaprzyjaźniły się niemal od razu. Anna wyciągnęła do niej rękę, dała dach nad głową, spokój, a tym, co zarobiła, dzieliła się z przyjaciółką. Wierzyła, że Grażyna zawróci ze źle obranej drogi, to tylko kwestia czasu. Kiedy stało się jasne, że przyjaciółka nie dokończy specjalizacji, Anna błagała ją, żeby razem wróciły do Warszawy. „Tam wszystko się ułoży”, przekonywała. „Gdybym ja miała takich wspierających rodziców jak ty, nawet bym się nie zawahała”. „Dlatego nie mogę wrócić”, upierała się Grażyna, „bo ich zawiodłam. Nie mogę spojrzeć w oczy matce, ojcu złamałabym serce. Wrócę, ale nie teraz. Muszę wypić piwo, którego nawarzyłam. Ale ty jedź”, przekonywała. „Powiedz mojej matce i ojcu oraz siostrom, że miewam się dobrze, że kiedy wrócę, będą ze mnie dumni. Spodoba ci się mieszkanko po ciotce, moja droga. Będziesz tam miała dobrze. Z jednej strony mama i ojciec będą blisko,

z drugiej nie będziesz musiała spać z nimi pod jednym dachem. To wprawdzie kochani staruszkowie, ale najmilej samemu. To znaczy nie to miałam na myśli, droga przyjaciółko, z tobą mieszkało mi się cudownie. Tyle ci zawdzięczam. Niech to skromne mieszkanie będzie chociaż próbą spłaty długów”. Anna nie tylko zamieszkała przy rodzinie Grażyny, ale też stała się jej częścią. To pan Bogumił poradził jej, aby aplikowała do Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, a pani Domicela pomogła się urządzić. Na następny dzień została zaproszona na obiad do tych kochanych ludzi i nie wiedziała, co ma im powiedzieć, kiedy spytają o postępy córki w specjalizacji. Postanowiła dokończyć list.

Kochana przyjaciółko, Twoi rodzice traktują mnie jak córkę. Proszę Cię, zdecyduj, jak zamierzasz żyć dalej. Będę musiała im coś o Tobie powiedzieć i nie chciałabym kłamać.

Podarła kartkę, na której napisała te słowa, i wzięła czystą.

Kochana przyjaciółko, cokolwiek postanowisz, będę sercem z Tobą. Napisałam sercem, nie umysłem, bo nie wiem, czy się z Twoim wyborem zgodzę. Czasem jesteś dla mnie zagadką, moja droga. Nie wiem jeszcze, czy to rozsądne tu wracać, czy może do wujostwa do Bostonu powinnaś pojechać i tam kontynuować przerwana specjalizację. Gdyby sprawa z Zurychu się wydała, wiesz, że oceniam Cię i „skażam”, nie dając szansy na usprawiedliwienie. Nie żebym sądziła, że powinnaś się tłumaczyć...

Znów podarła kartkę i zaczęła pisać po raz kolejny.

Kochana przyjaciółko, stanę po Twojej stronie, kiedy podejmiesz decyzję. Na pewno będzie to dobre postanowienie, bo Twoje. Nie przejmuj się złymi językami. Mężczyźni od wieków starali się nas zniewolić. Jesteśmy dla nich ozdobnikami albo co najwyżej mamami ich dzieci. My musimy walczyć o swoje. Nie możemy się poddawać. Pamiętaj, że będę Cię wspierała, i błagam Cię, żebyś zwróciła się do rodziców. Wyznaj, co się stało, a oni, jestem tego pewna, przybędą z odsieczą.

Twoja na zawsze,

Anna



Stół u Korzyńskich był zastawiony jedzeniem, a Anna nie pamiętała, kiedy ostatnimi czasy mogła posilić się do syta. Starła się jeść wolno, małymi kęsami, starannie przeżuwać, jak dama, która nigdy nie bywa głodna. Początkowo nawet się jej udawało, ale kiedy służąca wniosła kolejny półmisek – tym razem parujących duszonych warzyw – przestała czuć jakiegokolwiek skrupuły i jadła wszystko, co proponowali jej mili gospodarze. Cieszyła się przy tym, że nie zacisnęła zbyt mocno gorsetu.

– Państwo są dla mnie tacy dobrzy – powiedziała. – Nie wiem, jak się odwdzięczę.

Pani Domicela uśmiechnęła się.

– Przecież wiesz, że jesteś dla nas jak córka – odparła łagodnie. – Chociaż ciebie możemy tu gościć.

Anna uciekła wzrokiem. Znów przypomniała sobie, jak na próżno prosiła Grażynę, żeby wróciła z nią do Warszawy i jej uparte odpowiedzi: „Wrócę, kiedy przyjdzie na to czas, teraz to byłaby ucieczka, a ja nie jestem szczurem”.

– Już dwa lata nie widzieliśmy naszej córki – westchnęła pani Domicela. – Píše rzadko, zdawkowo. Mam nadzieję, że powiesz nam coś więcej o jej życiu w Zurychu. Czy jest szczęśliwa?

„Tylko nie mów rodzicom o tym, co się stało”, zamigotało jej w głowie.

– Ma dużo zajęć – odpowiedziała Anna, nie patrząc w oczy pani Domiceli.
– Profesor Rayzer jest ogromnie wymagający.

– Mogłaby napisać coś o swoich pracach badawczych – stwierdził gorzko pan Bogumił, a Anna znów poczuła się podle. – Czekam na doniesienia naukowe. Mam nadzieję, że podobnie jak twoje prace, Aniu, przeczytam kiedyś artykuły Grażynki. Ale już teraz mogłaby napisać i wymienić doświadczenia ze starym ojcem.

– I nie tak całkiem starą matką. – Pani Domicela roześmiała się.

– Do mnie też niewiele pisze – powiedziała cicho Anna.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Wysłała piękny list, kiedy urodziłam moją Irenkę – odezwała się Marcelina, najstarsza siostra Grażyny.

Irenka miała obecnie dwa latka, biegała wokół stołu w koronkowej sukience i próbowała uciec bonie, która chciała ją przebrać po tym, jak dziewczynka wysmarowała sobie buzię i sukienkę sosem z pieczeni.

– Ja piszę do niej co miesiąc, bo bardzo ją podziwiam – wyznała średnia siostra Ewelina, zwana w rodzinie Ewą, która z tego, co Anna wiedziała, także chciała zostać lekarzem, ale w wieku lat siedemnastu poznała na balu przystojnego studenta Jerzego, zakochała się na zabój, a po dwóch latach narzeczeństwa wyszła za niego za mąż. Obecnie mieli dwie córeczki – sześciolletnią Anielkę i czteroletnią Klarcie.

– Tak, Ewunia pisze Grażynie o wszystkim, co się u nas dzieje. – Jerzy Terpiłowski roześmiał się i spojrzał czule na żonę. – I nie przejmuję się, że odpowiedzi nie nadchodzą tak często, jak by chciała.

– Gdyby tu była, biegałybyśmy z bonami i dziećmi po parku, plotkowały o tym, jaka służba jest rozkapryszona, i obmawiały te z nas, którym nie udało się złapać mężów. – Ewa uśmiechnęła się do niego.

– Protestuję – żartował Jerzy. – Mnie nie złapałaś, tylko ja ciebie, moja droga. Poza tym wiele razy ci mówiłem, że mam świadomość, jak wielkim wyzwaniem dla kobiety jest studiowanie.

– I to za granicą – dodała Marcelina.

Jej mąż był tego dnia nieobecny, ponieważ wyjechał na prowincję, gdzie prowadził interesy.

– Tak się składa, że wszystko dzieje się, niestety, za granicą – powiedział Bogumił Korzyński gorzkim tonem. – Nie wiem, kiedy będziemy mogli kształcić się w wolnym kraju.

– Mamy przecież Cesarski Uniwersytet Warszawski... – zauważył Jerzy.

– Cesarski... – Bogumił nie potrafił ukryć ironii. – I nie przyjmuje kobiet.

Anna pokiwała głową. Grażyna opowiadała jej, że ojciec był rozczarowany, kiedy urodziła mu się trzecia córka, ale bardzo szczęśliwy, gdy okazało się, że odziedziczyła po nim zdolności i chęć do nauki. Rodzina wręcz zachęcała ją do wyjazdu. Korzyńskich stać było na sfinansowanie córce studiów za granicą. Początkowo Grażyna miała jechać za ocean do ciotki do Bostonu albo do Cleveland, by studiować na tamtejszym

uniwersytecie, który już od kilkunastu lat przyjmował kobiety. Matka chciała jednak, aby córka była bliżej domu, dlatego wybrano Zurych. „Widocznie los chciał, żeby pojechała do Szwajcarii i poznała tego obłudnika Rayzera”, pomyślała ze złością Anna, po czym wróciła do rozmowy przy stole.

– Dobrze, że nas na Sybir nie zsyłają za samą chęć studiowania – zauważyła. – Jedynie nie przyjmują na uczelnie.

– I jeszcze długo przyjmować nie będą – zakończyła pani Domicela. – Przynajmniej resztą świata rządzi postęp i są już dla was jakieś możliwości. Kiedy ja byłam młoda, mnie i moje siostry uczono języków. I po co?

– Żebyście czytały wiersze w oryginale, mamo. – Ewa się roześmiała. – I mogły zabłysnąć w towarzystwie jakimś francuskim powiedzonkiem.

– Ja i Augusta, moja siostra – odpowiedziała pani Domicela, patrząc przy tym na Annę – znamy nie tylko język francuski, ale też angielski i niemiecki. Wprawdzie angielskiego dawno nie używałam, a niemczyznę znam biernie, gdyż jedynie czytam w tym języku, ale gdybym pojechała do Augusty albo do córki, to zaraz bym sobie wszystko przypomniała i po tygodniu mówiła jak miejscowa.

Bogumił spojrzał na żonę z miłością, a Anna z podziwem. Grażyna opowiadała jej o ciotce Auguście i o tym, że ta czytała pisma naukowe, by pomóc mężowi w karierze naukowej, ale nie wspomniała, że jej własna matka jest równie zdolna. Właściwie nie mówiła o niej wiele, cały czas zachwycając się ciotką Augustą, która nie mogła studiować medycyny, ale życie spędziła na analizowaniu prac Semmelweisa, Jennera, Browna-Séquarda i Gravesa. Zapewne marzyła, żeby jej własna córka została lekarzem, ale z tego, co Anna wiedziała, panna Barbara, zachwycona pracami Darwina, zgłębiała teorię ewolucji.

– Na pewno, kochanie. – Pan Bogumił uśmiechnął się do żony.

– Pani jest ogromnie zdolna – wyrwało się Annie. – Szkoda, że nie mogła pani studiować medycyny.

– Nawet o tym nie myślałam. – Pani Domicela machnęła ręką. – Moja siostra Augusta... Cóż ona nie robiła, aby zostać lekarzem. Tylko ty mogłabyś ją naprawdę zrozumieć.

– Ja? – zdumiała się Anna.

– Ty, droga Anno. – Marcelina położyła rękę na jej dłoni. – Przecież wiemy, jak ci było trudno.

Kiedy z wyróżnieniem skończyła pensję i powiedziała rodzicom o swoich pragnieniach, ojciec zaczął się śmiać. Matka nie odzywała się do niej przez dwa dni. Potem powiedzieli, że mogliby rozważyć wysłanie jej na studia medyczne, gdyby Anna urodziła się chłopcem. Ale ona była uparta i trwała przy swoim. Chciała leczyć ludzi. Postanowiła, że płeć jej w tym nie przeszkodzi. „Mężczyźni i kobiety mają takie same mózgi, tylko kobietom nie pozwala się ich wykorzystywać”, argumentowała. Dodatkową przeszkodę stanowił fakt, że nie pochodziła z tak mającej rodziny jak Korzyńscy. Miała pięcioro rodzeństwa, nauka za granicą pochłonęłaby zbyt wiele środków. Rodzice prosili o zrozumienie. Apelowali do jej rozsądku, radzili, aby została nauczycielką, skoro tak bardzo chce się kształcić. Wydawało się, że nigdy nie spełni swojego marzenia. Kiedy postanowiła, że poświęci się pracy i w ten sposób zgromadzi chociaż część pieniędzy na studia, wsparli ją bracia i siostry. Anna przestała wtedy jeść, szantażem starając się przekonać ojca, że albo spełni marzenia, albo umrze. Ustąpił. Mogła pojechać do Zurychu.

– Na pewno najgorsza jest tęsknota za bliskimi? – spytał Jerzy Terpiłowski.

Anna, która za nic nie pozostałaby w rodzinnej Mławie, wymamrotała coś wymijająco.

– Grażynce na pewno jest trudno – ciągnął Jerzy. – Zawsze była bardzo związana z mamą. Z tatkiem także.

– Mój kochany zięciu – uśmiechnęła się pani Domicela – wszyscy jesteśmy świadomi, jak ciężko jest naszej córce z dala od rodziny. Wiemy jednak, że sobie poradzi.

„Nie jesteście całkowicie świadomi”, pomyślała Anna, ale nic nie powiedziała, tylko przyjęła kawałek perliczki od pani domu. „Gdybyście wiedzieli, że Grażyna przerwała specjalizację, bo wdała się w romans z żonatym profesorem chorób kobiecych, że jego żona postarała się, aby nieszczęsną kochankę spotkał ostracyzm towarzyski, pewnie nie siedzielibyście tak spokojnie”. Sama była niespokojna. Grażyna czuła się już lepiej, ale była w Zurychu sama, niepewna dalszych losów i praktycznie

pozbawiona środków do życia. Anna poczuła złość, kiedy przypomniła sobie, co pani Rayzer napisała o Grażynie: „Cudzoziemka, która zawitała na szwajcarską ziemię, aby kraść Szwajcarkom ich małżonków. To, co zrobiła ta polska panna lekkich obyczajów, nie tylko sankcjonuje rozbiory kraju, z którego panna owa pochodzi, ale stawia w bardzo dziwnym położeniu rodziców owej istoty, którzy wypuścili dziecko z domu i wydali na pastwę pokus losu. Dziecko owo, panna, która przekonała wszystkich, żeby wpuszczono ją za próg uczelni, która powinna służyć tylko mężczyznom, użyła całej swej wiedzy, aby postąpić jak czarownica, zielarka, strzyga jaka, a nie uczciwa obywatelka”.

List ów może nie był logiczny, ale stanowił emocjonalne oskarżenie i uczynił z Grażyny jedyną winną. Pani Rayzer przeczytała swoją epistołę na posiedzeniu klinicznym przed profesorami, studentami i samą Grażyną. Na domiar złego, upubliczniła go drukiem, aby każdy mógł przeczytać o występnej pannie. Co ciekawe, nikt nie żądał dowodów prawdziwości oskarżeń profesorskiej. Ta jednak, na wszelki wypadek, napisała, że jest w posiadaniu kompromitujących „tę Polkę” listów do jej męża i może ujawnić owe listy. Anna wiedziała, że Grażyna ma listy profesora, ale nawet gdyby je opublikowała, nie tylko nie polepszyłoby to jej sytuacji, ale wręcz uczyniło ją nieznośną. „Gdybym była mężczyzną, to powinnam się zabić”, powiedziała jej później Grażyna a Anna pomyślała, że w obliczu takiego skandalu to Rayzer powinien się zabić, gdyby oczywiście był mężczyzną.

– Mamy świadomość, jak bardzo Grażyna jest zajęta pracą naukową, ale sądzimy, że chodzi o coś więcej niż badania – Anna usłyszała głos pana Bogumiła, który przerwał jej rozmyślenia.

Dziewczyna z trudem przełknęła kolejny kęs.

– Chciałabym, żeby wróciła, ale lepiej, aby pojechała do Bostonu, do mojej siostry i jej męża. Leopold na pewno pomoże Grażynie w uzyskaniu dobrej asystentury – powiedziała nagle pani Domicela.

Anna poczuła, że znów brak jej tchu. Co ma zrobić? Wyznać Korzyńskim prawdę? Tyle razy mówiła Grażynie, że musi wrócić do Warszawy i poczekać, aż sprawa przycichnie, albo spróbować szczęścia za oceanem. W ostatnim liście napisała jej to po raz tysięczny. Ona jednak uparcie

powtarzała, że wyjedzie z Zurychu dopiero wtedy, kiedy rozwiąże swoje sprawy.

– Proszę państwa... – zaczęła.

– Mamo!!! – wrzasnęła nagle sześćioletnia Anielka i wycelowała palec w siostrę. – Ona mnie bije!

Jej matka pospieszyła, aby uspokajać swoje pociechy, ojciec zaczął je karcić i grozić klęceniem na grochu, a pani Domicela obserwowała całą sytuację z troską na twarzy. Tylko pan Bogumił nie spuszczał oczu z Anny.

– Pani Anno – powiedział z wyraźnym wysiłkiem – jeśli jest coś, czego nie może nam pani wyznać, bo moja córka uzyskała od pani obietnicę, że jej nie zdradzi, rozumiem. Proszę mi tylko powiedzieć, czy powinienem tam pojechać i siłą przywieźć Grażynę do kraju.

Popatrzyła na ojca swojej przyjaciółki. Wiedziała, że jest klinicystą, niezwykle cenionym naukowcem, i gdyby nie zabory oraz wypadek, który zrujnował mu zdrowie dwadzieścia pięć lat temu, byłby już dyrektorem szpitala albo stał na czele Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego.

– Doktorze Korzyński... – odparła z szacunkiem. – Jestem związana pewną obietnicą. Przyrzekłam Grażynie, że ona sama będzie mogła opowiedzieć panu o specjalizacji i swoich postanowieniach. Nade wszystko chciała pozostać w Zurychu i robić specjalizację z zakresu chorób kobiecych. Wygląda jednak na to, że... w Zurychu to się nie uda – zakończyła niezręcznie.

Wiele wysiłku kosztowało ją wytrzymanie spojrzenia Bogumiła Korzyńskiego.

– Czy to dlatego, że jest kobietą? – spytał w końcu.

Mogła tylko potwierdzić z całą mocą. Bo czyż nie o to właśnie szło, że Grażyna była kobietą? Wróciła myślami do tamtych dni w Zurychu.

„On zostawi dla mnie żonę i będziemy razem prowadzić badania”, Grażyna wypowiedziała te absurdalne słowa z głęboką wiarą w głosie, chociaż nic na to nie wskazywało.

„Gdyby tak było, nie odwróciłby się od ciebie”, łagodnie przypomniała jej Anna.

Nie znała mężczyzn, sama nigdy nie była zakochana. Nie rozumiała, co Grażyna widziała w Konradzie Rayzerze, dość ograniczonym, niespecjalnie przystojnym profesorem. Tym bardziej nie umiała wytłumaczyć, dlaczego po jego tchórzliwej obronie Grażyna wciąż kochała tego człowieka.

„Musiał tak zrobić, żeby ratować nasze badania”, upierała się Grażyna.

Rayzer początkowo wydał oświadczenie, że wszelkie jego kontakty z Grażyną Korzyńską miały charakter czysto naukowy i nie wydarzyło się nic, co rzucałoby cień na jego nienaganną moralnie osobę. To mogłoby zakończyć sprawę. Kiedy jednak ukazała się drukiem epistoła żony, Konrad zachował się jak szczur, nie jak mężczyzna, ponieważ nie przyznał się do romansu. Całą winę zrzucił na Grażynę. Przed oburzonym gronem profesorskim Rayzer tłumaczył się, że nie ma wpływu na naganne zachowanie niektórych dziewcząt, które nie powinny opuszczać domowych pieleszy, tułać się po świecie i zbliżać do uniwersytetów.

„To nieprawda, i dobrze o tym wiesz”, mówiła jej Anna. „Nazwał cię panną lekkich obyczajów”.

„Musiał tak zrobić, bo żona zabrałaby mu dzieci”, przekonywała przyjaciółka.

Anna znała ojca profesora Rayzera, wielkiego lekarza, który walczył o czystość na oddziale położniczym, z szacunkiem traktował rodzące kobiety i podejmował wyzwania naukowe. Najwyraźniej syn był małym człowiekiem, skoro doprowadził do takiej kompromitacji, a potem porzucił ukochaną, która straciła wszystko, a na dodatek przywłaszczył sobie jej badania i przekonywał środowisko naukowe, że kobieta za progiem uczelni to nic więcej jak wielkie kłopoty.

– Panie doktorze – powiedziała Anna do Bogumiła Korzyńskiego. – Zapewniam pana, że użyłam wszelkich argumentów, żeby Grażynka wróciła do domu. Jestem pewna, że to zrobi, gdy tylko dokończy... pewne sprawy...

– Sądzisz, że jednak nie pojedzie do ciotki? Liczyliśmy na to. Tyle razy jej pisaliśmy, że Augusta i Leopold mogliby się nią zaopiekować – pani Domicela trwała przy swoim.

– Tego nie wiem – odparła Anna szczerze. – Moim zdaniem ona raczej wróci do Warszawy. Tylko potrzebuje jeszcze trochę czasu.

– Dlaczego nie publikuje żadnych badań? – Doktor Korzyński nie spuszczał oczu z dziewczyny. – Pani wie, prawda?

Siostry Grażyny wróciły do stołu, a cała uwaga ponownie skupiła się na Annie, która znów poczuła się źle. Wreszcie pani Domicela zdecydowała się wybawić ją od pytań.

– Boguniu – dotknęła ramienia męża – nie męcz, proszę, naszego gościa. Anno, proszę wybaczyć nam.

Dziewczyna kilka razy pokiwała głową. Służąca wniosła tacę z ciasteczkami jabłkowymi. Anna, chociaż była już syta, wzięła jedno i położyła na talerzyk.

– Grażynka tak lubiła ten deser. Wycinała listki z ciasta i oplatała sprytnie jabłko. Robiła to lepiej niż kucharka – powiedziała Marcelina.

– Dlatego żartowaliśmy, że powinna zostać chirurgiem. – Ewa roześmiała się.

– Prędzej róże zakwitną zimą, a do Ameryki będziemy latać balonem, zanim pozwolą kobiecie zostać chirurgiem. A nawet gdyby pozwolili, to wszyscy, mężczyźni i kobiety, uciekliby na widok noża w niewieścich rękach – skomentowała jej słowa Anna. Po chwili ciszy pierwsza zaczęła śmiać się pani Domicela, następnie jej córki i wreszcie doktor Korzyński. Aż do końca wizyty nikt już nie wspominał o Grażynie i nie ciągnął Anny za język.

– Tak bardzo państwu dziękuję za dach nad głową – powiedziała, kiedy wypięła herbatę i wizyta dobiegła końca.

– Głupstwo. – Bogumił machnął ręką. – Bardzo się cieszymy z pani obecności. Od śmierci mamy i Remigiusza czujemy się samotni. Augusta i Leopold mieszkali tu, gdzie teraz pani, zanim wyjechali za ocean. Potem nie mieliśmy szczęścia do lokatorów.

– Ja się z państwem rozliczę co do grosza – zapewniła – kiedy tylko...

– Ależ drogie dziecko – przerwała jej pani Domicela. – Nie ma o tym mowy. Koniec dyskusji na ten temat.

– Dziękuję. Do widzenia państwu – powiedziała. – To był cudowny dzień.

Bogumił ją uściskał.

– Mam nadzieję, że jutro profesor Hoyer przedstawi pani prace z należytym naukowym pietyzmem – oznajmił. – Osobiście zabiorę głos i mam nadzieję niedługo powitać panią w gronie lekarskim.

– Oby. – Anna wzniosła oczy ku niebu, a ręce złożyła jak do modlitwy.

– Ja mogę się tylko o to modlić, kochanie – dodała pani Domicela i wdzięcznie przytuliła się do męża. – Co dzień zmawiam modlitwy za naszych przyjaciół, którzy zostali zesłani na Sybir, za dusze tych, którzy chcieli ratować kraj i poszli walczyć w powstaniu. Za ciebie też się pomodłę. Może chociaż tej modlitwy Pan Bóg wysłucha. Tyle razy mi odmawiał...

Anna wpatrzyła się w tych dwoje ludzi z wyraźną zazdrością. Jej rodzice nigdy nie okazywali sobie uczuć, swoim dzieciom także nie. U Korzyńskich było zupełnie inaczej. Przez jedną krótką chwilę pomyślała, że mogłaby wyjść za mąż, najlepiej za lekarza, cieszyć się spokojnym życiem żony i urodzić dzieci. Przy odrobinie szczęścia byłby to światły człowiek i mogłaby wykorzystać swoje zdolności, wspierając jego karierę. Mogliby razem pracować w laboratorium i podpisywać prace jako A. Tomaszewicz. Nikomu by do głowy nie przyszło, że autorem jest kobieta.

Zaraz jednak opamiętała się i poszła szybkim krokiem w stronę swojego nowego mieszkania. W progu powitała ją służąca Kasia, świeży nabytek, dziewczyna młoda i jeszcze niedoświadczona, ale Anny nie stać było na inną.

– Panienska będzie jeść? – spytała.

– Przecież wracam z gościny, najedzona. – Wyminęła dziewczynę. – Zrób mi tylko herbaty, mocnej, bo będę pracować do późna.

Kasia dygnęła i natychmiast poszła do kuchni, a Anna udała się do gabinetu, gdzie z szuflady biurka wyjęła cały stos korespondencji z wybitnymi zagranicznymi lekarzami i artykuły z amerykańskich, angielskich i niemieckich pism. Zamierzała je przejrzeć i ocenić, które z nich mogą się jej przydać w dalszej pracy.



– Przedstawione prace przynoszą zaszczyt ich autorce – powiedział profesor Hoyer. – Napisane są z dokładną znajomością tematu oraz dostępnej literatury. Świadczą one o wielkich zdolnościach autorki, jak również o dogłębnym zaznajomieniu się jej z celami i środkami medycyny. Autorka stosuje najnowocześniejsze zdobycze nauki, jakie znane są nam w roku Pańskim tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym.

W sali, w której siedziało trzydziestu wybitnych przedstawicieli warszawskiej medycyny, zapadła cisza. Henryk Hoyer pogładził z zadowoleniem imponujące bokobrody.

– Zachęcam do dyskusji – dodał nieco zniecierpliwionym tonem wobec przedłużającego się milczenia zebranych.

– Mamy dyskutować nad pracami naukowymi kobiety czy też nad tym, czy będzie mogła wykonywać nasz szlachetny zawód? – spytał profesor Troszczyński.

Hoyer skarcił wzrokiem kolegę chirurga, a następnie zwrócił się w stronę niskiego, szczupłego, gładko ogolonego mężczyzny, który ze skupieniem studiował prace Anny Tomaszewicz.

– Najpierw wypowiedzmy się o wartości merytorycznej prac. Może pan zechce zabrać głos, profesorze Nowakowski? To przecież prace z zakresu mózgowia.

Sędziwy neurolog wstał.

– Dziękuję za możliwość rozpoczęcia dyskusji. Przede wszystkim chciałbym zaznaczyć, że owe badania nad korą mózgowia są nowatorskie – powiedział. – Czytałem prace kolegów Hitziga i Fritscha przed kilku lat. Na długo, zanim panna Tomaszewicz zawitała do Zurychu, zajmowali się badaniem motoryki kory mózgu. Pierwsze ich próby były jednak niczym innym jak błędzeniem we mgle, szukaniem jakiegoś punktu zaczepienia w świecie, do którego nie możemy mieć wstępu...

– Co mają do rzeczy owe prace, w których aplikująca panna nie brała udziału? – przerwał mu profesor Małcużyński, specjalista chorób serca.

– Do tego zmierzam – odpowiedział spokojnie Nowakowski. – Jeśli pan zechce mi nie przerywać, wyjaśnię, co mam na myśli. Chodzi o to, że dopiero

udział owej, jak to się pan wyraził, „panny” nadał badaniom pożądany kierunek. Wcześniej drażnienie kory było bezładne, dotyczyło wybranych punktów i nie zawsze uzyskiwano powtarzalne reakcje na bodźce. To panna Tomaszewiczówna zaproponowała, aby korę razić prądem milimetr po milimetrze i zapisywać doznania. Ona zauważyła naprzemiennosc odpowiedzi, a tym samym dowiodła, że włókna nerwowe bez wątpienia są skrzyżowane. Podkreśla to profesor Fritsch w liście polecającym.

– Przecież sam pan mówił, że opisał to już Hitzig! – wykrzyknął Junosza-Gawroński, mało zdolny chirurg z wybitnymi koneksjami w świecie carskiej socjety. Nowakowski był przekonany, że Junosza-Gawroński nie ma pojęcia, o jakich badaniach mowa, ale będzie głosował przeciw przyjęciu Anny Tomaszewicz do Towarzystwa ze względu na jej płeć.

– Owszem, ale to ona powtórzyła badania na psach i kotach oraz potwierdziła ustalenia. Co więcej, znalazła i opisała linię, która dzieli pas kory mózgowej odpowiedzialny za ruch od miejsca, w którym zwierzęta doznają jedynie reakcji czuciowych – odpowiedział spokojnie Nowakowski, zdając sobie sprawę, że dla niektórych kolegów, nieobeznanych z działaniem ośrodkowego układu nerwowego, jego słowa są kompletnie niezrozumiałe.

– Jak takie badania mogą przysłużyć się człowiekowi? Czy wyniki uzyskane na psach mają jakiegokolwiek znaczenie? – spytał ftyzjatra Zakrzewski.

– Ależ oczywiście! – Profesor Nowakowski zaśmiał się. – Nie możemy ich wykonywać na ludziach z oczywistych względów. Proszę jednak popatrzeć w przyszłość. Jeśli znajdziemy miejsca w mózgu, które odpowiedzialne są za ruch, cóż to będzie za nadzieja dla paralityków!

Na sali rozległy się pojedyncze śmiechy i chrząknięcia.

– W jaki sposób? – spytał Junosza-Gawroński. – Czy potrzebna jest nam wiedza, która obraża Pana Boga? Ta panna jest jak biblijna Ewa, która niesie nam zatrute jabłko!

Kilku ze zgromadzonych zaczęło się śmiać, reszta spojrzała na Junoszę-Gawrońskiego z dezaprobatą.

– Ewa nie dała Adamowi zatrutego jabłka, pomylił pan Biblię z bajeczką braci Grimm. – W głosie Nowakowskiego słycać było wyraźną ironię.

Junosza-Gawroński zrobił się czerwony na twarzy.

– A może prace panny Tomaszewicz to bajki? Na pewno ma pan więcej do powiedzenia na temat bajek niż nauki. – Wycelował palec w starego neurologa, a ten złapał się za serce.

– Jak pan śmie?! – wykrzyknął.

– Kolego, to jest obraźliwe! – upomniał Junoszę-Gawrońskiego Ignacy Starowrocki, ledwie doktor, nie profesor, ale oddany nauce; zasiadał w Towarzystwie od niedawna. – Jesteśmy winni szacunek starszym!

– Pana ojciec nigdy by nie powiedział czegoś takiego! – krzyknął do Junoszy-Gawrońskiego Małcużyński, specjalista chorób płuc, i na znak solidarności z Nowakowskim wstał ze swojego fotela i podszedł do neurologa.

Podobny gest wykonali jeszcze profesorowie Tarasiewicz oraz Dobrzański, pediatra. Kilku innych lekarzy wstało i ustawiło się za Junoszą-Gawrońskim. Przez chwilę wydawało się, że zebranie skończy się podziałem na dwie grupy, zwolenników Nowakowskiego i jego przeciwników, ale profesor Hoyer, bądź co bądź założyciel i przewodniczący Towarzystwa, postanowił do tego nie dopuścić.

– Panowie! – uciszał kolegów. – Zachowujecie się jak przekupki! Zebraliśmy się tu, aby przedyskutować walory naukowe, a nie religijne prace doktor Tomaszewiczówny! Proszę...

– Nie unikniemy takiej dyskusji! Sam pomysł, aby kobieta była lekarzem, obraża Boga! – wykrzyknął Junosza-Gawroński.

– Proszę nie mieszać w to Boga! – Hoyer zaczął uderzać ręką w stół. – I proszę wrócić na swoje miejsca!

Ponownie rozległy się na sali głosy oburzenia.

– Koledzy, dziękuję za wasze wsparcie, ale poradzę sobie z osobami pokroju pana Junoszy-Gawrońskiego. – Nowakowski zachęcił gestem, aby stojący za nim koledzy wrócili na swoje miejsca.

Profesor Hoyer poczekał, aż wszyscy ponownie usiądą.

– Wracamy do dyskusji nad pracami doktor Tomaszewicz – powiedział nieco wzburzonym tonem. – I proszę o merytoryczne głosy.

– Ta pani przywłaszczyła sobie badania mężczyzn – odezwał się Hieronim Wielowiejski, najstarszy z profesorów. – Bóg jeden wie, jak przekonała tych nieszczęśników, aby wpuścili ją do pracowni. Być może czarami. Jeśli dopuścimy ją między nas, stworzymy niebezpieczny precedens, okażemy słabość. Ta kobieta będzie jak żmija. Ogrzeje się i nas ugryzie. Zniszczy Towarzystwo od środka. Oto co mam do powiedzenia na ten temat.

– Ma rację! – krzyknął Junosza-Gawroński.

– Pan żeś się szaleju najadł! – Kalinowski, młody asystent na oddziale chorób kobiecych Szpitala Dzieciątka Jezus, pogroził mu pięścią. – Takie słowa o damie!

– Takie słowa do starszego wiekiem i rangą! – krzyknął do Kalinowskiego profesor Małcużyński.

– Kto obraża damę, ma niską rangę! – odparował młody asystent.

– Jeśli dziś będziemy bać się umysłu kobiety, jutro zaczniemy się mordować z zazdrości o badania! – krzyknął nieco patetycznie doktor Dobrski, ambitny laryngolog.

Profesor Hoyer ponownie zaczął uderzać pięścią w stół. W historii Towarzystwa nie było tak burzliwego zebrania.

– Dość tego! – donośny głos przerwał dyskusję. – Chciałbym zabrać głos, ponieważ sądzę, że mam do powiedzenia coś istotnego na temat zarówno kobiet lekarek, jak i badań nad mózgowiem...

– Profesorze Korzyński, niech pan nie wstaje – poprosił Henryk Hoyer.

Bogumił podziękował. Z biegiem lat coraz trudniej mu było długo stać. Złamana w kilku miejscach noga wprawdzie się zrosła, ale od czasu potrącenia przez dorożkę szalonego pismaka Bogumił kulał. Dawniej podudzie dokuczało mu jedynie wtedy, kiedy zbliżał się deszcz. Obecnie uskarżał się na ból przy każdym niefortunnym stąpieniu albo zbyt dużym obciążeniu stopy. Przekląty Franciszek Podeszwa. Na szczęście od razu dosięgła go ręka sprawiedliwości. Spadł wraz z dorożką w odmęty Wisły.

– Usiądę – zgodził się Bogumił i z ulgą spoczął na fotelu. – Jak panowie wiecie, w tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim roku opisaliśmy wraz z kolegami Teraz-Zawiszą oraz Koniecpolskim przypadek kobiety, która po podrażnieniu fragmentu kory ruchowej wykonała serię specyficznych ruchów przypominających marsz mięśniowy; następnie przeszły one w atak drgawek. Kolega Zawisza przedstawił tę pracę w Bostonie i spotkała się ona z zainteresowaniem szerokiego grona lekarzy. Kilka lat później John Hughlings Jackson dostrzegł u swojej żony podobną sekwencję ruchów, drgawek palców, od kciuka, przez palce wskazujący, środkowy i serdeczny, aż do małego, przechodzących na przedramię i ramię, wreszcie obejmujące całą połowę ciała. Nazwał owe ruchy „marszem”. Badania profesorów Hitziga i Fritscha oraz panny Tomaszewicz pozwalają te objawy zrozumieć i umiejscowić w mózgowiu. Niewątpliwie są przełomowe. Jak panowie widzą, nie mają w sobie nic z taniej sensacji. Są bardzo dobrze udokumentowane i opisane, opatrzone zostały licznymi odniesieniami do innych publikacji, także naszej. Rysunki, które wykonano, są dodatkowym dowodem na to, że naukowcy, wśród których jest kobieta, Polka, nie bawili się w męczenie psa, ale prowadzili badania naukowe. Jakie macie panowie wątpliwości? Gdyby praca została podpisana jedynie przez dwa męskie nazwiska, wzbudzałaby panów wątpliwości? Sądzę, że nie.

Kiedy Bogumił Korzyński wymówił słowo „Polka”, niektórzy z obecnych, między innymi Junosza-Gawroński, spuścili głowy. Po klęsce powstania wielce ryzykowne było nazywanie kogokolwiek „Polakiem”.

– Kolego Korzyński – rozległ się głos Damiana Grzywaczewskiego – nie ujmując panu zasług, czy nie sądzi pan, że pana opinia jest nieco stronnicza?

Bogumił uniósł rękę, aby uciszyć szmery oburzenia. Umiał bronić się sam, nie potrzebował pomocy sprzymierzeńców.

– Dlatego że sam podpisałem się pod pionierską pracę czy też dlatego, że moja córka studiuje medycynę?

W sali zapadła cisza. Bogumił wyprostował się na fotelu i odchylił dumnie głowę do tyłu.

– Tak, dobrze panowie słyszeli. Nie wszyscy tu zgromadzeni wiedzą, że moja córka Grażyna kończy Wydział Medyczny uniwersytetu w Zurychu, a ja

jestem pełen podziwu dla jej umysłu i wybitnych zdolności.

– Dlatego sądzę, że jest pan stronniczy. Anna Tomaszewiczówna jest znajomą pańskiej córki, a teraz mieszka u pana w domu – nie ustępował Grzywaczewski.

Ponownie rozległy się pomruki i Bogumił znów uniósł rękę, aby je uciszyć.

– Nie u mnie w domu, tylko w mieszkaniu, które należy do mojej rodziny. Panna Tomaszewiczówna je wynajmuje. Sama pochodzi z Mławy i może tam wrócić, ale po tym, jak uzyska prawo praktyki lekarskiej. W Warszawie nie ma gdzie mieszkać. Nie pojmuję, skąd pan czerpie taką wiedzę. To nie tajemnica, muszę jednak stwierdzić, że mnie to zastanawia.

Grzywaczewski miał gniewną minę.

– Tak się składa, że przechodziłem niedawno pańską ulicą i owa panna wychodziła właśnie z domu...

Bogumił pokręcił z niedowierzaniem głową.

– O czym pan mówi? – spytał.

– Czy to wypada, aby panienka mieszkała sama? – przerwał im profesor Trosczyński, specjalista chorób ucha.

– Drogi kolego – niecierpliwił się Bogumił – nie mnie osądzać, co wypada młodej kobiecie po studiach. Czy o tym mówimy, powtarzam? Może powinien pan raczej skupić się na jej pracy pod tytułem: Przyczynek do fizjologii błędnika słuchowego? Bo do uwag kolegi Grzywaczewskiego nie zamierzam się odnosić.

Grzywaczewski wydał serię pomruków, które Bogumił postanowił zignorować. Korzyński wpatrywał się w Trosczyńskiego.

– Czytałem tę pracę – odpowiedział ten. – Jest pierwszorzędna.

– Właśnie – wtrącił Henryk Hoyer. – To znakomita praca. Warto także przeczytać dwie pozostałe, traktujące o mechanizmach obronnych organizmu ludzkiego. Panna Tomaszewiczówna jest nadzwyczajnym badaczem i nie ogranicza się do poznania jednej tylko tkanki. Mózg wydaje się jej ulubionym organem, co uważam za zaletę, a nie wadę, ale równie dobrze orientuje się we krwi, w węzłach chłonnych oraz w przewodzie pokarmowym.

– Mózg jest jej najmocniejszą stroną – dodał Bogumił, patrząc znacząco na Junoszę-Gawrońskiego i Grzywaczewskiego.

– A co się stanie, kiedy panna Tomaszewicz zapragnie urodzić dziecko? – spytał profesor Umiszewicz, specjalista chorób kobiecych.

– Zapewne je urodzi – odpowiedział mu nieco zniecierpliwiony Henryk Hoyer. – To nie jest przedmiotem naszej dyskusji.

– Jeśli znajdzie męża – dodał Junosza-Gawroński i kilku profesorów wybuchnęło śmiechem.

Bogumił Korzyński skrzywił się.

– Podobne uwagi nam nie przystoją – powiedział profesor Hoyer.

– Dlaczego? – spytał Umiszewicz. – Może naszym zadaniem jest uratować tę biedaczkę przed nią samą?

– Tak piękna kobieta na pewno znajdzie męża – stwierdził Konrad Dobrski.

– A mąż powinien docenić jej intelekt i urodę. Jeśli jest tak mądra, jak urodziwa, powinniśmy przyjąć jej kandydaturę.

Bogumił spojrzał surowo na młodego kolegę i już chciał wyrzucić z siebie jakąś ciętą ripostę, ale powstrzymał się, kiedy zobaczył, że Dobrski jest czerwony jak burak. Sam był zdania, że Anna Tomaszewicz jest niezwykle urodziwa, chociaż za najpiękniejszą kobietę na świecie uważał swoją żonę.

– Nie chciałbym, aby sprawa sprowadzała się do płci panny Tomaszewicz – zaznaczył Henryk Hoyer. – Czy ktoś z panów ma jakieś zastrzeżenia natury intelektualnej do owych prac?

– Pracom nic nie można zarzucić – ponownie zabrał głos Nowakowski. – Wszyscy, jak tu siedzimy, mamy tego świadomość. Sądzę, że idzie tu o płć. Czy kobieta ma prawo wykonywać ten zawód? Oto nad czym dywagujemy.

– Zatem popatrzmy na pannę Tomaszewicz tak, jakby była mężczyzną – dodał milczący do tej pory Karol Radzikiewicz, specjalista chorób płuc, kolega Bogumiła.

Po sali znów przeszedł szmer.

– Przypominam, że panna Tomaszewicz nie prosi nas o wypłacanie jej pensji ani nie chce nas uczyć. Ona pragnie tylko, abyśmy przyznali, że studia,

które skończyła z wynikami, jakie nam tu zaprezentowała, upoważniają ją do praktyki lekarskiej – dodał Hoyer.

– A co panna Tomaszewicz zrobi, jeśli dopadnie ją globus bądź inna kobieca przypadłość? – zapytał nagle Roman Dębicki, chirurg, który wciąż przekonywał, że znieczulenie pacjenta przy operacji jest w istocie niepotrzebne.

– A co robiła w Zurychu, kiedy dopadała ją jakaś przypadłość? – nie wytrzymał Bogumił. – Nie wiemy i ta wiedza nie jest nam do niczego potrzebna. Najwyraźniej skutecznie zwalczała kobiece słabości, bo mamy tu prace naukowe.

– Czy o córkę też tak będzie pan walczył? – spytał Konrad Popielski, także do tej pory milczący.

Bogumił udał, że nie obrażają go te słowa.

– Jeśli moja córka wróci do Warszawy i przedstawi podobnie imponujący dorobek naukowy, to owszem, będę.

– Ja bym nie pozwolił córce jechać w świat i udawać intelektualistki – dobiegł go głos z tyłu. Bogumił nie umiał rozpoznać, do kogo należał. – Skórę bym złożył i zamknął dziewczynę w ciemnej komórce.

– Panowie! – Wydawało się, że Henryk Hoyer jest u kresu wytrzymałości. – Nie spodziewałem się po was takich reakcji! Osobiste przytyki, niegodne naukowców uwagi, wreszcie pełne jadu komentarze! Kim jesteście? Członkami Towarzystwa Lekarskiego czy bandą zazdrośników, którzy boją się, że kobieta ma bardziej otwarty umysł i zabierze im pacjentów?!

Bogumił westchnął. Kiedy urodziła mu się trzecia córka, doszedł do wniosku, że nie dane mu jest przedłużyć tradycję lekarską w rodzinie. A gdy odkrył, że Augusta, siostra jego żony, sfałszowała dyplom pierwszego męża swojej matki i w męskim przebraniu praktykuje w Szpitalu Dzieciątka Jezus, był tak samo oburzony jak większa część mężczyzn obecnych na zebraniu Towarzystwa Lekarskiego. Szybko jednak przekonał się, że Augusta, chociaż była kobietą, znacznie przewyższała go intelektem, przenikliwością i zdolnościami klinicznymi. Okazała się znakomitym diagnostykiem i wspaniałym lekarzem. Jej mąż, przyjaciel Bogumiła – Leopold Teraz-

Zawisza – rozumiał to znacznie lepiej i gotów był kontynuować maskaradę żony, byle tylko mogła praktykować.

– Wierzę, że pan by to zrobił. – Bogumił usłyszał głos starego Nowakowskiego. – Współczuję panu, drogi kolego. Ma pan syna, który jest utracjuszem i przegrywa w karty rodzinny majątek. Nie studiował żadnych nauk. Ale zapewne się pan cieszy, że nie ma ambitnej córki...

– Przyganiał kocioł garnkowi! – rzucił Junosza-Gawroński z pogardą.

Bogumiłowi zrobiło się przykro. Sam lata temu zdemaskował młodego Nowakowskiego jako donosiciela i człowieka nikczemnego. Stary Nowakowski pierwszy potępił zachowanie syna jako niegodne. Wiele lat temu młody Feliks Nowakowski wyjechał do Włoch i słuch o nim zaginął.

– Hańba! – krzyknął Dobrski. – Przeprós pan natychmiast!

– Wybaczam panu, boś jest pan głupi – powiedział spokojnie Zygmunt Nowakowski, uspokajając Dobrskiego gestem. – Gdybym miał córkę z tak wybitnymi zdolnościami, cieszyłbym się, że mogę przekazać jej praktykę.

– Będę żądał satysfakcji! – wrzasnął Junosza-Gawroński.

– Panowie! Panowie! – Stary Hoyer co chwila wycierał pot z czoła. Widać było, że ma już dość.

– Powtórzę: głupiś pan jak but. – Nowakowski machnął ręką. – Pewnie pan nie wie, że doskonale strzelam. Zabiłbym pana na miejscu. Jestem jednak za stary, aby iść do więzienia. Ale może pan strzelić do mnie i sam pojechać na Sybir – dodał. – Byłby to mój wkład w rozwój medycyny warszawskiej...

– Panowie! – Hoyer bezskutecznie starał się uciszyć zgromadzonych.

– Panowie! – krzyknął donośnie Bogumił. – Proponuję zamilknąć i pozwolić profesorowi Hoyerowi zamknąć zebranie!

– Tak... – westchnął Henryk Hoyer. – Dziękuję panom za dyskusję. Zamykam zebranie. Przypominam, że za nieco ponad miesiąc, ósmego stycznia roku przyszłego, zgromadzimy się tu ponownie, już nie po to, aby dyskutować, ale głosować nad kandydaturą pani doktor Anny Tomaszewicz. Każdy z panów rozstrzygnie to w swoim sumieniu. Głosowanie jest jawne. Prace przedstawione przez adeptkę można zabrać ze sobą i jeszcze raz się nad nimi pochylić. Wesołych świąt, drodzy koledzy.



Kochana Anno,

dziękuję Ci za list i wieści z domu. Wciąż nie mogę napisać do rodziny. Musiałabym kłamać, a kłamać nienawidzę. Przyjdzie dzień, już niedługo, kiedy wszystko wyjaśnię i niewykluczone, że stanę w progu i rzucę się matce w ramiona, a ojcu do stóp. Bardzo mi Ciebie tu brakuje. Byłaś dla mnie czymś w rodzaju kręgosłupa, na którym moja wiotka moralność mogła się wyprostować. No, ale nic, nie tracę nadziei, że uda mi się naprawić moje błędy samodzielnie. Trzeba wreszcie dojrzeć i zacząć przyjmować sprawy takimi, jakimi są. Nie jest to łatwe, ale się uparłam. Nazywam się Korzyńska, ale nie zamierzam się korzyć przed innymi. Nasza ostatnia rozmowa przed Twoim wyjazdem była bardzo pokrzepiająca. Ty pewnie sobie myślisz, że znów niczego nie zapamiętałam, ale zapewniam Cię, że tak nie jest. Wzięłam sobie Twoje słowa do serca i zaczęłam myśleć. Ostatecznie myślenie to czynność, którą zawsze chętnie wykonywałam i która niosła ze sobą dobre rzeczy. Problem ze mną jest nie w myśleniu, tak mi się wydaje, a w emocjach, które w myśleniu mi przeszkadzają. Ty wiesz, o czym mówię. Trochę czasu straciłam, parę innych spraw zaprzepąciłam, ale teraz powzięłam bardzo ważne postanowienie, żeby wszystko naprawić i wyprostować swoje życie. Nie zamierzam czekać do nowego roku, bo porządne postanowienia mają to do siebie, że się je przedsięwzięje już, tu i teraz. Zadowolona jesteś ze mnie? Na początek wzięłam czystą kartkę i podzieliłam na trzy części. Po lewej stronie spisałam rzeczy, które zrobiłam źle, po prawej nauki, które z tego można by wyciągnąć, pośrodku obiektywnie dobre rzeczy, na których mogę budować swoje dalsze życie. Po lewej: przerwałam specjalizację, zakochałam się w żonatym mężczyźnie, straciłam reputację, wyrzucono mnie z mieszkania. Po prawej: skończyłam studia, wciąż jestem młoda, otrzymałam bolesną lekcję od życia, przekonałam się, kto jest moim przyjacielem, kto wrogiem. Pośrodku: mogę wrócić do domu, mogę jechać do ciotki do Bostonu, mogę się jeszcze spokojnie zastanowić.

Myślę, że to bardzo dobre wnioski. Nie napiszę Ci, że przestałam o nim myśleć, ale zaczęłam na sprawę patrzeć zdroworozsądkowo. Złość mi przysłała dobry osąd, ale to dobrze, prawda? Do tej pory czułam jedynie żal. Ja naprawdę sądziłam, że on zdecyduje się opuścić dla mnie żonę i razem będziemy kontynuować badania. Jaki był biedny, samotny, niezrozumiany, jak bardzo pragnął kobiety, która byłaby dla niego partnerką w naukowych zmaganiach, która tak jak on desperacko walczyłaby, aby kobiety nie umierały w gorączce połogowej, wprowadzała idee Semmelweisa, Simpsona, Bóg wie kogo jeszcze. Czy Ty wiesz, że on wciąż wierzy w miazmaty i nie chce czytać Pasteura? Nie chce go poznać, bo to chemik, nie lekarz, a kto to widział, żeby chemik mógł pomóc lekarzowi. Co ja w nim widziałam, Anno, moja Anno. Dlaczego chciałam poświęcić dla tego mężczyzny karierę?

„No właśnie”, zamyśliła się Anna, „dlaczego chciałaś to zrobić?” Zastanowiła się chwilę nad własnym życiem uczuciowym. To prawda, była bardzo młoda, całe życie przed nią, ale wybierając medycynę, jednocześnie uznała, że nie założy rodziny. Wydawało się jej to oczywiste. „Droga dla kobiety może być tylko jedna”, tłumaczyła jej matka. „Naszą powinnością jest rodzić dzieci i wychowywać je na dobrych ludzi”, dodawała. „Lekarz to

jest dobry człowiek”, odpowiadała Anna przewrotnie, „a ja chcę być lekarzem, dobrym lekarzem i dobrym człowiekiem”. „Jesteś kobietą, Aniu”, nie ustępowała matka, a Annę to złościło. Matka uważała, że kobieta nie jest pełnoprawnym człowiekiem i nie może decydować o tym, czego pragnie. Chyba że pragnie mężczyzny. Anna mężczyzny nigdy nie pragnęła. Może nie spotkała nikogo, z kim chciałaby dzielić codzienność, może nigdy nie szukała. Zapytała kiedyś Grażyny, jak to jest, kiedy się kogoś pragnie. Ta najpierw wybuchnęła śmiechem, potem spoważniała, a w końcu zaczęła płakać. Anna wtedy wzniosła oczy ku niebu i pomyślała, że nigdy nie chciałaby doznawać takiej zmienności nastrojów, bo nie mogłaby jasno myśleć o tym, jak pracują serce czy mózg i jak prowadzić dalsze badania. Wróciła do listu.

No ale pewnie nie chcesz słuchać tych jójczeń, tylko poznać fakty. A najbardziej chcesz przeczytać, co następuje: nie wrócę do niego, zakończyłam tę żenującą, żalospną przygodę życiową. Poszłam do jego mieszkania, żeby się z nimi rozmówić. Z początku nie chcieli mnie wpuścić, ale wreszcie ta kobieta chyba uznała, że mogę zabić się na progu ich domu, czy coś podobnego, przestraszyła się skandalu (jakby sama nie wywołała większego) i wysłuchała mnie. Siedziałyśmy same, on był w swoim gabinecie, bał się wyjść. Rozumiesz? Bał się, że go ostatecznie zdemaskuję. Takie upokorzenie. No ale uznałam, że jestem to winna sobie. Powiedziałam, że byłam młoda i głupia (jestem młoda, ale nie głupia, dlatego to powiedziałam), a wszystko to, co się stało, bierze się z podziwu dla mądrości jej męża i oddania położnicom. Powiedziałam, że do niczego między nami nie doszło, że to były tylko listy zakochanej pensjonarki do jej profesora, że tam, gdzie mowa o pocałunkach, to wyłącznie moja wyobraźnia. Naczytałam się Goethego, Heinego i Byrona. Tomik wierszy tego pierwszego leżał na stoliczku obok papeterii i ususzonych kwiatków, o tym ostatnim na pewno nie słyszała, ale dla większego efektu wymieniłam także i jego. Powiedziałam, że poniosłam zasłużoną karę (zapłaciłam więcej, niż powinnam, a on w istocie nie poniósł żadnego uszczerbku, nie było to ani sprawiedliwe, ani słuszne): wyrzucono mnie z uniwersytetu, nie mogę dokończyć specjalizacji, praktykować w Zurychu, słowem – nic nie mogę poza rzuceniem się do rzeki. To o rzece zrobiło na niej wrażenie. „Drogie dziecko”, powiedziała, „jestem w stanie wybaczyć ci zburzenie naszego porządku i wywołanie skandalu (ona go wywołała na litość boską!), nie wiem jednak, czy Bóg ci przebaczy, bo targnęłaś się na święte więzy małżeńskie”. Przełknęłam tę głupią uwagę, bo przecież twierdziłam, że on nie miał z tym nic wspólnego, padłam na kolana (tak, zrobiłam to, Anno) i poprosiłam jak najpokorniej, żeby przestała mnie już karać, upubliczniać moje listy (jak ja mogłam pisać takie bzdury, durna, głupia ja), a najlepiej je spaliła. Dodałam, że proszę o jej wybaczenie, a Boga będę błagała swoją drogą (nie powiedziałam tak, byłam pełna szacunku i sprawiałam wrażenie tak głupiej jak ona).

Anna nie wytrzymała i rzuciła list w kąt. Cóż za pełna pychy dziewczyna! Przeprasza, ale tak, jakby obrażała. To dlatego nikt jej nie lubił w Zurychu,

dlatego z taką łatwością się od niej odwrócono, kiedy tylko powinęła się jej noga. Takie jak Grażyna mają wszystko: urodę, inteligencję, czar – i wszystko marnują. Mogą mieć świat u swoich stóp, a bezmyślnie go odrzucają. Mało jej przykrości? Już nie pamięta, jak nocowała w przytułku? Jak umierała z głodu i tylko przypadek sprawił, że Anna o niej usłyszała? Pożałowała, że nie powiedziała prawdy panu Bogumiłowi i pani Domiceli. Obiecała Grażynie, ale czy nie lepiej by było, gdyby wszystko wyznała? Pan Bogumił, chociaż ledwie chodził, od razu pojechałby do Zurychu i przywiózł krnąbrną córkę. Anna niemalże słyszała, jak pani Domicela mówi: „Popełniliśmy błąd, Boguniu, nasza córeczka nie była gotowa, aby mieszkać sama z dala od domu”. A pan Bogumił pocieszałby ją, że wszystko się ułoży, Grażyna zmańdrzeje i dokończy specjalizację w Warszawie – przecież Anna przetrze ten szlak, profesor Hoyer podszedł do niej z takim szacunkiem, na pewno będzie ją gorąco wspierał podczas prezentacji jej prac. Z pewnością przekona dwie trzecie, czyli dwudziestu z trzydziestu członków Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, aby głosowali za jej kandydaturą. Zostanie przyjęta. Pozwoli jej to otworzyć praktykę. Zacznie leczyć, dowiedzie, że kobieta może być doktorem. Wtedy i Grażyna będzie mogła wrócić. Przyjmą ją do Towarzystwa Lekarskiego – skoro Annę przyjęli, to i inne kobiety będą mogły zasiadać tam wraz z mężczyznami. Razem będą leczyły, pracowały ramię w ramię. Być może zaczną od leczenia kobiet, na początku żaden mężczyzna im nie zaufa, ale to nie jest takie ważne. Najważniejsze to zacząć. Musi to napisać Grażynie. Tylko jak ją przekonać, że wciąż błądzi? Jak ją sprowadzić na dobrą drogę? Jeszcze raz spojrzała na list.

Muszę Ci powiedzieć, że mi ulżyło, kiedy to mówiłam, bo trochę jednak czuję się winna zaistniałej sytuacji. Opowiadał mi, że żona go nie pociąga, a małżeństwo zaaranżowali rodzice. I ja mu uwierzyłam. Każda na moim miejscu uwierzyłaby w takie zapewnienia. Anno, jestem pewna, że Ty też. Jedyną różnicą między nami jest to, że ja spotkałam człowieka, który zawładnął moimi zmysłami, a Ty nie. Wierzę jednak, że takiego spotkasz. Z Twoją urodą, moja droga przyjaciółko, to kwestia czasu. Mam tylko nadzieję, że ów „on” nie będzie żonatym naukowcem. Obiecay, że mi napiszesz, kiedy się pojawi. Wtedy zrozumiesz, czemu ja postępowałam w ten sposób, tyle straciłam.

– Ja ci zaraz napiszę – powiedziała głośno i kilka razy postukała palcem w dość lichego papieru listowy. – Ty uparta, niedobra dziewczyno!

– Panienska mnie wołała? – W drzwiach stanęła Kasia, jedyna służąca, która zgodziła się u niej pracować za wikt i dach nad głową. Minę miała dość niepewną, a w oczach przestraszonych.

– Nie, Kasiu, mówiłam do siebie – odpowiedziała służącej. – Zupełnie nie o tobie.

– Panienska powiedziała „niedobra dziewczyno” i ja myślałam...

– Ależ nie, skąd. – Spojrzała na Kasię, która stała w drzwiach z nieszczęśliwą miną. – Ty akurat jesteś dobrą dziewczyną...

Mała służąca wciąż wydawała się przestraszona.

– Aha, bo ja myślałam, że panienska do mnie, że bym ja teraz kolację podawała. Znaczy się wcześniej. Jak panienska chce, to ja już zaraz...

– Nie, nie. Kolację później poproszę.

Kasia dygnęła, ale nie odchodziła. Anna spojrzała pytająco.

– Bo ja, proszę panienski, jutro na targ bym poszła i bym poprosiła pieniądze jakie – powiedziała dziewczyna, a potem skuliła się nieco, jakby się spodziewała wymówek. – Nie ma już kaszy, cukru resztki, trochę ziemniaków zostało.

– Racja, jutro targ.

Anna podeszła do kredensu i z najwyższej szuflady wyciągnęła kilka monet. Podała dziewczynie z niepewnym uśmiechem.

– Masz. Kup po trochu wszystkiego, czego brakuje.

Dziewczyna wzięła podane jej pieniądze, ale wciąż nie opuszczała pokoju.

– A mięsa to panienska sobie życzy? – spytała niepewnie. – Bo ja nie wiem, czego by sobie panienska życzyła, a chciałabym, żeby panienska była zadowolona...

Anna uniosła dumnie głowę, chociaż wstydziła się przed dziewczyną własnego ubóstwa.

– Mięso będziemy jadły raz albo dwa razy w tygodniu, póki... póki nie zacznę praktykować – skończyła.

Anna mogła się założyć, że Kasia nie zrozumiała słowa „praktyka”. Anna jej wprawdzie mówiła, że skończyła medycynę i stara się o możliwość

leczenia w Warszawie, ale dziewczyna patrzyła wtedy na nią w milczeniu i tylko kiwała gorliwie głową, zapewniając, że będzie się bardzo starała i Anna na pewno będzie „zadowolniona wielce”. W jej rodzinnym domu w Mławie były bona i jedna służąca, w Zurychu sprząaniem i gotowaniem zajmowała się gospodyni. W Warszawie Anna musiała mieć pomoc domową. Pani Domicela zaoferowała, że sama wyszuka kogoś odpowiedniego, ale Anna, przełknąwszy dumę, powiedziała, że póki nie otworzy praktyki, nie stać jej na wiele. Wyraźnie widziała, że pani Domicela już chciała zaproponować, żeby do Anny dochodził ktoś z ichniej rozlicznej służby, ale umilkła pod błagalnym wzrokiem dziewczyny. Bądź co bądź pani Domicela była myślącą i taktowną osobą, prawdziwą damą, i rozumiała, że istnieją granice tego, co ktoś może przyjąć „na razie” lub „do czasu, kiedy się usamodzielni”. Kiwnęła głowa na zgodę i zaczęła tłumaczyć Annie, jak ma zgodzić służącą za wikt i dach nad głową.

Kasia była pracowita, do tego cicha, bystra i pojętna. Nie gadała po próżnicy, przeciwnie, mówiła mało, lubiła za to śpiewać. Anna kiedyś przypadkiem usłyszała, jak dziewczyna intonuje śliczną piosenkę. Zasłuchała się, bo przypomniała jej się Jasia, stara bona, która usypiała ją i jej rodzeństwo w domu rodzinnym. Nie chciała jednak zawstydzić Kasi, więc nie dała po sobie poznać, że słyszała cokolwiek. Ale zawsze, kiedy wracała do domu, wchodziła cichutko po schodach i stała chwilę pod drzwiami, mając nadzieję, że dziewczyna śpiewa w samotności. Nie pytała jej, u kogo służyła wcześniej, ale musieli to być zamożni państwo, bo Kasia umiała ładnie podać do stołu, ugotować, co trzeba, sprzątnąć, niczego nie rozbijając, i nie dawała się oszukać na targu handlarzom, którzy próbowali służącym wcisnąć nieświeży towar. Raz w tygodniu miała wychodne i Bóg wie gdzie się udawała – pewnie spotkać się z innymi służącymi, żeby oplotkować chlebobawczynie. Na razie Anna była z niej bardzo zadowolona, a nawet ze strachem myślała, że kiedyś Kasia odejdzie. Gdy tylko będzie miała okazję, opuści ją, znajdzie sobie nowych pracodawców, których nie będzie musiała się wstydzić przed innymi dziewczynami, bo zdaje się, że uważała Annę za utrzymankę – takich cudów jak panienki po studiach mieszkające

samodzielnie nie widywano w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku.

– Tak jest, proszę panienki – powiedziała dziewczyna. – Panienka się nie martwi. Mięsa to ja nigdy nie jadałam często...

Anna uśmiechnęła się z wdzięcznością. Przypomniała sobie właśnie, że jest grudzień i zbliżają się święta, dlatego zapytała służącą:

– Kasiu, czy ty chciałabyś pojechać do rodziny na święta?

Ku jej zaskoczeniu dziewczyna zaczęła drzeć na całym ciele.

– Niech mnie pani nie wyrzuca! – poprosiła nagle, a w jej oczach zalśniły łzy.

– Ależ ja cię nie wyrzucam, tylko pytam, czy chciałabyś jechać do rodziny na święta... – powiedziała.

– Ja nie mogę tam wrócić, panienko, nie mogę. – Dziewczyna się rozplakała. – Niech mnie panienka nie wyrzuca.

Anna nie do końca rozumiała, o co biedactwu chodzi. Podeszła zatem do służącej i usiłowała spojrzeć jej w oczy, ale ta uciekała spojrzeniem.

– Oczywiście, jeśli nie chcesz jechać do domu, możesz zostać na święta tutaj – mówiła uspokajającym tonem jak do małego dziecka. – Nie wyrzucam cię. Skąd.

Chciała dodać, że jest wdzięczna, że Kasia pracuje bez wynagrodzenia, zapewnić, że zacznie jej płacić, jak tylko będzie miała taką możliwość, ale przypomniała sobie nauki pani Domiceli, żeby nigdy, przenigdy nie spoufalać się ze służbą, bo gdy okaże się jej trochę serca, ta zaraz wyniesie srebra rodowe. Mimo braku sreber rodowych Anna uznała, że faktycznie takie wyznanie jej jednak nie przystoi. Przyjdzie czas, kiedy po prostu zacznie dziewczynie płacić i wtedy powie, że to za dobrą służbę. Wcześniej się nie należało, teraz się należy. Ot co. Tyle że Kasia była człowiekiem, najwyraźniej miała jakieś troski i Anna czuła się w obowiązku spytać, skąd ten nieoczekiwany wybuch żalu i jak może temu zaradzić.

– Uspokój się, dziewczyno, i przestań płakać – powiedziała niezręcznie. – Nie wyrzucam cię. Dlaczego tak myślisz?

Dziewczyna złapała ją za rękę i przycisnęła do niej wargi, nie przestając szlochać.

– Skąd ten pomysł? – spytała ponownie Anna, była bowiem zwolenniczką logicznej rozmowy. Profesor Hitzig zawsze powtarzał: do wszystkiego i wszystkich podchodź logicznie, a uzyskasz dobre wyniki.

– Mnie nikt nie chciał zgodzić, nawet za jedzenie. Bo ja... – Przełknęła ślinę. – Mnie nikt nie chciał.

– No ale... – zaczęła, ale zaraz urwała, bo przecież nie mogła dodać: „To ja ci jestem wdzięczna, że pracujesz bez wynagrodzenia”, ewentualnie: „To ja się mogę obawiać, że któregoś dnia znajdziesz sobie bogatych państwa i odejdziesz”. Zamiast tego powiedziała: – Przecież ja cię chciałam. Służysz u mnie. Jestem zadowolona.

Kasia popatrzyła na nią z wdzięcznością.

– Panienska mnie wzięła i mam pokój przy paniencie. I jem do syta, nawet nie oberwałam, chociaż mi się należało... kilka razy... Dziękuję paniencie...

Anna głaskała teraz dziewczynę po głowie, dziwiąc się, jak klitkę, w której ledwie mieścił się siennik, można nazywać pokojem. Z tym jedzeniem do syta też przesadzała – owszem, nie głodowały, ale nic ponadto. A Anna nigdy, przenigdy nikogo by nie uderzyła.

– Już dobrze – mówiła.

– Ja nie chcę jechać – szlochała Kasia. – Ja nie mam dokąd.

„Biedactwo”, pomyślała Anna. „Pewnie sierota albo dużo gąb do wykarmienia w rodzinie. I jak ja mogę pytać, czy by do domu nie pojechała, skoro jej nie płacę? Za cóż ona sobie kupi bilet? Ależ jestem niemądra”.

– Już dobrze – przemawiała do dziewczyny łagodnie. – Nigdzie nie musisz jechać. Ja też nie pojadę. Mogłabym jechać do rodziny, do Mławy, ale... – Urwała nagle, podejmując decyzję, że jeszcze nie czas, aby pokazywać się rodzicom i siostrze oraz braciom w przeniecowanym palcie, byle jakim kapeluszu i sukni, w której lata temu wyjechała z domu.

– Też panienkę wyrzucili? – spytała dziewczyna przez łyzy, po czym zaczęła przeproszać za śmiałość i całować Annę po rękach.

– Nie, nie wyrzucili mnie, tylko... – Anna nie chciała powiedzieć, że właściwie nie ma pieniędzy na podróż ani nie zawiadomiła rodziny, że wróciła z Zurychu. Pojedzie do nich, ale z tarczą. Jako lekarka. Chce, żeby byli z niej dumni, a nie zobaczyli żebraczkę, którą się stała. Musi być cierpliwa, jeszcze nie czas na spotkanie z rodziną. – A ciebie czemu wyrzucili? – spytała zamiast się tłumaczyć. – Można temu jakoś zaradzić?

Dziewczyna uniosła zapłakaną twarz, a potem przycisnęła ręce do serca.

– Miałam nie zdradzać, nikomu nie zdradzać, ale myślałam, że panienka się dowiedziała i dlatego tak mówi, żebym sobie pojechała. Jak mnie panienka zmusi, by powiedzieć, to mnie sama wyrzuci...

Anna westchnęła. Najpierw list od Grażyny, który ją zdenerwował, teraz ta dziewczyna w hysterii, zabierały jej czas przeznaczony na analizowanie nowych publikacji z dziedziny położnictwa. Jak tu uspokoić to biedne stworzenie? Im bardziej drążyła, tym mocniej dziewczyna się denerwowała. Młoda lekarka ponownie przypomniała sobie zasadę Hitziga, by odwoływać się do logiki, co pozwoli jej przeanalizować zaistniały problem i znaleźć rozwiązanie. Jeśli Kasia odejdzie, Anna będzie musiała sama chodzić na targ i nikt jej nie poda nawet kawałka chleba.

– Na pewno nie, Kasiu – zapewniła stanowczo. – Powiedz mi, ja wiele rzeczy rozumiem i niejedno widziałam... Wyjście z sytuacji także potrafię znaleźć. Nawet beznadziejnej.

„Przynajmniej spróbuję”, dokończyła w myślach. Dziewczyna spojrzała z niedowierzaniem, ale wyraźnie męczyła ją przykra tajemnica, więc zamknęła oczy i zaczęła szybko wyrzucać z siebie potok słów:

– Bo ja pierwszy raz służyłam, jak dziesięć років miałam i poszłam do państwa, co u nas majątek mieli. Córce służyłam, panience w moim wieku. I panienka któregoś dnia biegła po ogrodzie, upadła, uderzyła się i... i... umarła niedługo potem. – Dziewczyna chlipnęła, a potem mocno zacisnęła powieki i skuliła się, jakby oczekiwała ciosu.

– Przecież to nie twoja wina... – powiedziała Anna ze współczuciem, natychmiast próbując odgadnąć, co było powodem śmierci dziewczyny: uderzenie w głowę, zanieczyszczona ziemią rana, może coś innego. Z trudem stłumiła chęć wypytania o każdy szczegół tamtego wypadku.

– Niby nie moja. – Kasia pociągnęła nosem. – Jak panieneczka upadła, to mnie akurat do kuchni odesłali, z boną była. Nie ze mną.

– No to o co idzie?

Służąca zaczerpnęła powietrza.

– Po śmierci panienki zaczęłam służyć u paninej siostry. I druga pani zaraz po miesiącu słabować zaczęła i też umarła...

Dziewczynie leciały po twarzy łyzy wielkości grochu.

– To też nie twoja wina. – Anna zdziwiła się pechem dziewczyny.

Kasia pokręciła przecząco głową i zaczęła bić się piąstką w pierś, aż dudniło.

– Mówili wtedy, że ja diabelski pomiot. – Zachłysnęła się łzami. – Ojciec zbił, kiedy wróciłam. Ale niechby bił, tylko nie wyrzucał. A potem kury lis wydusił... Tej samej nocy, co wróciłam. I kiedy pogrzeb pani był, to mnie nie pozwolili na niego iść.

– I tobie przykro, że nie mogłaś iść na pogrzeb? – dopytywała się Anna, pominawszy milczeniem głupiego ojca, który swoje dziecko tłucze za nic. – Bo słabowanie pani i śmierć to też nie twoja wina. Tak się złożyło.

– A juści, chciałam iść, ale baby ze wsi do matki i ojca przyszły, krzyczały, że jak wróciłam, to tej samej nocy...

– Wiem, lis kury podusił – westchnęła Anna, zastanawiając się, czemuż to tyle nieszczęść krąży koło tej nieszczęsnej dziewczyny i dlaczego ona i jej otoczenie wierzą w jej winę.

– I pioruny ponoć były, Antka Więcków jeden trafił, to też przeze mnie. Przegnali, bali się, że nieszczęście na całą wieś sprowadzę.

„Ciemnota”, pomyślała Anna. „Ech...”

– Szłam piechotą do Warszawy – dziewczyna kontynuowała swoją opowieść. – Spałam pod drzewami, w lesie, modląc się do Najświętszej Panienki, żebym z zimna umarła, żeby mnie wilk nie zjadł. Zawsze to lepiej z zimna niż tak... być zjedzoną przez wilka, prawda?

Anna nie miała zdania na ten temat, każda śmierć wydawała jej się straszna, ale pokiwała głową ze zrozumieniem.

– I poszłam do sierocińca. Powiedziałam, że mogę pracować za miskę zupy i kąt do spania. Nie dali, ale powiedzieli, gdzie iść, gdzie można pracę znaleźć. Tacy państwo mnie wzięli. Głodzili, pani mnie biła, ale miałam gdzie spać i resztki po nich dojadłam. Mnie tam dobrze było. Ale pan... Pan przewrócił się na schodach i... przegnali.

Służąca ponownie zanosła się płaczem. „Mój Boże, ile złego doświadczyła ta dziewczyna”, pomyślała Anna ze współczuciem. „Biedne dziecko”.

– Kasiu – powiedziała spokojnie. – To jest pech, a nie diabelska interwencja.

Widząc minę służącej, zrozumiała, że dziewczyna nie rozumie ani słowa „pech”, ani „interwencja”, więc spróbowała inaczej.

– Żaden diabeł tu nic nie zrobił. Ty też nie. Nie jesteś diabelskim pomiotem. Rozumiesz?

Dziewczyna nie wydawała się przekonana.

– A jeśli panience coś się stanie? – wyszeptała nagle.

– Jeśli mi się coś stanie, to nie dlatego, że tu jesteś – powiedziała Anna z mocą. – Jesteś tu już miesiąc, a nawet szklanki nie stłukłaś.

– Stłukłam – przyznała się dziewczyna. – Taki mały kieliszek, kryształowy. Chciałam wyczyścić wszystkie, żeby nie siedzieć beczynnym i tak mi się wymknął z rąk... Przepraszam panienkę. Niech mnie panienka zbije...

– Nie zamierzam cię głodzić ani bić. – Anna zdała sobie sprawę, że nie dogada się z dziewczyną, apelując do jej rozumu. Postanowiła zatem odwołać się do emocji. Wprawdzie sama dysponowała bardzo wąskim wachlarzem uczuć, ale postanowiła wydusić z siebie coś więcej niż pocieszenie. – Kasiu – zaczęła niezręcznie. – Jesteś mi potrzebna. Dobra z ciebie dziewczyna. Pracowita i pobożna.

Kasia z nadzieją uniosła załamane oczy.

– Ja mogę nie jeść, proszę panienki, tylko niech mnie panienka nie wyrzuca...

– Nie wyrzucam cię, dziewczyno, przestań płakać! – Anna ledwie powstrzymała się przed wybuchem. – Nie chcę już o tym słyszeć, bo cię nie wyrzucam!

Służąca natychmiast wytarła twarz o fartuszek.

– Tak, proszę panienki, tak. Dziękuję panience, ja nigdy nic nie ukradnę, nigdy...

– Kasiu – przerwała jej Anna. – Kiedy cię tu godziłam, wyjaśniłam ci, dlaczego nie mogę ci płacić.

– Ale ja nie chcę, proszę szanownej... – Dziewczyna sięgnęła po rękę Anny i ponownie zaczęła obsypywać ją pocałunkami.

– Kasiu, posłuchaj mnie! – Głos Anny wyrażał mieszaninę zrozumienia, współczucia i stanowczości. – Na razie jestem biedna i pewnie taki mój los, że nigdy naprawdę się nie wzbogacę. Obiecuję ci jednak, że gdy tylko zacznę praktykować i tym samym zarabiać pieniądze, będę ci płaciła.

Dziewczyna kilka razy pokiwała głową.

– Ja nie chcę, aby mi panienka płaciła, tylko niech mnie panienka nie wyrzuca – chlipnęła.

„Jeśli chcesz leczyć ludzi, musisz umieć rozmawiać z takimi pokroju pani Domiceli oraz z takimi jak Kasia”, nakazała sobie w myślach Anna i wzięła kilka głębszych oddechów, aby uspokoić myśli.

– Nie wyrzucę cię, nie będę głodziła ani nigdy cię nie uderzę – powtórzyła spokojnie po raz kolejny.

Kasia runęła na kolana, aż podłoga jęknęła.

– Ja się modliłam do serca Jezusowego, jak pani do mnie szła. Mówiłam sobie: „Ta panienka cię weźmie, głupia, będzie silna, nie umrze i będziesz jej, Kaśka, służyła ze wszystkich sił”. Tak sobie mówiłam i ja co dzień się za panienkę modłę.

Anna poczuła się pokonana.

– To żeśmy się porozumiały. A tymczasem zgłodniałam. Idź, proszę, i przyrządź dla nas jakiś posiłek z tego, co jest. A jutro zrób zakupy, żebyśmy mogły się poczuć lepiej na święta, dobrze?

Dziewczyna ponownie rzuciła się, aby całować rękę swojej chlebodawczyni.

– Nie trzeba, dziecko. – Anna nie chciała urazić służącej, ale nie była przyzwyczajona do podobnych wybuchów wdzięczności.

Kasia wstała, otrzepała fartuch i wytarła łzy krawędzią dłoni.

– Panienska jest święta... – wyszeptała.

Anna machnęła ręką. Uważała się za przyzwoitą osobę, ale nie świętą. W najmniejszym nawet stopniu.

– Czy to prawda, co o paniencie mówią? – spytała Kasia. – Że panienska jest... doktor...

Słowo „doktor” wymówiła jak „święty”.

– Przecież sama ci to mówiłam – łagodnie odparła Anna. – Skończyłam uniwersytet w Zu... za granicą i teraz przyjechałam do Warszawy, żeby praktykować. To znaczy leczyć ludzi. Muszą mi jednak na to pozwolić. I czekam – westchnęła.

– Moja babcia była znachorką – wyznała nagle dziewczyna. – Mówili, że szeptucha. Że ja mam po niej tego diabła, przepraszam panienkę, że ja tak, bo panienska mówiła, że diabła nie ma...

– Ile ty właściwie masz lat? – spytała nagle Anna.

– Piętnaście, panienko – powiedziała dziewczyna z dumą. – Babcia prawie wszystkiego mnie nauczyła. Znam się na roślinach leczniczych, wiem, które trują, umiem zbierać grzyby i niejedną wiewiórkę wyleczyłam. Umieć opatrzeć ranę, a krwi się nie boję nic a nic. Tylko potem tak się poplątało...

– A umiesz czytać? – spytała Anna.

– Trochę – odpowiedziała dziewczyna niepewnie. – Tylko dwie klasy skończyłam, a potem zaczęłam służyć. Ale umiem liczyć, sama się nauczyłam. I nikt mnie nie oszuka, bo pieniądze widziałam u państwa. A ten pan, co spadł ze schodów, to lichwiarzem był i ja kwity czytałam... Dużo rozumiem.

Anna popatrzyła na dziewczynę ze zdumieniem. „Toż to wciąż dziecko”, uświadomiła sobie, „a pracuje tyle lat”.

– Wiesz co, Kasiu? – powiedziała w końcu. – To ja dokończę twoją edukację i nauczę cię czytać, bardziej niż trochę.

– Ja się na wszystko zgadzam, proszę panienki.

Anna miała wrażenie, że przez Kasię nie przemawiała wdzięczność, raczej zgadzała się na wszelkie praktyki, byle tylko jej nie wyrzucano. „Pewnie nie wierzy, że cokolwiek dla niej zrobię”.

– A teraz przygotuj wreszcie jakąś kolację, dobrze? – Uśmiechnęła się do niej. – Bo zrobiło się późno...

Dziewczyna pokiwała gorliwie głową i czym prędzej pobiegła do kuchni, skąd wkrótce dobiegły Annę odgłosy rozpalania pod płytą. Młoda lekarka tymczasem sięgnęła po list, który wcześniej odłożyła, i dokończyła czytanie, już spokojna wobec szaleństw przyjaciółki. „Na Grażynę nikt nie ma żadnego wpływu. I tak robi, co będzie chciała, chociażby ją błagać czy zasypywać groźbami”, westchnęła w duchu. Trzeba się z tym pogodzić.

I kochana moja, wyobraź sobie, szczerza interwencja odniosła sukces. Ta okropna baba otworzyła szufladę, wyjęła plik moich listów do Konrada i wrzuciła je do ognia. Prawie ją pokochałam za ten gest. Dziękowałam jej naprawdę szczerze, ze łzami w oczach. Nie żeby się skończyły moje męki, ale przynajmniej nikt nie wywlecze już moich wyznań i nie będzie sobie ze mnie dworował. Poszłam do domu i po raz pierwszy od miesiący zasnęłam spokojnie. Tylko że rano obudziło mnie łomotanie do drzwi i wyobraź sobie – stał w nich Konrad Rayzer.

Annie zadrżała ręka. Jeśli Grażyna postanowiła kontynuować romans, niech jej Bóg pomoże. Zmusiła się, żeby czytać dalej.

Nie wiem, skąd miał mój adres, może mu kto na uczelni powiedział, że mieszkam u Ciebie, nie pytałam o to, bo on mi nie dał dojść do słowa, tylko od progu zaczął krzyczeć, że go kompromituję, rujnuję i tak dalej. Kazałam mu się wynosić, ale nie chciał sobie pójść, twierdził, że w mojej wczorajszej przemowie wyczuł diabła. On mnie zna i wie, że coś knuję.

– Wszędzie diabły – mruknęła Anna i obejrzała się, czy czasem Kasia jej nie usłyszała.

Porozmawialiśmy sobie. Ja mu wykrzyczałam, że moje badania opublikował jako swoje. On, że to jego dokonania, a ja się od niego uczyłam. Wyobrażasz sobie? Ja się uczyłam! I tak żeśmy sobie porozmawiali, że rzuciłam się na niego z pazurami, wypchnęłam go za drzwi i wyrzeszczałam jeszcze, że jest głupi i do niczego sam nie dojdzie. Bo wiesz, on to stanowisko zawdzięcza ojcu, który był wybitnym naukowcem, a Konrad, no cóż, umie korzystać z pracy innych, ale sam niczego nie wymyślił. Gdzie ja miałam oczy, gdzie ja miałam oczy...

Wyobrażam sobie, moja droga, jak już trzeci raz rzucasz mój list. Mam nadzieję, że go nie podarłaś. Powiem Ci tylko, że naprawdę wyszłam z tego starcia zwycięsko. Wojnę przegrałam, ale ostatnią bitwę o honor wygrałam. Ona spaliła listy, jemu wszystko wygarnęłam, a on mi rzucił plik papierów, wśród których znalazłam wszystkie swoje notatki, wszystkie badania, które chciałam powtórzyć za Pasteurem, żeby ratować nasze położnice. Rzucił mi je i nazwał stekiem bzdur. A ja myślałam, że my ramię w ramię będziemy pracować.

Muszę odzyskać jeszcze trochę sił i wtedy pojedę do ciotki albo wrócę do domu. Rodzice na pewno wyślą mi pieniądze na bilet. Waham się. Raz przeważa Boston, raz Warszawa. Ciotka, chociaż sędziwa, pracuje w Szpitalu Nowoangielskim dla Kobiet i Dzieci w Bostonie. Wyobraź sobie, że założyła go Marie Elizabeth Zakrzewski, Polka z pochodzenia. Ją z kolei Berlin odrzucił. Skończyła szkołę położnych tamże i chciała zatrudnić się w szpitalu uniwersyteckim, ale mężczyźni – czemu mnie to nie dziwi? – mężczyźni podnieśli protest. Pojechała więc do Ameryki, do Cleveland, tam skończyła studia, bo już kobiety mogły studiować, i wkrótce znalazła się w Bostonie. Nie wiem dokładnie, dlaczego w tym mieście założyła szpital. Mogłabym tam pracować i mieszkać u ciotki. Kuzyn mój, Stanisław Zawisza, którego w życiu nie widziałam, podobno jest bardzo mądry, zajmuje się chorobami serca. Moja ciotka zaś to legenda rodzinna, kiedyś Ci opowiem. Tylko znów jechać na poniewierkę? Ciągnie mnie do domu. Ty też przecież mogłaś jechać za ocean, a wróciłaś do Warszawy.

– Ja bym chciała panience podać kolację – usłyszała Anna za sobą głos Kasi. – Bo panienka musi jeść...

Charles Darwin

1809–1882

Charles stał przed swoim ojcem ze spuszczoną głową. Czuł, że za chwilę się rozpłacze, ale wiedział, że absolutnie nie wolno mu tego zrobić. Jest mężczyzną, a mężczyźni z rodu Darwinów nie płaczą.

– Ojczy, wiem, że taka jest twoja wola. Nie jest to jednak moja droga. Nie każ mi nią podążać – powiedział odważnie.

– Zostaniesz pastorem – uciął dyskusję ojciec. – Będziesz służył Bogu i ludziom.

– Bogu i ludziom można służyć także na inne sposoby. – Nie miał odwagi spojrzeć ojcu w oczy, dlatego odwrócił wzrok.

Ojciec zmarszczył brwi. Nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś mu się sprzeciwia.

– Miałem wątpliwości, kiedy wyrażałem zgodę na podjęcie przez ciebie tych studiów. Przerwałeś naukę medycyny, aby poświęcić się swojej pasji. Już wtedy powinienem był ci zabronić. Biologia, też coś.

– Jako biolog mogę być bardziej pożyteczny – powiedział Charles pełnym szacunku głosem.

– Tak, bardziej pożyteczny – ironizował ojciec. – Rośliny i zwierzęta dał nam dobry Bóg, abyśmy zapanowali nad nimi. Tak jest napisane w Piśmie Świętym. Nie jesteś potrzebny, żeby móc hodować zboże czy doić krowy. Ludzie robią to od wieków.

– Myślałem o badaniu roślin pod kątem...

Ojciec nie dał mu dokończyć.

– Żebyś chociaż wyniósł wiedzę o roślinach leczniczych. – Machnął ręką.

– Matka ma większe pojęcie na ten temat niż ty. Wstyd, doprawdy.

Charles uklonił się i nie czekając na znak ojca, że rozmowa została zakończona, wyszedł z biblioteki, po czym skrył się w swoim gabinecie i z szuflady biurka wyjął list od profesora Henslowa, swojego mentora w Cambridge. Znał ten list na pamięć, ale mimo to zaczął czytać go po raz kolejny.

Drogi Charlesie,

ufam, że znajduję Cię w dobrym zdrowiu. Zapewne zdziwi Cię moja wiadomość i jej odważna treść, ale zawsze byłeś młodzieńcem nieulekłym i gotowym na wszelkie wyrzeczenia, aby tylko wzbogacić swoją wiedzę. Pamiętam, jak bardzo interesowały Cię nauki przyrodnicze, jak wielką pracę włożyłeś w badania nad pochodzeniem gatunków mchów i porostów i że wysnułeś śmiałą tezę: że aby zrozumieć, skąd wziął się człowiek, należy badać inne gatunki naczelnych. Pewnie porzuciłeś już te ambicje, daleko przewyższające możliwości poznania ludzkiego umysłu. Doszły mnie słuchy, że masz zostać pastorem i prowadzić owce do wrót Pana. Może jednak nie wszystko przesądzone i zanim rozpoczniesz posługę, zechcesz odbyć niezwykłą podróż.

Charles przerwał czytanie i zamyślił się głęboko. Przywołał w pamięci swojego ulubionego nauczyciela. Profesor Henslow wyglądał niczym dobrotliwy staruszek, którego interesują tylko książki i dyskusje o kapryśnej angielskiej pogodzie. Biada jednak temu, kogo zwiódł ten wizerunek. W starciu na wiedzę przyrodniczą, matematyczną czy medyczną staruszek wygrywał bowiem z każdym ze studentów, którym się wydawało, że młodość usprawiedliwia stawianie rewolucyjnych tez i poszukiwanie niezwykłych rozwiązań. Henslow wyśmiewał wszelkie bezpodstawne założenia albo studenta, który nie potrafił udowodnić swojego zdania, ani na chwilę nie zmieniając przy tym pocziwego wyrazu twarzy. Charles był jego ulubionym uczniem, ale i jemu zdarzało się zostać odesłanym do biblioteki, aby wziął ze wskazanej półki książkę trzecią od lewej, a na trzysetnej stronie znajdzie odpowiedź na swoje pytanie. O tak, mało kogo podziwiał tak bardzo jak starego mądralę. Teraz profesor pisze do niego i proponuje niezwykły rejs. Jakże miałby mu odmówić? Tyle że ojciec nie zgadza się, aby Charles dalej studiował biologię. Cóż powie na podobną propozycję?



– „Mój drogi Charlie, pamiętasz, że tak Cię nazywałem? Dołącz do załogi okrętu «Beagle» jako badacz. Ekspedycja wybiera się do Ameryki Południowej, gdzie w ciągu dwóch lat ma uzupełnić mapy tegoż kontynentu. Kapitan Fitzroy to wykształcony człowiek i pragnie mieć uczonego w kabinie i przy stole. Sądzę, mój drogi, że jesteś idealnym kandydatem. Pozostaję w szacunku dla Ciebie i Twojej rodziny, twój stary Henslow” – przeczytał na głos swojemu ojcu. – Ojczy, pozwól mi pojechać – poprosił, kiedy skończył czytać.

Ojciec zdjął okulary z nosa i przetarł je wielką kraciastą chustą. Potem otarł nią czoło. Był pod wrażeniem, że uczonego z takim szacunkiem zwraca się do jego syna.

– Charlesie... zawsze byłeś słabowitego zdrowia. Nie zdajesz sobie sprawy, czym są dwa lata na morzu – zaczął łagodnym tonem.

– Ojczy, opłynę cały świat – wyszeptał Charles, mając nadzieję, że opór Roberta Darwina skruszeje.

– A jeśli nie zdołasz nigdzie dopłynąć? Jeśli zginiesz powalony zarazą albo napadną was piraci?

Charles uśmiechnął się nerwowo.

– Wtedy powiem, że żyłem najpełniej, jak umiałem.

Robert Darwin skrzywił się z dezaprobatą.

– Matka zamartwia się na śmierć. Ja, jako lekarz, już nie ojciec, stanowczo odradzam ci podobne podróże. Twoje palpitacje...

Charles powściągnął gniew.

– Ojczy, nie mam żadnych palpitacji. Takowe miewają wyłącznie kobiety. Jestem mężczyzną i chciałbym to udowodnić.

– Jesteś słabego zdrowia – próbował jeszcze odwieść syna od tego pomysłu.

– Równie dobrze mogę zaraz umrzeć na lądzie, przygnieciony kołami dorożki albo od zarazy, kiedy będę grzebał trędowatych. Z moim sercem jest wszystko w porządku.

Ojciec spojrział na niego poważnie.

– Modliłem się całą noc i rano Bóg mnie oświecił. Nie powinienem stawać na twojej drodze. Jeśli popełnisz błąd – to twój błąd i masz do niego prawo.

Charles spuścił głowę. Serce biło mu bardzo szybko i przestraszył się, że to znów owe palpitacje, które go męczyły w dzieciństwie.

– Jedź, synu, i przynieś chwałę Jej Królewskiej Mości – powiedział w końcu Robert Darwin.

– Dziękuję, ojciec – wyszeptał z ulgą Charles. – Nie zawiodę ani ciebie, ani Anglii.

W swoim pokoju natychmiast zabrał się do pisania listu do Henslowa. Zaczynał kilka razy, ponieważ łyzy radości rozpuszczały atrament i papier pokrywał się brzydkimi plamami.

– Jadę w podróż dookoła świata, dobry Boże – wyszeptał podczas wieczornej modlitwy. – Obym nie przyniósł ci wstydu.



Styczeń 1832

W pobliżu Wysp Kanaryjskich

Naszym pierwszym postojem ma być Teneryfa, rajska wyspa. Kapitan Fitzroy jest niezwykle światłym człowiekiem, a przy tym wspaniałym przywódcą statku. Jego biblioteka jest imponująca. Można w niej znaleźć Lamarcka, Arrowsmitha, Cooka, Byrona i Cuviera. Natychmiast chciał dyskutować ze mną na ich temat. Tak, to natura sama eliminuje słabsze osobniki. Kiedy wchodziłem na statek,omalże nie przygniótł mnie ciężki ładunek. Włos mi jednak z głowy nie spadł. Uznałem to za dobrą wróżbę. Wprawdzie widok skromnej kabiny sprawił, że niemal zawróciłem z drogi, ale szybko się przyzwyczailem do braku wygod.

– Hej, Charles, co tam piszesz? – spytał go towarzysz z kajuty, Conrad Martens, który na statku zatrudniony był jako malarz.

– Dziennik – odparł.

– Czemu dopiero teraz? – Conrad się zaśmiał, chociaż doskonale znał odpowiedź.

– Przecież wiesz, że dotychczas głównie wymiotowałem – odpowiedział ze śmiechem Charles.

- Serio, przyjacielu. Myślałem, że nigdy się nie przyzwyczaisz.
- A ja myślałem, że już nie namalujesz prostego portretu – odgryzł się Darwin.



- Budź się, Darwin! Dopływamy do Wysp Zielonego Przylądka!
- Będziemy mogli zejść na ląd? – spytał zaspany. Wolał nie robić sobie nadziei po tym, jak w porcie na Teneryfie odmówiono im przyjęcia, gdyż obawiano się cholery.
- Tak! Będziesz mógł wreszcie rozprostować nogi! – krzyknął Conrad, chwytając za szkicownik. – Rusz się, bracie!

29 lutego 1832

Brazylia, Bahia

Kiedy wyszedłem na brzeg, przekonałem się, jak bardzo ostatnie tygodnie umęczyły moje nogi. Nie byłem w stanie normalnie się poruszać – tak bardzo przyzwyczałem się do kołyszącego chodu, który pozwalał zachować równowagę na statku.

Po raz pierwszy znalazłem się w brazylijskim lesie. Zachwył to nie jest właściwe słowo, aby wyrazić moje odczucia. Przede wszystkim nigdy nie widziałem podobnie bujnej roślinności, podobnie kolorowych ptaków i różnorodnych owadów. Nasze motyle to ledwie cienie tutejszych, a mrówki są trzykrotnie większe od naszych. Ponadto wydaje mi się, że są jadowite. Na wszelki wypadek nie dotykam ich, chociaż mam na to wielką ochotę. Większość słoików wypełniłem próbkami gleby i owadami. Kapitan uspokaja mnie, że gdy dopłyniemy do Rio, uzupełnimy zapasy słoików. Tymczasem jemy kurczaki, prosięta i ptactwo. Gdybym mógł tylko patrzeć na rośliny i zwierzęta i słuchać wielebnego Meadowsa, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Niestety widziałem tu coś, co sprawiło, że pękło mi serce. Po raz pierwszy zetknąłem się z niewolnikami i ten widok głęboko wdarł się w mój biedny umysł. To hańba naszych czasów. Ci ludzie są traktowani gorzej niż zwierzęta i nie mają żadnych praw. Za byle co są karani chłostą, nierzadko są bici na śmierć, głodzeni i upodlani. Nasi angielscy gubernatorzy wydają się zadowoleni z tego stanu rzeczy. Twierdzą, że Murzyn nie czuje i nie myśli tak jak my, biali. Nie pojmuję, jak można twierdzić, że wszyscy ludzie nie są sobie równi, a jednocześnie chodzić do kościoła i śpiewać na chwałę Najwyższemu. To odrażające. To złe. To niedorzeczne. To sprzeczne z nauką. Nie mogę się z tym pogodzić.

Kwiecień–lipiec 1832

Rio de Janeiro

Tych kilka miesięcy na lądzie poważnie posunęło do przodu moje badania. Obserwuję klimat w różnych zakątkach Ameryki. Często padają tu ulewne deszcze, a następnie wieją suche wiatry. Co do przyrody, najciekawsze i najbardziej obfite w gatunki są owady. Jest ich niezliczona ilość. Mógłbym poświęcić dwa lata życia na obserwowanie gatunków mieszkających na jednej wąskiej ścieżce.

W moich badaniach pomaga mi Fuegia, Indianka wykształcona w Anglii, wcześniej przywieziona do naszego kraju jako niewolnica, i chłopiec, Jemmy Button. Płyną z nami od samego początku. Wpierw nie zdradzono mi, co robią wykształceni i ubrani po europejsku Indianie na statku „Beagle”. Wreszcie mój towarzysz z kajuty opowiedział o krwawo stłumionym przez kapitana buncie i o wzięciu niewolników. Fuegia i Jemmy zostali pojmani i wychowani w Anglii. Płyną do swojego kraju, gdzie będą krzewili wiarę chrześcijańską.

26 lipca 1832

Montevideo – Bahia Blanca – Buenos Aires

Zszedłem na ląd i odtąd przez kilka miesięcy będę podróżował po stabilnej ziemi. I choć pokochałem statek „Beagle”, jestem szczęśliwy, wiedząc, że będę jadał rośliny i ptactwo zamiast ryb i suszonych pasków mięsa. Po tym jak wysłałem do Cambridge brazylijskie okazy chrząszczy i muszli, napisał do mnie mój brat. Ponoć wszyscy na mojej Alma Mater są zdumieni i zaskoczeni bogactwem mojego odkrycia. A ja przecież dopiero zaczynam poznawać ziemię, której mapy mam kreślić. Napisałem do brata i ojca i wysłałem jeszcze więcej próbek. Ojciec mój już całkiem spokojny o mnie, dumny wielce i zadowolony, że na swoim postawił. Ucieszyły mnie jego słowa. Byłem głęboko poruszony jego mądrością. Postanowiłem zapamiętać sobie, że nikomu nie ujmuje przyznanie się do błędu. Teraz jeszcze bardziej kocham i szanuję ojca.

Na dnie zeschniętego jeziora znalazłem dziwne kości. Wyciągnąłem je z pomocą niezwykle życzliwych miejscowych i ułożyłem zgodnie ze znaną mi anatomią. Jakież było moje zdumienie, kiedy otrzymałem gada wielkości dziesięciu ludzi. Był podobny budową do dzisiejszych okazów, nie mam wątpliwości co do tego, że był to gad, ale wielkość zaskakuje. Skąd takie stworzenia wzięły się na Ziemi, kiedy żyły i czemu dziś nie występują? Śmieję się, ale odpowiedź przyniesie mi tylko studiowanie małych jaszczurek i mchów. Och, mech daje odpowiedzi na wiele pytań.



– Moim zdaniem Ziemia jest starsza, niż twierdzi Pismo Święte – powiedział cicho Darwin, kiedy siedzieli przy obiedzie w kapitańskiej kajucie.

Długo się nie widzieli, bo Charles przebywał kilka miesięcy na lądzie, a potem unikali swojego towarzystwa, po tym jak Charles wygłosił płomienną mowę w obronie niewolników, dając upust swoim poglądom. Fitzroy był przeciwnikiem abolicji i zwolennikiem teorii, że Indianie oraz Murzyni są ludźmi podrzędnego gatunku, których należy prowadzić za rękę

niczym dzieci, karać, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba, a wykorzystywać jedynie do pracy fizycznej, bo do umysłowej się nie nadają. Ich krzyki słychać było nawet w najdalszych kajutach. Kiedy jednak Charles ponownie wszedł na pokład „Beagle’a”, kapitan Fitzroy przywitał go serdecznie, a Charles wyraził radość z powodu powrotu na statek. Wkrótce znów prowadzili słynne pogawędki intelektualne, pomijali jednak w rozmowach temat niewolnictwa. Po tym jak Charles znalazł ogromny gadzi szkielet i zanegował biblijne dogmaty, wydawało się, że ich przyjaźń ponownie zawiśnie na włosku.

– Lektura Lyella również zrobiła na mnie wrażenie, ale tezy zawarte w *Pryncypiach geologii* uważam za obrazoburcze – odpowiedział Fitzroy.

Charles pokręcił przecząco głową.

– Ja tak nie uważam. Zbieram dowody na poparcie swojej tezy, ale już teraz mogę powiedzieć, że Lyell miał rację. Ziemia, czego dowodzą minerały na różnych kontynentach, jest starsza, niż mówi Pismo.

– Ty, Charlesie, powinieneś zostać tu, z Patagończykami. – Kapitan nieoczekiwanie się roześmiał. – Zebrałbyś próbki z wnętrza wulkanów, towarzyszył naszym nawróconym Indianom w misji.

– Przy misji niewiele bym pomógł, ale budowa tych ludzi jest fascynująca – zaczął Charles, ale urwał pod zdumionym spojrzeniem Fitzroya. – I oczywiście tutejsze zjawiska. Ognie Świętego Elma. Cóż za widok.

– To dzicy, Charles – upomniał go kapitan. – Widzę, że uwierzyłeś w banialuki Magellana o tym, że mieszkają tu ludzie giganci.

– Ależ skąd – zaprzeczył Darwin, oblewając się rumieńcem. – Są normalnego wzrostu, tyle że kości rąk i nóg mają dłuższe. I te wielkie stopy. Wiem, że to dzicy. Kiedy są głodni, bywa, że zjadają starych ludzi. Chodzą nadzy i porozumiewają się dziwnym językiem. Wielebny Matthews nie chciał tu zostać, a szkoda.

Kapitan milczał i kręcił z dezaprobatą głową, myśląc o duchownym, który po kilku dniach spędzonych z tubylcami rzucił się do morza, chcąc dopłynąć do „Beagle’a” i błagając, aby go nie zostawiać.

– Nie wiń go. – Fitzroy wzniosł kielich z winem. – To było zbyt dużo jak na niego. Życie wśród dzikich.

– Nie winię go – powiedział Charles. – Jakżebym mógł. Sam nie chciałem zostać pastorem.

– Pewnie zobaczył siebie za kilka lat jako nagiego dzikusa, który już nie umie słowa po angielsku, biega na czworakach i je surowe mięso – śmiał się Fitzroy.

Nagle ich dyskusję przerwało dość mocne uderzenie. Statkiem zatrzęsło. Po chwili do kajuty wbiegł młodszy oficer.

– Kapitanie! – krzyknął. – Zderzyliśmy się! Uszkodzenie wydaje się niegroźne, ale musimy natychmiast dopłynąć do brzegu.

Fitzroy szpetnie zaklął.

– Wystarczyło wymówić nazwisko Magellana, a tu już nieszczęście – burknął.



Styczeń 1834

Puerto del Hambre, Cieśnina Magellana

Skończyliśmy kreślenie południowego brzegu Cieśniny Magellana. Towarzysze chcieli uhonorować moje dwudzieste piąte urodziny i nadali moje imię górze, którą mijaliśmy. Wróciliśmy do misji i zastaliśmy tam zgliszcza. Ani śladu Fuelli, a mały Jemmy Button, ten trefniś i piękniś, w skórze i boso. Już nie chce nawracać swojego ludu, tylko z nim żyć, skóry zębami garbować i polować. Fitzroy triumfował i przypomniał mi naszą zażartą dyskusję. Ja twierdziłem, że gdyby komuś zapewnić wykształcenie jak Jemmy’emu, to będzie z niego dżentelmen niezależnie od tego, czy się urodził w samym Londynie, na jego przedmieściach czy też w wiosce Indian. Fitzroy uważał, że dzikus zawsze okaże się dzikusiem, kiedy tylko będzie miał ku temu sposobność. Nie powiem, chciał go siłą zabrać na statek i znów cywilizować, ale Jemmy pokazał nam ciężarną dzikuskę i powiedział, że zostaje.

Nasza wyprawa trwa już trzy lata. Trudno mi z dala od domu, ale dzieją się tu fascynujące rzeczy. Zaczynam rozumieć naturę. Zaczynam dostrzegać klucz, jakim się kieruje. Przetrywają jedynie gatunki najsilniejsze i najbardziej przystosowane do miejsca, w którym bytują. Zastanawiam się nad przyczyną wymarcia owych ogromnych gadów. W Punta Alta było ich całe cmentarzysko. Oprócz gadów znalazłem jeszcze kilka okazów ptaków, równie wielkich. Nie było ani jednego ssaka, tego jestem pewien. Obok znajdowały się współczesne im muszle. Mogłem zatem obliczyć, kiedy te gadziska i ptaszyska zginęły. Dopiero tutaj znalazłem ssaki, ale już nie takie ogromne, wręcz przeciwnie, maleństwa, niektóre wielkości kijanek. Wydaje się, że gady

i wielkie ptaki wymarły miliony lat temu i już nigdy na Ziemi nie pojawiły się podobne dziwa. Gady musiały się do czegoś przystosować. Do zmiany klimatu czy też małej ilości pożywienia i nie rosły już takie ogromne. Ssaki wreszcie miały sprzyjające warunki do przeżycia.

Moje pierwsze prace wzbudziły ogromne zainteresowanie szacownego gremium. Poparło mnie wiele osób, w tym Lyell, z którym po lekturze drugiego tomu o geologii spierałem się nieco, ale z korzyścią dla nas obu. Tylko obawiam się reakcji Kościoła, kiedy napiszę, że gatunki powstają drogą doboru naturalnego i zmieniają się w czasie przez tysiące lat, nie są więc takimi, jakimi je Pan Bóg stworzył, chyba że założyć, że jeden dzień kreacji zabrał mu tysiące lat, a jak już jedno stworzenie powołał do życia i zabrał się za kolejne, to poprzednie już samo sobie radziło na lądzie czy w morzu.

28 lutego 1835

Chile

Ląd, na którym teraz przebywamy, nie był dla mnie zbyt życzliwy. Najpierw ogromnie przeżyłem widok wiosek zniszczonych przez trzęsienie ziemi i wielkie fale podwodne, które miejscowi nazywają tsunami. Potem sam dostałem gorączki. Żegnałem się już z życiem, gorączka trawiła mnie straszliwie, kiedy poproszono miejscową szamankę o pomoc. Uznano zapewne, że już nic mi nie pomoże ani nie zaszkodzi. Ja tego oczywiście nie pamiętam, ponoć mamrotałem coś o Bogu, żeby mi wybaczył, oraz o mchach i gadach. Potem mi o wszystkim doniesiono. Szamanka odprawiła nade mną jakieś swoje czary, potem wlała mi do ust bardzo gorzki płyn, od którego mało nie umarłem. Wreszcie kazała włożyć mnie do wody. Myślę, że ta chłodna woda i sól w niej zawarta przegnały gorączkę. Kiedy się zbudziłem, rozejrzałem się dokoła i widząc niewątpliwą urodę tej ziemi, powiedziałem: „Dzięki Bogu, że mamy za sobą te szare i zlodowaciałe ziemie Ameryki Południowej”, czym wywołałem śmiech wszystkich zebranych.

Wrzesień 1835

Wyspy Galapagos

Mój Boże, jeśli coś mi się do tej pory roilo w głowie, to teraz nabiera realnych kształtów. Te wyspy pozwoliły mi zrozumieć i uporządkować wiedzę, którą do tej pory posiadałem. Wciąż zbieram wiadomości, porządkuję notatki, ale mogę sformułować pierwsze wnioski. Rośliny i zwierzęta nie są takie, jakimi stworzył je Pan Bóg. One już są inne i nieustannie się zmieniają pod wpływem środowiska, w którym przyszło im żyć.

– Panie Darwin! – Dosłyszał wołanie jednego z asystentów.

Wyszedł przed namiot i zasłonił oczy przed oślepiającym słońcem.

– Skończyliście eksperyment? – spytał.

– Tak! – wykrzyknął podniecony chłopak. – Niech pan sam zobaczy.

Spojrzał na wielkiego paskudnego jaszczura, jednego z charakterystycznych mieszkańców tych wysp – stworzenie bezskutecznie próbowało pozbyć się sznura, którym nie bez trudu go związane.

– Tak jak pan kazał, obciążyliśmy go, żeby nie wypływał. Znajdował się pod wodą dwie godziny!

– I się nie utopił! – wykrzyknął drugi z chłopaków, Feliks, najlepszy rysownik spośród towarzyszących mu botaników.

– I co to według was znaczy? – Uśmiechnął się.

– Gady nie oddychają pod wodą – zaczął Feliks. – Skoro ten oddycha, to znaczy, że musiał wykształcić jakąś odmianę skrzeli. Czyli stanowi pomost między rybami a gadami albo między płazami a gadami.

– Czyli? – zachęcał Charles z uśmiechem, sam czując ogromne podniecenie, że coraz bardziej formuje się jego teoria zmienności gatunków.

– Czyli musiał zmienić się w czasie tysięcy albo nawet milionów lat, przystosować do warunków. Być może kiedyś zmuszony był żyć w miejscu, gdzie była przewaga wody. Skoro do lądu był utrudniony dostęp, żeby przetrwać, wykształcił skrzela.

– Brawo – Darwin pochwalił cicho asystenta.

– Panie Darwin, kiedy pan opublikuje tę teorię? – spytał Feliks.

– Jeszcze nie jestem gotowy. – Pochylił głowę. – Muszę mieć więcej dowodów.

Czas upływa nam tu miło. Pracujemy i bawimy się. Ja najbardziej lubię przejażdżki na wielkich żółwiach, których jest tu pod dostatkiem. One też stanowią przyczynek do mojej teorii. Takich żółwi jak tutejsze nie ma w żadnym innym miejscu, podobnie żółwie z Madagaskaru można spotkać tylko tam. Podzieliłem się tą obserwacją z jednym z marynarzy, a ten długo się ze mnie śmiał. „Pan jesteś mimo wszystko mieszczuch”, powiedział mi, „dla mnie to oczywiste, że rośliny i zwierzęta, które występują na jakiejś wyspie, można znaleźć tylko tam. To na lądzie masz pan i takie, i takie zwierzęta, w zależności od tego, czy posuwasz się na południe czy na wschód...”

Zawstydziłem się strasznie. Ja musiałem opłynąć Ziemię, żeby sobie to uświadomić. Tam, gdzie nie ma migracji, rośliny ewoluują w izolacji. Zmieniają się tylko pod wpływem klimatu. Te lądowe migrują, mieszają się z innymi. Serdecznie podziękowałem owemu marynarzowi, chociaż on wrzucił ramionami i odszedł, mamrocząc coś o naukowcach, którzy szukają nie wiadomo gdzie tego, co mają pod własnym nosem.

Wszystko mnie cieszy. Jestem zdrowy, przyroda bujna, asystenci chętni do pracy i badań. Moja teoria ewolucji nabiera kształtu. W najbliższym czasie zamierzam opublikować jedną z analiz dotyczącą zięb i drozdów. Zauważyłem bowiem, że w zależności od wyspy ptaki te różnią się pewnymi elementami, takimi jak długość dzioba, jego zakrzywienie i zaostrenie. Ptaki te nie osiadają na innych wyspach niż ta rodzima. Te z najwyraźniej zakrzywionymi dziobami mieszkają na najbardziej skalistej wyspie archipelagu Galapagos. Są tam małe, twarde jaszczurki, którymi się

żywią. Nie ma miękkich płazów, które występują na wysepce ptaków z łagodnie zakrzywionymi dziobami. Czyli ptak, który jada twarde mięso, wykształcił ostrzejszy dziób, ten, który ma dostęp do miękkiego mięsa, nie musiał przystosować się w taki sposób. Co więcej, oba te gatunki pochodzą od tej samej pary, która złożyła jaja i tu, i tam. To, jak rozwijały się ptaki – to jest właśnie moja ewolucja. Moja teoria, której nie jestem wciąż na tyle pewien, żeby ją opublikować.



– Panie Herschel – Charles uklonił się głęboko jednemu z najszynniejszych astronomów wszech czasów – gdybym miał wymienić jeden powód, dla którego odwiedziłem Kapsztad, byłaby to wizyta w pańskim domu. To dla mnie zaszczyt pana poznać.

– Daj spokój, Charlesie, mów mi John. – Astronom się uśmiechnął. – To ja jestem zaszczycony. Czytałem twoje prace, notatki i listy, które opublikowano na równi z pracami naukowymi. Jestem pod wielkim wrażeniem.

– Zapraszam panów na kolację – wtrącił się stary służący.

Darwin z zalem opuścił gabinet i zasiadł do suto zastawionego stołu.

– Nie tęsknisz za domem, Charlesie? – spytał astronom, kiedy po obiedzie pili przedni koniak w bibliotece.

– Owszem, wyprawa przeciągnęła się do pięciu lat, ale za kilka miesięcy będę w domu.

– Rozumiem, że wtedy opublikujesz wyniki swoich badań? – indagował Herschel.

Darwin pokręcił głową.

– Mam jeszcze zbyt mało danych, przeprowadziłem za mało analiz. Nie mogę opublikować mojej teorii ewolucji bez niezbitych dowodów.

– Na co jeszcze czekasz, Charlesie? – Herschel dobrotliwie poklepał go po plecach. – Publikacja na temat teorii ewolucji nie oznacza, że zaprzestasz swoich badań i analiz.

– Wciąż nie mam niepodważalnego dowodu – upierał się Darwin.

– Jakiego dowodu potrzebujesz? Gdyby moi poprzednicy czekali na takie, jak to powiadasz, niezbite dowody, wciąż myślelibyśmy, że Ziemia jest płaska i nieruchoma, a w koło niej obraca się Słońce.

Darwin się roześmiał.

– Kopernik uszedł cało, Galileuszowi też się udało, ale już Giordano Bruno...

– Boisz się, że skończysz na stosie?

– Teologowie nauczają, że Ziemia ma zaledwie sześć tysięcy lat. Ja na najwyższych szczytach Andów widziałem skamienieliny muszli, które mogły mieć nawet kilkadziesiąt tysięcy lat, a znalezione przeze mnie kości należały do zwierząt, które wyginęły setki milionów lat temu. Moje badania wskazują, że żyły na Ziemi, zanim pojawił się na niej człowiek. W związku z tym mogę jedynie wysnuć tezę, że Noe nie miał tych wielkich gadów ani gigantycznych ptaszydeł na swojej arce.

– Może dlatego wyginęły? – podsunął spokojnie John Herschel. – Bo Noe nie miał miejsca dla takich gigantów.

Charles popatrzył na astronoma ze zdumieniem. Dopiero po chwili zrozumiał, że John żartuje, i sam się roześmiał.

– Nie traktuj tego tak poważnie, Charlesie – powiedział astronom na pożegnanie. – Widziałem twoje zbiory. Dziesiątki tysięcy próbek, herbarium, którego pozazdrości ci każde muzeum narodowe, tony szkiców i notatek. Nie czekaj dłużej.

Czerwiec 1858

Drogi Charlesie,

Piszę do Ciebie z Ternate na Archipelagu Malajskim, gdzie dochodzę do siebie po ciężkim ataku malarii. Podczas tej gorączki doznałem objawienia, które chciałbym Ci przedstawić. Chodzi o teorię ewolucji gatunków zwierząt i roślin. Dołączam do listu swoje studium. Zatytułowałem je *O dążności odmian do nieograniczonego odbiegania od typu pierwotnego*. Dużo czytałem o Twoich badaniach, ale więcej o nich słyszałem, do tej pory nie zdecydowałeś się bowiem na pełną publikację. Pomyślałem sobie, że być może moje wnioski mogą Cię zainteresować lub są brakującym ogniwem Twoich badań.

Szczerze oddany Ci przyjaciel,

Alfred Russel Wallace

Do pokoju weszła Emma.

– Czemu masz taką minę, Charlesie? Czy to złe wiadomości? Od kogo ten list? – spytała z niepokojem.

– Nic, nic, kochanie. – Podał list żonie. – Zobacz, Alfred Wallace doszedł do tych samych wniosków co ja.

Emma bezradnie rozłożyła ręce.

– Czy teraz wreszcie uwierzysz w siebie i opublikujesz swoje prace? Minęło tyle lat, odkąd zszedłeś z „Beagle’a”.

– Mówiłem, że muszę przeprowadzić jeszcze wiele badań.

– Charlesie – Emma podeszła do męża i spojrzała mu głęboko w oczy – minęły dwadzieścia dwa lata. Na co czekasz? Wallace doszedł do tych samych wniosków, za dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat inni też do nich dojdą. Masz dwa tomy notatek, rycin, szkiców, analiz, badań... Na miłość boską, podziel się nimi ze światem!

– Muszę to jeszcze przemyśleć – powiedział Darwin.

Żona uniosła ręce.

– Myśl więc, byle nie kolejne dwadzieścia lat!

Kiedy wyszła, Charles zmówił modlitwę, następnie wyjął z biurka papier listowy i skreślił kilka słów do swojego wydawcy. Następnie dołączył do listu dwa obszerne tomy swoich badań.

– Już czas, Panie Boże – wymamrotał pod nosem. – Już czas.



Dzieło Darwina *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego* ukazało się w 1859 roku. W swoich kolejnych publikacjach: *O pochodzeniu człowieka i doborze w odniesieniu do płci* i *O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt*, badał ewolucję człowieka i dobór płciowy.

W rodzinnej Anglii Darwina darzono wielkim szacunkiem. Po jego śmierci urządzono mu państwowy pogrzeb. Spoczął w opactwie westminsterskim obok Johna Herschla oraz Isaaca Newtona.

ROZDZIAŁ II

w którym Anna po odmowie przyjęcia do Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego jedzie do Petersburga, aby tam próbować uzyskać to, czego nie udało się jej załatwić w Warszawie. Poznajemy także bliżej służącą Kasię, której babcia była szeptuchą, studenta Włodzimierza, który chce w Kanadzie budować mosty, oraz jednego z najwybitniejszych polskich lekarzy – Napoleona Cybulskiego.

– Bardzo mi przykro, moja droga... – powiedział Bogumił Korzyński z ciężkim westchnieniem. Zaraz po zakończeniu zebrania w Towarzystwie wstąpił do Anny, żeby osobiście przekazać jej złe wieści.

Dziewczyna zacisnęła wargi. Czuła, że zaraz się rozplacze.

– Kto na mnie głosował? – spytała. – Czy może mi pan powiedzieć?

Bogumił pokręcił przecząco głową.

– Głosowanie było tajne – odpowiedział.

– Przecież zawsze... – Anna nie była w stanie dokończyć zdania. Zdławiony szloch wyrwał się jej z piersi.

– Do tej pory było jawne, wiem – westchnął Bogumił. – Nie wiem, czy to przyniesie ci pociechę, ale głosowało na ciebie dziewiętnastu kolegów.

– Zabrakło mi zatem jednej osoby za! – wykrzyknęła Anna. – Cóż za... Cóż za... – głos ponownie się jej załamał – ...pech – dokończyła.

Bogumił patrzył na dziewczynę ze współczuciem. Siedzieli przy stole, na którym Kasia postawiła filiżanki z herbatą, żadne z nich po nie jednak nie sięgnęło i napar wystygł.

– Bardzo mi przykro, moja droga – powtórzył cicho Korzyński, sam głęboko rozczarowany, kiedy profesor Hoyer ogłosił wyniki głosowania. Zabrakło jednego głosu, by Anna mogła się cieszyć należnym jej miejscem w gronie członków Towarzystwa.

– To nie pana wina, doktorze – powiedziała, unikając jego wzroku.

– Walczyliśmy o ciebie jak lwy, ale kundle nas pokonały. Jedenastu kundli... – Westchnął po raz kolejny.

– To jeszcze nie koniec – powiedziała wojowniczo, ale zaraz zmarkotniała, bo zdała sobie sprawę, że to przecież był koniec jej ambicji, nadziei i planów.

Kasia weszła do pokoju i spytała, czy zaparzyć więcej herbaty, ale Anna nawet nie odpowiedziała. Najwyraźniej ani ona, ani jej gość nie słyszeli pytania służącej. Nie doczekawszy się odpowiedzi – wyszła.

– I to jest dobra postawa – powiedział Bogumił z udawanym entuzjazmem, bo wiedział, że to tylko słowa; droga przecież była zamknięta. Może po upływie jakiegoś czasu Anna będzie mogła ponownie złożyć aplikację. Tylko z czego będzie żyła?

– Dziękuję panu za wszystko. – Uścisnęła dłoń Korzyńskiego na pożegnanie, wdzięczna, że nie spytał o jej plany.

Nie wiedziała, co ma teraz robić. Powinna znaleźć jakąś pracę – może jako guwernantka, byle nie bona, bo nie przepadała za małymi dziećmi. Kiedy doktor Korzyński wyszedł, usiadła przy oknie i wpatrywała się w warszawską ulicę.

– Czy mogę panience w czymś pomóc? – Usłyszała głos Kasi koło siebie.

Nawet nie miała siły udawać, że nic się nie stało, że nie jest rozczarowana, zawiedziona i zwyczajnie zła.

– Nie, Kasiu, nic nie możesz zrobić – odpowiedziała. – Wolałabym zostać sama.

Kasia jednak nie odchodziła, co mogło oznaczać, że nie rozumie Anny lub że nie wyjdzie z pokoju, dopóki nie uczyni czegoś, co w jej mniemaniu zdejmie ciężar z barków młodej lekarki.

– Może ja panience podam kolację? – spytała. – Bo ja zakupy zrobiłam, jak panienska kazała, i mogłabym podać...

Anna nie była głodna, ale pokiwała głową.

– Tak, podaj, proszę, kolację – odparła.

– Już lecę – powiedziała Kasia, ale wciąż nie ruszyła się z miejsca.

Anna westchnęła.

– No dobrze, powiedz, co chciałaś powiedzieć.

Kasi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

– Bo ja, proszę panienki, mam takie zioła. Nazbierałam, jak w lesie byłam, tam gdzie się modliłam o śmierć.

Anna spojrzała na dziewczynę.

– Uważasz, że mnie te zioła mogą pomóc? – spytała, siląc się na spokojny ton. Smutek oplatał ją niczym powój i czuła, że zaraz rzeczywiście zacznie płakać.

– Nie panience, tylko tamtym panom, co to panience odmówili – wyjaśniła gorliwie Kasia.

– Mam ich otruć? – dociekała zdezorientowana. – Ale wszystkich naraz czy po kolei?

Służąca przeżegnała się kilka razy.

– No co też panienka żartuje sobie z prostej dziewczyny... Gdzie otruć? Panienka musi pić herbatkę z tych ziół w czasie nowiu, a to już za trzy dni będzie. Trzeba tylko wcześniej zaparzyć, to ja bym dzisiaj mogła.

– Dobrze – zgodziła się Anna bez przekonania. Nie miała siły tłumaczyć Kasi, że żadna herbatka nie sprawi, aby jedenastu mężczyzn zmieniło zdanie. – Zrób tę herbatkę, skoro jesteś pewna, że mnie nie otrujesz. A na co ma pomóc?

– Na frasunki. – Kasia wyraźnie się ucieszyła. – Wszystkie frasunki do następnej pełni lichy zabierze. Panienka będzie zadowolona.

– Licho, powiadasz... – westchnęła Anna, kiedy Kasia wybiegła do kuchni zaparzyć herbatkę.

Nie wiadomo, czy herbatka Kasi odniosła skutek, czy też los postanowił Annie wynagrodzić niesprawiedliwość. Dzień po nowiu wypita pierwszą porcję naparu, który zalatywał szczurem, i tknięta nagłym impulsem, wybrała się na Krakowskie Przedmieście. Przez ostatnie dni siedziała w domu niczym pokutnica, użalając się nad sobą, aż w końcu uznała, że należy wyjść do ludzi. Było bardzo mroźnie, ale śnieg na ulicach został odgarnięty i można było bez przeszkód przejść, aczkolwiek należało uważać, żeby się nie

poślizgnąć, bo nikt nie posypał ulicy piaskiem. Anna szła sobie spokojnie, mijając nielicznych ludzi, którzy zdecydowali się wyjść w taką pogodę, głównie mężczyźni, bo rozsądne panie siedziały w domu i haftowały na tamborkach. Przeszła obok dwóch lichu ubranych służących, które niosły bułki od piekarzy w koszykach ledwie okrytych papierem. Dzieci nie zauważyła żadnych. Te bogate zapewne siedziały z nauczycielkami i uczyły się mowy rosyjskiej jawnie, a polskiej w ukryciu. Te biedne kryły się po domach, żeby nie złapać zapalenia płuc, które często kończyło się śmiercią, choć większość z nich za kilka lub kilkanaście lat miała zapaść na gruźlicę czy tyfus. Słowem, było dość pusto. Tylko mężczyźni, którzy musieli zapewnić byt rodzinom, spieszyli się do pracy. Jeden z takich panów na oczach Anny poślizgnął się i zamachawszy rękoma w powietrzu, upadł z łoskotem na chodnik. Zaklął dość szpetnie z bólu. Anna natychmiast do niego podbiegła.

– Niech pan nie próbuje wstawać, noga chyba złamana – powiedziała stanowczo.

– Nic mi nie jest, panienko – rzucił mężczyzna, starszy, dystyngowany, i próbował wstać, wspomagany ramionami dwóch innych dżentelmenów, którzy przechodzili obok. – Niech panienka...

„...sobie idzie” – dokończyła w myślach, ale nie dała się zbyć, gdyż widziała, jak mężczyzna przenosi ciężar ciała na kontuzjowaną kończynę, i wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Skręcił pan kostkę. Albo złamał – powiedziała spokojnie zza pleców wyższego dżentelmena. – Jestem lekarzem, ale musiałabym pana zbadać, żeby to ocenić.

Dżentelmeni odwrócili się i wpatrzyli w dziewczynę ze zdumieniem.

– Panienko droga... – powiedział jeden pobłażliwym tonem.

Tymczasem starszy pan próbował zrobić krok, ale syknął z bólu. Laska, którą się podpierał, wyraźnie zadrżała. Mężczyźni oderwali wzrok od Anny i skierowali go na poszkodowanego.

– Dorożka! – krzyknął jeden z nich, a drugi stanął między Anną a starszym panem, jakby chciał go uchronić przed interwencją kobiety, która

wygadywała herezje.

– Nie, nie, drogi panie – zaprotestował staruszek. – Prowadzę tu księgarnię i skład nut. To drzwi do sklepu. – Pokazał palcem wejście oddalone o dziesięć sążni od miejsca, w którym stali. – Gdyby panowie byli tak uprzejmi i podprowadzili mnie, byłbym bardzo rad.

Anna stała niepewnie na ulicy.

– Może ja panience zamówię dorożkę – zaproponował niższy z dżentelmenów z naciskiem na słowo „panienka”.

– Nie trzeba – odparła grzecznie i dodała niepotrzebnie: – Wyszłam na spacer i spacerem zamierzam wrócić do domu.

Mężczyźni ujęli pod pachy nieszczęśnika z obolałą nogą i podprowadzili go do sklepu. Anna podniosła laskę, która upadła na chodnik, i podążyła za nimi. Drzwi sklepu z napisem „Księgarnia i skład nut Unger i Banarski” otworzyły się. Stanął w nich przystojny młody człowiek i omiótł wzrokiem całą grupkę.

– Wuju! – wykrzyknął. – Co się stało?

– Pana wuj poślizgnął się i skręcił kostkę – odpowiedziała Anna, zanim któryś z mężczyzn zdążył cokolwiek powiedzieć. – Albo złamał. Muszę obejrzeć, wtedy ocenię. Jestem lekarzem.

Młody człowiek popatrzył na Annę wcale nie ze zdumieniem, tylko z wdzięcznością. Przejął wuja z rąk dżentelmenów, podziękował im za opiekę i umieścił staruszkę na krześle. Anna uśmiechnęła się do mężczyzn, którzy oddalali się z nietęgimi minami, szepcząc między sobą. Anna była pewna, że są głęboko oburzeni zaproszeniem niewiasty niejasnej proveniencji do szanowanej księgarni.

– Proszę, niech pan zdejmie wujowi buty i podwinie spodnie, żebym mogła obejrzeć nogę – poprosiła.

– Oczywiście – powiedział młodzieniec i po uzyskaniu milczącej akceptacji wuja przystąpił do działania.

Anna rozejrzała się po pomieszczeniu. Zauważyła niewielki stołeczek, przyniosła go i ostrożnie ułożyła na nim nogę starszego pana, która zaczynała już puchnąć.

– Czy tu boli? – zapytała, dotykając opuchlizny, po czym delikatnie badała kostkę cal po calu.

– Tak, tu najbardziej. Władysław Banarski – przedstawił się mężczyzna. – Dziękuję panience, chociaż dziwnym jest... – Urwał.

Anna zignorowała uwagę starszego pana i zwróciła się do młodego człowieka.

– Czy mógłby pan przynieść coś na kształt bandaży? – spytała. – Chodzi mi o pasy materiału, którymi mogłabym unieruchomić nogę.

– Oczywiście, panienko. Gracjan Unger, proszę wybaczyć, że się nie przedstawiłem, ale sytuacja mnie zaskoczyła.

– Anna Tomaszewicz. – Wstała i podała mężczyźnie rękę.

Gracjan zniknął za kotarą, a Anna zwróciła się do Banarskiego:

– Kostka nie jest złamana, tylko skrzyżta. Znam się na tym, proszę mi zaufać. Skończyłam medycynę w Zurychu. Nie mam przy sobie dyplomu, zatem mi pan nie uwierzy, podobnie jak grono Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, ale mówię prawdę.

Mężczyzna popatrzył na Annę przenikliwym wzrokiem.

– Proszę wybaczyć moją reakcję – powiedział z szacunkiem – ale nie spotkałem jeszcze kobiety, która twierdziłaby, że jest...

– Czy taki opatrunek będzie odpowiedni? – spytał Gracjan, który pojawił z pasami materiału w ręku.

– Jak najbardziej – odpowiedziała i przystąpiła do nastawiania kostki.

W tym celu odwróciła uwagę pana Władysława, strącając stojący nieopodal stosik nut, i jednym szybkim i bardzo precyzyjnym ruchem nastawiła staw skokowy. Mężczyzna jęknął głośno, a jego czoło pokryło się perlistym potem.

– Mój Boże – powiedział Gracjan Unger z podziwem.

– Niech pan przyniesie trochę śniegu – poleciła mu Anna, a sama zaczęła szybko owijać kostkę materiałem, unieruchamiając w ten sposób staw.

– Dziękuję panience – powiedział Banarski, który po pierwszym szoku i niewątpliwie silnym bólu przy nastawieniu kostki wreszcie poczuł ulgę. –

Proszę mi jeszcze raz wybaczyć, że zachowałem się niegrzecznie.

– Ja również dziękuję – powiedziała szczerze. – Że pozwolił mi pan sobie pomóc.

– Niewiele znalazłem. – Gracjan podsunął Annie naczynie, w którym znajdowała się kupka białego śniegu.

Dziewczyna obłożyła kostkę zimnym opatrunkiem.

– Materiał się zamoczy, ale to nic. Zimno zmniejszy opuchliznę.

– Dziękuję – powiedział Gracjan i popatrzył na Annę z wdzięcznością, jakby to jemu nastawiła kostkę.

– Proszę, żeby pan posiedział przez około godzinę, a potem radziłabym wezwać dorożkę i pojechać do domu – poinstruowała starszego pana. – Trzeba leżeć z uniesioną nogą, Boże broń jej nie obciążać. Opatrunek będzie się trzymał kilka dni, potem należy go zmienić. Powinien być przewiązany nie za ściśle, żeby nie tamować przepływu krwi, ale nie zbyt lekko, żeby noga była unieruchomiona. Za tydzień znów powinien pana obejrzeć lekarz. Gdyby coś pana niepokoiło, trzeba wcześniej wezwać konsyliarza. Czy pan rozumie?

Władysław Banarski pokiwał głową. Na twarz wystąpił mu blady uśmiech.

– Zaraz to pozbieram – dodała Anna, wskazując palcem zrzucone przez siebie nuty.

– Ależ skąd! – zaprotestował Gracjan. – Zaraz sam wszystko pozbieram.

– W takim razie do widzenia panom – powiedziała i skierowała się do wyjścia.

– Proszę poczekać! – zawołał Gracjan za Anną. – Przecież jesteśmy pani winni za poradę i leczenie.

– Nic mi nie są panowie winni, ponieważ nie mogę praktykować – powiedziała gorzkim tonem. – Nie mogę leczyć ani udzielać porad. A już na pewno nie powinnam pobierać za nie wynagrodzenia.

Do księgarni właśnie weszła klientka, zażywna kobieta w towarzystwie córki. Minęła Annę i Gracjana i skierowała się do siedzącego pana Banarskiego, krzycząc tubalnie:

– Co się stało, panie Władysławie?!

Banarski odpowiedział coś uprzejmie, a kobieta obiecała sprowadzić osobistego dorożkarza, który odwiezie „dobrego pana Władysława” do domu, a także wysłać do starszego pana swojego konsyliarza. Anna ponownie chciała umknąć, korzystając z zamieszania.

– Pani Anno! – Gracjan ją zatrzymał, zagradzając drogę. – Proszę nie uciekać. Proszę pozwolić chociaż na wyrażenie uszanowania, wdzięczności... Podobnie wynagrodzenie wydaje się tu czymś zupełnie oczywistym.

Anna jeszcze raz grzecznie, ale stanowczo odmówiła, argumentując, że nie może pobierać opłat z tytułu działalności, która nie jest aprobowana przez tutejsze władze.

– Ale ja nie mogę pozwolić, żeby pani odeszła bez zapłaty.

– Drogi panie – Anna się zdenerwowała – czy pan nie rozumie, że odmówiono mi prawa do praktyki? Przecież mówię: Towarzystwo Lekarskie Warszawskie nie przyjęło mnie w poczet członków. Nie mogę praktykować!

Klientka, która musiała usłyszeć słowa Anny, oderwała wzrok od pana Banarskiego i spojrzała na dziewczynę, mrużąc powieki, co Anna odruchowo zaklasyfikowała jako krótkowzroczność. Władysław Banarski zaś zawołał:

– Proszę pozwolić, aby mój wspólnik zawołał dorożkę dla panienki! Żeby panienka dotarła bezpiecznie do domu!

– Nie trzeba! – upierała się Anna. Musiałaby zapłacić za dorożkę pieniędzmi przeznaczonymi na chleb.

Gracjan wciąż zasłaniał Annie drogę do wyjścia.

– Niechże mnie pan przepuści – poprosiła.

– Nie sądziłem, że Polacy odmówili pani uznania. Byłem pewien, że to Rosjanie – powiedział, jakby nie usłyszał słów Anny.

– A jednak – mruknęła. – Do widzenia panom.

– To oni powinni uznać pani dyplom – ciągnął Gracjan. – Niestety – dodał ciszej – znajdujemy się na terenie Rosji.

Anna znieruchomiała. Jak mogła o tym nie pomyśleć? Przecież właśnie od tego powinna była zacząć. Ten człowiek miał świętą rację. Jeśli Rosjanie uznają jej dyplom, nie będzie potrzebowała aprobaty Towarzystwa. To nie będzie miało wielkiego znaczenia, bo będzie mogła praktykować w Rosji,

a zatem również w Warszawie. Jakież to było proste! Musi pojechać do Petersburga i postarać się o pozwolenie na praktykę. Po prostu musi. Nagle wstąpiła w nią nowa nadzieja, jej twarz się rozjaśniła. Anna odeszła od drzwi i zaczęła krążyć między jedną półką z nutami a drugą.

– Dziękuję panu – powiedziała do Gracjana. – Jakże panu dziękuję.

– Pani mnie dziękuje? A niby za co? – spytał.

– Bo już wiem, co mam zrobić! – wykrzyknęła, nie troszcząc się o to, co pomyśli sobie ciekawsza klientka. – Muszę pojechać do Petersburga nostryfikować swój dyplom.

– Panie Władysławie kochany... – kobieta ponownie zwróciła się do Banarskiego.

– Pani Leokadio, przepraszam, ale teraz naprawdę nie mogę się panią zająć. Proszę mi darować – zbył ją Banarski.

– Chodźmy, mam, proszę, nie przeszkadzajmy – poprosiła córka klientki, a jej matka po chwili wahania wymaszerowała ze sklepu, nie odpowiadając na grzeczne „do widzenia” Gracjana.

Anna zaś rozważała wszelkie „za” i „przeciw” podróży do Petersburga. Nadzieja zgasła w niej tak szybko, jak się pojawiła. Skąd weźmie pieniądze na podróż?

– Proszę pozwolić nam się odwdzińczyć... – powtórzył Gracjan.

– A tak – powiedziała nagle, tknięta nowym impulsem. – Proszę bardzo. Pozwolę się panom odwdzińczyć. Może potrzebujecie kopistki?

– Właściwie to tak – powiedział z wahaniem Gracjan Under i odwrócił się w stronę Banarskiego. – Wuju, właśnie szukaliśmy kopistki, prawda?

Banarski uśmiechnął się.

– Oczywiście, że potrzebujemy – powiedział z mocą. – Ja sam jestem kopistą, ale panienka posłała mnie do domu i kazała nie wstawać, zatem Gracjan nie zdoła sam wypełnić naszych zobowiązań. Czy panienka chciałaby...?

Nie zdążył dokończyć, a Anna już z radością kiwała głową.

– A tak, tak. Chciałabym. Macie panowie kopistkę. Jestem bardzo dobra i pracuję niezwykle szybko. Jeszcze w Mławie, moim rodzinnym mieście, pracowałam u Krajewskiego i przepisywałam nuty.

Banarski spojrział na nią z sympatią.

– Oferujemy pani dwadzieścia kopiejek od strony. Czy to satysfakcjonujące honorarium?

Anna szybko obliczyła w myślach, że musi przepracować miesiąc, aby zebrać pieniądze na podróż oraz wydatki w samym Petersburgu. Nie знаła typowych stawek dla kopistów, zatem nie wiedziała, że Gracjan zaoferował jej wielokrotnie wyższą kwotę niż zwykłemu pracownikowi.

– Satysfakcjonująca – powiedziała z wdzięcznością. – Mogę zacząć nawet zaraz.

Kiedy po kilku godzinach wróciła do domu bogatsza o dziesięć rubli, zawołała do służącej:

– Kasiu! Twoja herbatka pomogła! Niech cię Bóg błogosławi!



– To jest skandal! – Profesor Hoyer nie posiadał się z oburzenia, wymachując artykułem w „Medycynie”.

Członkowie Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego zgodnie milczeli.

– Proszę bardzo – Hoyer mówił zachrypniętym z oburzenia głosem – proszę bardzo panów, aby zapoznali się z tym... tym paszkwilem, tym niegodnym artykułem pana, pana... jak mu tam?

Założył na oko cwikier i przeczytał:

– Gustava Fritscha.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Dziwna zbieżność nazwisk z profesorem Gustavem Fritschem, mentorem panny Tomaszewicz – zauważył Korzyński.

– Gustav Fritsch – powtórzył Hoyer. – Tak się nazywa ów człowiek, który w dobrej wierze, najgorsze, że w dobrej wierze, wystawia nasze Towarzystwo

na pośmiewisko.

– Nie doszłoby do tego, gdyby panna Tomaszewicz... – zaczął Junosza-Gawroński, ale stary neurolog mu przerwał:

– Nie kończ pan, skorzystaj z prawa do milczenia...

– „Myliłby się, kto by przypuszczał, że ci, którzy czarne rzucali gałki, czynili to przez niechęć przeciwko kandydatce, którą prezes i kilku członków Towarzystwa zna i gorąco swoim kolegom polecało – przeczytał Hoyer. – Postanowienie Towarzystwa uważać należy za potępienie tego niedorzecznego ruchu, tego niewłaściwego kierunku, w jakim niektóre zbłąkane owieczki rodu niewieściego zaczęły postępować”.

– Sama prawda! – zachnął się Umiszewicz, ale tym razem zgromił go Bogumił Korzyński.

– A pan nie słyszał, że starszym i mądrzejszym się nie przerywa?

Junosza-Gawroński i Umiszewicz zaczęli coś szeptać między sobą, a profesor kontynuował:

– „Niefortunne tylko okoliczności tak się złożyły, iż zdania tego objawić ono inaczej nie mogło, jak tylko przez odrzucenie kandydatury panny Tomaszewicz”.

– A dlaczego pan Fritsch uważa, że nasze Towarzystwo odrzuciło kandydaturę doktor Tomaszewicz ze względu na jej płeć? – spytał Karol Radzikiewicz, akcentując słowa „doktor” i „płeć”.

– Oszczędzę panom argumentów, których użył Fritsch. Przeczytam tylko pointę: „Przychodzimy do przekonania, iż z pewnymi wyjątkami wszystkie dzisiejsze lekarki lub kandydatki na takowe wkraczają na tę fałszywą drogę nie przez zamiłowanie do nauki lub chęć poświęcenia się ludzkości, lecz przez jakieś awanturnicze usposobienie, przez chęć zabłyśnięcia czymś oryginalnym...”.

– Jako Towarzystwo naukowe musimy wydać oficjalne stanowisko – powiedział z mocą Haleński, specjalista od słodkiej choroby, sam cierpiący na tę przypadłość.

– To oczywiste – odparł Hoyer. – Cóż jednak zawrzeć w takim oświadczeniu? Jeśli napiszemy, że nie zgadzamy się z tym panem, jak

uzasadnimy odmowę przyjęcia panny Tomaszewiczówny do Towarzystwa?

Mężczyźni spoglądali po sobie. Niektórzy, jak Junosza-Gawroński i Umiszewicz, wymieniali jakieś uwagi.

– Ja bym proponował, żeby tych jedenastu panów, którzy byli przeciwni, wydało takie oświadczenie, z analizą jej prac, oczywiście wytykając błędy merytoryczne oraz wtórność omawianych zagadnień – powiedział złośliwie Nowakowski.

Zapadła cisza.

– Wydam oświadczenie następującej treści. – Profesor Hoyer pogłodził bokobrody. – „Towarzystwo Naukowe Warszawskie nie upoważniało doktora Fritscha do wyrażania osobistych opinii w jego imieniu. Ponadto większość członków nie zgadza się z wysuniętymi przez niego tezami”. To zamyka nasze dzisiejsze zebranie.

Bogumił wyszedł ostatni. Przed drzwiami czekał na niego profesor Nowakowski.

– Jakich czasów dożyliśmy – westchnął – zamiast walczyć z wrogiem, polskość krzawić, z rodaków naszych być dumnym, to my... Zazdrość, właśnie... Ech...

Bogumił pokiwał głową i ponieważ wiedział, że Nowakowski jest uczciwym człowiekiem i dobrym Polakiem, odparł:

– Dlatego wciąż pod ruskim butem...

– I nie dadzą nam odetchnąć. Człowiek boi się donosu. Przed powstaniem można było mówić po polsku, teraz nie daj panie Boże, żeby ruski usłyszał polską mowę.

– Od razu można się szykować na Syberię – zgodził się Bogumił.

– Car bez litości rozprawia się z naszymi – westchnął stary profesor. – Wystarczy podejrzenie, że ktoś wyraża tendencje niepodległościowe.

Bogumił mimowolnie rozejrzał się na boki, a potem podszedł do schodów i spojrzął w dół, jakby bał się, że jakiś konfident tam stoi i zaraz pójdzie do urzędu pisać skargę.

– Najgorzej, kiedy urzędnicy przyjadą na kontrolę – powiedział Bogumił. – Tygodniami wertują księgi, dyrektor szpitala podejmuje darmożjadów, chwali

cara... Cóż robić.

Nowakowski rozłożył ręce.

– Cóż robić. Tak patrzę na tych tam i zastanawiam się, czy któryś nie doniesie, o czym dyskutujemy.

Bogumił, który też się tym martwił, tylko pokiwał głową.

– A tak swoją drogą – Nowakowski pochylił się nieco ku Bogumiłowi – czy może mi pan powiedzieć, drogi kolego, co ta panienka zamierza zrobić? Dyplom do szuflady odłożyć? Bo zapewne ma pan takowe wiadomości.

– Mam. – Bogumił pokiwał głową. – Wyjechała do Petersburga. Tam spróbuje nostryfikować dyplom. Jeśli zda egzaminy i uzyska prawo wykonywania zawodu na terenie Rosji, to niejako zmusi Towarzystwo do jego respektowania.

Stary uśmiechnął się z uznaniem.

– Wierzy pan, że się jej uda?

Bogumił nie wiedział, co odpowiedzieć. Sam uważał, że Anna popełniła błąd, przyjeżdżając do Warszawy. Chociaż tęsknił za Grażyną, gotów był odradzać jej powrót do domu. Choćby już nigdy miał nie zobaczyć ukochanej córki, wolał, żeby nie była narażona na podobne upokorzenia i szykany jak Tomaszewiczówna.

– Nie wiem – westchnął w końcu. – Ale to jest bardzo silna kobieta. Czy wie pan, że głodowała w domu, żeby rodzice zgodzili się na jej wyjazd na studia? A w Zurychu pracowała za trzech, do tego prowadziła badania. I uzyskała dyplom z oceną celującą.

– Oby się jej udało – powiedział Nowakowski.

Bogumił wspomniął dzień, w którym przyszedł do Anny, żeby przekazać jej wynik głosowania. Nie śmiał jej spytać, co teraz pocznie, jakie ma plany. Być może sama tego wtedy nie wiedziała.

– Jeśli jej się nie uda, to już żadna kobieta tego nie dokona – stwierdził. – Uszanowanie panu, drogi panie profesorze.

Uścisnął dłoń starszemu koledze. Mało kogo tak szanował jak owego surowego człowieka.



– Panienska pewnie przyjechała do narzeczonego? – spytała zażywna gospodyni w domu, w którym Anna chciała wynająć pokój. Adres otrzymała od Gracjana Ungera, który kiedyś studiował w Petersburgu i mieszkał w tej właśnie kamienicy.

– Nie mam narzeczonego – odpowiedziała. – Przyjechałam do brata. Studiuje tutaj.

Gracjan zaklinał Annę, żeby nie ujawniała prawdziwego celu swojej wizyty. „Niech pani powie, pani Anno, że przyjechała pani do brata, studenta”, polecił. I dodał, że nie powinna podróżować sama, lecz ona machnęła na to ręką. „Zawsze sama podróżowałam – do Zurychu, z Zurychu, w Petersburgu także sobie poradzę”. „Ale w Rosji niebezpiecznie samej do dorożki wsiadać”, przekonywał. „To będę chodziła piechotą”, odpowiadała, wznosząc oczy ku niebu.

– U nas dużo studentów. – Kobieta pokiwała głową. – Biedne toto, głodne wciąż chodzi. I co z tej nauki komu przyjdzie?

– Można zmienić świat – odpowiedziała przekornie Anna, chociaż pytanie gospodyni było z gatunku retorycznych.

Ta machnęła ręką.

– Świat zmieniać nauką? – spytała i roześmiała się głośno, pokazując braki w uzębieniu.

– Pani gospodyni w to nie wierzy? – Anna weszła za nią do przestronnego hallu.

– Natasza Nikołajewna – przedstawiła się kobieta i wysunęła szufladę, z której wyjęła okazałych rozmiarów klucz. – Nie wierzę, panienko. Ja tu już wiele lat oglądam studentów. I widzę, jak ta nauka im idzie. Pieniądze z domu przepijają, zarobić nie umią...

– Ale płacą za pokoje – zauważyła.

– Spróbowaliby nie zapłacić. – Gospodyni uśmiechnęła się szeroko. – Mam ja swoje sposoby na takich. Płaci albo won.

Anna niepewnie kiwnęła głową. „Ta kobieta ma na imię Natasza”, pomyślała nagle. „Jakże to imię do niej nie pasuje. Powinna się nazywać Maria albo Agafia, względnie Alona”.

– My zapłacimy – powiedziała, a Kasia gorliwie pokiwała głową.

W Zurychu było kilku bogatych studentów. Mieszkali w przestronnych apartamentach, urządzali przyjęcia i mało czasu poświęcali nauce. Sama należała do najbiedniejszych i imiała się wszelkich prac, żeby zarobić na swoje utrzymanie. Grażyna nie była w tak tragicznej sytuacji finansowej, otrzymywała pieniądze z domu, ale i tak musiała pracować, zwłaszcza po tym, jak przerwała specjalizację.

– Juści – burknęła Natasza Nikołajewna.

– Nie wszyscy są tacy, jak pani myśli. Ten, który nas tu zarekomendował, też na pewno płacił regularnie.

– A kto to taki był? – spytała stara, krzywiąc się i sapiąc, kiedy wchodziła po schodach. Anna zauważyła, że kobieta ma artretyzm.

– Gracjan Unger – odparła.

– A, ten... Paniczyk z Polski. Wuj za niego łożył. Wuj, co to go usynowił. Pamiętam, pamiętam. – Sapała, prowadząc je coraz wyżej i wyżej. – Grzeczny młody człowiek, nie ma co, nie mogu powiedzieć. Płacił i nie sprowadzał mi tu żadnych...

– Sama pani widzi. – Anna nie rozumiała, czemu tak bardzo stara się przekonać gospodynię, że przynajmniej studenci z Polski są uczciwi i płacą na czas.

– Ja tam, jak płaci, to nic nie mówię. Uczciwa jestem. A większość się wcale nie uczy, tylko żyje na koszt rodziny – kontynuowała Natasza Nikołajewna. – Ojczulek myśli, że synek siedzi nad książkami, a ten leży w barłogu, samogon pociąga i mu się wydaje, że świat zbawi. Ja, odkąd wdowa jestem, muszę na takich mieć szczególne baczenie.

Anna nie wiedziała, czemu gospodyni zdobyła zaufanie Gracjana Ungera. Jej wydawała się chciwa i prostacka. Postanowiła bronić nieistniejącego brata.

– Mój brat jest bardzo zdolny i kiedy skończy studia, będzie pracował jako lekarz – odezwała się.

– Nie mówię, że nie... – Natasza Nikołajewna wzruszyła ramionami, prowadząc Annę i Kasię po wysokich schodach na ostatnie piętro.

– Zostanie najlepszym lekarzem w Warszawie, dyrektorem któregoś ze szpitali – przekonywała.

Kobieta weszła na strych i roześmiała się głośno.

– Toż to musi być bogaty człowiek, a po panience nie widać... – stwierdziła ironicznie, prześlizgując się po niej spojrzeniem.

– Może i nie widać, ale płacę z góry za tydzień. Nie wiem, ile tu zostaniemy.

– Dla mnie im dłużej, tym lepiej – powiedziała Natasza Nikołajewna, napluła na podane banknoty i wsadziła je pod spódnicę.

Gest wydał się Annie obrzydliwy.

– Pokój jest, jak widać, wygodny i przytulny – powiedziała stara, otwierając skrzypiące drzwi.

Od progu zaatakował je kurz. Kilka szczurów pierzchło do dziury w kącie. Anna stała niepewnie. Kasia miała przerażoną minę.

– Tu mają strychninę na szczury. – Kobieta podała im tutkę z gazety. – Tylko uważają, bo trucizna. Żeby palców nie oblizywać.

Anna przyjęła tutkę i przełknęła ślinę.

– Brudno tu strasznie – odezwała się niepewnie.

– To niech sprzątnie. – Kobieta wskazała palcem na Kasię. – Jak jej brudno. Poprzedni lokator się nie skarżył.

– A gdzie on teraz jest? – spytała.

– Zmarło mu się przedwczoraj. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Studencina, taki chudy był. Książki pisał czy coś.

– A gdzie te książki? – zaciekawiała się Anna, wciąż stojąc w progu. Miała ochotę zabrać kobiecie pieniądze i poszukać czegoś innego, czystsze i bez szczurów, które przenosiły choroby. Oczami wyobraźni widziała, jak szczury gryzą nieszczęsnego chłopaka, a on zaraża się dżumą, cholera czy Bóg wie

czym jeszcze i umiera. Wyobraziła sobie także, jak szczury gryzą również ją i Kasię, sprowadzając na nie śmierć w obcym kraju.

– W piecu spaliłam – odpowiedziała stara obojętnie. – Nie wszystkie. Trochę zostało.

– Szkoda, może były ciekawe. – Anna przełknęła ślinę.

– Wchodzą czy nie? – spytała Natasza Nikołajewna.

Anna spojrzała niepewnie na Kasię, która trzymała w rękach wielki kufer i patrzyła ze zgrozą na brudny pokój.

– Zostajemy, panienko – sapnęła służąca. – Się posprząta, szczury wytruje i Ducha Świętego wetchnie.

– No dobrze – zdecydowała Anna, ale wciąż nie przestępowała progę.

Jak w ogóle mogła pomyśleć o przyjeździe do Petersburga bez służącej? „Samotna młoda kobieta w podróży jest narażona na różne niebezpieczeństwa, podejrzenia, że jest niejasnej proveniencji, niepokojące pytania”, przekonywał Gracjan, który okazał się niezwykle miłym i spokojnym dżentelmenem. Potakiwał mu pan Banarski i przyklaskiwał Bogumił Korzyński, który raz przyszedł po nią do sklepu, aby osobiście poznać pracodawcę Anny. Przypadli sobie do gustu od samego początku i pan Bogumił nawet napomknął dziewczynie, że Gracjan to taki dystyngowany, miły i grzeczny młody mężczyzna i że na nią zerka. Anna nie sądziła, żeby Unger na nią zerkał. Była dla niego za biedna, za skromna, zbyt zagadkowa. Ale posłuchała w końcu jego rad, zwłaszcza gdy użył argumentu, że: „Kobieta sama w podróży może być tylko rosyjskim szpiegiem albo ladacznicą. Co innego podróżująca ze służącą. Taka może uchodzić za damę przemieszczającą się w niezwykle ważnej sprawie”. Kasi trzeba było wyrobić papiery, co znacznie przedłużyło przygotowania do wyjazdu, ale koniec końców bez przygód dojechały do Petersburga.

– Panienko? – Kasia zerknęła na swoją chlebobawczynię.

Anna wyrwała się z zamyślenia i przestąpiła próg pokoju.

Gospodyni zamknęła za nimi drzwi. Usłyszały jej ciężkie kroki na schodach.

– Panienska się nie martwi – pocieszyła ją Kasia. – Dwie ręce mam, miotłę widzę, to zaraz tu będzie błyszczało.

Co prawda nie stało się to zaraz, ale dopiero późnym wieczorem, i wymagało nie tylko miotły, ale też wielu wiader wody przyniesionych ze studni i całego ługu, który zostawiła stara. W końcu obie padły na łóżka wyczyszczone z pluskiew, wypchane świeżym sianem i pokryte kocami, które Anna kupiła, bo poprzednie były stare i zapchłone.

– Dziękuję, Kasiu – powiedziała Anna, zasypiając. – Bez ciebie nie dałabym rady.

– No co też panienska mówi – obruszyła się Kasia sennym głosem. – Panienska sama by sprzątać miała... Jeszcze czego.

Anna zerknęła na rozstawione po pokoju kawałki chleba ze smalcem i strychniną. Miała nadzieję, że żaden szczur się nie pojawi, po tym jak wypchały dziury w ścianie resztką notatek zmarłego studenta nasączonych naftą i posypanych strychniną.

Rano Natasza Nikołajewna aż gwizdnęła z wrażenia.

– Jakie czyste te Polki – mruknęła.

– Ano czyste – skwitowała Kasia, patrząc spode łba na gospodynię.

– Nataszo Nikołajewna – odezwała się Anna z dezaprobatą – pani weszła do nas bez pukania.

– Kaszę przyniosłam – burknęła kobieta. – Takie panie chudziutkie. Można zapłacić za śniadanie.

Anna podziękowała, przyjęła naczynie i przyjrzała się misce z białawą rzadką zawartością. W rozwodnionym mleku pływał karaluch. Anna odsunęła talerz.

– Jednak dziękujemy – powiedziała stanowczo.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Jak chcą. Zaraz w łaskę przyjdą, jak chleba nie kupią – rzuciła, zamykając drzwi.

– Też coś! – oburzyła się Anna. – Słyszałaś? Przyniosła mleko z robactwem i jeszcze pretensję ma!

Kasia wzięła się pod boki.

– Niech panienka idzie, dokąd miała iść, a ja tu zostanę ze wszystkim.

– Ale ja nie mogę cię zostawić, nie obejdziemy się bez jedzenia, a nie wiadomo, gdzie...

– Ja się już z gospodynią rozmówię – stwierdziła Kasia stanowczo. – Panienka się nie martwi, tylko chodzi za swoją sprawą.

– Nie wiedziałam, że mówisz po rosyjsku – zdumiała się Anna, przyjmując płaszcz z rąk służącej.

– Ano mówię – przytaknęła Kasia i podała jej mufkę. – Język wroga trzeba znać. Tak pani mówiła, ta poprzednia znaczy się. A u tych lichwiarzy to pani ruska była i się nauczyłam. Nie tak dobrze, żebym zaraz na wojnę poszła, ale oszukać się nie dam.

– A w pociągu to żeś jak trusia siedziała i myślałam, że się boisz. – Anna sięgnęła po parasolkę.

– Siedziałam, bo służąca ma siedzieć i buzi nie otwierać – wyjaśniła Kasia.

Anna spojrzała na dziewczynę z podziwem, a ta aż pokraśniała z radości.

– No to idę – oznajmiła Anna.

Kasia otworzyła jej drzwi.

– A może by panienka jednak chciała, żebym ja poszła z panienką, co? – spytała Kasia, widząc, że jej pani się waha.

Anna pokręciła przecząco głową.

– Nie trzeba. Sama pójdę, a ty sobie tu znajdź jaką robotę, przejdź się, zobacz, gdzie możemy jadać. Na pewno nie chcę liczyć na obiady u tej baby, bo gotowa nas otruć.

Kasia gorliwie pokiwała głową.

– Dobrze, panienko. Wszystko będzie jak trzeba. Panienka niech im powie tak jak mężczyzna by im powiedział, że panienka doktor jest, żeby w pięty poszło.



– Nie wiemy, czego panienka u nas szuka. – Zażywny sekretarz dyrektora patrzył na Annę ze zdumieniem. Dziewczyna pomyślała, że mężczyzna ma nadciśnienie tętnicze, na co wskazywały spora otyłość, przekrwione oczy i pajęczki naczyniowe na policzkach.

– Już mówiłam – wyjaśniła cierpliwie. – Chciałabym się widzieć z dyrektorem w sprawie nostryfikacji dyplomu. Mojego dyplomu.

Bolały ją nogi. Po godzinnym marszu z kamienicy, w której wynajęły pokój, do Cesarskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej udało jej się znaleźć dorożkarza, który bez protestów, ale po przyjęciu opłaty z góry, zgodził się zawieźć ją na miejsce. Wysiadając, próbowała się od niego dowiedzieć, czemu nikt nie chciał się zatrzymać, ale dorożkarz natychmiast odjechał, nie udzielając jej odpowiedzi.

– Czyjego dyplomu? – spytał mężczyzna i obdarzył ją szyderczym uśmiechem.

– Mojego – powtórzyła. – Jestem dyplomowanym lekarzem, ale nie mogę praktykować w Warszawie. Chciałabym nostryfikować dyplom tutaj, w Petersburgu.

– Hmm... – Sekretarz przyjrzał się jej uważnie. – Lepiej zmykaj, panienko, pókim dobry.

Po czym palcem pokazał jej drzwi.

– Niech pan posłucha – powiedziała nieco zniecierpliwiona. – Proszę wezwać dyrektora, a ja mu powiem, w czym rzecz.

– Dyrektor nie ma czasu dla szalonych pańienek – odpowiedział sekretarz.
– Zajmuje się nauczaniem lekarzy. Niech panienka idzie, póki proszę po dobroci.

Anna skrzyżowała ręce na piersiach.

– Przyjechałam z Warszawy i nie odjadę bez rozmowy z dyrektorem.

– To niech panienka przyjdzie jutro. Jutro panienka porozmawia z dyrektorem – niespodziewanie życzliwie powiedział mężczyzna.

Anna nie ruszyła się jednak z miejsca.

– Porozmawiam z nim dziś – upierała się.

Miała przecucie, że jeśli jutro tu wróci, wszystkie drzwi będą przed nią zatrzaśnięte i nie uda jej się dotrzeć nawet do woźnego.

– A może ja tu swoich żołnierzy wezwę i do psychuszki panienkę odprowadzą, a? – spytał sekretarz zjadliwym tonem.

Przestraszyła się, ale postanowiła nie okazywać tego po sobie.

– A czemu pan miałby żołnierzy wzywać dla jednej słabej kobiety? – rzuciła. – Czyżby bał się pan o zdrowie albo życie pana dyrektora?

Mężczyzna przestał się uśmiechać.

– Pókim dobry... – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Ma pan nadciśnienie tętnicze – powiedziała do mężczyzny z przesadną troską. – Za dużo je pan mięsa i za dużo pije.

W mężczyznę jakby strzelił piorun. Anna była pewna, że po jej komentarzu serce wali mu jak oszalałe, a krew uderza w tętnice niczym morze w burzę statku podczas burzy. Jeśli dostałby apopleksji, musiałaby wziąć winę na siebie.

– Ty, ty... – wysyczał. – Ja cię do więzienia pošlę za obrazę!

– Przecież nikogo nie obraziłam. Pan się powinien poczuć obrażony, że jest tu otoczony lekarzami, a żaden nic nie doradził na chorobę – dodała, siląc się na spokój. – Prowadź pan do dyrektora!

– Nie ma! – wrzasnął sekretarz.

Wtem drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich wysoki, chudy mężczyzna. Anna domyśliła się, że to dyrektor Cesarskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej. Szczerze mówiąc, liczyła właśnie na taki zbieg okoliczności. W Towarzystwie Lekarskim Warszawskim udało jej się dostać do profesora Hoyera, mimo że nie chciano jej do niego dopuścić, i od razu przekonała go do swoich racji. W Petersburgu liczyła na podobny przebieg wydarzeń, chociaż wolałaby zostać zaproszona do gabinetu bez awantur w korytarzu.

– Nazywam się Anna Tomaszewicz – powiedziała szybko i nieco nerwowo. – Jestem absolwentką Wydziału Medycznego uniwersytetu w Zurychu. Lekarzem. Chciałabym nostryfikować dyplom...

– Milczeć! – przerwał jej dyrektor, po czym zwrócił się do sekretarza: – Aleksieju Maksymowiczu, kim jest ta... osoba? – Słowo „osoba” wymówił

z wyraźnym wstrętem.

– Z Warszawy – odpowiedział mu sekretarz, krzywiąc się, jakby miał w ustach coś wyjątkowo obrzydliwego.

– Tak, przyjechałam z Warszawy – ponownie zaczęła Anna, chociaż przestraszył ją ton dyrektora. – Chciałabym nostryfikować dyplom.

Dyrektor powoli zwrócił na nią oczy.

– Ja pani o nic nie pytałem – powiedział zimno, akcentując każde słowo. – Ale mogę spytać. Jedyne, co mnie interesuje, to co pani robi w Cesarskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej. Uczelni, gdzie zawodu medyka uczą się mężczyźni.

– Jestem dyplomowanym lekarzem! – krzyknęła, wyprowadzona z równowagi. – Tylko tutaj mogę uzyskać pozwolenie na praktykowanie w moim zawodzie!

Dyrektor nawet nie drgnął. Chwilę mierzyli się z Anną wzrokiem.

– Niech pan powoła komisję, przystąpię do egzaminów – powiedziała jeszcze, starając się, aby ton jej głosu nie wyrażał prośby, a rozkaz. „Z tego typu mężczyznami należało postępować nie sposobem, a siłą”, tłumaczył jej Bogumił Korzyński i dodawał, żeby nie dała się zbyć, sama nie kokietowała, nie wdzięczyła się i nie próbowała za dużo tłumaczyć, tylko miała jasne żądania. „Jak będzie trzeba, krzyknij, bo ruski tylko siłą rozumie”.

– Nie – powiedział krótko i wszedł z powrotem do gabinetu, zatrzasnąwszy drzwi.

Aleksiej Maksymowicz z pełnym fałszywego współczucia wyrazem twarzy spojrzał na Annę i rozłożył ręce w geście bezradności. Zalała ją fala rozpacz. Wyszła, trzaskając drzwiami tak głośno, że kilkoro studentów obejrzało się za nią.

– Co się patrzycie?! – zawołała, nie panując nad sobą. – Co się patrzycie?!

Grupka studentów odeszła, ale jeden wciąż stał i po krótkim wahaniu podszedł do Anny.

– Czy ja mógłbym pani w czymś pomóc? – spytał życzliwie. – Czy pani kogoś szuka?

Spojrzała na niego ze złością, ale uspokoiła się natychmiast, widząc, że nie zamierza z niej kpić ani jej wyrzucać, tylko naprawdę jest zainteresowany tym, co ona tu robi.

– Jestem lekarzem – powiedziała. – Przyjechałam z Warszawy, aby nostryfikować dyplom.

Młody człowiek wytrzeszczył oczy w niemym zdumieniu.

– Oczywiście – powiedziała z rozgoryczeniem. – Nie wierzy pan. Nikt mi nie wierzy, kiedy pokazuję dyplom. A ja pragnę tylko leczyć, proszę jedynie o umożliwienie mi praktyki...

– Nie, nie – przerwał jej młodzieniec po polsku. – Ja jestem z Polski. Nazywam się Napoleon Cybulski.

Był młody, chudy i kościsty, na gładkiej chłopięcej twarzy miał niewielką kosią brodkę. Wzbudzał zaufanie.

– Chętnie pomogę. Jeśli tylko będę mógł – powiedział z zafrasowaniem.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Przynajmniej jedna życzliwa osoba w całej akademii.

– Studiuje pan tutaj? – spytała.

– Skończyłem studia siedem lat temu. – Uśmiechnął się. – Obecnie pracuję jako asystent w Katedrze Fizjologii u profesora Iwana Tarchanowa.

Annie aż łyzy stanęły w oczach.

– Jakże ja panu zazdroszczę – wyrwało się jej.

– Obawiam się, że nie ma czego – odparł skromnie Napoleon Cybulski ze smutnym uśmiechem. – Profesor Tarchanow jest bardzo srogim człowiekiem i nie mogę prowadzić własnych badań. Interesują go turbulencje w przepływie krwi i ich następstwa. A ja bym wolał zajmować się nerwami.

– Sama zajmowałam się w Zurychu badaniami fizjologicznymi – powiedziała. – Głównie w zakresie kory mózgowej. Badałam obszary ruchowe u psów.

Napoleon drgnął, słysząc jej słowa.

– Z profesorem Gustavem Fritschem?! – wykrzyknął.

Pokiwiała głową.

– Mój Boże, marzę o tym, żeby poznać tego człowieka i porozmawiać o jego przełomowych pracach! – mówił podekscytowany. – Czytałem je wszystkie. Współautorem jest niejaki Tomaszewicz, może szanowna pani zna tego badacza?

– Anna Tomaszewiczówna – powiedziała nie bez satysfakcji, podając mu rękę. – Nie przedstawiłam się.

Napoleon uścisnął jej dłoń i kilka razy pocałował. Wyglądał, jakby miał paść na kolana i zacząć się modlić do Anny.

– Mój Boże, mój Boże – powtarzał. – Jestem zaszczycony. Co za badania, co za umysł!

– Dziękuję – powiedziała i jeszcze raz opowiedziała historię o tym, jak próbowała uzyskać pozwolenie na praktykę w Towarzystwie Lekarskim Warszawskim i jak po odmowie nie wiedziała, co z sobą począć, aż ktoś uświadomił jej, że mogłaby spróbować nostryfikować dyplom w Petersburgu i tym samym uzyskać odgórną akceptację.

– Dwa miesiące pracowałam jako kopistka, żeby zgromadzić potrzebne na podróż pieniądze – dodała gorzko. – I oto tu jestem. Spotykają mnie same upokorzenia. Dyrektor waszej akademii właśnie mnie wyrzucił z gabinetu.

Napoleon dotknął jej ramienia z wyraźnym współczuciem.

– To wojskowy lekarz. Z dziada pradziada. Bardzo dobry fachowiec. Trzyma nas tu wszystkich żelazną ręką.

Anna nie odpowiedziała.

– Pewnie nie widział jeszcze kobiety, która... – Zamyślił się. – Sam ma pięć córek. Z tego powodu pokpiwamy sobie czasem z niego.

– Może któraś z jego córek pójdzie w ślady ojca? To by dopiero była dla niego nauczka.

Anna poczuła współczucie dla nieznanego jej córki wojskowego dyrektora. Była przekonana, że przy najbliższym oporze są bezwzględnie karane.

– Sam także nie widziałem jeszcze kobiety lekarza – wyznał Napoleon. – Nawet nie pomyślałem, że kobieta mogłaby... Wstyd mi.

– Nie jestem pierwsza, proszę mi wierzyć. – Uśmiechnęła się.

Cybulski przestępował z nogi na nogę, wyraźnie się nad czymś zastanawiał.

– Pani Anno – powiedział. – Dyrektor, to znaczy Iwan Grigorjewicz, nie pomoże pani, choćby ze względu na to, że nienawidzi Polaków oraz kobiet.

Zaśmiała się cicho.

– A ja się łudziłam, że zwoła komisję... – powiedziała. – Przeczyta moje prace i doceni to, co chcę robić w Warszawie.

Napoleon patrzył ze smutkiem.

– Dobrowolnie tego nie zrobi – odparł.

– W takim razie nic tu po mnie. – Westchnęła. – Nie będę strzelać do Iwana Grigorjewicza, zatem nie uzyskam tego, o co proszę. Miło mi było pana poznać, doktorze Cybulski. Dobrze się z panem rozmawia, ale obawiam się, że muszę już iść. Wzbudzamy tutaj poruszenie.

Kilkoro studentów, przechodząc obok nich, spoglądało ciekawie to na Annę, to na Napoleona.

– Zaprosiłbym panią na wykład profesora Tarchanowa, ale... – powiedział i uciekł wzrokiem.

– Ale nie wie pan, czy pana koledzy zechcą mnie wpuścić do sali – dokończyła ironicznie. – Rozumiem to. Naprawdę muszę już iść.

– Miałem na myśli to, że asystentce profesora Fritscha wykład dla studentów wydałby się nudny.

– Sama w swoim życiu wiele razy wykladałam, prowadziłam różne badania. Chciałam otworzyć praktykę. Teraz wygląda na to, że powieszę dyplom na kołku i zostanę guwernantką u jakichś bogaczy.

Napoleon Cybulski ścisnął jej rękę.

– Gdzie się pani zatrzymała? – spytał.

Wymieniła adres. Potem grzecznie odmówiła, gdy doktor Cybulski zaproponował, że odprowadzi ją do wyjścia, i sama szybko zbiegła po schodach. Nawet nie próbowała łapać dorożki. Wracała z poczuciem zupełnej klęski.



– Panienska się nie poddaje – przekonywała Kasia, kiedy Anna napomknęła, że powinny od razu wrócić do Warszawy, gdyż dyrektor akademii bezceremonialnie wyrzucił ją za drzwi. – Panienska zapłaciła gospodyni za tydzień, to trzeba zostać.

– Tak – odpowiedziała młoda lekarka po namyśle. – Może pójde do teatru? Kasia sapnęła, a potem przewróciła oczami.

– Nie do teatru, tylko do urzędu panienska powinna iść. Do najwyższego tu urzędnika – powiedziała z przekonaniem.

– Jakiego znów urzędnika?

Kasia podała Annie zupę. Obok położyła pajdę chleba z mocno wypieczoną skórką. Annie ślina napłynęła do ust.

– Co to za zupa? – spytała dziewczyna. – Pięknie pachnie.

– A juści. – Kasia skrzyżowała ręce na piersiach, zadowolona z siebie. – Pewnie, że dobra. Panienska je.

Anna nabrała łyżkę zupy i szybko przełknęła. Strawa była bardzo smaczna.

– Wiem, co mówię, panienko. Bo ja tu się rozejrzałam trochę – wyjaśniła Kasia i dodała: – I zaraz pracę zaczęłam.

– Jaką pracę? – spytała słabo Anna. Zamknęła oczy i odgryzła solidny kawałek chleba. Aż ją ślinianki zabolowały, taka była głodna.

– Będę tu gotowała i sprzątała – odpowiedziała dziewczyna z dumą. – Dwadzieścia kopiejek dziennie. Studenty płacą.

– Aha. – Anna niewiele zrozumiała. – Gospodyni wie?

Kasia przytaknęła.

– Sama mi mówiła, żeby kuchnię sprzątnąć, bo ona niby stara i niedomaga.

– I dała ci za to pieniądze? – uznała Anna.

– Najpierw nie chciała dać. Że ja niby służąca i do sprzątnania nawykła. Owszem, nawykła, ale nie za darmo i nie u niej – perorowała. – I nie chciałam.

Kasia uniosła dumnie głowę. Annie ponownie zrobiło się przykro, że nie płaci dziewczynie.

– Powiedziałam, że się wyniesiemy – wyznała Kasia. – Jak nie zapłaci. Powiedziałam: pani Nataszo Nikołajewna, to się nie godzi najpierw panienkę wysoko urodzoną do zapchlonej nory wprowadzać, brać pieniądze jak za zboże, a potem jeszcze wymagać, żebym ja cudze kąty sprzątała za darmo. Zapłaci pani, to sprzątnę. Nie zapłaci pani, to se pójdziem. Tak jej powiedziałam.

– Bój się Boga! – Anna się przestraszyła. – A gdyby nas wyrzuciła?

Dziewczyna wzięła się pod boki.

– To byśmy poszły gdzie indziej, gdzie nie jest tak brudno. Dla nas lepiej by było. Stara o tym wie, to mi w końcu grosiny rzuciła.

– I na tej kuchni ugotowałaś taką dobrą zupę? – spytała z uśmiechem Anna. Ciepło ogarniało ją z każdą kolejną łyżką stawy.

Kasia znów przytaknęła.

– A chleb skąd? Pyszny.

Czuła ogromną wdzięczność. Ta dziewczyna to był istny skarb.

– Zagniotłam – wyjaśniła. – Tu niedaleko mają piekarnię. Zagniotłam na szybko i zaniósłam do upieczenia. Połowę sprzedałam – dodała.

– A skąd mąka? – dociekała Anna. Spryt Kasi ją zadziwił.

– Kupiłam z tych pieniędzy, co mi panienka dała. Od razu poleciałam i się wywiedziałam co i gdzie. Potem poszłam sprzątnąć kuchnię u gospodyni, ale panienko, jeden dzień nie wystarczy. Odszorowałam tylko piaskiem palenisko i garki, żeby na czystym ugotować.

– Bardzo dobrze – pochwaliła ją Anna, która wiedziała, że higiena to podstawa zdrowia.

– No pewnie, że dobrze – zgodziła się Kasia. – Mnie panienka mówi? Ja zawsze czysta byłam, ale panienka to taka czysta jest, że ja już nie wiem, jak szorować, żeby panienkę zadowolić.

– Przecież jestem zadowolona. – Anna wskazała palcem na zupę, która była bardzo dobra, tłusta i pożywna. – I jem wszystko, co ugotujesz.

Wszystko takie dobre. Skarb z ciebie nie lada.

„I w dodatku spryčiuła”, dokończyła w myślach. „Nie z tych, co to siedzą i bąki zbijają, tylko z tych, co nie tracą ani chwili”.

– I już tu sprzątałam u takiego Włodka – dodała dziewczyna. – On jest Polak, ale się nie przyznaje, bo ojciec Rosjanin. Dziadek był Polak. On też Polak. Tak se myślę, nie?

– Jak ty zdążyłaś zrobić tyle rzeczy? – zdumiała się Anna. – Posprzątałaś kuchnię, pokój studenta, upiekłaś chleb i ugotowałaś zupę?

– Oj, panienko. – Kasia aż pokraśniała, tak ją cieszyły pochwały. – Ja za darmo jeść chleba nie będę. Panienska tu nie pracuje, rubelki się jeszcze gotowe skończyć, a przeżyć trzeba.

Anna się wzruszyła. Pomyślała, że nie ma innych bliskich poza Kasią i panią Domicelą Korzyńską oraz jej mężem. Kiedyś najbliższa jej była Grażyna, ale ta znów nie dawała znaku życia.

– I ten Włodek pytał mnie, co my tu robimy, po co żeśmy przyjechały – opowiadała służąca. – Nawet myślał, że nas car zesłał na Syberię.

– Gdyby car zesłał nas na Syberię, to nie siedziałybyśmy w Petersburgu – zauważyła Anna.

Po klęsce powstania styczniowego, które car krwawo stłumił, Królestwo Polskie straciło resztki autonomii i zaczęto nazywać je Krajem Nadwiślańskim. Kibitki jeździły na Syberię jedna za drugą. Tyle ludzi z kraju wyrzucono na poniewierkę, wysłano w wieczne śniegi, a tym, co zostali na dawnych ziemiach polskich, nakazano zapomnieć o Polsce.

– Też tak powiedziałam, bo ja nie jestem głupia – wyjaśniła Kasia. – Ale ten Włodek mówił, że tu dużo żon przyjeżdża prosić cara o zmiłowanie. Że niby jak się poprosi, to car może darować i do domu odesłać.

Anna nie słyszała o nikim, kto by wrócił z Syberii, choćby nie wiadomo jak prosił, zapewniał o lojalności czy był majątny, ale nic nie powiedziała. Nie chciała mącić dziewczynie w głowie.

– No i co? – spytała cierpliwie Anna. – Co ten Włodek ci powiedział?

– Sprzątnęłam mu i ugotowałam – odpowiedziała Kasia. – Gospodyni to się cieszy, że szczury wymiatam, bo ona stara i tylko rubelki by liczyła. I do

kuchni mi dała wejść. Ja tam, proszę panienki, ugotowałam, ale jutro to naprawdę będę musiała sprzątnąć, bo tu strasznie brudno. Ona te szczury w piecu pali – dodała z grozą w głosie.

– Kasiu, miejże litość nade mną i powiedzże wreszcie czego się dowiedziałaś – Anna pominęła uwagę o szczurach palonych w piecu.

– No właśnie z litości nad nami tam poszłam i ugotowałam zupę. Bo ja nie dopuszczę, żeby mi tu panienkę otruli. – Po czym widząc groźny wzrok Anny, wreszcie przeszła do meritum: – I ten Włodek mi powiedział, żeby iść do urzędu. Bo ja sama to skąd bym wiedziała?

– Ale po co ja mam iść do urzędu? – Anna nie do końca rozumiała. – I do jakiego?

Kasia uderzyła się ręką w czoło.

– Ano tak, ja o tym chciałam. Ten Włodek mi tak powiedział: urząd najważniejszy na największej ulicy.

– Aha. – Anna pokiwała głową, zastanawiając się, czy ten Włodek aby na pewno wiedział, co mówi.

– Jest tam taki duży kościół – tłumaczyła Kasia. – A obok najważniejszy urząd. Tam wszystko mogą.

Annie zaczynało coś świtać w głowie. Słyszała, że car Aleksander uważa się za wielkiego reformatora: kazał przewietrzyć skostniałe urzędy, wyrzucił starych urzędników, przez co ściągnął na siebie gniew poddanych – nawet zamach na niego przeprowadzono w sześćdziesiątym szóstym roku. Sprawiedliwości nie stało się jednak zadość – car przeżył i powrócił do gnębienia Polaków i ruskich wieśniaków pospołu. Anna zastanowiła się nad słowami dziewczyny. Może chodzi o to, żeby o pozwolenie na praktykę prosić samego cara? Albo jakiegoś wysokiego urzędnika? Może tak należało załatwić sprawę, a nie iść do dyrektora akademii medycznej?

– Ja mu powiedziałam, po co panienka przyjechała, i on mi od razu uwierzył, bo słyszał o kobietach, które chciały się uczyć. W Ameryce ponoć takie są.

Anna zjadła ostatnią łyżkę zupy.

– Bardzo dobra ta zupa, Kasiu – pochwaliła po raz kolejny, bo i wdzięczność jej rosła z każdą przełkniętą łyżką. Wiedziała, że służąca jest typem człowieka, który gdy się go pochwali, zrobi jeszcze więcej. – Dziękuję ci.

– Mówiłam, że nie dam nam z głodu umrzeć – przypomniała Kasia skwapliwie. – Ani panience zginąć. I tak z tym Włodkiem, proszę panienki...

Anna kiwnęła powoli głową. Była bardzo zmęczona. Marzyła o tym, żeby się położyć. Pomysł Kasi, aby iść do cara, wydawał jej się absurdalny. Uważała, że wszystko przemawia przeciwko niej. Jej płęć, narodowość i chęć leczenia.

– Nie zginę, tylko trzeba wracać do domu – westchnęła. – Nuty przepisywać. Nic tu po nas, Kasiu.

– Najpierw do tego urzędu – upierała się służąca. – Włodek powiedział, że panienkę zaprowadzi. Twierdzi, że lepiej, gdyby panienka z nim poszła, bo tu kobiety samej nie wpuszczą nawet do dorożki. Chyba że bardzo bogato ubraną, a panienka, z całym szacunkiem, nie jest ani trochę bogata. I to po panience widać. Bo tu kobiety noszą futra i czapy takie puchate, jakby z niedźwiedzi skórę zdarto. A służące biegają tu w chustach jak w Polsce, to znaczy w Warszawie.

– To dlatego musiałam sama iść taki kawał drogi – mruknęła Anna, leżąc już w łóżku przykryta kocem przez Kasię, z ciepłym naczyniem w nogach. W blaszanej kozie wesoło igrał ogień.

– I powiedział, że panienka musi dyplom pokazać nie w akada... akade... adama... – męczyła się Kasia.

– Cesarskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej – dokończyła Anna w półśnie.

– Właśnie – przytaknęła dziewczyna i potężnym dmuchnięciem zgasła świecę. – Tylko w tym najważniejszym urzędzie. Panienkę tam jutro zaprowadzi ten, no...

Rozległo się pochrapywanie Kasi, a Anna pomyślała, że „ten Włodek” pewnie się myli, ale skoro mają wracać do domu, to może jeszcze udać się w to miejsce. Może tam coś wskóra.



Włodek okazał się wysokim, chudym młodym człowiekiem, ubranym po studencku, z nasuniętą na czoło czapką. Sprawnie zagwizdał na dorożkę, a przejeżdżający fiakier natychmiast zatrzymał konia. Wsiedli. Już na początku uprzedził Annę, że będą rozmawiali po rosyjsku, bo tu polska mowa nie jest akceptowana i mogą zostać wyrzuceni z każdego miejsca, do którego będą chcieli wejść.

– Car nienawidzi Polaków – dodał. – A po powstaniu to sama pani wie, co było.

– Dobrze. Nie będziemy mówić po polsku. – Anna skinęła głową.

– Jeden mój kolega udawał Rosjanina, a był Polakiem. I po pijaku śpiewał patriotyczne piosenki. Aresztowano go. Więcej go nie widziałem.

Anna pomyślała, że chłopak ma rację. Represje były aż nadto widoczne, nie warto było ryzykować.

– Co pan studiuje? – zagała.

– Inżynierem będę – powiedział Włodek z dumą. – Budowniczym.

– A co by pan chciał najbardziej budować? – spytała tylko z grzeczności, bo nie miała ochoty na rozmowę.

– Mosty – wyznał chłopak. – Długie mosty nad wielkimi rzekami.

Po czym zaczął opowiadać jej z zapałem o swojej pasji. Początkowo Anna uciekała myślami, ale potem zasłuchała się w pełną żaru opowieść.

– A gdzie pan będzie budował te swoje mosty? – spytała.

– W Ameryce – odpowiedział szeptem, jakby fiakier na koźle mógł usłyszeć ich rozmowę. – Albo w Kanadzie.

– Słyszałam, że w Kanadzie prawie nie ma ziemi pod uprawę – powiedziała. – Tylko lasy. Tam raczej drwali szukają.

– Znajdą. – Uśmiechnął się. – A drzewo posłuży jako budulec.

– A może pan pojedzie na Alaskę? – spytała z uśmiechem.

– Może – przytaknął. – Najjaśniejszy pan sprzedał ziemię Amerykanom za siedem milionów dolarów. Chyba dobrze zrobił.

Anna miała inne zdanie. Dużo czytała o tej transakcji. Uważała, że Rosjanie, pozbywając się półtora miliona kilometrów kwadratowych ziem w Ameryce Północnej, popełnili wielki błąd. Wydawało się, że Alaska to kraina skuta lodem, ale Annie coś mówiło, że pod śniegiem kryją się nieograniczone możliwości. Bogumił Korzyński, którego o to kiedyś zagadnęła, zgodził się z nią i powiedział, że jego mieszkająca w Stanach Zjednoczonych Ameryki szwagierka pisała w liście, że Amerykanie świętowali tę transakcję. Zaraz też przystąpili do zasiedlania tych terenów.

– Na pewno. – Pokiwała głową. – Utrzymanie tego rejonu kosztowałoby znacznie więcej niż jego sprzedanie, a przegrana w wojnie krymskiej...

Student położył palec na ustach i spojrział na nią z przerażeniem, więc umilkła, nie skończywszy myśli. Dorożka zatrzymała się, Włodzimierz pomógł Annie wysiąść, a następnie śmiało poprowadził ją w stronę niskiego budynku z wielkimi oknami i błyszczącą w słońcu kopułą.

– Pani nic nie mówi, dobrze? – zastrzegł.

Kiwnęła głową.

– Nie ma procedury – wymruczał carski urzędnik, bliźniaczo podobny do Aleksieja Maksymowicza, tylko grubszy i mniej czerwony na twarzy, kiedy Włodek wstępnie przedstawił sprawę.

– Jakiej procedury? – spytał urzędnika.

Anna stała obok i nie odzywała się, tak jak ją proszono.

– Nijakiej nie ma dla kobiet – uciął urzędnik.

Anna już chciała wyjść, ale zauważyła, że student nie ruszył się z miejsca. Stała więc grzecznie i przysłuchiwała się rozmowie, starając się nie wzbudzać w sobie ani iskielki nadziei.

– Jak się nazywacie? – spytał Włodek.

– Jasienicz – odpowiedział urzędnik. – Oleg Michajłowicz Jasienicz.

– Olegu Michajłowiczu – zaczął chłopak z grzecznym uśmiechem. – Jesteście z Petersburga?

– Owszem – odpowiedział mężczyzna z godnością. – Moja rodzina mieszka tu od pokoleń. Cała moja familia na usługach najjaśniejszego pana

Aleksandra z Romanowów, oby Pan Bóg dał mu zdrowie. Od pokoleń służymy.

– Ja też będę służył carowi – powiedział Włodzimierz przymilnie. – Władimir Grigorjewicz Aszunin, pan pozwoli, że się przedstawię.

Mężczyźni podali sobie ręce i zaczęli gawędzić o tym, gdzie w Petersburgu są najpiękniejsze miejsca do spacerów, oraz wymieniać uwagi na temat pogody.

– Mosty będę budował w służbie najjaśniejszego pana, jak już studia skończę – powiedział gorliwie chłopak. – Tu, w Petersburgu, jest pięknie, ale nie wszędzie w carstwie są dobre mosty. Czasem w ogóle mostu nie ma i najjaśniejszy pan musi nakładać drogi. Ja bym zbudował dla najjaśniejszego pana most na Newie.

Zawiesił głos i spojrzał na urzędnika.

– Tak – odparł mężczyzna z uniesieniem. – Most na Newie dla najjaśniejszego pana!

– Właśnie – potwierdził Włodzimierz z przekonaniem. – Na Newie.

Na czole mężczyzny nagle pojawiła się pionowa zmarszczka.

– A statki jak będą pływały? – spytał, unosząc palec. – Most zbudujesz, to statki nie popłyną, chłopaczku. A statki są potrzebne najjaśniejszemu panu.

– Ha! – Włodek z zadowoleniem zatarł ręce. – Jest na to rada. Most – zawiesił głos dla większego efektu – będzie zwodzony... Gdy najjaśniejszy pan będzie chciał przejechać, to most zostanie mostem, a gdy będzie musiał przepłynąć statek, to most się uniesie, a potem złoży.

– Mój Boże. – Oleg Michajłowicz przeżegnał się i rzucił okiem na Annę. – Pani ma mądrego brata. Pani musi być dumną kobietą.

– To nie jest moja siostra – powiedział Włodek, zanim Anna zdecydowała, czy się odezwać czy nie. – To jest moja narzeczona.

Anna uśmiechnęła się grzecznie, kiedy urzędnik pogratulował młodemu.

– I dlatego chciałbym, żeby moja narzeczona pracowała na chwałę najjaśniejszego pana – ciągnął student. – Czy rozumie pan, Olegu Michajłowiczu?

Urzędnik podrapał się po głowie.

– To mówi pan, że co? Że ona naprawdę wykształcona?

– Tak. – Włodek pokiwał głową. – Studia w Zurychu kończyła.

– Kobieta? – Urzędnik omiótł Annę wzrokiem. – Kształcona?

– Ona także chciałaby budować mosty, ale cóż, kobieta. – Rozłożył bezradnie ręce, a minę miał przy tym tak rozczarowaną, że Anna nieomal uwierzyła, że jej pragnieniem było studiowanie budownictwa. – No to ludzi chce leczyć. Ja bym pozwolił.

Po czym wpatrzył się psim wzrokiem w starszego mężczyznę. Urzędnik zmarszczył czoło.

– Ja tam nie wiem – powiedział, po czym wyjął wielką kraciatą chustkę i otarł czoło. – Nie ma procedur...

Anna znów chciała wyjść, ale Włodek i tym razem się nie poddał.

– A gdyby tak chcieć stworzyć takie procedury, to pan, Olegu Michajłowiczu, by mógł? Kto jak nie pan mógłby pozwolić kobiecie służyć najjaśniejszemu panu? W pana rękach zdrowie najjaśniejszego pana!

– Ja skromny urzędnik. – Pokręcił głową przecząco. – Nie mogu...

– Gdzie tam skromny! – oburzył się Włodzimierz. – Jaki skromny! Taka rodzina! Z dziada pradziada służy carowi! Kto ma stworzyć procedury jak nie szanowny pan? Olegu Michajłowiczu, ja pana bardzo proszę. Niech pan to zrobi dla cara.

Byłaby się roześmiała na widok pełnej pasji miny Włodka i zafrapowanego starszego mężczyzny, który wyraźnie przyjął argumentację chłopaka i teraz zastanawiał się, co począć w takiej sytuacji. Tyle że nie było jej do śmiechu.

– Nu dobrze – powiedział wolno urzędnik. – Zostawcie papiery, a ja pójdę do... odpowiedniego człowieka.

– Dziękujemy panu bardzo, Olegu Michajłowiczu. Bardzo dziękujemy. – Włodek gorliwie uścisnął dłoń urzędnikowi i skinął na Annę.

Podeszła, ale początkowo nie wiedziała, czego się od niej oczekuje. Wreszcie domyśliła się tego ze sposobu, w jaki urzędnik podał jej rękę, i kilkakrotnie, tłumiąc wstręt, ucałowała tłustą dłoń.

Razem z Włodkiem wyszli na korytarz i usiedli na pięknie ozdobionych krzesłach obitych zielonym pluszem.

– Pan powinien być komediantem, a nie budować mosty – powiedziała Anna.

– Ciszej, proszę – upomniał ją nerwowo chłopak.

Zamilkła, przywołując w głowie argumenty wysuwane przez towarzysza.

– Dziękuję panu bardzo, Włodzimierzu – powiedziała po chwili. – Nie zna mnie pan, a postanowił pomóc.

– Trzeba sobie pomagać – odparł z przekonaniem. – Wierzę, że dobro wraca. Gdy byłem mały, moja matka umarła w połogu, a ojciec od razu wziął inną żonę. Nie lubiła mnie, oj, nie lubiła. Ojca ode mnie odciągała, mało mnie nie posłała do kryminału. Uciekłem z domu, bo nie mogłem wytrzymać. Byłbym zginął, ale pewni ludzie przygarnęli mnie do pracy. Starsza para, bezdzietna. Traktowali mnie jak syna. A kiedy zmarli, okazało się, że mi zapisali cały swój dobytek. Mogłem pójść na studia.

– A pana ojciec i macocha?

Włodek skrzywił się nieznacznie.

– Nie chowam urazy. Ojciec zmarł rok temu, macocha napisała, że żałuje swojego postępowania i prosi, żebym wrócił do domu, bo ona sama została na starość. Gdybym chciał w domu siedzieć i się mścić, tobym się nie mógł uczyć, bo tylko w polu bym robił.

– Dziękuję – powiedziała. – Trzeba sobie pomagać. Ja jedynie chcę praktykować – dodała tonem usprawiedliwienia.

Kiwnął głową i pomógł jej wstać, bo właśnie dostrzegli, że wraca urzędnik. Po jego minie poznali, że nie ma najlepszych wieści.

– I co, Olegu Michajłowiczu? – spytał Włodek niecierpliwie. – Będzie ta moja narzeczona mogła leczyć na chwałę cara?

– Nu, niestety... – Mężczyzna rozłożył bezradnie ręce.

Anna i Włodek popatrzyli po sobie.

– No ale przecież można stworzyć procedury dla kobiet – upierał się chłopak.

– Nu, niestety... – powtórzył Oleg Michajłowicz.

– Ale dlaczego? – zniecierpliwiał się Włodzimierz. – Car nie będzie miał wierniejszej poddanej. A dla tutejszych kobiet to lepiej, jak je kobieta będzie opatrywać czy doradzać medycznie.

Urzędnik pokręcił jeszcze raz głową, po czym wyciągnął przed siebie jakiś dokument.

– Car nasz, Aleksander z Romanowów – powiedział uroczyście i przeżegnał się trzy razy po prawosławnemu – wydał zarządzenie, według którego zabrania się poddanym rosyjskim studiowania w Zurychu. To jest wrogi kraj dla Cesarstwa i nikt, kto uczy się we wrogim kraju, nie będzie mile widziany w Petersburgu.

Po czym teatralnym gestem pokazał Annie i Włodzimierzowi drzwi.

W dorożce nie zamienili ani słowa. Po powrocie Anna opowiedziała pokrótce całą historię Kasi, po czym musieli ją długo z Włodkiem pocieszać, bo dziewczyna wylewała z siebie potoki łez i żalów, że to niesprawiedliwe i że to pewnie przez nią wszystkie nieszczęścia dotyczą najlepszą pod słońcem panienkę.

– Nie przez ciebie car wydał ukaz. Zrobił to w zeszłym roku, dlatego nie wiedzieliśmy – cierpliwie tłumaczyła jej Anna.

– A może jaki inny urząd się ulituje? – Uniosła na Włodka mokre oczy.

Chłopak pokręcił głową.

– Jeśli istnieje taki ukaz, to żaden urzędnik nie wyrazi zgody, boby zawisł na stryczku. Tu car jest... – ściszył ton, rozejrzał się dokoła i dokończył: – sprawiedliwy.

Kasia ponownie zanosła się płaczem, jakby to jej marzenia zostały zniweczone.

– A może byś nam podała jedzenie? – zaproponowała Anna, chcąc przerwać ten wyraz rozpacz. – Jesteśmy bardzo głodni.

– Już, już. – Kasia natychmiast wstała, wytarła fartuszką łzy i pobiegła po kaszę gryczaną ze skwarkami.

– To ja już pójdę. – Włodzimierz się podniósł.

– Chyba pan żartuje – oburzyła się Anna. – Pomógł mi pan, więc niech pan chociaż z nami zje.

Włodzimierz usiadł z powrotem na krześle i przełknął ślinę.

– Proszę, panienko, niech panienka przynajmniej się naje po tym nieszczęściu. – Kasia postawiła dużą parującą miskę na świeżo wyszorowanym drewnianym stole i odeszła w ką. Po chwili Włodek i Anna usłyszeli cichy szloch.

– Kasiu, chodź tu i zjedz z nami – poprosiła Kasię. Już kilkakrotnie namawiała dziewczynę. Ostatecznie były tu we dwie i łączyło je coś więcej niż relacja służąca–pani.

– Nie mogę – zaprotestowała.

– Przecież mówiłam, że bym chciała – prosiła Anna. – Nie lubię jadać sama.

– To panienka niech jada z panem Włodzimierzem – odpowiedziała dziewczyna, pokazując na chwilę zalaną łzami twarz. – A ja, jakbym siadła, tobym jeszcze więcej nieszczęścia sprowadziła, zatkałaby państwa kasza i by państwo pomarli.

– Zadławiła – odruchowo poprawiła ją Anna. – Usiądź z nami, proszę.

Kasia pokręciła głową, ale patrzyła to na Annę, to na Włodka.

– No chodźże, panna! – krzyknął student, a Kasia przestała płakać, podumała trochę i posłusznie podeszła do stołu.

Po chwili jedli we troje w milczeniu.



Anna postanowiła napisać z Petersburga do Korzyńskich.

Kochani dobrodzieje moi,

niedługo wracam do Warszawy. Nic nie zdołałam uzyskać w Petersburgu mimo życzliwości niektórych miejscowych. Car Aleksander wydał zarządzenie, że poddani rosyjscy nie mogą studiować w Zurychu. Nawet to, że jestem kobietą, przestało mieć znaczenie w obliczu tego ukazu. Jeszcze nie postanowiłam, co będę robiła w Warszawie, czy wrócę do pracy kopistki czy może najmę się na guwernantkę. A może ciężkie czasy w fartuchu pielęgniarki przeczekam. Mam różne

pomysł. Kiedy zbiorę odpowiednie środki, wzorem pierwszej pielęgniarki na świecie, panny Florence Nightingale, słynnej „damy z lampą”, założę szkołę dla pielęgniarek i będę uczyła, jak opiekować się chorymi. Ostatecznie może do tego posłuży moje wykształcenie.

Chciało jej się płakać. Wszystkie nadzieje legły w gruzach. Popatrzyła na spakowane kufry i przygarnęła do siebie Kasię. Już dawno przestała traktować dziewczynę jak służącą.

– Nie martw się, dziecko – powiedziała po raz setny. – Widocznie Pan Bóg tak chciał. Może jeszcze nie mój czas.

W odpowiedzi Kasia westchnęła. Włodek wziął kufer Anny i z żalem spojrzał na służącą, a ona odpowiedziała mu powłóczyстым spojrzeniem. Wydawało się, że chłopak coś do niej czuje. Tydzień to był dostatecznie długi czas, by Kasia wysprzątała Nataszy Nikołajewnie dom od piwnicy po dach, ale nie na tyle długi, żeby Włodek zakochał się w dziewczynie i poprosił, aby pozostała z nim w Petersburgu, klepiąc biedę.

Na dole czekała dorożka. Włodek dał fiakrowi pieniądze.

– Zabierze pan te panie na dworzec, tylko kufry pomoże nieść – rzucił.

Fiakier wziął monety i kiwnął głową. Sam Włodzimierz chyba nie chciał z nimi jechać i żegnać się na dworcu – wolał przed domem chusteczką pomachać. Anna i Kasia wsiadły do dorożki i otuliły się szalami. Był już kwiecień, ale w Petersburgu wciąż panował ziąb.

– To z Bogiem – powiedział Włodzimierz.

Dorożka ruszyła powoli, podskakując na kocich łbach. Anna pograżyła się w zadumie.

– Stać! Stać! – rozległo się dalekie wołanie, a powóz natychmiast się zatrzymał.

Spojrzały na siebie z Kasią, Anna uchyliła drzwiczki. Ku swemu zdumieniu zobaczyła Napoleona Cybulskiego biegnącego ulicą i wymachującego rękoma. Tuż za nim biegł Włodzimierz Aszunin, który również krzyczał i machał rękoma, choć przecież powóz się zatrzymał, a Anna właśnie wysiadała.

– Pani Anno, pani Anno – dyszał Cybulski, który dobiegł do niej, trzymając się za serce. – Biegłem, biegłem, żeby pani osobiście przekazać

dobłą nowinę.

Anna mimowolnie się roześmiała.

– Pan nie wygląda na anioła zwiastowania, a ja nie Najświętsza Panienska – powiedziała. – Co się stało, panie Napoleonie, niech pan szybko mówi, bo my jedziemy na pociąg, wracamy do Warszawy.

– Nie, nie. – Włodek, który właśnie do nich dobiegł, spoglądał jaśniejącym wzrokiem na Kasię. – Nigdzie nie pojedziecie. Cud się stał.

Anna nie wierzyła w cuda, tylko czasem w szczęśliwe zbiegi okoliczności, ale właśnie miało się okazać, że ma do czynienia na poły z jednym i drugim.

– Dyrektor akademii nagle zmienił zdanie i nostryfikował mój dyplom? – spytała.

– Nie całkiem, ale prawie – wydyszał Napoleon.

– Jak to? – Teraz ona złapała się za serce.

– Szukają w Petersburgu kobiety lekarki. Do akademii z tym przyszli. – Napoleon Cybulski łapał oddech niczym ryba i Anna podejrzewała, że pokonał biegiem całą drogę od akademii do ich domu. – Przypadkiem usłyszałem i zaraz się wywiedziałem, o co chodzi.

– Przecież byłam w akademii – przypomniała mu, bo nie miała odwagi cieszyć się tą nowiną. – Dyrektor nie chciał ze mną nawet rozmawiać, a ten drugi diabeł wyrzucił mnie za drzwi.

– Mówiłem, że dyrektor nienawidzi Polaków, ale teraz chodzi o co innego – wyjaśniał.

– Niech pan mówi szybko, bo pociąg nam odjedzie – poprosiła.

– Poczekaj pan chwilę – uspokajał fiakra Włodzimierz.

– Niech jedzie. – Napoleon Cybulski machnął ręką. – Zostaje pani w Petersburgu.

Włodzimierz, jakby tylko na to czekał, wyciągnął kufry z powozu. Fiakier natychmiast odjechał.

– Co pan najlepszego zrobił! – wykrzyknęła Anna. – Pociąg nam ucieknie! Akademia może sobie szukać kobiety lekarki, ale car wydał ukaz, że

poddanym nie wolno studiować w Zurychu! Nawet dyrektor akademii nic nie może poradzić na wolę cara!

– Wejźmy do środka – zaproponował Włodek.

– Nie, nie! – Anna się martwiła. – Niech pan znajdzie inną dorożkę, to jeszcze zdążymy na pociąg. Pieniądze przepadły!

– Pani Anno, ja zaraz wyjaśnię – przekonywał Cybulski, podczas gdy Włodzimierz wziął bagaże Anny i wracał w stronę domu Nataszy Nikołajewny.

Anna się zdenerwowała. Gotowa była obu przeświścić, zwłaszcza Napoleona.

– Zaraz wyjaśnię, tylko złapię oddech – sapał ten. – Całe szczęście, że zdążyłem.

Wreszcie Anna uznała, że wysłucha polskiego fizjologa, bo i tak już nie zdążą na pociąg. Zrezygnowana ruszyła za Włodzimierzem. W progu powitała je gospodyni, nieco zdumiona, że wróciły, zanim jeszcze wyjechały. Natychmiast zażądała podwójnej ceny za wynajem dawnego pokoju. „Bo przecież teraz było tam czysto”, pomyślała złośliwie Anna.

– Bom ja już wynajęła – mruknęła Natasza Nikołajewna.

– Nic żeś, pani Nataszo, nie wynajęła – uciął Włodzimierz. – A panna Jekatierina to dla pani istne błogosławieństwo. Powinny za darmo mieszkać.

– Za darmo, jeszcze czego – oburzyła się gospodyni. – Mogu za poprzednią cenę dać, niech stracę, ale z góry płatne i za tydzień.

– Zgoda – powiedział Włodzimierz i ruszył z walizkami na górę, ale Anna zagroziła mu drogę.

– Dość tego! – zagrzmiała. – Czy ja się wreszcie dowiem, o co chodzi?!

– Tak, tak! – Napoleon Cybulski odzyskał mowę. – Cud, mówiłem.

– To niech pan wreszcie opowie o tym cudzie! – krzyknęła, doprowadzona do ostateczności, po czym wręczyła Nataszy Nikołajewnie pieniądze za kolejny tydzień pobytu w pokoju.

Perspektywa bezczynnego siedzenia w Petersburgu kolejny tydzień nie była jej miła. Nie wierzyła, że istnieje powód ku temu, by tu została.

Napoleon Cybulski na pewno coś źle usłyszał.

– Petersburska Akademia Medyko-Chirurgiczna poszukuje lekarki, kobiety lekarza, płynnie władającej językami rosyjskim, niemieckim, angielskim i francuskim – zaczął uroczyście.

– Znam te języki – powiedziała i spytała nieco zgryźliwie: – Żaden mężczyzna w Petersburgu nie dysponuje takimi zdolnościami językowymi?

– Potrzebują kobiety – powiedział stanowczo Cybulski. – Bo widzi pani, w Petersburgu stacjonuje sam sułtan Omanu. Wraz z haremem. Trzeba objąć opieką lekarską jego żony.

– Słucham? – Annie przez chwilę się wydawało, że młody fizjolog bredzi, ale z jego miny wywnioskowała, że mówi zupełnie poważnie.

– Nie może ich oglądać żaden mężczyzna. Sama pani rozumie.

Spojrzała na Włodzimierza, który na pewno usłyszał jakąś wstępną wersję tej historii, zanim zgodził się zatrzymać powóz i uniemożliwić Annie powrót do Warszawy. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Rozumiem – powiedziała wolno. – Żon sułtana nie może oglądać żaden mężczyzna. Nawet lekarz?

– Nawet lekarz – potwierdził Napoleon. – W haremie są pilnowane przez rzezańców.

Kasia rozpakowywała walizkę Anny, cicho podśpiewując.

– Początkowo poszukiwano – Cybulski chrząknął – eunucha, ale z tego, co mi wiadomo, w akademii nie ma takowego, a nawet jeśli jest, to się nie przyznał albo nie włada językami. Wreszcie zdecydowano się zatrudnić kobietę. Gdy tylko się o tym dowiedziałem, przybiegłem, mając nadzieję, że jeszcze nie wyjechała pani z Petersburga.

Anna analizowała usłyszane informacje.

– Żony sułtana Omanu potrzebują kobiety lekarki? – upewniła się w końcu.
– I sułtan polecił znaleźć taką w Petersburgu?

Kasia, która chyba wreszcie zaczęła rozumieć, w czym rzecz, przysiadła na łóżku i ciekawie przyglądała się obecnym, od czasu do czasu uśmiechając się do Włodka.

– Tak – potwierdził Cybulski. – Sułtan jest wielkim przyjacielem cara. Przyjechał tu z wizytą, która ma potrwać kilka miesięcy, i ktoś musi czuwać nad jego żonami.

– Ale Zurych...?

Napoleon machnął ręką.

– Jeśli nie znajdą lekarki, to posypią się głowy i ruszą kibitki. W takiej sytuacji dyrektor będzie udawał, że jest pani mężczyzną, a urzędnicy zapomną, że była pani bodaj przejazdem w Zurychu.

– Moje modlitwy zostały wysłuchane! – krzyknęła Kasia i znów spojrzała na Włodka. Anna nie była pewna, czy dziewczyna ma na myśli otwierające się przed nią możliwości zawodowe czy spędzenie kilku miesięcy z chłopakiem, który patrzył na nią z jawną czułością.

– Jutro z rana proszę przyjść do akademii, dostanie pani tymczasowe pozwolenie na leczenie żon sułtana.

– Nie zgadzam się – powiedziała Anna z mocą.

Kasia zamarła, a wyraz szczęścia zniknął z jej twarzy. Mężczyźni wpatrywali się w Annę, jakby powiedziała wyjątkową herezję.

– Jak to? – wykrztusił Cybulski.

– Nie zgadzam się na tymczasowe prawo wykonywania zawodu. Jeśli obejmę opieką żony sułtana – wyjaśniła stanowczym głosem – to żądam przystąpienia do egzaminów i nostryfikacji dyplomu. I jeszcze jedno: egzamin ma być jawny.

– Osobiście to powiem dyrektorowi. – Napoleon Cybulski kiwnął głową, a potem wykrzyknął: – Jakże się cieszę!



Do akademii pojechał z nią nieoceniony Włodek. Na miejscu spotkali się z Napoleonem Cybulskim. Dyrektor nie chciał jednak przyjąć Anny, pozostawił dla niej jedynie pismo, w którym napisano, że legitymująca się

owym giejtem może sprawować zawód lekarza na terenie Petersburga przez okres sześciu miesięcy.

– Wracam do Warszawy. – Uderzyła kilkakrotnie palcem w papier. – Nie tak miało być.

– Pani Anno, nie może pani... – Napoleon spojrział błagalnie.

– Mogę. – Anna była stanowcza.

– Pani Anno – odezwał się Włodzimierz – niech pani zacznie praktykę, a jeśli sułtan będzie zadowolony, napisze do urzędników i oni...

– Nic z tego – przerwała mu, po czym spojrzała na urzędnika, tego samego, który ostatnim razem potraktował ją tak lekceważąco, a który obecnie wpatrywał się w nią z wyraźnym wstrętem.

Anna nie wiedziała, czemu wydaje się temu człowiekowi taka odrażająca. Czy przyczyną była jej narodowość, płeć czy może sama obecność w męskiej szkole?

– Szanowny panie Aleksieju Maksymowiczu – zwróciła się do niego. – To wy szukacie lekarki. Ja chcę wrócić do domu.

– To niech pani wraca – mruknął mężczyzna. – Ja bym panią pod eskortą odesłał...

– Zaraz, zaraz – mitygował go Cybulski – Aleksieju Maksymowiczu, pan doskonale wie, że pani nie może praktykować na podstawie czegoś takiego. – Wskazał palcem dokument.

– Takie pismo zostawił mi dyrektor Matuszkin. – Urzędnik spojrział na Napoleona niechętnie. – Ja tylko posłaniec. Nie decyduję.

– To czemu pan mówi, żeby pani doktor odjechała? – wtrącił się Włodek. – Jeśli odjedzie, a car spyta, kto odesłał, to będzie na pana. A wtedy...

Włodzimierz przeżegnał się kilka razy. Urzędnik sapnął i złożył usta w dzióbek.

– Car będzie bardzo niezadowolony – wyrzucił z siebie Cybulski. – Przecież wiem, że kazano wam znaleźć kobietę lekarzkę. W przeciwnym razie czeka was co najmniej utrata stanowiska! A kto wie, czy nie zostanieie oskarżeni o zdradę. Wtedy będzie się pan modlił o zsyłkę.

Mężczyzna ponownie sapnął, wyciągnął z kieszeni wielką chustę, tę samą co poprzednim razem, tylko starannie upraną i wykrochmaloną, strzepnął ją, aż się rozłożyła, i wytarł twarz.

– Dyrektor dał pozwolenie, a panna nosem kręci... – powiedział. – Może to panna powinna jechać na Sybir?

Anna skrzyżowała ręce na piersiach.

– Czy pan dyrektor chce, żebym praktykowała bez prawdziwego pozwolenia? Bo ja się mogę poskarżyć sułtanowi... Albo carowi...

Usłyszała kolejne westchnienie Cybulskiego. Urzędnik zrobił się czerwony.

– Bezczelna! – sapnął ciężko. – Kobieta mi tu nie będzie otwierać jadaczki.

– Miesiąca pan nie przetrzyma na Syberii – powiedziała z troską w głosie.

Mężczyzna wyglądał, jakby miał dostać ataku apopleksji. Po chwili jednak uspokoił się i zaczął powoli i głęboko oddychać.

– Niech pan tak nie dyszy, zrobi się panu słabo – odruchowo polecił Napoleon Cybulski, jeden z najlepszych fizjologów w całym Petersburgu. – Niech pan siądzie, Aleksieju, i powie mi, czy dyrektor z nami porozmawia.

Urzędnik pokręcił głową, ale się nie odezwał.

– Po co się tak upierać? – spytał Włodzimierz i nachylił się w stronę mężczyzny. – Wszyscy chcemy tylko wypełnić wolę cara. Zyskać jego przychyłność.

Mężczyzna natychmiast zaczął płycej oddychać. Wreszcie wydał z siebie cykl sapnięć i mruknięć, przewrócił kilkakrotnie oczami, pokiwał głową i wreszcie wskazał na drzwi. Cybulski odetchnął z ulgą, zapukał parę razy, a następnie wszedł do środka. Anna także chciała wejść, ale Włodzimierz delikatnie, acz stanowczo ją przytrzymał.

– Jeśli nie da sobie rady, to pani wkroczy, ale teraz proszę spokojnie poczekać.

Pokiwała głową na znak zgody. Milczenie zawisło między zgromadzonymi niczym ołów. Po kilkunastu minutach, które Annie dłużyły się w nieskończoność, drzwi gabinetu dyrektora Cesarskiej Akademii Medyko-

Chirurgicznej otworzyły się i stanął w nich blady Napoleon Cybulski. Oddychał z wyraźnym wysiłkiem, jakby dopiero co przewalił tonę węgla.

– Proszę, niech pani wejdzie – powiedział do Anny.

– Tylko spokojnie – poprosił ją Włodzimierz, jakby się bał, że Anna naubliża dyrektorowi.

Dziewczyna posłusznie weszła, a Napoleon Cybulski zamknął za nią drzwi. Iwan Grigorjewicz Matuszkin siedział za masywnym biurkiem i czytał jakieś dokumenty rozłożone na obitym zielonym suknem blacie.

– Czego pani jeszcze chce? – spytał wrogo.

– Mówiłem panu, dyrektorze... – zaczął Cybulski, ale Anna mu przerwała:

– Czego pani sobie życzy, proszę – poprawiła dyrektora.

Nie zamierzała w żadnym wypadku poddawać się tonowi narzuconemu przez tutejszych urzędników. Cybulski struchlał, a Matuszkin z wysiłkiem się opanował.

– Udzieliłem pani pozwolenia na tymczasową praktykę – powiedział, jakby przeżuwał każde słowo.

– Chciałabym dostać pozwolenie na praktykę na terenie Rosji. Bez ograniczeń czasowych – powiedziała spokojnie, chociaż wszystko się w niej gotowało.

– To niemożliwe – odpowiedział dyrektor. – Musiałbym panią przeegzaminować.

– O to właśnie proszę. O zwołanie komisji i egzamin. Jeśli zdam go pomyślnie, chciałabym praktykować.

– Nie – powiedział stanowczo. – Może pani leczyć żony sułtana. Car sobie tego życzy. Kiedy sułtan wyjedzie, pani będzie niepotrzebna.

– W takim razie już teraz wracam do Warszawy – powiedziała zdecydowanie i odwróciła się.

Dyrektor zacisnął ręce w pięści.

– Mogę panią zamknąć w więzieniu – rzucił. – Za odmowę służenia carowi.

Wstał z fotela i powoli okrążył biurko. Stał naprzeciw Anny. Był od niej o dwie głowy wyższy, bardzo władczy, mimo to dziewczyna nie spuściła wzroku.

– To pan odmawia wykonania rozkazu cara. Nie ja – odparła.

– Panie dyrektorze... – zaczął Cybulski, wyraźnie przerażony.

Anna uniosła rękę i wciąż nie odrywając wzroku od dyrektora akademii, powiedziała do Napoleona:

– Poradzę sobie. Dziękuję.

A potem zamilkła na dłuższą chwilę, wpatrując się w zimne oczy Matuszki. Wreszcie dyrektor pierwszy uciekł wzrokiem.

– Polacy – powiedział ze wstrętem. – Ja bym was wszystkich...

Anna wciąż się nie odzywała.

– Nic nie potraficie, nawet walczyć – mówił. – Nie lubicie ciężkiej pracy, o nie... Gnębicie swoich chłopów, ale arystokracja drży niczym listek na wietrze. Boicie się naszych batów i kibitek, ale umiecie być bezczelni.

Miała ochotę powiedzieć, że nie zna bardziej okrutnego wobec chłopów narodu od Rosjan, ale ponownie się powstrzymała. „Choćby nie wiem co, nie pozwól mu wytrącić się z równowagi”, nakazała sobie.

– Tchórze, oto czym jesteście... – dodał.

Widziała kątem oka, jak Napoleon Cybulski się czerwieni, ale miała nadzieję, że on z kolei nie straci panowania nad sobą i nie wybuchnie gniewem.

– Wynocha – powiedział w końcu dyrektor.

Znów nie ruszyła się z miejsca. Uznała, że warto postawić wszystko na jedną kartę.

– Pójdę – odezwała się – prosto do urzędu petersburskiego i powiem, kto zakazał mi praktyki. Mam nadzieję, że ma pan grono popleczników, ludzi, którzy pomogą wywieźć pana rodzinę na Sybir, którzy pojedą tam z panem i będą pomagać rąbać drwa, żeby nie umarł pan z głodu...

– Pani Anno... – wtrącił się Cybulski słabym głosem.

Matuszkin cofnął się o krok. Cała krew odpłynęła z jego twarzy.

– Ona nie byłaby do tego zdolna – dosłyszała proszący głos Napoleona.

– Owszem, byłabym – powiedziała cicho i zrobiła krok w kierunku dyrektora. – Najechaliście naszą ojczyznę, uważacie nas za karaluchy panoszące się po waszych domach, podczas kiedy to wy skalaliście naszą ziemię, zabraliście nam godność i radość życia, gnębicie nas podatkami, zakazami, ukazami...

– Dość! – wykrzyknął Matuszkin. – Niech pani przestanie.

Umilkła.

– Czego pani chce? – spytał, jakby jeszcze nie wyjaśniła powodu swojego przyjazdu.

– Mówiłam wiele razy. Chcę zwołania komisji egzaminacyjnej. Proszę wyznaczyć datę jawnego egzaminu. Jeśli przejdę go pomyślnie, żądam nostryfikacji mojego dyplomu i uzyskania prawa do praktyki na terenie carskiej Rosji.

– Co z haremem sułtana? – spytał w końcu.

Napięcie w pomieszczeniu sięgnęło zenitu.

– Proszę napisać inne tymczasowe prawo wykonywania zawodu – powiedziała. – Z opisem całej sytuacji. Chcę mieć gwarancję, że po mojej praktyce na rzecz żon sułtana nie zostanę z niczym.

– Nie wystarczy pani moje słowo? – zapytał groźnym tonem Matuszkin.

I tym razem nie spuściła wzroku.

– Pan dyrektor raczy... żartować – wycedziła.

Patrzyła z zadowoleniem, jak Matuszkin sięga po kartkę i pisze na niej starannym pismem, co trzeba, a potem przykłada do niej trzy różne pieczęcie.

– Dziękuję. To mi wystarczy – powiedziała, chowając do teczki pozwolenie na praktykę oraz zobowiązanie do wyznaczenia egzaminu. – Żegnam pana, dyrektorze.

– Pani Anno – powiedział Napoleon Cybulski, kiedy wyszli z gabinetu dyrektora i szli szerokim korytarzem w stronę wyjścia, gdzie czekał na nich Włodek. – W całym swoim życiu tak bardzo się nie bałem, że skończę na Syberii, jak teraz.

– Ja też nie – powiedziała. – I nigdy tak bardzo nie nienawidziłam Rosjan.

– Ja również – odparł Cybulski.

– Wychodzimy – powiedziała do Włodka, ignorując Aleksieja Maksymowicza, który siedział czerwony, trzymając się za serce. – Opowiem panu wszystko po drodze do urzędu, gdzie Oleg Michajłowicz wypisze dla mnie dwa kolejne zaświadczenia według instrukcji dyrektora akademii. To pozwoli mi zająć się żonami sułtana.

Włodzimierz przeżegnał się kilka razy. Napoleon spojrział na niego znękany.

– Kilka lat mi przybyło podczas tej rozmowy – powiedział. – Droga pani Anno, pani jest niezwykłą kobietą.

– Drogi panie Napoleonie, pan będzie wielkim uczonym, nie mam co do tego wątpliwości. Ja też mogłabym osiągnąć wiele na polu nauki, ale przeszkadza mi moja płeć. Jeśli uda mi się pomyślnie przejść egzaminy, z radością poświęcę swoją wiedzę w służbie innym i bez żalu zrezygnuję z zaszczytów, jakie są udziałem naukowców.



– Pani jest wielce dzielną kobietą, Anno Pawłowna – powiedział wieczorem Włodzimierz, kiedy już wysłuchał dokładnej relacji z tego, co działo się za zamkniętymi drzwiami gabinetu dyrektora. – Ryzykowała pani kubitkę, grzywnę...

– Nic nie ryzykowałam. – Wzruszyła ramionami. – To oni podejmują ryzyko.

Kasia wpatrywała się w Annę z uwielbieniem.

– Taki sułtan to musi być... jak car – powiedziała służąca.

Anna pomyślała, że jest nawet potężniejszy niż car, a na pewno bogatszy, ale nie odezwała się.

– Jak to tak można... – zastanawiała się Kasia – mieć więcej niż jedną żonę? To nie po bożemu.

– Sułtan ma innego Boga niż my – wyjaśnił Włodek.

Kasia się przeżegnała.

– Bóg jest jeden – wyszeptwała.

– On też uważa – powiedziała Anna – że jego Bóg jest jedyny.

– Aha. – Kasia nie wyglądała na przekonaną. – I ten jego Bóg pozwala, żeby miał kilka żon, tak?

Anna kiwnęła głową.

– Ile ich ma? – dociekała dziewczyna.

Anna zdała sobie sprawę, że nigdy o to nie zapytała, więc nie wiedziała, ile kobiet będzie miała pod opieką.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze. – Może dwie, a może dwadzieścia. Nie wiem.

Włodzimierz miał nietęgą minę.

– I jeszcze niewolnice w haremie – odezwał się niepewnie. – Służące żon, niewolnice i... służące zwyczajne.

„Jezus Maria”, pomyślała Anna, nagle strwożona, „a jeśli ja sobie nie dam rady? Jeśli mimo znajomości języków nie będę umiała się z nimi porozumieć? A jeśli u nich występują inne choroby niż te mi znane?”

– A czy one są chore? – dociekała Kasia.

Anna bezradnie rozłożyła ręce. Nagle ogarnął ją niepokój. Tak walczyła o możliwość praktyki, tak się starała, postawiła wszystko na jedną kartę. A jeśli to na nic? Jeśli nie potrafi leczyć? Jeśli wszystko zapomniała?

– A jak one innego Boga mają to może i inne choroby? Panienska się nie boi?

– Panno Kasiu... – Włodzimierz wpatrywał się w dziewczynę intensywnie, ale ta nie zwracała na niego uwagi.

Anna zrozumiała, że nie tylko ją dopadły wątpliwości. Włodzimierz musiał sobie zdać sprawę, że niewiele wie o tej kobiecie, oprócz tego, że jest odważna, ma wielkie ambicje i przeuroczą służącą, którą traktuje jak bliską sobie osobę. Anna mogła zrozumieć jego niepokój, ale dlaczego Kasia w nią wątpiła?

– Jutro rano mam się zjawić w miejscu, gdzie stacjonuje sułtan – wyjaśniła.
– Tam mi powiedzą, czego ode mnie oczekują. Dość o tym na dzisiaj. Co mamy do jedzenia?

Kasia skoczyła na równe nogi.

– Zdobyłam coś wyjątkowego, panienko – powiedziała radośnie. – Baba na targu kaczuszkę sprzedawała i ja tę kaczuszkę dla panienki...

Włodzimierz przełknął ślinę.

– No to ja sobie...

– Nie ma mowy – uprzedziła go Anna. – Pan Włodzimierz nam pomaga, nie uczy się, niedługo go relegują z uczelni, a my tu mamy jedzenia aż nadto dla dwóch, prawda, Kasiu?

Kasia uderzyła się ręką w czoło.

– No pewnie! – krzyknęła. – Gdzie ja mam rozum? Siedzę tu jak ta głupia i gadam, a kaczuszka w piecu utulona czeka. Zeschłaby się całkiem, zanim bym się zebrała, żeby ją podać.

– Ale... – zaczął Włodzimierz. – Ja nie powinienem...

– Proszę usiąść. – Anna wskazała mu miejsce przy stole. – Zjemy razem, tylko niech pan najpierw umyje ręce.

Włodzimierz nie dał się długo prosić.

– Skoro taka okazja, to przyniosę wino – powiedział. – Jeden z kolegów mi podarował. Przejazdem był. Trzymałem na jakąś okazję, bo my tu zwykle raczej samogon pijemy.

– To bardzo miło z pana strony – odparła Anna. – Proszę przynieść to wino. Kasiu, ty idź po kaczuszkę, ale oboje pamiętajcie, żeby umyć ręce.

– Panience to nigdy wody nie wystarczy. – Służąca się roześmiała. – Ciągle tylko myć i myć. Już się przyzwyczyłam.

– Umyję – zapewnił ją chłopak. – Jak pani każe.

– A tak! – zawołała za nimi Anna, a potem usiadła ciężko przy stole, po raz pierwszy tego dnia sama, i westchnęła głęboko. Stoczyła wielki bój, ale wygrała zaledwie bitwę. Czas pokaże, czy zdoła wygrać wojnę.

Dopiero teraz napięcie z niej całkiem zeszło i poczuła głód, dlatego na widok Kasi z półmiskiem i Włodka z butelką przełknęła ślinę.

– To za pani zdrowie! – Włodzimierz uniósł szklanę, kiedy już siedzieli przy stole i jedli wyśmienitą kaczkę.

– I za waszą pomoc, nieocenione wsparcie! – Anna uniosła swoją. Wino było przedniej jakości, co ją ogromnie zaskoczyło. Niewiele miała okazji do picia dobrych trunków. Zdarzyło jej się to tylko u profesora Fritscha, który zaprosił ją na obiad do domu, i u Korzyńskich, którzy także podawali wino do obiadu.

– A egzamin kiedy? – spytał Włodzimierz.

– Za kilka miesięcy, kiedy dyrektor zdoła zwołać komisję.

– Nie oszukają panienki? – zaniepokoiła się Kasia.

Anna pokręciła przecząco głową.

– Mam to na piśmie. Wszystko opatrzone pieczęciami.

– Pieczęcie najważniejsze – pouczył Kasię Włodek.

– Bardzo dobre to wino, chyba jeszcze ponapoleońskie – zażartowała Anna. – Ciekawe, jakie dadzą u sułtana.

Włodzimierz nagle zbladł. Odłożył szklanę i rozejrzał się na boki.

– Pani Anno, zaklinam panią na wszystkie świętości, niech pani nie przestanie być czujna. W pałacu sułtańskim jest mnóstwo szpiegów, będą panią obserwować. Tysiące oczu będzie śledziło każdy pani krok...

– Zaraz tysiące. – Machnęła ręką. – Przecież nawet taki sułtan nie ma tylu szpiegów. Poza tym ja mam się żonami zajmować, a nie szpiegowaniem.

– Ależ jest pani nieostrożna – zatroskał się chłopak.

Anna obiecała, że będzie ostrożna i nie powie nic, co by mogło ją narazić na niebezpieczeństwo. Zaczęła też uspokajać Kasię, której udzieliły się obawy Włodzimierza, kiedy ktoś głośno zapukał do drzwi. Włodek aż podskoczył.

– Przyszli po nas – wyszeptał. Na jego twarzy malowała się groza.

– Kto to? – Kasia się przestraszyła.

– Panienki otworzą! – usłyszeli głos Nataszy Nikołajewny. – Otworzą!

– Już, już! – Anna sama wstała, bo Włodzimierz i Kasia siedzieli przy stole, oboje trzymając się rękoma blatu, jakby ich ktoś miał stamtąd wyrwać i zawlec siłą do więzienia.

– Ja pukała do tego studenta, co mieszka w suterenie, i on nie otwiera – powiedziała gospodyni, kiedy Anna stanęła w drzwiach. – Policję wezwała i drzwi wyważyli – dodała.

– Policja! – pisnęła Kasia i złapała za ramię Włodzimierza, a ten ścisnął jej rękę.

– A w czym ja mogę pani pomóc? – spytała Anna, siląc się na spokój. Przez chwilę udzielił jej się strach Włodka przed spiskiem.

– Panienska mówiła, że znachorka, nie?

Anna zaniemówiła z oburzenia.

– Jestem lekarką – powiedziała w końcu.

– No, jak zwał, tak zwał. To panienska ze mną idzie, bo ichni medyk nogę chyba złamał i nie może sprawdzić, czy ten student, co mi nie płacił, na zarazę umarł czy też nie. – Natasza Nikołajewna wskazała palcem podłogę.

Anna skrzyżowała ręce na piersiach.

– To kogo mam ratować? – dopytywała. – Studenta czy medyka?

– Studenta nie, bo siny całkiem – tłumaczyła baba. – A medykowi wódki dałam. Panienska zobaczy, czy zaraza czy on umarł śmiercią studencką, czyli z głodu.

– Dobrze. – Anna wzięła torbę z narzędziami lekarskimi, stetoskopem, trąbką i młoteczkim, który skonstruowała w Zurychu, żeby badać odruchy nerwowe. Odwróciła się do Kasi i Włodka. – Zaraz wracam. Spokojnie. To na pewno nie zaraza.

Florence Nightingale 1820–1910

Florence stała w wielkim salonie wiejskiej posiadłości w Hampshire, od lat należącej do jej rodziny, i starała się zachować powagę. Mina jej ojca wyrażała zdumienie, matki – przerażenie.

– Czy ty słyszysz, Williamie, o czym mówi twoja córka? – Matka złapała się za serce.

Ojciec poprawił wyłogi kołnierzyka. W chwilach zdenerwowania miał zwyczaj szarpania za kołnierzyk koszuli.

– Zwracam ci uwagę, moja droga, że to nasza córka, a nie moja.

– Gdyby to była moja córka, stałaby tu i prosiła mnie o nową sukienkę na bal, który wydają w przyszłym tygodniu Commandowie. – Matka sięgnęła po sole trzeźwiące i przytknęła je sobie do nosa.

– A skoro prosi nas o to, żebyśmy pozwolili jej zostać pielęgniarką, to jest to moja córka, tak?

– Ty uczyłeś ją łaciny, greki, filozofii, a co gorsza, francuskiego! – utyskiwała matka. – I teraz mamy tego rezultaty.

– Kazałem uczyć ją także literatury – zauważył ojciec. – Uczyła się również haftu i tańca.

Florence stała spokojnie, przysłuchując się rozmowie, która toczyła się, jakby dziewczyny nie było w pokoju. Spodziewała się takiej reakcji ze strony matki, istoty tyleż pięknej, co pustej, wiodącej próżniacze życie, spełniającej własne zachcianki i wychowującej ją i jej siostrę Partheponę w przekonaniu, że powinnością kobiety jest kapryśnienie na każdym kroku. Po ojcu, który zadbał o wszechstronną edukację Florence oraz jej starszej siostry, zabrał ją

na wycieczkę po Egipcie i Grecji, spodziewała się jednak, że nawet jeśli nie poprze jej stanowiska, to przynajmniej je rozważy.

– Mamo, tato – powiedziała spokojnie – ja was nie proszę o zgodę, ja was informuję, że zamierzam zostać pielęgniarką. Usłyszałam głos Boga, który wezwał mnie do takiej właśnie działalności.

– Ależ, Flo, na litość boską. – Teraz ojciec nerwowo sprawdzał godzinę na zegarku, który odziedziczył po swoim ojcu, ten z kolei po jego dziadku, dziadek po pradziadku, a pierwotnym właścicielem był praprapradziadek Williama, który otrzymał to cacko od samego Cromwella za zasługi w wojnie domowej. Florence wątpiła, czy w czasach lorda protektora Anglii, Szkocji i Irlandii były znane zegarki na łańcuszkach, ale nie chciała sprawiać ojcu przykrości.

– Florence, proszę, idź do swojego pokoju i zastanów się nad tym, co powiedziałaś – rzuciła matka, masując sobie skronie i wzdychając głęboko raz za razem.

– A potem mam klęczeć na grochu czy napisać w kajeciku sto razy „nie będę panną impertynentką”? – spytała złośliwie.

Tak jak Florence się spodziewała, matka osunęła się wdzięcznie w fotelu i udała omdlenie.

– Widzisz, co narobiłaś? – spytał szeptem ojciec.

Florence podeszła do matki i podstawiła jej pod nos sole trzeźwiące. Matka mrugała powiekami, ale nie otworzyła oczu.

– Mamo... – powiedziała Florence zniecierpliwionym tonem. – Przecież wiem, że starasz się wyrzucić na mnie presję i tak naprawdę nic ci nie jest.

Matka otworzyła oczy.

– Jesteś niewdzięcznym dzieckiem, Florence – powiedziała płaczliwie, a z jej oczu pociekły łzy. – Masz wszystko, czego tylko mogłabyś zapragnąć...

– Pragnę pracować – odparła stanowczo dziewczyna. – Mam już dwadzieścia cztery lata i raczej nie wyjdę za mąż. Chciałabym się zająć czymś pożytecznym. Niedobrze mi się robi od waszych balów, herbatek,

przyjęć w ogrodzie i proszonych podwieczorków. Nie mówiąc o polowaniach.

Ojciec chwycił się za serce, jakby wypowiedziała wyjątkową herezję.

– Nic nie stoi na przeszkodzie! – krzyknęła matka. – Jest tyle możliwości! Zasiadam w komitetach kilku organizacji dobroczynnych. W przyszłym tygodniu na balu odbędzie się festyn, z którego dochód zostanie przeznaczony na sieroty skrofuliczne. Poleciłam Molly, aby upiekła na ten cel dwa tuziny babeczek. A Margaret Gindale wykona girlandy.

– Widzisz, Flo? – Ojciec spojrzał na krnąbrną córkę z nadzieją. – Jest tyle możliwości.

Florence miała ochotę się roześmiać.

– Mamo – powiedziała. – Ty nie masz pojęcia, czego potrzebują sieroty skrofuliczne. Sprzedacie ciastka, odpalicie sztuczne ognie i będziecie sobą zachwycone. A wieśniacy będą nadal zarządzać się gruźlicą, pracując na waszych polach, w waszych ogrodach i uprawiając waszą ziemię.

– To także twoja ziemia, Flo – przypomniał jej ojciec.

– Jestem bogata – przyznała. – Ale mam także rozum. Nie będę ozdobą na waszych balach, nie będę tańczyła z bladymi młodzieńcami i słuchała ich żalonych komplementów.

– Komplementy są bardzo ważne dla prawdziwej kobiety! – krzyknęła jej matka.

– Widocznie nie jestem prawdziwą kobietą – odparowała.

– Idź do pokoju... – zaczęła matka, ale Florence tupnęła nogą.

– Nigdzie nie pójdę. Chyba że po to, by zdjąć tę niewygodną suknię, która utrudnia mi oddychanie. Oświadczam wam obojgu – uniosła palec – nie wyjdę za mąż. Dawson nudzi mnie bardziej od Flowersona, Elliot jest głębszy od Smithsona, a Jameson się mnie boi, ale jego ojciec ma kłopoty finansowe i namawia go na małżeństwo ze mną dla pieniędzy. Cecil Capwell jest chromy na ciele, jego brat na umyśle, chociaż obaj uchodzą za zdrowych i w dodatku są uważani za dobre partie.

Jej ojciec William przerwał tę perorę.

– Florence – powiedział – rozumiem, że nie odpowiada ci żaden miejscowy kandydat.

– Z okolicy też nie – wtrąciła szybko. – Mnie po prostu żaden nie odpowiada.

– Biorąc pod uwagę twoje wcześniejsze zachowanie i to, które teraz jesteś łaskawa nam zaprezentować, zgaduję, że nie zamierzasz zostać typową angielską lady, czyli założyć rodzinę i sławić angielską prowincję?

– Nie zamierzam – odparła, szczęśliwa, że ojciec wreszcie zrozumiał. W tym samym momencie matka znów opadła na fotel i wydała z siebie serię jęków.

– Wy tłumacz nam jednak, czemu chcesz poświęcić się profesji, którą podejmują albo zakonnice, albo – tu się zawahał – prostytutki?

– Williamie, przestań – jęknęła matka. – Ona nie zna tego słowa.

– Przeciwnie, mamó – odparła. – Wiem doskonale, kim są prostytutki, i odpowiem ojcu na jego pytanie. Otóż nie uważam, żeby siostry zakonne były specjalnie biegłe w opiece nad chorymi. Mnie idzie o rzeczywistą pielęgnację chorego, pomoc lekarzowi, a nie czytanie choremu Pisma Świętego. Zakonnice powinny służyć Bogu przez modlitwę, ewentualnie czynić swą powinność przy umierających. Natomiast prostytutki mogłyby być dobrymi pielęgniarkami, ale im, jak wiadomo, nie chodzi o opiekę nad chorym, a jedynie o znalezienie klienta, choćby i chorego.

Matka zanosła się płaczem.

– Williamie! – krzyknęła. – Williamie! Proszę cię, pomóż mi. Umieram...



– Czy ja panią dobrze zrozumiałem, lady Nightingale? – spytał Hubert Rosegrov, dyrektor szpitala w Hampshire. – Chciałaby pani dowiedzieć się, jak pracuje nasz szpital, aby wspomóc chorych?

– Tak. – Uśmiechnęła się.

– Można wiedzieć dlaczego?

– Widzi pan, pokolenie moich rodziców wspierało szpital, nie przestępując jego progu – wyjaśniła. – Zamierzam to zmienić. Chciałabym zobaczyć, jak wygląda praca na oddziałach, opieka nad chorymi. Zwłaszcza interesuje mnie opieka nad chorymi.

– W jakim sensie? – spytał grzecznie dyrektor, usiłując zrozumieć, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi.

Powiedziano mu, że pewna stara panna z Hampshire zamierza wspomóc jego placówkę, ale na własnych warunkach. Nie wyjaśniono mu na jakich, sądził zatem, że owa panna w imię niezrozumiałej dla niego idei pragnie przysposobić sierotę albo wybudować boisko do gry w krykieta i w ten sposób pokazać, że jest bardziej pożyteczna od tych dam, które organizowały festyny i dziergały swetry na drutach.

– W dosłownym – powiedziała. – Proszę mi pokazać oddziały. Chciałabym obejrzeć sale, w których leżą chorzy, te, gdzie się operuje, i inne, w których – zaważała się – przeprowadza się jeszcze inne działania, nie wiem jakie.

– Ale po co? – Dyrektor spojrzał na dziewczynę ze zdumieniem.

– Chcę poznać pracę w szpitalu – powtórzyła cierpliwie. – Najbardziej pracę przy chorych. Wszelkie działania wykonywane przed zabiegami, po nich, ale też opiekę nad pacjentami z chorobami serca, chorobami zakaźnymi i innymi.

– Oczywiście. – Dyrektor się uklonił i skrzywił. Cierpiał na podagrę i duży palec u prawej nogi bardzo mu dokuczał. – Zaraz panią oprowadzę, lady Nightingale.

Spojrzała na biedaka z troską.

– Widzę, że dokucza panu podagra. Mój stryj cierpi na tę uciążliwą chorobę. Może poprosi pan kogoś innego?

Dyrektor uśmiechnął się uprzejmie.

– To będzie krótki spacer. Mamy tu jedną salę operacyjną i kilka sal chorych.

– Jak pan uważa – odpowiedziała i wyciągnęła z torby notes oraz ołówek kopiowy. – Chodźmy zatem.

Po kilku minutach chodzenia twarz dyrektora zrobiła się purpurowa z wysiłku i bólu.

– Nie sądziłem, że panienka będzie poświęcać pacjentom tyle czasu – sapnął.

Skończyli oglądać dopiero pierwszą salę. Florence chciała wiedzieć, na jakie choroby cierpią pacjenci, którzy tam leżą. Dyrektor nie potrafił jej tego wyjaśnić, więc zawołał któregoś z lekarzy, ale okazało się, że żadnego z zatrudnionych tu dwóch doktorów nie ma obecnie w szpitalu, chociaż była dwunasta w południe. Po sali chorych krzątały się siostry zakonne, które podchodziły do leżących pacjentów i niektórym z nich przecierały spocone czoła. Florence zapytała jedną z nich, którzy pacjenci mają gorączkę, a którzy nie, ale nie doczekała się odpowiedzi.

– Czy siostra Angelina mogłaby oprowadzić pannę Nightingale po pozostałych pomieszczeniach? – spytał błagalnym tonem.

Siostra Angelina skinęła głową i wyszła z sali chorych. Florence posłusznie ruszyła za nią. W kolejnej sali, podobnie jak w poprzedniej, leżało około trzydziestu osób, kobiety, mężczyźni oraz dzieci. Tu również nie dowiedziała się, na co cierpią, dlaczego jedni gorączkują, a inni nie. Skinęła głową dwóm zakonnicom, które karmiły pacjentów, ale nie zwróciły na nią specjalnej uwagi.

– Czy mogłabym zobaczyć salę operacyjną? – spytała.

Siostra Angelina poprowadziła ją długim korytarzem i otworzyła drzwi do małego pomieszczenia, zupełnie pustego, nie licząc sporego stołu usytuowanego pośrodku. Obok stołu piętrzyły się brudne prześcieradła. Pod nim stał kubek, którego zawartość woniała przeraźliwie, co natychmiast dotarło do nozdrzy Florence, mimo że dziewczyna stała w progu. Uniosła brwi ze zdumienia.

– A kiedy chory zostanie zoperowany, gdzie potem trafia?

– Na salę – odpowiedziała zakonnica.

– Tę samą, na której leżą inni z gorączką? – indagowała.

Siostra pokiwała głową.

– Na swoje miejsce.

– A jak często jest zmieniana pościel?

– Nie wiem, panienko – odpowiedziała szorstkim tonem. – Pranie nie należy do mnie.

– A do kogo? – drążyła.

– Do praczek. – Siostra Angelina przestąpiła z nogi na nogę.

– A gdzie jest pralnia?

– Nie wiem. – Zakonnica była wyraźnie zniecierpliwiona.

– Nie ma pralni przy szpitalu?

– Nie ma – odparła cierpko.

– Czy jest ujęcie bieżącej wody? – badała dalej Florence.

Smród, jaki wydobywał się z obu sal chorych, był na dłuższą metę nie do zniesienia, ale Florence postanowiła wytrzymać.

– Mamy studnię na podwórzu.

– A ścieki?

Siostra w odpowiedzi tylko zacisnęła wargi.

– Kto gotuje? – Szybko zmieniła temat, bo miała świadomość, że zaraz ją stąd wyrzucą.

– My, siostry – nieco łagodniej odpowiedziała zakonnica.

– A jeśli ktoś umrze? Dokąd trafia?

Siostra Angelina przeżegnała się i wskazała palcem na koniec korytarza, gdzie znajdowały się niewielkie drzwi.

– Tam. Chociaż zawsze prosimy rodzinę zmarłego, żeby jak najszybciej zabrała trupa i pochowała.

– Wyobrażam sobie, że leżenie ze zmarłym może być dla chorych bardzo nieprzyjemne – odparła Florence bez mrugnięcia okiem, podziękowała siostrze Angelinie i wyszła ze szpitala.

Wracała do domu, rozważając wszystko, co zobaczyła, i zastanawiając się, co powinna zrobić, aby wiejski cmentarzyk w Hampshire regularnie nie wypełniał się gruzłikami, zmarłymi na tyfus oraz w wyniku gorączki połogowej. Nawet nie zauważyła, kiedy zaczął padać deszcz. Do domu dotarła całkiem przemoczona.



Wielebny Stone, dyrektor Zakładu Opieki dla Chorych Dam w Londynie uściskał jej dłoń.

– To wspaniale, że zdecydowała się pani objąć stanowisko przełożonej pielęgniarek. Muszę uprzedzić, że przed panią opiekę nad chorymi sprawowały siostry z zakonu Niepokalanego Serca Jezusowego. Po części nadal tak jest, ale matka przełożona nagle zmarła, podobnie jak parę innych zakonnicy, które zaraziły się różnymi chorobami u nas w zakładzie...

Wielebny Stone zrobił pauzę.

– Czy miał pastor okazję przyjrzeć się moim kwalifikacjom? – spytała Florence, podejrzewając, że wielebnemu jest wszystko jedno, czy do pracy przy chorych motywują ją pieniądze i dobre chęci czy tylko pieniądze.

– Oczywiście. – Skinął głową. – Jest pani bardzo gruntownie wykształcona i na pewno gotowa do misji, jaką jest praca przy chorych.

Pokiwiała głową.

– Uczyłam się zawodu pielęgniarki w ewangelickim zakładzie diakonijnym w Kaiserswerth – wyjaśniła. – Wcześniej przez kilka lat odwiedzałam różne szpitale, mniejsze i większe, także londyńskie. Obserwowałam, jak wygląda praca w takim przybytku. Zastanawiam się od lat, co można by poprawić w opiece nad chorymi.

Wielebny Stone uniósł brwi.

– Mówiła pani, że Bóg wybrał ją, aby służyła chorym i biednym – powiedział. – Czy nie wystarczą pokorna modlitwa i pomoc umierającemu, aby w zgodzie z Bogiem opuścił nasz padół łez?

Florence zbyła milczeniem to pytanie.

– Poszukiwałam odpowiedzi na pytanie, co można uczynić, aby zmniejszyć śmiertelność wśród chorych – uściśliła.

– Co takiego? – spytał grzecznie wielebny Stone.

– Potrzeba wielu zmian – wyjaśniła. – Ale jestem gotowa je wprowadzić. Proszę się nie obawiać – dodała, widząc grymas na twarzy wielebnego. –

Jestem majątną osobą. Zamierzam sfinansować, przynajmniej w części, swoje pomysły.

– Jakże to miałyby być zmiany? – spytał ostrożnie duchowny.

– Na początek proszę o wolną rękę w kwestii lokowania chorych – powiedziała. – Chorzy na choroby zakaźne muszą pozostać odizolowani od innych pacjentów.

– Nie mamy izolatek – odpowiedział Stone.

– Wiem. Wizytowałam szpital i dokładnie zapoznałam się z jego budową oraz sprawdziłam możliwości rozbudowy.

– Rozbudowy? – spytał wielebny, zastanawiając się, czy przyjęcie Florence Nightingale do pracy nie było przypadkiem wielkim błędem.

– Tak, rozbudowy, ale to nie jest rzecz na teraz – odpowiedziała stanowczo.

– W pierwszej kolejności zamierzam skorzystać z dostępnych możliwości. Proszę o wolną rękę w kwestii rozlokowania pacjentów.

– Oczywiście – odpowiedział duchowny, uznając, że nie jest to działanie, które może zostać zakwestionowane przez zatrudnionych lekarzy.

– Chciałabym także wydzielić salę, na której będą leżeli chorzy po zabiegach operacyjnych.

– Bardzo rzadko wykonujemy zabiegi – bronił się Stone.

– To powinno się zmienić – odparła stanowczo Florence. – Coraz częściej korzysta się z wynalazków, jakimi są gaz rozweselający czy narkoza chloroformowa.

Wielebny nie krył przerażenia.

– Panno Nightingale – powiedział szeptem – zatrudniamy tu jednego chirurga na przychodnie. Zwykle nacina ropnie. Nie stosujemy żadnych takich... rzeczy.

Pokiwała głową.

– Na razie to zostawmy – zgodziła się. – Przyjdzie czas na wyczyszczenie sali zabiegowej. Proszę mi powiedzieć, czy upoważnia mnie pan do wydawania poleceń kucharkom.

Wielebny, który nie miał pojęcia, co ma jedzenie do zdrowienia, przytaknął.

– I proszę pozwolić mi wybrać pralnię, z którą będziemy współpracować.

Tym razem Stone zaprotestował.

– Siostry prały bieliznę pościelową.

Pokręciła głową.

– Nie dość dobrze i nie dość często – zawyrokowała, po czym wstała.

– Proszę czynić, co pani uzna za stosowne – westchnął wielebny. – Ma pani moje poparcie. Oby nasi lekarze również się z panią zgodzili.

– To już proszę pozostawić mnie. – Uśmiechnęła się. – Wiem, że przyjdzie mi zмагаć się z uprzedzeniami. Poradzę sobie. Podobnie z pielęgniarkami. Zamierzam je wyszkolić i nadać zawodowi pielęgniarki należny prestiż.

– Zapewniam panią, że siostry Niepokalanego...

– Myślałam o świeckich pielęgniarkach – przerwała wielebnemu. – Wiem, że reputacja niektórych pozostawia wiele do życzenia. Jest jednak mnóstwo biednych, szlachetnych dziewcząt, które zamiast jako pokojówki chciałyby pracować w zawodzie pielęgniarki. Trzeba je wyszkolić i zadbać o to, by nie zeszły na złą drogę. Chciałabym się podjąć tego zadania, przysposabiając w tym celu salę na parterze.

– Proszę bardzo, tyle że...

– Jest ona pełna gruzu – dokończyła za niego – i składowane są w niej stare meble z tutejszego kościoła. Należy tę salę oczyścić i przysposobić.

– Oczywiście – przytaknął ponownie Stone i po raz pierwszy spojrzął na Florence Nightingale z podziwem i sympatią. – Wyrażam zgodę na wszystko. Ma pani wolną rękę.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się. – Zapewniam, że pastor się na mnie nie zawiedzie. Za jakiś czas szpital będzie wzorowo prowadzony. Obiecuję.



– Jestem tu na prośbę sir Sydneya Herberta – powiedziała Florence, zaciskając zęby. – Przyjechałam do Scutari jako ochotniczka. Od tygodnia proszę, aby mnie pan wysłuchał. Abyśmy razem podjęli działania na rzecz poprawy opieki nad chorymi.

Podkreśliła słowo „razem”. Była przyzwyczajona do uprzedzeń i kpin z powagi, z jaką traktowała zawód pielęgniarki. Liczyła jednak, że w obliczu wojny^[Z] przynajmniej część z nich zostanie powściągnięta. Tymczasem żaden z zatrudnionych tu lekarzy nie chciał się z nią spotkać, omówić struktury szpitala polowego, współpracować w obliczu najbardziej palących potrzeb. Wielokrotnie przychodziła, ale od żołnierzy, którzy kręcili się po szpitalu, słyszała, że lekarze są zajęci.

Doktor Gale, chirurg, wytarł brudne od krwi ręce o fartuch.

– Powiedziano mi o pani przyjeździe. – Pokiwał głową. – Razem z panią przyjechały także inne, prawda?

Rozzłościło ją to określenie, ale nie skomentowała go.

– Przyjechałam razem z trzydziestoma ośmioma pielęgniarkami – potwierdziła Florence. – Wszystkie jesteśmy bardzo dobrze wyszkolone.

– Tak też słyszałem – odpowiedział cierpkim tonem. – Dlatego sądziłem, że sobie pani poradzi.

– Mam doświadczenie w opiece pielęgniarskiej. Byłam przełożoną pielęgniarek w dwóch szpitalach. Przyjechałam tu pomóc, a nie być spychaną z kąta w kąt, o ile w przypadku namiotów można mówić o kątach.

Doktor Gale spojrział na nią uważnie.

– Czego pani oczekuje?

– Przede wszystkim tego, że pokaże mi pan cały szpital polowy i przedstawi kolegom. Oraz pozwoli nam pan pracować na pierwszej linii.

– Chcecie iść na front? – spytał i roześmiał się.

– Jesteśmy wyszkolone także w pomocy doraźnej w warunkach frontowych. – Florence nie dała się zbić z tropu. – Myślę jednak, że większość z nas powinna pozostać tutaj i zająć się selekcją chorych.

Gale wciąż świdrował ją wzrokiem.

– Chodźmy do mojego namiotu – powiedział w końcu. – Przedstawi mi pani swoją koncepcję.

– Z całym szacunkiem – odparła – wolałabym porozmawiać w szpitalu. Wczoraj i przedwczoraj zapoznałam się z trybem pracy. Mam pewne pytania i uwagi, które chciałabym omówić.

– Dobrze – zgodził się doktor Gale, uznawszy, że musi poświęcić czas tej kobiecie, w przeciwnym razie nigdy się od niego nie odczepi. – Chodźmy zatem.

Wyszli na zalany słońcem dziedziniec.

– To jest namiot zabiegowy, mamy kilka sal operacyjnych. – Wskazał palcem jeden z namiotów. – Wyposażenie jest niewielkie, ale musimy radzić sobie z tym, co mamy. Reszta – westchnął – to sale chorych. Owszem, są przeludnione i brakuje nam miejsc, ale nie możemy przestać operować.

– Proszę pozwolić nam selekcjonować chorych – powiedziała Florence.

Gale spojrział na nią ze zdumieniem.

– Nie rozumiem. Co chce pani robić?

– Razem z innymi pielęgniarkami będziemy przeprowadzać selekcję chorych – powtórzyła. – Kiedy przyjedzie transport rannych, ocenimy, którzy z nich potrzebują natychmiastowej interwencji, którzy mogą poczekać, same opatrzymy lżej rannych. – Widząc, że lekarz patrzy na nią z niedowierzaniem, dodała: – Dotychczas robiliście to sami. Zajmowaliście się opatrywaniem powierzchownych ran, tymczasem ciężko chorzy wykrwawiali się, nie doczekawszy operacji.

– Pracowała pani na froncie? – spytał.

Florence pokiwała głową.

– Dlatego mnie tu przysłano. Proszę mi wierzyć, jestem tutaj po to, aby pomóc, a nie przeszkadzać.

Gale gwizdnął. Z jednego z namiotów wyszło dwóch lekarzy.

– Czego gwizdziesz, Gale? – spytał jeden z nich.

– Chodź tu, bracie – przywołał go chirurg. – Chcę ci kogoś przedstawić. To jest panna...

– Florence Nightingale – przedstawiła się. – Przyjechałam tydzień temu razem z wyszkolonymi pielęgniarkami.

– Robert Bloom, a to – wskazał na szczupłego młodego doktora – Ernie Tisdale.

Ukloniła się.

– Macie tu cholere i tyfus – stwierdziła. – Cud, że sami jesteście zdrowi.

Robert Bloom spojrział w niebo.

– Opatrzność Boska nad nami czuwa.

– Nad Henrym już nie czuwa – dodał z przekąsem doktor Tisdale.

– Można powiedzieć, że zasrał się na śmierć – rzucił doktor Gale i znacząco spojrział na Florence.

Jeśli myślał, że się oburzy lub zawstydzi, to się mylił. Florence wiedziała, jak umierają chorzy na cholere.

– Będziemy inaczej traktowały pacjentów zakażonych – powiedziała. – Chciałabym, aby w przyszłości nie trafiali do jednego pomieszczenia ze zdrowymi.

Tisdale rozłożył ręce.

– Siostrzyczki niech robią, co chcą. My robimy swoje – odparł. – A wieczorem zapraszamy na tańce. Gorzałka też się znajdzie.

– Moje podwładne mają nieposzlakowaną opinię – odezwała się cierpko.

– My nie będziemy szargać ich opinii – zapewnił ją Gale.

– Chyba że same zechcą – dodał Tisdale.



Kilka miesięcy później Florence zanotowała w swoim dzienniku:

Jestem w Scutari, dzielnicy Stambułu. Wciąż zmagam się z własną niemocą. Pierwszej zimy zginęło tu ponad cztery tysiące żołnierzy. Co najmniej połowa nie umarła z powodu ran odniesionych w bitwach. W namiotach szerzą się tyfus, cholera i czerwonka. Jest brudno, brakuje czystej wody pitnej i do mycia – chorych i pola operacyjnego. Lekarze każą nam używać wody z zakażonych studni. W namiotach żołnierz leży przy żołnierzu, nie ma dostępu do pacjenta.

Trudno podejść i opatryć rany. Przykro mi to pisać, ale tutejsi lekarze pracują nieefektywnie. Uzyskałam zgodę, abyśmy mogły przeprowadzać wstępną selekcję rannych. Robimy to, wyłuskujemy lżej rannych i opatrujemy ich nie gorzej od lekarzy. Tych wymagających natychmiastowej amputacji albo z poważnymi obrażeniami zanosimy do namiotu operacyjnego w pierwszej kolejności. Ale tutejsi chirurdzy i tak operują wedle własnego uznania. Jedna trzecia rannych oddaje duszę Bogu już na stole operacyjnym z powodu odwodnienia. Ci, którzy przeżywają, nie są pojeni, umierają w wyniku szoku pooperacyjnego albo z dychoty, bo świeżego powietrza jest tu jak – nomen omen – na lekarstwo. Prawie sześć miesięcy po moim przybyciu na mój wniosek i po kilku monitach przyjechała komisja z Londynu. Przepłukali studnie i wyczyścili kanały. Śmiertelność od razu spadła, a ja zaczęłam spać spokojniej.

Zbieram dowody, aby przedstawić je wojskowej Królewskiej Komisji Zdrowia. Dziewczęta śmieją się ze mnie, bo chodzę, liczę chorych i wciąż zapisuję liczby. Liczby są bardzo ważne. Na ich podstawie mogę sformułować wnioski. Zapisuję zatem, ilu było ciężko rannych, ilu dożyło operacji, ilu ją przeżyło, ilu zmarło w wyniku powikłań, a ilu na choroby zakaźne. Przy czym interesuje mnie, czy ranni byli zakażeni już przed operacją czy zarazili się później.

– Nie spoczne, dopóki nie stworzę projektu sanitarnego szpitali, zwłaszcza wojskowych.

– Co tam znów piszesz, Florence? – Do jej namiotu zajrzała Claire, jedna z pielęgniarek.

– Tworzę projekt sanitarny szpitali – odpowiedziała.

Przyjaciółka zajrzała jej przez ramię.

– Tabelki – zauważyła.

– Tak – potwierdziła Florence. – Wpisuję dane w różne rubryki. Potem je podliczę i podam procenty.

– I co to da prócz niewyspania? – spytała Claire.

– Będę wiedziała, jak dużą szansę ma przeciętny żołnierz, by przeżyć wojnę – wyjaśniła. – Na tej podstawie będę mogła też wywnioskować, ilu chłopców będzie potrzebowała Korona, aby wygrać bitwę, a następnie wojnę...

– Mój Boże – westchnęła Claire – a nie lepiej przespać się kilka godzin? Flo, nie jesteś ze spiżu.

– Zaraz pójde się położyć – uspokoiła ją. – Tylko zajrzę do chorych.

Florence wzięła lampę do ręki i wyszła z namiotu. W jego połach minęła Fanny, wesołą dziewczynę, która dołączyła do nich niedawno, ale już zdążyła zaprezentować się jako doskonała pielęgniarka. Obie z Claire patrzyły na oddalającą się z kagankiem Florence.

– Czy ona wie, że nazywają ją „dama z lampą”? – zaśmiała się Fanny.

– Nie wiem. – Claire się uśmiechnęła. – Ale jeśli postawią jej kiedyś pomnik, to będzie na nim trzymała kaganek.



Florence Nightingale („dama z lampą”) stworzyła zarówno teoretyczne, jak i praktyczne podstawy zawodu pielęgniarki. Jej zasługą jest również zdefiniowanie metod pielęgnowania chorych oraz rannych. Uważa się ją za jedną z twórczyń statystyki medycznej. W 1860 roku założyła pierwszą szkołę pielęgniarstwa (Szkoła Nightingale dla Pielęgniarek, obecnie Wydział Pielęgniarstwa i Położnictwa imienia Florence Nightingale w King’s College w Londynie). W 1907 roku Florence, jako pierwszej kobiecie w historii, przyznano brytyjski Order Zasługi, a pięć lat po śmierci wzniesiono jej pomnik na Waterloo Place w Londynie. Jest na nim przedstawiona z kagankiem w ręku.

ROZDZIAŁ III

w którym dowiadujemy się, jakie obyczaje panują w haremie, ile żon ma sułtan, oraz zostaniemy świadkami szczęśliwych narodzin następcy tronu. Dowiemy się także, co się kryje za pechem Kasi. Będziemy towarzyszyć doktor Annie nie tylko w haremie, lecz także podczas najważniejszego egzaminu w jej życiu.

Dawno temu, kiedy Anna była bardzo mała, przez niecały rok miała guwernantkę, która czytała jej baśnie z *Księgi tysiąca i jednej nocy*. Występowały w nich latające dywany i duchy, które spełniały życzenia, księżniczki mieszkające w pałacu sułtana i strzegący ich rycerze. Anna wielokrotnie łapała się na myśli, że wydarzenia, jakich była świadkiem i zarazem uczestniczką, były tak nieprawdopodobne, że czuła się jak bohaterowie tamtych opowieści. Niemalże co dzień zastanawiała się, czy nie obudzi się w swoim mieszkaniu w Warszawie, a historia z Petersburga okaże się jedynie snem. Na razie jednak wciąż mieszkała w domu Nataszy Nikołajewny, który za sprawą Kasi został doprowadzony do perfekcyjnej czystości, i co dzień jeździła do pałacu, który car oddał swojemu przyjacielowi sułtanowi i haremovi złożonemu z dziesięciu żon, dwudziestu ulubionych nałożnic, licznych służących, strażników sułtana oraz eunuchów. Naliczyła około stu pięćdziesięciu osób – uważała, że to bardzo dużo, a tymczasem powiedziano jej, że sułtan podróżował incognito i zabrał ze sobą jedynie najbliższe osoby. Z początku nie przejmowała się różnicami kulturowymi czy w podejściu do kobiet, przede wszystkim wątpiła we własne umiejętności. A jak się okaże, że nie daje sobie rady z żonami sułtana? Co się stanie, jeśli zapadają one na egzotyczne choroby, o których nikt w Europie nie słyszał? Jeśli ich nie rozpozna, nie będzie potrafiła pomóc. Postawiła wszystko na jedną kartę i zażądała egzaminów, których pomyślne zaliczenie miało jej zapewnić nieograniczoną praktykę lekarską, ale co, jeśli sobie nie poradzi i sułtan będzie niezadowolony? Co wtedy zrobią dyrektor akademii i car? Czy wywiezienie na Sybir będzie dla niej dość surową karą?

W przeddzień rozpoczęcia praktyki była kłębkiem nerwów. Kasia w kółko biegała na dół do saloniku, który pięknie odszykowała, żeby parzyć dla Anny herbatę w samowarze.

– Niech się panienka tak nie denerwuje – prosiła ją służąca, podtykając jej pod nos jedzenie i daremnie prosząc, żeby zjadła. – Panienka jest najmądrzejsza na świecie. Panienka od razu się zorientowała, że to nie jest zaraza, chociaż szczury po tym biedaku chodziły.

– Chodziły, bo nie żył – odpowiedziała Anna zgodnie z prawdą. – Znam objawy chorób zakaźnych, jakie panują w Europie. Ten student zmarł od nadużycia samogonu.

– Zatruta wódka? – zdumiała się Kasia. – To możliwe?

– Możliwe – przytaknęła. – Pił, nie jadł, umarł.

– I to na pewno nie przeze mnie? – spytała służąca drżącym głosem.

Anna spojrzała na nią ze zdumieniem.

– A ty znałaś tego nieszczęśnika? – spytała.

– Na oczy go nie widziałam, u niego jednego nie sprzątałam, ale panienka wie, co o mnie...

– Gusła – przerwała jej. – Nawet Rosjanie umierają od nadmiernego picia.

Kasia pokiwała głową, najwyraźniej nie do końca przekonana.

– A jeśli żony sułtana chorują na inne, nieznanne mi schorzenia? – Anna po raz pierwszy wyraziła na głos swoje obawy.

– Myślałam o tym i wymyśliłam, że gdyby tak było, toby tu zabrały swoich lekarzy, a nie panienki szukały – zawyrokowała Kasia, wyraźnie połączona, że teraz to ona może swojej pani przemówić do rozumu.

– Może i tak – westchnęła Anna.

Pierwszego dnia sama pojechała dorożką na miejsce. Na szczęście udało jej się zatrzymać pojazd niemalże pod domem. Włodzimierz jej nie towarzyszył, miał ważne wykłady i wkrótce egzaminy, a tyle czasu poświęcił Annie i Kasi, zaniedbując studia, że obawiał się skreślenia z listy studentów. Wrócił zatem na uczelnię, a Anna zapewniała go, że doskonale sobie poradzi. W drodze do pałacu, w którym zatrzymał się sułtan, wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy

wpuszczą ją do sekretnych pokoi. Oczywiście wyobraźni widziała, jak chore żony sułtana po kolei wchodziły, a ona je bada i przepisuje im potrzebne mikstury. „Oby tylko nie stracić autorytetu pierwszego dnia”, myślała. „Byle tylko mnie szanowali”. Dorożka zatrzymała się, a młoda lekarka wysiadła i niepewnym krokiem podeszła do wysokiej żelaznej bramy jednego z petersburskich pałaców. Żołnierz zagroził jej drogę, zanim zdążyła się odezwać. Przez następne pół godziny próbowała wyjaśnić, po co przyjechała, ale uzbrojony po zęby wartownik nie chciał jej wpuścić do środka. Wreszcie, kiedy prawie się rozpląkała, błagając, żeby żołnierz polecił komuś sprawdzić jej prawdomówność, podjechał powóz i zatrzymał się tuż za nią. Wartownik zsalutował i powiedział, wskazując otwierające się właśnie drzwi:

– Niech pani tu sama nie przychodzi. Będą przyjeżdżali po panią.

Zdumiona takim obrotem sprawy i zrezygnowana, wsiadła posłuszenie, żołnierz otworzył bramę, a powóz zawiózł ją pod tylne wejście skrzydła pałacowego.

Przed wrotami do budynku czekał na nią szczupły Arab, z bronią przytroczoną do pasa w ubraniu, które wyglądało jak wojskowy uniform. Ukłonił się jej nisko, a potem dał znak, żeby za nim poszła. Potknęła się, robiąc pierwszy krok, i byłaby upadła, gdyby mężczyzna błyskawicznie jej nie złapał.

– Dziękuję – powiedziała, ale on nic nie odpowiedział.

Weszli do wąskiego westybulu, gdzie z kolei stało trzech mężczyzn, także Arabów, ale ubranych nieco inaczej niż ten, który ją tu wprowadził. O ile tamten wyglądał na świetnie wyszkolonego żołnierza, ci trzej wydawali się raczej kimś w rodzaju wielmożów na usługach sułtana. Anna obejrzała się za siebie. Mężczyzna, który wprowadził ją do westybulu, gdzieś zniknął. Trzej Arabowie, niczym Trzej Królowie, stali i taksowali ją wzrokiem. „Pewnie zastanawiają się, dlaczego jestem tak skromnie ubrana”, pomyślała z przykrością. Miała na sobie jedną z trzech posiadanych przez siebie sukni, szarą, pamiętającą jeszcze czasy sprzed wyjazdu z Mławy. „Dobra, solidna suknia może być noszona przez wiele lat”, mówiła jej matka. W Zurychu Grażyna przeglądała kiedyś jej garderobę. Sama miała cudne suknie, kosztowne futro, piękne dodatki. Anna zawsze wyglądała przy niej jak szara

pliszka, ale nigdy jej nie zazdrościła. Teraz po raz pierwszy w życiu czuła się niezręcznie. „A może im wcale nie chodzi o moje odzienie”, analizowała w myślach, wciąż stojąc nieruchomo. „Może powinnam coś powiedzieć, zacząć rozmowę”.

– Dzień dobry panom – odezwała się. – Nazywam się Anna Tomaszewicz. Jestem dyplomowanym lekarzem. Proszono mnie, abym zajęła się żonami przebywającego tu sułtana. Czy mogłabym poznać warunki, w jakich przyjdzie mi pracować, i osoby, którymi mam się zająć?

Powiedziała to po francusku. Język Balzaca wydawał jej się najodpowiedniejszy przy powitaniu. Jeden z mężczyzn zrobił krok do przodu i uklonił się.

– Witamy panią – powiedział krótko z silnym wschodnim akcentem, a następnie dwukrotnie klasnął w dłonie. Drzwi przed nią się otworzyły i wprowadzono ją do kolejnego pomieszczenia oraz usadzono na sofie. Mężczyźni zajęli miejsce na fotelach naprzeciwko niej i spoglądali na Annę w milczeniu. Zastanawiała się, czy spytać znów o żony sułtana, ale postanowiła poczekać, aż sami powiedzą jej, co ma robić. „Nie należy wyrywać się przed szereg”, przypomniała sobie słowa swojego ojca. Tym razem uznała, że pasują do sytuacji.

– Jak się pani znalazła w Petersburgu? – spytał nagle jeden z mężczyzn, a ona, chociaż była pewna, że doskonale znał odpowiedź, powtórzyła cierpliwie swoją historię, pominąwszy jednak umowę z dyrektorem akademii dotyczącą nostryfikacji dyplomu. Stwierdziła, że nie ma to związku z jej aktualnymi obowiązkami.

– Długo zamierza tu pani zabawić? – spytał drugi z mężczyzn po niemiecku.

– Zostanę w Petersburgu na czas pobytu sułtana – odpowiedziała tym razem w języku Goethego.

– Niech będzie pochwalone imię jego, największego władcy na świecie – dodał trzeci po angielsku.

Zrozumiała, że powinna powtórzyć tę formułkę, ale uznała, że tego nie zrobi. Żeby jednak nie wyszło na to, że nie rozumie po angielsku, spytała

w tym języku:

– Czy mogłabym poznać żony sułtana?

– Czy uważa pani, że najjaśniejszy pan nie jest największym władcą na świecie? – spytał pierwszy po francusku.

Wydawało jej się, że w jego głosie zabrzmiała nie groźba, tylko ciekawość.

– Nie jestem tu, aby rozstrzygać podobne kwestie – powiedziała opanowanym głosem, chociaż drżała z niepokoju. – Zatrudniono mnie, abym leczyła żony sułtana.

Powtórzyła swoją odpowiedź po niemiecku, angielsku i rosyjsku. Mężczyźni spojrzeli po sobie, najwyraźniej nie byli pewni, czy Anna – chociaż zna cztery interesujące ich języki – aby na pewno jest godna zobaczyć żony władcy.

– Zanim dostąpi pani zaszczytu bycia zaprowadzoną przed oblicze żon najjaśniejszego pana, musimy ocenić, czy jest pani odpowiednią osobą – powiedział ten pierwszy.

– Bardzo proszę. – Skinęła głową, opanowawszy nieco drżenie. – Nie jestem jednak pewna, czy dobrze rozumiem, co kryje się pod pojęciem „odpowiednia”. Czy mogę prosić o wyjaśnienie?

„Przynajmniej wiedzą, że nie kłamałam i znam języki. Grunt to nie dać się zapędzić w kozi róg”, przekonywała sama siebie. Mężczyźni ponownie spojrzeli po sobie.

– Nie jesteśmy przyzwyczajeni do tego, aby kobieta mówiła do nas podobnym tonem, nie spuszczała oczu podczas odpowiedzi oraz zadawała pytania – powiedział pierwszy łagodnym głosem.

Kiwnęła głową. Czuła się nieco pewniej.

– Rozumiem – powiedziała. – Wzrastaliśmy w innych kulturach, ale nie powinno to być przeszkodą, abyśmy mogli się porozumieć – wyjaśniła wolno, wciąż patrząc wprost na rozmówcę. – Car oraz sułtan są przyjaciółmi, co oznacza, że przyjaźń między naszymi narodami jest jak najbardziej możliwa.

Znów popatrzyli po sobie. „Jesteście w Petersburgu, na litość boską”, zdenerwowała się. Co to za maniery? Szanuję waszą kulturę, jestem tu, żeby pomóc. To wy chcieliście lekarki dla żon sułtana, nie ja”. Gdyby się nie bała,

wypowiedziałyby te słowa. Z doświadczenia wiedziała, że nie będzie szanowana, jeśli nie pokaże, że jest inteligentna i odważna, ale nie chciała wyjść na osobę agresywną czy taką, która nie potrafi się przystosować. Wyprostowała się zatem i spoglądała po kolei na każdego z mężczyzn śmiało, ale z szacunkiem.

– Oby żył wiecznie – powiedział pierwszy, ten, który mówił po francusku.

– Boże, chroń cara i sułtana – odparła niepewnie, bo jej rozmówcy najwyraźniej tego oczekiwali. Bała się, że piorun sprawiedliwości dosięgnie ją za głoszenie podobnych herezji. Car przecież był katem Polaków, mordercą jej braci i sióstr, Rosjanie przynosili ze sobą jedynie krew i łzy.

– Allāhu akbar – odezwał się ten, który zwracał się do niej po niemiecku, i uklonił się, a pozostali powtórzyli jego słowa, również kłaniając się nisko.

Anna także wykonała ten gest. Uznała, że lody zostały chociaż w minimalnym stopniu przełamane, więc poszła o krok dalej.

– Czy zechcieliby panowie podać mi swoje imiona? – spytała znów bardzo grzecznym tonem. – Wy znacie moje, ja nie poznałam waszych.

Przez chwilę panowało milczenie. Anna pomyślała, że musi przekonać do siebie tych mężczyzn, inaczej nigdy nie wypełni woli cara, a co za tym idzie, zostanie wydalona z Petersburga i kto wie, czy będzie mogła wrócić do Warszawy. Dlatego postanowiła postępować ostrożnie, ale nie asekuracyjnie. „Od tego, jaką zajmiesz pozycję, zależy, jak cię będą postrzegać”, powiedział jej kiedyś profesor Fritsch. I dodał jeszcze: „Wchodzisz w świat mężczyzn, więc musisz być od każdego z nich dwa razy lepsza, dwa razy mądrzejsza i dwa razy odważniejsza. Wtedy wygrasz”. Zamierzała wreszcie wygrać.

– Saadetin – powiedział w końcu pierwszy.

– Riza – przedstawił się drugi.

– Ahmed – rzucił trzeci po chwili wahania.

Uśmiechnęła się grzecznie i dyskretnie rozejrzała po pokoju. Nigdy nie była w żadnym pałacu, najbogatsze domy, jakie widziała, to te, w których mieszkali jej mentor profesor Fritsch oraz rodzina Korzyńskich. Tutejszy pałac oszałamiał bogactwem. Anna widziała meble tak piękne, że była pewna, że wykonali je najlepsi cieśle na świecie. Na półkach wysokich

konstrukcji ze szkła ustawiono kunsztowne ozdoby. Na ścianach wisiały portrety członków carskiej rodziny, ale też pejzaże Petersburga zimą, obrazy polowania i martwe natury. Jedną ze ścian pokrywały dywany, od których kolorów zakręciło się Annie w głowie. Dywany i niektóre meble, a także niska otomana obita purpurowym pluszem wydawały się wyposażeniem przywiezionym przez gości ze Wschodu. Wkoło unosiła się woń jakichś ziół, których nie rozpoznawała. Był to zapach dość ciężki i duszący, nie umiała określić, czy wydaje się jej przyjemny. Nieco później dowiedziała się, że tak pachnie piżmo, wydzielina z gruczołów piżmowca syberyjskiego, rzadka i niezwykle kosztowna.

– Czy jest pani specjalistką od chorób kobiecych? – spytał nagle Riza.

Zawahała się przez chwilę.

– Mam doświadczenie i wiedzę zarówno w chorobach kobiecych, jak i ogólnych – odpowiedziała i pomyślała: „Jeśli któraś z żon sułtana naprawdę jest chora, to gotowa umrzeć, zanim dostąpię zaszczytu zajęcia się nią”.

– Czy miała pani okazję badać eunucha? – spytał Ahmed.

– Nie – powiedziała bez wahania. – W tym temacie posiadam wiedzę wyłącznie teoretyczną.

Po mężczyznach widać było wahanie, ale w końcu Saadetin, najstarszy i chyba najwyższy rangą spośród nich, sądząc po pełnym przepychu stroju, wstał i otworzył następne drzwi. Anna została wprowadzona do kolejnego pomieszczenia. Ledwie się powstrzymała, aby nie jęknąć z zachwytu. Jeśli kolory poprzedniego wydały jej się piękne, to barwy dywanów zdobiących te ściany przyprawiły o zawrót głowy. Anna nigdy nie widziała takiej purpury, tak intensywnie niebieskiej barwy, żółci ani granatu głębszego niż niebo nocą. Ten pokój urządzony był w całości na modłę wschodnią, na środku królowała okrągła kanapa, w koło ustawione były liczne pufy, wszystkie bogato haftowane, a na nich leżały poduchy, poduszki i okrycia. W swoim szarym skromnym stroju Anna wydawała się sobie pozbawiona wszelkich kolorów, zupełnie bezosobowa i nijaka. Poczowała się bardzo brzydka. Usiadła na szerokiej kanapie, mężczyźni zajęli miejsce naprzeciwko niej.

– Napije się pani herbaty? – spytał Saadetin.

– Nie, dziękuję – powiedziała odruchowo, ale potem pożałowała. Parująca herbata z samowara byłaby czymś wspaniałym. Pozwoliłaby ponadto zająć czymś ręce i zagospodarować czas, którego mężczyźni mieli najwyraźniej aż nadto.

Riza klasnął – na ten znak drzwi ukryte w ścianie otworzyły się i pojawiła się dziewczyna niosąca w ręku tacę. Anna zobaczyła puchar, obok karafkę ze szkła ozdobionego drogimi kamieniami, wypełnioną czerwonym płynem. Na talerzu obok, wykonanym z najcieńszego szkła, jakie Anna kiedykolwiek widziała, spoczywały jakieś egzotyczne owoce, których nazw nie знаła. Dziewczyna położyła tacę przed Anną, ukłoniła się jej i mężczyznom, po czym wyszła szybko z pomieszczenia.

– Dziękuję – powiedziała niepewnie – ale nie mogę pić wina. Przynajmniej nie tu i nie teraz.

Dodała, że wino osłabia jej koncentrację, staje się po nim senna, a przecież przyjechała tu, aby czynić posługę lekarską.

– Nam zabrania religia, ale pani nie powinna odmawiać. To poczęstunek. Obrażliwym jest odmawiać poczęstunku – odparł Ahmed.

Skinęła głową i upiła łyk. Wino było jeszcze lepsze od tego, które poprzedniego dnia przyniósł Włodzimierz, słodsze, o głębszych nutach. Sięgnęła po jeden z suszonych owoców, brązowej barwy, i ugryzła niewielki kęs. Był mięsisty i bardzo słodki.

– Dziękuję – powiedziała. – Nigdy nie miałam okazji próbować tych owoców.

– To daktyle – odrzekł Riza.

Znów siedzieli w milczeniu. Anna nie śmiała go przerwać. Zastanawiała się, czy wreszcie przyjdą żony sułtana czy też będzie wprowadzana do kolejnych pomieszczeń, aż wreszcie znajdzie się dostatecznie blisko swoich pacjentek, aby je zbadać. Na podobnych rozmyślaniach upłynął jej czas niemalże do wieczora. Jeszcze nigdy nie była tak zmęczona bezczynnością.



– Siedzieliśmy tak kilka godzin – opowiadała Kasia, kiedy wróciła do domu po południu, umęczona, jakby pracowała fizycznie, a nie siedziała na miękkiej kanapie, podjadając daktyle. – Ja i trzech mężczyzn. Na początku pytali o normalne sprawy, pokazałam im swoje narzędzia, wytłumaczyłam, do czego służą. Bardzo się tym interesowali.

– I jakie są te żony? – przerwała jej niecierpliwa Kasia.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Anna. – Nie widziałam żadnej.

– Jak to? – Służąca, która stała z naręczem świeżo wypranej pościeli, aż usiadła. – No przecież o to taki bój był...

– Może żadna nie potrzebowała mojej pomocy? – Anna wzruszyła ramionami.

– No ale czegoś się panienka dowiedziała? Coś widziała?

– Widziałam jedną służącą, chyba niewolnicę, która przyniosła mi wino i owoce o bardzo dziwnym smaku, które nazywają się daktyle. U nas takie nie rosną. Musiałam wypić trochę wina. Było słodkie, a owoce jeszcze słodsze.

– Niewolnica? – zapytała zdumiona Kasia.

– Tak, oni tam mają przede wszystkim niewolnice – wyjaśniała dziewczynie. – Dziwnie poubierane. To znaczy tak ubrane, że niby nic nie widać, a jednocześnie jakby rozebrane.

– To znaczy jak? – dopytywała służąca.

Anna przywołała w pamięci obraz wysokiej, pulchnej, czarnowłosej dziewczyny z zasłoniętą twarzą.

– Nie umiem tego dokładnie wytłumaczyć. Ta dziewczyna była opatulona różnymi tkaninami, głównie przezroczystymi. Wydaje mi się, że nosiła spodnie...

– Ach! – wykrzyknęła Kasia. – Spodnie...

– No tak – przytaknęła Anna. – I to była jedyna kobieta, jaką widziałam. Raczej nie była żoną sułtana. Widziałam ponadto trzy przepięknie urządzone pokoje, jednego strażnika, trzech przybocznych sułtana. Tyle.

– To co oni kazali panience robić?

Anna pokręciła głową.

– Nic. Siedziałam beczynnie kilka godzin. Na moje pytanie, kiedy będę mogła poznać żony sułtana, odpowiadali, że przyjdzie na to czas.

– Może te żony dopiero przyjadą? – Kasia swoim zwyczajem uderzyła się ręką w czoło.

Anna westchnęła.

– Nie męcz mnie, dziewczyno – poprosiła. – Ja mam nadzieję, że te żony naprawdę istnieją i prędzej czy później zaprowadzą mnie do nich albo je do mnie, wszystko jedno.

– Może panienka nie będzie musiała tam chodzić i badać tych kobiet? – zastanawiała się Kasia. – Bo ja tak sobie pomyślałam, daruje panienka, że one mogą mieć jakieś choroby, co to... – Zawahała się i nie dokończyła.

– Też o tym pomyślałam – westchnęła Anna. – Że one mogą mieć jakieś wschodnie choroby, których nasza medycyna nie zna.

– Nie, nie. – Kasia zamachała rękoma. – Ja nie o tym. Ja to się martwię, żeby panienka jakiej zarazy nie dostała. Bo kto wie, co to w tych daka... dakotyloch siedzi.

– Daktylach – poprawiła ją Anna. – Najpewniej nic nie siedzi. Na obiad dali mi całkiem petersburskie jedzenie. Pieczoną perliczkę.

– Bo ja miałam właśnie spytać, czy panienki tam nie zagłodzili.

– Nie zagłodzili – uspokoiła ją. – Jeść dają i cały czas proponują mi orzechy i te owoce. Tylko nie mam co robić.

Kolejnych kilka dni wyglądało podobnie. Każdego ranka przyjeżdżał po Annę powóz i wiozł prosto pod drzwi pałacu. Wydawało jej się to dziwne, ale przynajmniej nie musiała sama szukać dorożki albo nadużywać uprzejmości Włodzimierza, prosząc, aby jej towarzyszył. Po skończonej służbie również była zapraszana do powozu i odwożona do domu. Powoził milczący mężczyzna o wschodniej urodzie, który nie odzywał się do Anny. Nawet na nią nie patrzył. Kilkakrotnie próbowała nawiązać uprzejmą rozmowę, zadawała błahе pytania o drogę czy pogodę, ale mężczyzna nigdy na nią nie spojrział ani nie odpowiedział choćby słowem. Myślała nawet, że jest głuchoniemy, ale raz, kiedy opuszczając dorożkę, powiedziała „dziękuję”,

ledwie dostrzegalnie kiwnął głową. „Może po prostu nie wolno mu rozmawiać z kobietami”, pomyślała i przestała go zagadywać.

Minął kolejny tydzień jej „pracy” w tymczasowej siedzibie sułtana, kiedy wreszcie coś się zmieniło. Przede wszystkim w pokoju czekał na nią tylko Saadetin. Przywitał się z nią szybko typową formułą chwalcą Allaha, ale nie zaprosił na sofę i nie zaproponował herbaty ani owoców.

– Dostąpi pani zaszczytu poznania najjaśniejszej pani, sułtanki Akun Sungai – powiedział uroczystym tonem.

Zanim zdążyła wyrazić radość, drzwi otworzyły się i do pokoju weszła niska, pulchna kobieta o przepięknych czarnych oczach w towarzystwie Rizy oraz trzech służących. Gdyby Anna miała określić jej wiek na podstawie rysów twarzy, stanu szyi i rąk, powiedziałaaby, że ma ona nieco ponad pięćdziesiąt lat. Anna ukloniła się, jak umiała najlepiej, chociaż przeszło jej przez myśl, że ukłon powinien być bardziej wystudiowany albo głębszy. Nie wiedziała, czy ma podać sułtance rękę. Uznała, że kobieta jest od niej starsza wiekiem i rangą i jeśli uzna to za stosowne, poda jej dłoń pierwsza. Sułtanka tymczasem powiedziała coś po arabsku, a Riza przetłumaczył na angielski.

– Najjaśniejsza pani chce porozmawiać na temat przypadłości jednej z nałożnic najjaśniejszego pana.

Anna kiwnęła głową z nieukrywaną radością. Wreszcie coś się zaczyna dziać.

– Sumi, zrodzona w miesiącu Wenus, niedomaga – powiedziała, po czym spojrzała na Annę wyczekująco.

– Na czym polegają dolegliwości Sumi, zrodzonej w miesiącu Wenus? – spytała grzecznie Anna.

Sułtanka nie odezwała się. Anna zwróciła się do Rizy.

– Proszę spytać najjaśniejszą panią o więcej szczegółów.

Mężczyzna nie przetłumaczył jej prośby, tylko zwrócił się do Anny.

– Najjaśniejsza pani nie może o tym mówić – wyjaśnił.

„To co ja mam zrobić? Powinnam domyślić się na podstawie wyrazu jej twarzy, gestów?”, zastanawiała się Anna.

– A może mogłabym osobiście obejrzeć chorą? – spytała.

– To na razie nie jest możliwe – odpowiedział jej.

– Rozumiem – powiedziała, chociaż kompletnie nie rozumiała zachowania tych ludzi. – Czy najjaśniejsza pani mogłaby zatem pokazać gestem miejsce, które powoduje dolegliwości?

– Nie mogłaby tego zrobić – ponownie odpowiedział Riza zamiast przetłumaczyć.

– Czy pan mógłby to zrobić? – pytała.

– Też nie – odparł krótko.

– W takim razie proszę wskazać mi sposób, w jaki mogę pomóc. – Ukłoniła się z szacunkiem kobiecie. – Sposób, który nie naruszałby dobrych obyczajów sułtanki oraz Sumi, zrodzonej w Księżycu.

– W Wenus – poprawił Riza.

– W Wenus – powtórzyła cierpliwie, zastanawiając się, co to za różnica, kto w którym miesiącu się urodził.

Mężczyzna zawahał się chwilę, po czym wytłumaczył coś swojej pani. Ta słuchała uważnie, po czym skinęła głową i wyszła z pokoju. Anna stała w pełnej szacunku pozie, domyślając się, że spotkanie jeszcze się nie zakończyło. Po kilku minutach kobieta wróciła z młodą niewolnicą, która padła przed nimi na kolana. Sułtanka wskazała na dziewczynę i powiedziała coś do Rizy.

– To jest służąca pani Sumi – wyjaśnił.

– Czy może mi powiedzieć o dolegliwościach swojej pani? – spytała cierpliwie Anna.

– Nie, ale może je pokazać – wyjaśnił Riza, po czym skinął głową na dziewczynę, która chwyciła się ręką za brzuch i zrobiła cierpienniczą minę. Twarz miała wprawdzie zasłoniętą, ale Anna odgadła jej wyraz ze sposobu, w jaki dziewczyna zacisnęła powieki.

– Od kiedy twoją panią boli brzuch? – spytała.

Dziewczyna wykonała nieokreślony gest dłonią, który mógł wyrażać długotrwały proces, ale również niewiedzę pytanej.

– Czy boli bardziej w dole brzucha, czy też wysoko, pod sercem?

Ze spojrzenia Rizy wywnioskowała, że nie było to zbyt taktowne pytanie. Dziewczyna zaś spojrzała niepewnie na sułtankę, która stała z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Wreszcie skinęła głową dziewczynie, a ta uniosła rękę na wysokość biodra. „Czyli boli ją w dole brzucha”, wywnioskowała Anna, zastanawiając się, jak tu spytać o to, czy dziewczyna miesiączkuje i kiedy miała swój czas. W końcu zapytała wprost. O dziwo, to pytanie nie spotkało się z oporem zebranych.

– Teraz – odpowiedziała sułtanka, a Anna podziękowała jej ukłonem.

– Kiedy poprzednim razem krwawiła? – dopytała.

– Trzy miesiące księżycowe temu – brzmiała odpowiedź.

– Czy mogłabym zbadać pacjentkę? – spytała. – Oczywiście w obecności najjaśniejszej pani oraz pana. – Ukłoniła się Rizie.

– Ja nie mogę wchodzić do haremu – odpowiedział gwałtownie mężczyzna. – Tylko jaśnie pani może odwiedzać żony sułtana. Ja strzegę ich bezpieczeństwa, ale nie mogę ich oglądać.

– Rozumiem – powtórzyła, chociaż zrobiło się jej nieprzyjemnie. Mężczyzna był wyraźnie oburzony propozycją, a ona po prostu zapomniała o tym ograniczeniu. Już rozumiała, dlaczego poszukiwano kobiety, a wcześniej rzezańca. Żaden mężczyzna nie miał prawa oglądać sułtańskich małżonek, nawet tak zaufany i oddany jak Riza.

– Pani także nie może wchodzić do haremu – przetłumaczył słowa Akun.

– Zatrudniono mnie, żebym badała żony sułtana. Odniosłam wrażenie, że taka jest jego wola – argumentowała tym razem zdumiona.

Sułtanka Akun znów zawahała się dłuższą chwilę, wreszcie odezwała się do Rizy, a ten przetłumaczył jej słowa Annie.

– Najjaśniejsza pani gotowa jest wyrazić zgodę na rozmowę – powiedział w końcu. – Suni jest bowiem jedną z najukochańszych nałożnic naszego pana.

Anna nie okazała zdumienia na wieść, że sułtan ma bardziej lub mniej ukochane nałożnice. Ponownie się ukłoniła, mając nadzieję, że dziewczyna nie jest brzemienną i właśnie nie roni następcy tronu.



– Mój Boże – opowiadała Kasi wieczorem. – To jest jednak inna kultura. Dziewczynie nie wolno jęknąć, odpowiedzieć na pytania, nic powiedzieć od siebie, chociaż doskonale mówi po francusku.

– To co ona tam robi, skoro zupełnie nie może mówić?

– Pewnie może rozmawiać z innymi nałożnicami. – Anna wzruszyła ramionami. – Takie życie to męka. Gorsza niż brak nostryfikacji dyplomu.

– No, ja też już bym wolała służyć u kogo niż w takim przybytku z nudów umierać – wyznała Kasia. – Jakby mnie kto do takiego haremu prosił, to ja bym nie chciała. Bo wie panienka, ja to lubię pracować. Nie chciałabym tak, żeby mi kto na nic nie pozwalał. I ja bym w takim haremie...

– Kasiu – przerwała jej Anna – ciebie nikt nie ciągnie do takiego haremu. Nie ma o czym rozmawiać.

– No tak – zgodziła się służąca. – Na szczęście. Bo ja bym nie chciała tam iść. Podziwiam panienkę, bo ja bym...

– Kasiu, proszę cię. – Anna straciła cierpliwość. – Już ustaliłyśmy, że nie chcesz iść do haremu i nie pójdziesz.

Dziewczyna otworzyła buzię, ale zamknęła ją pod groźnym spojrzeniem swojej pani.

– No ale pomogła panienka? – spytała, po tym jak sprzątnęła po kolacji.

Anna pokiwała głową. Udało jej się od razu postawić diagnozę. Na szczęście przypadłość biedaczki nie była groźna.

– Pomogłam. To było dziecko, zaledwie czternastoletnie, a już uczyniono je kobietą. Dziewczynka ledwie zaczęła menstruację, a z tą, jak wiadomo, na początku bywa różnie, może być nieregularna. Nikt jej tego nie wytłumaczył, bardzo ją bolało, myślała, że umiera.

– Panienka to jest taka mądra... – Kasia złożyła ręce jak do modlitwy i wpatrzyła się w Annę z nabożną czcią.

– Kazałam jej podać zioła powodujące ustąpienie kurczów żywota, ale nie wiem, czy je otrzymała.

– Na pewno podali, z wdzięczności, że panienka powiedziała, co dolega.

– Ja się martwiłam, że to coś złego, ale na szczęście okazało się, że nie. Teraz chyba będę mogła wchodzić do haremu i pomagać, ilekroć zajdzie taka potrzeba.

– Panienka to taka mądra... – powtórzyła Kasia. – A widziała panienka inne żony?

– Nie, tylko tę jedną – odparła Anna z wyraźnym żalem. – Myślałam, że sułtanka Akun jest pierwszą żoną albo tą najważniejszą, ale to matka sułtana. Potem mi wyjaśniono, że matka sułtana sprawuje rządy i pieczę nad haremem.

– Matka rządzi żonami? – spytał Włodzimierz, który właśnie przyszedł do nich ciekaw, czy i ten dzień upłynął Annie spokojnie.

– Tak, nazywają ją *valide sultan* – wyjaśniła to, co usłyszała od Saadetina. Mężczyzna nabrał do niej na tyle zaufania, że postanowił uchylić rąbka tajemnicy i opowiedzieć jej o niektórych z panujących obyczajów.

– A widziała panienka sułtana? – wyszeptała Kasia z przejęciem, po czym od razu zaczęła biegać koło Włodzimierza i proponować strawę, „bo panienkę karmią na dworze sułtańskim, a jedzenie się tu marnuje”.

– Nie i nie zobaczę. Sułtan ma swoich medyków, których przywiózł z kraju. Ponoć jest bardzo młody i raczej nic mu nie dolega.

– Ciekaw jestem, jak wygląda... – Włodek niecierpliwie machnął ręką na Kasię, która szczebiotała coś o bajecznych bogactwach wschodnich władców.

– Ma długą brodę i takie coś. – Kasia wykonała mnóstwo ruchów rękami wokół jasnego warkocza upiętego na swojej głowie. – Jest bardzo groźny i ma miecz i tym mieczem zabija wrogów.

– A ty skąd wiesz? – spytał dziewczynę, która zaczerwieniła się i zaczęła coś opowiadać o bajkach, które miała „dawna pani”, i o ilustrujących je obrazkach.

Anna zgromiła Włodzimierza wzrokiem, bo nie chciała, aby się wydało, że Kasia wciąż nie umie dobrze czytać, chociaż już w Warszawie Anna zaczęła ją tego uczyć, a dziewczyna okazała się nadzwyczaj pojętna.

– A w jaskini trzyma złoto i drogie kamienie – wyszeptała Kasia z przejęciem.

– Co za bzdury – mruknęła Anna.

– A tak! – zaperzyła się służąca.

– A gdzie ma tę jaskinię? – dociekał Włodek z poważną miną i zanim Kasia się zorientowała, że chłopak z niej żartuje, Anna szybko wtrąciła:

– Pamiętajcie, że nie wolno mi o tym pisać. W zasadzie nie powinnam wam nawet mówić o tym, co tam widzę.

Saadetin jej o tym przypominał przez pierwszych kilka dni. Nie wolno było jej w listach do rodziny omawiać panujących u sułtana obyczajów. Nie miała żadnych bliskich, mogła napisać jedynie do Grażyny albo jej rodziców, ale równie dobrze może im opowiedzieć o wszystkim, kiedy już wróci do Warszawy. Saadetin powiedział też, że nie może robić notatek i nigdzie zapisywać swoich spostrzeżeń, zarówno dotyczących dolegliwości żon sułtana, jak i ich obyczajów. Z żalem respektowała ten zakaz, bo nie wszystko da się zapamiętać, a dzięki notatkom mogła powrócić do nie do końca zgłębnionego problemu albo do opracowywania receptury jakiegoś leku, na nowo korzystając z zapisanych doświadczeń.

– Przecież panią nie pisze – powiedziała Kasia i odwróciła się tyłem do Włodzimierza, dając mu tym samym do zrozumienia, że jego żarty się jej nie podobają.

– A uważa tam pani? – spytał szeptem Włodzimierz. – Oni się dowiedzą, gdyby pani postanowiła coś zdradzić.

Spojrziała na chłopaka z politowaniem. Bał się własnego cienia, jakież to było żalosne. Z drugiej strony trochę go rozumiała. Car miał wszędzie szpiegów, a każdy obywatel Rosji mógł w dowolnej chwili zostać oskarżony o zdradę lub szpiegostwo i trafić na zsyłkę.

– Uważam, panie Włodzimierzu – zapewniła go. – Do swoich przyjaciół w Warszawie napisałam tylko krótki list, że będę praktykowała w Petersburgu do czasu zdania egzaminów, co nastąpi za pięć miesięcy. Nie napisałam nic o tutejszych przejściach ani o pracy dla sułtana. Nawet nic nie zasugerowałam.

– I dobrze – pochwalił ją Włodzimierz. – Niech pani ani na chwilę nie traci czujności.

– Bo panią gotowi zamknąć w haremie – dodała Kasia.

Anna chciała jej powiedzieć, że jest na to za stara i zbyt brzydka, ale oszczędziła dziewczynie okazji do zaprzeczania i zachwytu nad jej urodą i mądrością.

– Nie zamkną. – Uśmiechnęła się do niej. – Tymczasem wybaczy pan, Włodzimierzu, ale pójdziemy już spać. Tak, będę na siebie uważała.



– Ich medycyna jest bardzo bogata – opowiadała Anna Napoleonowi Cybulskiemu, z którym wybrała się w niedzielę na spacer.

– Najstarsza na świecie – potwierdził. – Aż się dziwię, że nie przywieźli swojego doktora.

– Przywieźli. – Uśmiechnęła się. – Ale on zajmuje się wyłącznie sułtanem. Inni medycy – jego dostojnikami i żołnierzami.

Fizjolog przysłał umyślnego z zaproszeniem na spacer, a ona z radością się zgodziła, chcąc porozmawiać z kimś życzliwym, a jednocześnie znającym medycynę. Szli wolno prospektem Newskim, mijając spacerujących Rosjan. Powietrze było czyste, pierwszy raz tej wiosny mocniej zaświeciło słońce. Kobiety zasłaniały twarze parasolkami, mężczyźni mrużyli oczy, aby lepiej widzieć swoje towarzyszek.

– Myśli pani, że u siebie mają kobiety lekarki? – spytał.

– Nie wiem – odpowiedziała z żalem. – Ale chyba tak. Przecież gdyby coś się któreś stało, nagle zaniemogła albo zaczęła umierać, to nikt jej nie pomoże.

– Czasem wystarczy dowiedzieć się, jakie są symptomy danej choroby, a doświadczony medyk może postawić diagnozę – odrzekł Cybulski.

Aż przystanąła.

– Chyba pan nie mówi poważnie? – Popatrzyła Napoleonowi w oczy. – Robert Graves uczył nas wszystkich badania pacjentów. Należy wypytywać ich o wszystko i badać, badać, badać do upadłego, aż się będzie przekonany, że się nie mylimy, że właściwie umiejscowiliśmy podejrzenia co do źródła choroby...

– Pani Anno – Napoleon był cały czerwony ze wstydu – ma pani rację. Źle się wyraziłem, bardzo źle. Miałem na myśli jedynie to, że być może w tamtej kulturze takie sprawy rozstrzyga się inaczej.

– W każdej kulturze człowiek jest taki sam – ucięła, chociaż sama nie tak dawno zastanawiała się, czy kobiety ze Wschodu nie cierpią na jakieś inne choroby niż Europejki. – Poproszono mnie właśnie o to. O postawienie diagnozy bez badania pacjentki.

– I co pani zrobiła? – spytał.

Westchnęła.

– W haremie rządzi sułtanka matka. To ona o wszystkim decyduje. Musiałam wywrzeć na niej dobre wrażenie. Staralam się, jak mogłam. Kłaniałam się i mówiłam to, co, jak mi się wydawało, powinnam powiedzieć.

– I to pomogło?

– Wczoraj po raz pierwszy od początku mojej bytności w pałacu mogłam zbadać pacjentkę – odparła z dumą.

Opowiedziała Napoleonowi o tym, że matka sułtana nie rozmawiała z nią bezpośrednio, tylko przez tłumacza, chociaż jak się później okazało, doskonale znała francuski. O tym, że wezwała służącą, aby gestem pokazała dolegliwości, jakie trapią młodą żonę. Wreszcie jak z ogromnym szacunkiem, ale stanowczo, stwierdziła, że bez badania nie będzie mogła udzielić pomocy.

– Na szczęście obeszło się bez komplikacji – opowiadała. – Chora to jeszcze dziecko, więc menstruuje bardzo nieregularnie. A przy krwawieniu bolał ją brzuch. Jak mi później wyjaśniono, arabskie zioła nie pomagały, zatem wezwano mnie.

– A jakie to były zioła? – spytał Napoleon z ciekawością. – Jakies specjalne? Ichnie? Tak bym chciał się czegoś od nich nauczyć!

– Tego się niestety nie dowiedziałam, ale zaproponowałam własne i z tego, co rozumiałam, nieznanie im. – Uśmiechnęła się szelmowsko. – Zaleciłam rdest ptasi, ziele tasznika i skrzypu.

Napoleon Cybulski wydawał się czuć niezręcznie, rozmawiając o kobiecych dolegliwościach, ale Anna starała się tego nie widzieć.

– Moja służąca, proszę sobie wyobrazić, ma wielką wiedzę na temat ziół – kontynuowała. – *Polygoni hydropiperis herba*. Rdest ostrogorzki. Bardzo dobrze koi doległości menstruacyjne. Zmniejsza skurcze brzucha i samo krwawienie. Słyszał pan o tym ziele?

– A powinienem? – spytał słabo Cybulski.

Anna przystanęła na chwilę.

– Jak najbardziej, drogi kolego. Będzie pan miał pacjentki i chciał zarobić na życie. Chyba nie zamierza pan leczyć jedynie mężczyzn?

Ruszyli dalej.

– Planuję karierę naukową – powiedział i zasłonił się obronnym gestem.

Roześmiała się.

– Mężczyźni. – Pokręciła głową. – Będziecie udawali, że każda z nas to anioł unoszący się nad ziemią. Kobieta dla was to tylko achy i ochy, kwiatki, buciki i wstążki. Kiedy rodzimy dzieci, zostawiacie nas z położnymi i bladzi stoicie pod zamkniętymi drzwiami, a one piorą zakrwawione prześcieradła...

Napoleon Cybulski spuścił głowę.

– Ma pani rację, Anno, ale proszę zrozumieć: nie jestem przyzwyczajony do tak rozumnych niewiast jak pani. A i w domu nie nauczono mnie, że mówi się o... menstruacji.

– Zgoda – odpowiedziała. – Nie będziemy mówić o menstruacji, bo to nie wypada. A o kastratach możemy?

Pokiwał szybko głową, chociaż mogła się założyć, że fizjolog czuje się równie niezręcznie. „Kto wie, czy zechce znów mnie zaprosić na spacer”, pomyślała i zrobiło jej się nagle lekko i wesoło, bo odnosiła wrażenie, że jej pozycja w haremie sułtana uległa zmianie, a ona sama zyskała szacunek sułtanki.

– Nigdy nie badałem rzezańca – wyznał, jakby brak takowego pacjenta był powodem do wstydu.

– Ja też nie, ani kiedyś, ani teraz. Ale w literaturze medycznej opisuje się kastratów.

– Strzegą oni kobiet sułtana, prawda?

– Nie do końca – zaprzeczyła. – Haremu strzegą oddziały bałdadzich, czyli tak zwanych drwali. Widziałam kilku. Wydają się bardzo dobrze wyszkoleni i pewnie nie zawahają się zabić, gdyby ktoś zechciał porwać którąkolwiek z przebywających tam kobiet. Mam wrażenie, że to dotyczy zarówno żon i nałożnic, jak i zwykłych służących.

– A gdyby same chciały opuścić harem? – spytał.

– Nie sądzę, aby to było możliwe. Nie mogę o to spytać, bo o takich sprawach nie wolno mi rozmawiać. Wprawdzie jeden z nich, Saadetin, przybliżył mi ich kulturę, ale mam wrażenie, że moja wiedza jest bardzo ogólna.

– A eunucha pani widziała?

Pokiwała głową.

– Eunuchowie przebywają z kobietami wewnątrz samego haremu, za dwiema parami drzwi. U nich w ojczyźnie jedne drzwi są żelazne, drugie ze spiżu. Wieczorami, kiedy sułtan już wybierze – zawahała się, bo widziała, że twarz Napoleona Cybulskiego mieni się wszelkimi odcieniami czerwieni – kobietę, z którą spędzi noc, naczelnik eunuchów odbiera klucze od strażników i przynosi je dopiero rano. W tutejszym pałacu są zwykłe drzwi, ale pewnie strażników dwa razy więcej.

– A dużo tych eunuchów? – spytał słabym głosem Napoleon.

– Tu jest ich około dziesięciu. Tak mi się wydaje. Są dosyć do siebie podobni. To praktycznie jedyni łącznicy między światem kobiet a tym zewnętrznym. Nie licząc oczywiście sułtanki *valide*. Mam wrażenie, że w swoim kraju ona nie interesuje się tak bardzo haremem. Jest chyba bardziej przy swoim synu. Tu jednak panują inne warunki, są na obczyźnie, więc bardziej dba o żony i nałożnice.

– A gdyby coś się działo w nocy? Przecież te kobiety są tam zamknięte.

– Nie wiem – odpowiedziała. Sama się nad tym zastanawiała. – Pewnie można w jakiś sposób powiadomić sułtankę a ona mogłaby posłać po mnie.

– Czy wszystkie żony sułtana są... jak by to ująć... równe?

Tego też nie wiedziała. Podejrzewała, że nie są to żony w pojęciu europejskim, poślubione w urzędowy czy też religijny sposób, tylko nałożnice. Bardziej oficjalny status otrzymują, kiedy rodzą synów. Powiedziała o tym koledze.

– Mówiła pani, że ta dziewczyna, którą pani badała, była bardzo młoda – zagał po dłuższej chwili milczenia.

– Tak, chociaż sułtanka nazywała ją „ulubioną nałożnicą” sułtana. Sądzę, że ta dziewczyna była niewolnicą. Na pewno jeszcze nie rodziła. Być może jest do tego przygotowywana – zastanawiała się na głos.

Nagle Napoleon zatrzymał się przed wysokim mężczyzną w cylindrze i towarzyszącą mu kobietą o łagodnym obliczu. Za nimi stały dwie dziewczyny w wieku około piętnastu i siedemnastu lat.

– Uszanowanie panu, Grigoriju Danielewiczu, oraz pani, Natalio Siemionowna. – Ukłonił się i dodał: – Państwo pozwolą, że przedstawię moją koleżankę, doktor Annę Tomaszewiczównę.

Anna dygnęła grzecznie, a następnie uściśnęła podaną przez mężczyznę dłoń. Chwilę czekała, aż kobieta poda jej swoją, ale nic takiego się nie stało. Otrzymała od niej jedynie miły uśmiech. Dziewczyny, najpewniej córki, stały posłusznie ze spuszczonej oczami.

– Dokąd to pan doktor podąża? – spytał mężczyzna, nie spojrzawszy na Annę. Wyraźnie uważał, że to Napoleon decyduje o tym, któredy będą spacerowali, podczas gdy Anna mu jedynie towarzyszy.

– Oprowadzam koleżankę po Petersburgu – odpowiedział Napoleon. – Przyjechała z Warszawy.

– Jak się pani podoba to miasto? – spytała kobieta.

– Jest zachwycające – odpowiedziała uprzejmie. – Nie widziałam piękniejszego.

Rzeczywiście Petersburg był pięknym miejscem. Chociaż Anna niewiele zdążyła zwiedzić, ponieważ pierwsze dni wypełniły jej wędrówki do

akademii i urzędów, a do pałacu sułtana woził ją milczący Arab w zasłoniętej dorożce, wiedziała, że miasto jest nowoczesne, pełne zjawiskowych budowli, szerokich prospektów i wielkich parków, w których miejscowi lubią spacerować. Warszawa przy Petersburgu wydawała się niezwykle ciasna i duszna. Mimo to Anna nie miała najmniejszych wątpliwości, że po zakończonej służbie w haremie i egzaminach zechce wrócić do Warszawy.

– Musicie państwo odwiedzić Teatr Maryjski. Jestem pewien, że będzie pani zachwycona operą, która miała premierę kilka dni temu – powiedział Grigorij Danielewicz, a jedna z jego córek uniosła głowę i spojrzała na Annę i fizjologa smutnym, jak się lekarce wydawało, wzrokiem.

– Słyszałem, że był na niej obecny sam cesarz. – Napoleon wymówił słowo „cesarz” z wielkim nabożeństwem, a Annie zrobiło się nieprzyjemnie. Czemu muszą znosić rządy człowieka, który krwawo tłumi każdą próbę oporu, nienawidzi Polaków i najchętniej zmiotłby jej ojczyznę z powierzchni ziemi!

– O tak! – zgodził się mężczyzna. – I powiem panu, że był zachwycony.

– A co jest tematem owej opery? – spytała Anna, chcąc okazać zainteresowanie.

– Miłość, szanowna pani, miłość – odpowiedział Grigorij Danielewicz. – Główny temat wszystkich oper, powieści, wierszy... Najważniejsza sprawa na świecie.

Anna uśmiechnęła się grzecznie. Nigdy nie czuła się zakochana. Szczerze mówiąc, była przekonana, że doświadczenie opiewane w wierszach ją ominie. Będzie służyła innym, leczyła do śmierci, zapewne nie będzie miała dzieci. Nie potrafiłaby powiedzieć, na jakich przesłankach opiera swoje przekonanie, ale było ono bardzo głębokie.

– Tak, najważniejsza – zgodził się skwapliwie Napoleon Cybulski, a ona przytaknęła, po raz kolejny zarzucając sobie hipokryzję.

– Tematem jest zakazane uczucie królewskiej córki z jakiegoś małego podbitego kraju i pułkownika egipskiego faraona zaręczonego z jego córką – opowiadała kobieta. – Oczywiście ów lekkomyślny młodzieniec, nie bacząc na niebezpieczeństwo, zakochuje się w owej królewnie, za co zamurują ich żywcem^[8].

Anna poczuła się dotknięta. Cóż za nietakt opowiadać Polakom o historii, która dotyczy podboju innego kraju. Poczuła, że Napoleon Cybulski zeszywniał, ale nic nie powiedział.

– W warszawskiej operze nie śpiewają tak znani soliści jak u nas, prawda, mój drogi? – Natalia Siemionowna zwróciła się do męża.

Anna milczała, ale Napoleon zabrał głos.

– Nie miałem okazji odwiedzić opery w Warszawie, ale niewątpliwie tutejszy gmach i przepych, z jakim urządza się przedstawienia, są niezwykle w skali światowej – powiedział dyplomatycznie.

Anna pomyślała, że to kolejny afront ze strony tych ludzi, ale nie odzywała się, widząc, jak Napoleon Cybulski kłania się im i zapewnia o wyższości Petersburga nad wszelkimi miejscowościami w Europie.

– Co to za jedni? – spytała, kiedy w końcu pożegnali się i poszli dalej.

– Nie tak głośno – sapnął fizjolog. – To Lewcowowie. Mogą nas jeszcze usłyszeć, a wiele od nich zależy. To jedni z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi nie tylko w Petersburgu, ale też w całej Rosji. On jest zaufanym człowiekiem samego cara. Jedno słowo Lewcowa, a car wydaje albo kasuje ukaz.

– A pan skąd ich zna? – zaryzykowała pytanie.

– Lewcow jest lekarzem – odpowiedział niechętnie. – Chirurgiem. Zasiada we wszelkich komisjach naszej akademii.

– Czyli od Lewcowa może zależeć także i mój egzamin? – upewniła się.

Napoleon pokiwał głową.

– Tak, pani Anno. Wydaje się, że on musiał zaaprobować moją kandydaturę na stanowisko asystenta profesora Tarchanowa.

– Czy sądzi pan, że powinnam się obawiać? – spytała z niepokojem.

– Nie wiem – odpowiedział. – Ale radziłbym pójść do opery. Może przyjąć na egzamin i zapytać panią o libretto.

– No to pójdę – westchnęła. – Chociaż niezbyt mi się podoba to, że musimy schylać głowy i udawać lojalnych, jeśli chcemy przetrwać. Czasami czuję do siebie obrzydzenie – wyznała.

– A co ja mam powiedzieć? – odrzekł Napoleon Cybulski z przygnębieniem.

Tego dnia nie rozmawiali już o kastratach ani o Rosjanach, którzy nienawidzą Polaków, tylko rozkoszowali się pierwszym ciepłym dniem w Petersburgu.



Następna okazja do poznania mieszkanek haremu nadarzyła się tydzień później i sprawiła Annie wielką satysfakcję. Od czasu poprzedniego badania dzień w dzień była przywożona do pałacu i zasiadała na kanapie, przygotowana na kolejny nużący, beczynny dzień. Witał ją Saadetin, Riza albo Ahmed, czasami wszyscy trzej, służąca przynosiła herbatę, owoce i zostawiała ją samą. Męczyło ją to ogromnie, gdyż nie znosiła beczynności. Pozwalano jej wprawdzie korzystać z bogatej biblioteki umieszczonej w jednym z kilkunastu pokoi, ale historie opisane w książkach rzadko przypadły jej do gustu. Była złaćniona doniesień medycznych, a nie opowieści o nieszczęśliwych miłościach rosyjskich arystokratów albo intryg na dworze francuskiego króla. Najkrótszy bodaj artykuł o postępach w badaniach nad układem nerwowym sprawiłby jej większą przyjemność niż wiersze rosyjskich poetów. Ci zresztą wprawiali Annę w stan pomieszania umysłu, którego do końca nie pojmowała, nauczona, że większość zjawisk ma swoje naukowe uzasadnienie. Nigdy nie rozumiała Mickiewicza, który gardził, jak to się wyrażał, „szkiełkiem i okiem”, a pod niebiosą wynosił gusła i ludowe bajdy. Oczywiście w petersburskiej bibliotece próżno by szukać poematów Mickiewicza, ale ku swemu zaskoczeniu Anna znalazła niejakiego Puszkina, o którym sporo wiedziała dzięki starannej edukacji ogólnej na pensji w Mławie. Już wtedy nie rozumiała, co panna Pagaczówna, nauczycielka języka rosyjskiego, osoba światła i według niej mądra, widzi w poezji kogoś, kto chwali udrękę Polaków, sam popadłszy w niełaskę. Przypomniła sobie nauczycielkę w ekstazie opowiadającą dziewczętom, jak to nieszczęśnik wskutek intryg dworskich został zmuszony do obrony honoru żony i odniósł tak dotkliwe rany w pojedynku, że zmarł kilka dni później.

Anna zaczęła się wtedy zastanawiać, czy nie można mu było jakoś pomóc, zaszyć ran lub też wyleczyć biedaka w inny sposób. Tak, tamta opowieść o Puszkynie skłoniła ją do myślenia o medycynie.

– Czy zechce pani udać się ze mną? – Z zamyślenia wyrwał ją głos Rizy.

Natychmiast odłożyła tomik poezji Lermontowa, wzięła swój kuferek lekarski i podążyła za mężczyzną. Tym razem w pokoju było nieco więcej osób. Sułtanka w otoczeniu trzech zawołanych służących z troską pochylała się nad młodą kobietą leżącą na otomanie, przykrytą kilkoma warstwami delikatnych tkanin. Chora miała niezwykle egzotyczną i bardzo sugestywną urodę. Zielone oczy o kształcie migdałów okalały czarne, gęste rzęsy, a kruczoczarne włosy kontrastowały z bladą cerą. Na jej twarzy malował się przestach, jedną ręką trzymała się za brzuch, drugą położyła na piersi. Z nieco podkrążonych oczu Anna odgadła, że dziewczyna płakała.

– To Haanan – powiedziała sułtanka po francusku. – Oczekuje dziecka najjaśniejszego pana.

Anna przyjrzała się dziewczynie. Niewiele było widać pod tkaninami, na razie nie potrafiła ocenić zaawansowania ciąży. Nie wiedziała też, czemu ją wezwano.

– Oby dobry Bóg pozwolił na szczęśliwe rozwiązanie – powiedziała.

Sułtanka stanowczym gestem odprawiła dwie z trzech służących. Dziewczęta ukloniły się i tyłem wycofały z pokoju. Oprócz Anny i matki sułtana zostali eunuch i dziewczyna, która padła na kolana i w tej pozycji czekała na dalsze rozkazy.

– Od wczoraj Haanan odczuwa skurcze – wyjaśniała Akun. – Lękamy się, że to przedwczesny poród. Nie można do tego dopuścić.

– Dlaczego uważa pani, że poród jest przedwczesny? – spytała Anna.

– Ostatnie krwawienie miesięczne miało miejsce siedem miesięcy temu – wyjaśniła kobieta. – Poród jest przedwczesny.

– Czy pani Haanan zauważyła ostatnio coś niepokojącego? – Anna uśmiechnęła się uspokajająco do dziewczyny. – Czy zdarzyło się coś, co mogłoby przyspieszyć poród?

Sułtanka zadała pytanie dziewczynie po hiszpańsku, a ta odpowiedziała jej szybko, po czym się rozplakała.

– Nic takiego się nie stało. Jedynie dziecko było mniej ruchliwe niż zwykle.

Anna wiedziała, że taki stan zwykle poprzedza poród, niezależnie od tego, czy jest przedwczesny czy o prawidłowym czasie.

– Chciałabym zbadać panią Haanan – powiedziała stanowczo Anna. – Zrobię wszystko, żeby pomóc, ale muszę zobaczyć brzuch i ocenić ciążę.

Sułtanka zawahała się, ale kiwnęła głową. Służąca wstała z klęczek i zdjęła tkaniny przykrywające ciężarną. Anna pochyliła się nad kobietą i delikatnie, ale fachowo oceniła zaawansowanie ciąży. Następnie wyjęła z kuferka trąbkę do osłuchiwania i zbliżyła do brzucha. Odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała bicie serca dziecka.

– Pani Akun – zaczęła – zbliża się poród. Ciąża jest donoszona, a poród nie jest przedwczesny.

Twarz kobiety nagle skamieniała. Sułtanka rzuciła szybkie surowe spojrzenie dziewczynie, która zalała się łzami.

– To niemożliwe – powiedziała w końcu. – Ciąża ma nie więcej niż siedem księżycowych miesięcy.

– Pani Akun – powiedziała Anna grzecznie, acz stanowczo – pani Haanan ma niewielkie brzemię, ale proszę mi wierzyć, ciąża jest donoszona. Co więcej, zaczął się poród. Proszę spytać, kiedy pojawiły się pierwsze skurcze.

Sułtanka nie zechciała przetłumaczyć tego pytania.

– To nic – skwitowała lekarka. – Na razie skurcze występują co kilka minut, co oznacza, że poród potrwa jeszcze kilkanaście godzin.

Sułtanka odwróciła się do Anny.

– Dziękujemy, pani doktor – powiedziała po francusku. – Czy jest pani pewna swojej diagnozy? Proszę się zastanowić. To dla nas niezwykle istotna kwestia.

Anna nagle zrozumiała, że kwestia długości ciąży jest w tym przypadku kluczowa. „Może podadzą w wątpliwość ojcostwo sułtana i na dziewczynę albo co gorsza dziecko spadnie jakaś kara”, przestraszyła się. „Mój Boże.

A jeśli ja się mylę, a biedna dziewczyna będzie narażona na szykany?” Stanowczo nie mogła do tego dopuścić.

– Szanowna pani Akun – zaczęła – dobry lekarz szuka odpowiedzi na pytania. Nieomylny jest jedynie Bóg. Medycyna zaś jest sztuką.

– Krwawienie miesięczne ustało ledwie siedem miesięcy temu – nieco łagodniej powiedziała sułtanka.

– Krwawienie może wystąpić w pierwszych czterech, nawet pięciu miesiącach ciąży. Czytałam o takich przypadkach. – Ukłoniła się.

Sułtanka spojrzała na dziewczynę życzliwszym wzrokiem. Po twarzy Haanan przeszedł grymas bólu.

– Skurcze będą stawały się coraz silniejsze – powiedziała Anna. – Nie można zatrzymać porodu. Proszę mi wierzyć.

– Kiedyś, przy innej żonie sułtana, zatrzymaliśmy poród na wniosek królewskiego medyka – odezwała się sułtanka i zmrużyła oczy.

„Pewnie nie badał pacjentki, bo nie mógł jej oglądać”, pomyślała. Nic jednak nie powiedziała, bo była pewna, że pani Akun sama dokończy swoją myśl.

– Dziecko umarło – wyznała w końcu. – Pogrzeżyliśmy się w żałobie, gdyż był to chłopiec.

Anna przemilczała tę kwestię.

– Pani Akun – powiedziała zamiast tego – poród można spróbować wstrzymać, jeśli płód ma mniej niż siedem miesięcy. Po upływie tego czasu należy pozwolić naturze czynić swoją powinność. W przeciwnym wypadku dziecko może umrzeć.

Wymówiła słowo „umrzeć” jasno i dobitnie. Dziewczyna jęknęła.

– Zatem proszę przygotować panią Haanan do porodu i powiadomić najjaśniejszego pana – zarządziła sułtanka, po czym klasnęła kilka razy w dłonie i do pokoju wbiegły kolejne cztery służące.

– Dziękuję, pani doktor – zwróciła się do Anny.

Lekarka w pierwszej chwili nie zrozumiała, że powinna wyjść, i wciąż stała, patrząc na to, co wносиły służebne. Widziała w swoim życiu wiele

porodów, ale kobiety, którym pomagała, pochodziły raczej z nizin społecznych. Po raz pierwszy miała być świadkiem królewskiego porodu. Służebne przyniosły zatem jedwabie zamiast zwykłych prześcieradeł i wodę w wielkich szklanych misach zamiast w cynowych miednicach.

– Dziękujemy, pani doktor – powtórzyła sułtanka.

– Pani Akun, proszę pozwolić mi być przy porodzie królewskiego potomka. Mam ku temu odpowiednie kwalifikacje – przekonywała.

Sułtanka się zawahała.

– To wbrew naszym obyczajom – powiedziała wolno.

– Rozumiem, ale czyż do tej pory... – Tu Anna przerwała, bo nie wiedziała, jak nazwać kobiety pokroju Haanan: nałożnicami, królowymi czy też żonami? W końcu wybrała to trzecie. – Czy żony najjaśniejszego pana dotychczas nie rodziły dzieci we własnych pałacach? Czyż samo to, że znajdujemy się w Petersburgu, nie znaczy, że obyczaje uległy zmianie?

Sułtanka przyglądała się jej uważnie.

– Kiedy dziecko się urodzi, będę mogła ostatecznie stwierdzić, czy ciąża jest siedmio- czy dziewięciomiesięczna – dodała lekarka.

Akun skinęła głową.

– Zawiadomcie najjaśniejszego pana oraz naczelnika Hossama Mahmuda Alego – powiedziała w końcu, a Anna rozpięła mankiety sukni i odwinęła rękawy. – Pani Haanan rodzi królewskiego potomka.



– Ta dziewczyna miała siedemnaście lat i przyjechała z Półwyspu Iberyjskiego jako podarunek dla sułtana – wyjaśniała Kasi, kiedy po odebraniu trudnego porodu wyczerpana wróciła do domu. – Bardzo wąska miednica, a dziecko duże.

– Ja tu umierałam ze strachu, że panience coś się stało – poskarżyła się służąca. – Panienska to by mogła jaką wiadomość wysłać, że w służbie zostaje, a nie tak nie wracać.

– Nie było na to czasu, Kasiu – powiedziała tonem usprawiedliwienia i dodała: –Chciałabym się położyć, moja droga. Całą noc nie spałam, a oprócz tej biedaczki, która bardzo źle znosiła ból, miałam na głowie sułtanke, służące i naczelnego eunucha, który czekał, aby zanieść najjaśniejszemu panu dobrą nowinę.

– Mężczyzna? Przy porodzie? – Kasia zasłoniła usta ręką.

– Eunuch – powiedziała Anna, ale zrezygnowała z wyjaśnienia dziewczynie, dlaczego eunuchowie nie całkiem byli mężczyznami.

– No ja tam nie wiem. – Kasia szykowała jej łóżko i wkładała pod nogi naczynie z gorącą wodą. – Mężczyzna i masa służby przy porodzie?

– Chodzi o królewskiego potomka – odpowiedziała znużona Anna. – Różni ważni ludzie wtedy pilnują, czy ktoś na przykład nie podmienia dziecka.

– Ale jak to? – Kasia nie rozumiała.

– Ta biedulka pierwszy raz widziała lekarza – wyjaśniła Anna. – Kiedy ustało jej krwawienie miesięczne, jedna ze służących zanotowała ten fakt w księgach i powiadomiono sułtanke. A ona w ciążę zaszła dwa miesiące wcześniej.

– Aha. – Kiwnęła głową Kasia. – I co z tego?

– Gdyby nie ja, to jeszcze gotowi by byli zakwestionować ojcostwo sułtana i pokątnie ukatrupić biedaczkę.

– Nie! – Służąca przeraziła się nie na żarty.

Anna obawiała się, że tak właśnie by się stało. Początkowo myślała, że dziewczyna przybyła do pałacu już w ciąży, stąd te przerażone spojrzenia i płacze. Tyle że rodząca przebywała w nim już od kilku lat, dołączyła jeszcze jako dziewczynka i dorastała na oczach sułtanki, aby stać się królewską wybranką. Z tego, czego się Anna dowiedziała, kobiety w haremie były tak pilnowane przez eunuchów oraz strażników, że zdrada była praktycznie niemożliwa.

– Urodził się chłopiec i to wszystkich uczyniło szczęśliwymi – powiedziała na koniec i wskazała służącej, aby sama się położyła i zgasiła świecę.

– Panienska to też pewnie wolałaby urodzić się chłopcem – stwierdziła Kasia.

Anna zaprzeczyła gwałtownie.

– Uchowaj Boże. – Uśmiechnęła się. – Nie budź mnie, choćby sam car chciał się ze mną widzieć – poprosiła.

– No, car to tu chyba nie przyjdzie, bo ja bym jak raz umarła i panienka musiałaby mnie jak raz ratować. – Służąca zdmuchnęła płomień.

– Jak raz przestań gadać – powiedziała Anna, zasypiając.



Przez dwa dni nie przysyłano po nią dorożki i nie zawożono do pałacu. Zaczęła się poważnie niepokoić, bo cóż mogło to znaczyć? Czy aby z dzieckiem nie stało się nic złego i nie okazało się, że sułtanka jest niezadowolona z jej służby? Podzieliła się swoimi obawami z Kasią, ale dziewczyna machnęła ręką i poleciła jej odpoczywać, zapewniając, że pewnie tam też mają sumienie i po takiej ciężkiej nocy chcą, żeby lekarka nabrała sił.

– No i ja se myślę, że panienka to nie co dzień będzie królewskie dzieci na świat przyjmować.

– Sobie – poprawiła służącą.

– Sobie myślę. – Kasia kiwnęła głową. – Oni tam muszą chrzciny wyprawić i ogarnąć wszystko po swojemu. Poproszą panienkę, jak będzie trzeba.

– Ile razy mam ci mówić, że tam nie ma chrzcin? – spytała. – To inna religia.

Przez chwilę zamierzała powiedzieć dziewczynie, że najpewniej dziecko zostanie obrzezane siedem dni po urodzeniu, ale zrezygnowała. Kasia wiele się przy niej nauczyła, mimo wszystko pozostała jednak prostoduszną wiejską dziewczyną.

– No to inne, swoje chrzciny mają. – Służąca wzruszyła ramionami. – I muszą wszystko zorganizować, zaprosić gości, może nawet cara, chociaż to męczyzna.

Anna wreszcie się roześmiała.

– No widzi panienska – ucieszyła się Kasia – się panienska rozczmuchała, to i dobrze.

Anna pomyślała, że odpoczynek rzeczywiście dobrze jej zrobił, chociaż niewiele miała obowiązków poza ostatnią interwencją.

– A jak ty tu sobie radziłaś, moja droga? – spytała Kasię. – Nie za dużo pracujesz?

Omiotła spojrzeniem wysprzątany pokój, pobielone ściany i przypomniała sobie, że szła wyszorowanymi do czysta schodami. Nie ma co, Kasia była skarbem.

– Panienska pracuje, to ja też. – Uśmiechnęła się, najwyraźniej zadowolona z pochwały. – Sprzątam już nie tylko tutaj, ale i w sąsiedniej kamienicy. Natasza Nikołajewna przestraszyła się, że mnie podkupili, i zagroziła, że nam wymówi, ale takem na nią spojrzała...

– Zaraz, zaraz. – Anna się zaniepokoiła. – Przecież ma zapłacone do końca miesiąca, to jak chciałaby nas wyrzucić?

Kasia zamachała gwałtownie rękoma.

– Głupia by była, gdyby chciała. Panienska regularnie płaci, ja jej dom na błysk wysprzątałam, a że czas mam i robotna jestem, to sobie dorabiam. To znaczy dla nas dorabiam.

– Ja ci powinnam płacić, Kasiu – westchnęła Anna, zrezygnowana.

– Nie, nie, nie – zaprotestowała dziewczyna. – Panienska to mi tu nie mówi takich rzeczy. Panienska mnie szanuje, karmi i uczy czytać. Ja bym dla panienski wszystko zrobiła.

Anna uśmiechnęła się ciepło do dziewczyny.

– Czytać to ty już umiesz – zauważyła.

– No właśnie, nawet Wło... pan Włodzimierz potwierdził. Ale po rusku nie będę czytać, tylko po polsku. – Zaperzyła się nagle. – Ruskie są okropne, koniec końców.

– Jak to najeżdźcy – skwitowała Anna. – Mnie się też nie podoba, że muszę cara prosić o zmiłowanie i konferować z tymi okropnymi urzędasami. Ale jest jak jest.

Kasia nachyliła się w jej stronę.

– Pan Włodzimierz mówi, że lepiej, żeby już nigdy powstania nie było.

Anna spojrzała na nią uważnie. Włodzimierz był na jej gust zbyt konformistyczny, ale pewnie miał swoje powody. Chciał skończyć studia i wybrać się w wielki świat. Nie mógł sobie pozwolić na walkę z carem, bo ani by się obejrzał, jak w Omsku ścinałby drzewa, zamiast budować mosty.

– Powstania w Polsce to nam się nie udają – przyznała.

– Ale panienska uważa, że pan Włodzimierz to ma rację? – spytała Kasia.

– No, trochę trudno mi się odnieść do takiej tezy – zaczęła Anna, ale zobaczyła, że dziewczyna nie rozumie, więc sformułowała swoją myśl inaczej: – Rosjanie nie dopuszczają, żeby Polska znów zaistniała na mapie, a Polacy nie pogodzą się ze zniewoleniem. Co jakiś czas będzie wybuchać kolejne powstanie, a Rosjanie będą je krwawo tłumić.

– To ma rację czy nie? – spytała dziewczyna jeszcze raz.

– I tak, i nie – skwitowała Anna. – Co ty taka polityczna się zrobiłaś?

Kasia podbiegła do komody, wyjęła miskę i pokazała Annie. W misce znajdowało się pięć jajek.

– Jajka – powiedziała.

– Widzę, że jajka i że coś kombinujesz, moja droga. – Anna pogroziła dziewczynie palcem.

– Bo ja tak się zastanawiam nad tym wszystkim. Bo my teraz w Rosji. – Omiotła rękoma pokój.

– I? – spytała Anna. – W Warszawie też byliśmy w Rosji.

– Bo ja się zastanawiam nad tym powstaniem, bo nie chciałabym panu Włodzimierzowi robić kłopotu – ciągnęła dziewczyna.

Anna poczuła irytację.

– Mówże, Kasiu, o co ci chodzi. Planujesz tu wzniecać powstanie czy co?

– Uchowaj Boże, panienko, ja? Ja tylko muszę panience wyznać, że...

Nie zdążyła uczynić owego wyznania, bo rozległo się pukanie do drzwi. Kasia najwyraźniej jednak miała coś na sumieniu, bo zbladła i stanęła jak słup soli, po czym wydusiła:

– Ruskie...

Annie, której udzielił się jej niepokój, także zrobiło się jakoś dziwnie, ale skinęła na Kasię, żeby otworzyła. Dziewczyna pokręciła jednak głową i zasłoniła twarz rękoma. Anna westchnęła i sama otworzyła drzwi. Za nimi stał ten sam Arab, który woził ją do pałacu sułtańskiego.

– Najjaśniejsza sułtanka Akun wzywa panią do pałacu – powiedział po francusku z akcentem, którego mógł mu pozazdrościć sam Voltaire.

– Oczywiście – odparła spokojnie. – Proszę mi dać chwilę.

– Będę czekał w powozie – poinformował i zszedł po schodach.

Kiedy Anna zamknęła drzwi, Kasia dopadła ją jednym susem.

– Kto to był, panienko? – spytała.

Anna wyjaśniła jej, wkładając narzutkę na sukienkę i sprawdzając, czy wszystkie narzędzia po wygotowaniu trafiły do jej lekarskiej torby.

– Panienko, panienka uważa u tego sułtana, bo ten mężczyzna jak sam diabeł wyglądał – wyszeptała służąca.

– Co za bzdury – skarciła ją Anna. – Ma po prostu ciemniejszą skórę i czarne włosy.

– Ja czuję, panienko – Kasia uderzyła się w pierś – że panienka jest w wielkim niebezpieczeństwie...

– Nie czekaj z kolacją – powiedziała lekarka, ignorując jej słowa. – I raczej już nigdzie nie chodź zarabiać. Za dużo pracujesz. Poza tym wreszcie mamy pieniądze.

– Nie pójdę, panienko – obiecała służąca. – Ja za panienkę modlić się będę i nie ruszę się stąd ani na krok.



Jeśli Annie się wydawało, że jako sprawczyni szczęśliwego przyjścia na świat królewskiego syna utnie sobie pogawędkę z Arabem podczas drogi do pałacu, to bardzo się myliła. Oprócz wypowiedzenia dwóch krótkich zdań

w drzwiach jej pokoju mężczyzna nie odezwał się ani słowem. Jedynie kiedy podziękowała mu, wysiadając z powozu, odpowiedział po francusku:

– Do usług najjaśniejszej pani sułtanki Akun.

Przywitali ją Saadetin, Riza i Ahmed. Po ich minach wywnioskowała, że nic złego się nie dzieje, z matką i dzieckiem najwyraźniej wszystko dobrze i nikt jej nie ześle na Sybir. Przynajmniej nie dziś. Odetchnęła z ulgą.

– Jak się miewa szanowna sułtanka Akun? – spytała. Musiała zachować hierarchię, chociaż to nie matka sułtana urodziła dziecko.

– Czuje się dobrze, niech Allah da jej zdrowie – odparł Riza.

– Jak się miewa pani Haanan? – pytała dalej.

– Królewska małżonka jest zdrowa. Oby taka pozostała – tym razem odpowiedział jej Saadetin.

– A królewski syn? – spytała z drzeniem serca, bo wiedziała, że te sprawy na królewskich dworach całego świata były bardzo skomplikowane.

Zanim ktokolwiek zdążył jej odpowiedzieć, do pokoju weszła dziewczyna z herbatą i figami. Anna skrzywiła się lekko, ponieważ nie znosiła tych owoców, ale posłusznie wzięła jeden i zaczęła wolno przeżuwać. Dziewczyna ukloniła się i wyszła. Anna nie doczekała się odpowiedzi, zatem sięgnęła po kolejną figę.

Mężczyźni siedzieli naprzeciwko niej i najwyraźniej na coś czekali. Postanowiła również cierpliwie poczekać. Piła zatem mocną, słodką herbatę małymi łykami i podjadała owoce. Wreszcie drzwi ponownie się otworzyły i do pomieszczenia weszła sułtanka Akun. Anna natychmiast wstała i wygłosiła powitalne formułki. Sułtanka tym razem nie była sztywna i oficjalna, a wyraźnie wzruszona. Nie zachowywała zwyczajowej etykiety, tylko podeszła do Anny i uścisnęła jej dłoń.

– Droga pani doktor – odezwała się drżącym z radości głosem – sułtanka Haanan szczęśliwie powiła królewskiego syna, Rahida. Wraz z najjaśniejszym panem dzielimy się radością z jego narodzin.

– Cóż za szczęśliwa nowina! – powiedziała z entuzjazmem, ale nie do końca pewna, co oznacza dzisiejsza radość. Syn królewski urodził się przecież z jej pomocą dwa dni wcześniej. Pamiętała każdy szczegół trudnego,

wielogodzinnego porodu, nie trzeba było jej o tym informować. Może Arabowie potrzebowali kilku dni, żeby przekonać się, że dziecko przeżyje?

– Oby dobry Bóg zachował go w szczęściu i zdrowiu oraz... – tu chciała powiedzieć, żeby objął tron, ale się powstrzymała, bo nie była pewna, czy to nie będzie kolejny nietakt z jej strony; zamiast tego dodała niezbyt zręcznie: – ...w bogactwie.

– Zostanie obsypany wszystkimi bogactwami świata – powiedziała sułtanka ze szczęściem w oczach.

Anna zauważyła, że kobieta była odświętnie ubrana, jej szaty miały jeszcze żywsze kolory niż zwykle. Na rękach pobrzękiwało mnóstwo szczerozłotych bransolet, a szyję zdobił niezwykle kunsztowny naszyjnik. Anna, chociaż przywiązywała niewielką wagę do dóbr materialnych i nie uważała się w żadnym razie za kobietę atrakcyjną, po raz kolejny poczuła się jak wróbelek przy rajskim ptaku.

– Czy mogłabym dostąpić zaszczytu zbadania królewskiego syna? – spytała z szacunkiem.

Riza postąpił o krok, a ona ukłoniła się ponownie, bo z min mężczyzny odgadła, że jej prośba mogła być odrobinę nie na miejscu.

– Tak – odpowiedziała sułtanka Akun po chwili wahania.

Anna zauważyła zdumienie na twarzach Saadetina, Rizy i Ahmeda, ale Akun była ich panią i mężczyźni nie odważyli się zaprotestować. Kobieta klasnęła w dłonie, a drzwi otworzyły się i do pokoju weszła bogato ubrana dziewczyna z misternie zdobionym koszem w rękach. Wśród jedwabi leżał w nim chłopiec. Ledwie zdążyła pomyśleć, że dziecko wniesiono tak szybko, jakby sułtanka spodziewała się jej prośby, kiedy kobieta przemówiła:

– Niepokoi nas kolor skóry.

Anna, nie pytając już o kolejne pozwolenia, rozchyliła najpierw jedwabie, następnie kaftanik małego i obejrzała skórę. Miała delikatny żółty odcień, według Anny zupełnie prawidłowy i charakterystyczny dla dzieci, które w drugiej dobie życia dostają takiej żółtości na całym ciele.

– To zupełnie prawidłowy objaw – powiedziała z uśmiechem. – W drugiej dobie życia dzieci...

– Wiem o tym – przerwała jej sułtanka Akun. – Sama jestem matką. Czy kolor nie jest zbyt intensywny?

– Nie sądzę – odparła Anna. – Czasem barwa jest intensywniejsza, w zależności od koloru skóry samego w sobie. Jeśli żółtości jest zbyt dużo, widać to w oczach. Proszę spojrzeć, najjaśniejsza pani, barwa oczu nie jest zmieniona.

Sułtanka Akun podeszła blisko i spojrzała dziecku w oczy. Chłopczyk leżał spokojnie z szeroko otwartymi oczkami i patrzył ciekawie na świat. Anna pomyślała, że ma iście królewskie maniere, nie płacze, ale absorbuje sobą całe otoczenie.

– Dziękuję, pani doktor. – Akun uśmiechnęła się do Anny z wdzięcznością. – Byliśmy wielce zaniepokojeni...

– Nie ma powodu do niepokoju – powtórzyła.

– Urodził się królewski syn – powiedziała uroczyście Akun.

– Królewski syn jest zdrowy – wygłosił uroczyście Riza.

– Królewski syn jest błogosławiony – dodał Saadetin.

– Królewski syn jest panem świata. – Ahmed się uklonił.

Anna także się ukloniła, dumając, czy nie ma przypadkiem do czynienia z przyszłym wodzem, który zdobędzie pół Europy i wyrzuci cara z Petersburga, i czy wtedy ona będzie zadowolona z tego faktu czy też nie.

– Królewski syn będzie wielkim człowiekiem – dodała i sądząc po minach zebranych, było to stwierdzenie zupełnie na miejscu.

Potem wyjaśniono jej, że urodzenie syna sułtanowi to wcale nie jest taka prosta sprawa. Mimo szumnej zapowiedzi „rodzi się syn sułtana” podobna deklaracja nie ma wielkiej wartości. Królewska nałożnica rodzi bowiem dziecko, które najpierw jest tylko dzieckiem. Dopiero później odbywa się coś na kształt zebrania, podczas którego zapada decyzja, czy dziecko jest potomkiem sułtana. Anna opowiadała o tym Napoleonowi Cybulskiemu podczas kolejnego spaceru po Petersburgu.

– Przecież dziewczyna przebywa w haremie od dwóch lat. Ma jeszcze udowodnić, że urodziła dziecko sułtana? – zdumiał się fizjolog.

– Tak, mimo tego, że pilnują jej eunuchowie, a żaden męski osobnik nie przecisnę się przez dwoje drzwi, choćby był mrówką – potwierdziła.

– A jeśli nie udowodni?

– Pewnie jest uznawana za cudzołożnicę i Bóg jeden wie, co się z nią dzieje.

– Może ją gdzieś odsyłają? Na jakąś ichnię Syberię? – westchnął Napoleon Cybulski.

Anna uważała, że dziewczynę by uśmiercono, ale nie powiedziała tego głośno.

– Sądzę, że nie bez znaczenia był fakt, że dziewczyna urodziła chłopca.

– Chłopiec w tej kulturze znaczy więcej niż dziewczynka – powiedział Napoleon.

– Naprawdę? – zauważyła cierpko Anna, zastanawiając się, czy wszyscy mężczyźni, nawet tak poczciwi jak Napoleon Cybulski, nie mają wystarczająco taktu, aby nie mówić o kobietach z lekceważeniem.

– Stokrotnie panią przepraszam. – Fizjolog się zawstydził. – To nietaktowne i wielce krzywdzące słowa wobec tego, czego pani doświadcza. Jako kobieta.

Skinęła głową. Chwilę szli w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach.

– Już dobrze – powiedziała w końcu. – Sama bym tego lepiej nie ujęła. Ma pan rację. To, że dziewczyna urodziła chłopca, na pewno jej pomogło. Pozostało już tylko uznanie go przez sułtana.

– Wie pani, jak to wygląda? – spytał z zaciekawieniem.

– Pytałam, bo rozsadzała mnie ciekawość – przyznała. – Oczywiście nie wprost, bo bym się pewnie nie dowiedziała, ale za pomocą pochlebstw i sprytnych kobiecych sztuczek. Czasami, niech pan sobie wyobrazi, przypominam sobie, że jestem kobietą i korzystam z możliwości, jakie stwarza ów fakt.

Napoleon Cybulski roześmiał się wyraźnie ucieszony, że udało się puścić w niepamięć poprzedni nietakt.

– I czego się pani dowiedziała?

Anna nie dała się prosić i natychmiast zaczęła opowiadać o obyczajach po narodzinach dziecka w haremie.

– Dzień po urodzeniu dziecka matka zabiera je i idzie pokłonić się sułtanowi. Dziękuje mu za szczęśliwy poród i ofiarowuje syna. Pytałam sułtanki Akun o szatę, w którą ubiera się chłopca. Inne ubranka mają chłopcy, inne dziewczynki, co już wiedziałam – dodała z szelmowskim uśmiechem. – Nie wiedziałam jednak, że dziecko pozostawia się u stóp sułtana. I czeka...

– Na jego zmiłowanie? – Napoleon mimowolnie chwycił się za serce.

– Właśnie tak – potwierdziła. – Najpierw sułtan dowiaduje się, że jedna z jego nałożnic urodziła dziecko. W dzień ofiarowania siedzi na tronie i czeka na matkę, która przynosi mu noworodka. Po szatach poznaje, że to chłopiec. A potem decyduje, czy uzna dziecko za swoje, a co za tym idzie, wyniesie matkę do królewskiej rangi, a syn zostanie oficjalnym następcą tronu.

– Sprytne – przyznał Napoleon. – I logiczne.

– I tu nie było chyba żadnych wątpliwości, bo sułtan wstał z tronu i wziął dziecko na ręce. Powiedziano mi wcześniej, że sułtanka Haanan była ulubienicą sułtana. Musiał zatem sobie ją wcześniej upatrzeć i pewnie czekał na potomka. A to, że urodziła chłopca, dodatkowo przyniosło jej korzyści.

– Jakie? – spytał.

– Głównie materialne. Widziałam ją przez chwilę. Była tak obwieszona biżuterią, że trudno było jej się ruszać. – Uśmiechnęła się mimowolnie.

– Czy to jakoś zmienia hierarchię w haremie? – dociekał Cybulski i natychmiast dodał: – Proszę wybaczyć ciekawość, to przecież sprawy niezwiązane z fizjologią ani medycyną.

– Sama byłam tego ogromnie ciekawa – zapewniła go.

Minęli jakiegoś jegomościa, któremu Napoleon ukłonił się nisko. Sądziła, że zatrzymają się na podobną prezentację, jaka nastąpiła poprzednim razem, kiedy spotkali Lewcowów, ale jegomość niedbale odpowiedział na ukłon i szybkim krokiem poszedł dalej.

– Igor Piotrowicz Książnin – burknął Cybulski. – Utracjusz i kanalia.

– To czemu mu się pan kłania? – spytała z prostotą.

– Bo to najpierwszy przyjaciel dyrektora instytutu. Przegrywa w karty majątki swoje i innych. A że ma ogromne wpływy, ludzie pożyczają mu pieniądze. Które ten przegrywa.

Obejrzała się dyskretnie.

– To przykre, że są tacy ludzie – powiedziała. – Pan też mu pożyczca?

Roześmiał się.

– Na szczęście jestem za biedny – skwitował. – Ale naszemu dyrektorowi jest wiele winien. Tak mówią...

– A tak między nami, skoro już poruszamy temat biedy, wyznam panu, że kiedy godziłam się na służbę u sułtana, do głowy mi nie przyszło spytać, ile mi będą płacić.

Napoleon aż przystanął.

– Ależ to moja wina! – powiedział. – Przecież będzie pani płaciła akademia, tylko ja głupi zaniedbałem, nie przekazałem. Myślałem, że w papierach napisane.

– W papierach było napisane, że to posada, ale żadnej pensji tam nie uwzględniono – wyjaśniła.

Nie dodała, że tuż przed królewskim porodem skończyły się jej pieniądze i zaczęła polegać na Kasynach groszach zarobionych ciężką pracą. Napoleon milczał, znów zawstydzony, że coś zaniedbał.

– No właśnie – powiedziała, nie widząc zdenerwowania swojego towarzysza. – To takie niezręczne pytać o pieniądze, prawda?

– Ja stokrotnie przepraszam, ale naprawdę sądziłem, że... – dukał fizjolog, patrząc na nią błagalnie.

– Co też pan. – Machnęła ręką. – Niech pan nie przeprasza, panie Napoleonie, bo wszystko jest w jak najlepszym porządku. Proszę sobie wyobrazić, że otrzymałam sporą sumę, kiedy urodził się królewski syn.

Suma była niezwykle wysoka, bo aż tysiąc rubli, i przypawiła ją o zawrót głowy. Napoleon spojrział na Annę z uznaniem.

– Nie chciałam przyjąć – wyznała – ale odmowa nie wchodziła w grę, byłaby to wielka obraza. No i wtedy wydało się, że nie dostaję

wynagrodzenia. A ci ludzie, proszę sobie wyobrazić, nie nawykli, żeby człowiek wolny pracował u nich za darmo.

Anna, chociaż zupełnie się tego nie spodziewała, prócz pieniędzy otrzymała liczne prezenty, takie jak kolczyki z prawdziwymi rubinami, intarsjowaną szkatułkę na biżuterię oraz misę z tak cienkiego szkła, że szczerze wątpiła, by owo naczynie przetrwało transport do Warszawy.

– Niewolnik nic nie dostaje, a wolnemu płacą, tak? – spytał Napoleon, ukłoniwszy się jakiejś szacownej damie, która szła z dwiema innymi równie bogato ubranymi kobietami. Anna nie spytała, kim one są.

– Tak – potwierdziła. – Jak u nas, tylko my nie mamy niewolników, a chłopów. Wypytao mnie, czy od rządu moskiewskiego dostanę taką samą nagrodę jak od nich, wtedy wydało się, że pan dyrektor nie zamierza mi płacić. Ktoś komuś szepnął słowo, ten innemu, ten inny jeszcze komuś, no i wezwano mnie. Stawiłam się w akademii i odebrałam żołd. Bo jestem kimś w rodzaju żołnierza.

– Brawo, pani Anno, brawo. – Cybulski uchylił przed nią kapelusza.

Przypomniała sobie tę chwilę, kiedy wkroczyła do gabinetu dyrektora, aby „podziękować” mu za posadę i pamięć. Dyrektor miał minę, jakby chciał ją zgnieść jednym ruchem, ale powściągnął emocje i wypowiedział krótką formułę o szlachetności cara. Wychodząc, nie omieszkała przypomnieć mu o egzaminie i ku jej zdumieniu dyrektor spokojnie odpowiedział, że egzamin odbędzie się pod koniec jej służby u sułtana, czyli już za dwa miesiące. Poradził jej powtarzać materiał, bo – jak się wyraził – komisja jest niezwykle surowa i Anna nie może liczyć na żadne pobłażanie. „Wiem, że muszę być dwa razy lepsza od każdego z was”, pomyślała. Nie bała się wypowiedzieć tego na głos, ale starała się być dyplomatką i tym razem uznała, że lepiej przełknąć te słowa niż ponownie zaognić sytuację.

– Dziękuję – odpowiedziała Cybulskiemu i dodała uroczyście: – W związku z tym, że jestem teraz majątną kobietą, pragnę pana prosić...

Tu przerwała, gdyż Napoleon Cybulski zrobił się czerwony jak burak i zaczął kasłać. Niewiele myśląc, poklepała go fachowo po plecach, mimo że stali na ulicy i takie zachowanie było w najlepszym razie dziwaczne.

– Pragnę pana prosić – kontynuowała, kiedy fizjolog przestał kasłać, a jego twarz odzyskała prawidłową barwę – a właściwie zaprosić do nas w niedzielę na obiad. Na stole pojawi się pieczone kaczę i różne inne pyszności. Kasia, moja służąca, jest bardzo zdolną kucharką.

– A, jak tak, to tak... – wybąkał Cybulski z ulgą. – Ja stokrotnie panią przepraszam, bo nie zrozumiałem w pierwszej chwili, o co chce mnie pani prosić, wspominając najpierw o pieniądzach.

Zawstydziła się trochę. Przypomniała sobie, jak matka jej powtarzała, że pod pewnymi względami jest mało kobieca. Nie umie wyrazić swoich pragnień w sposób łagodny i pełen uroku, tylko upiera się jak muł albo narzuca innym swoją wolę.

– Ma pan rację, panie Napoleonie – zaczęła wolno. – Właściwie to chciałam pana prosić o coś innego... – powiedziała i spojrzała mężczyźnie głęboko w oczy, a ten znów zrobił się czerwony, ale tym razem przynajmniej nie kasłał. – Tylko bardzo mi niezręcznie, bo jestem kobietą.

– Tak? – spytał Napoleon nieco piskliwie i wbił w nią spojrzenie, które wydawało się jej pełne przestachu. Czyli domyślił się, o co Anna chciała go prosić, i zapewne nie zechce przystać na jej propozycję. Mimo wszystko uznała, że powinna wyartykułować swoją prośbę na głos.

– Oczywiście może pan odmówić – dodała grzecznie. – Ja zrozumiałem, że może to być wielce niezręczne. Nie chcę naciskać, ale pana odmowa może sprawić, że wrócę do domu ani z tarczą, ani na tarczy i Bóg jeden wie, co mnie czeka. Szukanie męża w Warszawie li tylko...

Napoleon przełknął ślinę.

– I co ja mogę zrobić?

Anna spojrzała na niego uważnie. Dziwne, że się nie domyślał. Właściwie to dziwniejsze, że sam nie uczynił takiej propozycji. Przecież był jej ogromnie życzliwy i gdyby nie on, myłaby teraz podłogi w którymś z warszawskich szpitali lub przytułków, licząc na to, że pozwolą jej przyglądać się, jak leczą mężczyźni.

– Może pan uczynić mnie szczęśliwą kobietą – zaczęła, a chcąc skrócić męki biedaka, który wyglądał, jakby miała go trafić apopleksja, dokończyła

szybko: – Niechże mi pan zdobędzie materiały na egzamin. Ja mam swoją wiedzę, ale w waszych pracowniach na pewno dokonuje się nowych badań. W komisji egzaminacyjnej zasiądzie profesor Tarchanow. Nie mogę korzystać z biblioteki, pan wie czemu. Boję się, że dostanę pytania, na które nie zdołam odpowiedzieć.

Z Napoleona uszło powietrze. Złapał się za serce i usiadł na ławce, koło której akurat przechodzili.

– Oczywiście, pani Anno, oczywiście, oczywiście – powtarzał raz za razem. – Proszę wybaczyć, ale nie spodziewałem się... To znaczy spodziewałem się innego... Nieważne, czego się spodziewałem, jestem głupcem. Powinienem sam to pani zaproponować i przynieść owe materiały.

– Dziękuję panu ogromnie. – Odetchnęła z ulgą. – Bałam się, że pan odmówi. Naprawdę się bałam.

– Ja bym nie odmówił – powiedział z nieszczęśliwą miną. – Tylko bym nie dał rady.

– Z czym by pan nie dał rady? – indagowała. – Przecież ja nie chcę, żeby pan coś pokątnie wynosił. Tylko przyniósł mi publikacje, do których wszyscy mężczyźni mają dostęp.

Poczuła, że los się do niej uśmiechnął, bo i dostała pieniądze, i potwierdzono jej egzamin, a teraz Napoleon pomoże jej się do niego przygotować.

– Nieważne, zupełnie nieważne, pani Anno. – Fizjolog otarł pot z czoła, chociaż maj był wyjątkowo wietrzny i zimny tego roku.

– No ważne, bardzo ważne. – Znów na niego spojrzała. – Przecież nie proszę o wiele.

– Tak, tak... – Napoleon zerwał się na nogi i uchylił kapelusza jakiejś parze, która mijiała ich ławkę i odpowiedziała uprzejmie. – Ja tylko czuję się taki wzruszony, że mnie pani... na obiad prosi...

Klasnęła w ręce.

– A po cóż się wzruszać? Ma pan minę, jakby pana na galery wysyłali. Albo na Sybir. A ja tylko pana zapraszam na obiad. Kasia wyśmienicie gotuje, ale to tylko obiad.

– Tak, tak – powtarzał i dodał proszącym tonem: – Zostawmy to już.

– Dobrze, zostawmy. Aha! – przypomniała sobie. – Jednak nie zostawimy. Widzi pan, u mnie na pierwszym miejscu nauka i praca, a potem przyjemności, także i te płynące z faktu, że jestem kobietą.

– Czy coś jeszcze mogę dla pani zrobić? – Na pocziwą twarz fizjologa wrócił niepokój.

– Owszem – powiedziała z rezerwą. – Ja wiem, że pan nieprzyzwyczajony do takich kobiet jak ja... Ale jak już pan się zgodził na obiad i zdobędzie dla mnie publikacje, to już mojej ostatniej prośbie może pan odmówić.

– A chodzi o...? – Napoleon się zawahał.

– Czy zechciałby pan mi towarzyszyć w operze, na przedstawieniu *Aidy* Verdiego? Sam pan mówił, że ten Lewcow...

– Tak, tak, pani Anno, oczywiście – zgodził się Cybulski i znów odetchnął z ulgą. – Kiedy tylko pani sobie życzy.

– No i świetnie. – Ponownie klasnęła, a kilka osób obejrzało się za nimi. – Jest pan nieoceniony.

– A tam – skwitował.

Wstali z ławki i podążyli ku mieszkaniu Anny. Było już późno, Kasia zapewne czekała na nią z obiadem.

– Jest pan najmiłym człowiekiem na świecie – powiedziała na pożegnanie. – Jak się pan tak na wszystko zgadza, to następnym razem się panu oświadczę. Oczywiście, jeśli ktoś zażąda ode mnie, bym miała męża.

Po czym roześmiała się perliście i spojrzała na Cybulskiego, który zachichotał nerwowo, szybko się pożegnał i oddalił spiesznym krokiem.



Zgodnie z obietnicą Napoleon zdobył dla niej materiały do egzaminu – i było ich całkiem sporo, więc każdą chwilę wolną od pracy Anna poświęcała na naukę. Egzamin zbliżał się wielkimi krokami.

W haremie zapanował radosny chaos związany z narodzinami potomka i zmianą hierarchii kobiet sułtana. Sułtanka Haanan dostała królewski tytuł, a w związku z tym wszelkie należne jej przywileje. Zajmowała teraz osobne apartamenty, miała dwa razy więcej służby niż wcześniej. Sułtan na każdym kroku okazywał jej wdzięczność z powodu urodzenia syna. Sprowadzono dla niej z Włoch i Francji kunsztowne meble i ogromne ilości biżuterii. Anna co i raz była świadkiem, jak umyślni wnosili toaletki, komody i komódki z najrzadszych gatunków drewna, figurki z kości słoniowej, porcelanę cieńszą niż papier i rozliczne szkatuły, w których, jak się domyślała, znajdowały się złoto i drogie kamienie. Zastanawiała się, jak to wszystko zostanie zawiezione z powrotem, ale uznała, że to pewnie nie pierwsza wyprawa sułtana i liczna służba, żołnierze, eunuchowie i oczywiście żony są doświadczeni w tego typu podróżach. Anna wyraźnie odczuła, że jej pozycja w haremie także się zmieniła. Sułtanka Akun przychodziła teraz co dzień, żeby zabawić ją rozmową. Anna, która początkowo nie pałała sympatią do tej surowej kobiety, z czasem ją polubiła i z ciekawością słuchała jej opowieści. Akun opisywała jej życie w pałacu, opowiadała o jego cieniach i blaskach, zwłaszcza blaskach, bo tych było według sułtanki więcej niż niedogodności. Annę ogromnie to interesowało i zadawała jej wiele pytań, na które kobieta chętnie odpowiadała. Zwykle zostawały podczas tych rozmów same, to znaczy bez mężczyzn, tylko w towarzystwie jednej służącej, która przybierała pełną szacunku pozę i czekała na najmniejsze skinienie swojej pani. Anna, uwolniona od krępującej obecności Saadetina, Rizy i Ahmeda, mogła swobodnie rozmawiać, wtrącać własne przemyślenia, wypytywać o sprawy, o których na początku swojej bytności wśród Arabek nie odważyłaby się wspomnieć. Podczas którejś z kolejnych rozmów, już bardzo poufałych, Akun opowiedziała jej o swoim życiu w haremie, o tym, jak trafiła do sułtana w wieku zaledwie dziesięciu lat jako dar emira Andaluzji dla najjaśniejszego pana. Wspominała, że była uczona języków, konwersacji, gry na instrumencie i śpiewu, zapoznawana z medycyną i sztuką.

– Uczymy się zwykle cztery lata, mieszkając wśród innych nam podobnych – wyjaśniła. – Zajmują się nami doświadczone nauczycielki, które pilnują dyscypliny.

– Bardziej niż eunuchowie w samym haremie? – spytała Anna.

– To także harem, tyle że do czternastego roku życia nie mamy styczności ze starszymi, gotowymi na służbę kobietami.

Anna była ogromnie ciekawa, w jaki sposób sułtan wybiera kobiety, ale zadanie podobnego pytania wydawało jej się wielce nietaktowne, więc milczała. Akun postanowiła jednak uchylić rąbka tajemnicy. Może miała zaufanie do młodej lekarki, a może nie był to żaden sekret.

– Pewnie jest pani ciekawa, kiedy poznamy sułtana? – spytała.

– Proszę mi wybaczyć – odpowiedziała jej Anna. – Nie będę ukrywała jak bardzo wasze obyczaje są dla mnie bardzo interesujące. Nie wiem, czy dane mi będzie podróżować. Zapewne nigdy nie poznam osobiście waszego fascynującego kraju.

– Kiedy jesteśmy gotowe, odbywa się prezentacja – opowiadała Akun, jedząc figę za figą. – Oczywiście największe znaczenie ma uroda. Jak zapewne wszędzie na świecie. Ale najjaśniejszy pan patrzy głębiej...

Tu przerwała i spojrzała znacząco na Annę.

– U nas także w pierwszej kolejności mężczyźni oceniają naszą urodę. Tyle że często już nie patrzą głębiej – stwierdziła gorzko.

– Dlaczego? – spytała Akun.

– Po prostu nie muszą. Liczą się wygląd, koneksje i posag.

– Mnie i najjaśniejszego pana łączyła prawdziwa miłość. – Sułtanka się zamyśliła.

Anna zrozumiała, że stary sułtan zmarł, a tron po nim objął syn Akun.

– Proszę przyjąć najserdeczniejsze wyrazy współczucia – powiedziała.

Nieoczekiwanie sułtanka roześmiała się.

– Powołał go Allah, a mój syn objął tron – wyznała z dumą. – To największy zaszczyt dla kobiety.

Anna pokiwała głową. Na całym świecie urodzenie syna królowi było ogromnym zaszczytem. Akun musiała być nie tylko piękna, ale też sprytna, aby spośród równie urodziwych dziewcząt być tą, która zdobędzie serce sułtana.

– Ciekawa jest pani, jak to zrobiłam? – spytała, mrużąc oczy.

– Bardzo.

– No cóż, moja droga – sułtanka uśmiechnęła się – dałam mu dokładnie to, czego potrzebował. Słodycz i niepewność.

Anna uniosła brwi ze zdumienia.

– Niepewność? – spytała.

– Tak, niepewność – odparła Akun. – Nawet sułtan lubi być niepewny. Wie, że może kobietę zniewolić lub uwolnić, może ją zabić lub poślubić. Ale sprawić, że go pokocha? To może jedynie prawdziwy mężczyzna.

– Sułtanko Akun – odezwała się Anna – jest pani niezwykle mądrą kobietą, prawdziwą królową. Podziwiam panią.

Sułtanka ukloniła się lekko.

– Powiem pani jeszcze coś, moja droga, i proszę przyjąć to jako radę. Może jesteśmy z dwóch różnych światów, ale jedno nas łączy. Musimy walczyć o swoje. Ja musiałam zmierzyć się z pierwszą żoną najjaśniejszego pana, która miała nieszczęście urodzić mu córki.

Anna nie odważyła się spytać, gdzie owa małżonka znajduje się w tej chwili.

– Gdyby była mądrą kobietą, żyłybyśmy w zgodzie – dodała Akun. – Niestety nie była. Intrygi, kłamstwa...

Anna kiwała głową ze zrozumieniem.

– Posunęła się jednak zbyt daleko. Próbowwała mnie otruć.

– Ach – wyrwało się Annie.

– Tak, tak. – Akun uniosła upierścienioną dłoń. – Przy pomocy moich służebnych, przyjaciółek, odkryłam jej nieczne czyny.

– I co się z nią stało? – spytała Anna.

– Nie ma jej. – Sułtanka rozłożyła bezradnie ręce, a Anna nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Akun zaczęła wypytywać o życie Anny, co było niezwykle zabawne, bo lekarka rozumiała Akun, sułtanka natomiast nie umiała sobie wyobrazić życia, jakie wiodła Anna.

Opowiedziała, jak bardzo pragnęła się kształcić i jak zmusiła rodziców do wysłania jej na studia.

– U nas córki są posłuszne – odpowiedziała jej wtedy sułtanka. – A uczyć się mogą tylko wtedy, kiedy są przygotowywane do bycia żoną.

– U nas też – wyjaśniła Anna. – Ja jestem wyjątkiem.

Akun uśmiechnęła się ciepło i spytała o jej plany dotyczące potomstwa. Anna uznała, że w tym temacie przyda się dyplomacja, i uruchomiła wszelkie pokłady intelektu i taktu, żeby nie powiedzieć kobiecie, która poświęciła całe swoje życie byciu żoną i matką, że taka rola tak naprawdę jej nie interesuje. Zamiast tego wyjaśniła:

– Pragnę służyć kobietom, aby rodziły zdrowe dzieci.

Sułtanka ukloniła się jej lekko.

– Całym sercem i modlitwą będę z panią podczas egzaminów. Car także powinien się dowiedzieć, jak bardzo jest pani uzdolniona. Dla każdego dworu będzie błogosławieństwem, jeśli pani będzie przyjmować na świat królewskie dzieci.

Anna uważała, że witanie kolejnych ciemżycieli na tym padole nie jest jej powołaniem, ale zrozumiała, co sułtanka miała na myśli.

– Car ma własnych lekarzy – powiedziała dyplomatycznie. – Ja pragnę służyć tym, których lekarze omijają. Najbiedniejszym.

– Tutaj – gestem ręki sułtanka objęła pomieszczenie – pomaga pani uprzywilejowanym.

– Tak, bo tylko wy chcieliście mojej pomocy. – Anna się uśmiechnęła. – Nie mogę leczyć potrzebujących, póki nie dostanę na to pozwolenia. Nie chciano mi go wydać.

– Rozumiem. – Akun pokiwała głową. – Jest pani biegła w sztuce lekarskiej, ale żeby leczyć biednych, trzeba tu mieć specjalne pozwolenie.

– Potrzebujących – poprawiła ją Anna, chociaż miała świadomość, że nawet z dyplomem nie dostąpi zaszczytu opiekowania się bogatymi. Nie dbała jednak o to. Nie po to poniosła tyle ofiar, aby wzdychać nad kobietami, których jedyną dolegliwością był za ciasno zasnurowany gorset.

– Potrzebujących – powtórzyła Akun. – Ma pani rację. U nas jest inaczej. Lekarzem zostaje ten, kto potrafi leczyć. Często sam zdobywa wiedzę. Doświadczenie, aby leczyć króla, ma niewielu.

– Tym bardziej doceniam ten zaszczyt, najjaśniejsza pani.

– Ależ to pani wyświadcza nam przysługę.

– Wy, kobiety Wschodu, wydajecie się inne niż my, Europejki. – Anna zmieniła temat.

– Pod jakim względem? – spytała sułtanka.

Anna zastanowiła się chwilę, aby jak najlepiej wyrazić to, co czuła.

– Wydajecie się bardziej świadomymi kobietami niż my. My w Europie biernie przyjmujemy narzucone nam role. Nie buntujemy się. Jesteśmy w oczach mężczyzn lalkami, zabawkami albo nic nieznaczącymi istotami, mimo że ciężko pracujemy. Mamy szczęście, jeśli dożywamy trzydziestego roku życia.

– Hmm... – Akun analizowała słowa Anny. – Proszę pamiętać, że nie poznała pani całej Arabii, jedynie jej najlepszą część – pałac królewski.

Sułtanka miała rację, ale Anna uważała, że tutejsze kobiety mimo zamknięcia i ograniczeń są pogodzone ze swoim losem i pełne determinacji, aby zająć jak najwyżej. Jej zdaniem Polki z pokorą przyjmowały swój los determinowany urodzeniem i nie robiły nic, aby go odmienić. Kobiety, oczywiście te szanowane, mogły zostać malarkami, artystkami, względnie pisarkami, a już najlepiej poetkami. Nie pozwalano im jednak zajmować ważnych stanowisk, stanowić o prawie czy pracować naukowo.

– Coś panią trapi – zauważyła Akun.

– Nie, nie... – Anna machnęła ręką. – Zamyśliłam się. Zastanawiam się, czy na egzaminie padną pytania o porody albo rzadkie choroby. Lub też o najnowsze badania, do których nie mam dostępu.

– Proszę powiedzieć, co to za badania, a otrzyma je pani – powiedziała bez wahania Akun.

Zaskoczona Anna położyła rękę na sercu.

– Medycyna Wschodu uchodzi za jedną z najlepiej rozwiniętych, ale także owianą tajemnicą. Niestety nie mówię po arabsku i obawiam się, że nie będę

mogła...

– Ależ jak najbardziej będzie pani mogła. Publikacje są dostępne po angielsku, francusku i niemiecku.

Anna chciała spytać, skąd sułtanka o tym wie, ale Akun ją uprzedziła.

– Droga pani doktor – powiedziała – moim obowiązkiem jest wiedzieć wszystko. Mimo że nikt nie odbierze mi pozycji za mojego życia, muszę być świadoma wszystkiego, co dzieje się wokół sułtana, jego małżonek, nałożnic, strażników oraz rozlicznej służby, zarówno męskiej, jak i żeńskiej. Co więcej – kontynuowała – orientuję się także w sprawach państwowych.

Anna milczała, pełna podziwu i szacunku.

– Przekażę tę wiedzę Haanan – dodała. – I jeszcze raz dziękuję. Gdyby nie pani...

– Nawet gdyby mnie tu nie było, pani Haanan i tak by urodziła – odparła Anna z prostotą. – Poród to natura. Jeśli nie ma powikłań, to piękno w czystej postaci.

– Czy można przewidzieć, kiedy nastąpią powikłania?

– W niektórych przypadkach tak – odrzekła i zachęcona pełnym przychylności wzrokiem Akun opowiedziała o skomplikowanych porodach, których była świadkiem, o położeniu pośladkowym dzieci albo wąskich miednicach ich matek. Przybliżyła sułtance badania Semmelweisa i jego tragiczne losy.

– Odnoszę wrażenie, że tu, na królewskim dworze, przewyższacie nas i pod tym względem.

Акун wyraziła podziw dla jej wszechstronnej wiedzy i po raz kolejny spytała, czy Anna nie marzy o pracy w pałacu cara.

– Nie pragnie pani zaszczytów? Służenia władcom?

– Nie – odpowiedziała szczerze. – W sensie biologicznym król przychodzi na świat tak samo nagi jak żebrak. Rodzimy się z niczym i umieramy z niczym. Osobiście nie pragnę nawet celebracji po śmierci. Wystarczy mi szacunek za życia.

– Rozumiem. – Akun spojrzała na nią poważnie.

– Ale jestem szczęśliwa, że byłam przy narodzinach królewskiego syna – dodała. – Czy mogę spytać o imię, jakie mu nadano?

– Mój wnuk będzie nosił imię Rahid Karim Atatürk Ismail II – oznajmiła uroczyście sułtanka.

– Niech jego imię będzie pochwalone – dodała Anna z całym przekonaniem.

Chwilę piły herbatę w milczeniu, po czym Akun powiedziała kilka słów o tym, jak się czuje matka następcy tronu, i o jakiejś niewolnicy, która tak bardzo zasłużyła się dla zdrowia i dobrego samopoczucia swojej pani, że przeniesiono ją do haremu i teraz poddawana jest naukom. Anna opowiedziała Akun o Kasi, która z prostej dziewczyny, ledwie znającej kilka liter, wyrasta na mądrą kobietę. Zwierzyła się jej pierwszej, że po powrocie do Warszawy zamierza posłać Kasię na nauki, aby mogła zostać dyplomowaną pielęgniarką i pomagać jej nie tylko w domu.

– Sam Bóg musiał pani zesłać tę dziewczynę – stwierdziła sułtanka.

Anna też tak uważała. Opowiedziała jej o tym, że służąca sądzi, że przynosi pecha. Akun nie wydawała się rozbawiona.

– Jeśli tak czuje, zapewne tak właśnie jest. Złe oczy, czarna magia... Trzeba odczynić czary.

– Modlimy się – powiedziała obronnym tonem.

– Odczynianie uroków to też modlitwa. – Sułtanka uniosła palec.

Anna miała na ten temat inne zdanie, ale się nie odezwała.

– Jeśli pani pozwoli, nasz duchowny się tym zajmie. – Akun zamknęła oczy. – Jest niezwykle biegły w sztuce odczyniania uroków.

Chciała odmówić, ale powstrzymała się. Kasia na pewno by się ucieszyła, gdyby jej powiedziała, że zdjęto z niej urok i już nikomu nie przyniesie pecha. Dziewczyna nie do końca dowierzała, kiedy Anna tłumaczyła jej, że wszystkie tajemnicze zgony w jej otoczeniu, także ten w kamienicy Nataszy Nikołajewny, są dziełem przypadku.

– Będę niezwykle wdzięczna – odpowiedziała w końcu. – Czy mam przynieść coś, co należy do dziewczyny?

– Tak, najlepiej coś, co styka się bezpośrednio z jej ciałem – kolczyki, pierścienie, bransolety.

Kasia nie posiadała niczego takiego. Sułtanka odczytała to z wyrazu twarzy Anny.

– Włos z głowy wystarczy aż nadto w takim razie.

Anna wyobraziła sobie, jak wyrwa Kasi włos, tłumacząc, że to do odczyniania uroków.

– Za kilka dni otrzyma pani publikacje, które zostały najwyżej ocenione przez królewskiego medyka. Czy życzy sobie pani czegoś jeszcze? – spytała Akun. – Wszystko jest do pani dyspozycji.

– Jeśli pani tak łaskawa, prosiłabym nie słodzić tak mocno herbaty i nie częstować mnie figami, ponieważ nie lubię tych owoców – powiedziała, zanim zdążyła pomyśleć, czy na pewno jest to odpowiednia prośba.

Sułtanka miała zdumioną minę. Zapewne oczekiwała, że Anna zażąda biżuterii, złota, względnie wstawiennictwa czy zaszczytów.

– Oczywiście, droga pani doktor – powiedziała krótko.

Do końca dnia nie działo się już nic ciekawego, oprócz tego, że wreszcie miała okazję przyjrzeć się z bliska eunuchom. Jeden z nich skarżył się na ból gardła. Poproszono ją o pomoc, wpierywając, czy zechce zająć się „nie kobietą”. Zważywszy na to, kim byli eunuchowie, można się było pokusić o stwierdzenie, że czcigodny Farell nie był kobietą, ale nie był też mężczyzną. Anna doskonale wiedziała, że strzegący kobiet sułtana są nie tylko pozbawiani jąder, ale również przyrodzenia. Nie mogło być bowiem najmniejszego podejrzenia, że strażnik zbliżył się do żon władcy. Uważała, że to okrutne i niesprawiedliwe praktyki. Farell był jednym z eunuchów, którzy stali najwyżej w hierarchii tutejszego dworu. Widać było, że jest człowiekiem zamożnym i wpływowym. Saadetin powiedział jej, że zaraz po powrocie na Wschód Farell opuści pałac i uda się na coś w rodzaju odpoczynku, a jego miejsce zajmie ktoś inny. Na pytanie, czy nie jest to dla owego człowieka przykre zostać tak pominiętym po tylu latach służby i bądź co bądź niezwykłego poświęcenia, Saadetin roześmiał się i odparł, że eunuchowie są

jednymi z najbardziej możliwych i wpływowych ludzi w państwie, a odpoczynek po tak owocnej służbie to życie jak w bajce.

– Wszyscy zazdroszczą czcigodnemu Farellowi. Będzie pił słodkie wino i jadał jądra białych tygrysów – dodał.

– Jądra białych tygrysów? – spytała Anna zdumiona.

– Tak – z powagą odpowiedział Saadetin. – Jądra białych tygrysów i penisy. To delikatesy, zarezerwowane dla władców i najwyższych dostojników.

„Nawet zjedzenie tony penisów czy jąder nie przywróci czcigodnemu Farellowi możliwości posiadania dzieci”, pomyślała, ale na głos wyraziła jedynie nadzieję, że jej wiedza jest wystarczająco rozległa, aby uleczyć przyczynę bolącego gardła. Kiedy tylko Farell przyjął ją w niewielkim, ale kunsztownie urządzonej saloniku, zauważyła, że ból musiał być silny, ponieważ nieszczęśnik ledwie mówił, a przełknięcie śliny sprawiało mu ogromną trudność. Szyję miał wyдутą z jednej strony. Podeszła, starając się nie patrzeć na otłuszczoną sylwetkę eunucha i nie myśleć o tym, że został pozbawiony wszelkich atrybutów mężczyzny. Przywitała się i poprosiła o otwarcie ust. Starła się nie skrzywić, kiedy poczuła mdlący zapach ropy.

– To ropień – powiedziała po francusku. – Muszę go przeciąć i oczyścić.

Mężczyzna wyraźnie się zdenerwował. Zadał towarzyszącemu im Saadetinowi kilka pytań, wskazując palcem na Annę.

– Czcigodny Farell pyta, czy jest pani pewna, że nie można go uleczyć w inny sposób.

Owszem, była tego pewna. Wytłumaczyła pokrótce Saadetinowi, że ropień ma wielkość orzecha włoskiego i nie tylko sprawia ból, ale też może spowodować chorobę na całe ciało. Saadetin powtórzył jej odpowiedź, zamienił jeszcze kilka zdań z Farellem i zwrócił się do Anny:

– Stokrotnie dziękujemy za konsultację. Czcigodny Farell zdecydował, że skonsultuje się z innym lekarzem.

Anna ukloniła się. „Farell ma zapewne na myśli mężczyznę”, pomyślała. „Byle szybko sprowadził lekarza, bo najdalej jutro ból będzie tak nieznośny,

że pośle po mnie bodaj w nocy, i Bóg mi świadkiem, nie będę ulegać jego fanaberiom”.

– Niech Allah oświeci czcigodnego Farella – powiedziała do Saadetina.

– Farell nie jest wyznawcą islamu – odpowiedział jej. – Jest chrześcijaninem. Jak wszyscy eunuchowie.

– Tak? – spytała, mrugając zaskoczona, bo to, że chrześcijanin, chociaż wykastrowany, pilnuje kobiet islamskiemu władcy, wydało jej się dziwne.

– Religia zabrania nam kastrowania współwyznawców – wyjaśnił.

Chciała spytać, czy chrześcijanie chętnie poddają się takiemu zabiegowi, ale Saadetin odgadł jej pytanie, zanim zdążyła je zadać.

– Eunuchowie najczęściej pochodzą z Egiptu. Farell był darem gubernatora dla poprzedniego sułtana. Dla Farella to zaszczyt móc służyć w haremie.

Była w stanie zrozumieć trzebienie zwierząt, aby nabierały większej masy mięśniowej, nawet kastrowanie pięknie śpiewających chłopców, aby ich głos nie zmutował i mogli nadal czarować wysokimi tonami, ale usuwanie penisów wydawało jej się zabiegiem tyleż okrutnym, co niepotrzebnym. Wyobrażała sobie, ilu stanów zapalnych i powikłań doświadczają nieszczęśnicy po takich praktykach.

Nie myliła się co do przyczyny dolegliwości Farella. Wezwano ją jeszcze tego samego wieczoru, kiedy siedziała w domu pochłonięta niezwykle ciekawymi artykułami Charles’a Browna-Séquarda na temat wyciągów z kogucich jąder. Niechętnie pojechała do pałacu. Pokiwała głową nad niekompetencją jakiegoś lekarza, który nie dość dobrze przeciął ropień eunucha i poranił przy tym gardło, a na dodatek nie oczyścił rany dokładnie.

– Bardzo go boli – powiedział Saadetin po wyjaśnieniu jej przebiegu zabiegu zaproponowanego i wykonanego przez innego lekarza.

– Nic dziwnego – odpowiedziała. – Mówiłam panu, że zrobię to lepiej.

– Proszę mu pomóc – Saadetin przetłumaczył słowa eunucha.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się do Farella. – Ale będzie bolało.

Nieszczęśnik pokiwał głową. Poprosiła o podgrzanie wody i sporządziła roztwór do wypłukania gardła, wyjęła narzędzia i zbliżyła się do Farella,

który siedział na krześle z poduszką podłożoną pod głowę i zaciśniętymi powiekami.

– To zaczynamy w imię Boże – powiedziała. – Proszę pod żadnym pozorem nie zamykać ust.

Kilka dni później dowiedziała się od sułtanki Akun, jak bardzo wdzięczni byli jej Farell oraz Saadetin.

– Radziłam, aby pani posłuchał – relacjonowała Akun, kiedy siedziały przy herbacie i solonych migdałach, które Anna szczególnie polubiła. Zastanawiała się, dlaczego dopiero teraz poczęstowano ją podobnym delikatesem.

– Poniekąd rozumiałam jego obawy. Sądził, że chirurg uczyni zabieg lekkim i przyjemnym. Tymczasem to nie jest bezbolesna procedura.

– Ten doktor ponoć ciął nożem jak zbir! – mówiła przejęta sułtanka, robiąc przy tym przerażoną minę. – Sama słyszałam, jak nieszczęśnik krzyczał.

– A ja sama widziałam, co zrobił, a czego nie... – Anna opowiedziała Akun o ranach w gardle i nie dość dokładnie usuniętej ropie.

– Ale na szczęście pani jeszcze tu jest i uratowała Farella...

– Te migdały. – Anna uniosła jeden do góry. – Nie jadłam niczego smaczniejszego.

– My, kobiety, zwykle jesteśmy karmione owocami i orzechami w cukrze. – Akun się uśmiechnęła. – Pani jest inna, dlatego pomyślałam, że zechce spróbować migdałów prażonych w soli. Jak widać, nie pomyliłam się.

Sułtanka Akun faktycznie rzadko się myliła.

– Otrzyma pani od nas w darze te owoce, podobnie jak szkatułki z przyprawami i roślinami leczniczymi.

– Och! – zdołała jedynie powiedzieć Anna.

Poznanie leczniczych roślin Wschodu od dawna było jej marzeniem.

– A to dar od Farella. – Akun klasnęła w ręce i do pokoju weszła jedna z jej osobistych służących z tacą, na której leżało najpiękniejsze naczynie, jakie Anna widziała w swoim życiu. Tancerka wykonana ze złota podtrzymywała

na rękach miseczkę z delikatnego zielonego szkła. W nogach umocowana była miniaturowa łyżeczka.

– Jakie to piękne! – zachwyciła się. – Ale ja otrzymuję zapłatę za swoją pracę, a najjaśniejszy pan w swojej łaskawości obsypał mnie już darami...

– Dają, to bierz – ucięła dyskusję sułtanka. – Atakują, to walcz. I jeszcze jedno...

Sułtanka wyciągnęła z fałdów szaty niewielkie pudełko i podała je Annie. Po otwarciu go dziewczyna ujrzała kolczyki z pereł w kunsztownej złotej oprawie.

– Nie przypuszczałam, że rzeczy mogą mnie tak zachwycać – wyznała lekarka.

– Niech pani nie zamyka się na żadne doznania – poradziła jej Akun. – Już niedługo pani odjedzie i zapewne nigdy się nie spotkamy. Ja o pani nie zapomnę i liczę, że pani będzie miała mnie, moją służbę i Haanan w łaskawej pamięci.

– Nigdy nie zapomnę tych kilku miesięcy – przytaknęła Anna. – Ani pani, czcigodna sułtanko Akun.

– Chodzi o coś więcej niż pamięć. – Akun wzięła do ręki misternie zdobioną szklaneczkę i upiła mały łyk mocnej, aromatycznej herbaty. – Ważna jest opowieść, jaką możemy przekazać o ludziach i zdarzeniach.

– Pomyślę o tym. – Anna uśmiechnęła się, zamykając pudełko z kolczykami.

– Pani służąca może się już nie obawiać czarów i złego oka. – Akun nagle zmieniła temat. – Zawiadomiono mnie, że zły czar uległ rozproszeniu. Proszę przekazać to dziewczynie. Miejmy nadzieję, że przyniesie jej to pociechę.

Anna zaniemówiła.

– Dziękuję pani, sułtanko Akun. – Ukłoniła się. – Jesteśmy wdzięczne.

Sułtanka zawahała się.

– Pani nie wierzy w złe uroki? – spytała.

– Bardziej wierzę w naukę – odpowiedziała Anna dyplomatycznie.

– Proszę nie mówić tego służącej, ale były przy niej aż dwa demony... Jednego udało się odegnąć niemalże natychmiast, ale drugi wymagał wielu godzin modlitw. Był wyjątkowo złośliwy.

Anna nie wiedziała, co powiedzieć. Sułtanka musiała wyczuć jej sceptycyzm, bo dodała:

– To był duch młodej dziewczyny, która straciła życie blisko pani służącej.

Anna uniosła ze zdumienia brwi.

– Duch dziewczyny...? – spytała słabym głosem, mając w pamięci opowieść Kasi o panience, która uderzyła się w głowę i umarła. To właśnie od tego wydarzenia zaczął dziewczynę prześladować pech.

– Bywa, że ludzie, którzy zmarli nagle, nie chcą opuścić tego świata. Ciało odchodzi, ale złe emocje, żal, strata – zostają.

– Mój Boże... – zdołała wykrztusić.

Sułtanka uśmiechnęła się lekko.

– Zioła i przede wszystkim modlitwy mają wielką moc. W końcu udało się otworzyć drogę i odesłać nieszczęśnicę na tamten świat. Pani służąca jest już wolna.

Anna przełknęła ślinę. Rzadko się jej zdarzało, żeby nie wiedziała, co powiedzieć.

– Dziękuję – wykrztusiła w końcu. – W imieniu swoim i mojej służącej.

– Pani dała nam nie tylko swoją wiedzę, ale też przyjaźń. Nasza opowieść o pani dobroci, mądrości i odwadze będzie przekazywana z pokolenia na pokolenie. Gdyby odwiedziła pani kiedyś nasz kraj, proszę śmiało pukać do wrót pałacu i podać swoje imię – powiedziała na koniec Akun.

Wzruszona Anna uściskała sułtankę. Nie mogła wtedy przypuszczać, że widzi kobietę po raz ostatni. Nazajutrz otrzymała od Saadetina list, w którym jeden z najbliższych ludzi sułtana dziękował jej za pomoc i wyjaśniał, że sułtan zarządził natychmiastowy powrót na Wschód, gdyż Turcy osmańscy zaatakowali Rosję. Anna słyszała, że sułtan osmański nie był zaprzyjaźniony z sułtanem Omanu, ale świat muzułmański rządził się swoimi prawami i przebywanie na terenie carskiej Rosji mogło okazać się dla niego niebezpieczne. Zrobiło jej się żal, że nie będzie już odbywać codziennych

wizyt w pałacu i już nigdy nie porozmawia z sułtanką Akun oraz dostojnikami, spośród których najbardziej polubiła Saadetina. Miała nadzieję, że pani Haanan oraz jej dziecko dobrze zniosą podróż, podobnie jak eunuch Farell, który powinien unikać długiej jazdy przynajmniej przez kilka dni, aż gardło całkiem się wygoi.

– Ale oni panienkę musieli tam lubić – powiedziała Kasia na widok licznych prezentów, które Anna przyniosła do domu.

– Jak my się z tym zabierzemy, Kasiu? – dumiała, patrząc na szkatułki z przyprawami i ziołami, spory stos kunsztownych tkanin oraz ofiarowane jej naczynia. – Trzeba będzie ze dwa kufry dokupić.

– Panienska się cieszy, że mamy więcej jak mniej – ucięła Kasia, która nie mogła sobie znaleźć miejsca, odkąd Anna oznajmiła, że za dziesięć dni, zaraz po jej egzaminach, wracają do Warszawy.

– Cieszę się, ale od przybytku głowa mnie boli.

Anna nie wiedziała, jak zapytać Kasię o jej nastrój w związku z wyjazdem. Domyśliła się, że za jej fumami stoi Włodzimierz, który ostatnio wyglądał jak zbity pies.

– Panienkę to od przybytku, a mnie od czego innego – rzuciła służąca i natychmiast się rozplakała. – Bo ja, proszę panienki, nie wiem, co mam zrobić...

Anna westchnęła.

– A możesz powiedzieć, w czym rzecz? – zaryzykowała pytanie.

– A w tym, że ja prosta dziewczyna, a on student! – wypaliła Kasia i znów zaczęła płakać.

Anna, która myślała, że Kasi chodzi jedynie o to, czy wracać z nią do Warszawy czy też pozostać z Włodzimierzem w Petersburgu, odetchnęła z ulgą. Na takie dylematy umiała łatwo poradzić. Za to za nic nie chciała się wypowiadać na temat tego, jak Kasia powinna postąpić. Nie mogła jej przecież zmusić do powrotu ani pozostawić z tym poczciwcem, po którym widać było gołym okiem, że grosza przy duszy nie ma i nie będzie w stanie utrzymać żony.

– Jeśli mogę coś powiedzieć, to chciałabym... – zaczęła, ale Kasia jej nie dała dokończyć.

– Ja wiem, co by panienka chciała powiedzieć. Że nie ma nijakiej różnicy albo że ja lekarzem mogę zostać.

– Nie to zamierzałam powiedzieć – sprostowała Anna. – To znaczy nie w ten sposób. Chciałam cię najpierw zapytać, czy wy z Włodzimierzem jesteście po słowie.

Kasia się obruszyła.

– Gdzie tam po słowie. On tylko wzdycha i mówi, żebym została, że się pobierzemy i do jego gospodarstwa pojedziemy, gdy on już skończy te studia. A ja u ruskich to bym nie chciała.

– Czyli zapytał cię, czy chcesz zostać jego żoną, a ty mu nie odpowiedziałas, tak?

– Nie tak całkiem, ale ja wiem, co on myśli, kiedy się tak w kółko kręci i mi tu gada po próżnicy, gdy ja bagaże szykuję.

Anna, która była przyzwyczajona do niejasnych i często nielogicznych odpowiedzi Kasi, uzbroiła się w cierpliwość i za pomocą sprytnych pytań wyciągnęła z dziewczyny to, co już podejrzewała od dawna. Podczas kiedy ona oddawała się pogawędkom z sułanką Akun i innymi gośćmi ze Wschodu, Kasia ostatecznie zdobyła serce studenta Włodzimierza. Włodek był zdecydowany natychmiast poślubić Kasię, a potem żyć z nią w izdebce dwa piętra niżej, aż skończy szkołę. Następnie mogliby objąć gospodarstwo po ojcu i macosze. Sama Kasia odwzajemniała uczucia studenta, ale nie była do końca pewna, co zrobić. Nie wyobrażała sobie życia, jak się wyraziła, w rosyjskiej Rosji i tego, że mogłaby opuścić Annę. Młoda lekarka także nie wyobrażała sobie życia bez dziewczyny, ale miała świadomość, że nie ma prawa jej do niczego zmusić, a już na pewno nie do opuszczenia ukochanego. Kasia jednak oczekiwała od niej rady, wsparcia i pomocy w podjęciu decyzji. Słowem, należało przeanalizować wszystkie możliwości i zdecydować tak, żeby wszyscy byli zadowoleni.

– Dobrze, Kasiu – powiedziała w końcu Anna. – Masz pieniądze. Idź i kup dwa kufry. Poproś Włodzimierza, żeby tu przyszedł, bo mam z nim do

pomówienia.

Kasia energicznie pokiwała głową.

– Tylko nie spiesz się z tymi kuframi – rzuciła, kiedy dziewczyna była już za drzwiami.

– Przecież wiem, że Włodzimierz wolny w takich sprawach. Ale ja mu zaraz powiem, że panienka dla mnie jak matka i musi tu przyjść się rozmówić.

Włodzimierz owszem, przyszedł i usiadł na krześle, całkiem zrezygnowany, bo mu się wydawało, że Kasia go nie chce. Anna ponownie musiała się wznieść na wyżyny cierpliwości i z kolei jemu przemówić do rozsądku. Wreszcie kiedy Kasia wróciła z kuframi, Anna posadziła młodych naprzeciwko siebie i oświadczyła:

– Panu Włodzimierzowi został jeszcze rok do ukończenia studiów. Zatem zostanie pan w Petersburgu i je dokończy. Kasia wraca ze mną do Warszawy i będzie się kształciła w fachu pielęgniarstwie. Nie wiem, jak pójdzie mi tu egzamin, czy znów mi ktoś nie rzuci jakichś kłód pod nogi, ale tak czy inaczej wracam do Warszawy i zakładam praktykę. Dostałam... – Chciała powiedzieć, że dostała dość pieniędzy i kosztownych prezentów, aby otworzyć gabinet, ale się powstrzymała. – Kasia będzie pracowała ze mną. Gdy pan skończy studia, przyjedzie do Warszawy, poprosi o rękę Kasi i tam zacznie budować swoje mosty.

Sądziła, że Włodzimierz się zachnie, bo czym jest Warszawa w porównaniu z Petersburgiem, ale ten, uszczęśliwiony, kiwał głową, nazwał Annę „najmądrzejszą na świecie”, rzucił się do stóp – na szczęście nie lekarce, tylko Kasi – i zapytał ją:

– To ty zechcesz mnie?

Kasia objęła jego głowę i pocałowała go wdzięcznie w czoło, powtarzając:

– Tak, tak, tak.

– No to załatwione – powiedziała Anna, bo nie zwykła rozwodzić się nad czymś, co zostało już ustalone, ale przy stole zaczęły się dyskusje, jak często zakochani będą do siebie pisać, ile potrwają nauki Kasi, co, jeśli Włodzimierzowi nie uda się od razu spieniężyć majątku.

– Na pewno się uda – przekonywała narzeczonego Kasia. – Szkołę skończysz, do domu pojedziesz, swoją część spieniężysz i do Warszawy przyjedziesz.

– I ja w Warszawie będę ruski pan. – Włodzimierz powątpiewał w powodzenie planu.

– Jesteś, z tego, co mówiłeś, Polakiem, tylko tutaj udajesz Rosjanina, żeby szkołę skończyć.

Włodzimierz złapał się za głowę.

– A jak się ktoś dowie, że chcę poślubić Polkę, to jeszcze nie skończę szkoły!

– No to ja takiego nie chcę. – Kasia odwróciła się do niego plecami i broda jej zadrżała.

Anna spojrzała cierpko na Włodzimierza. Miała nadzieję, że na twarzy ma wypisaną dezaprobatę.

– Serce moje. – Włodzimierz zorientował się, że popełnił duży nietakt, i runął przed Kasią na kolana. – Ja nie to miałem na myśli.

– A co? – spytała dziewczyna z groźną miną.

– A to, że gdy się zapisywałem tu na studia, to w papierach wpisano mi, że będę w Rosji budował mosty na chwałę cara. Więc wtedy nie sprawdzali, czy mam w rodzinie Polaka.

– Przecież tu Polacy studiują – wtrąciła się Anna, mając na myśli chociażby Napoleona Cybulskiego, który przecież nie był wyjątkiem.

– Pani myśli o takich jak pan Napoleon, ale on przecież został po studiach i tu uczy wciąż... na chwałę cara.

– Nie na chwałę cara. – Anna się zdenerwowała. – Leczy ludzi. Co mamy robić, skoro Polska pod zaborami? Od razu jechać na Sybir? Rewolucję wzniecać?

Włodzimierz skulił się i z przerażeniem popatrzył na drzwi.

– Niech pani nic takiego nie mówi, bo tu ściany mają uszy...

– A pan tak się nie boi, bo chłop z pana, a nie baba, jakby to powiedzieli i w Rosji, i w Polsce, której nie ma.

– Jak się waha, to ja nie chcę – powtórzyła Kasia i wyrwała się z objęć Włodzimierza.

– Ale ja chcę! – wykrzyknął zrozpaczony student. – Ja Kasię kocham!

Kasia w odpowiedzi ryknęła płaczem.

– Dość tego! – przywołała ich do porządku Anna. – Wszystko po kolei! Jutro mam egzamin i niech was ręka boska broni, żeby mi zawracać głowę głupstwami czy denerwować! W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy! Pan piszesz jeden list na tydzień – nie częściej! Gdy skończysz studia, jedziesz rozporządzać majątkiem!

– Tak, tak, droga pani Anno, pani taka mądra. – Włodzimierz przeszedł na kolanach od Kasi do Anny.

– Pan wstaje natychmiast! – Podniosła głos. – Nie lubię, jak się przede mną klęczy!

Włodzimierz zerwał się na równe nogi.

– Tak jest! A co potem?

– Po czym? – zapytały jednocześnie Kasia i Anna.

– Jak już uporam się z majątkiem? – Patrzył niepewnie to na jedną, to na drugą.

„Z niego to będzie dobry mąż”, pomyślała Anna, „zawsze spyta, co tu zrobić, czy wstać z łóżka czy się położyć. Na Sybir ich nie ześlą, bo mu do łba nawet nie przyjdzie wzniecać rewolucję, Kasia będzie bezpieczna. A że umrze z nudów, to co innego”.

– Potem się zobaczy. Jak panu starczy zapału, a Kasia nadal będzie pana chciała, to urządzę wam ślub.

Włodzimierz znów rzucił się na kolana, ale natychmiast się zerwał pod groźnym spojrzeniem Anny. Odwrócił się do Kasi i uklęknął przed nią.

– A teraz idźcie mi stąd. – Anna straciła cierpliwość. – Na spacer albo do pana izby. Ja tu muszę mieć spokój.

– Włodzimierz, idź! – Kasia pokazała narzeczonemu drzwi. – Panienska musi się uczyć, a mnie nie wypada z tobą samej siedzieć.

– Nawet po słowie? – spytał żałośnie narzeczony.

– Nawet po słowie – potwierdziła.
Włodzimierz wyszedł z miną zbitego psa.



Dzień egzaminu był słoneczny i dość ciepły. Anna wstała wcześniej, ubrała się i odmówiła modlitwę. Potem niechętnie skubnęła trochę z podanego jej przez Kasię śniadania, tłumacząc się brakiem apetytu.

– Panienka musi jeść, bo panienka musi mieć jasny umysł – upierała się Kasia.

– Jestem zdenerwowana – poskarżyła się młoda lekarka.

– Ja panienki słucham, bo panienka mądra, ale teraz niech panienka mnie posłucha. Panienka zje, bo panience w brzuchu będzie burczało.

– Dobrze. – Anna się poddała i zjadła jeszcze trochę chleba z masłem i miodem, skoro już Kasia zdobyła takie frykasy.

– A teraz niech panienka idzie i powie im wszystko, co wie. Oni się od panienki jeszcze nauczą, bo panienka jest najmądrzejsza na świecie. A ja za panienkę to bym...

Anna zastanawiała się, ile jeszcze razy Kasia wymówi słowo „panienka”.

– Wiem, Kasiu – powiedziała serdecznie. – Dziękuję.

Do Cesarskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej zawiózł ją Włodzimierz, chociaż się upierała, że pojedzie sama.

– Pani Anno, niech pani się trzyma – powtarzał po drodze, aż miała dość.

Powitał ją Napoleon Cybulski, który, jak się okazało, miał zasiąść w jednej z ław przeznaczonych dla lekarzy, którzy chcieli być obecni na egzaminie.

– Ja mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza – powiedział. – Bo pół akademii wybiera się na ten egzamin.

– Chcą zobaczyć takie dziwo jak przepytywana kobieta, tak? – spytała z przekąsem. – Niech się pan nie martwi, im więcej osób na sali, tym większe mam szanse.

– Też tak myślę, pani Anno – przytaknął. – Tylko proszę nie dać się sprowokować, bardzo panią proszę.

Uścisnęła mu rękę.

– Nie pozwolę nikomu zniweczyć swoich marzeń – zapewniła fizjologa. – Umiem trzymać język za zębami, kiedy trzeba. Poza tym mam nadzieję, że padną jedynie pytania dotyczące medycyny.

– Oby, oby. – Napoleon Cybulski uśmiechnął się nerwowo.

Anna była zaskoczona, jak wiele osób przyszło, aby wysłuchać jej odpowiedzi na pytania egzaminacyjne. Może z tej przyczyny komisja ograniczyła się tylko do dwóch pytań dotyczących jej płci: „Dlaczego kobieta pragnie zostać lekarzem?” (odpowiedziała grzecznie, że z tych samych powodów co mężczyzna, czyli chce leczyć ludzi) i „Czy zamierza pani kontynuować praktykę, kiedy zostanie matką?” (tu ograniczyła się do krótkiego „tak”). W końcu przyszedł czas na zasadniczy egzamin.

– Co pani potrafi powiedzieć na temat gruczołu nadnerczowego? – spytał brodaty profesor, który, jak Anna się później dowiedziała, zajmował się problematyką tejże struktury.

Anna natychmiast przywołała badania Charles’a Browna-Séquarda i Thomasa Addisona, omówiła budowę narządu, o który ją pytano, jego funkcje i znane choroby.

– Czy sądzi pani, że badania nad tym gruczołem są przełomowe czy też rozczarują nas jak studia nad śledzioną? – spytał znów profesor nieco miłszym tonem, najwyraźniej zadowolony z jej odpowiedzi.

– Badania nad gruczołem nadnerczowym są przełomowe, panie profesorze – odpowiedziała. – Śledziona jest zaś organem, który swoją misję wydaje się spełniać tylko w życiu płodowym. Niewiele o niej wiemy, poza tym, że jest delikatna i łatwo ulega pęknięciu. Jeśli natychmiast się jej wtedy nie usunie, to...

– Wystarczy – przerwał jej. – Proszę powiedzieć, co pani wie o nadnerczynie.

– Nadnerczyna, inaczej adrenalina – zaczęła – to substancja, której jeszcze nie znamy, ale podejrzewamy jej istnienie. Badaniami nad nią zajmuje się

obecny tu wybitny fizjolog Napoleon Cybulski – ukloniła się w stronę przyjaciela, który zrobił się czerwony jak burak – wraz z kierownikiem Katedry Fizjologii profesorem Tarchanowem. Miałam okazję czytać prace tych wybitnych uczonych na temat owej substancji. Jest odpowiedzialna za pewne reakcje u zwierząt, takie jak agresja czy ucieczka, podnosi ciśnienie tętnicze oraz podwyższa puls...

– Wystarczy – przerwał jej Tarchanow. – Proszę nam powiedzieć, co pani wie o wolu szyjnym.

„Gruczoł tarczowy”, pomyślała i natychmiast zaczęła o nim opowiadać. Leczyła pacjentów z przypadłościami gruczołu szyjnego i pracowała przy sekcjach kilku osób dotkniętych chorobami tej struktury, podzieliła je zatem na grupy, każdą omówiła, włączając do opisu także obraz sekcyjny.

– Jak zoperuje pani niedrożność jelitową? – spytał szczupły Rosjanin, który siedział po prawej stronie Matuszki.

– Kobieta nie będzie operować – krzyknął ktoś z trybun.

Zawahała się na chwilę. Na szczęście pytający przyszedł jej z pomocą.

– Nie proszę o operację pokazową, ale o odpowiedź teoretyczną.

– Należy odsłonić powłoki brzuszne, mięśnie, powięź, odnaleźć miejsce dotknięte chorobą, ustalić przyczynę, a następnie usunąć.

– Rokowanie w podobnych operacjach? – Rosjanin rzucił następne pytanie.

– Niepewne, gdyż... – zaczęła, przypominając sobie wszelkie możliwe przyczyny niedrożności jelit i powikłań pooperacyjnych.

– Dziękuję – przerwał jej.

– Proszę opowiedzieć o strukturze znanej jako mały mózg – polecił wysoki, chudy Rosjanin z krzaczastymi brwiami oraz gęstą, kędzierzawą brodą.

Natychmiast zaczęła opowiadać wszystko, co było wiadomo na zadany temat, przywołując prace swoich profesorów oraz własne. Tym razem jej nie przerywano, najwyraźniej jej wiedza wykraczała poza kompetencje kogokolwiek innego w tej sali. Obecni chłonili każde jej słowo.

– Ponoć skończyła pani Wydział Lekarski uniwersytetu w Zurychu? – spytał nagle ktoś z głębi sali. Anna zeszytniała, ponieważ rozpoznała

niesławnego Lewcowa, przed którym ostrzegał ją Napoleon Cybulski.

– Tak – odpowiedziała krótko.

– Czy wiadomo pani, że najjaśniejszy pan zabronił swoim poddanym nauki na tym uniwersytecie?

– Tak, ale... – zaczęła.

– Czy będzie się pani spierać z zarządzeniami cara? – zapytał.

– Gdzieżbym śmiała – odpowiedziała i dodała szybko: – Car wydał ukaz w zeszłym roku, już po ukończeniu przeze mnie uniwersytetu.

„Gdyby to miało miejsce wcześniej – nigdy bym tam nie wstąpiła”, powinna jeszcze dodać, ale istniały granice hipokryzji, których nie chciała przekroczyć. Zapadła cisza, po czym odezwał się dyrektor Matuszkin.

– To – powiedział z naciskiem – już zostało wyjaśnione. W kwestii pozwoleń na praktykę nie ma miejsca na nieporozumienia ani na działania niezgodne z prawem.

Dał tym samym Lewcowowi do zrozumienia, że atakując Annę Tomaszewicz, oskarża jego samego o działanie niezgodne z prawem. Lewcow usiadł na ławce i zaczął coś mówić do swojego towarzysza. Anna zerknęła na Cybulskiego, który otarł pot z czoła.

– Prosimy o pytania medyczne – rzucił sucho dyrektor akademii. – Tylko po to się tu zgramadziliśmy.

Dalej egzamin przebiegał już gładko, bez podobnych komentarzy, chociaż po trzech godzinach przepytывania Anna była ogromnie zmęczona. Odpowiadała jednak szybko na wszelkie pytania, precyzyjnie odnosiła się do przedstawianych przez profesorów zagadnień i przytaczała opinie uznanych naukowców oraz, jeśli ją o to proszono, wyrażała swoją. Wreszcie dyrektor Matuszkin uniósł prawicę.

– Wystarczy – powiedział. – Prosimy panią o opuszczenie sali i oczekiwanie na wyniki egzaminu na korytarzu. W odpowiednim czasie zostanie pani poproszona.

Kiwnęła głową, podziękowała i wyszła z pomieszczenia. Za drzwiami kilka razy głęboko odetchnęła, potem usiadła ciężko na fotelu. Była przekonana, że egzamin zdała śpiewająco. Zastanawiała się jednak, czy mimo

to komisja może nie wydać jej pozwolenia na praktykę albo cofnąć je w przyszłości. Po upływie kilkunastu minut zaczęła się nie na żarty niepokoić, bo nie widziała powodu, by zebrani tak długo dyskutowali nad jej odpowiedziami. Wreszcie drzwi się uchyliły i zobaczyła rozpromienioną twarz Napoleona Cybulskiego. Weszła za nim do sali i nie mogła powstrzymać wzruszenia, gdyż rozległa się burza oklasków. Niektórzy, jak profesor Tarchanow i szczupły Rosjanin, który wypytywał ją o gruczoł tarczowy, wstali z siedzisk. „Dokonałaś tego”, powiedziała do siebie w myślach. „Dokonałaś tego, Anno”.

Napoleon Cybulski, który pierwszy pospieszył z gratulacjami, nie mógł się powstrzymać od głośnego wykrzykiwania: „Brawo, brawo, brawo”. Jego pryncypał profesor Iwan Tarchanow podszedł do Anny, by osobiście przekazać jej wyrazy uznania, i zapytał, czy nie zechciałaby wygłosić kilku wykładów dla studentów.

– Pani wiedza w zakresie substancji wydzielniczych przewyższa moją – mówił rozentuzjzmowany. – Pani wiedza ogólna przewyższa moją!

– Dziękuję – odparła grzecznie, szczęśliwa, że wszystko tak dobrze się skończyło i będzie mogła wreszcie zacząć pracować, a nie tułać się po świecie i żebrać o należne jej uznanie. – Niestety nie będę mogła wygłosić wykładów, gdyż wkrótce wyjeżdżam do Warszawy i...

– Drogi kolego – przerwał im dyrektor instytutu – jeśli ledwie absolwentka ma większą wiedzę od pańskiej, to zamiast zapraszać ową osobę do wygłoszenia wykładów, niech sam pan zasiądzie w ławie studenckiej.

Anna nawet nie mrugnęła okiem. Ten człowiek już nie wydawał się jej groźny. Już nie był w stanie jej zaszkodzić. Jego przytyki były niczym innym jak gryzieniem pchły, która ostała się na psie po kąpieli.

– Ależ panie dyrektorze! – oburzył się Tarchanow. – Pani doktor Tomaszewicz jest poddaną cara! Poza tym jest doświadczonym badaczem, naukowcem! Studenci akademii tylko skorzystaliby, gdyby zechciała się podzielić swoją wiedzą.

Widząc, że dyrektor nie zamierza ustąpić, a chcąc stłumić ewentualny spór w zarodku, Anna odezwała się miło do Matuszka:

– Byłabym niezmiernie zaszczycona, mogąc powtórzyć odpowiedzi na pytania egzaminacyjne w obecności studentów, którzy z takich czy innych powodów nie byli dziś obecni na sali. Muszę jednak wracać do Warszawy.

Dyrektor uśmiechnął się cierpko.

– Niech pani przyjdzie jutro po certyfikat o zdanym egzaminie i orzeczenie o prawie wykonywania zawodu na terenie naszego kraju.

Pominięła milczeniem określenie „nasz kraj”.

– Jeśli byłby pan tak łaskawy i przygotował owe dokumenty dzisiaj, już nie musiałabym absorbować szanownego pana swoją osobą – powiedziała i uśmiechnęła się najgrzeczniej, jak potrafiła.

Skinął głową i odszedł w towarzystwie swojego totumfackiego, a ona wróciła do studentów i profesorów, którzy zasypali ją pytaniami, wyrazami uznania i podziwu dla jej wiedzy.

Jeśli ktoś spytałby ją o najszczęśliwszą chwilę w jej życiu, wskazałaby właśnie tę. Druga nadeszła tydzień później, kiedy znękanie podróżą stanęły z Kasią w progu warszawskiego mieszkania i zastały w nim Grażynę Korzyńską – marnotrawną córkę jej przyjaciół i opiekunów oraz najlepszą przyjaciółkę Anny.

– Pisałam – powiedziała Grażyna, przeciągając się. – Ale byłaś w stolicy.

Louis Pasteur

1822–1895

„Zwracamy się do pana profesora w desperacji, ponieważ nikt inny nie może nam pomóc” – czytał zdumiony Louis Pasteur.

– Czemu tak się dziwisz, mój drogi? – spytała Marie, zaglądając mu przez ramię.

– To list od Lorry’ego, zwierzchnika gildii gorzelniczej – wyjaśnił żonie. – Prosi mnie o pomoc.

– O jaką pomoc mu chodzi? – spytała spokojnie Marie, przyzwyczajona do tego, że do jej męża przychodzili różni dziwni ludzie i prosili o pomoc w wykonaniu odczynników garbarskich lub skontrolowanie, czy stężenie substancji, której potrzebowali, jest odpowiednie. Wzięła robótkę ręczną i usiadła przy oknie, aby lepiej widzieć. Dziergała sweterek dla ich najmłodszej latorośli, Camille.

– Chcą, abym pomógł im rozwiązać problem psującego się zacieru oraz kwaśnienia wina – wyjaśnił. – Ale dlaczego ja?

– Do kogo się mieli zwrócić jak nie do ciebie? Jesteś chemikiem.

– Tak, ale zajmuję się badaniami teoretycznymi. A przynajmniej zajmowałem się do tej pory.

– Odkryłeś przecież coś związanego z winem, kiedy studiowałeś na Sorbonie. – Marie się uśmiechnęła. – Ilekroć podaję wino do obiadu, to właśnie mi się przypomina. Może Lorry’emu też?

– Na Sorbonie zajmowałem się krystalografią – westchnął. – Odkryłem i opisałem występowanie kryształów kwasu winowego w dwóch optycznie czynnych odmianach: lewo- i prawoskrętnej, oraz postaci optycznie nieczynnej – kwasu mezowinowego.

– O tym mówię – odparła Marie ze stoickim spokojem. – Właśnie te skręcające się kwasy sprawiły, że z Sorbony powołano cię do Strasburga, a później do Lille.

– Bogu dzięki znów jesteśmy w Paryżu – powiedział.

– Sądzę, że to bez związku z tematem wina – zażartowała Marie. – Często tak mówisz.

– Kiedy prowadzę badania – zgodził się z żoną.

– Zrób badania i znajdź związek – odparła i sapnęła ze złością, ponieważ zgubiła oczko.

Zadziwiła go ogromnie, jak Marie, kobieta niewykształcona i pozornie niezainteresowana procesami chemicznymi, umiała celnymi komentarzami oraz pytaniami naprowadzić go na właściwy trop.

– Dziękuję ci, moja droga. – Podeszedł do żony i pocałował ją w czoło. – Przy okazji zrobię ci ten barwnik do wełny, o który prosiłaś. Wybacz, że zapomniałem.

– Wybaczę – powiedziała spokojnie – jeśli prócz ciemnej zieleni zrobisz mi jeszcze cynober.

– Już idę. – Pasteur uśmiechnął się, zastanawiając się, cóż to za kolor ten cynober.



– Wyobraź sobie, że zabrałem się za produkcję wina, a dom zamieniłem w gorzelnię – zwierzał się przyjacielowi Pierre’owi Marchandowi kilka tygodni później.

– A jakich szczepów używasz, Pasteur? Cabernet sauvignon? Carménère? Pinot noir? – Pierre się roześmiał.

– Bardzo śmieszne – odparł Louis, krzywiąc się.

– No nie gniewaj się, stary, nie gniewaj. – Marchand poklepał go po plecach. – Coś ci nie wychodzi, tak? Wiesz, nie jest łatwo uzyskać przednie wino.

– Kiedy ja nie chcę uzyskać wina, tylko zepsuty zacier, żeby wyjaśnić, czemu się warzy.

– To w czym problem? – zdumiał się Marchand. – Myślałem, że masz udoskonalić produkcję wina. Byłem pewien, że zawstydzisz gorzelników i wyjdzie ci przedni trunek.

– Dlaczego tak myślałeś? – zainteresował się Pasteur, który może nie uzyskał wina, które można by określić mianem stołowego, ale jego zacier się nie zepsuł, co było przedmiotem jego troski.

– Bo wiem, jaki jesteś precyzyjny. Pewnie wszystko obliczasz i robisz tak dokładnie, że nic, co psuje trunek czy sprawia inne kłopoty, nie zachodzi podczas twojej produkcji.

Pasteur klepnął się w czoło, bo nagle zrozumiał, że to jego dokładność sprawiła, że nie umiał zepsuć zacieru.

– Dziękuję ci, mój drogi, bardzo mi pomogłeś. – A teraz wybacz, muszę biec do domu, bo wreszcie mam pomysł, co zrobić.

Po czym szybkim krokiem opuścił uczelnię, nie bacząc na to, że chciał być obecny na wykładzie swojego młodego studenta, aby wesprzeć go, gdyby ten nie poradził sobie z trudnym tematem kwasów lewoskrętnych.

– Nie ma za co – krzyknął za nim Marchand, a potem dodał do siebie: – Bo nie mam pojęcia, w jaki sposób ci pomogłem.



Paryż, 1857 rok

Obserwacje.

Pączkujące drożdże zamieniają cukier w alkohol. Jest to istotą fermentacji. W kadziach, w których w czasie fermentacji powstaje kwas mlekowy, znajdują się pojedyncze oraz połączone pęcherzyki. Ich obserwacja kazała mi cofnąć się do czasów Leeuwenhoeka, aby zweryfikować, czy ten stary drań opisał co trzeba. Te pęcherzyki, kuleczki czy jak je tam nazwać, to są właśnie bakterie, wcześniej zwane miazmatami. Są odpowiedzialne za procesy fermentacyjne, zarówno alkoholowe, jak i mlekowe.

Uważam, że owe bakterie są przyczyną kwaśnienia wina. Zamieniają bowiem cukier w kwas octowy.

– Znalazłeś rozwiązanie? – spytała go Marie.

– Tak, moja droga, tak – potwierdził. – Wyobraź sobie, że nie zrobiłem nic innego, jak tylko potwierdziłem obserwacje Leeuwenhoeka. On pierwszy stwierdził, że teoria samoródtwa jest bzdurna. Życie nie powstaje spontanicznie.

– Moim zdaniem powstaje – odparła Marie. – Przecież mogliśmy mieć jedno dziecko albo dziesięcioro. Pan Bóg pobłogosławił nas pięciorgiem.

Pasteur uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Mniej więcej to samo napisał Leeuwenhoek, tyle że nie odniósł swoich obserwacji do dzieci, tylko do różnych zjawisk chemicznych i medycznych.

– Napisz do niego i mu podziękuj – doradziła mu żona.

– Nie mogę, ponieważ zmarł sto trzydzieści lat temu – odparł Louis.

– To faktycznie nie możesz – przyznała mu rację. – Napisałeś do Lorry’ego, że rozwiązałeś jego problem?

– Tak, już wysłałem list. Przyjedzie tu jutro ze swoimi ludźmi, muszę mu pokazać wyniki swoich doświadczeń. Nie mogę tego zrobić listownie.

– Może przywiezie ci w podzięce trochę wina? – spytała Marie z nadzieją.

– Sam mówiłeś, że to, które zrobiłeś, do niczego się nie nadaje.

– Nie nadaje się, bo to było wino doświadczalne – wyjaśnił cierpliwie.

– Niech przywiezie – nalegała. – Przynajmniej będzie jakiś pożytek z tego, co tu się odbywało.

Nie chciał się spierać, więc pokiwał głową.

– Louisie, znalazłeś przyczynę, ale czy masz jakąś radę dla tych ludzi? – nieoczekiwanie spytała.

Pasteur uśmiechnął się.

– Za kogo ty mnie masz, moja droga? Oczywiście, że znalazłem sposób na to, aby wino się nie warzyło. – Zrobił dłuższą pauzę dla większego efektu, a następnie ściszył głos i wyrzucił z siebie: – Podwyższona temperatura.

Marie nie okazała zaskoczenia, którego się spodziewał.

– Czyli muszą je po prostu trochę podgotować? – spytała.

– Można tak to ująć – wyjaśnił, tłumiąc lekką irytację. – Ale ja w toku eksperymentów opracowałem dokładną temperaturę i czas potrzebny do usunięcia bakterii.

– Hmm – mruknęła Marie. – Rozumiem, co masz na myśli.

– Ach tak? – Pasteur nie mógł powstrzymać sarkazmu.

– Gdy zrobię rosół, to trzymam go w piwnicy, ale co dzień stawiam na ogniu, trochę podgotuję, Boże broń nie do wrzenia, bo inaczej się zepsuje. Ale wiesz, jeszcze lepszym sposobem jest włożyć rosół w słoiki, zamknąć, a potem te słoje, proszę ja ciebie, włożyć do gorącej wody. Trzymać, aż wystygną. Tak mogą stać nawet kilka miesięcy – wyjaśniła.

Louis Pasteur stał niczym słup soli i wpatrywał się w żonę, która opowiedziała mu o właśnie poznanym przez niego procesie.

– Jak to odkryłaś? – spytał.

– Stara Babette mi powiedziała – wyjaśniła Marie. – I dobrze, że mi przypomniałeś o rosole. Pójdę zrobić obiad, już czas.



– Tak. Wykazałem obecność bakterii w powietrzu i wodzie. – Pasteur zapalił cygaro. – Myślę jednak, że świat nie jest na to gotowy.

Jego goście, Michel Jeoneir, fizyk, i Philippe Ramier, lekarz, spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

– Nie uda ci się tak łatwo obalić teorii samoródtwa – powiedział Ramier.

– Już ją obaliłem, mój drogi. – Pasteur wzruszył ramionami. – Ale jeśli większość świata lekarskiego woli wierzyć w miazmaty i w powstawanie żab wprost z bagien, nic na to nie poradzę.

– Sądziłem, że będziesz walczył o uznanie – zauważył Jeoneir.

– Walczę. – Louis zaciągnął się cygarem. – Wszystkie swoje badania opublikowałem w prasie specjalistycznej, zarówno chemicznej, jak i medycznej. Żadnego odkrycia nie zatrzymałem dla siebie.

– Ale kiedy cię krytykują, milczysz – wtrącił Ramier.

– Moje milczenie jest bardziej wymowne niż krzyki tych, co twierdzą, że przesadzam, a szpitale są po to, żeby ludzie tam umierali. Przynajmniej mogę pomóc ciężko pracującym ludziom.

– Takim jak cech winiarski? – Jeoneir uśmiechnął się.

– Skąd wiesz? – zdumiał się Pasteur.

– Stąd, że oni nie kryją wdzięczności. Opowiadają o tobie wszem wobec. Twoja sława szerzy się w całej Francji.

– A to stąd dotarli do mnie ci od jedwabników. – Nagle zrozumiał.

– Jakie znów jedwabniki? – Ramier zaczął kasłać.

– Poprosili mnie o wyjaśnienie przyczyny pebryny, pomoru jedwabników – opowiedział Pasteur nie bez satysfakcji. – To zaraza przynosząca hodowcom wielkie straty. Do tej pory wierzyli, że ma podłoże dziedziczne.

– A jej przyczyną są bakterie? – spytał Jeoneir, który nie odróżniał jedwabiu od bawełny, a bawełny od mory.

– Tak. – Pasteur pokiwał głową. – Do takiego wniosku doszedłem. Pebrynę powoduje sporowiec *Nosema bombycis*. Oczywiście ustaliłem też, jak można jej zapobiegać.

– Pasteryzacja? – Ramier się uśmiechnął.

Pasteur zrobił się czerwony na twarzy. Wciąż się rumienił, kiedy słyszał, że metodę usuwania bakterii z roztworów przez poddawanie ich działaniu temperatury określano nazwą powstałą od jego imienia.

– To niestety nie jest możliwe w przypadku jedwabników – stwierdził. – Niszczę owego sporowca chemicznie.

– Chyba nieco odszedłeś od chemii – zauważył Jeoneir.

– Niezupełnie – zaprotestował. – Ja tylko zacząłem jej używać w służbie innych dziedzin.

– Najbardziej wdzięczna powinna być ci medycyna – powiedział gorzko Ramier.

– Nie potrzebuję wdzięczności. Niech tylko medycyna zechce uznać chemię za wartościową dziedzinę.

– Amen. – Ramier uniósł szklankę przedniej whisky.



– Jest pan oszustem, panie Louvier. – Pasteur spojrzał surowo na weterynarza, który twierdził, że wynalazł domową metodę leczenia wąglika u zwierząt gospodarczych.

Weterynarz był wściekły.

– Panie Pasteur – wycodził. – Niech pan się zajmuje łapaniem tych swoich cząstek, o których tyle pan prawisz, a nie przeszkadza uczciwym ludziom zarabiać na życie.

Pasteur wzruszył ramionami.

– Nie przeszkadzam uczciwym. Pan jest nieuczciwy.

– Moje krowy zwalczają wąglika.

– Nie, bo tylko połowa pana krów jest zakażona. Podaje im pan coś i połowa z nich zdrowieje. Połowa zakażonych pada, połowa pokonuje chorobę... Zawsze tak było. Cokolwiek by pan zrobił, połowa krów wyzdrowieje. Ja też mogę dokonać takiego eksperymentu.

W tym momencie coś wpadło Pasteurowi do głowy. Ostatnio interesował się eksperymentami Edwarda Jennera dotyczącymi ospy. Myślał nawet o tym, aby wykonać podobne. Może by tak zacząć próby od wąglika?

– Kłamiesz pan, panie Pasteur – żołądkował się weterynarz. – Ja pracuję uczciwie, odnoszę sukcesy. W innych rejonach krowy padają na wąglika, u mnie połowa przeżywa. Ja panu udowodnię...

– Nie, nie, nie, panie Louvier – przerwał mu Pasteur. – Razem coś udowodnimy.

Weterynarz nagle zamilkł.

– Pobiorę krew od krów, które przechorowały wąglika, dobrze? Wie pan, gdzie je znajdę?

– Wiem. – Weterynarz odzyskał mowę. – Pięćdziesiąt jest u Dablonierów, dwadzieścia u Tourneville'ów, ten właśnie dokupił nowe krowy w miejsce tych, które padły, piętnaście u...

– Wystarczy. Jedziemy tam.

- Gdzie? – Louvier kompletnie zgłupiał.
- Do Tourneville'ów – zarządził Pasteur. – To niedaleko stąd.
- A idź pan do diabła! – wrzasnął weterynarz i uciekł do domu.



– Panie Tourneville – zwrócił się Pasteur do gospodarza – mam pomysł, jak ochronić pańskie stado przed wąglikiem.

– Co? – Charles Tourneville właśnie wywoził gnojówkę.

– Panuje wąglik – wyjaśnił Louis. – Chcę pomóc. Wiem, co zrobić, żeby zaraza ominęła pańskie stado.

– Ile? – spytał rolnik bez ogródek.

– Nie chcę nic w zamian – zarzekał się Pasteur. – Zrobię to za darmo.

Rolnik przerwał pracę.

– Za darmo? – zdziwił się Tourneville. – A kto pan jesteś?

Pasteur wyjaśnił mu, czym się zajmuje, i pokrótce zreferował, jak zamierza uodpornić krowy.

– Pan mi tu nie opowiadaj bajek – przerwał mu rolnik. – Skoro nie chcesz pan pieniędzy, to rób pan, co uważasz za stosowne, ale jak się nie uda, to za każdą krowę zapłacisz, dobra?

– Zgoda. – Niech mi pan wskaże zwierzęta, które przechorowały wąglik.

Rolnik rzucił widły i ruszył przodem.

– Te pięć przeżyło. – Pokazał Pasteurowi. – Co pan chcesz zrobić?

Pasteur wyjął fiolkę z kieszeni kamizelki.

– To jest osocze wyekstrahowane z krwi zwierząt, które chorowały na wąglik. Zamierzam podać je pańskim krowom. Tym, które go już przechorowały. Jeśli nie zachorują ponownie, zdobędę pewność, że przechorowanie daje trwałą odporność.

– A jak padną, to co?

– To panu za nie zapłacę. Zawarliśmy umowę – przypomniał Pasteur.

– Aha – mruknął rolnik. – Że nie zachorują, to ja mogę panu powiedzieć bez pańskich eksperymentów. Krowa, która przeszła wąglik, nie zachoruje drugi raz.

– Jeśli pańskie słowa się potwierdzą, to ja ten roztwór – Pasteur uniósł fiolkę – pozbawię właściwości chorobotwórczych. To znaczy sprawię, mój drogi Charles’u, że roztwór będzie uodparniał, ale nie wywoływał choroby. Rozumie pan?

– Nie. – Rolnik pokręcił głową. – Ale ja nie muszę rozumieć. Umowa to umowa. Jak mi krowy padną, pan płacisz.

– A jak nie? – spytał Louis, zastanawiając się nad rażącą niewdzięcznością niektórych ludzi.

– Jak nie, to będzie pan zadowolony, nieprawdaż?

I Tourneville wrócił do swojej gnojówki.



Pasteur usiadł przy biurku i wziął pióro do ręki, aby napisać list do niejakiego Josepha Listera, chirurga ze szpitala w Edynburgu, który zainteresował się jego badaniami i pytał, czy dobrze zrozumiał jego zalecenia.

Zaczął tymi słowami:

Wszystko, co żywe, włączając mikroby, pochodzi od innych żywych. Ta woda, ta gąbka, te szarpie, którymi obmywacie lub opatrujecie ranę, mogą zawierać zarazki zdolne szybko rozmnażać się wewnątrz tkanek. Gdybym miał zaszczyt wykonywania zawodu chirurga, byłbym tak przejęty niebezpieczeństwami grożącymi ze strony mikroobów obecnych na powierzchni każdego przedmiotu, szczególnie w szpitalach, że nie tylko posługiwałbym się idealnie czystymi instrumentami, lecz myłbym ręce jak najstaranniej i poddawał je działaniu co najmniej ługu, chociaż spałbym spokojnie, tylko gdyby oczyściły je płomienie. Używałbym tylko szarpi, bandaży i gąbek poddawanych uprzednio działaniu temperatury od 130 do 150 stopni. Pyta pan o kwas karbolowy, czyli fenol. Uważam, że to dobry pomysł. Ja stosowałem spirytus, który doskonale oczyszcza powierzchnię, ale nie jestem pewien, czy chroni ciało ludzkie, szczególnie jego wnętrze, przed zarazkami.

– Proszę pana. – Do pokoju wszedł Charles, osobisty służący Pasteura. – Przyszli jacyś ludzie. Przedstawili się jako Maisterowie. Twierdzą, że ich syn

został pogryziony przez wściekłego psa.

Zanim jednak Pasteur zdążył odpowiedzieć, do gabinetu wdarli się mężczyzna i kobieta ze śladami łez na twarzy.



– Błagamy pana... – Kobieta padła na kolana i złożyła ręce jak do modlitwy. Jej mąż stał za nią ze spuszczonym wzrokiem.

– Nie mogę... Nie prosicie mnie o to – powiedział Pasteur.

– Jest pan naszą ostatnią nadzieją – odezwał się mężczyzna. – To nasze jedyne dziecko. Dobry, kochany chłopiec...

Sędziwy chemik wstał i podszedł do okna. Zapatrzył się na zieloną dolinę, która rozciągała się przed jego domem. Walczył sam ze sobą. „Może to jest właściwa chwila, aby podać szczepionkę człowiekowi?”, pomyślał. A jeśli się nie uda? Przekreśli lata swoich badań. Znajdą się tacy, którzy podważą sens jego prac, będą z nim polemizować, kpić z niego i szydzić. Odwrócił wzrok od okna i spojrzał na przybyłych. Na twarzy kobiety malowała się rozpacz, jej mąż starał się panować nad sobą, ale widać było, że jest u kresu sił. Pasteur westchnął. Jeszcze nie był gotowy, jeszcze zbyt mało psów zaszczepił, nie był pewien, czy dobre wyniki nie są jedynie szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Ale przecież chłopiec niewątpliwie umrze, jeśli nie otrzyma surowicy. Co powinien zrobić? Podszedł do kobiety, pomógł jej wstać i zaprowadził na sofę. Nalał wody z karafki i podał jej szklanekę. Posłusznie wypiała.

– To tylko eksperymenty – powiedział w końcu. – Do tej pory podawałem tę substancję jedynie psom, nigdy ludziom.

– Nasz Joseph umrze, jeśli jej nie otrzyma... – wyszeptała pani Meister. – Pan o tym wie, panie Pasteur.

Każde zwierzę lub człowiek zarażone wścieklizną umierało i nie zdarzyły się jeszcze wyjątki. Choroba pojawiała się po około siedmiu do czternastu dni od ugryzienia. Jej pierwsze objawy oznaczały dla chorego niechybną śmierć.

– Kiedy pogryzł go pies? – spytał Pasteur.

- Wczoraj rano – odpowiedział Meister.
- Skąd pewność, że pies był wściekły? – dopytywał.
- Wszystko wskazuje na wściekliznę. Toczył pianę z pyska, a właściciel przyznał, że pies nie pije od dwóch dni.
- Czy zwierzę żyje?
- Nie, stary Kalle zastrzelił je po tym, jak zaatakowało naszego synka. Może pan... – Mężczyzna stłumił szloch. – Jeśli tylko pan zechce, może pan je zbadać. Prosiłem, aby nie grzebali ścierwa.
- Zrobię to, ale... – Pasteur zawahał się.
- Panie Pasteur. – Meister ledwo mówił ze zdenerwowania, a jego żona płakała cicho. – Wcześniej ten pies pogryzł dwa inne i kilka owiec. Wszystkie padły, poza wilczurem Terrensów. Rozumie pan? Pies Terrensów nie zachorował.

Pasteur zrozumiał. Od trzech lat prowadził badania mające na celu wynalezienie szczepionki przeciw wściekliznie, podobnej do tej, którą Jenner szczepił zdrowych, aby udaremnić zarazę czarną ospą. Miał nadzieję, że jego eksperymenty obiorą ten sam kierunek co badania Jennera. Anglik zauważył, że dojarki zakażone krowianką wykazują objawy podobne do czarnej ospy, ale chorobę przechodzą łagodnie i nigdy nie zarażają się czarną ospą. Pasteur długo szukał choroby podobnej do wścieklizny, która mogłaby dawać odporność przeciwko tej śmiertelnej chorobie, ale nie znalazł. Wpadł zatem na inny pomysł. Zarażał wścieklizną króliki, następnie zabijał je i wyodrębniał ich rdzenie kręgowe, które trzymał w specjalnej kolbie z wodorotlenkiem potasu. Opłaciły się lata pracy w laboratorium chemicznym. Umiał przechowywać preparaty i tworzyć zawiesiny. Szczepionkę należało podawać przez kolejnych siedem dni. Wstrzykiwał zakażonym psom pod skórę bulion, w którym rozproszone były cząsteczki wysuszonego rdzenia chorych królików. Żaden pies nie zachorował. Poddał kuracji także psa Terrensów, kiedy został pogryziony przez wściekłe zwierzę.

- Chodźmy – powiedział do Meisterów. – Nie ma chwili do stracenia.



6 czerwca 1895 roku

Joseph Meister został ugryziony przez wściekłego psa. Jego rodzice zwrócili się do mnie o pomoc. Zdecydowałem się po raz pierwszy przeprowadzić eksperyment na człowieku i podać surowicę. Zastrzyki są niezmiernie bolesne, ale chłopiec bez żadnego jęku wytrzymał wprowadzenie jednego centymetra sześciennego bulionu pod skórę brzucha. Jak wszystkie wiejskie dzieci, widział, co się dzieje z tymi, którzy zostali bodaj draśnięci zębami wściekłego zwierzęcia.

– Louis? Mogę wejść?

– Tak, Marie. – Spojrzał na żonę z miłością.

– Rozmawiałam z Carole Meister – zaczęła żona. – Czemu mi nie powiedziałaś, że podajesz małemu surowicę?

Pokręcił bezradnie głową.

– Nie chciałem zaczynać terapii bez absolutnej pewności, że postępuję słusznie. Ten chłopiec umarłby jednak, gdybym siedział bezczynnie.

– Czego ty się boisz, Louis? – spytała Marie. – Jesteś jednym z największych francuskich uczonych. Udowodniłeś wszystkie tezy, które postawiłeś. Ja i dzieci jesteśmy z ciebie dumni.

Pasteur westchnął. Przypomniawszy sobie, jak Justus von Liebig bronił swojej teorii o fermentacji chemicznej bez udziału drobnoustrojów.

– Kiedy opublikowałem wyniki badań nad fermentacją i rozpadem gnilnym, wszyscy mnie atakowali. Przecież pamiętasz, co się wtedy działo.

– Pamiętam. Syn garbarza wypowiada się o chemii. Parias szuka poklasku wśród lekarzy. Nic sobie z tego nie robiłeś.

– Miałem trzydzieści pięć lat. Byłem młody, bezczelny...

– Nie, Louis. Byłeś pewien swego. Pomogłeś cechowi winiarskiemu, zwalczyłeś pebrynę, twoim imieniem nazwano gotowanie w celu zwalczania bakterii, obaliłeś teorię o samoródtwie. Wprowadziłeś dwie szczepionki, przeciw węglikowi i cholercie. Czemu teraz wahasz się przy wściekłym? Przeprowadziłeś tysiące prób.

– Właśnie, kochana. – Pasteur spojrzawszy na żonę zmęczonym wzrokiem. – Przeprowadziłem tysiące prób i mogłem ich wszystkich posłać do diabła. Liebiga z tym jego żalonym „drobnoustroje nie istnieją” i Poucheta.

– Zwłaszcza Pouchet nie mógł ci tego darować. – Marie uśmiechnęła się. Pasteur wspomniał niskiego Félix'a Poucheta z Rouen.

– Powoływał się na Arystotelesa.

Marie roześmiała się.

– Przypomnij mi, jak to szło.

– Popierał teorię samoródtwa – zaczął Pasteur. – Twierdził za Arystotelesem, że abiogeneza jest faktem. Myszy lęłyby się wprost z brudnego siana, szczury ze szmatek, mszyce z rosy – to wielce poetyckie, chociaż same mszyce nie do końca kojarzą mi się z poezją – pchły z gnijącej materii...

Marie zaśmiewała się do łez.

– ...a muchy z mięsa – dokończyła wywód męża. – Żaby i węże też się rodzą same, prawda?

– Tak, kochanie. – Pokiwał głową z udawaną powagą. – Żaby, jak ktoś kichnie, a ropuchy, kiedy jakiś dzieciak puści bąka.

Objął żonę i pocałował ją w czoło.

– Moja ty kochana, co ja bym bez ciebie zrobił – powiedział z czułością. – Dziękuję, że przyszłaś mnie pocieszyć.

– Przecież wiesz, że jestem. – Marie odgarnęła mężowi włosy z czoła. – Zawsze możesz mi powiedzieć, co cię trapi.

– Tak, wiem. – Znów westchnął i spojrzał na swoje notatki. – Zaraz pójde do małego i podam mu trzecią dawkę.

– Ile ich będzie? – spytała.

– Siedem – odpowiedział. – A potem będziemy się modlić, żeby szczepionka zadziałała.

– Będziemy się modlić. – Marie wzniosła oczy ku krzyżowi zawieszonemu na ścianie.

Pasteur wiedział, co żona ma na myśli. Oboje żarliwie modlili się do Boga, kiedy trzy ich córki, Jeanne, Camille i Cécile, zmarły przedwcześnie. Dobry Bóg pozwolił im cieszyć się jeszcze dwojgiem dzieci – Jeanem-Baptiste'em i Marie-Louise. Teraz również trzeba się modlić, aby chłopiec wyzdrowiał.



Kilka dni później Pasteur zanotował:

Minął siódmy, ostatni dzień podawania surowicy. Chłopiec zniósł zastrzyki nadzwyczaj dobrze. Mam na myśli nie tylko to, że nie jęknął przy ich robieniu, a jest to niezwykle bolesne, ale też nie pojawiły się u niego objawy niepożądane. Nie boli go głowa, nie skarży się na żadne dolegliwości. Obserwuję go codziennie, mierzę tętno, ciśnienie i temperaturę. Oddycham z ulgą, kiedy nie widzę u niego najmniejszych objawów choroby, chociaż wiem, że radość jest przedwczesna. Wścieklizna może bowiem pojawić się nawet do trzech miesięcy po ugryzieniu przez wściekle zwierzę.

– Louis. – Zaniepokojona Marie weszła do pokoju. – Meisterowie przysłali po ciebie.

– Coś z małym Josephem? – Przeraził się. – Ma objawy?

– Nic nie wiem. – Pokręciła głową.

Szybko się ubrał i w pośpiechu dotarł do domu Meisterów. W progu powitała go Carole.

– Panie Pasteur, Joseph nie spał całą noc... – wyszeptała.

„To może być pierwszy objaw”, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. Zdarzało się, że chorzy najpierw odczuwali niejasny niepokój, który nie pozwalał im zmrużyć oka w nocy. Pasteur bez słowa wszedł do pokoju dziecka. Zastał w nim Josepha leżącego na łóżku, bladego i wyraźnie zmęczonego.

– Dzień dobry, Josephie. – Uśmiechnął się i usiadł na brzegu łóżka.

– Dzień dobry, panie doktorze – powiedział cicho chłopiec.

– Josephie, mówiłem ci, że nie jestem lekarzem, tylko chemikiem – odpowiedział łagodnie. Po raz setny pomyślał, że jeśli nie uda mu się ocalić chłopca, nie tylko jego reputacja zostanie zszargana, ale też będzie miał kłopoty z wymiarem sprawiedliwości. Nie dostał przecież pozwolenia na leczenie.

– Leczy mnie pan. – Dziecko spojrzało na Pasteura z zadumą. – Mierzy temperaturę, dogląda. Nasz doktor Renier tego nie robi. Boi się, że jestem wściekły.

– Czemu nie spałeś tej nocy? – spytał Pasteur i dotknął czoła dziecka. – Miałeś złe sny?

– Nie mogłem spać, bo mnie bolało – wyznał chłopiec i pokazał palcem na brzuch.

Pasteur odkrył koszulę. Miejsca po wkłuciach były twarde. Pasteur odetchnął z ulgą. Chłopiec nie miał gorączki, a za ból odpowiedzialny był stan zapalny wokół miejsc, gdzie podał surowicę.

– Dlatego chodziłeś po pokoju?

– Tak – odparł chłopiec. – Mówiłem mamusi, ale zaczęła płakać i posłała po pana.

– Dobrze zrobiła. – Pasteur się uśmiechnął. – Nie boli cię głowa?

– Nie.

– Nie wymiotowałeś?

Chłopiec pokręcił przecząco głową.

– Mięśnie cię nie bolą?

Joseph ponownie zaprzeczył.

– Zaraz oczyszczę te ranki i podam ci coś na ból.

– Dziękuję.

– No to teraz śpij, młody człowieku, skoro w nocy ból nie dawał ci zasnąć.

– Pasteur zmierzwił dziecku włosy.

W salonie zastał oboje Meisterów we łzach.

– Carole – położył rękę na ramieniu kobiety – to nie jest wścieklizna. Boli go skóra na brzuchu, tam gdzie podałem bulion.

Kobieta położyła rękę na sercu i znów zalała się łzami.

– Nic nie wskazuje na początek choroby.

– Przepraszam, że po pana posłaliśmy, ale...

Pasteur pokręcił głową.

– Nic nie szkodzi. Mówiłem wam, że dopiero po upływie trzech miesięcy będziemy mogli stwierdzić, czy Joseph jest zdrowy. Na razie proszę go dobrze karmić i wietrzyć pokój.

Meisterowie zgodnie pokiwali głowami.



– Na szczęście był to fałszywy alarm – opowiadał w domu Marie. – Przerazili się, bo Joseph do tej pory nie miał żadnych objawów.

– Mówisz, że chodził w nocy i to ich zaniepokoiło? Myślałam, że o zakażeniu świadczy wstręt do wody.

– W postaci zaawansowanej – odpowiedział. – Mięśnie kurczą się na widok wody, a nawet na dźwięk jej kapania czy przelewania. Nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje.

– Dzięki Bogu, że dziecko jest zdrowe.

– Mówiłem Meisterom i tobie też powtarzam: będziemy mogli się cieszyć dopiero po trzech miesiącach. Jeszcze nie teraz.

– Naturalnie, jeszcze nie teraz – zgodziła się Marie. – Dobrze byłoby, gdybyś w ogóle zaczął się cieszyć. Jesteś najwybitniejszym francuskim uczonym, stworzyłeś naukę o zarazkach, lekarze i chemicy kłaniają ci się w pas. A ty zamiast zadzierać wysoko głowę, pozostajesz niepewny swego.

– Im więcej wiem, tym większą mam świadomość, jak wiele jest jeszcze do odkrycia – powiedział. – A teraz pozwól, że pójde się położyć. Jeszcze nic nie odkryłem na starość.



W 1888 roku otwarto instytut badawczy nazwany imieniem Louisa Pasteura. Uczony został doceniony przez współczesnych jeszcze za swojego życia. Zmarł w 1895 roku w wieku siedemdziesięciu dwóch lat. Mały Joseph Meister nie zaraził się wścieklizną. Jest uznawany za pierwszego pacjenta, u którego podanie szczepionki zahamowało rozwój choroby. Jako dorosły mężczyzna pracował w Instytucie Pasteura. Zginął śmiercią samobójczą 24

czerwca 1940 roku przed kryptą swojego wybawcy na znak protestu przeciwko sprofanowaniu grobu Pasteura przez Niemców.

ROZDZIAŁ IV

w którym Anna, szczęśliwa po nostryfikacji dyplomu, próbuje odnaleźć się w Warszawie, rozmawia z Grażyną, której nieoczekiwany powrót i kłamliwe wyjaśnienia zatrząsą spokojnym domem Korzyńskich, oraz poznaje bliżej niejakiego Konrada Dobrskiego – laryngologa aspirującego do jej umysłu oraz serca.

– Przeczytaj, moja droga, zachowaliśmy to specjalnie dla ciebie – zachęcała pani Domicela.

Anna wzięła od niej numer „Kurier Warszawski”.

– O tu – pokazał jej pan Bogumił – w „Kronikach tygodniowych”. O tobie, kochana.

Spojrzała pełna obaw na doktora Korzyńskiego, potem na jego żonę, ale ci uśmiechali się serdecznie, więc zaczęła czytać.

– „Sami panowie przyznajecie, że panna T. nie jest ową zbłąkaną owieczką, trzebaż więc było akt potępienia odłożyć do czasu, w którym jedna z takich owieczek zapuka do drzwi Towarzystwa” – przeczytała na głos. – „Zresztą jeśli Towarzystwo chce karać indywiduala za błędy popełniane przez ich płeć, przy każdej nowej kandydaturze, notabene męskiej, wydać musi rezolucje następujące: Pan X jest wprawdzie zdolnym lekarzem i przyzwoitym człowiekiem, ponieważ jednak pan X jest mężczyzną, a wielu mężczyzn bawi się rozbojem, kradzieżą itd., w celu potępienia owych zbłąkanych baranków kandydatura pana X zostaje odrzucona”.

– Prawda, że trafnie? – spytał Bogumił. Odkąd Grażyna wróciła z Zurychu, wyraźnie odmłodził.

– A kto to jest – zajrzała do „Kuriera” – Bolesław Prus?

– To bardzo popularny felietonista – wyjaśniła jej pani Domicela. – Kiedyś prowadził rubrykę „Kartki z podróży” i pisał o najdalszych zakątkach świata. Ostatnio niezwykle celnie opisuje różne bolączki społeczne, odsłaniając naszą polską hipokryzję i ośli upór.

– Ktoś napisał o mnie w „Kurierze Warszawskim”? – Anna nie mogła w to uwierzyć. Gdyby to była jakakolwiek gazeta lekarska, zrozumiałaby, ale „Kurier Warszawski”?

– Najmocniej wstawiła się za tobą prasa codzienna – wyjaśniła jej pani Domicela, zgadując, o czym myśli Anna. – I bardzo dobrze. Środowisko lekarskie jest tak skostniałe, że wstyd.

– Pan Bolesław Prus napisał te mądre słowa, aby przypomnieć Towarzystwu o dwóch sprawach. Po pierwsze, że dość czynienia z kobiet służących, a po drugie, że w obliczu wroga okupującego nasz kraj powinniśmy wspierać swoich obywateli – dodał Bogumił.

– Przyznano mi w końcu nostryfikację – powiedziała Anna.

– Tak – odparł Korzyński. – Tylko wcześniej się skompromitowaliśmy jako Towarzystwo Lekarskie i wysłaliśmy cię do Petersburga.

– Przecież nie pan. – Nie mogła się zgodzić, żeby tak zacny człowiek jak pan Bogumił brał winę na siebie.

– Ja też do niego należę – przypomniał jej.

– A tam musiałś się tułać po haremach i obłaskawiać urzędników carskich – dodała gorzko pani Domicela.

– Nie obłaskawiałam ich. Nie potrafię tego robić. – Uśmiechnęła się. – Raczej mieli mnie dość. A doświadczenie w haremie było... – Anna zastanowiła się, jakie słowo będzie najodpowiedniejsze – ...szczególne. I ważne. No i te artykuły świadczą o tym, że nieobecność może być równie skuteczna jak pukanie do drzwi kolejnych urzędów.

Pan Bogumił spojrzał na nią ze współczuciem.

– Mimo wszystko to jest wstyd. Żeby prasa rosyjska brała cię w obronę!

– Ma pan na myśli to, co napisała „Zapadnaja pocztą”? Dobrze, że mnie tu nie było. – Złapała się za głowę. – To jest pocałunek śmierci.

– Też tak myślałem. – Pan Bogumił pokręcił głową z niedowierzaniem. – Napisali, że polskie społeczeństwo jest zacofane i konserwatywne. I że w dawnej Polsce pleni się „chińszczyzna”. Wyobrażacie sobie? Chińszczyzna!

Pani Domicela zaczęła się śmiać.

– Sam mówiłeś, tатku, że dzięki temu całe Towarzystwo zezwoliło Annie na praktykę, kiedy już nie musiało tego robić. – Do pokoju weszła Grażyna, zasiadła przy stole i skinęła na służącą, żeby naląa jej herbaty.

Była tak piękna i kobieca w tym naturalnym geście, że Anna zaniemówiła. Od chwili, kiedy wróciła z Kasią do Warszawy i zobaczyła przyjaciółkę w progu mieszkania, zaczynała wierzyć, że wszystko się poukłada, a trudności przestaną się piętrzyć.

– Po tym jak w Petersburgu nostryfikowano jej dyplom, „nasi” musieli przełknąć tę żabę i wydali oświadczenie, że kobieta lekarka jest jednak jak najbardziej godna praktykowania „w Warszawie”.

– No właśnie – rzuciła pani Domicela z oburzeniem.

– Cel uświęca środki – powiedziała Anna pojednawczo.

– I tego się trzymajmy. – Grażyna pokiwała głową.

Anna nie mogła pisać do Korzyńskich podczas pobytu w Petersburgu i od nich też nie dostała ostatnich wiadomości, zatem nie miała pojęcia o powrocie Grażyny. Przyjaciółka powiadomiła ją o tym, owszem, ale list przyszedł, kiedy Anna była w podróży do Warszawy.

Grażyna nie napisała do rodziców, że wraca do domu. Anna podejrzewała, że ani pani Domicela, ani doktor Korzyński nie zapytali córki, czy w Zurychu stało się coś złego. Wnioskowała to z ich radości, z jaką zwracali się do Grażyny. Anna znała przyjaciółkę od najgorszej strony, zatem nie dała sobie wmówić, że powrót do Warszawy był wynikiem „spontanicznej decyzji” czy „tęsknoty za rodziną”. Nie zamierzała odpuścić i chciała dowiedzieć się wszystkiego, co się wydarzyło i mogło rzucić cień na życie i karierę Grażyny nawet z dala od Zurychu.

– Kochanie, a ty złożyłaś już papiery do Towarzystwa? – pani Domicela zwróciła się do córki, a Anna zeszywniała.

– Jeszcze nie, mamó – odpowiedziała spokojnie Grażyna. – Nie mam właściwie żadnego dorobku naukowego, a sam dyplom nie wystarczy.

Anna zyskała tym samym pewność, że Grażyna nie powiedziała rodzicom o przerwanych badaniach i Konradzie Rayzerze.

– Nie rozumiem, jak mogłaś dopuścić, aby w publikacjach nie uwzględniono twojego nazwiska – zacietrzewił się nagle pan Bogumił. – To jest kwestia uczciwości badacza, jego dobrego imienia, wręcz honoru.

Grażyna zrobiła zboląłą minę, a potem wzruszyła ramionami.

– Dołączyłam do zespołu badawczego, kiedy... – zawahała się na ułamek sekundy – profesor Rayzer pracował nad specyficznymi miazmatami wyizolowanymi od martwych położnic. Pewnie to jest powód, dla którego pominął mnie w pierwszych publikacjach.

– Pracowałam z nim bardzo długo. Pisałaś nam, że nazwałaś owe miazmaty, skonstruowałaś narzędzie do wycinania chorych tkanek zewnętrznych, udoskonaliłaś płyn, którym można czyścić zakażone tkanki tak, żeby nie uszkodzić zdrowych – wymieniał zdenerwowany ojciec.

– Pierwsze badania przedstawia się jako całkowicie swoje. Nic nie mogę poradzić.

– Czy uzyskałaś zapewnienie, że w kolejnych zostaniesz wymieniona jako współautorka? – indagował. – Powinnaś mieć to na piśmie. Gdyby cię znów pominął...

– Jestem kobietą, tatku – powiedziała. – Mężczyzna jest badaczem, łatwo wmówi wszystkim, że nic nie wniosłam do rozwoju badań nad gorączką połogową.

Anna skrzywiła się nieznacznie, ale nic nie powiedziała. Potem wytknie przyjaciółce, że używanie podobnych argumentów jest po prostu nieuczciwe. Konrad Rayzer był słabym człowiekiem, ale nazwisko Grażyny nie znalazło się w publikacjach nie ze względu na jej płęć.

– Ja do niego napiszę i powołam się na swój autorytet. Gdyby zachował się nieuczciwie, wtedy mogę upublicznić jego...

– Nie... – Grażyna się przeraziła. – Nie rób tego, tatku – poprosiła.

Anna surowo spojrzała na przyjaciółkę. Oto do czego prowadzą kłamstwa. To też jej musi uświadomić.

– Już uzyskałam jego zapewnienie, że tak się nie stanie. Mam to gdzieś na piśmie, tak, zadbałam o to. Proszę, abyś poczekał i nic nie robił pochopnie.

Pani Domicela ze współczuciem pogładziła córkę po ramieniu.

– Wszystko się poukłada – powiedziała.

– Oczywiście – odparła z mocą Grażyna. – Tymczasem nie mam z czym iść do Towarzystwa. Już rozmawialiśmy o tym z Anną.

Owszem, rozmawiały, ale Grażyna nie chciała wysłuchać jej rad.

– Anna otwiera praktykę, a ja będę z nią pracowała – ogłosiła Grażyna. – Jednocześnie aplikowałam do Dzieciątka Jezus, do Instytutu Położniczego. Przecież mam w tym temacie doświadczenie. Zamierzam kontynuować badania na położnicach. Dodatkowo będę prowadziła analizy w pracowni mikroskopowej. Przydam się też przy sekcjach.

Anna uniosła ze zdumieniem głowę. Tego Grażyna jej nie mówiła. Jak sobie to wyobrażała? Przecież nie miała zakońzonego stażu. Dyplom także nie był uznawany przez tutejsze władze lekarskie. Co powiedziała w szpitalu?

– To cudownie! – Pani Domicela klasnęła w ręce. – A gdy już będziesz mogła się pochwalić publikacjami, to Towarzystwo zaraz cię przyjmie w poczet członków.

– Jeśli będzie mogła je udokumentować – rzucił z przekąsem pan Bogumił. – Pani Anno, co pani o tym sądzi?

– Sądzę, że... – zaczęła dziewczyna, czując się jak na pensji, kiedy panna Pagaczówna wysoko oceniała jej znajomość matematyki, ale niemiłosiernie się krzywiła, widząc jej hafty. – Sądzę, że to wymaga zastanowienia. Lepiej nie drażnić władz nielegalnym praktykowaniem.

– Też jestem tego zdania – potwierdził pan Bogumił.

– Ależ, moi drodzy, przecież nie będę praktykowała jako lekarz, tylko uczyła się i zdobywała doświadczenie. Anna, jako uznana lekarka, może zatrudnić do pomocy, kogo tylko zechce.

„Nie mówimy o tym, na litość boską”, zaklęła przyjaciółkę w myślach. Stłumiła gniew. Zamiast tego powiedziała niepewnie:

– Zaczynam pracę w szkole akuserek. Nie wiedziałam, że ty też...

– Jak to? – spytała dobrodusznie pani Domicela. – Czemu, Grażynko, nie powiedziałaś o tym Annie?

Zapadło niezręczne milczenie.

– Ty będziesz pracowała w klinice i dodatkowo w szkole akuszerki, a ja odwrotnie – wyrzuciła w końcu z siebie Grażyna. – Moim głównym zatrudnieniem będzie praca w szkole, a w klinice i pracowni będę jedynie dorabiać.

– To chyba dobry pomysł? – spytała niepewnie pani Domicela i spojrzała na Annę.

Pan Bogumił zmarszczył czoło.

– Jeśli państwo pozwolą, chciałabym się rozliczyć za... – powiedziała szybko Anna, aby skierować ich uwagę na inne tory.

Korzyńscy nie pozwolili jej dokończyć zdania.

– Nie ma mowy, moja droga – uciął dyskusję Korzyński. – Grażyna mieszka z nami, mieszkanie jest wolne.

– Ale ja nie mogę mieszkać tam, nie płacąc państwu – powiedziała proszącym tonem. – Proszę mi pozwolić. Już dość mi państwo pomogli. Mam pracę i zarabiam.

Korzyńscy popatrzyli na nią z uśmiechem.

– Możesz płacić od przyszłego miesiąca – zgodziła się w końcu pani Domicela. – Teraz, kiedy pracujesz, rozumiemy, że jest ci niezręcznie. Nie ma mowy o rozliczeniu wstecz. To my powinniśmy ci płacić za szkolenie naszej córki.

Anna oblała się rumieńcem.

– Co też państwo mówią – wyszeptała.

– No to postanowione. – Pani Domicela ujęła w szczupłe palce srebrny dzwoneczek i zadzwoniła po służącą.

– To ja już pójdę. – Anna podniosła się, nie bacząc na to, że gospodyni właśnie poleciła zaparzenie świeżej herbaty.

– Jeszcze przed wieczorem do ciebie wpadnę – zapowiedziała się Grażyna. – Mówiłaś, że masz nowe ciekawe publikacje.

Anna nie miała siły jej odpowiedzieć, kiwnęła tylko głową i wyszła, nie patrząc Korzyńskim w oczy.



– Jak możesz stawiać mnie w takiej sytuacji? – Anna zaatakowała przyjaciółkę, ledwie ta przekroczyła próg jej mieszkania.

– W jakiej? – Grażyna była w bojowym nastroju, bardziej bojowym niż zwykle. – W jakiej to niby sytuacji cię stawiam?

– Kasiu, zrób nam herbaty – poleciła służącej, żeby zająć czymś dziewczynę na czas awantury, jaka niewątpliwie zaraz miała nastąpić.

– I daj nam czegoś mocniejszego! – zawołała Grażyna za Kasią, a ta stanęła jak wryta, odwróciła się i spojrzała na Annę, szukając u niej aprobaty.

– A tak. – Anna pokiwała głową. – Daj nam nalewki, bo nie wiem, jak panienska Grażyna, ale ja potrzebuję się napić przed awanturą.

Kasia dygnęła i natychmiast zniknęła, aby po chwili wrócić z tacą, kieliszkami i nalewką o bursztynowym kolorze, ciastem, które upiekła pod nieobecność Anny, i talerzykami. Postawiła to wszystko na stole, ponownie dygnęła i powiedziała:

– Jeszcze z herbatą wrócę.

– Hmm... – Grażyna skrzyżowała ręce na piersiach. – Przed awanturą. No proszę. Nasza łagodna Anusia będzie mi robić awanturę.

Anna bez słowa wskazała Grażynie krzesło, bo ta wciąż stała, najwyraźniej uznając, że – chociaż mieszkanie należy do jej rodziców – nie ona jest tu teraz gospodynią. Grażyna usiadła grzecznie, nałożyła sobie na talerzyk kawałek ciasta i zaczęła jeść, rozglądając się po mieszkaniu, jakby została zaproszona w celu podziwiania mebli oraz obrazów. Czekwały w milczeniu, aż Kasia przyniesie herbatę. Gdy tylko służąca postawiła przed nimi filiżanki, od razu się wycofała. Anna mogła się założyć, że Kasią, która doskonale rozpoznawała jej nastroje, wyczuła furję, jaka nią teraz targała, i zamknęła się w swoim pokoju, zastanawiając się, co zrobiła ta miła i śliczna panienska, że tak rozzłościła Annę.

– Ta dziewczyna to istny skarb – powiedziała Grażyna, kończąc ciasto i próbując herbaty. – Pamiętam, że u nas w domu wiecznie był problem ze służbą. Służące – dopust boży. Mama ciągle jakąś godziła, potem wyrzucała,

przyjmowała ponownie, po chwili żałowała tej decyzji, mówiąc, że ma za miękkie serce, znów wyrzucała i...

– Zgadza się – przerwała jej Anna. – Kasia jest dobrą dziewczyną. Kimś więcej niż służącą.

– Ach tak? – Grażyna wzięła do ręki butelkę z bursztynowym płynem i nalała trunku do kieliszków, najpierw Annie, potem sobie. Postawiła butelkę na stole i wypła spory łyk. Anna nie sięgnęła po swój kieliszek ani nie spróbowała ciasta.

– Tak – potwierdziła. – Zgodziłam ją za wikt i dach nad głową, bo nie stać mnie było na nic innego. Teraz jej płacę.

– Mama ma doświadczenie, jak już mówiłam. – Grażyna wypła resztę nalewki z kieliszka i nalała sobie kolejną porcję trunku.

– Czy dama powinna tyle pić? – nie wytrzymała Anna.

– Dama pewnie nie – zgodziła się skwapliwie przyjaciółka. – Ale ja nie jestem damą. Dobrze o tym wiesz.

– Pochodzisz z takiej rodziny, że... – zaczęła.

Grażyna machnęła ręką z lekceważeniem.

– A co ma do tego pochodzenie? – spytała. – Czy ty nie powinnaś jako pierwsza zwalczać takie stereotypy? Pochodzisz z biednej rodziny, a zaszłaś tak daleko. Ja wywodzę się z arystokracji, a charakterek mam taki, jakby mój ojciec był jakimś łotrzykiem.

– Dlaczego ojciec? – wytknęła jej Anna. Wszystko się w niej gotowało i tylko czekało, żeby wybuchnąć. – Twój ojciec jest szlachetnym człowiekiem i będzie cierpiał, kiedy odkryje, że go oszukujesz.

– A bo ty nie wiesz... – Grażyna wypła kolejny kieliszek i sięgnęła po butelkę, żeby sobie dolać. Anna wciąż siedziała nad stygnącą herbatą i niewypitym trunkiem.

– O czym nie wiem? – spytała Anna, przekonana, że Grażyna i tak jej powie, co ma do powiedzenia, niezależnie od tego, czy przyjaciółka wykaże zainteresowanie czy też nie.

Grażyna wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Mój ojciec wcale nie jest taki kryształowy, jak wszyscy sądzą. Kiedy studiował w Wilnie, w coś się wplątał. Nie znam szczegółów, ale doszło do jakiegoś napadu na pociąg i kradzieży pieniędzy na rewolucję.

– No to pięknie – powiedziała Anna spokojnie. – Przez ostatni rok nic innego nie robię, tylko się kłaniam carskim urzędnikom i mniej lub bardziej wprost dowodzę swojej lojalności. Miło wiedzieć, że człowiek, którego podziwiam, nie zgadzał się w moim wieku na podobne kompromisy.

Jeśli Grażyna była zaskoczona słowami Anny i obroną jej ojca, to nie okazała tego po sobie.

– O tak, tak. – Nałożyła sobie kolejny kawałek ciasta. – Pewnie na jakieś się zgadzał. Coś tam jeszcze było ze spadkiem po ciotce i bratem utracjuszem.

Anna spojrzała na nią uważnie. Czemu Grażyna to mówiła? Dlaczego starała się nagle przedstawić swojego ojca w złym świetle? Jaki miała w tym cel? Już chciała coś powiedzieć, ale postanowiła, że nie ułatwi przyjaciółce tej rozmowy. Znowu milczała, siedziała sztywno i czekała na rozwój sytuacji.

– Kompromisy... – kontynuowała Grażyna jak gdyby nigdy nic. – Moja ciotka musiała iść na kompromis ze względu na płęć. Czy ty wiesz, że ona przebierała się za mężczyznę, żeby ją wpuścili do szpitala? Wyobrażasz to sobie?

Anna nie wyobrażała sobie ciotki Grażyny w męskim przebraniu, ponieważ nigdy jej nie poznała, niemniej ta wiadomość wywarła na niej ogromne wrażenie. Już miała spytać o więcej szczegółów i o to, jak się ta historia skończyła, ale przypomniała sobie o celu wizyty Grażyny.

– Ja też musiałam iść na różne kompromisy. – Dziewczyna ponownie sięgnęła po nalewkę. Anna zastanawiała się, kiedy przyjaciółka całkiem się upije i co ona wtedy z nią pocznie. Zacisnęła jednak zęby i wciąż milczała.

– No dobrze – rzuciła w końcu Korzyńska po wypiciu pięciu kieliszków i zjedzeniu trzech kawałków ciasta. – Miałyśmy porozmawiać. O nauce.

Język jej się nieco plątał, ale spojrzenie miała bystre.

– Słucham – powiedziała Anna.

– To ja słucham. – Grażyna patrzyła na nią prowokująco. – Zapowiadałaś awanturę. Mów więc. Wyrzuć z siebie wszystko, droga przyjaciółko. Przypomnij mi, że oszukuję ludzi, jak okropnie się zachowałam. Wytknij mi lekkomyślność i nielojalność. No proszę.

Anna wciąż milczała. Atmosfera gęstniała niczym ołów.

– Najpierw piszesz do mnie, żebym wróciła, potem znów żebym jechała do Bostonu, później, żebym wróciła... – Grażyna nagle zaczęła krzyczeć. – Wreszcie wracam, ty się niby cieszysz, ale nie do końca. Teraz, kiedy zaczynam sobie układać tu życie, nagle jesteś niezadowolona...

– Czekaj, czekaj – przerwała jej Anna, bo nie wytrzymała tej zupełnie niesprawiedliwej retoryki. – Bardzo chciałam, żebyś wróciła, bo widziałam, jak cierpią twoi rodzice.

– Zaraz tam cierpią. – Grażyna wyciągnęła rękę po butelkę, ale Anna jednym szybkim ruchem zabrała ją sprzed nosa przyjaciółki.

– Już dość wypiałś – stwierdziła stanowczo.

– Rodzice są od tego, żeby cierpieć, a dzieci od zadawania bólu. – Grażyna skrzywiła się i sięgnęła po filiżankę z herbatą. Skrzywiła się jeszcze bardziej, kiedy wypiała łyk mocnego czerwonego płynu, teraz zapewne już niesmacznego. – Tak to jest, gdy się żyje życiem dzieci zamiast swoim. Myślałby kto, że się tak przejmujesz rodzicami. Byłaś w Mławie?

– Nie – odpowiedziała krótko Anna. – Dopiero się wybieram. Postanowiłam, że dopóki nie zacznę praktyki i nie będę mogła udowodnić, że miałam rację, nie mam czego tam szukać.

– No proszę, jak szlachetnie – ironizowała przyjaciółka. – Chcesz im po prostu powiedzieć z całą mocą, że twoja głodówka – nachyliła się w jej kierunku, próbując chwycić za butelkę – bo mówiłaś mi, że głodowałaś, żeby cię na studia wysłali – Anna znów udaremniła jej przechwycenie alkoholu – miała głęboki sens.

Anna pokiwała głową. Na wszelki wypadek postawiła butelkę na podłodze, obok swojego krzesła.

– Coś w podobie – odpowiedziała spokojnie i dodała: – Jest coś, czego nie wiesz o moich rodzicach.

Grażyna roześmiała się.

– A czegoż to nie wiem o twoich rodzicach? Czyś nie opowiadała, że na początku nie chcieli cię widzieć jako lekarki, a potem dołożyli wszelkich starań, żebyś się kształciła?

– Mój ojciec Władysław był pułkownikiem żandarmerii w rosyjskiej służbie. Chociaż matka była polską szlachcianką, Polacy nas lekceważyli. Dla Polaków byłam nie dość polska, a dla Rosjan niby swoja, co było jeszcze gorsze. Nikt nie wie, że mój ojciec poświęcił się, aby oddawać usługi polskim patriotom. Oczywiście jego działalność przebiegała w największej tajemnicy. Narażał matkę i nas, aby pomagać Polakom po powstaniu – powiedziała cicho Anna.

Grażyna siedziała z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Rzeczywiście nie wiedziałam – burknęła. – Niemniej nie powinnaś mnie oceniać.

– Masz prawo żyć, jak chcesz, ale nie oczekuj ode mnie ani zrozumienia, ani akceptacji – odparła, siląc się na spokojny ton. – Twoi rodzice okazali mi szacunek i ogromnie pomogli. Nie mogę ich okłamywać. Już wystarczająco długo świeciłam za ciebie oczami.

– Ale wróciłam! – krzyknęła Grażyna. – Czy nie tego chciałaś? Może wolałaś, żebym pojechała do Bostonu i zniknęła wam wszystkim z oczu?

– Jesteś mi bliska, więc wolę, żebyś była tutaj – odpowiedziała jej spokojnie Anna. – Nie histeryzuj.

– Czy byłabyś zadowolona, gdybym pojechała do Petersburga i wstąpiła do haremu? – atakowała dalej Grażyna.

Anna nic nie powiedziała. Sięgnęła po filiżankę i wypila łyk zimnej herbaty.

– Kłamstwo ma krótkie nogi – odezwała się w końcu.

– Naprawdę? – zaperzyła się przyjaciółka. – A co daje powiedzenie prawdy? Pomyślałaś o tym?

– Nie wiem, czemu starasz się zniszczyć wszystko, co masz. – Anna pochyliła się w jej stronę. – Jesteś mądra, pracowita, zdeterminowana

i piękna. Wystarczy, żeby żyć po swojemu. Możesz daleko zajść. Dlaczego tak uparcie ciągniesz sama siebie w dół?

Przyjaciółka przez chwilę siedziała ze spuszczoną głową. Nagle rozplakała się, głośno i żałośnie. Anna siedziała nieruchomo i patrzyła na nią surowo. Nie była przekonana, czy płacz Grażyny wynika z żalu za grzechy czy też z bojaźni przed karą.

– Bo ty nie rozumiesz – wychlipała w końcu dziewczyna.

Mimo że była piękna i wykształcona, przypomniała jej nagle Kasię, która wierzyła w gusła i zaklęcia.

– To mi wytłumacz – poprosiła, nadal nie ruszając się z miejsca. – Zgaduję, że przedstawiłaś fałszywy dokument, żeby praktykować w szpitalu. Nie boisz się, że cię wsadzą do więzienia?

– Niczego nie sfalszowałam. Powołałam się na ojca. – Spuściła głowę i rozszlochała się jeszcze mocniej. – Przekonywałam, że on za mnie poręczy, dopóki nie nostryfikuję dyplomu. Dyrektor szpitala się nie zgodził.

– Czyli kłamałaś w kwestii pracy, tak? – dociekała Anna. – Dlaczego?

– Przecież wiesz. Musiałabym powiedzieć rodzicom prawdę, a tego nie znieśliby ani oni, ani ja.

– I planowałaś mnie nakłonić, żebym im wmawiała, że chodzisz tam i uczysz w szkole dla akuszerki?

Nie przestając płakać, Grażyna pokiwała kilka razy głową.

– Przecież mam dyplom, tylko nienostyfikowany. Nie mam dorobku naukowego, ale mogłabym tutaj pracować i zdobyć potrzebne kwalifikacje.

Anna westchnęła.

– Nie myślałaś, żeby jednak pojechać do Bostonu, pokazać dyplom i tam zdać egzaminy nostryfikacyjne? Dla mnie to było nieosiągalne finansowo, ale ty masz tam ciotkę i wuja. Poza tym tam jest kobietom łatwiej. Po tym, co przeszła Elizabeth Blackwell, szlaki zostały przetarte.

– Elizabeth jaka? – spytała Grażyna.

– Blackwell – powiedziała Anna. – Jako pierwsza kobieta w historii, w pięćdziesiątym szóstym obroniła dyplom i pracuje jako lekarka.

– A co ona takiego przeszła? – zainteresowała się Grażyna.

– Piekło na studiach – wyjaśniła krótko Anna. – Wyrzucano ją z zajęć, utrudniano naukę na każdym kroku. A i tak skończyła studia z najwyższą lokatą.

– Ameryka, tam jest łatwiej – sapnęła Grażyna. – Skoro od ponad dwudziestu lat kobiety mogą studiować.

– Przyjęto ją na studia przez pomyłkę. – Anna się uśmiechnęła. – Sądono, że jest mężczyzną. Korespondowałam z nią. Pracowała w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku. Twoja ciotka musi ją znać. Jedź tam.

Grażyna stanowczo pokręciła głową.

– Nie, nie pojedę. Nie mogę. Nie prosź mnie o to. Wolę tu pracować jako twoja pomocnica, jeśli nie mogę praktykować samodzielnie.

Anna przez chwilę rozważała wszelkie możliwości.

– Może pojedź do Petersburga? Napiszę do Napoleona Cybulskiego, on ci pomoże. Zrobili wyjątek dla mnie, zrobią i dla ciebie.

– Do kogo? – Grażyna błyskawicznie wstała, złapała butelkę z nalewką, która stała obok krzesła Anny, i naląła sobie do kieliszka. – Nie broń mi – powiedziała, kiedy Anna zmarszczyła brwi z dezaprobatą. – Już gorzej czuć się nie mogę.

Annie nagle zrobiło się jej strasznie żal. Grażyna należała do kobiet, których nie można było zostawiać samym sobie. Ona musiała być przy kimś, przy rodzicach, przyjaciółce, mężu. Kiedy zostawała sama, natychmiast wpłytywała się w jakąś tragiczną historię.

– Dlaczego tak naprawdę wróciłaś? – spytała łagodnie. – I nie kłam, powiedz mi całą prawdę.

Grażyna znów zaczęła płakać. Anna podała jej chustkę i poczekała, aż przyjaciółka się uspokoi. Nie zamierzała gładzić jej po włosach ani przekonywać, że cokolwiek zrobiła, na pewno zachowała się właściwie. Z Grażyną trzeba było postępować umiejętnie i bardzo stanowczo.

– Napisałam ci, że przyszedł do mnie Konrad i oddał mi badania. Błagał, żebym mu wybaczyła.

– Przecież pisałaś, że cię oskarżał i kazał odejść.

– Na początku tak, podczas tej pierwszej wizyty. Oddał mi badania. Nie wszystkie. Potem przyszedł znowu i jeszcze raz. Błagał o wybaczenie.

Anna załamała ręce.

– Chcesz powiedzieć, że wasz romans znów rozkwitł?

– Ja tylko chciałam się zemścić – wyszeptała. – Przecież mnie zdradził, poniżył, sama mi tłumaczyłaś, że byłam ślepa.

– Mówiłam ci, że jesteś ślepa i żebyś go sobie wybiła z głowy po tym, jak tchórzliwie postąpił! – nie wytrzymała. – Nie mówiłam, żebyś go ponownie uwodziła!

– Nie było cię – wyszeptała. – Nie miał kto mi wskazać drogi, pomóc. Przecież wiesz, że jestem swoim największym wrogiem.

Anna złapała się za głowę.

– Co ty zrobiłaś, głupia dziewczyno? Opowiadaj!

Grażyna zaczęła gryźć palce.

– Nakłoniłam go do tego, żeby mi oddał wszystkie badania. Potem, żeby napisał do mnie list, w którym przyznaje się do romansu, zdrady żony i kradzieży mojego dorobku naukowego! A później ten list upubliczniłam!

Anna aż się zachłysnęła, słysząc te słowa. Jak taka inteligentna dziewczyna jak Grażyna mogła się zachować niczym pierwsza lepsza gąska!

– Coś ty zrobiła? – wyszeptała ze zgrozą. – Mężczyzna zawsze się wytłumaczy, wywinie, a ty będziesz skończona. Twoja reputacja legnie w gruzach, twoja tajemnica już nie będzie należała do ciebie i kilku osób, tylko stanie się publiczna! Wszyscy się dowiedzą, że naprawdę miałaś romans z żonatym mężczyzną!

– I wszyscy się dowiedzieli – przyznała Grażyna z niezrozumiałym dla Anny odcieniem dumy. – Jestem skończona. Nie mam dokąd wracać. Tu też się dowiedzą, to tylko kwestia czasu. Na dodatek...

Przerwała, a Anna złapała się za serce.

– Co jeszcze?

– Ona do niego strzeliła, Anno – wyszeptała cicho przyjaciółka. – Jego żona. Stracił oko. Była też u mnie i pewnie chciała, chciała... – głos się jej

załamał – mnie zabić. Schowałam się. Przeczekałam kilka dni. Potem uciekłam. Przyjechałam tutaj.

A więc to dlatego Grażyna wróciła do Warszawy. Gdyby ktokolwiek z Zurychu chciał tu za nią przyjechać, dziewczyna łatwo mogłaby skryć się pod skrzydłami rodziców i przekonywać, że w Rosji nie obowiązuje jurysdykcja szwajcarska. „Mój Boże”, pomyślała Anna. „Co robić?”

– Dobrze – powiedziała, gdy w końcu zebrała myśli. – Zacznieś ze mną praktykować. Ja będę leczyła, ty mi pomagasz. Opuścisz sobie praktyki w szpitalu i powiesz ojcu oraz matce, że kłamałaś, a Rayzer nigdy nie uwzględni cię w swoich publikacjach.

Grażyna kiwała głową, a łzy jak grochy spływały jej na sukienkę.

– Będiesz opisywać interesujące przypadki i korespondować z innymi lekarzami. Może uda się opublikować co ciekawsze studia w literaturze.

– A co zrobię, jeśli przyjedzie ktoś z Zurychu? – spytała szeptem.

– Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie – ucięła Anna. – Będziemy się wtedy martwić.

– Dobrze – powiedziała gorliwie Grażyna. – Zrobię, co mi każesz.

– Kiedy zacznę praktyki w szkole dla akuszerok, przedstawię cię jako swoją asystentkę. Będiesz kimś w rodzaju naczelnego położnej, bo jesteś po studiach – kontynuowała Anna stanowczym tonem.

– Zrobię wszystko, co mówisz – chlipnęła Grażyna i padła przed Anną na kolana. – Jesteś moim wzorcem moralnym. Dziękuję ci, przyjaciółko.

– I jeszcze jedno – dodała Anna surowo. – Jedna próba oszustwa, uwiedzenia kogokolwiek, krętactwa czy innych sztuczek i koniec z naszą przyjaźnią.

Grażyna ponownie pokiwała głową.

– Wstań i ogarnij się trochę, a ja poproszę Kasię, żeby nam podała kolację – powiedziała.

Przyjaciółka natychmiast wykonała polecenie. Anna zadzwoniła na dziewczynę, a Kasia stanęła w progu pokoju.

– Panienki życzą sobie kolację?

– Tak, moja droga – potwierdziła Anna. – Podaj nam, proszę, coś do jedzenia i zrób potem nowej herbaty, bo stara już zupełnie wystygła.

– Tak, proszę panienki. – Kasia dygnęła, ale nie odchodziła, co niechybnie oznaczało, że ma jakieś wiadomości.

– O co chodzi? – spytała Anna.

– Dostałam list, proszę panienki. – Kasia oblała się rumieńcem. – I nie wszystko rozumiem, bo mój Włodzimierz pisze jak kura pazurem.

Anna uśmiechnęła się dobrotliwie. Każda dziewczyna oprócz niej wydawała się przeżywać perypetie miłosne. Osobiście wolała takie, które stały się udziałem Kasi.

– Przeczytam ci po kolacji te miejsca, których nie możesz rozczytać.

– Dziękuję panience ogromnie. – Kasia się rozpromieniła. – I bym prosiła, żeby panienka mój list sprawdziła, bo ja bym ze wstydu umarła, gdyby tam, wie panienka, coś źle napisane było.

– Oczywiście, Kasiu. – Uśmiechnęła się do niej. – Coś jeszcze?

Kasia rozpromieniła się i podała Annie kopertę.

– Ten pan osobiście przyniósł i pytał o panienkę – wyszeptała przejęta. – Taki elegancki. Z panienki gatunku. Od razu poznałam.

Grażyna, już zupełnie spokojna, nagle parsknęła śmiechem.

– Jakiego gatunku? Ludzkiego? – spytała z kpiną w głosie. – A może mała? Przyjrzałaś się dobrze?

Kasia spiekła raka i Annie zrobiło się żal dziewczyny. Spojrzała z dezaprobatą na Grażynę, która zaśmiewała się do łez.

– Panienka wie – dukała Kasia. – Taki elegancki...

– Eleganckiego gatunku – dodała Grażyna i znów wybuchnęła śmiechem.

– Ja wiem, Kasiu, o kogo ci chodzi. – Uśmiechnęła się ciepło do dziewczyny. – Przynieś nam kolację.

Kasia dygnęła i odeszła, ocierając ukradkiem łzy.

– Nie życzę sobie, żebyś kpiła z prostej dziewczyny – Anna zaatakowała przyjaciółkę. – Jeszcze chwilę temu płakałaś, klęczałaś przede mną

i dziękowałaś, a teraz znów jesteś taka pewna siebie, że z innych się śmiejesz?

Grażyna spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Ale to było takie zabawne. Twój gatunek. Może ona się Darwina naczytała? Bo przecież umie czytać?

– Umie czytać i rozumie, co czyta – zauważyła Anna cierpko.

Zdumiewała ją zdolność Grażyny do nagłej zmiany nastroju. Jakby wszystko, co zrobiła źle, nagle zostało wymazane i można było śmiać się z biedniejszych i słabszych. O nie, Anna nie mogła na to pozwolić, ale zanim się odezwała, Grażyna kontynuowała w najlepsze:

– A więc miałam rację! I Darwina też jej podtykasz? Zaczytywałyśmy się nim w Zurychu. Każda marzyła, że zdobędzie tego niezwykłego młodzieńca. Ja pierwsza bym z nim zaplanowała urocze tête-à-tête.

W Annie wzbierała złość.

– Jeśli natychmiast nie przestaniesz, będę zmuszona cię prosić, abyś opuściła mój dom – rzuciła stanowczo.

Grażynie śmiech zamarł na ustach.

– Nie chciałam cię urazić – powiedziała. – Przecież to tylko...

Anna patrzyła na przyjaciółkę z niedowierzaniem. „Różnice społeczne”, pomyślała gorzko. Grażyna mogła być wyzwolona, śmiała, wykształcona, ale w głębi duszy pozostawała rozkapryszoną córką bogatych rodziców.

– To tylko służąca, to chciałaś powiedzieć? – spytała cicho Anna.

Grażyna niepewnie kiwnęła głową.

– Tylko żart. Tylko służąca...

Anna po raz pierwszy poczuła, jak to jest, kiedy się kimś pogardza, i natychmiast znienawidziła samą siebie za tę myśl.

– Jeśli sądzisz, że będziesz leczyła eleganckie panie, to się mylisz – wyrzuciła z siebie. – Będziesz czyniła posługę niczym zakonnica, opiekując się najbiedniejszymi, najprostszymi i najbardziej skrzywdzonymi przez los. Będziesz narażona na zarzę, biedę, upokorzenie i wstyd. Będziesz

w hierarchii tylko nieco wyżej niż prostytutki, nieszczęsnice umierające z głodu czy ladacznice, które się zestarzały.

– Nie mówisz poważnie – próbowała bronić się Grażyna. – Przecież tylko zażartowałam.

Anna była nieprzejednana.

– Jeśli dziś kpisz z tej dziewczyny, która niczym ci nie zawiniła, jutro będziesz szydzić z chorych, a śmiać się z biednych. A ja nigdy, przenigdy na to nie pozwolę.

– Ale ja... – wyjąkała przyjaciółka. – Podchodzisz do pewnych spraw zbyt poważnie.

– Być może. Taka jestem – odparła Anna. – Ale zastanów się, czy na pewno chcesz ze mną pracować. A ja się zastanowię, czy na pewno chcę pracować z tobą.

Grażyna patrzyła na nią niepewnie. Do pokoju weszła Kasia z wielką tacą.

– Przyniosłam paniom kolację – powiedziała. Po jej bladej buzi widać było, że płakała.

– Dziękuję ci, moja droga – powiedziała Anna, nie spuszczać wzroku z twarzy Grażyny, na której malowała się cała gama uczuć. Anna dostrzegła na niej wstyd i przyjęła go z ulgą.

– Czy panienki życzą sobie coś jeszcze? – spytała.

– Ja nie – odpowiedziała jej Anna. – Może ty, Grażynko, życzysz sobie coś jeszcze?

Przyjaciółka przełknęła ślinę. Po chwili wstała.

– Nie chciałam zrobić ci przykrości, moje dziecko – powiedziała wolno, krzywiąc się przy każdym słowie.

Anna pokręciła głową z dezaprobatą. Kasia przestępowała z nogi na nogę i zerkała na swoją panią, najwyraźniej nie wiedząc, co ma zrobić.

– Ja nie mam żalu, proszę panienki – powiedziała.

Grażyna spuściła głowę, a Kasia uciekła do siebie.

– Miałam ją przeprosić? – spytała Anny, kiedy dziewczyna zamknęła za sobą drzwi. – Mam przeproszać służbę?

– Masz przeprosić mnie – nie wytrzymała Anna. – Albo się stąd wynosić.

Grażyna natychmiast wstała i poprawiła suknię. Chwilę mierzyła się z przyjaciółką wzrokiem. Wreszcie wymaszerowała z pokoju, pozostawiając na stole nietknięte danie. Anna słyszała, jak chwyta za klamkę, ale cofa się z korytarza, wraca, znów wychodzi, wreszcie idzie do pokoju Kasi.

– No – powiedziała do siebie. – Może jeszcze będą z niej ludzie.



Anna z trudem tłumiała ekscytację. Przeczytała list, który zostawił dla niej ów „mężczyzna z jej gatunku”, i nie wiedziała, co o tym myśleć. Tekst pełen był zawijasów, wielkich kropek, stanowczych przecinków i myślników tak długich, jakby miały skłonić adresatkę do czegoś więcej niż myślenie.

Szanowna Panno Anno,

proszę wybaczyć, że długie miesiące zajęło mi uporządkowanie myśli i napisanie do Pani tej jakże skromnej wiadomości. Jestem naukowcem, a zderzyłem się z własną niemocą w formułowaniu założeń i rozwijaniu rozważań. Wreszcie nie wiedziałem, czy pisać o wnioskach, skoro nie mam żadnych podstaw, aby takowe poczynić.

Tu następowało długie, pełne wtrętów i dygresji tłumaczenie, dlaczego pan doktor zdecydował się jednak napisać do niej list, po tym jak śledził jej rozpaczliwe poczynania mające na celu nostryfikację dyplomu.

Po raz pierwszy usłyszałem o Pani nie na pamiętnym okropnym posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego, ale już wcześniej. Mój znajomy, doktor Pieleszewicz, z którym mam zaszczyt współprowadzić gabinet lekarski, przyniósł mi Pani doniesienia na temat labiryntu, a ja je z przyjemnością przeczytałem, z pewną zazdrością naukowca oceniłem wysoko i pomyślałem wtedy, że pewnie pozostanie Pani w Zurychu, aby tam, z dala od tego, co mogłoby Panią ograniczać, prowadzić dalsze badania. Sprowadziłem wtedy wszystkie Pani opublikowane prace, a kiedy przekonałem się, że prowadzi Pani badania dotyczące mózgowia, krwi, tkanek miękkich, mój podziw dla Pani był nieograniczony. Potem aplikowała Pani do Towarzystwa. Nie będę powtarzał, co wynikło na naszych burzliwych zebraniach, dobrze Pani o tym wie. Powiem tylko o wniosku, jaki mi się wtedy nasunął. Oto ja, mający dwie, trzy publikacje daleko bardziej skromne niż Pani dorobek, mogłem zasiadać w Towarzystwie Lekarskim, a Pani musi prosić naszą zgraję tłustych, zapuszczonych pseudouczonych o pozwolenie na leczenie chorych. Połowa z nas, lekko licząc, mogłaby się udać do Pani na praktyki i sumiennie pracować pod Pani kierunkiem.

Uśmiechnęła się do siebie, przerywając czytanie. List ją zaskoczył i wprowadził w dziwny nastrój. Nie spotkało jej nigdy nic podobnego. Zawsze wydawało jej się, że sprawy sercowe ją ominą. Nawet jako dziecko nie była uznawana za ładną, raczej określano ją jako bystrą i miłą. Kiedy została panienką, nie chadzała na bale, po tym jak na pewnej oficjalnej potańcówce miała wpisane jedynie dwa tańce w karnecie, z czego jeden nie doszedł do skutku, bo blademu młodzieńcowi poszła krew z nosa w chwili, gdy się do niej zbliżał. Na studiach zajęta była nauką i pracą i do głowy jej nie przyszło, by romansować. A teraz otrzymała takie właśnie pismo i nie wiedziała, ani co o nim myśleć, ani jak nazwać uczucia, których doznawała, czytając je.

Jest Pani wybitnym naukowcem, musi Pani też być wybitnym człowiekiem.

Nie знаła doktora Dobrskiego. Nigdy o nim nie słyszała. Wiedziała od doktora Korzyńskiego, że za jej kandydaturą głosowało dziewiętnastu członków rady, ale głosowanie było tajne, a przyjaciel nie chciał domniemywać, kto był za, a kto przeciw. Anna nigdy też o to sama nie pytała, wychodząc z założenia, że coś, na co nie ma wpływu, nie powinno jej złościć ani zasmucać, a już na pewno nie powinno zaprzętać jej myśli. Teraz jedna z osób, które ją podziwiała i broniły, zyskała konkretny obraz. Na razie w postaci nazwiska, ale wkrótce mogła się spotkać z owym doktorem Konradem Dobrskim, laryngologiem, i osobiście przekonać się, co to za człowiek. Sęk w tym, że nie wiedziała, czy tego chce.

Pewnie uzna Pani mój list za przejaw bezczelności, niepopartą niczym śmiałość, a może po prostu zignoruje go Pani i wrzuci w ogień. Jeśli jednak tak się stanie i zechce Pani dać mi szansę, błagam o spotkanie. Będę spacerował w każdą niedzielę po mszy świętej w parku Łazienkowskim, pod pałacem Na Wodzie, i wypatrywał Pani. Jeśli pojawi się Pani na spacerze, podejść i się przedstawię.

- Skąd on może wiedzieć, jak ja wyglądam? – zadała sobie głośno pytanie.
- Mówiła panienka coś? – Kasia natychmiast przed nią stanęła.

Anna pokazała Kasi list, a dziewczyna zaczerwieniła się, jakby pismo było do niej. Może przypomniała sobie własną korespondencję z Włodzimierzem, listy pełne jawnej namiętności chłopaka i skrywanej tęsknoty dziewczyny. Listy, które świadczyły o pewnym przywiązaniu, ale jeszcze nie o miłości. Anna pomagała Kasi w pisaniu, czytała fragmenty korespondencji od ukochanego, których dziewczyna nie rozumiała, i tłumaczyła, co chciał jej powiedzieć. Starła się przy tym sama dobrze zrozumieć przekaz, jaki płynął z tych wiadomości, bo miała świadomość, że w jej życiu brakuje podobnych uczuć. Teraz, patrząc na pismo Konrada Dobrskiego, nie umiała ocenić własnych myśli, a co dopiero emocji.

– Panienska pójdzie na ten spacer? – spytała Kasia, której Anna zwierzyła się ze swoich rozterek.

Anna pokręciła przecząco głową.

– Pismo przyszło już jakiś czas temu, a panienska nic. W zeszłą niedzielę panienska nie poszła. – Dziewczyna spojrzała na nią z dezaprobatą.

– W zeszłą – poprawiła ją Anna. – Mówiłam ci, dlaczego nie poszłam.

Kasia pokiwała głową kilka razy.

– Uważa panienska, że mężczyzn to nie trzeba tak od razu słuchać i iść, gdzie każą?

– No właśnie – mruknęła Anna, zastanawiając się po raz setny, czy aby na pewno ma rację.

Może powinna zasięgnąć rady Kasi w tej materii? Podobna myśl przemknęła jej przez głowę, ale zaraz ją odrzuciła, przekonana, że Kasia zacznie jej proponować herbatki, odczynianie uroków czy też palenie ziół w intencji szczęścia ukochanej panienski. Ona potrzebowała odpowiedzi na pytanie: iść w niedzielę do Łazienek czy nie? Rozważała, czy nie zwierzyć się Grażynie, z którą znów się przyjaźniła, po tym jak przyjaciółka wyznała rodzicom całą prawdę, przeprosiła za kłamstwa i trwonienie ich pieniędzy. Anna wreszcie mogła odwiedzać Korzyńskich bez wyrzutów sumienia, chociaż przykro jej było słuchać przeprosin pana Bogumiła i żalów pani Domiceli, jakby to oni byli winni wobec niej. Bądź co bądź to nie ona nie powiedziała im prawdy. Pomyślała, że Grażyna doradziłaby jej najlepiej, jak

potrafi, ale nie zdecydowała się na zwierzenia. Przyjaciółka miała inne doświadczenia, prawdopodobnie przemawiałaby przez ich pryzmat, nie udzielając Annie rady wartościowej dla niej samej. Wypytywanie pani Domiceli także nie wchodziło w grę, Anna wstydziłaby się bowiem wspomnieć o osobie Konrada Dobrskiego. Pani Domicela zaraz powiedziałaby mężowi, a ten przeanalizowałby przebieg kariery zawodowej laryngologa i od tego uzależnił szczęście Anny. Czego zatem potrzebowała? Może po prostu odwagi, aby pójść na spotkanie.

– Ja myślę, że panienka robi źle – odważyła się powiedzieć Kasia.

– Dlaczego? – spytała Anna.

– Bo panienka za dużo myśli – odpowiedziała jej służąca, energicznie trzepiąc poduszki. – Zamiast po prostu iść i zobaczyć tego pana.

– No wiesz, moja droga – Anna się skrzywiła – pewne sprawy powinny być przemyślane.

– Ja się z panienką zgadzam – gorliwie przytaknęła dziewczyna. – Absolutnie zgadzam, że pewne rzeczy wymagają przemyślenia. Ale do tych rzeczy, proszę panienki, należy ślub, a nie spacer w Łazienkach. Z całym szacunkiem, proszę panienki.

Anna nagle się zawstydziała. Kasia miała rację. Anna uznała, że Konrad Dobrski jest adoratorem, i natychmiast zaczęła analizować, czy byłby dobrym mężem. Nigdy nikomu by się do tego nie przyznała, ale tak właśnie było. Kasia musiała to dostrzec.

– Przecież my się nawet nie znamy. Nie planuję ślubu – powiedziała spokojnie, ale unikała wzroku dziewczyny.

A jeśli Konrad Dobrski chce z nią współpracować przy badaniu ośrodków słuchu, a nie spacerować pod gwiazdami i recytować wiersze miłosne? Czemu założyła, że za propozycją spotkania kryje się propozycja wspólnego życia? Czyż miała jakiegokolwiek przesłanki, aby tak pomyśleć?

– No właśnie tak nie jest, proszę panienki. Panienka się pogniewa, ale lepiej na mnie niż na świat. Bo ja panience chciałam powiedzieć, że ja wiem, co panienka myśli.

Anna pogubiła się w tych wywodach, swoich i Kasi.

– Zaraz, zaraz. – Uniosła ręce. – Powiedz mi, co ty myślisz, że ja myślę. Tylko jasno i prosto.

– Ja zawsze jasno i prosto. – Kasia kilka razy uderzyła się pięścią w pierś. – Bo ja prosta jestem i nie umiem inaczej. Panienska jest komple... koplako...

– Skomplikowana – podsunęła jej Anna, ale zaraz zaprzeczyła tym słowom. – Nie jestem skomplikowana. W żadnym razie. – Inna – podsumowała Kasia i Anna musiała przyznać jej rację, aczkolwiek niechętnie.

– Tak, trochę inna – zgodziła się.

– No właśnie. – Kasia przysiadła na fotelu z wytrzępaną poduszką na kolanach. – Ta inszość panienska to z mądrości się bierze. Ale niech mi panienska wybaczy, z tej mądrości to nie wszystko mądre idzie.

– Chcesz, żebym poszła na ten spacer? – spytała. – Bo może o to chodzi i wszelkie dyskusje są tu niepotrzebne?

– Nie, ja chcę, żeby panienska chciała pójść – sprostowała Kasia.

Anna zastanowiła się.

– Ja bym chciała chcieć – wyznała w końcu.

– Nie. – Kasia pokręciła głową. – Panienska by nie chciała chcieć i panienska by chciała jednocześnie. I wylicza wszystkie za i przeciw, i dochodzi do wniosku, że nie ma żadnych za i przeciw.

Kasia umilkła i siedziała naprzeciwko niej z pełną powagi miną. Anna westchnęła.

– Rozumiem, o co ci chodzi, ale nie do końca mogę się zgodzić. Bo ja się tam boję iść, to jedno, drugie, że bym chciała, trzecie i najbardziej istotne – nie wiem, co zrobić, jak już pójde, a on mi się nie spodoba.

Kasia zrobiła minę, która wyrażała prośbę: „Niebioso, dajcie mi cierpliwość”.

– Panienko – zaczęła przemawiać tonem jak do dziecka – czy nie sądzi panienska, że najpierw trzeba by pójść, a potem się zastanawiać nad tym, co może z tego wyniknąć? Czy panienska najpierw bada chorego, potem przepisuje mu leki, a następnie martwi się, że nie działają, czy od razu zakłada, że chory nie przetrzyma kuracji?

Anna znów się zamyśliła. Niewątpliwie było coś mądrego w słowach Kasi.

– Ale ja, wiesz, założyłam, że zawsze będę sama, w służbie chorym, biednym...

– I panienka służy chorym i biednym, bo panienka jest aniołem.

Myśli Anny pognały w stronę pacjentów, którzy przychodzili do jej gabinetu.

– Chętnie bym jeszcze lepiej służyła społeczeństwu, ale odwiedzają mnie tylko biedne kobiety i czasem jeszcze biedniejsze dzieciaki.

– No i panienka nigdy złego słowa nie powiedziała, chociaż pieniędzy panience nie przybyło po petersburskich sukcesach. Bo panience na pieniądzach nie zależy.

Anna pokiwała głową. Zależało jej, oczywiście, ale na tyle, na ile pieniądze były jej niezbędne do zaspokojenia podstawowych potrzeb.

– Dzięki tobie nam nie zabraknie, bo sprzedajesz petersburskie dobra.

– Sprzedaję, bo panienka chciała je rozdać nie wiedząc czemu – sarknęła dziewczyna. – A ja uznałam, że lepiej, żeby na czarną godzinę zostały.

Anna uśmiechnęła się na wspomnienie, jak Kasia nieomalże siłą powstrzymała ją przed oddaniem pięknych tkanin i kunsztownych figurek Korzyńskim. Prawdopodobnie oni sami by nie przyjęli podobnych darów, ale Kasia pierwsza zorientowała się, że tkaniny można sprzedać, a pieniądze przeznaczyć na chleb, dopóki nie będzie można opłacić wydatków na życie z praktyki lekarskiej.

– To się wszystko zmieni, jak tu panienkę poznają – zapewniła ją Kasia i uniosła palec. – Panienka zmienia temat.

– No dobrze. Miałyśmy rozmawiać o spacerze – skapitulowała Anna, która miała nadzieję, że zmiana tematu pozwoli jej pozbierać myśli i da jej więcej czasu na podjęcie decyzji.

– No tak. – Kasia zakręciła w powietrzu paluszką kilka kółek. – Ja tego pana widziałam na własne oczy, a panienka nigdy mnie nie spytała, jak on wygląda.

Annę uderzyła ta myśl.

– Masz rację. Nie spytałam, jak wygląda, bo mi do głowy nie przyszło. No to jak wygląda?

– Wysoki, postawny, przystojny, dobrze mu z oczu patrzyło, a ja się na tym znam, oczy niebieskie, bródka starannie przystrzyżona, wąs słuszny, włosy wypomadowane, kapelusz ładny, ale nie paradny, garnitur na miarę, buty czyste, przyszedł sam, co znaczy, że szanuje i mu zależy – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Aha – skwitowała Anna krótko, zastanawiając się, która z informacji powinna zważyć na jej decyzji.

– Porządny człowiek. – Kasia znów uniosła palec. – Ja się na tym znam.

– Która godzina? – spytała Anna.

Służąca przewróciła oczami.

– Dziesiąta wybiła na kościelnej wieży – odpowiedziała. – Liczyłam.

Anna nabrała kilka razy powietrza i wypuściła je.

– No to na jedenastą idźmy na sumę, a potem...

Kasia przybrała pełen nadziei wyraz twarzy.

– A potem się zobaczy – dokończyła Anna.

Służąca zacisnęła ręce w pięstki. Widać było, że traciła cierpliwość.

– Jak panienkę kocham, tak mnie panienka denerwuje – sapnęła. – Może mnie panienka ukarać za impertancję, ale ja panience powiem do słuchu. Panienka jest niemożliwa!

– Impertynencję – odezwała się słabo Anna. – Nie będę cię za nic karać.

– Ja panience od dwóch tygodni kroplę ziółek do herbatki dolewam, a panienka się opiera. Panienka chce, żebym ja straciła wiarę w moc moich ziółek. A ja nigdy przenigdy nie mogę stracić wiary w moc moich ziółek!

Po wygłoszeniu tej tyrady rzuciła poduszkę na ziemię i odwróciła demonstracyjnie głowę.

– Wkrapasz mi ziółka? – spytała Anna z niepokojem. – Czy czasem nie belladonnę, bo ja...?

– Nie – odparła Kasia z godnością. – Ja panienkę kocham, nigdy bym panienki nie otręła.

– Bo źle się czuję... – dokończyła lekarka.
– Panienska źle się czuje, bo za duzo myśli – przekonywała słuźaca.
– Dobrze – zdecydowała Anna. – Masz rację. Nie trzeba myśleć, trzeba działać. Idziemy. Na sumę, a potem na spacer do Łazienek. Pogoda piękna. Ot co.

Kasia natychmiast wstała.

– Ziółka zadziałały – powiedziała. – Dzięki ci, Przenajświętsza Panienska.



– I powiedz teraz, czemu się tak wzbraniałaś przed tym spotkaniem? – spytała Grażyna kilka dni później, kiedy Anna wreszcie zwierzyła się przyjaciółce z wrażeń ze spaceru z Konradem Dobrskim.

– Mówiłam ci – odpowiedziała, patrząc przez okno na uśpioną ulicę Twardą. Był późny wieczór, Grażyna wstąpiła do niej na kieliszeczek czegoś mocniejszego oraz na omówienie sposobu, w jaki będą poszukiwały gabinetu, i jak skoordynują pracę „na swoim” z praktyką w szkole akuszerok, gdzie miały zacząć wraz z pierwszym dniem września roku Pańskiego siedemdziesiątego dziewiątego.

– Nic nie mówiłaś. Nawet nie wspomniałaś, że myślałaś dwie niedziele, czy pójść na ten spacer – denerwowała się Grażyna. – Dopiero teraz się dowiaduję. Opowiadaj zaraz, bo ja tu ze skóry wychodzę. Tylko po kolei i niczego nie pomijaj.

Anna uśmiechnęła się. Postanowiła na początek nie zaprzeczać, jakoby Konrad Dobrski był cichym wielbicielem, chociaż jej precyzyjny umysł aż krzyczał, aby sprostować, że być może kiedyś był cichy, ale teraz jest wyraźnie wymowny i zdeklarowany jako adorator.

– Dobrze zatem. – Nalała Grażynie mały kieliszek jarzębinówki i widząc błysk w oczach przyjaciółki, dodała: – Czy nie wydaje ci się, że zbyt duzo pijesz?

– Dama nie powinna? – spytała Grażyna z ironią w głosie, ale zaraz pokiwała głową. – Masz rację. Nie powinnam. Dama nie powinna. Lekarka nie powinna.

– Ty nie powinnaś. – Anna demonstracyjnie nie nalała sobie ani kropelki.

Grażyna z żalem odsunęła swój kieliszek.

– Opowiadaj – zachęciła przyjaciółkę.

– Najpierw poszłam na mszę do kościoła Świętego Krzyża, a potem chcieliśmy z Kasią wziąć dorożkę, aby udać się do Łazienek. I wyobraź sobie, podszedł do nas młody człowiek, uklonił się i przedstawił jako Konrad Dobrski.

– Naprawdę? – zdumiała się Grażyna. – Był na tej samej mszy w tym samym kościele co wy?

– Tak – potwierdziła. – Taki przypadek. Po mszy zamierzał jechać do Łazienek i tam na mnie czekać bez specjalnej nadziei, bo ja przecież dwie niedziele się tam nie pojawiałam.

Grażyna pokręciła głową z dezaprobatą.

– Trzeba było mnie spytać o radę.

– Nie musiałam cię o nic pytać, moja droga, bo wiedziałam, że byś mi powiedziała, żebym poszła, i jeszcze nie daj Bóg się ze mną tam udała i wystraszyła tego biedaka.

Grażyna zrobiła obrażoną minę.

– Może się bałaś, że jeszcze bym ci odbiła tego adoratora, co? To miałaś na myśli?

Anna wiedziała, że Grażyna żartuje, dlatego nie tłumaczyła się, tylko opowiadała dalej.

– Skoro już spotkaliśmy się na Krakowskim Przedmieściu, to nie od razu poszliśmy na spacer, tylko najpierw na czekoladę i pączki do cukierni Grohnerta. Ja piłam czekoladę, on i Kasia jedli pączki. Kasia notabene była nimi zachwycona, a jej byle co już nie zachwyca.

Grażyna przemilczała uwagę o służącej. Najwyraźniej wciąż się dziwiła, że Anna tak bardzo się z nią zaprzyjaźniła.

– I o czym rozmawialiście? Kasia też z nim rozmawiała?

Ostatnie pytanie Grażyna wypowiedziała z wyraźnym przekąsem.

– Nie, nie – uspokoiła ją Anna. – Kasia, jak na przyzwoitkę przystało, siedziała grzecznie bez słowa i jadła pączka oraz popijała herbatką z miną mówiącą „ja bym zaparzyła lepszą”. My rozmawialiśmy.

– O czym? Niebioso, dajcie mi cierpliwość...

Anna uśmiechnęła się. Wiedziała, że Grażyna jest niecierpliwą istotą, ale nie chciała skracać swojej opowieści.

– Początkowo tylko o pogodzie. Oboje byliśmy bardzo onieśmieleni. O słońcu, które wyszło zza chmur, i o tym, że lipiec bywa deszczowy.

Grażyna zrobiła kwaśną minę.

– Lipiec deszczowy...

– A o czym mieliśmy rozmawiać w kawiarni wśród tłumu ludzi? – spytała Anna. – Zresztą spotkałam znajomego i to, wyobraź sobie, przełamało lody.

– Znajomego? – spytała zaskoczona Grażyna.

– Tak, znajomego – potwierdziła Anna. – Wyobraź sobie, że ja też mam w Warszawie znajomych. I to nie lekarzy. Spotkałam pana Gracjana Ungera, u którego przepisywałam nuty, aby zdobyć pieniądze na wyjazd do Petersburga.

Po czym Anna opowiedziała zdumionej przyjaciółce historię o tym, jak udzieliła pierwszej pomocy panu Władysławowi Banarskiemu w księgarni i składzie nut na Krakowskim Przedmieściu i co z tego później wyniknęło. Podkreśliła także, że to panu Ungerowi zawdzięcza pomysł wyjazdu do Petersburga.

– Pewnie mieszka niedaleko, skoro przyszedł na mszę do tego kościoła, a potem wstąpił na pączki. Odbiliśmy miłą rozmowę we troje i to, wyobraź sobie, pomogło, bo pan Gracjan nieco ośmielił pana Dobrskiego, który był wyraźnie zdenerwowany, a także przywołał miłe wspomnienia u mnie, co sprawiło, że ja również się uspokoiłam. Bo ja też byłam zdenerwowana całą sytuacją.

– Przepisywałaś u niego nuty i to było dla ciebie miłe wspomnienie? – zdumiała się Grażyna.

– A tak – odpowiedziała jej Anna, przechylając przekornie głowę. – Zaproponowano mi dobrą stawkę, bo nie chciałam przyjąć zapłaty za leczenie. Przepisywałam nuty i wierz mi, jestem bardzo dobrą kopistką. Poza tym pan Unger to prawdziwy dżentelmen.

– Dżentelmen, powiadasz? – Grażyna się zainteresowała. – A na tych pączkach to był z żoną i gromadą dzieci?

– Nie. – Anna zawstydziała się bezpośredniością Grażyny. – On nie ma żony.

– A co z nim nie tak? – Przyjaciółka się uśmiechała. – Nie ma żony, przepisywałaś u niego nuty... Nie próbował cię uwodzić?

Anna stłumiła irytację.

– No wiesz. – Siliła się na spokojny ton. – Uwodzić... Tylko ty umiesz wtrącać takie słowa niepasujące do nastroju i zwyczajnie...

Szukała odpowiedniego słowa.

– Pewnie chciałaś powiedzieć „niegrzeczne” – wyręczyła ją Grażyna. – Wiem, jestem niegrzeczną dziewczynką. Pogódźmy się z tym.

Anna przemilczała jej bezczelną wypowiedź.

– Opowiadaj dalej – zachęciła ją przyjaciółka. – Bo nas noc zastanie, a jutro idziemy oglądać kolejny lokal na gabinet.

– No więc pojechaliśmy na spacer. Dorożką.

– A na ten spacer to poszliście też z tym panem od nut?

– Nie – odpowiedziała Anna z godnością. – Pożegnaliśmy się i poszliśmy we dwoje, nie licząc oczywiście Kasi, która szła za nami. Po jakimś czasie powiedziałam jej, że może wrócić do domu i zająć się obiadem, co Kasia przyjęła z ulgą, bo jej się nie chciało za nami kroczyć i tracić czasu.

Grażyna sięgnęła jednak po kieliszek, ale nie wypila całej zawartości, tylko niczym dama kilka kropelek. Skrzywiła się, odstawiając trunek.

– Niedobry – skwitowała. – I o czym rozmawialiście w Łazienkach? Mówże, bo wyłażę ze skóry.

– Ja sądzę, moja droga, że dama...

Grażyna zaczęła wymachiwać rękoma.

– Dama! – wykrzyknęła. – Nie jestem damą i dobrze o tym wiesz. Mogę sobie zatem pozwolić na błędy życiowe, niecierpliwość i ogólnie być nieznośna. I mogę się napić!

– No dobrze – zgodziła się Anna. – Najpierw kontynuowaliśmy rozmowę o pogodzie. Dostyc długo, bo słońce nagle zaczęło bardzo mocno świecić i pan Konrad zaniepokoił się, że będzie mi zbyt gorąco.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Konrad Dobrski zupełnie nie wiedział, jak traktować kobietę taką jak Anna. Z jednej strony rozmawiał z nią jak równy z równym o najnowszych doniesieniach medycznych, wyrażał podziw dla naukowców, z którymi pracowała, a z drugiej strony pytał, czy nie jest jej duszno, i martwił się o jej cerę. Opowiedziała o tym Grażynie.

– Nie zachowuje się jak kobieciarz, to dobrze. Musi się tylko przyzwyczaić, że jesteś... – chwilę szukała właściwego słowa – ...inna.

Anna przypomniała sobie, że Kasia określiła ją tym samym epitetem. Rzeczywiście, różniła się od znanych jej kobiet. Czy to dobrze czy źle, czas pokaże.

– Jeśli będzie trwał w postanowieniu, aby zdobyć mój umysł, pewnie spróbuje się przyzwyczaić – odparła z namysłem.

– A to zabawne. – Grażyna roześmiała się. – Powinnaś powiedzieć, że zdobędzie twoje serce. A ty mówisz o umyśle.

– To bardziej do mnie pasuje. – Anna uśmiechnęła się. – Kiedy zdobędzie mój umysł, a zatem będę o nim myślała, wtedy i sercem będę należeć do niego.

– I co z twoim umysłem dzieje się teraz? – spytała Grażyna z niewinną miną.

– Jest jasny i klarowny – odpowiedziała jej Anna. – A czego żeś się spodziewała? Przecież jestem inna.

– Jesteś inna w najlepszym tego słowa znaczeniu, a równocześnie taka sama jak my.

– Czyli? – Anna nie zrozumiała.

– Czyli chcesz być kochana. Jak każda kobieta.

Anna spuściła głowę. Zaczynała dopuszczać do siebie myśl, że mogłaby dzielić życie z mężczyzną takim jak Konrad Dobrski. Mężczyzną dobrym, mądrym, a przy tym delikatnym i nieśmiałym. Co więcej, zaczynała w głębi duszy marzyć o kimś, kto dźwigałby z nią trudy codzienności. Wczoraj przed zaśnięciem złapała się nawet na rozważaniach, jak by to było zasypiać obok mężczyzny, a przy obiedzie dyskutować z nim o pacjentkach, które odwiedziły jej gabinet. Czy Konrad Dobrski byłby skłonny dzielić z nią życie?

– A jeśli on po ślubie powie, że zabrania mi praktykować? – wyrzuciła z siebie nagle tę jedną wątpliwość, którą w sobie nosiła.

– Musisz go o to spytać w obecności świadków. – Grażyna i na to pytanie знаła odpowiedź.

– Jak mam spytać? – Anna wyłamywała palce.

– Jeśli się oświadczy – wyjaśniła Grażyna. – Chciałam powiedzieć: kiedy się oświadczy.

– Właściwie to już się oświadczył – wyznała cichutko Anna.

– Jak to?! – wykrzyknęła przyjaciółka, a Anna przestraszyła się, że obudzi Kasię. – Klęknął i się oświadczył? W Łazienkach?

– Nie, nie, nie – zaprzeczyła Anna i zaczęła wyjaśniać, a jej policzki pokryły się purpurą. – Nie klęknął i nie tak oficjalnie, co to, to nie. Tylko powiedział o swoich uczuciach, które wzięły się najpierw z lektury moich prac, potem z podziwu dla mojej determinacji, a kiedy mnie zobaczył...

Grażyna odetchnęła z ulgą.

– ...zakochał się w twoich pięknych niebieskich oczach i cudownych włosach, podziwiał dumne czoło i pięknie wykrojone wargi. Słowem – nie przypuszczał, że jesteś taką piękną.

– O wargach nie mówił. – Anna miała ochotę zapaść się pod ziemię. – Tylko pytał, czy może liczyć na moje cieplejsze uczucia, czy to możliwe, aby był... blisko.

Grażyna złapała przyjaciółkę za rękę.

– I co mu powiedziałaś?

– Że tak – wyznała Anna, która była zdumiona tym, że nie tylko Konrad Dobrski, ale i Grażyna uważają ją za piękną kobietę. – Że może liczyć i być blisko.

– Bogu dzięki. – Przyjaciółka klasnęła w ręce. – I co? Przysyła kwiaty?

– Przysłał kwiaty, czekoladki i najnowszy numer pisma Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, w którym opublikowano jego artykuł. Bardzo dobry, czytałam.

Nabrała głęboko powietrza i wypuściła je ze świstem.

– Boję się – powiedziała nieoczekiwanie.

Grażyna chwyciła drugą dłoń Anny i ścisnęła mocno obie ręce.

– Czego się boisz? Nie wygląda na to, żeby ci zakazał praktyki.

– Nie. – Anna prawie płakała. – Ja się boję, że nie rozumiem.

– No tak. – Grażyna uśmiechnęła się czule. – To już wiem, o co chodzi. Zakochałaś się, a jest to stan, w którym wielu spraw się nie rozumie.

– Tak myślisz? – spytała Anna bezradnie.

– Jestem tego pewna. Tak jak i tego, że dojdiesz do wniosku, że nie wszystko trzeba rozumieć. Miłość to nie praca naukowa.

Anna naląła sobie kieliszek nalewki i wypija połowę.

– A jeśli to zniweczy moje marzenia?

Po twarzy Grażyny przebiegł cień.

– Chciałaś dodać „tak jak twoje”?

Anna pokiwała głową.

– Pozwoliłam na to Rayzerowi – powiedziała Grażyna, patrząc przyjaciółce w oczy. – Sama go do tego zachęcałam. Wiedziałam, że ma żonę, że jest słaby. Wystarczyło mi, że zapewnia mnie o swoim uczuciu, że chwali moje badania, a ja leciałam jak ćma do świecy. Zabrakło mi charakteru, woli, godności. Wszystko było oparte na kłamstwie. I ty dobrze o tym wiesz. Nie jesteś taka jak ja. Nie popełnisz błędu.

– Będziesz przy mnie? – spytała Anna.

Grażyna pokiwała głową.

– Będę patrzyła temu doktorowi na ręce. Ja i cała moja familia. I zaraz wypytam ojca, kto zacz, bo tobie nie wypada. Niech tylko spróbuje zrobić coś wbrew tobie. I... – tu przerwała i uśmiechnęła się do Anny – ...i Kasia – dodała. – Ona te swoje ziółka zaparzy i jak będzie trzeba, to doda czegoś do herbaty.

– Tylko żeby mu nie zrobiła krzywdy – wyszeptała Anna.

– Sama widzisz. Już się w nim kochasz. – Grażyna się uśmiechnęła. – A teraz dawaj tej nalewki, bo jutro czeka nas kolejna próba znalezienia gabinetu, i to pewnie nie ostatnia.

Anna pokiwała głową, nalała do kieliszków, a kiedy się nimi stuknęły i Grażyna mruknęła: „Za miłość”, dziewczyna wypila trunek do dna. Opróżniły butelkę do ostatniej kropelki, wznosząc toasty: „Za medycynę”, „Za kobiety lekarki”, „Za medycynierki”, „Za praktyki”, a w końcu: „Za Konrada Dobrskiego”. Przy tym ostatnim toaście zastała ich Kasia, która wstała obudzona hałasami i zaniepokojona weszła do pokoju. Zobaczyła eleganckie na co dzień panienki, które piły niczym woźnice, czekały i ze łzami w oczach opowiadały sobie historie, w których powtarzały się dwa słowa: „miłość” i „medycyna”.

Joseph Lister 1827–1912

Joseph Lister czytał po raz dziesiąty artykuł francuskiego chemika Louisa Pasteura. To, co ten Francuz głosił, wydawało się odpowiedzią na modlitwy Listera. Chirurg sięgnął po notatnik, w którym opisywał przebieg operacji, analizę co ciekawszych przypadków albo zapisywał nurtujące go pytania. Ostatnia notatka brzmiała tak:

Zastanawia mnie nie tyle, czym są miazmaty, ile jak z nimi walczyć. Bo jeśli owe drobinki, cząstki czy też inne niewidzialne paskudztwa odpowiedzialne są za gnicie, to jest mi obojętne, czym są, bylebym mógł je zabić, zdusić w zarodku.

– No właśnie – powiedział do siebie. – No właśnie...

Sięgnął po pióro i zaczął kolejny wpis w notatniku.

Glasgow, 1865 rok

Kiedy badania Pasteura wykazały, że septyczna właściwość atmosfery zależy nie od tlenu czy innego składnika gazowego, ale od maleńkich, zawieszonych w niej organizmów, które czerpią energię ze swej żywotności, przyszło mi do głowy, że ropienia rany można by uniknąć bez wykluczania powietrza, a tylko przez założenie opatrunku zdolnego zabijać te unoszące się wszędzie cząstki.

– Zobacz, Agnes – powiedział do żony i podał jej artykuł podpisany przez Louisa Pasteura.

Żona oderwała wzrok od mikroskopu i wzięła gazetę. Czytała uważnie, podczas gdy Joseph niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

– Co ty o tym myślisz? – spytał, kiedy skończyła.

– Wiesz, że muszę przeczytać jeszcze co najmniej dwa razy i...

– Wiem – przerwał jej niecierpliwie. – Musisz zastanowić się nad każdym twierdzeniem i zrobić własne notatki. Ale co myślisz tak na gorąco? Po pierwszym czytaniu.

Agnes z czułością pogładziła papier, na którym wydrukowano artykuł chemika.

– Myślę, że to obala teorię miazmatów, że wreszcie ktoś udowodnił, iż gnicie nie bierze się z powietrza, a choroby z samego kurzu, że to szansa dla... – zaczęła wyliczać.

– Moja mądra i kochana – przerwał jej Joseph ze wzruszeniem. – To właśnie pomyślałem. Do diabła z miazmatami. Zarazki mogą być wszędzie. A jeśli są, to trzeba je zwalczać.

– Tak jak zrobił to Pasteur. – Pokiwała głową i wskazała palcem miejsce w tekście, gdzie Francuz opisał swoje niezwykle doświadczenia. – Mój Boże, Josephie. Musimy się zabrać do pracy!

– Właśnie. – Lister uniósł palec. – Zróbmy to od razu. Pasteur zasugerował trzy metody eliminacji chorobotwórczych mikroorganizmów: filtrację, ekspozycję na ciepło lub działanie roztworu chemicznego.

– Tylko ten ostatni może mieć zastosowanie w chirurgii – powiedziała Agnes z zastanowieniem. – Nie będziesz przecież gotował pacjenta.

Joseph machnął ręką. Zupełnie nie zrozumiał żartu żony.

– Oczywiście, że nie, ale mógłbym gotować narzędzia i, dobry Boże, zrobię to. Natomiast zastanawiam się nad substancją odkażającą.

Agnes wpatrywała się w skupioną twarz męża.

– I co wymyśliłeś?

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o kwasie karbolowym? – spytał.

Agnes przypomniała sobie, że Joseph interesował się substancją, którą opryskuje się podkłady kolejowe, aby drewno niegniło. Opowiadał jej, że w jego rodzinnej miejscowości stosowano opryski na polach przy zastosowaniu kwasu karbolowego. Pytał miejscowych, czy kwas nie szkodzi roślinności, która rośnie na spryskiwanych polach, czy nie powoduje chorób zwierząt, które jedzą tę trawę. Dowiedział się, że nie, w żadnym wypadku. Za to opryski zapobiegają gniciu roślin.

– Kwas karbolowy – powiedziała Agnes. – Sądzę, Josephie, że ten Francuz to wielki człowiek, ale jeszcze większe zasługi będą mieli ci lekarze, którzy go posłuchają.

– Konieczne będzie wykonanie badań – zaczął, ale Agnes mu przerwała:

– Założę ci hodowle tych drobnoustrojów w szalkach, żebyś mógł sprawdzać działanie swojego kwasu. Będę ci robić preparaty do oglądania pod mikroskopem. Mogę też rysować. Wiesz, jak kocham pracę w laboratorium.

– Wiem, mój skarbie. – Joseph się uśmiechnął. – Czasem sobie myślę, że wyszłaś za mnie tylko dlatego, że mój ojciec skonstruował achromatyczne soczewki i udoskonalił tym samym okular mikroskopu.

– Przyganiał kocioł garnkowi – powiedziała Agnes. – Czyż ty nie poślubiłeś mnie tylko dlatego, że moim ojcem jest wielki chirurg i nauczyciel akademicki James Syme?

Agnes wróciła wspomnieniami do czasu, kiedy poznała Josepha. Był wtedy młodym ambitnym chirurgiem pracującym pod kierunkiem jej ojca. James Syme był wielce rad z uwagi, jaką jego córka obdarzyła Listera, póki się nie dowiedział, że ten pochodzi z rodziny kwakrów. Właściwie nie miał nic przeciwko kwakrom, ale nie chciał, aby jego córka została kwakierką. Na szczęście Joseph pojechał do swoich rodziców, porozmawiał z nimi, a następnie za ich zgodą wstąpił do szkockiego Kościoła episkopalnego.

– Ty wiesz, że nie... – Joseph ujął w ręce twarz żony i pocałował ją w czoło. – Co ja bym zrobił bez twojego umysłu, bez notatek, które dla mnie przygotowujesz, bez twojego porządku i metodyczności w pracy?

– Zginąłbyś marnie – odpowiedziała, śmiejąc się. – I ja, jako próżna istota, chciałam, żebyś to przyznał.

Odwróciła się do mikroskopu.

– A teraz pozwól, że dokończę tę pracę, potem zajmę się obiadem, a wieczorem zacznę namnażać drobnoustroje na szalkach. A ty się uspokój, Josephie, i tymczasem opracuj zalecenia dla swoich lekarzy.



– Wszyscy mają myć ręce przed operacją i po niej – przemawiał do zespołu chirurgów. – Następnie przemywać je kwasem karbolowym. Kwas będzie stosowany również do odkażania narzędzi, uprzednio wygotowanych w wodzie. Gotować będziemy wszystko, co się da: fartuchy, płótna używane do operacji, szarpie oraz gąbki.

– Szybko się zniszczą – powiedział nieśmiało Alfred Leeds

– Trudno. – Rzucił Alfredowi surowe spojrzenie. – Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy.



Lister ze współczuciem pochylił się nad siedmioletnim chłopcem, który leżał blady na stole operacyjnym.

– Co się stało? – spytał Daniela Linga, kolegę ze szpitala Glasgow Royal Infirmary.

– Wózek przejechał mu po nodze. Strzaskana kość. Trzeba amputować – odpowiedział Ling.

– To dzieciak – sprzeciwił się Lister. – Musimy spróbować złożyć mu te kości.

– Rekonstrukcja kości potrwa wiele godzin, rany są rozległe, wda się gangrena – przekonywał chirurg. – Narobimy się, a i tak trzeba będzie amputować.

– Włożymy do ran waciki nasączone kwasem karbolowym – zdecydował Lister. – Może uda się uratować nogę.

– Ach tak? – westchnął Ling. – Znowu ten twój kwas karbolowy?

Lister skinął głową na asystenta. Ten podał mu rozpylacz. Joseph dokładnie spryskał narzędzia, potem ręce instrumentariusza, miejsce wokół stołu operacyjnego i wreszcie zranioną nogę.

– Danielu, umyj tym ręce – poprosił.



Kilka dni później Lister zanotował:

Sierpień, 1865 rok

Stan chłopca po operacji jest dobry. Zabieg trwał cztery godziny i udało się złożyć uszkodzone kości. Na szczęście większe naczynia nie były naruszone. Tkanki udało się na nowo zespolić. Unieruchomiłem nogę, ale nie zamykałem do końca ran. Umieściłem w nich przymoczki nasączone pięcioprocentowym kwasem karbolowym. Co cztery dni zmieniam opatrunek. Uważam, żeby bandaż nie był zbyt mocno nasączony kwasem, bo jednak podrażnia skórę. Za każdym razem, kiedy otwieram ranę, drżę na myśl, co tam zobaczę, czy aby jednak nie pojawiła się ropa, a kiedy widzę, że rana jest czysta, cieszę się, bo znaczy to, że kwas karbolowy zabija drobnoustroje.

– Zamierzam opisać ten przypadek – powiedział, kiedy skończył referować historię chłopca, a pięćdziesiąt osób obecnych na sali wykładowej Kliniki Chirurgii w Glasgow wpatrywało się w niego z podziwem pomieszanym z powątpiewaniem. – Pan chciał o coś spytać? – zwrócił się do szczupłego studenta, którego ręka wystrzeliła w górę.

– Czy pan doktor może nam pokazać zdjęcia już zagojonych ran? Sam pan uczył, aby wszelkie słowa popierać dowodami – dodał, kiedy wkoło wybrzmiały głosy oburzenia.

– Słusznie. Mam jednak coś lepszego niż zdjęcia – Pokiwał głową i zwrócił się do woźnego: – Keatonie, proszę wprowadzić Johna Netwona.

Chłopiec wszedł na salę pewnym krokiem. Utykający woźny stanowił przy nim dziwny widok. Joseph Lister zszedł z katedry.

– Dzień dobry, John – przywitał się z chłopcem.

– Dzień dobry, sir. – Ten ukłonił się uprzejmie.

– Czy byłbyś tak uprzejmy i pokazał nam swoją nogę?

Chłopiec skinął głową i odsłonił nogawkę. Oczom zebranych lekarzy i studentów ukazała się gładka noga bez bodaj śladu zadrapania.

– Wszystko ze mną w porządku, sir. – John uśmiechnął się szeroko.

Rozległy się śmiechy, a potem głosy pełne oburzenia. Gdzieś w tle padło „oszustwo”.

– John – Lister zwrócił się do chłopca – dowcipniś z ciebie.

– Przepraszam, sir. – Chłopiec z udawaną skruchą opuścił głowę, a następnie podciągnął drugą nogawkę.

Głosy oburzenia ucichły. Podudzie chłopca było pokryte zagojonymi bliznami.



– Stary dobry smród chirurgiczny, tak? – spytał zdenerwowany Lister. – Nie u mnie na oddziale, mój drogi.

– Daj spokój, Lister. – Welldone spojrział na Josepha z politowaniem w oczach. – Śmieszny jesteś z tym myciem rąk i całym cyrkiem, jaki każesz robić przed operacjami.

Joseph zacisnął ręce w pięści. Nie pozwoli, aby ktokolwiek kwestionował jego polecenia.

– Ach tak? – spytał spokojnie. – Jestem śmieszny?

Edward Welldone pokiwał głową i wytarł ręce w sztywny od brudu fartuch.

– Czy ty wiesz, z czego najbardziej dumny był mój ojciec? – spytał.

Joseph nie odpowiedział. Ojciec i dziadek Welldone’a byli chirurgami. Prawdopodobnie wykonywali operacje bez znieczulenia, na czas: amputowali kończyny w mniej niż trzy minuty albo otwierali i zamykali powłoki brzuszne w pięć minut.

– Pewnie nie jesteś ciekaw, ale ja ci powiem – kontynuował Edward. – Mój ojciec mówił: im brudniejszy fartuch, tym bardziej cię cenią, synu, bo masz większe doświadczenie.

W Josephie wzbierała złość. Mimo to siedział i słuchał bzdur, jakie wyrzucał z siebie zadowolony Welldone.

– Najgorsi są ci z czystymi fartuchami – przekonywał – bo wiadomo, że nikt nie korzysta z ich usług. Ojciec nawet doradził takiemu jednemu początkującemu, żeby fartuch, proszę ja ciebie, juchą zwierzęcą wysmarował, że niby to, wiesz, taki doświadczony w operacjach.

– Dość tego, Edwardzie – przerwał mu Lister. – Nie obchodzi mnie, co robił twój ojciec, dziadek czy pradziadek. Teraz pracujesz pod moim kierunkiem. Albo będziesz stosował się do zasad, albo poszukaj sobie innego zajęcia.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Na ustach Welldone’a błąkał się uśmiezek.

– Całkiem poważnie – odparł surowym tonem Lister. – Zadałem sobie trud i prześledziłem powikłania po wykonanych przez ciebie zabiegach. Umiera ci siedmiu na dziesięciu pacjentów.

– No... – Uśmiech znikł z twarzy Welldone’a. – Ale operacje się udały.

– Tylko pacjent nie przeżył – ironizował Lister. – Doprawdy, gratuluję sukcesu.

– Tak zawsze było – niepewnie odezwał się Welldone. – Nasz fach jest wyjątkowy, ale nie możemy wygrać z naturą.

– Owszem – zgodził się Joseph. – Tak było. Ale teraz tak nie będzie. Moi pacjenci przeżywają. Umiera jeden na dwudziestu operowanych, i to nie na powikłania związane z gorączką.

Welldone stał z niepewną miną. Lister wycelował w niego palec.

– Możemy postawić tezę, że jestem lepszym chirurgiem, chociaż ani mój ojciec, ani mój dziadek nie byli związani z medycyną – Joseph wyrzucał z siebie słowa w skrajnym zdenerwowaniu.

Welldone pojął, że sam zapędził się w kozi róg.

– Albo możemy przyjąć, że jesteś świetnym chirurgiem, ale nie stosujesz się do zasad aseptyki, dlatego pacjenci padają ci jak muchy – kontynuował Lister. – Innymi słowy, czy jesteś wart swojego nazwiska, Edwardzie?^[9]

Welldone przełknął ślinę.

– To jak będzie, Edwardzie? – spytał. – Może zrobimy mały chirurgiczny pojedynek? Tylko my dwaj. Kto jest lepszym chirurgiem. Co ty na to?

Joseph widział, że Edward Welldone bije się z własnymi myślami.

– Dobrze – powiedział wreszcie Welldone. – Nikt mi nie powie, że jestem gorszy od... Będę mył ręce, jeśli to dla ciebie takie istotne.

– Dziękuję, stary. – Joseph się uśmiechnął. – I noś czysty fartuch. Nie musisz podkreślać brudnym swoich umiejętności. Wszyscy wiedzą, jak biegłym jesteś chirurgiem.

Welldone kiwnął głową.

– I co jeszcze? Może mam rozpylać ten kwas w sali operacyjnej? – burknął.

– Nie musisz sam tego robić, poproś pielęgniarza.

Joseph Lister lubił mieć ostatnie słowo.



– Rozpylanie kwasu karbolowego jest problematyczne! – grzmiał jeden ze starych chirurgów. – Jeden z moich pacjentów niemal stracił oko!

– Niech pan nie przesadza, Longline – zbył go Lister. – Przy opryskach kwasem należy uważać na błony śluzowe. Kwas faktycznie może je podrażniać. Dlatego okolice oka i ust lepiej przemywać roztworem o małym stężeniu kwasu, a nie je spryskiwać. Zgadzam się, że kiedy roztwór dostanie się do dróg oddechowych, może je podrażniać.

– Kazał pan nasączać bandaże kwasem! – odezwał się ktoś inny. – Wypalają na skórze rany!

– Trzeba właściwie przygotować roztwór – tłumaczył cierpliwie Lister. – Nie może przekraczać pięcioprocentowego stężenia kwasu. Bandaże też nie mogą ociekać karbolem, tylko muszą być spryskane. Wtedy skóra nie będzie podrażniona, a drobnoustroje znikną.

– Ale to niepotrzebne! – upierał się starszy lekarz, Dalton.

– Niech pan porówna śmiertelność u mnie oraz na pańskim oddziale! – Lister, co mu się rzadko zdarzało, podniósł głos. – Znacząco się różnią!

– Pan operuje łżejsze przypadki! – przekonywał Dalton. – Dlatego ma pan mniejszą śmiertelność!

Lister ledwo kontrolował gniew.

– Niech pan zawita do mnie na oddział, wtedy zobaczy pan te lżejsze przypadki! – krzyknął. – Tylko uprzedzam pana! Nie pozwolę panu wejść bez umycia rąk i twarzy oraz bez czystego fartucha.

Kiedy wychodził, żegnał go śmiech.



– Czasem się zastanawiam, po co mi to wszystko – powiedział wieczorem do żony, po tym jak opowiedział jej ze szczegółami o starciu ze szkockimi chirurgami.

– Masz na myśli swoją walkę z zarazkami czy z ludźmi? – Agnes się uśmiechnęła.

– Z ludźmi oczywiście. Zarazki walczą uczciwie.

Kobieta się roześmiała. Bardzo lubił, kiedy żona się śmiała. Świat stawał się wtedy jaśniejszy.

– Mógłbym przestać propagować swoje poglądy i w milczeniu cieszyć się, że na moim oddziale śmiertelność jest znikoma.

– Mógłbyś – zgodziła się żona, krojąc pieczyście. – Ale wiesz, że masz rację, i chciałbyś, aby twoja wiedza wykorzystywana była w innych szpitalach.

– Tak – zgodził się. – Pojąć nie mogę, skąd taki opór.

– Szkoci. – Agnes westchnęła głęboko. – Stare pieniądze, stara szkoła, stare metody. Boimy się nowoczesności jak ognia. A poza tym, Josephie, mieliby posłuchać Pasteura? Francuza? Który w dodatku nie jest lekarzem, tylko chemikiem?

Lister uśmiechnął się słabo.

– Czasem nie mam już siły walczyć. Znów odrzucono mój artykuł.

– Jeśli to „Lancet” go odrzucił, po tym jak cię tam zaatakowano...

– Wyszadzono mnie – uściślił. – Ostrzeżono przede mną świat lekarski!

– Ale nieopatrzenie użyto słowa „postępowe”. Ostrzeżono świat lekarski przed twoimi „postępowymi działaniami”. – Agnes się zaśmiała, ale zaraz

spoważniała. – Josephie, wiem, że cię to boli, ale nie chcę, żebyś skończył jak Semmelweis.

– To co mam robić? – spytał. – Poddać się?

– Oczywiście, że nie – powiedziała stanowczym tonem. – Przecież wiem, że masz rację. Po prostu rób swoje i ciesz się z każdego przekonanego.

Spojrzał na żonę z wdzięcznością.

– To może przestanę już wygłaszać wykłady w Leeds? – Joseph wzdrygnął się na samo wspomnienie spotkania British Science Association w Leeds. Tych szyderstw nie zapomni do końca życia.

– Uważam, że to słuszna decyzja. – Agnes westchnęła z ulgą. – Kilku już przekonałeś, zatem niech inni robią co trzeba. Na przykład ten konsultant z University College Hospital. Jak on się nazywał?

– Marcus Beck. – Joseph uśmiechnął się. – Wdraża u siebie zasady, które opracowałem. Poza tym przygotowuje podręcznik chirurgii i poprosił mnie o napisanie rozdziału. Ma tak wysoką pozycję, że na pewno pozwoli mu go opublikować – uspokoił żonę, bo na jej twarzy zobaczył cień powątpiewania.

– To cudownie, kochany. – Agnes dołała mu wina. – Co za ulga.

– Nie powiem, że nie przemycił moich zaleceń wśród innych informacji. – Joseph uniósł kieliszek z winem i figlarnie się uśmiechnął. – Także tych, które opracowałem dzięki tobie.

Agnes była tak zdumiona, że odstawiła wino i pochyliła się w jego stronę.

– O czym ty mówisz? Pomagam ci jak mogę, ale nie mam żadnych zasług na polu chirurgii. Przygotowuję preparaty, opisuję to, co widzę pod mikroskopem, zapisuję twoje słowa. Owszem, badania mikroskopowe to moje królestwo, ale chirurgia?

Joseph zupełnie się z nią nie zgadzał. Agnes pracowała z nim ramie w ramie, nie szczędząc sił. To jej zawdzięczał nowe techniki wykonywania szwów chirurgicznych, które zasugerowała mu na podstawie swoich haftów. Poza tym jej miłość i oddanie rekompensowały mu wszystkie przykrości, jakich doznawał od grona lekarskiego.

– Szwy – przypomniał jej.

Machnęła ręką.

– Nie ma nic łatwiejszego dla kobiety niż zabawa z nitką i igłą. Ty po prostu jesteś pierwszym chirurgiem, który zainteresował się tamborkiem żony.

– Kropki na twoich wyhaftowanych biodronkach mnie ujęły.

– Nie kropki, tylko to, jak można je wykonać bez odwracania całego haftu – przypomniała. – Przecież nie odwrócisz naczynia krwionośnego, aby je zszyć.

– I podwiązywanie tych niteczek w hafcie mereżkowym – wymieniał dalej.

– O tak – zgodziła się. – W taki sam sposób zdecydowałeś się podwiązywać naczynia, ale przestałeś robić to zwykłą nicią, prawda?

– Prawda. Nić jest zbyt ostra. Przecinała naczynia i chory wykrwawiał się na śmierć. Jeśli jednak podwiązywałem zbyt słabo, nie tamowałem dostatecznie krwi i skutek był ten sam.

Przywołał w pamięci rozmowę z Marcusem Beckiem.

– To genialne, doktorze. – Beck wpatrywał się w niego jak w obraz.

Joseph Lister daleki był od fałszywej skromności.

– Szew z katgut – mówił Beck z uniesieniem. – Cieniutkie, specjalnie wypreparowane włókno kozie do szwów wewnętrznych. Spajamy wewnętrzne tkanki, one się zrastają, a szwy, jako że są naturalnym biologicznym materiałem, wchłaniają się.

– Właśnie tak – potwierdził Lister. – Zwykłe szwy nie nadają się do zszywania tkanek wewnątrz ciała. Zostają tam na zawsze, w najlepszym wypadku tworząc zrosty, a w najgorszym ropiejąc.

– Próbowałem też podwiązywania aorty gumową opaską. Wielce ryzykowne, ale się udało. Uwierzy pan, że chory z tętniakiem przeżył?

– Uwierzę, bo mnie też się to udało. Tu akurat przydają się szybkie techniki operacyjne. Między podwiązaniem tak dużego naczynia a wykonaniem wszelkich innych działań nie może upłynąć więcej niż minuta.

– Ale gdyby nie gumowa opaska, nic by z tego nie wyszło.

– To prawda – przyznał Lister. – W tym wypadku katgut jest zbyt słaby i się ślizga. Guma jest najodpowiedniejsza.

– Tak – zgodził się Beck, a ponieważ mógł z Listerem dyskutować w nieskończoność, podjął inną interesującą go kwestię. – Czytałem pana artykuł o pozostawianiu drenu w ranie pooperacyjnej. Chylę czoła, doktorze.

Lister kiwnął głową w podziękowaniu. To odkrycie zawdzięczał Syme'owi, swojemu teściowi. Syme, ginekolog, przy pierwszych operacjach wykonywanych na macicy stosował się do obowiązujących zaleceń i nie zszywał powłok wewnętrznych, a jedynie zewnętrzne. Skutkiem były zrosty i koszmarnie cierpienie pacjentek.

– Pomyślałem, że trzeba by zrobić odwrotnie: zamknąć powłoki wewnętrzne, a zewnętrzne pozostawić otwarte.

– A ponieważ pacjent nie może leżeć z ziejącą jamą ciała, zdecydował się pan na dreny.

– Tak jest – potwierdził Lister. – Gumowe rurki, które odprowadzają gromadzące się płyny. Kilka dni po operacji można je wyjąć.

Przypomniał tę rozmowę żonie.

– Wszystko to znajdzie się w podręczniku? – spytała.

Potwierdził.

– Także wzmianka o twoim ojcu.

– Byłby z ciebie dumny – powiedziała z czułością.

– Z ciebie również, moja droga. – Lister uniósł kieliszek z winem.

– Zawsze chciał mieć syna, żeby móc przekazać mu swoje doświadczenie chirurgiczne – powiedziała Agnes. – Myślę, że znalazł go w tobie.

Joseph wypił łyk trunku.

– Myślę, że powinnaś zostać lekarzem – orzekł. – Masz ku temu wielkie predyspozycje.

Agnes roześmiała się.

– Nie pozwala mi na to moja pleć, mój drogi – odparła. – Ale jestem zadowolona, ponieważ dane mi jest pracować ramię w ramię z tobą. Nieomalże. Ty na pierwszej linii frontu, a ja na tyłach. W laboratorium oglądam procesy gnilne, opisuję skuteczność karbolu, badam i rysuję zdrowe i chore tkanki... Przecież wiesz, że to kocham. Tak jak i ciebie.

– Ja ciebie też – powiedział z czułością.



– Zwracamy się do pana jako doświadczonego lekarza, prezesa Towarzystwa Klinicznego w Londynie, starszego chirurga w King's College Hospital. Jako że znów pan pracuje na chwałę swojej ojczyzny... – zaczął przemowę doktor Terrence.

Lister spojrział na niego zdumiony.

– Nigdy nie zaprzestałem pracy na chwałę mojego kraju – odpowiedział.

Po śmierci żony prawie nie opuszczał domu, badania straciły dla niego sens, a po udarze mózgu, który przeżył rok wcześniej, już nie operował. Pełnił wprawdzie funkcję nadzwyczajnego chirurga Jej Królewskiej Mości, a po śmierci królowej Wiktorii jej syn Edward utrzymał w mocy ten zaszczyt, ale Lister zdawał sobie sprawę, że posada ma charakter honorowy, a nie rzeczywisty.

– Owszem, pracowałem wiele lat w Edynburgu, ale wróciłem potem do Londynu i pracowałem na chwałę królowej Wiktorii, a teraz następcy tronu – dodał, starając się wyraźnie wypowiadać słowa. Po udarze miał trudności z mową. – Czemu mi pan to przypomina, Terrence?

– Następca tronu Albert Edward potrzebuje pilnej operacji.

– Jakiej to operacji potrzebuje Najjaśniejszy Pan, że posyłacie po matuzalema, w dodatku od lat wyszydzanego i już zapomnianego? – spytał.

– Wyrostek robaczkowy – wyznał Terrence ze zboląłą miną.

– Czy to pewne? – dopytywał Lister. – Na dwa dni przed koronacją księżę Albert Edward dostał zapalenia wyrostka robaczkowego?

Terrence pokiwał głową.

– Jedźmy więc – zdecydował Lister i krzyknął do Lorrie, starej służącej: – Nie czekaj z kolacją! Zjem w pałacu!

Po drodze Lister zagadnął Terrence'a:

– Czemu od razu nie operowaliście, skoro ból jest charakterystyczny, występują objawy otrzewnowe, a chory gorączkuje?

– Najjaśniejszy Pan zażądał konsultacji z naczelnym chirurgiem – wyznał Terrence, nie patrząc na Listera.

Joseph pomyślał, że gdyby był złośliwy, toby powiedział Terrence'owi, że za każdym razem, kiedy ten musi się do niego odezwać, wygląda, jakby bolały go zęby.

– Wiem, co pan myśli – powiedział nieoczekiwanie Terrence.

– Nie ma pan pojęcia, co myślę – odpowiedział spokojnie Lister.

– Myśli pan, że stanęło na pańskim. Że musimy przyznać, że to pan jest z nas najbardziej doświadczony i najgodniejszy, żeby operować Najjaśniejszego Pana.

– Nie zgadł pan, niestety – odparł Lister spokojnym tonem. – Pomyślałem, że chyba bolą pana zęby.

Resztę drogi przebyli w milczeniu.

– Najjaśniejszy Panie. – Lister zbliżył się do łóżka gorączkującego Alberta Edwarda.

Pielęgniarka czuwająca nad przyszłym królem Anglii odsunęła się i stanęła w pełnej szacunku pozie.

– Witaj, Lister. – Księżę próbował się uśmiechnąć. – Najserdeczniejsze wyrazy współczucia z powodu śmierci twojej żony. Nie miałem wcześniej okazji...

– Nic nie szkodzi. – Lister poczuł ból w piersi na wspomnienie ukochanej Agnes. – Zmarła podczas wakacji. Niemalże siłą ją nakłoniłem do wyjazdu. Chciałem, żeby odpoczęła.

– Przykro mi – wyszeptał przyszły król Anglii.

– Mnie też, ale dość już o mnie. – Wziął księcia za rękę i zmierzył mu puls.

– Chyba ze mną źle, Lister. – Księżę próbował się uśmiechnąć.

– Ponad czterdzieści stopni gorączki – wyszeptała pielęgniarka.

– I bardzo boli. Żadne środki nie pomagają – dosłyszał cichy głos następcy tronu.

Lister odsłonił kołdrę i przystąpił do szybkiego badania. Brzuch był twardy i bolesny. Chirurg nacisnął dół biodrowy, miejsce, gdzie znajdował się wyrostek, a potem cofnął rękę. Książę wrzasnął z bólu. Królewscy medycy nie mylili się. Następca tronu miał ostre zapalenie wyrostka. Wyrostek prawdopodobnie już pękł, a płyn wlał się do otrzewnej, powodując stan zapalny w całym brzuchu, stąd temperatura i nieznośny ból.

– Niedobrze z Waszą Wysokością – powiedział do Alberta Edwarda. – Trzeba natychmiast operować. Inaczej zasiądzie pan na tronie obok waszej świętej pamięci matki.

– Ty mnie pokrój, Lister... – wyszeptał przyszły król. – Te konowały mnie zabijają.

– Jestem po udarze, ale będę przy Waszej Wysokości cały czas – zapewnił go. – I dopilnuję, aby sala operacyjna była czysta, a wszyscy obecni umyli ręce.

– Dobrze, w takim razie zgadzam się. – Ledwo dosłyszał szept Alberta Edwarda.

– Terrence, niech mnie pan prowadzi do sali operacyjnej – zarządził Lister bez zbędnych formalności.

Królewski chirurg skinął głową. Tak szybko, jak tylko pozwalało Listerowi nadszarpięte po udarze zdrowie, znaleźli się w skrzydle szpitalnym. Lister rzucił okiem na rozłożone narzędzia i płótna potrzebne do operacji.

– Jak długo narzędzia i płótna tu leżą? – spytał.

– Od wczoraj, sir – odpowiedziała z szacunkiem pielęgniarka.

– Włożyć narzędzia do gorącej wody, płótna dać nowe – polecił. – Natychmiast. Całe pomieszczenie, łącznie z łóżkiem, na którym będzie leżał książę, umyć kwasem karbolowym. Przetrzeć pomieszczenie roztworem wody i kwasu karbolowego.

– A tymczasem król umrze – rzucił z przekąsem Terrence.

– Umrze, jeśli pan przed operacją nie umyje rąk i nie założy czystego fartucha – stwierdził stanowczo Lister. – Obiecałem królowi, że nie pozwolę mu zejść z tego świata w wyniku powikłań pooperacyjnych, i słowa dotrzymam.

Wprowadzono sprzątającą i pouczono ją, co ma robić.

– Szybko – ponaglił Lister Terrence’a. – Nie mamy czasu.

Mężczyzna westchnął i zaczął myć ręce. Tymczasem wwieziono króla. Instrumentariuszka wniosła czyste narzędzia.

– Niech pani również umyje ręce i dokładnie natrze je karbolem – polecił jej. Instrumentariuszka spojrzała na Terrence’a, a ten kiwnął głową.

– Spryskajcie karbolem całą salę i możecie zaczynać – powiedział Lister i zwrócił się do pacjenta: – Mam nadzieję, że Wasza Wysokość zaprosi mnie na koronację.



„Wiem, że gdyby nie ty i twoja praca, nie siedziałbym tutaj dzisiaj” – tymi słowami zwrócił się do Listera król Edward VII, ojciec dwóch kolejnych królów Anglii – Edwarda oraz Jerzego, uznając tym samym jego słusność w walce o przestrzeganie zasad aseptyki w salach zabiegowych. Działalność Listera dała przykład innym lekarzom, doprowadziła do zmniejszenia liczby infekcji pooperacyjnych i uczyniła operacje bezpieczniejszymi dla pacjentów. Określano go mianem „ojca nowoczesnej chirurgii”. I chociaż Lister poznał pionierskie prace Semmelweisa dopiero dwadzieścia lat po opublikowaniu swojej „rozprawy przeciwgnilnej”, oficjalnie uznał jego pierwszeństwo.

ROZDZIAŁ V

w którym przeczytamy, jak wyglądały początki praktyki lekarskiej Anny i Grażyny, doświadczymy razem z nimi nędzy ludzkiej, brudu i krwi. Zobaczymy, czy uda się ocalić życie pewnemu chłopcykowi, którego matka zamarzła w zimną noc, i wraz z Konradem Dobrskim spędzimy noc na dyżurze lekarskim u boku żony.

Anna siedziała z Grażyną w gabinecie lekarskim, w którym praktykowały od kilku miesięcy. Początkowo znalazły lokum blisko ich miejsca zamieszkania, ale okazało się zbyt drogie i Anny nie stać było na wynajem. Właścicielka, kiedy usłyszała, w jakim celu Anna chciałaby wykorzystać mieszkanie, przeżegnała się kilka razy i rzuciła tak wysoką sumę, że grzecznie podziękowały.

– I dobrze – powiedziała Grażyna, kiedy wyszły. – Nikt by tu nie przyszedł. Bogaci pójdą do lekarzy pokroju mojego wuja Gracjana, specjalisty chorób kobiecych, ale nie takich, o jakich myślisz. A biedni nigdy tu nie trafiają.

Anna musiała się z nią zgodzić. W kolejnych tygodniach oglądały jeszcze kilka mieszkań, ale na żadne się nie zdecydowały, z różnych powodów. Niektóre były zbyt wystawne, inne znów za małe, bez zaplecza sanitarnego, które dla Anny stanowiło warunek podstawowy, bo od początku zakładała, że w gabinecie muszą być bieżąca woda i toaleta.

– Wynajmujący nie chcą z nami rozmawiać, bo jesteśmy kobietami – powiedziała Grażyna, kiedy rozczarowane opuszczały kolejne mieszkanie. Właściciel sądził, że panienki przyszły, żeby osobiście obejrzyć lokum, w którym jedna z nich będzie mieszkała po ślubie, i uparcie namawiał je, aby „nie zaprzętały sobie ślicznych główek rachunkami i pytaniami, tylko przysłały tu męża albo narzeczonego”.

– Masz rację – powiedziała Anna, która usilnie starała się wywrzeć na wynajmujących wrażenie poważnej i kompetentnej osoby. – Nie wiem

dłaczego. Przecież w Zurychu nikt nie pytał o męża, chociaż byłam studentką, a konsjerżkę interesowało tylko to, czy będę regularnie płacić czynsz. A w Petersburgu Natasza Nikołajewna wprawdzie założyła, że przyjechałam do narzeczonego czy tam brata, ale wzięła ruble z góry i cieszyła się, że ma takie spokojne lokatorki.

– Trzeba przyjąć pomoc ojca – zdecydowała Grażyna, która już kilkakrotnie napomykała Annie, że same wiele nie zwojują.

Od tej chwili w wędrowce towarzyszył im zatem pan Korzyński, co okazało się dosyć niezręczne, bo niby chciał pomóc, a w konsekwencji opóźniał podjęcie decyzji, a czasem zwyczajnie przeszkadzał. Patrzył na miejsce, w którym miały praktykować, nie jak lekarz, tylko jak bogaty i uznany doktor, który wierzy, że kiedy tylko powiesi mosiężną tabliczkę z nazwiskiem na drzwiach, rzesze chorych natychmiast ruszą, aby szukać tam ratunku. Słowem – wolał, aby jego córka i jej przyjaciółka praktykowały w eleganckiej dzielnicy. Wyraźnie nie dopuszczał do siebie myśli, że Anna i Grażyna chciały zostać lekarkami ubogich, pragnęły pomagać tym, którzy tego rzeczywiście potrzebowali, a nie mieli na to środków. Znalazł na przykład lokal na tyłach Krakowskiego Przedmieścia i postawił sobie za punkt honoru, że umieści w nim krnąbrną córkę i jej naiwną przyjaciółkę. Miejsce było zupełnie nieodpowiednie, wchodziło się z bramy, pokonywało wewnętrzne podwórze i jeszcze jedną klatkę schodową, następnie należało wejść na piętro, przejść kilka krętych korytarzy, aby wreszcie znaleźć się w obszernym apartamencie.

– Tatku, to nie dla nas – powiedziała Grażyna, kiedy niejaka hrabina Lichocka pokazała im mieszkanie. – Nikt tu nie trafi.

Lokum było spore, ale nie było w nim bieżącej wody, choć hrabina napomknęła, że w podwórzu jest studnia.

– Nam jest potrzebna bieżąca woda, bo jesteśmy lekarkami – burknęła Grażyna niezbyt grzecznie.

Hrabina wyraźnie nie zrozumiała, co ładniejsza z panien ma na myśli, bo spojrzała na Annę i spytała:

– A co tu ma się odbywać? Myślałam, że państwo szukają mieszkania.

– Nie będziemy tu mieszkały, tylko prowadziły praktykę lekarską – powiedziała Anna do hrabiny, a tej oczy wyszły z orbit niczym psu z bajki Andersena.

– Lekarki? – Wypowiedziała to takim tonem, jak by mówiła „czarownice” albo „żołnierki”. Widać było gołym okiem, że powstrzymała się, aby się nie przeżegnać.

– Tak, lekarki – powiedziała Anna. – Szukamy odpowiedniego lokum na praktykę. Brak bieżącej wody to spora przeszkoda.

– Naprawi się pompę, a do tej pory za niewielką opłatą któryś ze studentów przyniesie wodę – przekonywała hrabina, która najwyraźniej uznała, że Anna i Grażyna nie będą przysparzały kłopotów i zalegały z opłatami jak większość młodych najemców.

– Właśnie. – Korzyński pokiwał głową. – Nie będziecie tu przecież spały, tylko spędzały kilka godzin w ciągu dnia, a i to nie zawsze.

Anna pokręciła przecząco głową.

– Może się okazać, że zatrzymamy pacjenta na noc, i wtedy będziemy musiały być przygotowane na to, aby tu nocować.

– Chcecie otworzyć szpital? – spytał przerażony.

– Nie, panie doktorze – zaprzeczyła Anna. – Musimy tylko wziąć pod uwagę, że nie każdy pacjent po opatrzeniu będzie mógł udać się do domu.

– Może nie mieć domu – powiedziała Grażyna do ojca, a ten chwycił się za serce.

– Są jeszcze szpitale, a te nie odmawiają pomocy – stwierdził, patrząc na córkę z przestrawieniem.

– Będziemy leczyły prostych ludzi. Większość boi się szpitala – wyjaśniła Anna.

– No to poślecie jednego z drugim do przytułku.

– Jeśli będzie mógł wstać i wyjść – upierała się Anna. – Jeśli nie, będzie musiał zostać.

– To jak będzie, panienki i panie szanowny? – Hrabina wyraźnie nie wiedziała, czy pozbyć się dziwacznych panien, czy też namawiać je, aby

zdecydowały się na wynajem.

– To nie dla nas – zdecydowała Grażyna. – Nie ma wody i lokal znajduje się na piętrze. Musi być parter. Nie każdy chory doczłapie po schodach. Notabene schody są spróchniałe, przydałoby się wymienić niektóre deski.

– Będziecie żałować! – pożegnała ich hrabina Lichocka, kiedy opuszczali jej kamienicę.

Korzyński uklonił się hrabinie, po czym odeszli w stronę ulicy, żegnani burknięciami kobiety i zapewnieniami, że żadna porządna kamienica nie wynajmie im lokalu. Bogumił Korzyński wskazał palcem znaną im cukiernię i zaproponował eklerki oraz herbatę, na co przystali z zadowoleniem.

– Czyli zaczniecie od wdrażania nauk Semmelweisa i Listera – powiedział, kiedy przyniesiono herbatę.

– Tak – potwierdziła Anna. – Pierwsze, o co zawalczymy, to aseptyka.

– Będziecie same szorowały podłogi i wyrzucały brudy? – spytał, starając się, aby jego głos był spokojny.

– Dlaczego same? – spytała Grażyna. – Będziemy miały akuszerki od porodów i służące od sprzątania. Dodatkowo wykształcimy pielęgniarki.

– Właśnie byłem świadkiem, jak odmówiłyście, aby studenci nosili wam wodę.

– Odmówiłyśmy hrabinie, bo lokal nie ma bieżącej wody. Sam, tatku, wiesz, że woda być musi.

– Całe życie pracowałem w szpitalu, gdzie wodę pompowało się z podwórza na bieżące potrzeby.

Anna już miała powiedzieć, że to absolutnie nie wystarczyło i położnice marły na potęgę, ale się powstrzymała. Doktor Korzyński był jej opiekunem i mentorem. Nie był staroświecki, skoro tak bardzo pragnął, aby jego córka się kształciła.

– Czystość jest kluczowa – wyjaśniła ojcu Grażyna, jakby on sam tego nie pojmował. – Większość chorób rodzi się z brudu. Musimy mieć bieżącą wodę.

– Dlaczego nie chciałyście tego mieszkania? – spytał. – Osobiście bym dopilnował, żeby właścicielka naprawiła pompę. Zgodziłybyście łatwo kilka

osób do służby, które doglądałyby tego miejsca i sprzątały. A studenci to chyba miłe towarzystwo?

Grażyna przewróciła oczami.

– Panie Bogumile, studenci są albo zdrowi, albo biedni. Bogaci do nas nie przyjdą, bo jesteśmy kobietami – argumentowała Anna. – Musimy otworzyć praktykę tam, gdzie jest sporo kobiet. Biednych kobiet. Będziemy mogły im pomóc, nawet jeśli nie będą płaciły.

– A z czego będziecie żyły? – spytał. – Ja oczywiście wam pomogę, ale...

Anna złożyła ręce jak do modlitwy.

– Panie doktorze – powiedziała szybko, dając Grażynie znak, że teraz ona będzie negocjowała. – Pan już tyle pomógł. Przenigdy bym pana nie naraziła na dodatkowe koszty. Nie może nam pan pomagać.

– Nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak wygląda praktyka lekarska – powiedział ze smutkiem.

– Nasza praktyka nie może wyglądać tak jak twoja ani jak wuja Gracjana. My będziemy robiły co innego – upierała się Grażyna mimo znaków Anny, żeby się nie odzywała. – Wiem, że chciałeś namawiać swoich pacjentów, aby leczyli się u nas.

– Tylko na początku – bronił się Bogumił.

– Nie – powiedziała stanowczo Grażyna. – Musimy być samodzielne. Za nami pójdą rzesze innych, ale wpierv będziemy całkiem same.

– Zaczynamy pracę w szkole akuszerok – wtrąciła szybko Anna. – Udało się poręczyć za Grażynę na tyle, że została kierowniczką tego przedsięwzięcia. Będzie przyuczała kobiety do zawodu i praktykowała u mnie. A ja skupię się głównie na pracy w gabinecie, a w szkole będę prowadziła wykłady.

– Pięknie. – Bogumił spojrział nagle na swoją córkę z uznaniem.

– Z czasem uda się też otworzyć szkołę dla świeckich pielęgniarek.

– To szarytki już nie wystarczą? – spytał Bogumił.

– Nie wystarczą na wszystkie przytułki i domy opieki dla przewlekłe chorych.

– Kto im będzie płacił? – Bogumił był pełen podziwu dla planów obu panien, ale wciąż obawiał się, że bez środków finansowych całe przedsięwzięcie spełźnie na niczym.

– Znajdziemy filantropa – Grażyna ucięła dyskusję.

– Hmm... – mruknął doktor Korzyński, kiedy wychodzili z cukierni. – Możemy spróbować na Chłodnej. Wprawdzie to obrzeża Warszawy, ale...

– Raczej Wola. – Anna uśmiechnęła się do niego z sympatią. – Tam jest mnóstwo fabryk i ubogich rodzin.

Bogumił przystanął, uchylił kapelusza jakiemuś jegomościowi, a następnie westchnął z rezygnacją.

– Bałem się, że skończycie na Woli. Żeby chociaż na Pradze. To dynamicznie rozwijająca się dzielnica. A Wola? Mój Boże.

– Wiem, co chce pan powiedzieć. Że to niebezpieczne rejony, że jesteśmy samotnymi kobietami i nie damy sobie rady.

Korzyński pokiwał głową.

– Oj, tatku. – Grażyna pogładziła go po ramieniu. – Wiem, spodziewałeś się, że moja praktyka będzie wyglądać tak, że pacjentki będą u mnie zamawiać ziółka i pytać mnie, gdzie szyję suknie.

– Ostatnio ubierasz się bardzo skromnie. Nawet matka to zauważyła. Czy to w związku z twoim nowym... – Przerwał, bo zdał sobie sprawę, że jednym z powodów, dla których jego córka zarzuciła wystawne suknie, może być chęć dopasowania się do Anny, której suknie były wyjątkowo ubogie i znoszone.

– Nie jestem panną na wydaniu – odpowiedziała Grażyna. – Nie martw się, tatku.

– Dobrze zatem – mruknął Bogumił, nie wdając się w dyskusję na temat słów „panna na wydaniu”. – Polecę zaufanemu człowiekowi coś dla was wyszukać na Woli i dopiero wtedy pójdziemy obejrzeć to miejsce. I wiem, wiem – uniósł rękę, bo widział, że Grażyna już nabiera powietrza, żeby coś dopowiedzieć – ma być bieżąca woda.

Anna z ulgą pokiwała głową. Chciała już wracać do domu, gdyż na biurku czekała na nią korespondencja z profesorem Gravesem dotycząca aspektów

fizjologii gruczołów, które znajdowały się nad nerkami. Przed tygodniem otrzymała również przemiły list od Napoleona Cybulskiego, który opisywał swoje perypetie po jej wyjeździe i zapowiadał powrót do Krakowa. Chciała mu odpisać, bo wielce ją ucieszyła ta deklaracja. Uważała go za wybitnego naukowca i cieszyła się, że będzie praktykował w Krakowie i tam prowadził swoje badania zamiast być „tym Polakiem” w Petersburgu. Trzecia sprawa, która czekała ją w domu i na samą myśl o której oblewała się rumieńcem, to list od Konrada Dobrskiego. O ile odpisanie Gravesowi to była dla Anny pestka, korespondencja z Napoleonem – sama przyjemność, o tyle konieczność odpowiedzi starającemu się o jej uwagę laryngologowi stanowiła dla Anny wyraźną mękę, bo nie potrafiła pisać listów, jeśli nie miały one charakteru wymiany informacji. Dobrski, mimo że naukowiec, snuł w swoich listach rozważania na temat „niebiańskości”, „poświęcenia” oraz „cudowności” Anny, a nawet przytaczał wiersze na potwierdzenie swojego uczucia. Dziewczyna nie wiedziała, co napisać, aby dać mu do zrozumienia, że jego przychyłność jest jej miła, a równocześnie nie chciała tego mówić wprost, aby nie sprowokować kolejnej fali wierszy i pieśni miłosnych.

– A ty co tak posmutniałaś, moja droga? – spytała ją Grażyna.

Anna wymamrotała coś niezrozumiałego, ale przyjaciółka domyśliła się, w czym rzecz.

– Tatku – powiedziała, ignorując fakt, że Anna przytrzymała ją za ramię i prosiła, aby jej nie dokuczała. – Jak mi Bóg miły, szykujemy dla Anny wesele.

– A to jest wreszcie jakaś dobra wiadomość! – wykrzyknął pan Korzyński, a fiakier, który stał nieopodal, zrozumiał, że te radosne okrzyki to wołanie o dorożkę. – Pani Anno, z mężczyzną u boku będzie pani dobrze! Zwłaszcza z takim jak Dobrski!

– Z mężczyzną u boku... – powiedziała do siebie, kiedy już leżała w łóżku. – Może tak należy na to patrzeć. Że to nie ja będę przy nim, tylko on przy mnie. No i mówią, że to dobry człowiek. Tylko czemu tyle tych wierszy pisze...

Ani się spostrzegła, jak zasnęła.



Anna nigdy nie dowiedziała się, kim był zaufany człowiek pana Korzyńskiego, ale musiała przyznać, że wybrał idealne lokum. Już miała wylewnie dziękować doktorowi, kiedy zorientowała się, że doktor nie podzielał jej entuzjazmu i mruzczał coś o strasznej okolicy.

– Mieszkanie jest dla nas doskonałe – zachwycała się Grażyna, która miała takie same odczucia jak Anna. – Miejsce też.

Bogumił Korzyński złapał się za głowę.

– Dam ja temu nicponiowi reprimendę – mówił. – Chociaż to i moja wina. Tłumaczyłem, jak lokum ma wyglądać, a nie wspomniałem o okolicy.

– Panie doktorze – wtrąciła Anna. – Mieszkają tu biedni ludzie. Tego chcieliśmy. Nieopodal są dwie fabryki i duży magiel. W okolicy żyje sporo osób, którym możemy pomóc.

– Właściciele fabryk zajmują eleganckie mieszkania bliżej ogrodów warszawskich. – Grażyna się uśmiechnęła. – W takiej kamienicy jak nasza mieszkają majstrowie czy pracownicy fabryk wyższego szczebla z rodzinami. Damy sobie tu radę.

– Mieszkają tutaj ludzie nie tylko biedni, ale też... – Bogumił szukał właściwego słowa, aż w końcu wyrzucił z siebie: – ...zdesperowani. Będą próbowali was okraść, może nawet zrobić krzywdę. Nie macie pojęcia, czym jest ludzka nędza.

– Nie. – Anna nie mogła się z tym zgodzić. Wprawdzie wiedziała, jacy bywają ludzie, i nie kierowała nią naiwność, a już w żadnym razie nie romantyzm. – Nic złego nam się tu nie stanie. Umyśliłam, jak temu zaradzić.

– Mianowicie? – spytał Bogumił Korzyński z ciekawością, choć jego mina wyrażała przekonanie, że Anna Tomaszewicz jest jednak bardzo naiwna.

– Powiemy mieszkańcom, kim jesteśmy. Zaprosimy do nas, do naszego gabinetu, poinformujemy o tym, że jesteśmy lekarkami. Większość z nich nie widziała doktora na oczy, będzie im wszystko jedno, jakiej jesteśmy płci. Myślę nawet, że kobiety będą miały do nas większe zaufanie.

– I przyprowadzą dzieci – powiedziała Grażyna. – Nawet te zdrowe. Uczono nas o tym. Tak będziemy się nimi zajmować, aby zapobiec chorobom.

Bogumił nie mógł powstrzymać oburzenia.

– Ale ci ludzie nie będą zdrowi! Co ty mówisz, dziecko?! Będą mieli gruźlicę, wrzody, straszne choroby, które mogą być dla was zabójcze – wykrztusił, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że jego kochana córeczka ubrudzi sobie ręce. – Czy wy wiecie, co znaczy taka praktyka?

– Tato. – Wzrok Grażyny był pełen dezaprobaty. – Anna jest lekarzem, ja muszę jeszcze zdobyć doświadczenie, żeby przystąpić do egzaminów. Jestem jednak pewna tego, co chcę robić. Dzięki niej. – Pokazała palcem przyjaciółkę.

Anna wtuliła głowę w ramiona. „Teraz pan Korzyński pożałuje wsparcia, które mi okazał”, pomyślała.

– Panie doktorze... – zaczęła, ale Bogumił uniósł rękę, więc natychmiast umilkła.

Korzyński stał chwilę w skupieniu, a jego twarz wyrażała napięcie. Wreszcie powoli uniósł wzrok i skierował go ku Annie.

– Widzę, że pani wszystko przemyślała – powiedział wolno. – Naprawdę przemyślała.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Jeszcze w Petersburgu myślałam, jak zorganizować swoją przyszłą pracę. Panie doktorze – zwróciła się do niego błagalnym tonem – mnie nie jest pisana elegancka praktyka. Ja chcę leczyć biednych. Jestem o tym przekonana od samego początku.

– A twoja praca naukowa? – Bogumił w jednej chwili przestał się do niej zwracać per „pani”. – Dziecko, powinnaś pracować w szpitalu i prowadzić badania. Grażyna także. Ja marzyłem o innej przyszłości dla was, dla ciebie, Grażynko.

– Ja już raczej do tego nie wrócę, chyba żeby pomóc Annie – wtrąciła Grażyna.

Anna przyprowadziła go do okna. Pokazała mu snujące się po ulicy dzieci, sprzedającego mleko z bryczki, węglarza ładującego węgiel do piwnicy.

– Tu jest prawdziwe życie. Ważne, piękne w swojej brzydocie. Gdybym chciała leczyć eleganckie damy, pojechałabym do Bostonu. Gdybym chciała pozostać przy pracy naukowej, nie opuściłabym Zurychu. Nikt mnie stamtąd nie wyganiał.

Kątem oka zobaczyła, jak Grażyna spuszcza głowę, i pożałowała swoich słów.

– Jak sobie poradzicie, gdy ktoś będzie chciał was napaść? – spytał wreszcie Korzyński. – Albo okraść?

– Nie będziemy miały morfiny, ta jest dostępna tylko w szpitalach, więc ukraść nie będzie co. Gdyby nas ktoś chciał napaść, wezwiemy pomoc – odpowiedziała Anna, która wcześniej przemyślała już te kwestie.

– Kogo? – spytał Bogumił, patrząc to na jedną, to na drugą.

– Zatrudniłyśmy do tego człowieka – powiedziała. – Kasia, moja służąca, go znalazła. To były stróż prawa, który popadł w konflikt, cóż, z prawem właśnie – wyjaśniła Anna. – Teraz będzie nas chronił. Już go zgodziłam. Zamieszka tu i będzie służył nam pomocą.

– Co zrobił? – Jej słowa nie uspokoiły doktora Korzyńskiego.

– Nic takiego – zapewniła go. – Nikomu nie wyrządził krzywdy.

Nie chciała przyznać, że Leon miał na sumieniu bójki z bandziorami, z którymi prowadził nielegalne zakłady. Wierzyła, że ludzie się zmieniają. Nie chciała opowiadać panu Korzyńskiemu, w jakich okolicznościach poznała Leona, ale była pewna, że to właściwy człowiek, który zapewni im bezpieczeństwo.

Grażyna domyśliła się, że zaraz padnie pytanie o referencje Leona, więc powiedziała szybko:

– Zatrudnimy trzy dochodzące położne, które będziemy przyuczać do zawodu pielęgniarek. Mamy także zamiar wybrać spośród mieszkanek kamienicy kobiety, które zechcą u nas sprzątać i gotować.

– Rozumiem – powiedział wolno Bogumił. – I nie wiem, czy mogę wyrazić zgodę.

– Jestem dorosła, tato, i czy ci się to podoba czy nie, biorę odpowiedzialność za to, co tworzymy – dodała Grażyna. – Nie możesz mi

niczego zakazać! – Ciskała oczami gromy.

– Panie doktorze – wtrąciła szybko Anna, chcąc zdusić w zarodku potencjalny konflikt. – Nasz policmajster to najlepszy człowiek pod słońcem, łagodny jak baranek, ale ma muskuły jak wilk i będzie nas bronił jak lew. Ja mu matkę wyleczyłam, a on z wdzięczności będzie tu mieszkał i pracował.

Bogumił skapitulował. Spytał tylko, czy może z owym byłym policmajstrem porozmawiać i przekonać się na własne oczy, czy ten człowiek rzeczywiście łączy w sobie cechy baranka, wilka oraz lwa we właściwych proporcjach. A kiedy Anna i Grażyna się zgodziły, powiedział:

– Niech Bóg ma was w swojej opiece. Sam miałem kogoś, kto mnie ochraniał, pilnował, żebym nie wpadł w kłopoty.

– Kogo? – spytała Grażyna.

– Służącego – mruknął doktor Korzyński. – Kogoś więcej niż służącego. Nie żyje od wielu lat.

– Opieka Boska się przyda – zakończyła dyskusję Anna. – Zawsze. Bierzemy od razu.

Niewielkie cztery pokoiki mieściły się w czynszówce na Twardej. Mieszkanko było zbyt skromne, aby wynajęła je szanowana rodzina, nawet niezbyt zamożna, a jednocześnie zbyt wystawne, aby mógł sobie na nie pozwolić ktokolwiek z biednych mieszkańców dzielnicy. Słowem – po długich tygodniach poszukiwań znalazły wreszcie miejsce, w którym zamierzały otworzyć praktykę. Bogumił zaakceptował Leona, byłego policjanta i boksera, obecnie „człowieka interesu”, który wprowadził się do stróżówki. Wśród okolicznych mieszkańców natychmiast poszła fama, że przy Twardej 30 pracują medycynierki, które są niczym siostry miłosierdzia i nie tylko potrafią przyjąć poród, zaradzić na kaszel, ale też nakarmią, umyją i dadzą płyn na pchły i wszy. Pracowały zatem spokojnie, karmiły głodnych, opatrywały rany wyzyskiwanym przez fabrykantów, oglądały spuchnięte nogi praczek i osłuchiwały pełne pyłu płuca węglarzy. Pierwszy pokój przeznaczyły na coś w rodzaju poczekalni, gdzie chory mógł spocząć, jeśli one same były zajęte badaniem kogoś innego. W drugim urządziły pokój badań z dwoma stanowiskami przesłoniętymi parawanem i dwiema szafami. W jednej z szaf znajdowały się wygotowane narzędzia chirurgiczne oraz

lekarstwa w słojach, słoiczkach i opłatkach; w drugiej – czyste prześcieradła, ściereczki, fartuchy oraz zapas karbolu. Karbol był dla Anny tym, czym dla niektórych jest złoto. Czymś niewątpliwie bezcennym, za co warto dać się pokroić albo narobić sobie wrogów, względnie jedno i drugie. Stał się podstawowym środkiem koniecznym do pracy. Zwolniła dwie służące, które stwierdziły, że „nie będą w smrodzie robiły” i są „od inszych czynności”, oraz jedną, która niby sprzątała, ale Grażyna przyłapała ją na wylewaniu środka dezynfekującego do ścieków. Była oburzona, kiedy dziewczyna powiedziała jej, że karbol śmierdzi.

– A szczyny i wymiociny tobie nie śmierdzą? – spytała.

– Przyzwyczajona – burknęła Halcia.

– A do karbolu się nie przyzwyczajasz? – indagowała Anna.

– Nie. – Pokręciła przecząco głową.

Anna spojrzała na bose, brudne stopy dziewczyny i próbowała jeszcze wynegocjować kupno i noszenie butów, ale dziewczyna była uparta.

– Wyniosę się do normalnej roboty – stwierdziła.

– To się wynoś – powiedziała jej Grażyna, która po całej nocy spędzonej przy ciężkim porodzie miała podkowy pod oczami i ledwie stała, a mimo to nie wróciła do ciepłego domu, żeby odespać, lecz przyszła pomóc Annie. Przyjaciółka otworzyła usta, ale doszła do wniosku, że Grażyna ma rację.

– Słusznie. – Wyciągnęła rękę z pieniędzmi, żeby zapłacić dziewczynie za dotychczasową pracę. – Gdybyś zmieniła zdanie, to wiesz, gdzie nas szukać – dodała.

Po minie dziewczyny było widać, że zdania nie zamierza zmieniać.

– Nie żałować wody – mówiła Anna do tych, które się ostały. – Szorować do czysta.

– Powinnaś zaprosić tu swojego Listera. – Grażyna się uśmiechnęła. – Byłby zachwycony.

– Może kiedyś do niego napiszę – stwierdziła Anna. – I powiem mu, jak wielkie znaczenie mają dla mnie jego zalecenia.

– A wiesz, że moja ciotka, ta, co to, wiesz, mieszka w Bostonie, korespondowała z jego ojcem? – spytała nieoczekiwanie Grażyna.

Anna zdumiała się.

– Z ojcem Listera? Tego Listera od kwasu karbolowego?

– Tak. – Grażyna pokiwała głową. – Tylko że on nie był lekarzem, a chyba rolnikiem. Zajmował się optyką i unowocześnił mikroskopy. Szkło achromatyczne czy coś w tym rodzaju, to jego pomysł. Ciotka ma bzika na punkcie mikroskopu. Pracowała jako mikroskopistka w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Przebrana za mężczyznę.

Anna pomyślała, że z ciotką Grażyny połączyłyby ją jeśli nie przyjaźń, to na pewno porozumienie. Ona sama nie miałaby tyle odwagi, żeby się przebierać za mężczyznę, ale jej walka o uznanie i nostryfikację dyplomu miała w sobie coś równie heroicznego.

– A tak, opowiadałaś mi. – Uśmiechnęła się do Grażyny, a potem zwróciła do Anielki: – Bardzo ładnie, moje dziecko, jest prawie tak czysto jak trzeba.

– U pani to tylko „ma być czysto, czysto i czysto” – mruknęła Anielka. – A czyściej to już nie można. – I pokazała Annie rany na rękach od karbolu.

Anna zmartwiła się i zaraz dała dziewczynie maść, a także pouczyła, żeby po myciu opłukiwała ręce dużą ilością wody, najlepiej grzanej, żeby skóra nie pękała i nie bolała. Podobne pouczenie dała innym dziewczętom, także w szkole akuszerek.

W trzecim pokoju urządziły salę zabiegową. Obie miały doświadczenie chirurgiczne, co prawda niezbyt wielkie, ale wystarczające, aby zszyć ranę, nastawić kość czy przeciąć wrzód. Tych ostatnich czynności Anna nie cierpiała, bo wrzody oznaczały ropę, a co za tym idzie – zarazę. Na to była szczególnie wyczulona i zdarzało się jej sprawdzać, czy sprzątające nie mają jakowych ran na rękach, żeby przypadkiem ropa nie dostała się do krwi i nie spowodowała zarazy. Kiedyś zabroniła Grażynie dotykać jednego chorego, który miał na ręku ropiejącą ranę, bo dziewczyna skaleczyła się i miała na palcu niewielkie zadrapanie. Poprosiła wtedy do pomocy Jasię, którą uważała za najzdolniejszą dziewczynę w szkole akuszerek i szykowałą na studia medyczne.

– Trzymaj go, Jaśka, mocniej – nakazała i sama związała chorego, włożyła mu pomiędzy zęby kawałek drewna, chociaż zapewniał, że wytrzyma,

i sprawnym ruchem przecięła wrzód. Ropa trysnęła na stół i fartuch Jasi, a chory zemdłał.

– Tyle juchy – mruknęła Jasia, która ani myślała zemdleć i zaraz zabrała się do wycierania rany, pouczana przez Annę, jakich narzędzi używać i jak wypłukiwać ropę. Kiedy skończyły, chory odzyskał przytomność.

– Jak go zaczniemy szyć, to znów zemdleje – mruknęła Anna i zatopiła igłę w ranie, a mężczyzna ponownie stracił przytomność.

– Pani doktor się nie boi takiego brudu dotykać? – spytała Jasia.

– Nie boję. A ty?

– Dziwię się sobie, ale nie.

– To będzie z ciebie dobry doktor – zapewniła ją Anna.

Jasia pokraśniała.

– Myśli pani, że bym się nadała? – spytała.

– Jestem tego pewna. Jak tylko kobiety będą mogły studiować, pójdiesz na uniwersytet. Już postanowiłam.

Jasia zrobiła powątpiewającą minę.

– Mnie wystarczy akuszerka – powiedziała. – Bo tak prędko to nam nie pozwolą studiować.

– Trzeba mieć nadzieję – odpowiedziała Anna i ucięła nitkę, którą zszyła ranę.

– Zaraz to wszystko wyczyszczę – zapewniła Jasia. – Najpierw jego wymyję, potem brudy spałę, a na końcu siebie wyszoruję.

– Bardzo dobrze – pochwaliła ją Anna. – Kwasu karbolowego używaj...

– Nie na ranę, wiem, bo za głęboka i mógłby spalić tkanki – przerwała jej Jasia.

– Tak. – Anna się uśmiechnęła. – Zalecenia Listera.

– Zalecenia Listera – recytowała Jasia. – Do środka dużo wody, kwas po brzegu, jeśli rana zanieczyszczona, do środka dać zwinięte kawałki płótna nasączone kwasem, uważać, żeby stężenie roztworu nie przekroczyło pięciu procent, wymieniać co trzy–cztery dni.

– Bardzo dobrze, moja kochana – pochwaliła ją Anna.

– Udało się? – spytała Grażyna, która podeszła do stołu operacyjnego.
Anna pokiwała głową.

– Wydaje się, że tak, ale kilka najbliższych dni pokaże, czy nie rozwinie się gangrena.

– Trzeba by porozmawiać z żoną i powiedzieć jej, jak ma mężowi pomóc i jak go myć.

– Na pewno trzeba, tylko żeby uwierzyła – westchnęła Anna.

Połowa nieszczęść brała się z braku higieny, a druga połowa z tego, że pacjenci nie wierzyli, że po zabiegu trzeba dalej się leczyć.

– Powie się jej prawdę, że w przeciwnym razie to mu nogę utną i do widzenia – dodała Jasia. – Ja pójdę. Mnie prędzej posłuchają. Gorzej, że zaraz będzie chciał wrócić do roboty. Ja znam tę rodzinę. Siedem gąb do wykarmienia, a żona zaciążyła ósmy raz. Jak się w fabryce nie pokaże, to wie pani doktor, wyrzucą.

Anna westchnęła. Nie było szans na to, żeby ten człowiek wydobrzeł, zanim będzie musiał wrócić do pracy. I tak dobrze, że do nich trafił i przyjął pomoc. A to pewnie tylko dlatego, że Jasia знаła tę rodzinę i sama namówiła nieszczęśnika, żeby się poddał leczeniu.

– Oni zapłacą – dodała Jasia.

– Nie trzeba. – Anna machnęła ręką. – Skoro tyle dzieciaków tam jest.

– Trzeba, trzeba – zapewniła Jasia. – Oni mają z czego, przynajmniej na razie. Niech pani doktor nie będzie taka, że nie weźmie od nikogo. Musimy na swoje wyjść, bo nas wyrzucą i nikomu pani nie pomoże.

Grażyna natychmiast pokiwała głową na znak zgody z Jasią. W końcu i Anna dała się przekonać.

– Powiedz tej kobiecie, żeby przyszła do nas się zbadać – dodała. – Za darmo. Położnice badamy za darmo.

– Powiem. – Jasia zdjęła brudny fartuch i wrzuciła do kotła, gdzie trzymały brudną bieliznę i materiały, które pod koniec dnia wygotowywały w wodzie z ługiem. Osobno sterylizowały narzędzia, gotując je na kuchni w wykuszu.

– Zbudź tego biedaka, zanim wyjdiesz, dobrze? – poprosiła dziewczynę Anna.

– Sama wiem. – Jasia podeszła do mężczyzny i poklepała go kilka razy po twarzy. – Ziuk! Do domu!

Anna zacisnęła zęby. Wołała, żeby mężczyzna odpoczął kilka godzin, ale doskonale wiedziała, że lżej chorzy muszą opuścić to miejsce, żeby mogła pomóc ciężiej chorym.

– Chodź ze mną – poprosiła ją Grażyna. – Przyprawiono ciężarną, to chyba bliźniaki, bo brzuch wielki i ciężko idzie.

– To ja może nie pójdę do domu, tylko zostanę – rzuciła Jasia, pomagając mężczyźnie wstać z łóżka.

– Idź, my tu sobie damy radę – odpowiedziała jej Grażyna.

– Terenia – Anna zawołała inną dziewczynę ze szkoły akuserek. – Wołaj tę drugą, młodziutką, jak ona się tam nazywa? Poród do obejrzenia.

Teresa natychmiast wstała.

– Józia się nazywa.

– Wołaj Józię do porodu, a Dusia niech dokończy sprzątanie.

Dusia spojrzała z zazdrością na Józię i Jasię. Sama była tylko sprzątaczką, sierotą, która nie miała pieniędzy, żeby się kształcić na akuszerkę. Nie potrafiła czytać, nie chodziła do szkoły. „Trzeba jednak mieć marzenia”, pomyślała, biorąc energicznie kubek z wodą i ścierkę. Pani Anna była dla niej niczym anioł. Gdyby Dusia miała powiedzieć, kim chciałaby zostać, to wskazałaby właśnie tę niepozorną kobietę o niebieskich oczach i złotych puklach, która była najmądrzejszą osobą, jaką Dusia знаła, i pracowitą niczym cała armia prządek.

– Tak jest, proszę pani – powiedziała.

– Dziękuję. – Anna uśmiechnęła się do niej. – Doceniam twoją pracę, moja droga. Kiedy ty sprzątasz po zabiegu, wiem, że można jeść z podłogi.

Dusia aż pokraśniała i zapomniała z wrażenia języka w gębie. A chciała powiedzieć, że ona panią doktor kocha jak matkę, której nie miała, i jej pochwały wiele dla niej znaczą. Nie miała jednak okazji porozmawiać z Anną, ponieważ z sąsiedniego, czwartego pokoju, który był miejscem dla

rodzących, rozległy się krzyki położnicy, a potem nawoływania pani Grażyny, która tak jakby nie była do końca doktorem. I z tych krzyków Dusia wywnioskowała, że pani Grażyna miała rację – dzieciak nie jest jeden, ale ponieważ nie wiedziała tyle co doktor Anna, nie poznała, że to trojaczki. Dusia spojrzała na brudną podłogę i energicznie zabrała się do sprzątanania, bo kto wie, czy zaraz następny tu nie przyjdzie po pomoc. Bywało i tak, że w „akuszerce” ktoś rodził, a jednocześnie w „operacji” medycynierki kimś się zajmowały. Dusia była do tego przyzwyczajona i wiedziała, że w takim miejscu nie ma czasu na odpoczynek. I szczerze mówiąc, odpowiadało jej to.



– Ty nie masz czasu na życie, moja droga – powiedziała Grażyna. – Ciągłe tu siedzisz albo biegasz do szkoły uczyć akuszerki.

– Sama tak robisz, co bardzo doceniam. – Anna uśmiechnęła się do niej.

– Ale ja nie mam narzeczonego – przypomniała jej przyjaciółka. – A ty owszem.

Anna splonęła rumieńcem. Wprawdzie ciężko pracowała, zdarzało się jej nawet doglądać pacjentki w świętą niedzielę, ale nie zaniebdywała Konrada Dobrskiego. Przeciwnie, pracowicie odpowiadała na jego listy, zachwycała się wierszami i żarcikami, które jej przysyłał. Spacerowała z nim po Warszawie, kiedy tylko pozwalał jej na to czas.

– Toż on wie, kogo na żonę chciał – powiedziała cichym głosem i uśmiechnęła się do siebie.

– A kiedy zamierzasz go tutaj przyprowadzić? – spytała Grażyna. – To dziwne, że do tej pory tego nie zrobiłaś.

Anna westchnęła. Bała się, że kiedy Konrad Dobrski przekroczy próg jej gabinetu, przestraszy się jej władczości i zwyczajnie ucieknie. Zwierzyła się z tych obaw przyjaciółce, a ta zaczęła się śmiać.

– Jakby dziś przyszedł, toby nikogo nie zastał.

– Bywają takie dni, ale bardzo, bardzo rzadko – przyznała Anna. – Zwykle nie wiemy, w co ręce włożyć.

– Myślisz, że on nie zdaje sobie z tego sprawy? Przecież sam jest lekarzem.

– Naprawdę nie potrafię ci tego wyjaśnić. – Anna zaczęła skubać guzik u sukienki. – Czasem zastanawiam się, jak taki stąpający w chmurach człowiek może być naukowcem.

Grażyna poklepała ją po dłoni.

– A byłeś w klinice, w której on pracuje?

Anna znów splonęła rumieńcem i pokręciła przecząco głową.

– A powiedziałaś mu, że chciałabyś go odwiedzić w pracy? – indagowała dalej przyjaciółka.

Anna ponownie pokręciła głową.

– A coś mu mówiłaś o naszej pracy tutaj?

Anna westchnęła.

– Kiedy już przestał recytować wiersze, powiedziałam mu, że szkolimy akuszerki i zamierzamy zmniejszyć śmiertelność okołoporodową. I mamy bieżącą wodę.

– I co on na to? – Grażyna starała się zachować cierpliwość.

– Pochwalił, powiedział, że to wielki problem w Warszawie i nie tylko. Dodał, że jako młody adept sztuki medycznej chciał zająć się położnictwem, ale nie znalazłby w sobie tyle determinacji, żeby wykonywać ten zawód. I był pełen podziwu, że mamy wodę.

– Dlatego zajął się uszami, nosem i gardłem – podsumowała Grażyna. – Od szyi w dół ma święty spokój.

– Zajmuje się górnymi drogami oddechowymi – sprostowała Anna. – Jest bardzo oddany pacjentom i prowadzi działalność społeczną. Nie chwali się tym i uważa to za coś zwyczajnego.

– A te wiersze, które do ciebie wysyła, to jego?

Anna uśmiechnęła się.

– Nie, to jego najlepszego przyjaciela z czasów licealnych. Henryka Sienkiewicza.

– Nie słyszałam. Jakiś poeta? – spytała Grażyna.

– Zupełnie nieznany. Konrad bardzo w niego wierzy. Opowiadał mi o noweli *Na marne*, którą napisał Henryk. Wyobraź sobie, że odrzuciło ją kilku wydawców, chociaż była ponoć bardzo dobrze napisana. I Konrad dostarczył ją Ignacemu Kraszewskiemu z prośbą, aby się nad nią pochylił.

– Temu Kraszewskiemu? – Grażyna była pod wrażeniem.

– Tak jest – przytaknęła z satysfakcją Anna. – I Kraszewski się zachwycił, powiedział, że w życiu nie czytał tak dojrzałego debiutu. Pomógł wydać. A Henryk Sienkiewicz, mówi mój Konrad, będzie wielkim pisarzem.

– Co ty powiesz! – wykrzyknęła Grażyna. – A te wiersze są piękne? Myślałam, że to raczej grafomaństwo.

– Ja się wprawdzie na wierszach nie wyznaję, ale moim zdaniem są bardzo piękne. To zresztą nie tylko wiersze, ale także krótkie historyjki, nawet o mnie i Konradzie. Żartobliwe, ale w jak najlepszym guście.

– A twojemu adoratorowi nie przykro o takie rzeczy prosić przyjaciela? – spytała przyjaciółka.

– Konrad sam nie pisuje wierszy, a ten Henryk bardzo chętnie czyni to w imieniu przyjaciela – odparła niechętnie Anna. Sama się nad tym zastanawiała, ale wytłumaczyła sobie, że czytanie kiepskiej poezji i udawanie, że jej się podoba, byłoby gorsze.

– To niezbyt romantyczne. – Grażyna skrzywiła się.

– Nie zgadzam się z tobą – zaproponowała Anna. – Gdyby Konrad podpisywał się pod tymi wierszami, nie będąc ich autorem, to nie byłoby w porządku. Komuś tak uczciwemu jak on nawet by to przez myśl nie przeszło. Od razu mi powiedział, że opowiada o mnie przyjacielowi, a ten pisze wiersze, czasem bardzo zabawne, czasem bardzo... – ściszyła ton – ...śmiałe.

Grażyna zrobiła minę znawczyni.

– Przystojny ten Sienkiewicz? Może sama się nim zainteresuję.

– Nie wiem – odparła Anna, jak zwykle skonfundowana bezpośredniością przyjaciółki. – Nie widziałam go.

– Rozumiem, usuwa się w cień niczym brzydki romantyczny kochanek, podsuwając przyjacielowi słowa, które mają uwieść ukochaną. – Grażyna wstała z krzesła, uniosła ręce i przymknęła oczy. Wyglądała teraz niczym wielka aktorka na scenie i Anna nie śmiała jej przerwać, mówiąc, że opowiada głupstwa.

– Przyjaciół zdobywa kobietę, którą kocha, a poeta ginie w pojedynku, niecnie zdradzony przez owego przyjaciela, który go już nie potrzebuje i tym samym chce się go pozbyć. Wie, że poeta, podobnie jak on, kocha tę samą kobietę. Przypadkiem tę śmierć widzi ukochana, która jest lekarką, i spieszy poecie na pomoc, chcąc opatrzyć rany.

– Grażynko... – Anna nie wytrzymała i zaśmiała się, ale przyjaciółka nie zwracała na nią uwagi. Uniosła dłoń i recytowała dalej z tragiczną miną:

– Rana okazuje się głęboka. Szpada przeszła bowiem jelito cienkie w trzech miejscach. Otrzewna cała we krwi. Lekarka widzi, że przebito tętnicę kreskową górną. Serce nie nadąza pompować krwi, a płuca łakną powietrza. Puls rośnie, ciśnienie spada. Medycynierka płacze, próbuje zatamować upływ krwi, ale nic nie może poradzić. Nie ma narzędzi. Co za nieszczęście. Podwójne, można powiedzieć. Widzi nadchodzącą śmierć. Odkryła już zdradę, nie wyjdzie za narzeczonego. To poeta jest tym, którego pokochała, to jego wiersze ujęły ją za serce, to jego słowa szepcze teraz jako słowa miłości.

– Dość już, dość. – Anna nie mogła przestać się śmiać.

Nagle Grażyna otworzyła oczy, wyprostowała się i zaczęła mówić zupełnie normalnie:

– On w ostatnim odruchu, w wyniku działania substancji, której jeszcze nie odkryto, a która powoduje u zwierząt odporność na ból, a człowiek dzięki niej odzyskuje przytomność, kiedy już powinien być trupem, mówi: „To ja pisałem dla ciebie wiersze”.

Po czym złapała się za serce, zamknęła oczy i wdzięcznie osunęła się na bok, nie spadając z krzesła.

Anna parsknęła śmiechem.

– Ta substancja, o której mówisz, to nadnerczyna i wyizoluje ją Napoleon Cybulski. Pracuje nad tym od lat i w końcu mu się uda. To wielki naukowiec. Niedawno napisał mi w liście, że jego praca badawcza na ten właśnie temat została opublikowana w Petersburgu i za oceanem.

– Car pozwolił?

– Najwyraźniej pozwolił i przymknął oczy na polskie nazwisko. Dostałam od Napoleona w liście przedruk, bo bardzo jest dumny...

– Dasz mi przeczytać, wiem, wiem – przerwała jej Grażyna. – To wielkie odkrycie, jeśli on jest pewien, że to właśnie nadnercza ją wytwarzają.

– Tak, Brown-Séquard opisał przypadek śmierci po zniszczeniu owego gruczołu. Sądził początkowo, że to w męskich jądrach...

– To też wiem. – Grażyna machnęła ręką. – Stary Rayzer się z nim przyjaźnił i czytałam wszystkie te rewelacje. Konrad Rayzer – swoją drogą to śmieszne, że twój wybranek nosi to samo imię – zupełnie się tym nie interesował. Nie mówiłaś, że Cybulski zajmuje się tym samym zagadnieniem.

– Och, on zajmuje się także falami mózgowymi, pracą serca i...

– Dobrze, dobrze – odparła zniecierpliwiona Grażyna. – To jest wszystko nieważne wobec faktu, że wiersze pisze dla ciebie ktoś inny niż narzeczony.

– Jeszcze raz ci mówię, że gdyby Konrad je pisał, byłoby to wielce niezręczne, a Henryk Sienkiewicz jest wspaniałym poetą. To niezwykle, że doktor i pisarz się przyjaźnią.

– Niezwykłe – przyznała Grażyna. – Ale nie pisze za niego listów?

– Nie. – Anna się prawie obraziła. – Za kogo ty go uważasz?

Grażyna wzruszyła ramionami.

– Ja tylko pytam. Przecież go nie znam. Tatko go zna, ale mnie nie wypada go pytać o wiersze.

– A co o nim mówi twój ojciec? – Anna w końcu zadała jej pytanie, które miała ochotę zadać już od dawna. Podejrzewała, że wśród Korzyńskich kwestia jej narzeczeństwa z Konradem została już szczegółowo omówiona.

– Ojciec wyraża się o tym człowieku jak najlepiej. – Grażyna nie dała się długo prosić. – Oczywiście dla ojca największe znaczenie ma patriotyzm.

A Konrad Dobrski jest patriotą i nie boi się otwarcie mówić o Polsce.

– Dla mnie patriotyzm także ma znaczenie – westchnęła Anna. – Nienawidziłam się za to, co musiałam robić w Petersburgu.

– Nie ty jedyna – pocieszyła ją Grażyna. – Sama mówiłaś, że ten twój znajomy od mózgu, Napoleon Cybulski, jako asystent pracował u jakiegoś Gruzina i nie wolno mu było wspominać o Polsce.

– W Rosji nikomu nie wolno wspominać o Polsce, bo dla Rosji Polski nie ma! Na dawnych ziemiach polskich też nie. Twój ojciec z takim rozrzewnieniem wspomina czasy, w których w szpitalu rozmawiano po polsku i wykłady odbywały się w naszym ojczystym języku. Czy ty wiesz, że po powstaniu nawet protokoły z zebrań Towarzystwa muszą być pisane po rosyjsku?

– Dobrze, że chociaż przy ciastkach możemy kilka zdań rzucić po polsku – westchnęła Grażyna. – Wracając do twojego Konrada: ojciec bardzo podkreślał, że jest dobrym specjalistą od górnych dróg oddechowych. Już rok po studiach przyjął go profesor Baranowski i zaproponował mu asystenturę. A wiesz, nie pytałam, gdzie on kończył studia – uświadomiła sobie nagle.

– W Wiedniu – odpowiedziała jej Anna.

To było pierwsze pytanie, jakie mu zadała. Drugie brzmiało: „Dlaczego pan wrócił do Polski?”. Odpowiedział: „Bo jestem Polakiem i chciałbym pracować tutaj, w mojej ojczyźnie”. Bardzo przyjaźnie ją to do niego usposobiło.

– Ojciec mówił, że dobrze wypowiadał się o tobie podczas tego zebrania, co to wtedy...

– Wiem którego – przerwała jej. – A co twój ojciec mówił o nim jako o... – Anna z trudem wydusiła z siebie to słowo – ...mężczyźnie?

– Że jest niezwykle elegancki i szarmancki wobec kobiet. – Grażyna spojrzała ciepło na przyjaciółkę. – Jest zwolennikiem dopuszczenia nas do studiów medycznych oraz do innych technicznych zawodów. Mówi o tym publicznie.

– Kiedy powiedziałam mu o szkole akuserek i moich planach kształcenia lekarek położnych, aż klasnął w ręce jak dziecko i wyraził podziw. A przy

opowieści o Kasi to się wzruszył.

Anna zrelacjonowała Konradowi, jak zaprzyjaźniła się ze swoją służącą i że teraz kształci ją na akuszerkę, opłacając naukę z własnej kieszeni.

– Przy Kasi i Jaśce to się wszyscy wzruszają – mruknęła Grażyna, która owszem, rozumiała, dlaczego biedne pacjentki przyjmowane są bez zapłaty, ale już płacenie ostatniego grosza, aby kształcić w zawodach medycznych dziewczyny, które nie mogły zapłacić za naukę, uważała jednak za fanaberię.

– Kasia będzie położną, a Jasia na pewno zostanie lekarzem.

– Dusia też chce być położną – stwierdziła cierpko Grażyna. – Wczoraj ją przyłapałam na tym, jak siedziała przy ogarku świecy i uczyła się czytać.

Anna się uśmiechnęła. Sama zaczęła uczyć Dusię liter, ale szybko zastąpiły ją inne studentki. Może to i lepiej, bo choć dziewczyna uwielbiała Annę, pani doktor bardzo ją onieśmiałała.

– To jest ważna działalność – powiedziała Anna. – Uczyć je wszystkie. Będą lekarkami albo położnymi.

– Nie dasz rady. Praktyka, szkoła akuszerek, jeszcze chcesz lekarki kształcić.

– Dam – twardo powiedziała Anna. – Potrzebuję tylko was. Ciebie i Konrada.

– Na mnie możesz liczyć. – Przyjaciółka się uśmiechnęła. – Już ja im wyrwę z gardeł pozwolenie na pracę w charakterze lekarza. Jeszcze tylko kilka miesięcy takiej wyężonej pracy.

– Tak – potwierdziła Anna. – Konrad mi powiedział, że Towarzystwo myśli teraz trochę inaczej.

– Dlatego uważam, że nie możesz go trzymać od tego z daleka. Powinien uczestniczyć w twoim życiu zawodowym, a ty w jego.

– Przyjdzie na to czas. – Anna była tego samego zdania, ale nie chciała tej rozmowy z narzeczonym zaczynać pierwsza, czekała, aż Konrad wyjdzie z taką propozycją.

– A ślub kiedy? – spytała jeszcze Grażyna. – Czy będę mogła być starszą druhną?

– Może byś mi pozwoliła się zaprosić, a nie wpraszała się sama. – Anna żartobliwie trąciła ręką dłoń przyjaciółki.

– Jeszcze gotowa jesteś mnie pominąć. – Grażyna roześmiała się.

– Ciebie nigdy! – wykrzyknęła Anna. – Byłabyś niczym zła wróżka i przekłęłabyś mnie na wieki.

Grażyna ponownie zamknęła oczy i zaczęła recytować:

– Nie zaprosiliście mnie na wesele! Mnie, najbardziej życzliwej wam osoby pod słońcem! Oto co się teraz stanie! Urodzi się wam córka! Potem druga i trzecia! Wszystkie pokłują się igłami chirurgicznymi nieopatrznie pozostawionymi w gabinecie! – Grażyna ściszyła głos. – I zapragną studiować medycynę!

– Może powinnaś zostać komediantką, a nie lekarką? – śmiała się Anna.

– No, kiedy ten ślub? – Grażyna znów zrobiła się poważna. – I gdzie będziecie mieszkać jako małżeństwo?

– Za dwie niedziele jedziemy do moich rodziców. Konrad chce poprosić o moją rękę. Już do nich pisałam w tej sprawie i uzyskałam odpowiedź, że ogromnie się cieszą. Przyjadą także moje siostry i bracia. Dopiero będziemy ustalać datę ślubu, ale najpewniej stanie się to na jesieni. Nie licz, moja droga, na huczne weselisko.

– Wiem, pewnie ślub wolałabyś mieć skromny, wesela nie chcesz, a zamiast kwiatów będziesz zbierać pieniądze na praktykę. Już widzę ogłoszenie w dzienniku: „Anna Tomaszewiczówna oraz Konrad Dobrski zapraszają całą Warszawę na swój ślub. Upraszają przy tym, aby nie kupować kwiatów, nie wyszywać im monogramami jedwabnych chusteczek, a sumę przeznaczoną na kwiaty i prezenty wrzucić do skarbonki. Oni za to zobowiązują się nie przehulać pieniędzy, tylko przeznaczyć na szpitalik, w którym warszawska biedota dostanie jeszcze większą pomoc niż w lokalu na Twardej. A jak im kwiaty kupicie albo pożałujecie pieniędzy, to do nie wejdziecie kościoła, skąpiradła jedne!”.

Anna już miała odpowiedzieć, że tylko skandal powstrzymuje ją od zamieszczenia takiego właśnie ogłoszenia, kiedy rozległo się energiczne pukanie do drzwi i do gabinetu weszła kobieta w widocznej ciąży,

podtrzymywana przez ubogo ubranego mężczyznę, z trojgiem dzieci w wieku około trzech, pięciu i siedmiu lat – dwiema młodszymi dziewczynkami i starszym chłopcem. Kobieta miała wypisane cierpienie na twarzy, jedno z dzieci wyraźnie świszczalo przy oddychaniu, a mężczyzna był wychudzony. Anna i Grażyna zerwały się z krzesel.

– Co się stało? – zapytała Grażyna, usadzając dzieci na leżance.

Kobietą zajęła się Anna. Zaprowadziła ją na krzesło, na którym chciała ją zbadać.

– Nie wiem, proszę pani – powiedział mężczyzna. – Myśleliśmy, że rodzi, ale to jeszcze za wcześnie.

Kobieta jęknęła głośno, a jedna z dziewczynek zaczęła płakać.

– Chodźcie no tu, kochaneczki. – Grażyna zagarnęła dzieci do siebie. – Ja się wami zajmę, a pan niech robi, co pani doktor nakaze.

Mężczyzna niepewnie spojrział na Annę, która pomagała kobiecie położyć się na leżance.

– Nie mamy pieniędzy – powiedział.

– Józef! – krzyknęła kobieta.

– Teraz niech mi pan pomoże – Anna stanowczo zwróciła się do mężczyzny – i trzyma żonę za rękę.

– Tak bardzo boli – jęknęła ciężarna.

– Spokojnie. – Anna sprawnie badała kobietę, oceniła wiek ciąży i zastanowiła się nad przyczyną dolegliwości. – Oddychaj spokojnie, moja droga, bardzo dobrze, nie nabieraj tyle powietrza.

Kobieta wypełniała jej polecenia.

– Bardzo dobrze, kochana. – Anna patrzyła kobiecie prosto w oczy. – Jak masz na imię?

– Janina, psze pani.

– Janino, zbadam cię teraz, ale musisz mi powiedzieć, co takiego się stało, że zaczęły się skurcze.

– Nic się nie stało, psze pani. Nic...

Anna podniosła spódnicę kobiety, przeganiając Józefa, który stał i utrudniał lekarce dostęp do pacjentki.

– Połóż się na lewym boku i spokojnie oddychaj – instruowała pacjentkę. – Wszystko jest dobrze, to tylko skurcze – mówiła, sięgając głębiej. – Poród jeszcze się nie zaczął.

– Otwórz buzię, pokaż siostrze, jak to zrobić – dosłyszała głos Grażyny, która najwyraźniej zajmowała się gromadką potomstwa Józefa i Janiny.

– Zaraz podam ci coś na te skurcze. Leż spokojnie, moja droga – powtórzyła, widząc, że kobieta najwyraźniej chce wstać.

Podeszła do szafki i wyjęła zioła, które miały właściwości hamujące skurcze macicy: serdecznik pospolity, liść maliny, ziele owsa oraz imbir. Ten ostatni dostała od sułtanki Akun. Szybko zrobiła napar z przegotowanej wcześniej wody i łyżeczka po łyżeczce podawała kobiecie.

– Piecze – wyjęczała ciężarna, ale wyraźnie się uspokajała.

– Jak piecze, to znaczy, że dobre lekarstwo – przekonywała Anna.

Stopniowo twarz Janiny odzyskała kolory. Anna liczyła skurcze i oceniała ich siłę. Z zadowoleniem zanotowała, że były coraz słabsze i rzadsze. Odwróciła się w kierunku Grażyny. Kiedy Anna była zajęta kobietą, przyjaciółka zbadała dzieci, uspokoiła je, a teraz częstowała pajdami chleba z konfiturą malinową. Mężczyzna siedział na stołku i zerkał zaniepokojony to na żonę, to na potomstwo.

– Niech pan zdejmie koszulę – powiedziała Anna.

– Po co? – spytał tępo mężczyzna. – Ja wiem, że niedługo do piachu idę.

Po tym, jak kaszlał, można było się domyślić, że ma gruźlicę. Anna spojrzała na dzieci, potem pytająco na Grażynę. Ta ledwie dostrzegalnie pokręciła przecząco głową. A zatem dzieci nie chorowały. Tylko co z tego, kiedy ich ojciec umierał, a matka także była chora? Tylko patrzeć, jak zostaną sierotami. Anna westchnęła. O nędzo tego świata.

– Niech pan zdejmie koszulę – powtórzyła, a kiedy Józef wykonał polecenie, starała się nie zwracać uwagi na wystające żebra.

Tak jak myślała, gruźlica była bardzo zaawansowana.

– Niech powie, czy dzieciaki chore – zażądał nagle.

– Zdrowe – powiedziała Grażyna. – Tylko głodne i brudne.

– Ja też jestem chora, wiem – odezwała się cicho Janina.

Anna pominęła milczeniem uwagę kobiety. Zwyczajnie nie wiedziała, co powiedzieć.

– To może mi teraz powiecie, co się stało, że zaczęły się skurcze? – spytała łagodnie.

Janina zaczęła płakać.

– Z roboty wyrzucili, że niby nie mogę pracować – załkała.

– A gdzie pracowałaś? – spytała Grażyna.

– Praczką jestem – padła odpowiedź.

Anna zerknęła na spuchnięte nogi kobiety i jej ręce zsiniałe od tarcia krochmalu i moczenia w wodzie.

– Nie powinnaś pracować – powiedziała cicho.

Kobieta wybałuszyła na nią oczy.

– Jak nie pracować? – spytała. – A kto nas wyżywi?

Anna spojrzała na mężczyznę, który spuścił głowę.

– W bójkę się wdał w fabryce i go wyrzucili – powiedziała. – Jak psa. Nie zapłacili, co się należało.

– Może trzeba pójść do sądu? – podsunęła Grażyna.

– Gdzie do sądu, paniusiu... – sapnął mężczyzna, ale zaraz umilkł pod spojrzeniem żony.

– Sądy nie dla takich jak my – oznajmiła kobieta. – Człowiek biedny, to i do więzienia wsadzą. A kto się wtedy dzieciakami zajmie?

Anna spojrzała na nich ze współczuciem.

– To co się stało w pralni, że zaczęły się skurcze? – spróbowała jeszcze raz.

Kobieta zacisnęła usta.

– Nie jadła i... – zaczął mężczyzna.

Anna modliła się, żeby Grażyna nie spytała, czemu kobieta nie je, ale najwyraźniej przyjaciółce przypomniały się czasy biedy w Zurychu, bo powiedziała:

– Macie tu na opał i jedzenie. – Wyciągnęła banknot z portmonetki.

Mężczyzna natychmiast wziął pieniądze.

– Niech pan idzie i kupi, co trzeba, a żona i dzieciaki jeszcze tu zostaną – poinstruowała Anna.

– Mamy do pogadania, jak pan tu wróci – dodała Grażyna.

Mężczyzna przełknął ślinę i uklonił się nisko.

– Nam mówili, że pani jedna z drugą to anioły są, alem nie wierzył – powiedział.

Anna wiedziała, że Józef przyprowadził żonę i dzieci do nich, bo słyszał, że karmią i pomagają za darmo. Odkąd zaczęły praktykować, co dzień przychodziły do gabinetu z bochnem chleba i konfiturami pani Domiceli. Nie chodziło jednak o to, że jedzeniem starały się zjednać sobie pacjentów – po prostu wiedziały, że wśród ludzi biednych większość chorób rodziła się z głodu i zimna. Wprawdzie Korzyńscy usłyszeli w eleganckich salonach plotki i śmiechy, że na Twardej nie powstał gabinet lekarski, a darmowa jadłodajnia i noclegownia dla najbardziej potrzebujących, ale Anna nic sobie z tego nie robiła. Na szczęście Grażyna też nie – Anna nie wiedziała, jak by sobie dała radę bez przyjaciółki, która była dla niej wsparciem zarówno w pracy, jak i w życiu. I chociaż wciąż ledwie wiązały koniec z końcem, to pacjentów przybywało, a ona była szczęśliwa. Grażyna także, co Anna przyjmowała z wdzięcznością. Tylko na początku obawiała się, że przyjaciółka, nienawykła do wyrzeczeń i kontaktu z biedotą, zrezygnuje ze wspólnej praktyki, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Niech pan idzie – ponagliła go Grażyna.

Kiedy Józef zniknął za drzwiami, Anna zwróciła się do kobiety.

– Od kiedy wiecie o chorobie? – spytała.

– U niego to już rok będzie, jak kaszle – wyznała. – Ja dopiero po zaciążeniu.

Anna nie wiedziała, jak powiedzieć kobiecie, że dziecko prawdopodobnie umrze niedługo po porodzie.

– Ja wiem. – Kobieta jakby czytała w jej myślach. – On zaraz legnie i nie wstanie, a ja w połogu pewnie zejdem. One na ulicę pójda. – Zerknęła na swoje

potomstwo.

Dzieci siedziały spokojnie i kończyły kolejne pajdy chleba.

– Macie jakąś rodzinę? – spytała Anna.

Kobieta pokręciła głową.

– A gdzie mieszkacie? – zapytała Grażyna.

– Niedaleko – mruknęła kobieta. – Dziesięć przecznic stąd.

– Mama! – zawołała nagle najmłodsza dziewczynka.

– Jestem tu, Marysiu, jestem. – Janina wyciągnęła ręce i dziewczynka wpadła jej w ramiona. Za nią ruszyła pozostała dwójka i przytuliła się do matki. Scena chwyciła za serce i Anna nie wiedziała, co ma zrobić z tą gromadką. To znaczy wiedziała, co powinna zalecić jako lekarz, ale nie miała pojęcia, jak swoje zalecenia miałyby wyegzekwować od tych biednych ludzi. Trafiały jej się różne pacjentki, nawet biedniejsze niż Janina, ale żadna ciężarna nie była chora na gruźlicę.

– No dobrze. – Grażyna wstała. – Siedźcie tu, a ja skoczę do domu po jakieś ubrania dla was.

– My nie mamy czym zapłacić – powiedziała kobieta dosyć obojętnie. – Pieniądze oddam, jak do roboty wrócę.

– Nie trzeba – odpowiedziała jej Grażyna.

Po czym włożyła kapelusz i płaszcz i szybko wyszła. Anna słyszała, jak na dole gwizdże na dorożkę, i uśmiechnęła się do siebie.

– Do czasu rozwiązania powinnaś dobrze jeść – powiedziała łagodnie. – Chodźcie do sióstr?

Siostry urszulanki prowadziły niedaleko przytułek.

– Kiedyś tam chodziłam – odpowiedziała niechętnie Janina. – Ale jak my oboje pracowaliśmy, to co mieliśmy po prośbie łązić. Ja teraz do roboty wrócę, to będzie na chleb.

Anna powinna powiedzieć kobiecie, że nie może pracować aż do rozwiązania. Najlepiej by było, żeby trzymała się z dala od dzieci, które według słów Grażyny były zdrowe. Zastanawiała się, czy dać tym ludziom jeszcze pieniędzy na jedzenie, ale się rozmyśliła. To nie byli ci najbiedniejsi.

Wciąż mieli dach nad głową. Nie mogła pomóc wszystkim. Chociaż czy naprawdę nie mogła? Ile ciężarnych nędzarek mieszka w Warszawie? Ile z nich umiera w czasie porodów, które odbierają samozwańcze akuszerki? Ile umiera w położu?

– Mogę usiąść? – spytała kobieta. – Przeszło.

– Tak – zgodziła się Anna.

Ktoś zapukał do drzwi. Anna zmartwiła się, że to kolejny pacjent, ale dołączył do nich Józef, który najwyraźniej spożytkował pieniądze, bo minę miał zadowoloną i kłaniał się od progu.

– Pokornie dziękuję szanownym paniom – zaczął. – Ziemniaków i opału teraz nam wystarczy do czasu, aż ja albo ona robotę znajdziemy.

– Żona nie powinna pracować – powiedziała Anna cicho.

– Jak ja robotę znajdę, to nie będzie musiała – zgodził się Józef.

Podawała mu ołówek i kartkę.

– Niech tu pan napisze adres. Moja koleżanka wróci i przywiezie trochę ubrań dla dzieci. Żebyśmy wiedziały, gdzie dostarczyć.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Niepísmienny – powiedział krótko.

– To niech pan powie, na jakiej ulicy mieszka, a ja zapiszę.

Mężczyzna ponownie przecząco pokręcił głową.

– Poczekam, jak trzeba – rzucił.

Anna pomyślała, że nie chce podać adresu, bo się boi, że ona i Grażyna w końcu zapukają do jego drzwi, prosząc o zaległą zapłatę za poradę lekarską.

– Dobrze – zgodziła się.

Dzieci tymczasem się rozgadały. Podchodziły do szafek i ciekawie zaglądały. Anna opowiadała im, do czego służą poszczególne narzędzia lekarskie. Mężczyzna siedział przy żonie, od czasu do czasu pokasływał. Wreszcie Grażyna wróciła z workiem ubrań. Miała nawet jakieś stare zabawki dla dzieci. Po ich minie kobiety poznały, że dzieciaki raczej nigdy nie miały lalki z gałganków ani pajacyka z oberwanym okiem.

– Dzieci są zdrowe – powiedziała Anna, kiedy Józef pomógł żonie wstać i gwizdnął cicho na dzieci. – Jak będzie rozwiązanie, to poślijcie po położną do Szpitala Dzieciątka Jezus, dobrze? Zwłaszcza gdyby pojawiły się komplikacja... – Urwała. – Gdyby nie było tak jak z poprzednimi porodami.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Niech wam Bóg błogosławi – powiedział, po czym lekko popchnął żonę i cała rodzina wyszła.

Grażyna i Anna wyszorowały dokładnie ręce ługiem, a potem siedziały w milczeniu.

– On umrze za kilka miesięcy – powiedziała w końcu Grażyna. – Ona może pożyje trochę dłużej.

– Wiem – powiedziała Anna.

– Wiem, że wiesz. – Grażyna uniosła głowę. – Co możemy poradzić?

– Nawet nie powiedziałam, żeby się umyła – oznajmiła gorzko Anna. – Nie zrobiłaby tego.

– Powinnyśmy jej kazać oddać dzieci do sierocińca, póki można – westchnęła Grażyna.

– Pomyślałam o tym, ale jak jej to miałam powiedzieć?

Znów zamilkły.

– Co zrobimy? – spytała Grażyna.

Anna bezradnie wzruszyła ramionami.

– Wiesz, co jest najgorsze? – Zamyśliła się na chwilę. – To już byli nędzarze, a mimo to uznałam, że istnieją przecież biedniejsi od nich. Bez dachu nad głową.

– Słusznie – zgodziła się Grażyna, wzdychając. – Tak trzeba myśleć, bo inaczej nikomu nie pomożemy.

– Nie chciał powiedzieć, gdzie mieszkają – dorzuciła bezradnie Anna.

– Bał się, że zabierzemy im dzieci. – Grażyna podeszła do okna. – To ciemnota. Przecież jak pomrą, to dzieciaki zostaną zupełnie same.

– Oni te ubrania i zabawki sprzedadzą. Niepotrzebnie im dałaś aż tyle – zauważyła Anna.

– Potrzebnie. Sprzedadzą, to będą mieli na opał i chleb. Dlatego tyle dałam.

– Dziękuję – powiedziała Anna do Grażyny. – Za pomoc, za twoją dobroć.

Przyjaciółka odwróciła się w jej stronę.

– To ja ci się nigdy nie wypłacę za to, co zrobiłaś dla mnie w Zurychu i tutaj.

Anna wzruszyła ramionami.

– W Zurychu podzieliłam się z tobą tym, co miałam. Każdy by tak zrobił. A tu nic dla ciebie nie zrobiłam. To ty pracujesz ponad siły, oddając całą siebie.

– Nie myśl tak. – Grażyna się uśmiechnęła. – Tego chciałam. Jakie to szczęście, że mnie wtedy u siebie w mieszkaniu zawróciłaś z drogi. Byłabym dziś skakała koło wuja Gracjana albo udawała medycynierkę, córeczkę tatusia w Dzieciątku Jezus.

– Miałybyś przynajmniej spokój i nie pracowałabyś za półdarmo.

– Wreszcie jestem komuś potrzebna.

Anna popatrzyła na nią uważnie. Nie dostrzegła, kiedy przyjaciółka z trzpiotki i egoistki myślącej tylko o swoim szczęściu zamieniła się w kobietę współczującą, z oddaniem pracującą na rzecz najbiedniejszych. Grażyna jakby czytała w jej myślach.

– Przypomniałam sobie, jak mi ojciec powiedział o twoim wyjeździe do Petersburga. Jakże się zawstydziłam, że sama myślałam jedynie o pogrążeniu Rayzera. Tylko to się dla mnie liczyło. Po powrocie do Warszawy byłam niewiele lepsza. Te kłamstwa, to wszystko, co wyprawiałam.

– Nie mów tak – powiedziała łagodnie Anna. – Zapłaciłaś za wszystko z nawiązką.

Przyjaciółka się roześmiała.

– Jeszcze nie. Chociaż nie zrezygnowałam z marzeń o karierze naukowej, nie myśl sobie.

Anna wiedziała, że to żart. Czuła, że obie do końca życia będą służyły biedocie warszawskiej.

– W takie dni jak ten możesz sobie spokojnie odkrywać nadnerczynę, a nawet przynerczynę i podnerczynę. – Anna machnęła ręką. – Dziś było wyjątkowo spokojnie. Można posłać Leona po opał dla nas, bo się kończy.

Rozległo się pukanie do drzwi. Tym razem była to prządka, której trzeba było odciąć palec po zakażonym skaleczeniu, bo już czerniał. Do wieczora przyszło jeszcze dziesięć osób, same kobiety – biedne, chore, młode, stare, wszystkie sterane i z tym samym wyrazem braku nadziei na twarzy. Dwie z nich nie miały dokąd pójść i lekarki pozwoliły im zostać na noc. Szukanie przytułku dla biedaczek pozostawiły sobie na kolejny dzień. Potem tego żałowały, bo obie uciekły w nocy, o czym zameldował im oburzony Leon.

– Poszły i jeszcze jedna za pazuchą coś trzymała – zameldował.

– Słój smalcu – zauważyła Grażyna. – A Leon nie widział, że idą?

– Jak miałem widzieć, jak to w nocy było i spałem. Nawet stróż musi spać.

– Następnym razem – mówiła Anna do Grażyny – jak kogoś tu zostawimy, to Leon będzie musiał siennik na górę przynieść. Inaczej stanie się nieszczęście. Dobrze, że tylko smalec wzięły, a nie nasze narzędzia albo fartuchy.

– Następnym razem nie można nikogo zostawiać – mruknęła Grażyna. – Leon nie upilnuje. I chciałam ci powiedzieć, że jedna służąca, która przychodzi, kiedy chce, to za mało.

Anna nie mogła się nie zgodzić, ale próbowała myśleć rozsądnie.

– Nie stać nas za bardzo na służbę. Nie mogę ciągle Kasi prosić, żeby sprzątała i tu, i w mieszkaniu. I tak często wieczorem wożę fartuchy do domu, a ona po północy zabiera się do prania i krochmalenia.

– Musimy mieć i służbę, i pomocnice. Pacjentów coraz więcej, a my tylko dwie.

Grażyna miała rację. Przychodzili do nich po pomoc najróżniejsi ludzie, dzieci i dorośli. Prawie nigdy tacy, którzy wymagali jedynie krótkich porad, a ciężko chorzy, którzy tylko u nich dostawali jakąkolwiek pomoc. I raczej stały przy stole operacyjnym, oczyszczały i opatrywały rany, niż zapisywały ziółka na palpacje.

– Wiesz, skąd wziąć pomocnice – naciskała Grażyna.

– Nie mogę im płacić – broniła się Anna. – Akuszerki ze szkoły nie są dość wykształcone.

– Nabiorą tu doświadczenia – upierała się Grażyna. – Przestań je tak oszczędzać.

– Nie zawsze mamy tutaj porody – przypomniała jej.

– Dlatego będą robiły wszystko – stwierdziła przyjaciółka. – Pomagały nam w zabiegach, przygotowywały pacjentów do badania, odbierały porody, sprzątały, myły podłogi, prały prześcieradła, płachty i fartuchy. Jak my dwie.

Anna skapitulowała.

– I sterylizowały narzędzia – dodała. – Porozmawiam z dyrektorem.

– A ja muszę porozmawiać z Leonem – oznajmiła Grażyna, która kończyła rozwieszać prześcieradła nad kuchnią. – Tak nie może być. Żyje na nasz koszt.

Anna zgodziła się z nią. Była tak zmęczona, że marzyła już tylko o własnym łóżku.



Grażyna chwyciła się za serce. Wpatrywała się w kobietę, która leżała skulona pod zamkniętymi drzwiami gabinetu. Pewnie próbowała nocą dostać się do ich przybytku, ale najwyraźniej nikt jej nie otworzył. Zsiniła twarz i otwarte powieki nie pozostawiały złudzeń. Kobieta była martwa. W ramionach w sporym tobołku trzymała dziecko.

– Nie żyje? – raczej stwierdziła, niż zapytała Anna.

Był środek kwietnia, tuż po świętach, ale w nocy chwycił przymrozek. Pewnie przysnęła na chwilę, a wtedy śmierć skorzystała z okazji i zabrała ze sobą nieszczęśnicę. Małeństwo zawinęła w jakieś szmaty i widać było jedynie czubek jego główki. Martwą ręką przyciskała je do swojej piersi.

– Co się stało, że chciałaś się tu dostać w nocy, niebogo? Myślisz, Aniu, że coś jej dolegało czy raczej dziecku? – spytała Grażyna, załamując ręce nad zmarłą.

– Trzeba po kogoś posłać, żeby ich zabrali. Kto ich pochowa?

Nagle z tobołka dobiegł je cichy dźwięk.

– Mój Boże! – wykrzyknęła Anna. – Dziecko żyje!

Szybko wydobyły je z ramion zmarłej i zaniósły na górę, pozostawiając ciało matki na ulicy. Uznały, że jak najszybciej muszą zająć się maleństwem, a na zabranie zwłok przyjdzie czas później. Chłopczyk był bardzo wyziębiony i słaby. Cichutko kwilił, bo nie miał siły płakać. Anna okryła dziecko kocem.

– Kiedy przyjdzie któraś z dziewcząt? – denerwowała się.

– Jestem, pani doktor! – odezwała się Jasia, która stanęła właśnie w progu.

– Ja bym wcześniej przyszła, tylko...

– Nie gadaj – przerwała jej Anna. – Napal w piecu i przyprowadź mi tu Leona.

– Tak jest, pani doktor. – Jasia natychmiast zabrała się do rozpalania ognia. Potem zbiegła po schodach.

Grażyna podeszła do Anny.

– Co ja mam robić? – spytała. – Ojca szukać? Trzeba tę biedaczkę pochować.

– Lepiej poszukaj mamki, bo mały jest głodny. Ma jakiś miesiąc, nie więcej. Jest zdrowy, więc to matka musiała być chora.

– Jesteśmy, pani doktor – zameldowały się kolejne dziewczęta, Jagusia i Frania. – Takie nieszczęście tam na dole.

Anna starała się nie okazywać dezaprobaty. Niedobrze, że dziś na służbie te dwie nowe, bo wymagały pomocy i nauki, a Anna czuła, że czeka je ciężki dzień.

– Nieszczęście, ale jej już nie pomożemy, trzeba ratować małego.

– Poślę po kogoś, niech odwiezie trupa do Dzieciątka Jezus. Tam zrobią sekcję – mówiła Grażyna.

– Już ci tłumaczyłam, że śmierć poczeka. Trzeba znaleźć mamkę, i to szybko.

Spojrzała na nowe dziewczęta i skinęła na nie głową.

– Jagusiu, idź popytaj, kim jest ta kobieta – poleciała. – Nie może daleko mieszkać. Znajdź też mamkę i natychmiast ją tu przyślij. Powiedz, że zapłacę, jeśli szybko przyjdzie. Dasz sobie radę?

– Tak, psze pani. – Dziewczyna kiwnęła głową.

– Pani doktor – poprawiła ją Grażyna.

Anna machnęła ręką, bo tytuły nie miały teraz znaczenia.

– Franiu, ty pójdz do Dzieciątka Jezus i znajdź doktora Dobrskiego. Przekaż mu tę wiadomość. – Anna pospiesznie skreśliła na kartce kilka słów i podała dziewczynie. – Masz tu na dorożkę.

– Pobiegnę, pani doktor – zaproponowała dziewczyna.

– Tak będzie szybciej. – Anna uniosła rękę, ucinając dalszą dyskusję. – Zależy mi na czasie.

Dziewczyna kiwnęła głową i już chciała iść, ale Anna ją zatrzymała.

– Potem pójdziesz do kostnicy, przekażesz, że mamy trupa, podasz adres i powiesz, żeby zabrali na sekcję.

– Myślałam, że nie chcesz – wtrąciła się Grażyna.

– Chcę, tylko w odpowiedniej kolejności. Musimy się dowiedzieć, na co zmarła.

– A co napisałaś do Konrada? – zacięła się Grażyna.

– Żeby dziś nie przyjeżdżał – odpowiedziała krótko. – Nie czas na odwiedziny.

W progu stanął Leon i ukłonił się nisko. Widać było, że jego głowa jeszcze nie wywietrzała po całonocnym picu.

– Czemu Leon nie otworzył tej biedaczce? – zaatakowała Grażyna. – Widział Leon, co się stało?

– Nie widziałem, bo nie moja sprawa – burknął były policjant.

– Kobieta umarła, dzieciak mało co nie przeniósł się na tamten świat – denerwowała się Grażyna – a Leon mówi, że to nie jego sprawa?

– Nie mój dzieciak – upierał się przy swoim.

Anna oddała dziecko Jasi, a potem stanęła naprzeciwko mężczyzny i uważnie mu się przypatrywała.

– Ja nie wiem, kto to. – Leon skrzyżował ręce na ramionach, podejrzewając, że pani doktor wyrzuci go z roboty na zbity pysk. – Nic nie wiem.

– To ja wam powiem, Leonie, kto to jest – powiedziała spokojnie Anna. – To jest kobieta w połogu, która chciała wejść do środka i zamazła pod drzwiami, bo wy byliście tak pijani, że niczego nie słyszeliście.

Policjant smarknął nosem.

– Toż takiego mrozu nie było – tłumaczył się. – Mogła bardziej się dobijać albo od stróżówki wejść, tam bym usłyszał.

Grażyna dobrze знаła Annę i wiedziała, że miota nią furia, chociaż pozornie dziewczyna zachowywała spokój.

– Płacę wam nie za to, żebyście pili i spali, tylko żebyście pilnowali tego miejsca.

– No, ja... – mruknął skruszony Leon. – Reumatyzm mnie bierze i dlatego...

– Ludzie wiedzą, że mogą tu dostać pomoc! Trzeba było otworzyć i napalić w piecu! – krzyknęła nagle Anna.

Leon się wzdrygnął.

– Ja za przeproszeniem nie na to się najmowałem – powiedział w końcu.

– A na co się Leon najmował? – zdumiała się Grażyna.

Maleństwo rozplakało się nagle, najwyraźniej obudził je krzyk Anny. Dziewczyna podeszła do dziecka i wzięła je na ręce.

– Żem się najmował na stróża. Żeby nikt tu panienek nie pomordował, jak pracują, żeby nie wyniósł lekarstw – rzucił butnie były policjant.

– Nawet gdyby nas tu szlachtowali, toby Leon nie zauważył, bo tylko pije i gdzieś chodzi – wyrzuciła z siebie Grażyna.

Usłyszały tupot na schodach. Anna pomyślała, że dziewczynie udało się znaleźć mamkę, ale myliła się. Do gabinetu wbiegły dwie kobiety. Jedna od progu krzyknęła:

– U Temlera i Szwedego wybuchł kocioł! Jest wielu poszkodowanych. Pytają, czy do was można słać.

Grażyna zrobiła przerażoną minę.

– Tak, naturalnie – powiedziała cicho Anna, odkładając uspokożone dziecko na leżankę. – Niech Leon idzie i powie, komu trzeba, że możemy tu opatryć rany i dokonać prostych zabiegów. I niech pomoże przyprowadzić łżej rannych.

Leon stał niepewny, czy nowe polecenie oznacza wybaczenie starych win. Anna, która wyczuła jego wahanie, spojrzała na niego groźnie.

– Przynajmniej tyle możecie zrobić, żeby nieco zmyć z siebie winę za śmierć tej kobiety. A potem sobie jeszcze porozmawiamy.

Mężczyzna kiwnął głową i z ociąganiem ruszył za kobietami.

– Tyle go pewnie widzieli – mruknęła Grażyna i zauważyła: – Myśmy nie słyszały wybuchu. Może nie ma wielkiego nieszczęścia.

– To na Okopowej. – Anna spojrzała przez okno. – Dość daleko. Poza tym jeśli wybuchł kocioł, to zniszczenia nie dotyczą budynku. Raczej ludzi.

Temler i Szwede prowadzili fabrykę garbarską. Anna podejrzewała, że będzie mnóstwo poparzonych i zatrutych ludzi.

Do gabinetu weszła Jasia z mamką.

– Nareszcie. – Grażyna podała jej dziecko.

Kobieta odsłoniła wielką białą pierś i przystawiła do niej dziecko. Mały chwycił sutek i zaczął łapczywie ssać.

– Dowiedziałaś się czegoś? – spytała dziewczynę Anna. – Kim jest zmarła? Jasia przecząco pokręciła głową.

– Ona nie stąd – odezwała się mamka. – Kazałam se pokazać, to wiem. Nie nasza.

Anna spojrzała pytająco na Jasię.

– Z Leonem żeśmy przenieśli nieboszczkę na podwórze, tam głębiej, żeby nie było widać od ulicy – wybąkała dziewczyna. – Pani doktor kazała nie ruszać, ale ja nie mogłam.

– Nie gniewam się – powiedziała Anna. – Kazałam nie ruszać, bo może to zaraza.

– Obejrzałam ją, pani doktor, i to nie zaraza – zapewniła gorliwie Jasia.

Anna nic nie powiedziała. Dziewczyna była bardzo bystra, ale nie mogła wiedzieć, że choroba zakaźna nie zawsze objawia się krostami. Ale pewnie Jasia miała rację. Nieszczęsna najwyraźniej zmarła z wyziębienia, a wcześniej pewnie dostała gorączki.

– Nakarmiłam nieboraka i idę – powiedziała mamka.

– Jak macie na imię? – spytała Anna. – Gdzie mieszkacie?

– Trzy ulice dalej, dziewczyna wie, gdzie mnie znaleźć – mruknęła. – A dzieciaka do ochronki od razu oddać.

– Może ma jakichś krewnych – powiedziała Grażyna.

– Jakby miał, toby tu z nim matka nie przyszła. Mówi, że na zarazę nie zmarła? – Łypnęła podejrzliwie spod oka, jakby teraz sobie uświadomiła, że dziecko, które właśnie nakarmiła, może ją wysłać na tamten świat.

– Nie – odparła Anna stanowczo. – Pewnie na gorączkę połogową.

– Zrobią sekcję, to się dowiemy – dodała Grażyna bardziej do Anny niż do mamki.

– Jakbyście się dowiedzieli, skąd pochodziła matka, to nam powiedzcie – poprosiła Anna.

Kobieta nie odchodziła i Anna przypomniała sobie, że obiecała jej zapłacić. Wyjęła z torebki pieniądze i podała jej.

– Przyjdźcie też jutro, żeby go nakarmić – poleciła. – Zapłacę drugie tyle.

– Mogę przyjść. – Kobieta chciwie spojrzała na pieniądze. – Ja bym oddała do ochronki.

Grażyna spojrzała na małego, potem na Annę.

– A może byście małego wzięli do siebie na noc, co? – spytała. – Zapłacimy. Jutro przyniesiecie dziecko, a my się zastanowimy, co zrobić.

Mamka się skrzywiła. Grażyna wyjęła ze swojej torby kolejne pieniądze i podała jej. Ta znów wzięła i schowała w fałdach sukni.

– Dobra – stwierdziła. – Jutro z rana go przyniosę. Pożywi się przy moim.

Wzięła dziecko, przykryła siebie i małego chustą, po czym wyszła.

– A jeśli źle zrobiliśmy? – zmartwiła się Anna. – Może trzeba było zatrzymać dziecko? A jeśli ona mu coś zrobi?

– Zaraz tu będzie armagedon, moja droga, dziecko musi być z dala od takich spraw. – Grażyna podeszła do niej. – Jasia wie, gdzie mieszka mamka, w razie czego pójdziemy tam i odbierzemy chłopca.

– No i, pani doktor – odezwała się Jasia – takie dziecko to jeszcze jedna gęba do wyżywienia, to ja nie wiem, czy mamka taka wyrywna, żeby małego zatrzymać.

– Może trzeba było od razu do ochronki zanieść, jak mówiła kobieta? – Anną targają wątpliwości.

– Zaraz przywiozą tu chorych, wszystkie jesteście potrzebne, a dziecko w dobrych rękach.

– A jak jacyś krewni zaraz przyjdą po małego?

Jasię tylko wielki szacunek do pani doktor powstrzymywał od przewrócenia oczami. Zamiast tego postanowiła trochę uspokoić swoją mentorkę. „Niby znała życie, a czasami błędziła myślami jak we mgle. Może między biedotę chodziła, ale się przy niej nie wychowała jak ja”, myślała Jasia, „to nie wie, jak się żyje w jednej izbie z dziesięciorgiem rodzeństwa”.

– Nie przyjdą, pani doktor – tłumaczyła cierpliwie. – Jakby ta biedaczka miała krewnych, toby tu nie zamarła. A nawet gdyby miała – Jasia przestąpiła z nogi na nogę – to gdy się dowiedzą, że zmarła, wszystko zrobią, żeby tu nie trafić. Bo kto będzie płacił za pochówek?

– No tak – zgodziła się Anna.

Rozległo się rzenie konia i obie z Grażyną wyjrzały za okno. Anna chwyciła się za serce, kiedy zobaczyła, jak Konrad Dobrski wysiada z dorożki i pomaga wsiąść Frani.

– To on? – spytała zaskoczona przyjaciółka. – Co tu robi? Przecież napisałaś, żeby nie przyjeżdżał.

Potwierdziła ruchem głowy.

– Napisałam, a on... przyjechał.

Czuła się, jakby nagle zabrakło jej powietrza. Co ma zrobić?

– Może ja wyjdę i powiem, że to nie najlepszy dzień na wizyty? – zasugerowała Grażyna, ponieważ bardzo dobrze znała Annę i wiedziała, co oznacza jej mina. – Pewnie nie wie, że w garbarni był wybuch. Czemu akurat

na dziś go zapraszałaś? Natknę się zaraz na trupa w bramie, a potem na oparzonych chemikaliami.

– Sama mnie przekonywałaś, że powinien dzielić ze mną życie zawodowe, a że wczoraj zapytał...

Anna wyglądała, jakby miała wpaść w panikę, aż Grażynie zrobiło się jej szkoda.

– Poradzimy sobie. On jest lekarzem, zrozumie.

Nowe hałasy za oknem znów kazały im wyrzeć na ulicę. Pod domem, w którym wynajmowały gabinet, zobaczyły Leona, który szedł, podtrzymując człowieka z poranioną nogą. Za nimi na kilku noszach niesiono rannych.

– Mój Boże – powiedziała Grażyna.

– Dzień dobry, Anno. – Konrad Dobrski wszedł energicznym krokiem. – Wydaje mi się, że nie potrzebujesz dziś odwiedzin, a pomocy.

Pokiwała głową. Słowa uwięzły jej w gardle.

– Grażyna Korzyńska – przedstawiła przyjaciółkę. – To Jasia, Józia i... Anielka – powiedziała, widząc jeszcze jedną ze swoich dziewcząt, która najwyraźniej przez kogoś zaalarmowana, weszła do gabinetu i stanęła w gotowości do działania.

– Bardzo mi miło... – powiedziała Grażyna, ale przerwała, kiedy na korytarzu rozległ się tupot nóg i pierwsze nosze z rannym zostały wniesione do środka.

Jasia rzuciła okiem na chorego, przeprosiła i wycofała się, żeby przygotować salę na przyjęcie pacjentów.

– Gdzie położyć? – Pytanie było skierowane do Konrada, ale on odwrócił głowę w stronę Anny.

Lekarka stała sztywno i nie odpowiadała.

– Pani doktor? – spytał życzliwie Konrad, zdejmując kapelusz oraz płaszcz i wieszając je na wieszaku bez zbędnych ceremonii.

Anna odzyskała mowę i władzę w nogach. Podeszła do chorego i odchyliła narzutę.

– Noga do opatrzenia. Połóżcie go tutaj. – Pokazała na jedną z dwóch leżanek. – Grażyno, zajmij się chorym.

Przyjaciółka kiwnęła głową, skinęła na Dusię, która przybiegła w międzyczasie, i obie podeszły do mężczyzny jęczącego z bólu. Wniesiono następne nosze i Anna zauważyła, że kolejny pacjent jest nieprzytomny i ma poparzony cały lewy bok. Spojrzała na Konrada, a on kiwnął głową.

– Anielka, weź narzędzia i idź z panem doktorem – zarządziła. – Pokaż mu naszą salę zabiegową.

Dziewczyna ukloniła się, wyjęła z szafy narzędzia oraz dwa fartuchy i kiwnęła głową na niosących nosze.

Anna pochyliła się nad trzecią osobą, którą przyniesiono. Była to drobna młoda dziewczyna, w zasadzie jeszcze dziecko, która obficie krwawiła z rozerwanego barku.

– Józka, idź do chorych, którzy czekają na korytarzu i zobacz, którzy w pierwszej kolejności będą potrzebowali pomocy. Jasia, chodź do mnie – zarządziła Anna. – My zajmiemy się tą chorą.

Do wieczora przyniesiono jeszcze kilka osób, głównie ciężko rannych. Razem z Grażyną, pomocnicami oraz Konradem Anna pracowała niestrudzenie do zmierzchu. Prawie nie widziała ukochanego, zajęta szyciem rozerwanego barku, chociaż nie miała ku temu warunków w skromnie zaopatrzonych salach zabiegowych.

– Nie damy rady uratować nogi – powiedziała do Jasi przy kolejnym pacjencie. – Tylko tu nie ma warunków do amputacji.

Dziewczyna patrzyła przerażona na krwawą masę, w którą zamieniło się podudzie nieszczęśnika.

– To co zrobić? – spytała dziewczyna.

– Przecież go nie odeślemy – westchnęła Anna i z pomocą Jasi związała chorego pasami, unieruchomiła ręce i podała resztkę morfiny, którą przezornie przyniosła ze szpitala.

– Tniemy w imię Boże – zarządziła i zaczęła rozcinać skórę powyżej urazu, podwiązywać naczynia oraz zszywać nerwy.

Chory zbudził się z przeraźliwym krzykiem i byłby spadł ze stołu, gdyby nie podbiegł Konrad Dobrski i nie przytrzymał nieszczęśnika.

– Nie mam już morfiny – wyznała mu Anna.

– Niech się panienka przesunie – Dobrski powiedział grzecznie do Jasi, która ledwo stała po całym dniu ciężkiej pracy. – Macie tu piłę?

– Mamy, bo zdarza nam się amputować palce. Ale nigdy nie amputowałam tu nogi – przyznała się Anna.

– A kiedy amputowałaś? – spytał Konrad Dobrski, pomagając Annie podwiązywać krwawiące naczynia krwionośne.

Oboje odczuli wyraźną ulgę, kiedy chory pod wpływem bólu i upływu krwi ponownie stracił przytomność i nie słyszał tej dyskusji.

– W Zurychu, na studiach – odpowiedziała.

– To ja przyniosę piłę – powiedziała Jasia i szybko wyszła.

– Ja w zeszłym miesiącu, kiedy przynieśli nieszczęśnicę z fabryki automobili. Miała podobnie zmiądzoną nogę, ale nie przeżyła, mimo że wykonaliśmy amputację w szpitalu.

Wróciła Jasia z piłą. Początkowo podała ją Annie, ale ona spojrzała błagalnie na Konrada. Skinął głową i zapytał:

– W imię Boże?

– W imię Boże – przytaknęła.

Kilka godzin później sytuacja wydawała się opanowana. Oparzeni oraz lżej ranni zostali opatrzeni przez Grażynę. Anna i Konrad wykonali najtrudniejsze operacje, w tym trepanację czaszki u młodej dziewczyny, której w wyniku wybuchu fragment szkła wbił się prosto w mózg. Jasia i Józia zbierały zakrwawione prześcieradła i serwety chirurgiczne, a Anielka gotowała wodę na kuchni, żeby wysterylizować narzędzia chirurgiczne.

– Ilu zostanie na noc w gabinecie? – spytała Grażyna.

– Dwoje – odpowiedziała jej Anna. – Mężczyzna z amputowaną nogą i kobieta po trepanacji czaszki.

– Trzeba powiadomić Leona – powiedziała Grażyna.

– Nie widziałam go od chwili, kiedy przyprowadził pierwszego rannego – uświadomiła sobie Anna.

– Jest na dole – wtrąciła się Jasia i usiadła na podłodze, podpierając się plecami o ścianę. Wyglądała na wycieńczoną. – Widziałam.

– Śpi pijany. – Anielka wieszała fartuchy na sznurze. Ściekała z nich woda. Anna przyglądała się, jak krople spadają na podłogę, i czuła, że oczy same jej się zamykają.

– Czy ktoś zabrał trupa tej kobiety? – spytała słabym głosem.

Nikt jej nie odpowiedział. Konrad spojrział na nią pytająco.

– Ja zostanę, a wy idźcie do domów – powiedziała.

– Nie mogę na to pozwolić – rzekł miękko Konrad Dobrski. – Ja zostanę z chorymi.

– Może lepiej odwieź, proszę, dziewczęta do domów.

– Nie, nie – zaprotestowała Grażyna. – Ja się tym zajmę, ale najpierw zbudzę Leona.

– Kim jest Leon? – spytał Dobrski.

Wyjaśniono mu, a on podjął błyskawiczną decyzję.

– Panno Grażyno – stwierdził stanowczo – zaraz znajdę dorożkę i pojedzie pani z tymi młodymi damami do domu.

Jasia, Józia i Anielka chciały zaprotestować, ale znużenie je pokonało, więc tylko pokiwały głowami. Siedziały wszystkie trzy na podłodze niczym zepsute lalki, opierając się głowami o swoje ramiona.

– A pan? – spytała Grażyna.

– Pójdę rozmówić się z Leonem – stwierdził. – Potem wrócę i zostanę z Anną.

– Nie, nie... – zaprotestowała nieśmiało.

– Tak – powiedział stanowczo. – Nie pora na to, aby bać się skandalu.

– Nie boję się skandalu. Tylko nie chcę obarczać cię takim kłopotem.

– Nie obarczysz, kochanie – powiedział tak czule, że Grażyna się uśmiechnęła.

– Anno, to rozsądna propozycja – poparła go przyjaciółka. – Przypuszczam, że nie zechcesz pozostawić tych dwojga chorych samym sobie. Na Leona nie ma co liczyć, a sama nie możesz zostać.

Anna walczyła ze sobą. Tak naprawdę nie bała się ani złych języków, ani tego, że sprawi Konradowi kłopot. Myślała tylko o tym, że on może ją uznać za słabą istotę.

– Nie bądź niemądra. – Podźwignął się ciężko. – Idę obić mordę waszemu Leonowi.

Grażyna na takie dictum parsknęła śmiechem.

– Zbierajcie się, panny – powiedziała, kiedy Konrad zniknął za drzwiami. – Rano najpierw pojedę do szpitala i wezmę morfinę. Nic nam już nie zostało.

Anna pokiwała głową.

– A potem, kiedy już tu wrócę, wy pojedziecie się przespać – dodała.

Anna ponownie pokiwała głową i spojrzała z wdzięcznością na przyjaciółkę.

– I przywiozę śniadanie. Każę mamci zaprzęgnąć do roboty te jej służki.

Anna tylko spuściła głowę.

– Poproś Kasię, żeby poszła do Dzieciątka i...

– Dobrze – zgodziła się Grażyna. – Poproszę, żeby przyprowadziła ze szkoły położnych nowe dziewczęta. A sama pójdę do Dzieciątka i załatwię transport chorych. Nie mogą tu zostać.

– Jesteś nieoceniona – powiedziała.

Wrócił Konrad, trzymając w ręku dwa koce.

– Chodź, moja droga – poprosił, pomagając narzeczonej wstać.

– Co z Leonem? – spytała.

– Wylałem go na zbity pysk – powiedział. – Nie pytałem, ale uznałem, że już się nie przyda. Pijany w sztok, a w łóżku ma truchło czarnego kota. Skarbie, sądzę, że to jest mimo wszystko przesada.

– Dziękuję – odparła i położyła się na leżance, nawet nie zegnając się z Grażyną i pielęgniarkami. Mając świadomość, że oto spędza pierwszą noc

w towarzystwie narzeczonego – a nie mają przecież ślubu – natychmiast zasnęła.

Felix Hoffmann

1868–1946

– To jest nowy nabytek pionu laboratoryjnego firmy Bayer. Panowie pozwolą, że przedstawię doktora Felixa Hoffmanna.

Felix, nieco onieśmielony atencją, którą mu okazano, uklonił się niezręcznie. Nie spodziewał się bowiem, że do pracy wprowadzi go sam założyciel i dyrektor koncernu – Friedrich Bayer.

Na stanowisko farmakochemika polecił go Adolf von Baeyer^[10], jego profesor na Wydziale Chemii Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium, mentor i przyjaciel. Po skończeniu studiów Felix otrzymał propozycję objęcia asystentury na uczelni. Zajmowałby się, jak dawniej, badaniami i prowadził wykłady dla studentów. Pewnie skorzystałby z propozycji, gdyby nie von Baeyer, który wiedział, że Hoffmann ma otwarty umysł i wielkie zdolności, chociaż na co dzień jest młodzieńcem nieśmiałym i zamkniętym w sobie. Przekonał Felixa, aby ten nie poświęcał się pracy teoretycznej, i przedstawił jego osobę swojemu przyjacielowi Friedrichowi Bayerowi. Niespełna miesiąc później Felix został pracownikiem wielkiej fabryki, która do tej pory słynęła z produkcji barwników, ale planowała wejście na rynek farmaceutyczny.

– Witamy w naszej firmie. – Arthur Eichengrün, kierownik głównego laboratorium Bayera, uścisnął mu dłoń.

– Dziękuję. Jestem bardzo wdzięczny – odpowiedział Hoffmann, czerwieniąc się przy tym jak panna na wydaniu. Miał ochotę natychmiast zasiać do doświadczeń albo uciec, gdzie pieprz rośnie.

– Jak się panu podoba w Elberfeld? – zapytał Eichengrün. – Laboratorium wygląda nieco inaczej niż to w Monachium, prawda?

– To dla mnie zaszczyt pracować w zakładach badań farmaceutycznych – bąknął, mając świadomość, że zabrzmiało to niezręcznie. – Tak. Laboratorium uczelniane jest dużo skromniejsze niż to.

– Mam nadzieję, że spełni pana oczekiwania – dodał Bayer.

Felix się uklonił. Chciał powiedzieć, że on też ma nadzieję, że spełni oczekiwania Bayera, ale zanim zdążył otworzyć usta, do pomieszczenia wszedł niski, szczupły mężczyzna.

– To jest doktor Heinrich Dreser, kierownik nowego skrzydła laboratoryjnego. – powiedział dyrektor do Felixa, po czym zwrócił się do nowo przybyłego: – A to pan Felix Hoffmann. Będzie pracował bezpośrednio pod pana kierunkiem.

Heinrich Dreser uśmiechnął się szeroko i uścisnął Felixowi dłoń.

– Wyglądaliśmy tu pana niecierpliwie. Słyszeliśmy o panu dużo dobrego.

– Bardzo się cieszę, że będę pracował pod pana kierunkiem. – Felix ponownie się uklonił.

– To ja panów zostawiam – powiedział Bayer i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Felix stał niepewnie, trzymając w ręku kapelusz. Dreser spoglądał na niego z życzliwością.

– Naprawdę się cieszymy – zapewnił go. – Stary Adolf ma nosa do ludzi.

Felix pokiwał głową. Był zaskoczony, kiedy von Baeyer złożył mu tę propozycję, i ogromnie wdzięczny, że profesor zauważył jego zacięcie do badań doświadczalnych. Odliczał dni do chwili, kiedy będzie mógł zacząć pracę. Adolf von Baeyer mówił, że Bayer dysponuje niemalże nieograniczonymi środkami i jego laboratoria są świetnie wyposażone. Teraz, kiedy stał przed nowym stanowiskiem pracy, tak różnym od skromnego laboratorium uczelni, kiedy wiedział, że cały swój czas i całą swoją wiedzę może spożytkować na własne badania, czuł niemalże uniesienie. Wolał jednak pracować samotnie, w spokoju. Już na uczelni śmiano się z niego, że łatwiej jest znaleźć monetę na ulicy niż się doczekać, żeby Felix odezwał się niepytany.

– Chodźmy – powiedział Dreser. – Pokażę panu nasze królestwo. Wybacz pan, doktorze Eichengrün.

– Mam co zrobić, drogi kolego. – Arthur Eichengrün uśmiechnął się cierpko.

Heinrich Dreser roześmiał się i skinął na Felixa głową.

– Pan przodem.

– Musi mi pan wybaczyć, bo jestem gadułą – mówił Dreser, kiedy szli długim, pomalowanym na biało korytarzem. – Mam nawet zwyczaj mówić do siebie, kiedy nad czymś pracuję.

– Ja mało mówię – przyznał się Felix.

Dreser otworzył drzwi i zaprosił Hoffmanna gestem.

– Pan przodem i proszę się rozgościć.

Felix wszedł, zdjął płaszcz i razem z kapeluszem powiesił na wieszaku. Podszedł do nowego stanowiska pracy.

– Wszystko, co potrzebne, znajdzie pan w szufladzie – zachęcił go Dreser.

Felix otworzył szufladę, wyjął z niej fartuch i włożył na siebie. Potem usiadł i zaczął oglądać kolby, które stały na półce.

– Pan, jak widzę, należy do tych skupionych, którzy mało mówią, a dużo robią, tak? – spytał życzliwie Dreser.

– Tak – bąknął Felix.

– Ale moje gadulstwo nie będzie panu przeszkadzało? – upewnił się.

– Nie – odpowiedział Hoffmann. – I proszę mówić mi Felix.



Następnego dnia omawiali z Dreserem wyniki jego ostatnich badań, kiedy do pracowni wszedł Eichengrün z teczką pod pachą.

– I jak pan znajduje nasze laboratorium? – spytał bez wstępów.

– Arthurze, daj mu odetchnąć. Omawiamy właśnie wyniki moich eksperymentów – wtrącił się Dreser.

Eichengrün położył teczkę na blacie.

– To kilka moich ostatnich badań. Zajmowałem się metylacją, pracowałem z węglanami sodu i wapnia. Proszę przejrzeć – powiedział.

– Dziękuję, zrobię to na pewno. – Hoffmann wziął teczkę.

– Ja go właśnie katuję moimi naturalnymi związkami. Widzisz, Felixie, to taka niepotrzebna działalność. Ani to leki, ani to farby. – Dreser się roześmiał.

– Jesteś zbyt skromny, Dreser – powiedział Eichengrün. – Stworzyłeś setki odczynników farbiarskich oraz wyizolowałeś wiele naturalnych związków. Pozostaje tylko stwierdzić, które z nich mogą posłużyć ludziom jako lekarstwa.

– I to jest zadanie Felixa, tylko daj mu trochę czasu.

Hoffmann uklonił się Dreserowi. Otworzył teczkę Eichengrüna i zaczął zapoznawać się z materiałem.

– Chciałbym pracować nad związkami syntetycznymi – powiedział nagle Hoffmann.

– Radziłbym się skupić nad rozwijaniem naszej dotychczasowej działalności, a nie nad robieniem rewolucji – rzucił Eichengrün.

– Nie zgadzam się z tobą, Arthurze – wtrącił się Dreser. – Przydałoby się wynaleźć coś sztucznego, a skutecznego. Naturalne związki są farmakologicznym rozczarowaniem.

Eichengrün spojrzał niechętnie na Dresera, potem przeniósł wzrok na Hoffmanna.

– Szukamy aktywnych składników w naturalnych substancjach – powiedział z naciskiem. – Możemy próbować je nieco zmodyfikować, ale ich forma powinna pozostać nienaruszona. Zanim powstało nasze laboratorium, to natura była jedyną apteką.

Hoffmann pokiwał głową, chociaż kompletnie nie zgadzał się z Eichengrünem. Uważał, że wykorzystywanie cząsteczek prawoskrętnych czy lewoskrętnych w terapii jest bezcelowe. Od stuleci zajmowano się także utlenianiem czy wodorowaniem znanych substancji i żadna z nich nie pomagała zbić gorączki czy pozbyć się bólu głowy. Sam Felix pragnął

stworzyć substancję, która posłuży jako lekarstwo, sprawić, aby była doskonała. Nie znosił przypadkowości.

– Oczywiście, panie doktorze. – Dreser wypowiedział te słowa ze śmiertelną powagą, ukłonił się kierownikowi laboratorium i skinął na Hoffmanna. – Właśnie tym się zajmiemy.



Przez pierwszy tydzień Dreser pozwolił mu się wdrożyć, przetestować wszystkie dostępne w Bayerze odczynniki i zorientować się w rozkładzie laboratorium. Felix od razu polubił Dresera. Heinrich był bezpośredni, a przy tym szanował nieśmiałość Felixa. Nie wtrącał się także do jego badań. Napomknął jedynie, że w razie gdyby Hoffmannowi czegoś brakowało, powinien najpierw zgłosić to jemu jako bezpośredniemu kierownikowi.

– Taka tu kolej rzeczy – wyjaśnił mu. – Najpierw zwracasz się do mnie i dopiero ja idę z tym do Eichengrüna.

– Doktor Eichengrün – nieśmiało zaczął Hoffmann. – On jest nieco...

– Konserwatywny? Zacořany? Kostyczny? – dokończył za Felixa Dreser. – Po trzykroć tak.

– Ale da się go namówić na jakieś innowacje?

– Można próbować. – Dreser pokiwał głową. – Można też iść do domku Baby-Jagi i zażądać wydania Jasia i Małgosi.

Hoffmann się roześmiał.

– Wreszcie! – Dreser klasnął w dłonie. – Drugi tydzień pracy, a kolega Hoffmann już się śmieje. Brawo! Bis!

– Ja się staram... – zaczął Felix, ale Dreser mu przerwał.

– Wiem, mój drogi, że się starasz. – Mrugnął okiem. – I jeszcze zrobię z ciebie wesołka. Twoje imię mnie prowokuje. Felix znaczy szczęśliwy, tymczasem ty jesteś – zastanowił się chwilę – szczęśliwy inaczej.

Hoffmann znów się roześmiał. Miał nadzieję, że Dreser czuł, że Felix darzył go dużym szacunkiem i sympatią.

– No to mów, mój drogi, co ci leży na wątrobie. – Dreser się uśmiechnął. – A ja zamieniam się w słuch.

– Salicylany – wyjaśnił krótko Hoffmann, po czym przedstawił kierownikowi swoją koncepcję badań.

– To brzmi bardzo dobrze – powiedział Dreser, kiedy Felix skończył referować, a kierownik zapoznał się z jego zapiskami. – Weź notatki i idziemy do Eichengrüna. Masz moje poparcie.



Eichengrün krążył po niewielkim pokoju, w którym znajdowały się jego stanowisko badawcze oraz biurko, przy którym pisał raporty i weryfikował wyniki badań swoich podwładnych.

– Salicylany? – spytał w końcu.

Hoffmann wyciągnął przed siebie rękę z plikiem papierów gęsto pokrytych notatkami i wzorami chemicznymi.

– Jeśli mogę, chciałbym zająć się właśnie salicylanami – powiedział.

Eichengrün zdjął jedno okulary, włożył drugie i pochylił się nad plikiem notatek. Przejrzał je pobieżnie, a następnie zwrócił się do Felixa:

– Dlaczego akurat salicylanami chciałby się pan zająć? Salicylany są powszechnie znane od początku dziewiętnastego wieku.

– Mam wrażenie, że ich potencjał nie jest wykorzystywany – odpowiedział ostrożnie Hoffmann.

– Próbowano je stosować, ale nie spełniły oczekiwań. – Eichengrün położył nacisk na słowo „oczekiwania”.

– Wiem o tym – potwierdził Felix. – Pozwolę sobie jednak zauważyć, że nie tyle nie spełniły oczekiwań, ile powodowały wiele objawów niepożądanych.

– Czyli nie spełniły oczekiwań – powiedział twardo Artur Eichengrün.

– Tak, tylko że... – zaczął Hoffmann, lecz Eichengrün mu przerwał.

– Jesteśmy chemikami, ale pracujemy w służbie medycyny – rzucił. – Czyli to, co dla nas jest potencjalnie wspaniałym wynalazkiem, chorego może zabić.

– Wiem o tym, jednakże... – ponownie spróbował Felix.

– Jeszcze nie skończyłem – powstrzymał go Eichengrün. – W leczeniu suma korzyści musi przeważać nad ryzykiem. Albo inaczej mówiąc, korzyść z terapii ma być większa niż szkody wyrządzone przez skutki uboczne, które pojawią się w wyniku podania innego leku.

– Wiem, ale... – spróbował Hoffmann jeszcze raz.

– Pańskie salicylany mogłyby mieć jakieś zastosowanie, gdyby nie powodowały straszliwego bólu brzucha. – Eichengrün rzucał słowami niczym pociskami.

Felix zamilkł i stał z nieszczęśliwą miną.

– Drogi Arthurze, gdyby pan pozwolił doktorowi Hoffmannowi dokończyć swoją myśl i dopiero wtedy odmówił mu wsparcia, jestem przekonany, że lepiej by się czuł z pańską odmową – wtrącił szybko Dreser.

Eichengrün zamilkł i spojrzał oburzony na kolegę. Hoffmann tymczasem zdążył zebrać myśli. Był wdzięczny Dreserowi, że odwrócił uwagę kierownika, mimo że musiał się liczyć z jego niechęcią.

– Gdybym nie cenił pana jako wybitnego naukowca, nie chciałbym z panem pracować – burknął w końcu. – Pana argumenty są wyjątkowo niedorzeczne. Pańskie poczucie humoru również.

Dreser spojrzał przez okno na skąpany w słońcu park, a potem podszedł do Eichengrüna i wziął notatki Hoffmanna.

– Ja uważam, że w tym jest potencjał – powiedział bardzo poważnie. – Proszę mi pozwolić wyjaśnić to na przykładzie badań profesora Baeyera.

– A co Adolf ma z tym wspólnego? – Eichengrün wzruszył ramionami. – Z tego, co wiem, zajmuje się kwasem malonowym.

– Właśnie! – Dreser uniósł palec. – Nasz mentor, profesor Baeyer, prowadzi eksperymenty z kwasem malonowym, który, jak wiadomo, sam w sobie posiada silne właściwości drażniące skórę i błony śluzowe.

Eichengrün zmarszczył brwi.

– Profesor uważa, że substancja ma potencjał przeciwbólowy – kontynuował swój wywód Dreser. – Wystarczy tylko znaleźć sposób, żeby pozbyć ją działań niepożądanych, a przy tym nie stracić właściwości leczniczych.

– Doskonale o tym wiem – burknął Eichengrün. – Profesor dzieli się wynikami badań.

Dreser pokiwał głową.

– W tym celu poddał kwas dekarboksylacji, prowadził eksperymenty z sodem, chlorem i cyjankiem sodu. Wszystko na próżno, a mimo to nasz staruszek jest przekonany, że wystarczy znaleźć właściwe połączenie, a kwas malonowy zamieni się w doskonały analgetyk. Pozwólmy na to samo panu Hoffmannowi.

– Co wolno Baeyerowi, to nie panu Hoffmannowi – stwierdził Eichengrün.

– Z całym szacunkiem. – Dreser nadal był poważny i skupiony. – Doktor Hoffmann został zatrudniony, aby szukać substancji aktywnych. Jak ma je znaleźć, kiedy nie może ich szukać tam, gdzie uważa za stosowne?

Eichengrün skrzywił się.

– Zawsze może szukać estrów kwasów organicznych w nadziei, że wynajdzie panaceum na wszelkie dolegliwości – dodał jeszcze Dreser.

– A pan uważa, doktorze Dreser, że to salicylany są panaceum na wszelkie dolegliwości?

– Teoretyczne wyliczenia są bardzo zachęcające, ale jak pan wie, liczy się praktyka. Jednym słowem, pozwólmy mu to zbadać i oceńmy. – Dreser rozłożył ręce.

Felix podczas tyrady kolegi kiwał głową, patrząc na Eichengrüna. Był głęboko wdzięczny Dreserowi za jego mowę. Sam nie ująłby tego lepiej. Eichengrün zastanawiał się przez chwilę. Potem przeniósł wzrok na Hoffmanna.

– Dobrze, ale niech mi pan powie: czemu akurat salicylany?

Hoffmann się uklonił.

– Mój ojciec jest chory na reumatyzm. Bardzo cierpi – zaczął. – Lekarz przepisał mu kwas salicylowy. Początkowo znacznie złagodził ból. Ojciec zaczął się znów ruszać. Przesypiał całe noce. Po upływie dwóch tygodni pojawiły się silne bóle brzucha. Próbowaliśmy zmniejszyć dawkę, ale to nic nie dało. Bóle brzucha stawały się coraz silniejsze, a skuteczność kwasu salicylowego w łagodzeniu bólów reumatycznych była coraz mniejsza. W końcu, kiedy ojciec nie był w stanie nic zjeść, z żalem odstawiliśmy lek.

– O tym właśnie mówię – skomentował Eichengrün. – O co w takim razie panu chodzi?

– Pamiętam jednak, jak skuteczny był na początku, zanim pojawiły się objawy niepożądane – kontynuował Hoffmann. – Dlatego uważam, że powinienem popracować nad tą cząsteczką. W połączeniu z inną substancją może zachować swoje właściwości przeciwbólowe i nie drażnić żołądka.

– Jakim sposobem? – spytał Eichengrün.

– Myślałem o połączeniu kwasu z inną cząstką, która byłaby nieaktywna i słabo rozpuszczalna.

– Oraz odporna na kwas żołądkowy – wtrącił Dreser.

Eichengrün podumał przez chwilę.

– Chciałbym stworzyć swego rodzaju płaszcz otulający kwas salicylowy – dodał Dreser.

– Co by to dało? – spytał Eichengrün łagodniejszym tonem.

– W żołądku rozpuściłaby się jedynie otoczka, a sam kwas przeszedłby w tym czasie do jelita i tam uległ absorpcji – wyjaśnił Felix.

– Skąd pewność, że nie podrażniałby śluzówki jelita?

– Nie mam takiej pewności, ale uzyskaną cząsteczkę mogę poddać działaniu kwasu żołądkowego – wyjaśnił Hoffmann i spojrzął na Dresera.

– To ciekawy pomysł – przyznał Eichengrün.

– W materiałach zawarty jest jeszcze drugi kierunek. – Dreser podszedł do stołu Eichengrüna, otworzył plik z notatkami na piątej stronie i znalazł odpowiedni wzór. Eichengrün pochylił się nad pismem Hoffmanna.

– Chce pan spróbować acetylacji? – spytał.

– Tak. – Felix pokiwał głową. – Jeszcze w Monachium prowadziłem badania nad acetylacją różnych substancji.

– Ale nie próbował pan acetylacji kwasu salicylowego, tak? – indagował Eichengrün.

– Nie – przyznał Hoffmann. – Nie udało mi się zsyntetyzować czystego kwasu. To bardzo trudne.

Eichengrün zagłębił się w lekturze notatek Felixa.

– Mówi pan, że kwas syntetyzujemy od lat trzydziestych, ale przyczyną rozczarowań przy jego zastosowaniu może być trudność w uzyskaniu czystej substancji?

– Jedną z przyczyn – sprostował Hoffmann. – Chciałbym ją wyeliminować na samym początku. Uważam, że to podstawa wszelkich dalszych badań.

Eichengrün myślał dłuższą chwilę. W końcu obrócił się do Dresera.

– No dobrze – powiedział. – To ciekawa koncepcja. Jestem jej przychylny. Co więcej, pomogę zsyntetyzować kwas.

Oblicze Felixa Hoffmanna rozjaśniło się.

– Świetnie – nieco cierpko rzucił Dreser, mając świadomość, że Eichengrün będzie teraz częstym gościem w ich pokoju laboratoryjnym.

– Dobrze więc – powiedział Arthur Eichengrün. – Niech pan nad tym pracuje i regularnie donosi o wynikach swoich badań.

– Oczywiście, panie doktorze. – Hoffmann ukłonił się swoim zwyczajem.

– Ja również chciałbym powiedzieć, że... – zaczął Dreser, ale Eichengrün mu przerwał.

– Ja bym nie chciał już dziś pana słuchać – rzucił niezbyt grzecznie. – Kiedy można spodziewać się pierwszych wyników?

– Mam nadzieję, że w czasie krótszym niż miesiąc – odparł Hoffmann, szczęśliwy, że udało mu się przekonać kierownika do swojego pomysłu.

– Zatem proszę zabierać się do roboty – burknął Eichengrün i odprawił ich gestem.



Felix zanotował w swoim dzienniku:

10 sierpnia 1897 roku

Stworzyłem chemicznie czystą i stabilną formę kwasu salicylowego, używając kwasu octowego. Co więcej, wyniki są powtarzalne. Mogę syntetyzować czysty kwas w dowolnych, także przemysłowych ilościach.

– Udało ci się, Felixie. – Dreser poklepał go po ramieniu.

– Tak. – Hoffmann pokiwał głową. – Jestem, można powiedzieć, szczęśliwym człowiekiem.

– Możemy teraz pokazać kwas acetylosalicylowy Eichengrünowi. Oby docenił twój wysiłek i skierował substancję do dalszych badań.

– Muszę ci coś wyznać, Heinrichu – powiedział cicho Hoffmann.

– Czyżbyś już zaczął badania? – spytał Dreser.

Felix spuścił wzrok.

– Podąłem kwas ojcu – wyznał. – Nie chciałem czekać na wyniki badań. Będą ciągnęły się miesiącami, a ojciec bardzo cierpi.

Dreser uśmiechnął się ciepło.

– I co? – spytał.

Na twarzy Felixa Hoffmanna malował się triumf.

– Nie masz pojęcia, co poczułem, kiedy zobaczyłem spokój na twarzy ojca – odpowiedział. – Ból stawów natychmiast złągodniał. A na dodatek nie pojawiły się dolegliwości żołądkowe. Dasz wiarę?

– Wtedy także nie pojawiły się od razu – przypomniał mu Dreser.

– Podąłem mu kwas dwa tygodnie temu. Kiedy go tylko uzyskałem.

Heinrich Dreser gwizdnął przeciągle.

– Właśnie. – Hoffmann się uśmiechnął.

– Krótko mówiąc, syntetyzując kwas acetylosalicylowy, znalazłeś sposób, aby uczynić ten związek bezpiecznym i zdatnym do powszechnego spożycia?

– Na to wygląda – przytaknął Felix.

– No to chodźmy pokazać twoje wyniki szefowi, a wkrótce świat będzie stał przed tobą otworem.

– Przed nami – sprostował Felix. – Ty mi pomagałeś, a Eichengrün nadzorował prace, pamiętasz?



– Preparat wymaga jeszcze wielu badań, chociaż nie przeczę, że wstępne wyniki są zachęcające – powiedział Eichengrün.

– Mówiłem panu, że podałem kwas mojemu ojcu i... – zaczął Felix.

– Drogi kolego. – Eichengrün spojrział na niego niechętnym wzrokiem. – Powinien pan wiedzieć, że „dałem komuś i pomogło” to może powiedzieć znachorka albo jakiś szaman. Lek musi przejść badania kliniczne. A na to moim zdaniem zbyt wcześnie.

– Pan sam czuwał nad syntezą czystego kwasu – przypomniał mu Dreser. – Oceniał pan czystość preparatu. Teraz powinniśmy...

– A pan swoje, Dreser. – Eichengrün się zdenerwował.

– Tak, ja swoje, bo moim zdaniem nie ma na co czekać – upierał się Heinrich. – Jeśli lek nie spełni oczekiwań, będzie to wiadomo od razu. A jeśli jest dobry, to musimy to sprawdzić jak najszybciej.

O ile Hoffmann był pod wrażeniem tego prostego argumentu, o tyle najwyraźniej Eichengrün nie podzielał zachwyty podwładnego.

– Nie mam przekonania, że substancja jest bezpieczna, a to na mnie ciąży odpowiedzialność.

Dreser spojrział na swojego szefa z uśmiechem.

– Ja pana zapewniam, Arthurze, że jest.

– A na jakiej podstawie? – spytał Eichengrün, uśmiechając się cierpko.

– Przedwczoraj przyszedłem do pracy chory, pamięta pan?

Hoffmann spojrział na Heinricha uważnie. Pamiętał, że dwa dni wcześniej Dreser źle się czuł i nawet sam go namawiał, żeby wrócił do domu i się położył. Wczoraj jednak Heinrich przyszedł do pracy bez śladu choroby, jak zwykle energiczny i tryskający humorem. Felix pomyślał nawet, że być może dolegliwości kolegi były wynikiem zmęczenia, a nie przeziębienia.

– Pamiętam – mruknął Eichengrün. – I co z tego?

– Łyknąłem sobie naszego kwasu – wyznał Dreser, a Hoffmann spojrział na kolegę z przerażeniem. – I proszę sobie wyobrazić, że ból głowy i gorączka ustąpiły jak ręką odjął. W ciągu godziny byłem zdrow jak ryba.

Felix wpatrywał się w Dresera z rozdziawionymi ustami. Eichengrün zmarszczył brwi.

– To było nierozsądne – powiedział wolno.

– Nie uważam tak – spokojnie odpowiedział Dreser i zwrócił się do Hoffmanna: – Felixie, zdaje się, że zrobiłeś plan badań. Czy mógłbyś nas z nim zapoznać?

Hoffmann przełknął ślinę.

– Powinniśmy podzielić chorych do testów na dwie grupy – powiedział. – Pierwsza to pacjenci z chorobami zapalnymi, przewlekłymi. Ci powinni brać kwas salicylowy przez co najmniej dwa–trzy tygodnie dwa razy dziennie. Druga grupa to pacjenci gorączkujący z takiej czy innej przyczyny, z bólami wszelkiego rodzaju, ale krótkotrwałymi. Tacy powinni przyjmować jedną do trzech dawek bez konieczności dzielenia ani systematycznego przyjmowania.

Eichengrün kiwnął głową, nie patrząc na nich.

– Dobrze. Pójdę z tym do starego Bayera.



Friedrich Bayer krążył po gabinecie. Przed nim stali Felix Hoffmann i Heinrich Dreser.

– Dlaczego odmówiono patentu? – spytał. – Czym umotywowano odpowiedź negatywną?

– Argumentowano, że substancja ta była od dawna powszechnie znana, dlatego nie mogę żądać jej opatentowania.

– Doktorowi Eichengrünowi także odmówiono – zauważył Dreser nie bez satysfakcji. – Też się ubiegał.

– Niech pan mi tego nie przypomina – burknął Bayer.

Wszyscy byli zaskoczeni, kiedy Arthur Eichengrün zwrócił się do urzędu patentowego z taką samą prośbą jak Hoffmann, dowodząc, że ten zsyntetyzował kwas acetylosalicylowy pod jego kierunkiem i za jego sprawą.

– Przecież wcześniejsze próby nie zakończyły się wyizolowaniem kwasu acetylosalicylowego w czystej, stabilnej formie, którą można by stosować codziennie – żołądkował się Bayer.

– Panie dyrektorze – zaczął Dreser. – Próby kliniczne są więcej niż obiecujące. Lek jest bezpieczny i bardzo dobrze tolerowany. Nasza substancja aktywna obniża poziom bólu niemalże natychmiast po przyjęciu. Aby to zmierzyć, stosowaliśmy wszystkie znane nam skale oceny natężenia bólu. To jest wielki sukces.

– W dodatku kwas acetylosalicylowy ma działanie przeciwgorączkowe. Temperatura spada w ciągu kilkunastu minut od podania – dodał Hoffmann z uśmiechem.

– Wiem, czytałem wyniki – powiedział Bayer nieco weselszym tonem.

– To jeszcze nie wszystko. – Dreser się uśmiechnął. – Przebadaliśmy grupę chorych z przewlekłymi chorobami zapalnymi, głównie reumatoidalnym zapaleniem stawów. Od kilku miesięcy przyjmują kwas salicylowy. Jest ogromna poprawa. Ponad pięćdziesiąt procent z nich powróciło do pełnej aktywności, a pozostali twierdzą, że ich stan znacznie się poprawił.

– A te bóle żołądka? – spytał Bayer.

– Niewielkie bóle żołądka występowały u jednego na dziesięciu pacjentów, ale szybko ustępowały – wyjaśnił z dumą Hoffmann.

– Jak wam się udało zapanować nad tym objawem? – Bayer złożył ręce jak do modlitwy. – To jest cud.

Felix wyjaśnił, że cząsteczka rozpuszcza się na tyle wolno, że zdąży przejść do jelit i dopiero tam się rozpada. Pomiął milczeniem żmudne badania – wielogodzinne trzymanie kwasu salicylowego w kwasie siarkowym, głównym składniku płynu żołądkowego.

– To jest wielki sukces – powiedział Bayer. – Panowie, dokonaliście tego.

– To będzie wielki sukces, kiedy zaczniemy produkcję na skalę masową – stwierdził Dreser i popatrzył na Hoffmanna.

– Mogę wyizolować ogromne ilości kwasu – zapewnił Hoffmann.

– Obejmie pan kierownictwo działu farmaceutycznego – oświadczył nagle Bayer. – Doktor Dreser popiera moją decyzję.

Felix przełknął ślinę. Popatrzył najpierw na dyrektora, potem na Dresera. Był szczerze przerażony.

– Ale ja... – zaczął. – Nie mogę...

Dyrektor machnął ręką.

– Ktoś musi nad wszystkim czuwać, przekazywać wyniki badań, pilnować linii produkcyjnej.

– Doskonale się do tego nadajesz, mój drogi – zapewnił go Dreser z uśmiechem.

– Ale ja nie... – Hoffmann patrzył prosząco to na Dresera, to na Bayera.

– A właśnie, linia produkcyjna – przypomniał sobie dyrektor. – Czekam na szczegóły, które mieliście opracować.

Felix analizował, jak sobie poradzi na nowym stanowisku, tymczasem Dreser wyjął z teczki plik papierów.

– Przeprowadziłem obliczenia na podstawie naszych wcześniejszych farmaceutyków. Proszę, są tutaj.

Dyrektor wziął dokumenty do ręki.

– Dobrze – powiedział. – Zapoznam się z tym i przedstawię na zebraniu zarządu. Sądzę jednak, że opinia będzie więcej niż pozytywna i zaczniemy produkcję.



Heinrich Dreser położył na blacie kilkanaście kartek zapisków i powiedział do Felixa:

– Musisz mi pomóc, mój drogi.

Felix zerknął na notatki.

– Kodeina? – spytał. – A cóż to takiego?

– Pochodna morfiny o słabszym działaniu. Wyobraź sobie, natrafiłem na tę substancję przypadkiem. Ktoś ją wyizolował ze sto lat temu. Jest stosowana do tłumienia kaszlu. W każdym razie uważam, że także ma potencjał przeciwbólowy. Jak nasza aspiryna. Tylko czegoś jej brakuje.

Dreser patrzył na Felixa z typowym dla siebie uśmiechem.

– A czego jej brakuje według ciebie?

– Ha! – Dreser uniósł palec. – Moim zdaniem brakuje jej acetylacji.

Felix, co dla niego rzadkie, roześmiał się głośno.

– Chcesz powiedzieć, Heinrichu, że mam z twoją kodeiną zrobić to samo, co z kwasem salicylowym? I spodziewasz się podobnego sukcesu?

Dreser kiwnął głową.

– Dokładnie tak, mój drogi. Będziemy acetylować wszystko, co się da.

Felix spoważniał.

– Heinrichu, niespełna dwa tygodnie temu rozpoczęliśmy przemysłową produkcję aspiryny.

– I od razu mamy bestseller! – wykrzyknął Dreser. – Ale jako że nie należy spoczywać na laurach, zrobmy drugi!

– Jednakże prawdopodobieństwo znalezienia drugiego tak mocnego leku jak aspiryna jest znikome.

Dreser klasnął w dłoń.

– Wieczny pesymista z ciebie, Felixie. Pamiętasz, jak miałem gorączkę i zażyłem twój kwas acetylosalicylowy? Obiecuję, że zażyję również diacetylmorfinę.

– Dobrze, przemyślę to – westchnął Felix.

– Najlepiej zabierz się do tego od razu – zasugerował Heinrich i wyszedł z laboratorium, zostawiając Felixa z notatkami.



Bayer wpatrywał się w obu z niedowierzaniem.

– Chcecie powiedzieć, że uzyskaliście nowy lek? Kilka tygodni po tym, jak zaczęliśmy produkcję aspiryny? To niemalże niemożliwe.

– Tak. – Felix pokiwał głową. – Mnie też się to wydawało niemożliwe, ale doktor Dreser przekonał mnie do acetylacji pochodnej morfiny.

– Morfina, jak wiadomo, ma właściwości uzależniające – powiedział Dreser z entuzjazmem. – Nasza substancja jest dziesięciokrotnie silniejsza od morfiny, a przy tym powoduje niespełna jedną dziesiątą jej działań ubocznych. Oczywiście to wstępne wyniki badań na królikach, ale są więcej niż zachęcające.

– Mój Boże, Dreser. – Friedrich Bayer złapał się za głowę. – Będziemy mieli nowy lek.

– Ja sam spróbowałem na sobie jego działania i muszę powiedzieć, że jest niezwykle. Lek powoduje wrażenie siły, mocy. Czułem się niczym heros. Dlatego proponuję, aby nasz specyfik przeciwkaszlowy oraz przeciwbólowy nazwać heroiną.

– Podoba mi się ta nazwa. – Bayer kiwnął głową. – Niech wszyscy poczują się jak herosi.



Kwas acetylosalicylowy otrzymał nazwę handlową aspiryna. Literę a wzięto od nazwy „acetyl”, a „spiryneę” od spirei, nazwy krzewów, które są jednym ze źródeł kwasu salicylowego. Firma Bayer wprowadziła lek na rynek w 1899 roku, początkowo w formie proszku. Felix Hoffmann przeniósł się do działu marketingu farmaceutycznego, gdzie pozostał aż do przejścia na emeryturę w 1928 roku. Nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci.

W 1949 roku były już pracownik firmy Bayer Arthur Eichengrün opublikował artykuł, w którym twierdził, że to on zaplanował prace nad aspiryną i kierował nimi. Pisał, że rola Hoffmanna była ograniczona do początkowej syntezy laboratoryjnej z wykorzystaniem procesu chemicznego Eichengrüna. Koncern Bayer zaprzeczył temu w oficjalnym komunikacie prasowym, twierdząc, że wynalezienie aspiryny zawdzięcza Hoffmannowi.

Firma Bayer sprzedawała heroinę jako środek na stłumienie kaszlu, specyfik łagodzący ból porodowy i inne silne dolegliwości bólowe. Heroina była również stosowana do znieczulania pacjentów i kontrolowania niektórych zaburzeń psychicznych. Po licznych doniesieniach opisujących uzależnienia od heroiny w 1913 roku Bayer zaprzestał jej produkcji.

Prawie sto dwadzieścia pięć lat od wynalezienia aspiryna jest nadal podstawowym lekiem stosowanym w łagodzeniu bólu i zbijaniu gorączki, a także w chorobie niedokrwiennej serca, wtórnym zapobieganiu udarom mózgu i zawałom serca. Uratowała miliony istnień ludzkich. Szacuje się, że w samych Stanach Zjednoczonych spożywa się co najmniej piętnaście milionów tabletek aspiryny rocznie.

ROZDZIAŁ VI

w którym powrócimy do Anny już Dobrskiej i zobaczymy, co słyhać u wziętej lekarki. Przeczytamy relację z jej ślubu, na którym świadkiem był sam Henryk Sienkiewicz. Zatrzymamy się przy Kasi, która została szczęśliwą małżonką Włodzimierza. Zajrzemy też do Grażyny Korzyńskiej, bo w jej życiu zaszły przez ten czas największe zmiany.

– Ignasiu! – Anna próbowała przywołać synka do porządku i nakłonić go, aby siedział spokojnie przy stole i dał się nakarmić bonie owsianką.

– Nie chcę! – krzyczał Ignacy, dziecko bystre i bardzo żywe, które powiła trzy lata wcześniej i od tego czasu co dzień zgłębiała w praktyce cud narodzin.

Początki nie były łatwe. Anna po dosyć trudnej ciąży i wielogodzinnym porodzie wymagała opieki. Mimo tego, że była bodaj najbardziej świadomą wagi stosowania higieny po porodzie osobą w Warszawie, nie ustrzegła się przed gorączką połogową. Nie była ona na szczęście poważna, ale znacznie osłabiła i tak nadwątłone siły Anny. Przez pierwszych kilka tygodni po porodzie dzieckiem zajmowały się mamka, Kasia oraz Grażyna, a Anna leżała wpatrzona w sufit swojego pokoju z umysłem tak zamglonym jak nigdy wcześniej w życiu. Kochany Konrad dokładał wszelkich starań, aby jak najszybciej powróciła do zdrowia, dziewczęta w szkole akuszerki słały listy pełne zapewnień, że się uczą i czekają na jej powrót, Grażyna nostryfikowała dyplom i zadedykowała to wydarzenie Annie, słowem – świat był gotowy na powrót lekarki, tylko ona sama długo nie była na to gotowa. Wreszcie pewnego słonecznego dnia, cztery miesiące po urodzinach Ignasia, wyszła z pokoju z zamiarem powrotu do żywych. Wprawdzie jeszcze przez miesiąc trwały przygotowania do tego, aby mogła zacząć pracować i uczyć, ale jej bliscy odetchnęli z ulgą.

Spokój i pozorny ład w życiu Anny trwały mniej więcej do czasu, kiedy Ignas skończył roczek. Anna nigdy tego nie wyraziła na głos, ale z nostalgią

wspominała czasy, kiedy dziecko leżało w beciku, machając rączkami, albo przemierzało bawialnię na kolankach. Później synek stanął na nóżki i bieganiu po domu towarzyszyły ściąganie serwet ze stołu, tłuczenie naczyń z kredensu, psocenie i utrudnianie życia rodzicom i opiekunce.

Nie chciała się do tego przyznać, ale jej własne dziecko stanowiło potwierdzenie przekonania, że matki nie powinny robić kariery naukowej, tylko siedzieć w domu i wraz z bonami dbać o to, aby mali chłopcy nie wyrosli na łobuzów, oraz wychowywać dziewczynki na damy. Anna była bliska całkowitego zrezygnowania z pracy, z uczenia i walki na rzecz kobiet pracujących. Czuła, że własna płęć ją pokonała. Wtedy jej dobry, kochany i wspierający mąż wpadł na genialny pomysł, aby po prostu zgodzić drugą bonę, skoro jedna nie daje sobie rady z małym chłopcem. W jednej chwili wszystko się ułożyło. Ignacy miał dwie bony i pracujących rodziców, a oprócz tego gromadę ciotek, kochających przyjaciółek rodziny, mnóstwo życzliwości i miłości. Około trzeciego roku życia uspokoił się nieco, przestał psocić i zajął się rysowaniem, budowaniem wież z drewnianych klocków i mikroskopem swoich rodziców.

– Kochanie moje, ja już pójdę – powiedział jej mąż Konrad, który zajrzał do bawialni.

– Konradku, bez śniadania? – zaprotestowała Anna i zastanowiła się, czemu jej mąż rezygnuje dziś ze swoich zwyczajów, których starał się trzymać nawet wtedy, kiedy miał bardzo dużo pracy.

– Nie chcę tego! – wrzasnęło dziecko, wytrącając łyżkę z rąk bony Gosieńki, która odznaczała się anielską cierpliwością, wyniesioną zapewne z domu rodzinnego, w którym chowało się dwanaścioro dzieci. Gosieńka wyznała kiedyś jednak, że mały Ignacy Dobrski jest tak krnąbrny i żywiołowy, że jej jedenaścioro rodzeństwa to przy nim pestka.

– Nie jestem głodny, skarbie mój – rzucił szybko Konrad i usiłował wycofać się rakiem z bawialni, ale Anna natychmiast go zatrzymała.

– Konradzie! – Wstała i podeszła do męża. – Mów mi zaraz, co tam sobie zaplanowałeś albo co ukrywasz.

Konrad zrobił skruszoną minę i westchnął.

– Jeśli chodzi o to, co wypisuje pan Krupski, to uwierz mi, ja się tym nie przejmuję – zadeklarowała, po czym sięgnęła po ukryty egzemplarz poczytnego tygodnika „Kłosa”, znalazła odpowiednią stronę i zaczęła czytać: – „...pominę już milczeniem moralne prowadzenie się tych «medycynierek», które tu były pierwszymi tego ruchu przedstawicielkami i dokonały jedynie tego, że dziś od kobiet zapisujących się na uczelnię żądają świadectwa moralności”.

– Bardzo cię proszę – powiedział Konrad. – To ja robię wszystko, aby ci oszczędzić podobnych nerwów, a ty...

– ...a ja się tym nie przejmuję – weszła mu w słowo. – Ponieważ wiem, jak bardzo ciebie to oburza, ukrywam przez tobą te fikcyjne przygody Zosi, medycynierki z Zurychu, głupiej gęsi, która do trzech zliczyć nie potrafi, ale umyśliła sobie zostać lekarką. Jedyne, co sobą reprezentuje, to pogarda dla rodu męskiego, buta i podejrzana reputacja. „Nic, co ludzkie, nie jest mi obce”, mawia i nie ma bynajmniej na myśli fizjologii serca czy jelita grubego.

Konrad westchnął. Kiedy pierwszy raz przeczytał tę obrzydliwą powieść w odcinkach, ten paszkwil na studentki medycyny, był głęboko zszokowany. Jak jakiś Stanisław Krupski, student medycyny w Zurychu, mógł napisać taki stek bzdur? To się Konradowi po prostu nie mieściło w głowie. Postanowił wtedy, że jego Anna nigdy tego plugastwa nie przeczyta i nie będzie miała okazji, by wziąć je sobie do serca. Nie docenił jednak bystrości swojej żony.

– Masz rację, przejąłem się zbyt mocno – przyznał.

– Ignasiu, proszę – powiedziała Anna, widząc, że dziecko wymazało sobie buzię konfiturami. Najwyraźniej Gosieńka dała za wygraną, odsunęła owsiankę i usiłowała nakarmić podopiecznego chlebem z konfiturą malinową. – Konradku, ciebie też proszę, żebyś się nie przejmował, bo to nie ma znaczenia. Moja duma nie jest zraniona. Taki Krupski, czy jak mu tam, żeby nie wiem co wypisywał, nie jest w stanie mnie urazić.

– Prawdopodobnie cierpi jego duma, gdyż coraz więcej kobiet kończy studia – dodał Konrad.

– A w Polsce wreszcie mogą pracować i Towarzystwo uznaje ich dyplomy – skwitowała, przypomniawszy sobie, jak przebiegała nostryfikacja dyplomu Grażyny i ile lekarek przychodziło na praktykę do jej gabinetu na Twardą.

– Ty tego dokonałaś, moja droga – powiedział Konrad z dumą w głosie.

Anna uśmiechnęła się, bo wiedziała, że mąż ma rację. Gdyby nie jej determinacja, walka o siebie, która stała się wojną o prawa kobiet, inne kobiety nie miałyby takiego łatwego dostępu do wyższego nauczania i praktykowania medycyny.

– Nie dokonałabym tego wszystkiego bez ciebie, Konradzie, zdajesz sobie z tego sprawę. I nie mówię tu o czasach mojej batalii. Mówię o tym, co zrobiłeś dla mnie po ślubie.

– Przecież wiesz... – Konrad się spłonił, gdyż ogromnie żonę kochał i podziwiał. Uważał, że sam nie ma ani takiego talentu do leczenia, ani predyspozycji do pracy zawodowej.

– W takim razie chodź tu, mój drogi, i zjedz śniadanie. – Anna uśmiechnęła się do niego.

– A nie, nie. Jeszcze przed pracą muszę wstąpić do Towarzystwa, mam tam jedną sprawę do załatwienia i trochę się, skarbenku mój, spieszę. – Mówiąc to, Konrad miał tajemniczą minę.

– A jakąż to...? – zaczęła, ale jej mąż uniósł ręce i tym samym dał jej do zrozumienia, że rzadko prosi o zaufanie i skoro nie chce się z nią dzielić swoją tajemnicą, to powinna ten fakt uszanować.

– Ale kiedyś się dowiem? – spytała tylko.

– Mam nadzieję – odpowiedział jej, po czym włożył palto i kapelusz, posłał jej pełen miłości uśmiech i wyszedł z domu. Słyszała, jak gwizdże na dorożkę.

– Niech Gosia zabierze już Ignacego – poprosiła, bo widziała, że chłopiec raczej nie dokończy śniadania, a chciała w spokoju zebrać myśli, zanim wyruszy na Twardą.

– Prawie nic nie zjadł – stwierdziła bona z niezadowoleniem.

– Proszę dopiero później dać mu obiad, a jak nie zechce zjeść wszystkiego, to nie ma mowy, żeby dostał deser – zdecydowała i zwróciła się do synka: – Bądź dobrym chłopcem, bo mama idzie do pracy.

Ignas pokiwał głową i posłał Annie uśmiech od ucha do ucha. Jej serce natychmiast stopniało i poczuła wyrzuty sumienia, że przedkłada inne dzieci

nad swoje własne.

– Będzie grzeczny – zapewniła ją Gosieńka, która już poczuła przerażenie na myśl, że pozbawi ulubieńca deseru. Gosieńka była chodzącą dobrocią i wzdrygała się przed wymierzeniem dziecku jakiegokolwiek kary. Poza tym zwyczajnie kochała Ignacego, chociaż przyprawiał ją o ból głowy.

– No to ja już... – powiedziała Anna, bo jak zwykle co dzień chęć pozostania jeszcze przez chwilę w domu oraz pragnienie szybkiego wyjścia i oddania się pracy przez osiem godzin prowadziły w niej walkę.

Przez tych kilka lat praktyka na Twardej rozwinęła się, a Anna nie musiała już wszystkiego sama doglądać i mierzyć się osobiście z wszelkimi trudnościami. Kiedy w jej życiu pojawił się Konrad Dobrski, przestała być samotna w każdym możliwym tego słowa znaczeniu. Co dzień w modlitwach dziękowała za możliwość życia i praktyki przy tym cudownym, skromnym człowieku, który jej ambicje przedkładał nad swoje i nic się nie zmieniło, kiedy urodziła Ignacego. Konrad był dla niej kimś więcej niż mężem – był najbliższym jej przyjacielem i człowiekiem, na którym zawsze mogła polegać. Nie знаła drugiego tak uczciwego, dobrego i spokojnego mężczyzny jak on. Życie poukładało im się dobrze. Po ślubie zmieniło się właściwie tylko miejsce ich zamieszkania, a i to nie zasadniczo, bo mieszkali w tej samej kamienicy, w której Anna żyła dotychczas, tylko nie w starym, ciasnym mieszkanku, które zajmowała jako panna, a w obszernym apartamencie, który wcześniej należał do jednej z siostr pani Domiceli i jej męża. Tamto stare panińskie mieszkanie Anny, które darzyła sentymentem i które przypominało jej o tym, jak długą drogę przeszła, zajęli Kasia z Włodzimierzem i malutkim Henryczkiem. Włodzimierz dotrzymał bowiem przyrzeczenia złożonego Kasi jeszcze w Petersburgu i po zakończeniu studiów oraz załatwieniu spraw majątkowych przyjechał do Warszawy, powtórnie się oświadczył, a Kasia go przyjęła. Wcześniej tylko upewniła się, że ukochany nie zamierza jej wywozić do Rosji, nie wyobrażała sobie bowiem życia z dala od ukochanej panińki i medycyny. Włodzimierz na szczęście z kolei nie wyobrażał sobie życia bez Kasi, za to miał już dość Petersburga, carskiej Rosji i nie marzył o budowaniu mostów dla najjaśniejszego pana.

– Dotarło do tej pustej głowy, że po tych mostach car na Polaków z wojskiem by jeździł – wyjaśniła Kasia Annie. – On uważał, niech sobie panienska wyobraz, że zamach na cara Aleksandra^[11] to było straszne nieszczęście.

– W pewnym sensie tak – zgodziła się wtedy Anna. – Jego syn okazał się przecież jeszcze większym despotą, a wydawało się to niemożliwe. Na szczęście Włodzimierz wyjechał z Petersburga. Miałam wątpliwości, czy rzeczywiście to zrobi.

I Kasia z Włodzimierzem zamieszkali tuż koło Dobrskich. Włodzimierz ze względu na swoje wykształcenie szybko znalazł pracę w Warszawie i teraz budował kamienice czynszowe dla bogatych mieszczan, co nie podobało się Kasi, ale Anna jej tłumaczyła, że każdy musi iść w życiu na kompromisy. Poza tym w Warszawie nie budowano mostów, więc Włodek musiał brać, co jest, i cieszyć się, że płacą. Kasia nie była już służącą Anny – po ukończeniu szkoły terminowała teraz w zawodzie akuszerki i Anna z dumą patrzyła, jak jej podopieczna staje się wspaniałą położną. Wydawało się, że Włodzimierz należał do tych oświeconych mężów, którym wykształcenie żony nie przeszkadza, ale kryzys nadszedł, kiedy Kasia powiła Henryczka i zapowiedziała natychmiastowy powrót do nauki i pracy. Włodzimierz początkowo nie chciał o tym słyszeć, bo wyobrażał sobie, że żona będzie każdej wiosny mu dzieci rodziła i sama będzie potrzebowała akuszerki, a do pracy, owszem, wróci, ale „później”. Czy owo „później” miałoby nastąpić za kilka miesięcy czy lat, tego nie mówił, ale Kasia podejrzewała, że dopilnowałby, aby z połogu płynnie przechodziła w stan błogosławiony, aż liczba jego potomstwa przekroczyłaby liczbę carskich dzieci.

– Co rok prorok miałby być, rozumie panienska? – piekliła się Kasia.

Anna, której bliskie były idee platońskie i która uważała, że we wszystkim można znaleźć złoty środek, długo rozmawiała z obojgiem, aż wreszcie ustalili, że Kasia zostanie na jakiś czas w domu, urodzi jeszcze jedno dziecko, odchowają oboje, a potem wróci do pracy.

– Ja bardzo pani doktor dziękuję. – Włodzimierz kłaniał jej się, jednocześnie tłumacząc, że „to nie tak, że mi wykształcona żona przeszkadza, ja chciałbym jedynie, żebyśmy tworzyli szczęśliwą rodzinę”.

– Mówiła Kasia, że pan Włodzimierz chciałby mieć ośmioro dzieci jak car Aleksander.

– Jak car nie, ośmioro tak – odpowiedział szybko. – Ale zadowolę się dwojgiem, jeśli przy ósemce Kasia ma być nieszczęśliwa.

Kasia przerwała zatem terminowanie w zawodzie i obecnie oczekiwała kolejnego dziecka, jakby szybko chciała się wywiązać ze zobowiązania, a potem wrócić do swojej misji.

Największe wrażenie na Annie wywarła jednak zmiana, jaka zaszła w życiu Grażyny. Na ślubie Anny i Konrada przyjaciółka poznała Gracjana Ungera, a on się w niej natychmiast zakochał. Anna szybko zauważyła, że przyjaciółka odwzajemnia jego uczucie, ale udaje przed sobą i innymi, że nie jest zainteresowana księgarzem. Gracjan tymczasem przysyłał kwiaty, czekoladki i zaproszenia do opery, ale Grażyna wciąż udawała niedostępną. Nawet poczciwy Konrad zorientował się, co jest na rzeczy, i zaprzagnął pomóc. Sam szczęśliwy i spełniony, nie mógł patrzeć na nieszczęśliwych zakochanych, chociaż trudno mu było odżałować, że Grażyna nie związała się z jego przyjacielem Sienkiewiczem.

– Miałem nadzieję, że połączę Henryka z Grażyną – mówił z żalem. – Ale los, widać, chciał inaczej.

Anna uśmiechnęła się na wspomnienie Henryka Sienkiewicza, który w ciągu ostatnich kilku lat z nieznanego autora felietonów stał się poczytnym i uznanym pisarzem. Na dodatek był bardzo przystojny i wiele kobiet go adorowało. Mimo sławy nie zapomniał o przyjacielem i z radością przyjął zaproszenie na ślub i wesele Konrada i Anny. Krygował się przy tym, że nie chce swoją osobą zdominować tej uroczystości. Annie początkowo wydawało się to śmieszne, ale zrozumiała, o czym mówił Henryk, kiedy pod kościół przybyła grupka pań, które na jego widok zaczęły piszczeć i szlochać, tak że biedak nie wiedział, gdzie się podziać. Nie odczuwała jednak w żadnym stopniu, że pisarz zabiera należną uwagę młodożęcom, raczej współczuła mu, bo widziała, jak bardzo był zażenowany zachowaniem wielbicielek. Namawiała nawet Konrada, żeby mu pomóc i owe panie wyprosić, ale ukochany nieco cierpko powiedział, że Henryk sam sobie poradzi, a Anna ma się przejmować tylko tym, czy welon jej się dobrze układa. Zamilkła zatem,

stwierdziwszy, że Konrad ma absolutną rację. To był ich dzień, a problem dotyczył Sienkiewicza. Wreszcie przystojny literat odszedł na bok i stanowczo poprosił, aby panie opuściły uroczystość, która ma charakter prywatny, jest bowiem ślubem jego przyjaciół i on, Henryk Sienkiewicz, nie zamierza wpisywać się do pamiętników ani recytować nikomu wierszy. Przynajmniej nie w tej chwili. Panie odeszły rozczarowane, a on potem stokrotnie przeproszał nowożeńców, że swoją osobą zakłócił uroczystość.

– Niczego pan nie zakłócił, panie Henryku – przekonywała go Anna, dla której ślub był jedynie formalnością i która nie dbała o suknię czy oprawę. Przeciwnie, chciała porozmawiać z Sienkiewiczem na temat jego podróży, pytała o Amerykę, o to, jak się tam ludziom żyje i przede wszystkim jak zorganizowane są tamtejsze szpitale. Sienkiewicz opowiadał bardzo zajmująco, tańczył z panną młodą, poklepywał po ramieniu pana młodego i wszystkich gości zabawiał anegdotami z podróży, chociaż najczęściej opowiadał o tym, jak wiele zawdzięcza Konradowi Dobrskiemu, najdroższemu przyjacielowi i najlepszemu człowiekowi na świecie.

– Proszę sobie wyobrazić – powiedział w mowie na cześć państwa młodych – że to nie kto inny, a Konrad Dobrski pierwszy uwierzył we mnie jako pisarza. Gdyby nie jego upór, nigdy bym nie wydał debiutanckiej powieści, zniechęcony nieprzychylną opinią wydawcy.

– Nie, nie – zaprotestował Konrad. – Mój utalentowany przyjacielu, chciałbym...

– Pozwól, Konradzie, że dokończę, gdyż to moja mowa na twoją cześć, a nie odwrotnie. – Sienkiewicz uniósł rękę, a Dobrski zamilkł. – Chciałem podkreślić, że Konrad to człowiek dobry, prawy, uczciwy i bezkompromisowy, który za przyjaciółmi poszedłby w ogień. Pani Anno, wiem, że pani dostrzega te cechy swoim niezwykłym umysłem. Jest pani najodpowiedniejszą kobietą dla takiego mężczyzny jak Konrad. Nie wątpię, że będziecie niezwykle zgodnym małżeństwem. Ogromnie podziwiam waszą działalność społeczną. Ja jestem próżniakiem, który żyje z pisania wymyślonych historii, które nie służą społeczeństwu tak, jak powinny.

Znów rozległy się protesty państwa młodych i gości, szczególnie Korzyńskich, którzy byli wielbicielami talentu Sienkiewicza. Znajomość

Anny z wielkim pisarzem robiła wrażenie szczególnie na pani Domiceli.

– Tak, tak! – Sienkiewicz nie dał się zbić z tropu. – Konrad i Anna to są święci, anioły, które swoją wiedzę ofiarowują ludziom. Bóg, widać, docenił ich poświęcenie, bo połączył dwa tak światłe umysły i czyste serca.

– Piękne słowa! – Bogumił Korzyński nie mógł się powstrzymać i zaczął bić brawo.

– Bądźcie zdrowi i szczęśliwi! – zakończył przemowę Sienkiewicz. – Niech was Bóg obdarzy potomstwem, pieniędzmi i zachowa blisko waszych przyjaciół!

Po czym wypił spory łyk wina musującego i zaintonował mało znaną, pewnie dlatego, że wesołą, melodię Chopina ze słowami Bohdana Zaleskiego:

Wzniosły, smukły i młody.
O! nielada urody.
Śliczny chłopiec, czego chcesz?
Czarny wąsik, biała płeć!

Ledwie mrugnie oczyma,
Radość całą mnie ima.
Śliczny chłopiec, czego chcesz?

– Taki utalentowany pisarz i jeszcze śpiewać potrafi – powiedziała Grażyna, która wstała, żeby jako druhna wygłosić mowę na cześć przyjaciółki.

Gdzieniedzie rozległy się śmiechy.

– Ogromnie trudno wygłosić mowę po kimś tak wygadany – zaczęła. – I choć przygotowałam się do dzisiejszego dnia, to wciąż nie mogłam znaleźć odpowiednich słów, żeby opisać Annę i wyrazić swoje życzenia.

Anna zaróżowiła się i spojrzała z czułością na przyjaciółkę.

– Można oczywiście powiedzieć o kimś, że jest dobry, ba, nawet wspaniały, że jest dobrym przyjacielem i troszczy się o innych. Ale powiedzieć coś takiego o Annie to jak nic nie powiedzieć albo wygłosić truizm, że skowronek pięknie śpiewa, a róża jest ładnym kwiatem.

Wszyscy nagle ucichli, a Anna poczuła, że oczy jej wilgotnieją.

– Drogi Konradzie – Grażyna uniosła kieliszek z szampanem – bierzesz za żonę kobietę mądrą, silną i dumną. Obyś okazał się godny jej miłości.

Konrad niczego bardziej nie pragnął od tego, aby okazać się godnym miłości Anny. A co do jej przyjaciółki, to owszem, chciał poznać przyjaciela z Grażyną i tym samym wybić mu z głowy pewną Marię, którą ten adorował, a która miała go za nic. Tyle że Grażyna nie zwracała uwagi na Sienkiewicza, a on na nią.

– No i nic z tego – wyznał Konrad z żalem, kiedy wesele się skończyło, Sienkiewicz wyjechał, a zaróżowiona od tańców Grażyna wyznała Annie, że żałuje, iż tak późno zwróciła uwagę na owego właściciela księgarni nutowej.

– Co komu pisane, to go nie minie – stwierdziła filozoficznie Anna, kiedy Konrad z żalem opowiadał jej o niepowodzeniu swatów.

– Masz rację, ptaszeczku, tylko mi żal – mruknął Konrad. – Bo Sienkiewicz to dobry i zdolny człowiek. Obecnie pisze powieść. *Ogniem i mieczem*, czytałem kawałek. Bardzo zajmująca.

– Grażyna też jest dobra – rzuciła Anna. – Każde z osobna dobre, tylko to nie wystarczy, żeby chcieli być razem. Na weselu ona rozmawiała z panem Ungerem, który też jest dobry, kulturalny i wykształcony.

– Myślisz, że przypadli sobie do gustu? – indagował Konrad, który jeszcze nie stracił nadziei, że zatrzyma przyjaciela w Warszawie.

– Nie widziałeś. – Uśmiechnęła się. – Aż powietrze gęstniało. Zapewniam cię, że to też dobry człowiek.

– A czemu zaprosiłaś go na nasze wesele? – spytał nagle Konrad. – Owszem, poznaliśmy się wtedy w kawiarni, opowiadałaś mi, jak zajęłaś się jego wujem, ale nie mówiłaś, czemu jest ci taki bliski.

Opowiedziała mu zatem całą historię i dodała:

– Gdyby nie tamto zdarzenie, pewnie nigdy nie pomyślałabym o Petersburgu, a gdyby pan Gracjan nie zaproponował mi posady, nie zgromadziłabym pieniędzy na podróż.

– Pewnie Korzyńscy by o to zadbali, są dla ciebie jak rodzina.

Konrad wykazywał naturalną rezerwę wobec mężczyzny, któremu jego własna żona wiele zawdzięczała, choćby mężczyzna ten pojawił się na długo, zanim małżonkowie się poznali. Anna pomyślała, że to urocze.

– Tak, ale oni tyle dla mnie zrobili, że z radością przyjąłem pomoc od kogoś innego. Pani Domicela była nawet lekko urażona, ale rozumiała, że ja też mam swój honor.

Cała familia Korzyńskich została zaproszona na ślub i wesele. Stawili się wszyscy – wzruszeni, jakby to ich własna córka czy siostra wychodziła za mąż. Anna była niezmiernie poruszona bogactwem prezentów, jakie od nich otrzymała. Jej własna matka i ojciec nie byli jej tak bliscy, co ze wstydem przyznawała przed sobą.

– Nie chcę tu umniejszać roli twojej rodziny, kochana – zmitygował się Konrad.

– Nie umniejszasz. – Pogłaskała go po dłoni. – Mama i tatko, najdrożsi rodzice. Gdyby nie oni, tobym nie wyjechała z Mławy na studia. No i moje siostry i bracia – widziałeś, jacy są ze mnie dumni?

Konrad uśmiechnął się na wspomnienie statecznej pary, która wpatrywała się w córkę z wyraźnym podziwem, i onieśmiałe rodzeństwo, które tak bardzo starało się odpowiednio zachowywać.

– Tak sobie pomyślałem, że mogliby tu zostać z nami kilka miesięcy – powiedział ostrożnie. – Może chcieliby przenieść się do Warszawy? Ja swoich rodziców już pochowałem, z radością podzielę się miłością z twoimi.

Prawdę powiedziawszy, ten pomysł przyszedł jej samej do głowy i nawet napomknęła o nim matce, ale ta tylko uśmiechnęła się do córki i odparła, że miesięczna gościna w zupełności wystarczy – muszą wkrótce wracać do Mławy i zająć się majątkiem. Dodała także, jak bardzo razem z mężem są szczęśliwi, że jej się powiodło w życiu. Słowa ojca o tym, że jego córka uczy polskie lekarki, napełniły Annę wdzięcznością i dumą.

– Wracając do Grażyny: sądzisz, że ów pan Unger się z nią ożeni? – spytał Konrad.

– Taką mam nadzieję. Stara się o jej rękę. Bardzo wyraźnie.

I kiedy wydawało się, że w najbliższym karnawale rodzina Korzyńskich wyda ostatnią córkę za mąż, Grażyna nagle zmieniła zdanie, przestała przyjmować kwiaty i nie odpowiadała na listy, a biedny Gracjan nie wiedział, co ze sobą począć. Anna wzięła wtedy sprawy w swoje ręce. Ponieważ niejedno razem przeżyły, zaprosiła przyjaciółkę do siebie i wprost spytała, w czym rzecz.

– Dlaczego nie przyjmujesz jego zaproszeń i odsyłasz kwiaty? Czy jest ci niemiły?

Grażyna spuściła wzrok.

– Przecież wiesz – odpowiedziała.

– Chodzi o Zurych i Rayzera, prawda?

Przyjaciółka pokiwała głową.

– Nie sądzisz, że już dość się nacierpiałas? Masz prawo do szczęścia.

Grażyna roześmiała się gorzko.

– Ja też tak myślałam. Na początku. Na waszym weselu czułam się, jakby zaświeciło słońce. Nie pamiętam, kiedy byłam tak szczęśliwa, lekka, swobodna. A potem...

Anna wiedziała, co przyjaciółka chciała powiedzieć. Potem uświadomiła sobie, że romans z Rayzerem może zaważyć na jej związku z innym mężczyzną. Musiałaby ukrywać fakt, że była z kimś związana. Mogła oczywiście czekać do nocy poślubnej i przeżyć upokorzenie albo wyznać wszystko narzeczonemu i czekać na jego werdykt.

– Minęło kilka lat – powiedziała Anna łagodnie. – To było dawno. Zapłaciłaś wysoką cenę.

– Czyli twoim zdaniem powinnam przyjąć jego zaloty, budować swoje szczęście na kłamstwie, wyjść za mąż, a podczas nocy poślubnej wylać na prześcieradło woreczek kurzej krwi?

W jej wypowiedzi była pewna dosadność, ale Anna wiedziała, że Grażyna trafiła w sedno.

– To jest jakieś wyjście z sytuacji – powiedziała ostrożnie, chociaż brzydziła się kłamstwem.

Grażyna pokręciła przecząco głową.

– Nie, nie będę kłamała. Sama mnie tego uczyłaś.

– W takim razie spotkaj się z nim i powiedz o wszystkim.

Na twarzy przyjaciółki odbiły się jej wszelkie uczucia: od entuzjazmu, przez powątpiewanie, aż wreszcie cierpienie.

– Nie zniosłabym podobnego upokorzenia – odpowiedziała.

– A jeśli on się nie podda?

– A jeśli się podda? – odpowiedziała jej pytaniem. – Nie powinnam bałamucić żadnego mężczyzny. Już dawno postanowiłam, że będę sama. Zapomniałam o tym na jedną chwilę, ale w porę sobie przypomniałam i odrzuciłam go. Przez tamto zdarzenie w Zurychu już nigdy nie będę mogła być niczyją żoną. Będę sama i poświęcę się pracy.

– Ja też tak kiedyś myślałam – przypomniała jej. – Że nie dane mi szczęście rodzinne.

– Tak, ale ty sądziłaś, że jesteś nieładna. – Uśmiechnęła się do przyjaciółki.
– I że cię nikt nie zechce.

– No tak – przytaknęła Anna. – Tak uważałam.

– Cóż za pomysł, swoją drogą. – Grażyna się skrzywiła. – Odznaczasz się wielką urodą. Inteligencja, uroda, skromność – masz to wszystko. I na dodatek piękne włosy, daleko ładniejsze niż moje.

– Ty jesteś piękniejsza – Anna rzuciła to bez nuty zazdrości. – Nostryfikowałaś dyplom. Jesteś lekarką. Samodzielną, już nie moją asystentką. Rodzice są z ciebie dumni. Też masz wszystko – urodę, inteligencję, skromności może nieco mniej, ale się starasz.

Grażyna kiwała głową, jakby nie zrozumiała żartu.

– Wszystko przepadnie, kiedy w noc poślubną okaże się, że nie jestem dziewicą.

– A jeśli ja bym porozmawiała z...?

Grażyna zrobiła się czerwona.

– Zabraniam ci, słyszysz? Jeśli to zrobisz, nigdy się do ciebie nie odezwę nawet jednym słowem.

– Zrobię to delikatnie – próbowała przekonać przyjaciółkę.

– Nie! – krzyknęła Grażyna. – Nie pozwalam ci, rozumiesz?

Anna przystała na to, bo dziewczyna miała rację. To były jej osobiste sprawy i to ona powinna decydować, jak postąpić.

– Nie powiesz mi, czemu Grażyna nie chce pana Ungera? – dopytywał się Konrad, a Anna niezmiennie odpowiadała:

– Nie mogę.

– Ale to nie ma nic wspólnego z tobą, mam nadzieję – niepokoił się.

– Absolutnie nie, kochany – obruszyła się. – Cóż za pomysł. Nie mogę ci powiedzieć, bo to nie moja tajemnica. Ty też byś mi nie powiedział, gdyby za twoim przyjacielem Sienkiewiczem ciągnęła się paskudna przeszłość.

– Paskudna przeszłość? – podchwycił Konrad i przewrócił oczami.

– Nic więcej ode mnie nie usłyszysz – zarzekała się, ganiąc się w duchu za słowa, które wymknęły się jej z ust.

– To może ja jednak napiszę do Henryka i zaproszę go do nas na święta. Skoro Grażyna odrzuca zaloty księgarza, to może... – zasugerował Konrad z nadzieją.

– Ona kocha pana Gracjana, tylko uważa, że nie może się z nim związać – przerwała mężowi. – I proszę cię, żebyś mnie nie ciągnął dłużej za język.

Postanowiła wspierać Grażynę, bo wiedziała, jak trudno jej odrzucić miłość. Rozumiała jednak jej pobudki. Myślała o tym, żeby przy okazji zajść do księgarni na Krakowskim Przedmieściu i napomknąć panu Ungerowi, żeby się nie poddawał, ale zrezygnowała. Już jedna żona chciała losowi dopomóc, by męża na króla namaścić, i skończyło się tragicznie. Wprawdzie była to tylko sztuka teatralna, ale bardzo życiowa.

– Jak im pisane, tak będzie – zakończyła dyskusję z Konradem.

Los jednak, jak to los, był nieprzewidywalny i któregoś dnia, kiedy Anna zaszła do przyjaciółki, aby osobiście donieść jej o swoim odmiennym stanie, zastała przyjaciółkę z oczami zasnutymi mgłą, wyraźnie zapłakaną i drżącą.

– Mój Boże, co się stało? – spytała.

Grażyna uniosła ku niej bladą twarz.

– Powiedziałam mu – wyszeptała.

– Co dokładnie? – spytała ostrożnie Anna.

– Wszystko – westchnęła przyjaciółka.

– Napisałaś list? – Anna nie wiedziała, co powiedzieć, bo najwyraźniej coś poszło nie tak, skoro przyjaciółka była taka zapłakana.

Grażyna pokręciła głową.

– List to nie jest dobry sposób na takie wyznania – odrzekła. – Spotkaliśmy się i powiedziałam mu, dlaczego nie mogę pozwolić mu zmarnować sobie ze mną życia.

– To dorosły człowiek i najwyraźniej nie uważa, że marnuje sobie życie.

– Ale tak się w tych zalotach zatracił, że ja musiałam. I... – Przełknęła ślinę. – Nie mogę...

Sądząc po sposobie, w jaki Grażyna wypowiadała słowa, Anna uznała, że Unger jednak przestanie się o nią starać. „No i dobrze”, uznała w myślach, „lepsza najgorsza prawda od najpiękniejszego kłamstwa. Przynajmniej Grażyna wie, na co może liczyć, i nie będzie cierpieć na próżno, a Gracjan jest dyskretny, po prostu zaprzestanie zalotów, ale tajemniczy damy nie zdradzi. Zwłaszcza że to on sprowokował owo wyznanie. Grażyna go nie bałamuciała, nie dawała nadziei. Chciał wiedzieć dlaczego, no to ma”.

– Cóż mogę powiedzieć... – zaczęła. – Kochanie...

– Powiedz, czy zechcesz być druhną na moim weselu, mimo że jesteś mężatką – odparła Grażyna i obdarzyła ją wciąż smutnym spojrzeniem, a kolejna łza spłynęła po jej policzku. – Czy przejdziesz się konwenansami?

Anna popatrzyła jej prosto w oczy, oczekując wyjaśnień, bo już nic z tego nie rozumiała.

– Jakbym się zajmowała konwenansami, tobym była guwernantką w Mławie.

Grażyna kiwnęła głową i nadal roniła łzy.

– Ale cóż znaczy ta wzmianka o ślubie? – spytała ostrożnie Anna.

– Och, kochana. – Nagle z Grażyny opadło całe napięcie i zaczęła się śmiać, nie przestając jednak płakać. – Bo ja jestem taka szczęśliwa!

– Gracjan?

– Tak, tak, tak... – powtarzała, wycierając łzy wierzchem dłoni.

Anna domyśliła się, że rozmowa z ukochanym jednak miała pomyślny przebieg, ale ponieważ Grażyna wciąż płakała i jednocześnie zapewniała o swoim szczęściu, przyjaciółka czekała na dokładniejsze wyjaśnienia.

– Powiedziałaś mu, niczego nie zatajając – chlipnęła Korzyńska. – A on wysłuchał, potem chodził po pokoju, miotał przekleństwa, a ja jak trusia czekałam, co powie.

– I co w końcu powiedział?

– Że mnie kocha i jedyne, co może mi teraz dać, to miłość oraz wsparcie. I że jest mu strasznie przykro, że ktoś okazał się takim draniem.

– Czyli nijakiej pretensji nie ma ani teraz, ani nie będzie miał w przyszłości? – spytała Anna na wszelki wypadek, bo знаła życie i wiedziała, że gdy miną pierwsze uniesienia, wszystko się może stać.

– Też go o to spytałam i powiedział, że nigdy w życiu nie będziemy już o tym rozmawiać. Nigdy, przenigdy, bo nie ma o czym. Chociaż mu naprawdę powiedziałam wszyściutko, bez stawiania się w lepszym świetle, że ja niby taka skrzywdzona, wiesz...

– Wiem. – Anna kiwnęła głową, ponieważ nie wątpiła, że przyjaciółka zechce pokazać się ukochanemu z najgorszej strony, aby później nie spotkać się z zarzutem, że cokolwiek zataiła.

– I on aż ręce w pięści zacisnął i powiedział, że by się z Rayzerem strzelał, że on honoru nie miał, żeby tak ze mną postąpić.

– Bo nie miał honoru – mruknęła Anna. – Ja bym się z nim nie strzelała, ja bym go zastrzeliła jak psa.

– I powiedział, że aż go serce zabolowało, że nikt mnie nie wziął w obronę. Opowiedziałam mu też, co stało się potem: jak w przytułku wylądowałam i jak ty mnie uratowałaś.

– Nie trzeba było. Po co mu mówiłaś o moim udziale?

Grażyna ocierała łzy.

– Bo gdyby nie ty, to nigdy bym nie zrozumiała, że popełniłam błąd, że podle postępuję. Pewnie nigdy bym nie przestała kłamać.

– Stare dzieje. – Anna machnęła ręką. – Już mi oddałaś to, co ja tobie kiedyś dałam, i to w dwójnasób, trójnasób i czwórnasób.

– Nie mnóż już osób i nasób. Obie wiemy, że bez siebie żyć nie możemy.

– Zgadza się, ja wiem, że ty bez niego żyć nie możesz, i dlatego przyszedłam.

– Anna roześmiała się i Grażyna wreszcie otarła ostatnie łzy i rzuciła się przyjaciółce na szyję, dziękując jej za wszystko. Na koniec poinformowała Annę, że w najbliższym czasie Gracjan oficjalnie poprosi o jej rękę.

– Martwię się tylko, że mama będzie chciała jakieś wystawne przyjęcia robić, a on jest sierotą i może mu to przykrość sprawić.

– Obyście tylko takie mieli zmartwienia. – Anna machnęła ręką, nie mogąc się doczekać, kiedy opowie o wszystkim Konradowi.

– No wiesz, mam jeszcze jedno. – Grażyna spuściła oczy.

– A niby jakie? – Anna się zdumiała. – Przecież twoi rodzice ze szczęścia oszaleją.

Grażyna zrobiła niepewną minę.

– Ja myślę, że nie będę miała dzieci – wyznała.

– Dlaczego? – spytała Anna.

Grażyna popatrzyła na nią znacząco.

– Tobie mam tłumaczyć? W Zurychu nic się nie stało, a przecież... wiesz.

– Na szczęście! – niemalże wykrzyknęła Anna. – Dopiero by było.

– A poza tym ja mam już dwadzieścia dziewięć lat.

– Miewamy starsze położnice – powiedziała łagodnie przyjaciółka.

– Ale w moim wieku przychodzą z piątym dzieckiem w brzuchu – odparowała Grażyna.

– Nie możesz niczego zakładać – stwierdziła stanowczo Anna. – Co Bóg da. Popatrz na mnie, mówiłam, że za mąż nie wyjdę, a tu...

– Czeka! – przerwała jej Grażyna. – Czyżbyś?

Anna pokiwała głową i uśmiechnęła się.

– Mój Boże – powiedziała wzruszona przyjaciółka. – Mój ty Boże... Moja Ania będzie matką.

– Ty też kiedyś zostaniesz matką. Zobaczysz.

– Może lepiej nie – powiedziała Grażyna. – A jak zemrę przy porodzie?

– Co za bzdury! – oburzyła się Anna. – Wyjdź za mąż, zajdź w ciążę i potem się będziemy martwić. Tymczasem mnie musisz w tym stanie wspierać, bo ja sobie nie wyobrażam swojego porodu.

Posiedziały jeszcze chwilę, pośmiały się i popłakały, a na koniec obiecały sobie, że dzieci ich od ślubów medycznych nie odwiodą.

– Powiedz mi tylko, czy on ci pozwoli po ślubie pracować – napomknęła Anna, gdy już miała wychodzić, bo pod tym względem nie знаła Gracjana Ungera i nie mogła zakładać, że będzie tolerował żonę pracującą od rana do nocy w gabinecie i szkole akuszerki.

Grażyna kilka razy pokiwała głową.

– Pozwoli, sam mi to oznajmił, nawet pytać nie musiałam.

– No to dobrze, bo ja bez ciebie nie mogę praktyki prowadzić.

– Możesz, ale ja nie chcę, żebyś musiała beze mnie cokolwiek robić.

Wkrótce Grażyna pozwoliła rodzicom wyprawić najpiękniejszy ślub w Warszawie, o którym długo mówiło całe miasto. Anna i zamężne siostry Grażyny zostały druhnami i nikt nie ośmielił się głośno na to złego słowa powiedzieć. Może i niektórzy szeptali, że mężatki są druhnami, co było wbrew tradycji, albo że panna młoda już leciwa, bo dobija do trzydziestki, wreszcie że w czasach zaborów urządzenie radosnych uroczystości jest nie na miejscu. Młodzi zamieszkali na Krakowskim Przedmieściu, w mieszkaniu, które do tej pory zajmował stary pan Banarski, wuj i dobroczyńca Gracjana. Gracjan Unger dotrzymał słowa i nie zabronił żonie pracować. Co dzień osobiście zawoził ją na Twardą, a następnie przywoził po południu do domu. Anna początkowo była tym zaniepokojona, bo chwilami myślała, że księgarz tymi wycieczkami chce dać do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby jego żona narażała się na kontakty z biednymi i chorymi, i tylko pretekstu potrzebuje, żeby jej tej działalności zakazać. W eleganckim świecie nie było bowiem krwi, ropy i odchodów, nikomu nie trzeba było odcinać palców

ani zrywać zmiądzonych paznokci. Kiedy przedstawiła swoje obawy Grażynie, ta machnęła ręką.

– Co ma się bać gruźlicy, skoro Chopin na nią umarł, a przecież biedny nie był.

– Niemniej uważaj, moja droga, tak jak i ja uważam – napomniała ją Anna i Grażyna, co prawda niechętnie, ale zakładała na usta i nos rodzaj maski z płótna, która miała ją ochronić przed wdychaniem mikrobów.

– To już nie wystarczy ręce karbolem szorować po każdym pacjencie? – dopytywała, bo maska utrudniała jej oddychanie.

– Przy gruźlicy nie wystarczy, bo to choroba płuc – upierała się Anna. – Przecież sama wiesz. Nie marudź.

– To po co my ręce myjemy? – sarkała, ale pod wzrokiem Anny natychmiast zarzekła się, że żartuje.

Jednym słowem – Grażyna została szczęśliwą mężatką i niedawno, prawie dwa lata po ślubie, oświadczyła Annie, że spodziewa się dziecka.

– Taka jestem szczęśliwa, bo wiesz, jak się bałam, że nigdy nie będę miała dzieci.

Anna ucałowała serdecznie przyjaciółkę.

– Mówiłam, że nie masz się co martwić, ale nie chciałaś wierzyć.

– Za stara jestem i umrę przy porodzie – wyszeptwała Grażyna. – W tym wieku powinnam już mieć wnuki.

– Akurat na wnuki jeszcze trochę za wcześnie, fizjologia rządzi się swoimi prawami i ty dobrze o tym wiesz.

– Najwidoczniej pan Bóg potrzebował czasu, żeby pobłogosławić nasz związek.

Na szczęście Grażyna poszła po rozum do głowy i nie pracowała zbyt ciężko. W ciąży znacznie osłabła, szybko się męczyła i skarżyła na nudności. Zgodziła się przez kilka tygodni nie przychodzić do pracy, tylko odpoczywać w domu i dbać o siebie. Anna ją do tego przekonała, bo inaczej nie mogłaby spojrzeć Gracjanowi w oczy. Teraz regularnie przekazywała jej wieści o tym, co się dzieje na Twardej, bezpośrednio i w listach. Grażyna początkowo strasznie marudziła, narzekała, że czuje się niepotrzebna i że bezczynność ją

mężczy. Wreszcie Anna wpadła na pomysł, jak wykorzystać przyjaciółkę i sprawić, żeby nie czuła się odsunięta na boczny tor.

– Potrzebuję, żebyś przeanalizowała wszystkie przypadki, które trafiły do nas na Twardą, pogrupowała wedle chorób i...

Grażyna nie dała jej dokończyć. Aż jej oczy rozbłysły.

– Przeanalizowała! Tak! Praca naukowa! Tego potrzebuję!

– Nie tyle naukowa, ile bardzo potrzebna. – Anna nie sądziła, że Grażyna aż tak się ucieszy, ostatecznie nie były to żadne nowatorskie badania, a żmudne przekładanie papierów, odczytywanie nierzadko naprędce poczynionych notatek, kilku zdań, które pisały przy każdym pacjencie, aby odnotować, na co chorował, jakie otrzymał leczenie i czy do nich wrócił czy też nie.

– I naukowa! I potrzebna! – ekscytowała się przyjaciółka.

– Notatki obejmują dwie wielkie skrzynie, więc się tak nie ciesz – studziła jej zapał Anna, która nagle zaczęła mieć wyrzuty sumienia, że zaprzęga przyjaciółkę do takiej niewdzięcznej roboty, a ta cieszy się, jakby sam Graves zaproponował jej wykłady.

– Kiedyś myślałam, że opisywanie każdego pacjenta to strata czasu, ale potem zaczęłam doceniać to, co robimy. Zabiorę się za to natychmiast – powiedziała Grażyna.

– Czyli się zgadzasz, tak? – upewniła się Anna.

– Dziwię się, że w ogóle pytasz. – Grażyna spojrzała na nią zdumiona. – Zaraz poproszę Gracjana, żeby mi przyniósł z księgarni papier do notatek, i zabieram się do roboty. Już myślę o pracach, które na ich podstawie powstaną.

– No tak – powiedziała Anna, która od początku praktyki planowała, żeby kiedyś usiąść nad danymi, wszystkie przeanalizować i sprawdzić, czy jakieś wnioski uda się wydać drukiem. Wiadomo jednak, że klinicystce bardzo trudno zajmować się jednocześnie chorymi i pracą naukową. Ubolewała, że nie ma czasu na korespondencję z wielkimi tego świata. Bardzo chciała napisać na przykład do owego słynnego Darwina i zapytać go o teorię ewolucji, ale nie znajdowała czasu, żeby regularnie korespondować

z Napoleonem Cybulskim, który osiadł w Krakowie i ciągle donosił jej o wynikach swoich badań, a co dopiero z kimś, kogo nie znała.

– Skupiamy się na wielkich odkryciach, a nie analizujemy przebiegu choroby i powikłań, przede wszystkim mało wiemy o drodze szerzenia się zarazy. Mało wiemy... – powiedziała Grażyna.

– Prawda – zgodziła się Anna.

– ...ile osób się zakaża i dlaczego jedni chorują, inni nie – dokończyła Grażyna. – Ja bym to nazwała epidemiologią, ze względu na związek z epidemią. Nauka o liczbie chorych na daną jednostkę chorobową.

– Już Hippokrates widział analogię między słowami „epidemia” i „epidemiologia” – przypomniała jej Anna.

– Hippokrates. – Grażyna wzruszyła ramionami. – Wypowiadał się na każdy temat. Ja bym raczej wspomniała papę Villalbę.

Porozmawiały jeszcze o sposobach rozprzestrzeniania się zarazy w osiemnastym wieku i obserwacjach rzeczonego Villalby. Zakończyły dyskusję, utyskując, że mądrych tego świata nikt nie słucha, albo nie wszystkich mądrych słucha się jednakowo z głupimi.

Gracjan Unger zastał je zarumienione, szczęśliwe, rzucające pojęciami, od których się wzdrygał i cały drżał. Przestraszył się, że wizyta Anny i owo szczęście w oczach żony oznacza powrót do pracy. Wiedział, że poślubił kobietę niezwykłą, głęboko szanował jej pasję, ale teraz, kiedy była brzemienna i tak źle się czuła, nie chciał, aby pracowała. Na samą myśl, że mógłby ją stracić, oblewał się zimnym potem.

– O czym wy, dziewczęta, mówicie? – spytał słabo.

– Będę pracowała w domu nad uporządkowaniem naszych notatek z gabinetu – powiedziała Grażyna i wytłumaczyła mężowi, z czym wiąże się jej nowe zajęcie.

Dla księgarza najważniejsze było to, że jego żona zostanie w domu. Odetchnął z ulgą. Obiecał też dostarczyć papier i wysyłać listy do jakiegoś Napoleona i innych dwóch mężczyzn, których jego żona uznawała za autorytety w dziedzinie takich czy innych chorób.

– Oczywiście, skarbenku – powiedział serdecznie i przesłał Annie uśmiech pełen wdzięczności.

Grażyna rzeczywiście przygarnęła do siebie dwie skrzynie pełne zapisków – mniej lub bardziej dokładnych notatek. Na szczęście wszystkie, co przyjęła z wyraźną ulgą, zawierały dwie rzeczy – datę oraz płeć pacjenta. To pozwoliło jej zaplanować badania zakrojone na naprawdę szeroką skalę. Najwięcej czasu poświęciła gorączce połogowej, której nowa fala wybuchła w latach osiemdziesiątych. Całymi dniami tworzyła mapy zachorowań, rozrysowywała dzielnice, ulice, domy albo klatki schodowe. W końcu, kiedy przytłoczył ją ogrom pracy, wezwała na pomoc Kasię. Kasia, która cierpiała katusze, siedząc w domu i oczekując kolejnego porodu, poczuła nagle, jakby niebo się przed nią otwierało. Liścik „panienki Grażynki” sprawił, że czym prędzej pobiegła do Anny i spytała, co może zrobić, żeby wilk był syty i owca cała – przy czym wilkiem, co zrozumiałe, był jej mąż Włodzimierz.

– Chciałabyś pomóc Grażynie? – spytała Anna.

Kasia gorliwie pokiwała głową.

– A wiesz, na czym polega ta praca?

– Na sprzątanii – szybko odpowiedziała dziewczyna. – A na tym to ja się znam.

Anna uniosła brwi ze zdumienia. Sprzątanie?

– Pani Grażyna napisała, że miałabym segregować, odkładać papiery na różne kupki, robić nowe notatki, decydować, co się przyda na później, a co nie. Czyli sprzątać. A to, proszę panienki, to ja umiem najlepiej na świecie.

Anna uśmiechnęła się. Już dawno nie była panienką, podobnie jak Kasia, ale dziewczyna nadal się tak do niej zwracała. Anna to lubiła, zwłaszcza że Kasia nigdy nie mówiła „panienko” publicznie.

– No to w czym rzecz?

– Musiałabym zabrać Henryczka – wyznała w końcu Kasia.

– Lepiej, żeby Henryczek został z naszą Gosieńką – zdecydowała Anna, chociaż bała się reakcji bony. Wprawdzie mały Henryk był przy jej Ignasiu niczym leniwiec przy antylopie, ale mimo wszystko nie miała prawa sama decydować.

– Panienska spyta, bo mnie Gosieńka zamorduje w biały dzień, a Henryczek sierotą zostanie. – Kasia wyczuła wahanie w głosie Anny.

Anna zatem spytała, a Gosieńka – o dziwo – ucieszyła się.

– Jak się Ignaś zetknie z miłym i grzecznym dzieckiem, to może i na niego przejdzie – rzuciła, nie troszcząc się, czy aby kogoś tym nie urazi.

Anna napisała do Grażyny i wysłała do niej Kasię z zaznaczeniem, że w razie gdyby się nie porozumiały, Grażyna będzie musiała poradzić sobie sama.

Dziwnie zaczęła się znajomość Grażyny z Kasią, jeszcze lata temu. Kasia była wówczas służącą, a Grażyna zachowywała się jak wielka pani. Z czasem jednak Korzyńska zrozumiała, że o wielkości człowieka świadczy praca, a biedna sługa wyrosła na dyplomowaną akuszerkę i z powodzeniem uczyła inne dziewczęta fachu. W tych nowych rolach udało im się nawiązać nić porozumienia. Podczas wspólnego zajęcia nie tylko obyło się bez kłótni – kobiety rozumiały się bez słów i razem robiły ogromne postępy.

Po trzech tygodniach intensywnej pracy widoczne były pierwsze rezultaty. Kiedy Anna przyszła odwiedzić Grażynę, zastała u niej Kasię. Jej dwie przyjaciółki dyskutowały zawzięcie nad kartkami papieru gęsto pokrytymi notatkami.

– O, Ania! – Grażyna się rozpromieniła.

– Herbatki by się panienska pewnie napiła? – zagadnęła Kasia, nieco potargana i mocno zarumieniona.

Anna już miała otworzyć usta, żeby odmówić, kiedy Grażyna z właściwą sobie władczością powiedziała:

– Nie będzie herbatek piła, pewnie jest napita po czubek nerek. Aniu, chodź tu i sama zobacz, co żeśmy zwojowały.

Anna podeszła, omijając stojące na środku pokoju pudło, w którym leżały znajome papiery, teraz porządnie posegregowane, część z nich oprawiona przez introligatora i opatrzona tytułami. Dobrska pomyślała, że w tym na pewno pomógł Grażynie mąż.

– Gorączka połogowa – przeczytała. – Wypadki, inne choroby zakaźne, zgony... Brawo, dziewczęta.

– Zobacz, zobacz. – Grażyna wyjęła grubą, oprawioną w skórę monografię zatytułowaną *Gorączka połogowa*. – Tu mamy całą analizę: kto zachorował, kiedy, czy zmarł et cetera.

Anna wzięła do ręki zeszyt i zaczęła go przeglądać.

– Prawda, od kilku lat mamy wzrost zachorowań na gorączkę połogową. To jak zaraza. Rozprzestrzenia się na całe miasto, pewnie na cały kraj.

– Anno, mówisz jak nie ty. Wzrost, wzrost. Tu masz liczby. – Grażyna popukała palcem w zeszyt. – Zaznaczone ogniska zachorowań, analizę przypadków z uwzględnieniem, czy częściej umierają kobiety starsze czy te, które rodzą po raz pierwszy, czy też inaczej – te, które rodzą któreś z kolei dziecko.

– Właśnie! – dodała Kasia. – Musimy to opublikować, bo taka wiedza przyda się, żeby zahamować zarazę.

Anna uśmiechnęła się do dziewczyny. Podobała jej się ta liczba mnoga. Tak, muszą to opublikować i tym samym przyczynić się do zahamowania zakażeń.

– Wyszło nam, że te, które rodziły u nas albo w szpitalach, rzadziej umierały na gorączkę połogową – kontynuowała Grażyna. – To absolutnie zrozumiałe. Umierały raczej te, które rodziły w domu, same albo z babami, bo akuszerkami ich nie nazwę.

– Na ciemnotę nie poradzisz! – powiedziała Kasia i Anna ledwo powstrzymała się, aby nie parsknąć śmiechem.

– Trzeba edukować, Kasiu – odpowiedziała. – Niestrudzenie.

– Już nas traktują poważnie – przypomniała jej Grażyna. – Przynajmniej niektórzy. Mamy uznanie Towarzystwa, szacunek innych lekarzy.

Anna pokiwała głową. To akurat była prawda. Lata pracy sprawiły, że praktyka na Twardej stała się powszechnie znanym miejscem na medycznej mapie Warszawy. Jeśli ktoś o niej nie słyszał, to najwyraźniej zupełnie nie miał do czynienia z medycyną. Inni, zwłaszcza lekarze, doskonale wiedzieli, kim jest Anna Tomaszewicz-Dobrska i ile zrobiła dla kobiet, zarówno pacjentek, jak i lekarek.

– Tylko niektórzy – powiedziała ostrożnie.

– Myślisz o ludziach pokroju Rydygiera. – Grażyna machnęła ręką. – Nie ma co się nim przejmować.

– Toż ja się nie przejmuję. Gdybym się przejmowała, tobym tu dziś nie stała. Pamiętacie, jak ten rosyjski profesor napisał, że kobieta nie może być lekarzem, bo... nie ma brody?

– O tak, pamiętamy. – Kasia się roześmiała. – Ale profesor Rydygier...

– Jest starej daty – przerwała jej Anna. – I praktykuje w Krakowie. Napoleon Cybulski się z nim co najwyżej pomęczy, nam nie zaszkodzi. Zwyczajnie ma takie, a nie inne poglądy. Nie musimy się niczym przejmować.

– Ale złość mnie wzięła, kiedy napisał: „Dopóki w Mydlnikach słowik śpiewa i żer przynosi samicy w gniazdku siedzącej, dopóty ja w równouprawnienie nie wierzę”. – Grażyna wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju.

– Nie powinnaś się denerwować w twoim stanie – zwróciła jej uwagę Anna.

– A bo to ten profesor każdemu słowikowi pod ogon zaglądał, czy on samiec? – prychnęła Kasia. – Skąd wie? Może to samiczki robaczki przynoszą dzieciaczkom, ha?

Po Grażynie nie było jeszcze wyraźnie widać ciąży, chociaż buzia się jej zaokrągliła w charakterystyczny dla ciężarnych sposób, a z jej oczu emanowało szczęście.

– Masz rację, masz rację. Ale sama przyznasz, że to było świństwo. Bo przecież on te bzdury publikuje w pismach naukowych!

Miała tu najwyraźniej na myśli artykuł w „Przeglądzie Lekarskim”, który po wytoczeniu argumentów o braku siły fizycznej i niewystarczających możliwościach intelektualnych kobiet Rydygier zakończył słowami: „Precz więc z Polski z dziwolągiem kobiety lekarza! Niech nam nadal słynie chwała kobiet naszych, którą tak ładnie głosi poeta!”.

– Jeszcze raz wam mówię – stwierdziła stanowczo Anna. – Trzeba robić swoje. Kiedy pierwszy raz poszłam do Towarzystwa, jedynie profesor Henryk Hoyer potraktował mnie poważnie. Zobacz, ile dobrego od tego czasu się

stało. Nie jestem już traktowana niczym dziwolog. Poza tym nie jestem jedyna, co mnie ogromnie cieszy.

Obecnie skupiała się najbardziej na pracy w szkole akuszerki i na prowadzeniu wykładów dla lekarek, które po ukończeniu studiów w Wiedniu, Zurychu lub Petersburgu wracały do Warszawy i starały się o pozwolenie na praktykę. Towarzystwo Lekarskie Warszawskie ufało Annie i liczyło się z jej opinią. Jeśli Anna Tomaszewicz-Dobrska rekomendowała daną lekarkę, nikt z jej zdaniem nie dyskutował. Anna słynęła zresztą z surowości i kobiecy, które chciały uczyć się na jej wykładach, wiedziały, że nie mogą liczyć na żadną taryfę ulgową.

„Będziecie nurzały się w nędzy i brudzie. Na nędzę nic nie poradzicie, ale na brud jak najbardziej” – zawsze tymi słowami zaczynała spotkanie z adeptkami sztuki medycznej i to zdanie stało się częścią jej legendy, przekazywano je sobie z roku na rok, z kursu na kurs.

– No dobrze – powiedziała w końcu Anna, patrząc na rozsierdzoną Grażynę i zdenerwowaną Kasię. – Mnie też to złości, ale staram się o tym nie myśleć. I robić swoje. Ile czasu zajmie wam napisanie tej pracy?

– Jakiś miesiąc – stwierdziła Grażyna. – Ale mamy też w planie opisy ciekawych przypadków i artykuły pogładowe na najbardziej interesujące tematy. Zatem czeka nas kilka miesięcy pracy. Kasia zostanie ze mną do rozwiązania, a potem, kiedy już będzie mogła, wróci.

– Tak, bo ja już się pogodziłam z tym, że w połogu akuszerstwa nie będę praktykować. Włodzimierz i panienska, i wszyscy święci mają rację. Ale naukowo to bym mogła pracować.

– Ja myślę, Kasiu, że ciebie szkoda na akuszerkę. Ty powinnaś zostać doktorem.

– Ja bym chciała – odpowiedziała Kasia poważnie. – Ale ja nie pojedę ani do Wiednia, ani innego tam miasta. Przecież panienska wie, że bym się nie chciała z wami rozstać na tyle lat.

Anna nieomalże parsknęła śmiechem na takie argumenty. Kasia naprawdę była jedyna w swoim rodzaju. Nie pojedzie na studia, bo się z mentorkami

swoimi rozstać nie może, a nie dlatego, że ma męża, dwoje malutkich dzieci i nie dysponuje takimi środkami, by opłacić zagraniczne studia.

– No to mamy plan i zabieramy się do roboty – zdecydowała Grażyna. – Teraz możesz dostać herbatki, Aniu – dodała łaskawie.

– To ja zrobię i cieszymy się, że mamy zgodę panienki na te działania.

– Świetnie – powiedziała Anna, rada, że Grażyna zajęła się czymś potrzebnym, a co ważniejsze, sprawiało jej to radość. – Nie obiecuję, ale jak już napiszecie te poglądówki, to postaramy się wydać podręcznik. Albo przynajmniej rozdział do podręcznika.

Kasia zatrzymała się w pół kroku i przycisnęła rękę do piersi.

– Jestem gotowa umrzeć na gorączkę połogową, byle to się przydało nauce! – krzyknęła.

– Nie będzie takiej potrzeby – zapewniła ją Grażyna z poważną miną. – Idź zrób herbaty i wyłóż na talerzyk makaroniki, które przyniosłaś.



Wszystkie powyższe wspomnienia przebiegły jej przez głowę owego dnia, w którym Konrad wyszedł z domu bez śniadania z wielce tajemniczą miną, bo kiedy wrócił, minę miał już zupełnie inną – radosną, wręcz triumfującą.

– Mamy to, kochanie! Mamy! – krzyknął od progu, a potem padł na fotel bez tchu.

– Bój się Boga, kochany! – Anna się przeraziła. – Co się stało, co cię doprowadziło do takiego stanu?

Konrad spojrzał na nią ze szczęściem w oczach.

– Kronenberg – wyszeptał. – Kronenberg dał pieniądze na pięć przytułków położniczych w Warszawie.

– Ten bankier? – Annie zabrakło tchu.

– Ten sam! – krzyknął Konrad. – Ten sam! Wyszedł naprzeciw!

– Wyszedł naprzeciw czemu? – Anna, która nie do końca rozumiała, co się dzieje, nie odważyła się na radość w obawie przed rozczarowaniem.

– Przecież Towarzystwo Lekarskie Warszawskie w licznych artykułach i apelach, w których, moja kochana, także masz swój znaczący udział, uznało gorączkę połogową za realne zagrożenie i niebezpieczeństwo dla warszawskich kobiet – przypomniał jej mąż.

Słyszała o tym, oczywiście, ale stwierdziła, że Towarzystwo w ten sposób uznaje jedynie fakt, że bieda w mieście jest bardzo powszechna. Uważała, że ten, kto o tym wie, nie musi czytać oficjalnych stanowisk instytucji, a kto nie ma pojęcia, jak żyją ludzie w biednych dzielnicach, nie uwierzy, chociażby mu sam Sienkiewicz o tym napisał i podstawił pod nos. Wiedziała, że czasami zgłaszają się filantropi, którzy chcieliby wspomóc służbę zdrowia, ale przez myśl jej nie przeszło, że może chodzić o finansowanie przytułków położniczych. No i że to Kronenberg, jeden z najbogatszych ludzi w mieście, wyłoży na nie pieniądze.

– I Kronenberg sfinansuje budowę przytułków? – spytała, zastanawiając się, czemu Konrad aż tak się cieszy. – To wspaniale, ale skąd w tobie aż taka radość?

Konrad nie wytrzymał, wstał i zaczął bić brawo, jakby znajdowali się w operze, a Anna była wybitną solistką.

– Wyobraź sobie, że dziś uzyskałem zapewnienie, że jednym z przytułków – największym! – masz kierować właśnie ty, moja kochana! – wykrzyczał.

Anna wpatrywała się w męża z niedowierzaniem.

– Jak ci się udało przekonać Kronenberga? – zapytała ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem. – Mój Boże, mój Boże...

Konrad miał triumfalną minę.

– Nie było bardzo trudno, chociaż on o tobie, moja droga, słyszał tylko piąte przez dziesiąte. Wiadomo, taki Kronenberg nie chodzi do biedoty, a ty przecież jesteś madonną biednych.

– Nie chodzi i biedotę ma raczej za nic – powiedziała. – No i on z Rosjanami za pan brat. Skąd pomysł, że sfinansuje przytułki?

– Nie wiem skąd, ale to dobry pomysł. Przyznaj.

– Carski sługus daje pieniądze na szczytny cel – mruknęła, chociaż jej radość tłumiał opór moralny. – Ten, który znęcał się nad własną córką^[12],

będzie wspierał biedne położnice.

– Wiem, jaki masz stosunek do krzywdy ludzkiej – powiedział łagodnie Konrad. – Pomyśl jednak, ile dobrego z tego wyniknie. Może on przeprosza pieniędzmi, kto wie. Na pewno to dla tych biednych kobiet dobrze.

Anna zdawała sobie z tego sprawę, chociaż ludzie pokroju Kronenberga zawsze wzbudzali w niej niechęć. Ojciec Kronenberga był bohaterem powstania styczniowego i sam diabeł wie, jak zdobył kontrakt na budowę kluczowej dla Rosjan linii kolei. Cała transakcja opiewała na trzysta tysięcy rubli, podczas gdy robotnicy pracujący przy jej budowie zarabiali dziennie dwadzieścia kopiejek. Syn nie był lepszy od ojca. Ale cóż – mogła zawsze odrzucić taką propozycję.

– Masz rację, z tego może wyniknąć wiele dobrego. – Uśmiechnęła się do męża. – I tylko o tym trzeba myśleć. A jego niech osądzi Pan Bóg. Nie powiedziałaś, jak ci się udało go przekonać.

Konrad wypiął dumnie pierś.

– Miałem sojuszników. Wsparli mnie Bolesław Prus, twój wieloletni wielbiciel, i Aleksander Świętochowski.

– Świętochowski, ten intelektualista, zna się z Kronenbergiem – zauważyła Anna. – A Prus...

– A Prus bronił cię od pierwszej chwili. To teraz wielki nowelista.

– Jak nasz Henryk. Co z nich za porządni ludzie, że nie drą ze sobą kotów i bardzo się lubią. A Prus pisał o mnie jeszcze za czasów, gdy był tylko felietonistą, a teraz popatrz – te jego nowelki takie piękne, takie prawdziwe... Powieści powinien pisać, bo ma wielki dar. Nie wiedzieć czemu się wzbrania. Tylko tę jedną wydał, *Dusze w niewoli*.

– Też tak uważam, ale ja nie o tym. – Konrad podszedł do żony i objął ją serdecznie. – Kochanie moje, będziesz kierować największym przytułkiem, na Prostej.

– Kto by pomyślał, że Prus i Świętochowski tak do Kronenberga przemówią. – Uśmiechnęła się.

Konrad dziwił się nieco, że żona, zamiast cieszyć się i snuć plany, dyskutuje z nim o motywacjach Kronenberga.

– Może sam Bóg do niego przemówił.

– Bóg, powiadasz? – Anna wciąż była sceptyczna. – A jaki Bóg do niego przemówił? Przecież on przechrzta z Wyszogrodu.

– Niebiosa, dajcie mi cierpliwość. – Konrad uniósł ręce jak do modlitwy.

– Dobrze, już dobrze, Konradku – skapitulowała Anna. – Ty wiesz, że się cieszę, ale nie chcę robić sobie nadziei, bo a nuż on zmieni zdanie.

– Decydujący głos miały kobiety – opowiadał Konrad. – Intelktualistki cię wsparły. Eliza Orzeszkowa i Maria Konopnicka. Zwłaszcza Konopnicka. Poszła do Kronenberga i powiedziała wprost, że musisz dostać jeden z przytułków.

– To miłe. – Anna wreszcie zaczynała wierzyć w prawdziwość całego przedsięwzięcia. – Kobiety. Muszę zaraz napisać i im podziękować.

– Napisz i podziękuj – zgodził się mąż. – Mam nadzieję, że dowie się o tym Zapolska i spali się ze wstydu.

– Nie sądzę, żeby tak się stało. – Anna roześmiała się. – Ona wciąż wierzy, że jest feministką i zrobiła to dla naszego dobra. Takiej Zapolskiej łatwo uwierzyć, że kobieta może być artystką, pisarką czy poetką, wchodzić mężczyznom do łóżek, zarażać ich kiłą, ale aby kobieta była naukowcem? Nigdy.

Przypomniała Konradowi, jak kilka lat temu Zapolska napisała apel do kobiet: „Nie chcę kobiet lekarzy, prawników, weterynarzy! Nie kraj trupów! Nie zatracaj swej godności niewieściej!”.

– Cóż, pani Zapolska ma swoją moralność – stwierdził Konrad. – Nie nam oceniać.



Anna, Grażyna oraz Konrad stali w progu kamienicy przy ulicy Prostej. Grażyna trzymała się za brzuch, jakby się bała, że jej upadnie. Anna i Konrad nic nie mówili, tylko wpatrywali się z przerażeniem w zrujnowaną kamienicę.

– Mój Boże – przerwała ciszę Anna.

– To już gorszego miejsca w całej Warszawie nie było? – Grażyna odzyskała głos. – Wejdźmy tam.

– Nie radziłbym wchodzić do środka – przestrzegł Konrad drżącym głosem, przeklinając się w duchu za pomysł, żeby przytułek położniczy prowadziła jego żona.

Na Grażynę ta przestroga podziałała dokładnie w odwrotny sposób, niż życzyłby sobie doktor Dobrski.

– Musimy wejść i zobaczyć, czy w środku jest równie źle jak w progu czy może jeszcze gorzej – sarknęła.

– Ty, Grażynko, ani mi się waż przestępować próg. – Anna zatrzymała przyjaciółkę gestem.

– A czemu to? – Grażyna się skrzywiła. – Bo jestem ciężarna i potykam się o własne nogi?

– Bo ci sufit spadnie na głowę, a ja cię będę miała na sumieniu – odparła.

– To ty też nie wchodź. – Przyjaciółka skrzyżowała ręce na piersiach. – I tyle. A ciężarne w podwórzu będziemy przyjmować. Co tam.

– Ja wejdę, drogie panie, i sprawdzę, jakie prace trzeba wykonać najpilniej – zdecydował Konrad.

Anna pokręciła głową.

– Ja wchodzę. Jak stracę życie, to powiedzcie Towarzystwu, że to w służbie kobiet.

Grażyna zastąpiła jej drogę.

– No to ja też wchodzę.

– Dobrze! Wszyscy tam wejdźmy, tylko już przestańcie mówić o śmierci! – Konrad zdenerwował się tymi przepychankami. Obie natychmiast umilkły, bo jeszcze nigdy nie widziały cichego Konrada w takim wzburzeniu.

Anna wzięła męża za rękę, a potem spojrzała na niego w taki sposób, że się natychmiast uspokoił. Mieli taki zwyczaj, że kiedy jedno powiedziało o słowo za dużo, brali głęboki oddech, łapali się za ręce i patrzyli sobie w oczy. W ten sposób mówili: „szkoda życia na nieporozumienia” albo „nie ma się co martwić na zapas”. Konrad odwzajemnił uścisk dłoni i pokiwał głową. Nawet

mu do głowy nie przyszło, że kamienica jest tak zrujnowana. Nie był fachowcem, ale nie musiał być inżynierem, aby odgadnąć, że miejsce, które miało się stać przytułkiem położniczym, nie nadaje się nawet na gołębnik.

– Trzeba zmierzyć się z przeznaczeniem – powiedziała filozoficznie Grażyna i energicznie przestąpiła próg. Anna natychmiast ruszyła za nią.

– Uważajcie na schody – poprosił Konrad słabym głosem, kiedy stawiały stopy na spróchniałych deskach.

– Może trzeba iść pojedynczo? – zasugerowała Anna.

– Tak i ja pójdę pierwszy – rzucił Konrad głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Ustąpiły mu miejsca, a on powoli, stopień za stopniem, udał się na półpiętro.

– Wyglądają na solidne, chociaż gdzieś tam są dziury. Łatwo można naprawić. A poręcze całe – zameldował z góry.

Grażyna dotknęła poręczy, ale zaraz cofnęła rękę, bo pełno na niej było kurzu i jakaś gęsta maź, którą się pobrudziła. Kiedy wszyscy dotarli na górę, weszli do pierwszego z pokoi. Pod nogą Anny pękła deska.

– Podłoga do naprawy albo całkiem do wymiany – westchnęła. – Pewnie tak jest w całym budynku.

– I kurzu pełno. – Grażyna kichnęła potężnie.

– Kurz to głupstwo – stwierdziła Anna. – Posprząta się. Wymiecie się pajęczyny i przegoni robactwo. Jest piec, trzeba sprawdzić, czy piece zainstalowano we wszystkich pomieszczeniach.

Konrad podszedł do pieca i otworzył drzwiczki. Z paleniska wystawały jakieś brudne, na wpół spalone szmaty.

– I nie wiadomo, czy te, które są, pracują jak trzeba, i nie podusimy się tu jak kaczkę. – Głos Grażyny dochodził z sąsiedniego pomieszczenia.

Nagle wrzasnęła krótko, a Anna, nie bacząc na niebezpieczeństwo, natychmiast pobiegła do pokoju, w którym przebywała przyjaciółka. Za nią pobiegł Konrad. Zastali Grażynę wpatrującą się w szczury w najlepsze biegające po pokoju. W kącie leżało jakieś ścierwo, psa czy kota, całkiem już wyschnięte, więc nawet nie śmierdziało.

– Przecież nas tu szczury zjedzą. – Rozpłakała się. – Jak my tu będziemy pracować? No jak?

– Ty tu się nie zasadzaj do pracy – mitygowała przyjaciółkę Anna, z obrzydzeniem patrząc na gryzonie, które dla niej były siedliskiem chorób i których bardzo się bała. – Ja cię tu nie chcę widzieć, aż maleństwo nie skończy roku.

– I nie zobaczysz – uspokoiła ją Grażyna. – Rodzić tu chciałam, dla przykładu oczywiście, ale zmieniłam zdanie.

– Rodzić tu chciała – mruknęła Anna i otuliła się szalem, bo w jednym z pomieszczeń było otwarte okno i hulał wiatr. – Jeszcze czego. Psa bym tu nie wpuściła, żeby rodził, a co dopiero ciebie, moja droga. W twojej sytuacji zresztą nie powinnaś rodzić w domu, tylko w szpitalu.

– A to czemu? Bo jestem stara? – Grażyna wciąż drżała i trwożnie zerkała na szczury grasujące po pokoju.

– Wiesz, że tak – zgodziła się Anna. – Biologicznie jesteś stara jak na pierwiastkę. Zatem posłuchaj mnie i...

– Dobrze, już dobrze – przerwała jej Grażyna. – Ojciec też mi to powtarza, a ja wiem, że macie rację. Będę rodziła w szpitalu. Z tobą!

– Pewnie, że ze mną. – Anna objęła przyjaciółkę. – Moja kochana, wszystko będzie dobrze.

To ostatnie zdanie mogło dotyczyć zarówno planów przekształcenia rudery w przytułek położniczy, jak i szczęśliwego rozwiązania Grażyny. Gdy Anna zdała sobie z tego sprawę, pomyślała, że to właściwie wszystko jedno. Ma się udać i jedno, i drugie.

– No to jak, moje drogie? – Konrad przerwał te rozważania. – Badamy dalej?

– Tak, tylko, proszę, uważajmy.

Konrad podszedł do okna, ale kiedy chciał je otworzyć, futryna została mu w ręku.

– Wszystkie okna do naprawy albo wymiany na nowe – zdecydował. – Futryny całkiem przegniłe.

– Ściany popękane, grasujące wszędzie szczury – narzekała Grażyna, po tym jak opuścili pierwsze piętro i udali się na drugie. – To się nazywa dobroczynność?

Anna czuła się bezradna. Myślała intensywnie, ale nie była w stanie poukładać sobie myśli w głowie. Z jednej strony to wszystko stwarzało wielkie możliwości, z drugiej było niemożliwe do wykonania.

– Najgorzej, że nie ma wody bieżącej. Tylko w beczce. I ubikacji brak.

Konrad westchnął. Kiedy badali stan ścian czy schodów, żadne z nich nie powiedziało głośno, co jest największą troską. Brak wody i toalety. Nocniki w szpitalu, gdzie będą położnice? To prosta droga do wywołania zarazy, a nie do jej opanowania. Co on zrobił? Przecież chciał dobrze.

– Jak my tu będziemy walczyć z brudem? Przecież to jest niemożliwe – wyszeptała Grażyna.

Anna była na skraju łez. Przecież miała praktykę na Twardej, zupełnie niedaleko, gdzie były woda, ubikacja, kuchnia. A to miejsce urągało wszelkiej ludzkiej godności. Jak ona tu wpuści jakąkolwiek położnicę? Toż to lepiej będzie rodzić pod mostem, a nie w takim brudzie. Tupnęła mocno nogą, powodując wzniecenie tumanów kurzu i ucieczkę mysiej rodziny do dziury.

– Myszy przenoszą choroby – mruknął Konrad, jakby szczury nie przenosiły. Miał takie wyrzuty sumienia, że gotów był iść do Kronenberga i wyzwąć go na pojedynek.

– Szczury też – odpowiedziała już spokojnie Grażyna, widząc kolejne spore stadko, które przemykało po korytarzu, nie przejmując się obecnością ludzi.

– I karaluchy – dodała Anna spokojnym tonem, bo już nic jej nie mogło zdumieć. Właściwie czekała tylko na to, że dach się zawali i pogrzebie ich w tym przybytku, który nigdy nie stanie się przytułkiem.

– Ja myślę, że trzeba napisać protest – zdecydował Konrad. – Niech dadzą nam inną kamienicę. Trzeba poprosić całe Towarzystwo, żeby się podpisało.

– Ojciec na pewno to zrobi – zapewniła Grażyna.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – westchnęła Anna. – Powiedzą, że kobieta tylko marudzi, a jak przyjdzie co do czego, to słabuje i nic nie umie

poradzić.

– A ja myślę, że tak trzeba zrobić. Kronenberg chyba nigdy tu nie był.

– Dał pieniądze, wcześniej wykupił kamienicę. Po co miałby tu przychodzić – mruknęła Anna. – Ja na jego miejscu też bym nie przychodziła.

– Trzeba go tu ściągnąć siłą. Albo sposobem – dumął Konrad.

– Ile on dał pieniędzy na nasz konkretny przytułek? – spytała Grażyna, jakby nie słyszała tego, co mówił Konrad.

Dobroski wymienił sumę.

– Nie jest to wiele – powiedziała sceptycznie Grażyna. – Ale i nie tak mało.

– Wiem, co zrobimy – powiedziała nagle Anna, której zaświtał w głowie pewien pomysł.

Weszli właśnie na ostatnie piętro i stwierdzili, że w oknach nie ma żadnych futryn, nawet przegniłych, tylko puste otwory. W pokojach hulał wiatr, a na podłodze było pełno ptasich odchodów, chociaż tylko jedno jaskółcze gniazdo znajdowało się w kącie, przy suficie.

– Wiem, co powiesz – wtrąciła Grażyna. – Że zakaszemy rękawy i wszystko wysprzątamy. Nie napiszemy żadnego protestu, tylko wszystkim pokażemy, że można. Mnie odeślesz do domu, bo jestem ciężarna, ale ty, dając dobry przykład, sama chwycisz za miotłę.

Po czym podeszła do Konrada.

– Ja bym cię bardzo prosiła, mój drogi, żebyś zapomniał, jak miłym i dobrym jesteś człowiekiem, a zamiast tego wzbudził w sobie straszliwego samca i jej tego zabronił – powiedziała, celując palcem w Annę.

Konrad spojrział bezradnie na żonę. Anna pomyślała, że gdyby nie była w tak złym nastroju, to bardzo by ją rozbawiła ta próba przeistoczenia jej najpocześniejszego męża na świecie w straszliwego samca.

– Na razie niczego nie będziemy sprzątały. Nie wiem, czy się podejmę pracy w tym miejscu – powiedziała poważnym tonem. – Za to wiem, kto mi pomoże podjąć tę decyzję. Poproszę Włodzimierza, żeby ocenił kamienicę.

– No przecież. – Konrad odetchnął z ulgą. – Mąż Kasi jest budowniczym. Będzie wiedział, czy da się doprowadzić to miejsce do porządku.

– Chwała Najwyższemu! – krzyknęła Grażyna, która wiedziała, że Anna nie odpuści, ale przyjęła z zadowoleniem fakt, że zamierza poprosić o radę fachowca. – Ja jeszcze poproszę ojca, żeby...

– Grażynko – przerwała jej Anna. – Twój ojciec jest kochany, ale przypomnij sobie, jak szukałyśmy lokalu na praktykę.

– Masz rację – westchnęła przyjaciółka. – To ja mu na razie nic nie powiem, bo gotów jeszcze sam wyjść z inicjatywą i walczyć z Kronenbergiem.

– A to należy do moich obowiązków – przypomniał nieco urażony Konrad. – Zwłaszcza że ja do tego wszystkiego doprowadziłem.

Anna i Grażyna jednocześnie zaczęły protestować.

– Chodźmy stąd – zarządziła wreszcie Anna. – A ja zaraz każę sprowadzić Włodzimierza i powiem mu, w czym rzecz. Na razie nikt z nikim nie będzie walczyć.



Włodzimierz padł na kolana i całował rękę Anny z takim szczęściem w oczach, że poczuła się jak oszustka.

– Niech Włodzimierz mi tak nie dziękuje, zanim nie zobaczy, jak tam jest.

– Mówiła pani doktor, jak tam jest, ale mnie nic nie straszne.

Usiłowała cofnąć rękę, bo było jej niezręcznie.

– Ja się martwię, że Włodzimierza będę miała na sumieniu, a pan mi tu dziękuje.

Mężczyzna wstał i wykonał serię ukłonów.

– Mnie pani spadła z nieba, bo mnie właśnie z roboty budowlanej wyrzucili i robię przy piecu.

Anna zakryła usta dłonią. A więc to tak. Biedak stracił pracę. Dopiero teraz zauważyła, że mężczyzna schudł i ma zapadnięte policzki, a na jego czole rysowała się wyraźna bruzda, pewnie z troski. Uświadomiła sobie także, że nie widziała Kasi już dłuższy czas, a rozwiązanie tuż-tuż. Zrobiło jej się

przykro, że bardziej nie interesowała się życiem swojej przyjaciółki i jej rodziny.

– Nie wiedziałam... Czemu pan nie powiedział? Albo Kasia?

– Bo to pani doktor ma mało swoich trosk, to jeszcze mamy jej dokładać? Poza tym ja mężczyzna jestem i rodzinę swoją muszę umieć utrzymać.

– No tak, ale to niecodzienna sytuacja. Przecież ja pomogę.

Włodzimierz znów zaczął się kłaniać.

– Nie trzeba, mówiłem. Na razie robotę mam, to nic, że poniżej kwalifikacji. Znajdzie się coś lepszego, może u pani właśnie. Może tak miało być, że mnie oszukali, żebym się pani kamienicą zajął.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Postanowiła, że gdy tylko Włodzimierz pójdzie, sama odwiedzi Kasię i dowie się, czy im czegoś nie brakuje. W razie kłopotów po prostu da przyjaciółce pieniądze albo każe nakupić potrzebnych rzeczy.

– Tylko, Włodzimierzu, mierzcie wasze siły na moje zamiary, dobrze? Ja wiem, że bardzo chcecie się tym zająć, ale mnie chodzi o co innego. Na razie proszę, aby pan po prostu poszedł i ocenił, co się da zrobić, a co nie – mitygowała mężczyznę, bo ten ze szczęścia, że ma pracę, gotów był biec na Prostą i od razu zacząć remont kamienicy.

– Wszystko będzie jak trzeba – zapewnił. – Oględziny zrobię i wycenię. Niech panią głowa nie boli, ja i siły mam, i zamiary uczciwe. Ja się nie tylko podejmę, ale także zrobię wszystko, żeby pani miała swój szpital położniczy.

– Nie szpital położniczy, tylko przytułek – sprostowała Anna zbolalym głosem, bo już sobie wyobrażała, jak Włodzimierz zaniża cenę robocizny, pracuje ponad siły i zaharowuje się na śmierć.

– Z całym szacunkiem, pani doktor. – Włodzimierz zniżył głos. – Nie jest ważna nazwa, tylko to, że pani będzie tam porody przyjmowała, leczyła kobiety z gorączki, a z czasem operowała.

– Nie wiem, czy tak będzie – zaprotestowała Anna. Marzyła, żeby tak właśnie było, ale lata pracy pozbawiły ją złudzeń. Wiedziała, że nie ma co sobie robić nadziei, że będzie operować. To marzenie spychała głęboko do podświadomości.

Włodzimierz uśmiechnął się do niej.

– Tak między nami – zaczął. – Pani doktor potrzebuje, żeby pół budynku było jakby domem dla tych biedaczek, które nie mają się gdzie podziać, a druga połowa to ma być szpital położniczy. Dobrze zrozumiałem?

– Można tak założyć – odparła niepewnie. – A, co tam. Dobrze Włodzimierz rozumie.

– No to jadę zobaczyć i jak wrócę, to powiem co i jak – rzucił i już miał wychodzić, kiedy go Anna zatrzymała.

– Zaraz, zaraz – powiedziała. – Po pierwsze, za oględziny też się należy...

– Nie, nie – odmówił natychmiast, ale ona była nieugięta.

– Dostałam na to pieniądze od bankiera – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – I wydam je, jak trzeba. Zatrudniam pana, Włodzimierzu, i oficjalnie proszę o wykonanie wstępnych oględzin. Za dziesięć rubli.

– To za dużo – bąknął.

– Życie ryzykujecie, Włodzimierzu – zapewniła go i dodała groźnie: – Bierz, jak dają.

Włodzimierz znów złapał ją za rękę i pocałował.

– To ja już pójdę...

– Jeszcze nie – zdenerwowała się. – Ależ z pana niecierpliwy człowiek. Jak się Kasia czuje?

– A dobrze, dobrze – zapewnił ją Włodzimierz. – Już nie może wytrzymać, w nocy nie śpi, ale z Henryczkiem też tak było. Tuż przed rozwiązaniem nie mogła zmrużyć oka, tylko chodziła całymi dniami i nocami po domu. Ale teraz jeszcze mrczy.

– Mrczy? – Anna, jak to lekarz, zaczęła zastanawiać się, czy owo mrczenie nie jest przypadkiem objawem jakichś nieprawidłowości.

– No tak.

– Zaraz do niej pójdę – oznajmiła, nieco zaniepokojona.

– Jakby pani doktor mogła, to ja byłbym wdzięczny – wyrzucił z siebie Włodzimierz. – Bo to trochę dziwne i czasem się boję. Musi być, że dziewczynkę urodzi – plątał się nieco. – To znaczy, ja nie chciałem

powiedzieć, że to źle dziewczynkę mieć, ale ta dziwność to z tej ciąży, ani chybi, bo przy Henryczku tego nie było... Mruczenia znaczy się nie było.

– Dobrze! – Anna pogubiła się w jego wywodach. – To niech pan Włodzimierz idzie zrobić swoje, a ja tymczasem zajrzę do Kasi. Akurat mam chwilę, bo Gosieńka z Ignasiem są na spacerze.



– Włodzimierz to sobie myśli, że ja nic nie wiem, a ja przecież głupia nie jestem – powiedziała Kasia na jej widok.

Anna nie skomentowała tego, że nie usłyszała nawet dzień dobry, tylko Kasia od razu zaczęła rozmowę.

– Czego miałybyś nie wiedzieć? – spytała Anna, zdejmując płaszcz i kapelusz i odkładając je samodzielnie na półkę, bo Kasia nie ruszyła z pomocą.

– Że on pracę stracił, bo jakieś szwindle były – wyjaśniła dziewczyna.

– Jakie szwindle?

Kasia zamachała rękoma, a potem chwyciła się za wielki brzuch.

– Zdrowotne! – powiedziała takim tonem, że Anna o nic nie spytała. – Przecież chodziło o to, że Włodzimierz się za robotnikami ujął, że pracują za grosze w szkodliwych warunkach, na pylicę umierają i rozedmę płucną... I gdy dwóch robotników zginęło, to się Włodzimierz zdenerwował i pracę stracił.

– No tak. – Anna usiadła na miękkiej kanapie. – Może ty, Kasiu, byś usiadła, bo tak krążysz i krążysz, a mnie się kręci w głowie.

Kasia klapnęła obok niej, ale posiedziała tylko jakieś dziesięć sekund i wstała. Anna westchnęła i przedstawiła jej historię z Kronenbergiem i pieniędzmi na przytułek. Potem zrelacjonowała jej swoje spotkanie z Włodzimierzem i opowiedziała o pracy, którą zamierzała mu zaproponować. Kasia uspokoiła się nieco, nawet usiadła na krześle przy stole i siedziała równiutką minutę.

– Dziękuję panience – powiedziała, kiedy Anna skończyła.

– Nie dziękuj, bo ja jeszcze nie wiem, czy jest za co. I przyszedłam nie tylko po to, żeby ci o tym wszystkim opowiedzieć, ale także dlatego, że dawno się nie widziałyśmy.

– Panienska Grażynka mnie odesłała, żebym spokojnie urodziła – wyjaśniła Kasia i znów zaczęła pokonywać szybkim krokiem dystans między ścianami.

– No to może powinnaś spokojnie urodzić, a nie krążyć jak, nie przymierzając, koń wokół parkuru.

Kasia stanęła jak wryta, potem wykonała mnóstwo szybkich wdechów i wydechów.

– I przestań tak...

– Ja wiem – przerwała jej Kasia. – Nie można tak dychać, bo człowiek mdleje.

– Właśnie – zdołała wtrącić Anna, bo Kasia natychmiast zasypała ją słowami.

– Niedobrze, że mnie odesłała, bo ja tam byłam spokojna, robiłam, co trzeba, cieszyłam się, a i w domu mężowi ugotowałam, uprałam, sprzątnęłam, dzieciaka zabawiłam, a teraz tylko siedzę i nic nie robię.

Wyglądała, jakby miała się rozpląkać.

– Kasiu, przecież gotować, prać i o męża dbać możesz bez Grażyny. Gdzie Henryczek?

– Bona go zabrała na spacer, bo ja ponoć tak się zachowuję, że dziecko nerwów dostaje. Bona radziła zażyć bromu. Panienska uważa, że powinnam zażyć bromu?

– Boże broń zażywać brom. Brom, Boże. Broń Boże chciałam powiedzieć.

– Anna była już gotowa przywiązać Kasię do jakiegoś siedziska.

– Dziecku zaszkodzi? – domyśliła się Kasia. – Ale panienska wierzy, że jak już powiję, to się uspokoję, co? Niech mnie panienska zapewni, bo ja już sama ze sobą wytrzymać nie mogę, a co dopiero inni ze mną mają. Piekło na ziemi.

– Jestem pewna, że wszystko ustąpi po porodzie.

– Daj Bóg, daj Bóg. Panienska Grażynka mi mówiła, że ja dobra dziewczyna jestem, tylko teraz mi coś na nogi padło.

Wieczorem Anna opowiadała Konradowi:

– Ja jeszcze takiej choroby nie widziałam, ale kto wie, może to rzeczywiście dziewczynka jej w brzuchu siedzi i pomieszała biedaczce w głowie.

– Albo jakowych ziół się napiła i od tego nieszczęście. Mówiłaś mi, skarbie, że z niej zielarka przecież nie byle jaka. Niczym szeptucha.

– Jej babcia była szeptuchą. Ona długo wierzyła, że tam, gdzie służy, to śmierć na właściciela sprowadza.

– Na nas nie sprowadziła. Ani, Bogu dzięki, na Grażynę.

– Bo sułtanka Akun odczyniła uroki i uwolniła Kasię od tego przekleństwa – powiedziała Anna i zaraz tego pożałowała, bo Konrad miał taką minę, jakby twierdziła, że Słońce krąży wokół Ziemi.

– Że co? – wykrztusił.

Opowiedziała mi o odczynieniu uroku przez sułtanke, ale mąż wciąż patrzył na nią jak na ducha.

– Ja bym odmówił koronkę – powiedział w końcu.

– Konradku, żebyś ty ją widział! – Anna spróbowała opisać mężowi to, jak Kasia się zachowywała, ale nawet słowami nie była w stanie wyrazić tych westchnień, okrążeń, kroków, krzyków.

Konrad uspokoił się nieco.

– Urodzi, kochanie moje, i jej przejdzie. A tymczasem biedny Włodzimierz trochę odpocznie od niej, bo chłop padnie trupem przy takiej frydze.

Włodzimierz przyszedł do Anny następnego dnia wczesnym popołudniem. Z teczki wyjął plik dokumentów i położył go na stole. Anna zauważyła, że nie był tak rozentuzjasmowany jak poprzedniego dnia, kiedy mu proponowała pracę. Na szczęście na jego poważnym obliczu nie malowało się przerażenie, a jedynie skupienie z odrobiną sceptycyzmu.

– No i jak? – nie wytrzymała.

– To z pewnością będzie trudne – zaczął, po czym wymienił wszystko, czego brakuje w budynku. Część tych braków sama zauważyła, ale słuchała cierpliwie, bo wiedziała, że Włodzimierz jest przyzwyczajony do porządku, głośno myśli i tak mu łatwiej przejść do rzeczy.

– Jak bardzo trudne? – spytała, kiedy skończył.

– Graniczące z cudem – zawyrokował. – To tak, jakby oborę na kamienicę przerabiać albo karczmę na królewską jadłodajnię, albo...

– Czyli mam napisać do Kronenberga, żeby dał nam inną kamienicę? – przerwała te kwieciste porównania.

– Nie – zdecydował po chwili namysłu. – Niech tylko dołoży z tysiąc rubli. Anna zastanowiła się chwilę.

– Nie wiem, czy tyle dołoży, ale mogę spróbować. A tysiąc rubli załatwi sprawę? Na pewno?

– Żeby z tego truchła zrobić dom? – Pokiwał z powątpiewaniem głową.

– Innymi słowy, co nam da ten tysiąc rubli?

– Da tyle, że nie trzeba będzie się bać, że dach runie i pogrzebie te nieszczęśnice razem z panią i moją Kasią.

– Czyli kamienica koniec końców nadaje się do remontu? – Wzniosła oczy ku niebu. – No powiedzże, panie Włodzimierzu, nie owijaj w bawełnę, bo ja nie jestem jakaś pani, która nic nie rozumie.

Włodzimierz kiwnął głową.

– Jest solidna, tyle powiem. Mury dobre, dach nie całkiem do wyrzucenia, tylko do naprawy, to najważniejsze. Okna wszystkie trzeba naprawić, piece udroźnić, schody załatać. Ściany... – Tu się zafrasował. – No nie wystarczy pobielić, trzeba tynk pękający ściągnąć i...

Mimo wszystko poczuła pewną ulgę.

– A ile to potrwa?

– Ze cztery miesiące, jakby tak z tuzin chłopów skrzyknąć.

– Za długo – zawyrokowała. – Za miesiąc muszę zacząć działalność. To warunek Kronenberga.

– Niech się pani zmiłuje, pani doktor – westchnął Włodzimierz. – Mogę w dwa spróbować, ale szybciej się nie da. No i trochę potrwa, zanim zgodzę ludzi. Pani temu Kronenbergowi powie albo ja mu mogę wyjaśnić. Mam dyplom inżyniera i pracowity jestem, ale z gówna bata nie ukręcisz, za przeproszeniem, a jak ukręcisz, to też nie w minutę.

– Przygotował pan jakiś kosztorys? – spytała Włodzimierza. – Żeby poszła do tego bankiera z jakąś podstawą.

Włodzimierz się zachnął.

– Przecież mówiłem, że ja inżynier jestem, a nie byle robotnik. Wszystko mam.

Podał jej plik dokumentów, które wyciągnął wcześniej z teczki.

– Tu znajdzie pani moje notatki, tu jest kosztorys, tu wszystko porządnie rozrysowałem, jak na absolwenta petersburskiej uczelni przystało – wyjaśnił z dumą.

Wzięła od niego dokumenty i przejrzeni je razem.

– Dla porządku ponownie spytam. Jeśli Kronenberg się zgodzi, to pan skrzyknie ten tuzin chłopów? I obejmie kierownictwo budowy?

– Przecież mówiłem. Tylko niech ten bankier da porządne konie i dobry powóz, bo będziemy wozić worki wapna, a nawet żelastwo...

Anna pokiwała głową.

– Dobrze. Natychmiast udaję się do Kronenberga. I niech pan zacznie od tej części – wskazała palcem na rysunku prawą część budynku, która miała służyć biednym położnicom za mieszkanie – i wyszykuje jeden pokój, który będzie służył za porodówkę.

Włodzimierz pokręcił przecząco głową.

– Z całym szacunkiem, ale tak nie możemy zrobić – powiedział. – Już mówiłem, jestem inżynierem. I zrobimy to po mojemu.

– A ja panu mówiłam, że to nie ma być pałac, tylko przytułek i szybko musimy go otworzyć. Spróbuję załatwić wszystko z tym bankierem, ale nijakiej gwarancji nie mam, że się zgodzi.

– Zrobię, co w mojej mocy, ale po mojemu – zawyrokował Włodzimierz i spojrział na nią uparcie. – Zacznę od góry, a nie od boków. Jakby tak pani choremu na płuca tylko brzuch zbadala, toby mu w pięty poszło, a nie w zdrowie, nie?

To obrazowe porównanie trafiło do niej i postanowiła użyć go w rozmowie z Kronenbergiem.

– Nie. To znaczy tak – odparła Anna. – Niech będzie. Zrobimy, jak pan zarządzi.

Jeszcze tego samego dnia Anna wybrała się do pana Kronenberga. Ku jej zdumieniu bankier natychmiast ją przyjął, chociaż uprzedził przez sekretarza, że nie ma dla niej wiele czasu.

– Czemu zawdzięczam pani wizytę? – spytał.

Na pierwszy rzut oka zrobił na niej niezbyt dobre wrażenie, ale Anna pomyślała, że być może jest do niego uprzedzona przez tę historię z biciem córki.

– Przede wszystkim chciałam panu ogromnie podziękować za nominację. To dla mnie zaszczyt – zaczęła.

Kronenberg pokiwał głową. Wyraźnie starał się być miły. Na twarzy miał jednak wypisane zniecierpliwienie.

– Nie musiała pani przychodzić – rzucił oziębło. – Dostałem pani list.

– Podziękowałam listownie i nie ośmieliłabym się niepokoić pana, gdyby nie pewne aspekty...

– Ile? – przerwał jej. – Ile jeszcze pani potrzebuje?

„To mi się podoba”, pomyślała. „Nie owija w bawełnę i nie traci czasu”.

– Dwa tysiące – powiedziała, podając dwukrotnie wyższą sumę od tej sugerowanej jej przez Włodzimierza. – Pieniądze, które pan nam przekazał, wystarczą jedynie na jako takie...

– Zgoda. – Kiwnął głową. – Czy coś jeszcze?

– Przydałby się solidny powóz, bo będziemy worki i różne ciężkie rzeczy wozić, a...

– W porządku – znów jej przerwał. – Coś jeszcze? Chce pani, abym przeciął wstęgę, wygłosił mowę na otwarciu, rozdawał dzieciom jabłka w cukrze?

„Cóż za niegrzeczny człowiek”, pomyślała, chociaż jednocześnie czuła wdzięczność, bo przecież na wszystko się zgadzał i nie robił żadnych trudności.

– To nie będzie konieczne – odpowiedziała. – Proszę tylko wpuścić mnie i moje akuszerki do pańskiej fabryki. Chcemy rozdać ulotki na temat czystości, poinformować o działalności przytułku położniczego...

– A kto będzie pracował? – spytał.

– Zrobimy to po pracy – zapewniła. – Albo będziemy je wręczać pod bramą, gdy robotnice będą szły na swoją zmianę.

– To powodzenia. – Zaśmiał się krótko i kpiąco. – Robotnice są wystarczająco wyedukowane, żeby pracować na swoje utrzymanie. Kiedy zachodzą w ciążę, pracują do rozwiązania. To nie są delikatne panienki, z jakimi pewnie ma pani do czynienia.

– Są – zaprotestowała. – I mrą jak muchy. Śmiertelność w połogu wynosi nawet dziesięć procent. Sierocińce są przepełnione. Zaraza trzebi miasto. To pan nie ma pojęcia, jak żyją ci ludzie.

Machnął ręką. Nie wyglądał na obrażonego.

– Niech pani robi, co uważa – stwierdził nagle. – To spodoba się mojej żonie. Ma ochotę zająć się czymś poważnym. Chyba znudziły się jej wyprawy po suknie do Paryża.

– Sugeruje pan, żebym poinformowała o wszystkim pana żonę i zaprosiła ją do współpracy? – spytała.

– Tylko proponuję – odpowiedział natychmiast. – Moja żona jest bezwolna, robi, co jej każą. Ja jej każę, pani ją poprosi. Wszyscy będziemy zadowoleni.

Zaskoczył ją swoją bezwzględnością. „Pewnie tak się robi interesy”, westchnęła w duchu.

– Już nie przyjdę po pieniądze – zapewniła go na odchodnym. – Dziękuję panu.

– Przyjdzie pani, a ja pani dam, bo wiem, że nie zmarnuje pani ani jednego rubla.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Do zobaczenia. Jeszcze raz dziękuję. Także za czas i rozmowę. Była wielce pouczająca.

Wstał, aby się z nią pożegnać.

– Mówiono mi, że jest pani niezwykłą osobą i pierwszą lekarką... – Zawahał się. Najwyraźniej określenie „w Polsce” nie przeszło mu przez gardło, bo powiedział: – ...w Warszawie. Nie przypuszczałem jednak, że to możliwe, aby kobieta była tak silna.

– Pan nic o mnie... – zaczęła, ale znów jej przerwał.

– Wiem wszystko, czego potrzebuję. Wystarczy mi jedno spojrzenie, aby ocenić człowieka.



– To dziwny typ – opowiadała wieczorem Konradowi. – Bezwzględny, niegrzeczny, chociaż zgodził się na wszystko, o co poprosiłam.

– Nie wiem, jak go przekonałaś, kochanie, żeby dołożył pieniędzy.

– Nawet nie miałam okazji wysunąć żadnego argumentu. Spytał: „Ile?”, a ja podałam podwojoną kwotę oszacowaną przez Włodzimierza.

– Mam nadzieję, że nie będziesz musiała więcej go oglądać.

Roześmiała się.

– Powiedziałam mu, że już nie przyjdę, a on odpowiedział: „Przyjdzie pani, a ja pani dam pieniądze, bo nie zmarnuje pani ani jednego rubla”.

Konrad cicho zagwizdał.

– Jesteś wojowniczką. Moją wojowniczką.

– Chciałabym już przestać walczyć – westchnęła. – Ale taki widać mój los.

– Włodzimierz już pracuje?

Pokiwała głową.

– Od razu znalazł chętnych do pracy. W Warszawie jest masa bezrobotnych. Wziął zaufanych ludzi. Drzę na myśl, że komuś może się coś stać.

– Bóg nas będzie miał w swojej opiece. – Konrad pogłaskał Annę po głowie, a ona przytuliła się do jego ramienia. – I te nieszczęsne położnice.

– Amen – odpowiedziała, zasypiając.

Wilhelm Röntgen

1845–1923

Dyrektor zdjął okulary i przetaił je wielką kraciatą chustą.

– Namysłileś się, Röntgen? Przyznasz się po dobroci?

– To nie ja – powiedział twardo i spojrział dyrektorowi prosto w oczy.

– A ja wiem, że to ty. – Dyrektor zwinął usta w dzióbek. Z tego powodu nazywali go między sobą Całusem. Kiedyś wydawało się to Wilhelmowi zabawne.

– Ktoś mnie fałszywie oskarżył. Nie miałem z tym nic wspólnego – przekonywał.

Mieszaly się w nim uczucia złości i bezsilności. Miał podejrzenia co do tego, kto postawił go w tak niezręcznym położeniu, ale nie miał żadnych dowodów.

– A ja myślę, że nikt cię nie posądził, Wilhelmie Röntgenie. – Dyrektor wziął do ręki nieszczęsną karykaturę nauczyciela matematyki i podstawił mu pod nos. – To twoja sprawka.

– Powtarzam – to nie ja.

Rysunek był wykonany nieco niewprawną ręką, ale uchwycono cechy szczególne, które wskazywały na tożsamość portretowanego. Matematyk, pan Schliemann, miał gęstą, długą i siwą brodę, był postawny i miał tubalny głos. W dodatku pasjonował się statkami, a kiedy mówił, zabawnie wyciągał prawą rękę i machał nią, jakby ciskał gromy. Z tego powodu nazywali go Neptunem. Ktoś narysował Neptuna na katedrze w skąpym stroju, z rozwianymi włosami i koroną z wodorostów na głowie, w którą wplecione były wzory matematyczne. Neptun przechwycił ten obrazek, a jako że był niezwykle

czuły na swoim punkcie, wściekł się niczym prawdziwy Neptun i zażądał wydania winnego.

– Posłuchaj, Wilhelmie. – Dyrektor podszedł do niego tak blisko, że widział każdy włoszek jego krzaczastych brwi i popękane naczynka krwionośne na bulwiastym nosie. Poczuł obrzydzenie.

– Twoi koledzy cię wydali. Tak – tu wymienił pięć nazwisk chłopców – wszyscy wskazali na ciebie. Ponadto mam tu twoje prace z rysunku technicznego. Kreska jest taka sama.

Wilhelm popatrzył na Całusa.

– Na podstawie kreski technicznej nie można wnioskować na temat czyichś zdolności plastycznych. A oni od początku mnie nie lubili.

Chłopakom w klasie przewodził Romill, chudy i przyszczaty chłopak, który skupiał w swojej bandzie najsilniejszych. Od pierwszego dnia, odkąd Wilhelm wstąpił do szkoły technicznej w Utrechcie, koledzy rzucali mu kłody pod nogi: czy to wylewając atrament na świeżo wykonane zadanie, czy też niszcząc projekt w ostatniej chwili i podśmiewając się z niego, kiedy tłumaczył się nauczycielowi z braku pracy.

– Kończymy tę dyskusję, Wilhelmie. – Całus odsunął się od niego. – Nie masz nawet cywilnej odwagi, żeby się przyznać. Taka postawa nie licuje z powagą ucznia naszego technikum. Zostajesz wydalony ze szkoły w trybie natychmiastowym. Spakuj swoje rzeczy i wracaj do domu.

Był zbyt oszołomiony, żeby zaprotestować. Sądził, że skończy się na naganie, może na upokarzających razach dyscypliną w zaciszu gabinetu dyrektora, na gnębieniu go przez Neptuna i innych nauczycieli. Ale nie spodziewał się, że go wyrzucą. Nie odezwał się ani słowem. Ukłonił się i wyszedł z gabinetu, poszedł prosto do swojego pokoju i spakował cały dobytek. Nie spotkał nikogo, kiedy opuszczał szkołę. Z jego klasy dobiegały łacińskie zwroty, których kazał im się uczyć łacinnik Ulrik Wurst. Poczuł rozpacz na samą myśl o tym, co powie rodzicom i co ważniejsze – która szkoła zechce go teraz przyjąć.



– Moje życie to jedna wielka porażka – westchnął, pakując swoje rzeczy.

– Tak mi przykro, Wilhelmie. – Robert położył dłoń na jego ramieniu. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów, Robercie. Nic nie możesz poradzić. Cieszę się, że przez rok dane było nam się przyjaźnić.

– Gdyby nie ty, pobyt na wydziale fizyki w Utrechcie byłby dla mnie koszmarem – wyznał Robert Tunderwille, kolega z roku i jedyny przyjaciel.

– Nienawidzę tego miasta – rzucił Wilhelm i usiadł ciężko na krześle, wpatrując się przed siebie.

– A co ci zawinił Utrecht? – Robert się zdumiał. – Myślę, że miałeś po prostu pecha.

– Nie osiągnąłem odpowiednich kwalifikacji wymaganych od studenta, aby zostać dopuszczonym na kolejny rok fizyki. Rozumiesz? Nie osiągnąłem odpowiednich kwalifikacji!

– Mówię, że miałeś pecha. Egzamin źle ci poszedł...

– Więcej niż źle. Poszedł mi koszmar.

– Nie rozumiem, czemu nie pozwalają ci powtórzyć roku. Napisz podanie – przekonywał go Robert.

– Napisałem – uciał Wilhelm. – Odrzucili. Może i dobrze. Mówię ci, że nienawidzę tego miasta.

– Nie mówiłeś, co ma do tego Utrecht – westchnął Robert.

Żal mu było Wilhelma. Był dobry, poczciwy i lojalny, ale nie wiedzieć czemu uparł się na studiowanie fizyki, a przecież nie miał ku temu zdolności.

– Wyrzucili mnie z technikum, tu, w Utrechcie, za karykaturę nauczyciela. Nie ja ją narysowałem, ale na mnie zrzuciono winę. Udało mi się skończyć liceum ogólnokształcące, mniej prestiżowe, ale przynajmniej dostałem dyplom. Kiedy przyjęli mnie na tutejszy uniwersytet, sądziłem, że będę w spokoju studiował. A teraz to.

Pokazał palcem na ubrania, które usiłował złożyć w taki sposób, aby zmieściły się do niewielkiej kartonowej walizki.

– Daj, pomogę ci – zaofiarował się Robert. – To głupstwo.

Wilhelm z podziwem patrzył, jak przyjaciel sprawnie spakował jego niewielki dobytek – dwie koszule, odświętne spodnie i kurtkę, którą podarowali mu rodzice z okazji wstąpienia na uniwersytet.

– Nawet tego nie potrafię. – Röntgen był załamany.

Ktoś zapukał do pokoju i nie czekając na „proszę”, wszedł. Wilhelm i Robert zerwali się na równe nogi, gdy w drzwiach zobaczyli profesora optyki geometrycznej Heinricha Hannego.

– Wilhelmie – powiedział profesor ze zboląłą miną – tak mi przykro.

Chłopak spuścił głowę.

– Dziękuję panu. To miłe z pana strony, że chce się pan pożegnać z takim nieudacznikiem jak ja.

Hanne podszedł i poklepał go po ramieniu.

– Głowa do góry, Wilhelmie. Nie poddawaj się.

– Już się poddałem – wyznał Röntgen.

– Tak podejrzewałem i dlatego przyszedłem – wyjaśnił Hanne. – Nie mieliśmy okazji poznać się lepiej, gdyż optyka geometryczna to na pierwszym roku ledwie kilka zajęć. Zauważyłem jednak, że masz wybitne zdolności w tej materii.

– Właśnie mnie wyrzucono – przypomniał mu Wilhelm.

– Jedź do Zurychu i zacznij studiować na tamtejszej politechnice. Powinieneś specjalizować się w optyce. Masz ku temu zdolności i uważam, że możesz wiele dokonać.

– Naprawdę pan tak uważa? – Na twarzy Wilhelma malowała się nadzieja.

– Naprawdę. – Hanne pokiwał głową. – Byłeś moim najlepszym studentem i chętnie zawrę tę informację w liście polecającym.

Wilhelm nagle poczuł, że nie wszystko stracone.

– Pamiętam, jak udoskonaliliś ciemność w pudle optycznym, co skierowało nas na nowe tory eksperymentu z fluorescencją – powiedział zachęcająco profesor Hanne.

Röntgen uśmiechnął się blado.

– Właśnie, Wilhelmie, ja też to pamiętam – dodał Robert.

– Pomyślałem tylko, że nie zawsze są warunki do zaciemnienia całego pomieszczenia. – Nagle się nachmurzył. – Szkoda, że profesor Greiger nie ma o mnie takiej dobrej opinii – dodał.

– Bo zapewne nie masz zdolności do fizyki mechanicznej. Nie dla ciebie pęd, popęd, prędkość czy przyspieszenie. Skup się na rozproszeniu i rozchodzeniu się fal.

– Dziękuję panu. – Röntgen uścisnął Hannemu dłoń. – Tak zrobię.



Z przejściem wsłuchiwał się w wykład ulubionego z profesorów, Rudolfa Clausiusa.

– Entropia wszechświata dąży do maksimum – mówił profesor.

– W kółko to powtarza. – Wilhelm dosłyszał szept któregoś z niezadowolonych studentów siedzących w ławce nad nim.

– Kogo to obchodzi? – dodał inny.

– Cicho. – Odwrócił się do nich.

– To Röntgen – usłyszał jeszcze. – Pupilek Clausiusa. Razem tę entropię będą sobie rozpraszać.

„Entropia nie jest rozproszeniem”, miał ochotę odpowiedzieć impertynentowi, ale uznał, że egzamin i tak zweryfikuje, kto się nadaje na fizyka, a kto nie, a ponadto czuł się zaszczycony, że jest łączony z tak wielkim uczonym jak Rudolf Clausius.

– Czy entropię można rozproszyć jeszcze bardziej? – spytał ktoś z pierwszego rzędu.

– Może pan Röntgen odpowie nam na to pytanie? – Clausius, który oprócz tego umysłu miał także niezwykłą wyrozumiałość dla studentów, uśmiechnął się do Wilhelma.

Chłopak wstał.

– Entropia jest miarą stopnia nieuporządkowania układu i rozproszenia energii – zaczął. – Jeśli układ termodynamiczny przechodzi z jednego stanu

do drugiego spontanicznie, czyli bez udziału czynników zewnętrznych, to jego entropia zawsze rośnie.

– Druga zasada termodynamiki. Bardzo dobrze, Wilhelmie – pochwalił go Clausius i zwrócił się do pytającego: – Czyli odpowiedź na pana pytanie brzmi: tak, entropia jest bowiem wielkością ekstensywną.



– Kochany przyjacielu – powiedział Robert Tunderville – jestem zaszczycony i wzruszony. Kto by pomyślał? Mój Wilhelm się żeni i to właśnie mnie poprosił, abym był jego drużbą!

Wilhelm się uśmiechnął.

– Drogi Robercie, jesteś moim przyjacielem z najdłuższym stażem. Kogo, jak nie ciebie, miałbym poprosić o taką przysługę?

Siedzieli w salonie u Tunderville'ów. Wilhelm nie był tu od lat. Po ukończeniu studiów pozostał w Zurychu i w pracowni profesora Clausiusa ukończył badania i obronił pracę doktorską. Potem został mianowany asystentem profesora Augusta Kundta – pojechał z nim do Würzburga, a następnie do Strasburga. W tym czasie kilkakrotnie odwiedzał rodzinne miasto, sędziwych rodziców, raz nawet był u Tunderville'ów, ale nie zastał Roberta. Przez pierwsze lata w Zurychu pisali do siebie dość regularnie, ale z czasem korespondencja wygasła. Teraz Wilhelm przyjechał specjalnie do starego przyjaciela, aby zaprosić go na ślub. Cieszył się, że zastał go w dobrym zdrowiu. Robert wyglądał jak za dawnych studenckich lat, tyle że na nosie miał okulary. Poza tym nie zmienił się ani o jotę.

– Mówże, kim ona jest i jak udało jej się zdobyć twoje serce.

– Użyła promieni – zażartował Wilhelm.

Roześmiali się obaj.

– Swoją drogą, powiem ci, że miłość jest rodzajem promieniowania. Dla fizyka stanowi pryzmat, który rozszczepia światło, dla chemika...

– Dla chemika to synteza złota – z udawaną powagą wtrącił Robert. – A dla fizyka kwantowego?

– To jak znalezienie entropii w czarnej dziurze – odpowiedział Wilhelm poważnie i dodał: – Poznałem Annę Bertę w kawiarni, którą, wyobraź sobie, prowadzi jej ojciec. Trafiłem tam zupełnie przypadkiem, ale kiedy tylko ją zobaczyłem, nagle stałem się wielbicielem strudli jabłkowych, kulek marcepanowych oraz kawy.

– Musi być wyjątkowa! – wykrzyknął Robert.

– Jest – odpowiedział mu Röntgen z czułością w głosie. – Nawet nie wiesz, jak szczęśliwy się poczułem, kiedy odwzajemniła moje uczucia. Czy dasz wiarę, że jest siostrzenicą Ottona Ludwiga?

– Tego poety? – Robert się zdumiał.

– Tego samego. Przeraziłem się, kiedy to usłyszałem, bo wiesz, jaki jestem. Z poezją mi nie po drodze, bałem się, że ona pragnie mieć kogoś innego u boku...

Robert się uśmiechnął.

– Wilhelmie, jesteś najmilszym i najskromniejszym człowiekiem, jakiego znam. Założę się, że twoja Anna Berta od razu to dostrzegła.

– Tak mi powiedziała. – Wilhelm zrobił się czerwony. – I jeszcze dodała, że nie muszę recytować wierszy, bo od dzieciństwa ma ich powyżej uszu. Zawsze chciała się kształcić i zostać lekarzem, ale pochodzi z konserwatywnej rodziny, więc nie mogło być o tym mowy. Moje stanowisko asystenta uniwersyteckiego bardzo jej imponuje.

– Mnie również – powiedział ze śmiechem Robert. – Jako skromny nauczyciel chylę czoła przed twoimi dokonaniem. Szczególnie imponują mi twoje prace nad drugą zasadą termodynamiki w kontekście wszechświata. Zapewne dlatego, że nie wszystko rozumiem.

Wilhelm machnął ręką.

– To Clausius nakłonił mnie do tych badań. Są one czysto teoretyczne, a ja, jak wiesz, chciałbym zająć się praktyczną stroną fizyki.

– Czyli nie interesuje cię wszechświat?

– Interesuje, ale za mojego życia tam nie trafię, zatem nie będę przejmował się odkryciem Helmholtza.

– A cóż on takiego odkrył? – spytał Robert z ciekawością w głosie.

– Wysunął hipotezę śmierci cieplnej wszechświata – rzucił Wilhelm z przekąsem. – Według niego wszechświat w końcu dojdzie do równowagi termodynamicznej, a zatem nie będzie już w stanie zamieniać energii cieplnej na pracę. Przystanie się rozszerzać.

– To mógłby być pewien problem – zauważył Robert.

– Tylko dla Helmholtza i jemu podobnych. Ja uważam, że wszechświat nie jest układem izolowanym, dlatego nie dąży do zachowania równowagi. Mówiąc dosadnie – mam to w głębokim poważaniu.

– Chyba żeby stwierdzić, że entropia we wszechświecie to nic innego jak przyszłość – rzucił chytrze Robert.

Wilhelm roześmiał się i pogroził Robertowi palcem.

– Nabrałeś mnie i kazałeś sobie tłumaczyć te bzdurne teorie, a tymczasem wiedzę masz równą z moją.

– Nie, nie – zaprotestował Robert. – Ty jesteś geniuszem, ja zwykłym belfrem. I tak pozostanie. To czym zamierzasz się teraz zająć?

Wilhelm zastanowił się chwilę.

– Promieniowaniem przenikliwym – wyznał.

– Sądziłem, że będziesz udoskonalał rurę Kundta – zdumiał się Robert.

Wilhelm pokręcił przecząco głową.

– Ona już jest doskonała. Kundt pracował nad nią, aż udało mu się przepuścić przez nią fale płaskie. W wyniku interferencji uzyskał falę stojącą. Pokazuje ją studentom i doktorantom i wszyscy się zachwycają.

– Jest czym – przyznał Robert.

– Tak, ale służy ona wyłącznie demonstracjom. Ja chciałbym, żeby moje wynalazki służyły ludziom.

– Zajmij się optyką – poradził Robert, zdejmując okulary. – Mnie by to bardzo pomogło. Widzisz, ja świetnie widzę w dali, bardzo kiepsko w bliży. Noszę okulary do czytania, ale podczas spaceru ich nie potrzebuję.

A w szkole nie widzę uczniów, którzy siedzą w drugiej lub trzeciej ławce, ani w okularach, ani bez okularów. Tacy mogą bezkarnie ściągać, bo między bliżą a dalą jestem ślepy jak kret.

Wilhelm się roześmiał.

– Rozważę to, bracie – powiedział. – A to, nad czym teraz pracuję, pokażę ci, gdy do nas zawitasz.



– Wilhelmie, wychodzimy. – Do pracowni zajrzała Anna Berta.

– Oczywiście, skarbie. Dokąd to idziecie?

– Do szwaczki. Josephine rośnie jak na drożdżach. Sukienki pękają w szwach, a nóżki bolą ją w za małych bucikach.

Wilhelm uśmiechnął się do żony. Jakże rozkwitła pod wpływem tego nieoczekiwanego macierzyństwa. Nie mieli własnych dzieci, Wilhelm nie wiedział, czy wina leży po jego stronie czy też Anna nie mogła z jakiegoś powodu zajść w ciążę. Już się pogodzili z tym, że będą sami, gdy los zesłał im sześćioletnią Josephine, jedyną córkę zmarłego brata Anny. Dziewczynka tchnęła w ich życie radość i spełnienie. Była niczym żywe srebro – bystra, wesola, urocza. Wilhelm pokochał ją jak swoje dziecko i był gotów wraz z Anną rozpieszczać przybraną córeczkę na każdym kroku.

– Idźcie i zróbcie sobie przyjemność. Ty też sobie coś kup, moja kochana.

– Ja nie potrzebuję – zaprotestowała Anna. – Bogu dzięki, moja figura się nie zmienia. A w tej głuszy nie ma balów ani okazji do zaprezentowania nowych sukni.

– Mówiłaś, że kochasz Weilheim. – Zaniepokoił się.

– Oczywiście, że kocham nasz letni domek i całą piękną okolicę. Mówię tylko, że nie muszę mieć nowych sukni, bo tu nikt nie wydaje przyjęć. Bogu dzięki, bo wiesz, jak tego nie znoszę – wyjaśniła Anna.

– Ale nie masz nic przeciwko temu, że jutro przyjeżdżają Max Haimar i Robert Tennenbaum? – upewnił się.

Anna spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Wilhelmie, co cię dzisiaj naszło? Czy ja kiedykolwiek miałam coś przeciwko odwiedzinom twoich przyjaciół? Czy kiedykolwiek narzekałam, kiedy ktoś tu do nas przyjeżdżał?

– Narzekasz, kiedy idę w góry – powiedział cicho.

– Bo się o ciebie boję – wyjaśniła. – Wiem, że kochasz te wycieczki, ale doszły mnie słuchy, że zapuszczasz się w rejony wysokich gór i narażasz na niebezpieczeństwo. Podczas ostatniej wyprawy było blisko nieszczęścia!

Wilhelm spuścił głowę. Czuł się niczym uczeń przyłapany na niesubordynacji.

– Kto mnie wydał?

– Pastuszek Kronenbergów – odparła Anna.

– Obiecuję ci, kochanie... – zaczął.

– Tak, wiem, wiem. – Anna pokiwała głową. – Obiecujesz uważać na siebie, bo inaczej nie skończysz swoich badań. Nikt inny nie będzie w stanie tego zrobić, bo jesteś tak zamknięty w sobie, że nie masz asystentów i nikt nie wie, co tam wymyślasz po ciemku.

– Ja nie chcę nikomu narzucać... – zaczął obronnym tonem.

– ...przedmiotu swoich badań – dokończyła Anna. – To też wiem.

– No tak – bąknął Wilhelm.

– Idziemy zatem, a jeśli przyjdzie tu pani Müller z jajami i mlekiem, to skieruj ją, proszę, do kuchni. Nie wiedzieć czemu zawsze wchodzi przez salon, jakby nie było tylnego wejścia.



– No cóż. – Robert Tunderville się roześmiał. – Żałuję, że nie przeżyjemy przygód na przełęczy, ale rozumiem punkt widzenia twojej żony.

– Sądzisz, że ma rację? Że powinienem podzielić się z kimś swoimi badaniami?

– Ona nie twierdzi, że powinieneś się dzielić – zauważył Max Haimar. – Ona tylko się dziwi, czemu nie pracujesz na uczelni, w pracowni, z wianuszkami doktorantów dokoła.

Röntgen bezradnie rozłożył ręce.

– Jakoś nie umiem tak z obcymi...

Przyjaciele roześmiali się.

– Jak zatrudnisz asystenta, to stanie ci się bliski – dodał Robert.

– Spróbuję, ale nie ręczę, że to się powiedzie – odpowiedział Wilhelm z nieszczęśliwą miną.

– Zostawcie biedaka – ujęła się za mężem Anna, która weszła do pokoju. – Po prostu taki jest. Pokazał wam swój nowy aparat?

Pokiwali gorliwie głowami.

– Ja wam powiem, bo Wilhelm jest zbyt skromny i się nie pochwali – oznajmiła, chociaż mąż dawał jej znaki, żeby zamilkła, gdyż wszelkie dowody uznania i komplementy straszliwie go krępowały – ale skonstruował go sam. Jak większość aparatów, na których pracuje.

– Wilhelmie... – wyszeptał z podziwem Max.

– Ja po prostu muszę je sam konstruować, bo najlepiej wiem, czego mi potrzeba, a te, które są dostępne, nie spełniają moich oczekiwań – dukał czerwony Röntgen. – A Anna zawsze mnie zawstydzą.

– Bo cię podziwia, Wilhelmie – pospieszyli z zapewnieniami, a Anna roześmiała się i poklepała męża po plecach.

– Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni, mój drogi. Musisz z tym żyć.



5 listopada 1895 roku

Badam promieniowanie katodowe. W tym celu wypełniłem szklaną rurkę gazem i włożyłem w nią dwie metalowe płyty, a następnie przyłożyłem do nich ładunek elektryczny. Eksperyment się udał, uzyskałem promieniowanie, którego się spodziewałem. Zauważyłem jednak słabe światło na wrażliwych na światło ekranach, które znajdują się w pobliżu. Poświęciłem się ściśle temu zjawisku, gdyż jest ono nowe, do tej pory się z nim nie zetknąłem. Powtarzałem eksperyment

wielokrotnie, zmieniając położenie ekranów, i za każdym razem pojawiała się wiązka owego światła. Sądzę, że to nowy rodzaj promieniowania.

– Wołałeś mnie, Wilhelmie. – Anna stanęła w progu pracowni.

– Czy zechciałabyś mi pomóc? – spytał żonę.

– Jeśli tylko potrafię. – Podeszła do stołu, na którym Wilhelm przeprowadzał swoje eksperymenty. – Co to jest? – Wskazała palcem urządzenie.

– To cewka indukcyjna Ruhmkorffa – wyjaśnił. – Służy do wytwarzania bardzo wysokiego napięcia elektrycznego, z którego w rzadkich gazach powstaje prąd elektryczny.

– Wilhelmie, czy zamierzasz porazić mnie tym swoim prądem? – zażartowała.

– Uchowaj Boże – oburzył się. – Potrzebuję twojej ręki, tylko na chwilę.

Anna się roześmiała.

– Już mnie prosiłeś o rękę, ale było to tak miłe przeżycie, że możesz to zrobić jeszcze raz. Wyrażam zgodę.

Wilhelm był zbyt skupiony na swoim eksperymencie, aby odpowiedzieć na żart żony. Wziął jej dłoń i unieruchomił na ścieżce nowych promieni nad płytą fotograficzną.

– Zobacz. – Kilka minut później pokazał żonie zdjęcie, które wykonał.

Anna wpatrywała się w obraz na szkle. Przedstawiał wnętrze jej dłoni. Widziała wyraźnie każdą kość. Na palcu serdecznym tkwiło kółko obrączki.

– Mój Boże – wyszeptała. – Czy to obraz kości?

– Tak. – Wilhelm Röntgen pokiwał głową z dumą. – Tkanki ciała są przepuszczalne dla promieni, kość jest gęstsza i je zatrzymuje. Dlatego powstaje taki właśnie obraz.

– Można uwidocznic w ten sposób każdą kość?

– Tak – przytaknął i uśmiechnął się. – Wystarczy przepuścić moje promienie przez dany fragment ciała i zrobić zdjęcie.

– Wilhelmie. – Anna kilka razy odetchnęła głęboko. – To jest... to jest... niezwykle.



8 listopada 1895 roku

Promienie powstają w wyniku uderzenia promieni katodowych w przedmiot materialny. Odkryłem ten efekt, pracując jak zwykle z rurą katodową. Zamknąłem ją w szczelnym, bardzo grubym i doskonale czarnym kartonie. Z jednej strony umieściłem płytkę pokrytą platynocyjankiem baru i przepuściłem przez nią promienie. Miały właściwości fluorescencyjne, nawet jeśli znajdowały się dwa metry od rurki. Powtarzałem swoje eksperymenty z obiektami o różnych grubościach. W zależności od grubości obiekty umieszczone na ścieżce promieni wykazywały zmienną przezroczystość po ich uwiecznieniu na płycie fotograficznej. Czuję, że to ledwie początek wielkiej przygody. Że stoję u progu czegoś niezwykłego...



Promienie odkryte przez Wilhelma Röntgena zostały nazwane na jego cześć rentgenowskimi. Kilka lat później Max von Laue i jego uczniowie wykazali, że wspomniane promienie mają takie same właściwości elektromagnetyczne jak światło, jedynie wyższą częstotliwość drgań. Za swoje odkrycie Wilhelm Röntgen otrzymał w 1901 roku pierwszą Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. Do końca życia pozostał człowiekiem niezwykle skromnym, kochającym życie rodzinne i przyrodę. Zmarł 10 lutego 1923 roku z powodu raka jelita.

ROZDZIAŁ VII

w którym pożegnamy pierwszą polską lekarkę, ale zanim to uczynimy, zobaczymy, jak radzi sobie w nowo otwartym przytułku przy ulicy Prostej. Ponadto będziemy świadkami jednego z najtrudniejszych porodów, jakie przyjdzie jej przyjąć.

Kochany Napoleonie,

nie masz pojęcia, jak wiele mam Ci do opowiedzenia. Najpierw jednak pozwól, że odniosę się do wszystkiego, co mi opisałeś w swoim liście, a nawet do tego, czego nie opisałeś, a co ja mogłam wyczytać w pismach medycznych. Jestem z Ciebie taka dumna i bardzo Cię podziwiam. Po cichu zazdroszczę, ale w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ja przerwałam swoje badania nad falami mózgowymi, ale radością napełniają mnie Twoje próby ich klasyfikacji i oceny. Fale, o których piszesz, wydają się istnieć w każdej głowie dowolnego zwierzęcia. Jak wiesz, my w Zurychu prowadziliśmy badania na psach, otwierając im czaszki. Zarzucano nam, że takie działania są bezsensowne, bo nijak mają się do badań nad mózgiem człowieka, a ludziom przecież nie będziemy otwierać czaszek. Bardzo mnie to męczyło, muszę powiedzieć, ale wtedy inne sprawy zaprzętnęły moją głowę i do owych badań już nie wróciłam. Dlatego kiedy wczytałam w Twojej publikacji, że badasz rzeczony fale, nie naruszając kości, na powierzchni głowy, nie na samym mózgowiu, pomyślałam: tak, to jest genialna myśl! Czemu mnie nie przyszła ona do głowy? Sądziłam trywialnie, że kość jest tak twardą i grubą tkanką, że nic się przez nią nie przecisnie. Myliłam się, bo, jak powiadasz, to tylko kwestia odpowiedniego urządzenia, żeby moc można było zwiększyć i określić różnicę potencjałów. Gdy tak myślałam o tym urządzeniu, to przypominałam sobie pewnego chłopca, który u nas w Zurychu studiował fizykę. Nazywał się Wilhelm Röntgen. Przychodził do naszej pracowni, bo pasjonował się wykorzystywaniem możliwości fizyki w służbie medycyny. Budował różne urządzenia, z jednego skorzystał Hitzig i był wielce zadowolony, bo fale mu się wreszcie przestały rozpraszać. Napisz do niego, na pewno Ci pomoże. Nie wiem, czy on nadal przebywa w Zurychu czy gdzieś wyjechał, ale na uczelni na pewno będą wiedzieli.

Nie zamierzam się zatem krygować i odpowiem Ci zgodnie z moją najlepszą wiedzą, skoro pytasz, gdzie ustawić elektrody. Wyrysowałam Ci dokładną mapkę z uwzględnieniem odległości od zbadanych ośrodków mózgowia. Pewien kłopot będzie jedynie z płatem skroniowym, a ściślej z jego przyśrodkową częścią, bo jest przecież głęboko ukryta w mózgu, ale i tu mieliśmy z Hitzigiem pewien pomysł, który u psów się nie sprawdzał ze względu na wąskie nozdrza. U człowieka dziurki nosa są większe i możliwe jest wprowadzenie specjalnej elektrody, która sięga głęboko do gardła i w ten sposób znajduje się bezpośrednio przy układzie limbicznym w skroni. Musisz mi koniecznie donosić o badaniach nad tą filogenetycznie najstarszą częścią mózgu, pradawną, można by powiedzieć, gdyż na jej podstawie da się wyciągać wnioski na temat naszych przodków (warto by było napisać do Darwina i połączyć nasze badania). Musimy zresztą porozmawiać o tych badaniach, mój Konrad uważa, że są dyskusyjne – nie do końca wierzy we wszystkie teorie, a ja sędzę, że są absolutnie nowatorskie i wreszcie znaleźliśmy odpowiedzi na

ważne pytania. Tak, wiem, wiem, Kościół będzie przeciwny tym teoriom, już uznał je za obrazoburcze. Ale i tu mam radę. Może sam Bóg wykreował ewolucję, a każdy dzień stworzenia to milion lat ziemskich. To by się zgadzało, bo siódmego dnia Bóg odpoczął, a ja widzę to tak: wciąż odpoczywa, a naszą ziemię spowijają demony niewiedzy, zabobonów i patriarchy. Wiesz, że ja wszystko odnoszę do siebie, co mam zrobić, Napoleonku, kiedy mnie się na każdym kroku przypomina, że jestem kobietą. Masz tu zatem wszystko wyrysowane i korzystaj, tylko mi pisz o postępach, bo od nauki odeszłam na rzecz leczenia. Owszem, wciąż publikuję, ale głównie o aseptyce, epidemiologii, przebiegu gorączki połogowej i tym podobnych. Och, jak bym chętnie komuś otworzyła mózg, włączyła galwanometr i te fale opisała. Ach, ach, byłabym zapomniąca. Ta twoja teoria o nieświadomości czy podświadomości jest wielce interesująca, pierwsze słyszę o czymś takim. Ja bym nigdy na podstawie fal mózgowych nie wyrokowała, jakie mamy myśli, ale może się mylić i powinieneś iść tym tropem, drogi kolego. A może nie idź żadnym tropem, nie szukaj fal, nie próbuj wyizolować nadnerczyny, a zamiast czas spędzać z Władysławem Szymonowiczem i Adolfem Beckiem, znajdź sobie jakąś żonę i zaznaj szczęścia rodzinnego. Muszę Ci powiedzieć, że ja jestem bardzo szczęśliwa jako żona, może dlatego, że mój Konrad tak dobrze mnie rozumie i pomaga mi we wszystkim. Jest moim najlepszym przyjacielem. Ręczę Ci, że u boku mądrej kobiety raz-dwa znajdziesz zastosowanie swoich fal i odkryjesz nadnerczynę, a nawet te Twoje przepływy w sercu uda Ci się okiełznać i opisać. Tylko jeszcze raz mówię – musi być mądra i Cię rozumieć.

Tak tu się rozpisałam i nie zdążyłam Ci donieść, jak się ma budowa mojego przytułku, a to dla mnie teraz najpilniejsza sprawa.

Anna przerwała pisanie i zamyśliła się głęboko. Zawsze lubiła pisać listy nie jednym ciągiem, a przez dłuższy czas, kawałkami, bo coraz to nowe myśli przychodziły jej do głowy i wątki, które chciała przedyskutować. Teraz jednak uznała, że nie napisze Napoleonowi o perypetiach związanych z przytułkiem, bo nie starczyłoby jej papieru. Zaprosi go na święta i wszystko opowie osobiście i pokaże. Zatem dopisała jedynie:

Już otworzyłam podwoje mojego przybytku. Darczyńca Kronenberg pytał mnie kiedyś, czy ma przecinać wstęgę podczas otwarcia, a ja zachnęłam się, że nie. Teraz żałuję. Mógł przyjść i ocenić, co się udało stworzyć w kilka tygodni przy zaangażowaniu dwunastu chłopów wielkich jak dęby, pracujących w czasie daleko przekraczającym zdrowy rozsądek. No ale udało się. Zaczęłam. I niech mnie Bóg ma w swojej opiece, bo nigdy tak ciężko nie pracowałam.

Pierwsze, co zrobiła po przekroczeniu progu wyremontowanej kamienicy przy Prostej, to przyczepiła na wszystkich drzwiach kartkę:

Śluby czystości:

Ślub czystości niech twój zawód uświęci.

Nie miej innych wierzeń prócz w bakterie, innych dążeń prócz odkażania, innego ideału prócz jałowości.

Przysięgnij duchowi czasu w żaden sposób przeciw niemu nie bluźnić, szczególnie zaś w formie hardego a pustego bredzenia o przeziębieniu, przejedzeniu, przestraczu, poruszeniu, uderzeniu pokarmu na mózg bądź innej herezji zaprzeczającej zakaźnej naturze gorączki.

Przeklnij na wieczne czasy i wieczne potępienie oliwę, gąbkę, gumkę, smarowidło oraz wszelką rzecz, która ognia nie znosi lub go nie zaznała, albowiem takowa jest siedliskiem bakterii.

W pobliżu ciężarnych, rodzących, położnic, oczów i pępków dziecięcych bądź zawsze przytomna i świadoma, że wróg niewidzialny czyha zewsząd, jest w nich, na tobie, dookoła was i w was samych.

Nie dotknij ich, choćby krzykiem i jękiem pomocy twej wzywały, póki od głów do stóp w biel się nie obleczesz, nagich rąk i ramion twoich, tak jak i ciało ich, suto mydłem nie namaścisz, bodaj dwiema wodami gorącymi nie zlejesz i dwoma płynami o wielkiej mocy bakteriobójczej.

Pierwsze badanie wewnętrzne jest ci nakazane, drugie dopuszczalne, trzecie musi być usprawiedliwione, czwarte może być wybaczone, piąte będzie ci za przestępstwo poczytane.

Wolne tętna i niskie ciepłoty niech ci będą najwyższym tytułem chwały.

Jeśli jednak myślała, że jej inicjatywa spotka się z entuzjazmem albo chociaż ze zrozumieniem, to się mocno myliła.

– A co to? – spytała tłusta położna, która przysłała do pracy zaraz po otwarciu przytułku i od początku miała własne zdanie na temat higieny, niekoniecznie zgodne z tym, co Anna głosiła od wielu lat.

– Zalecenia, także dla Józwiakowej – cierpliwie odpowiedziała Anna.

Kobieta smarknęła w kułak i wytarła rękę o fartuch.

– Nie umiem czytać – stwierdziła.

– W takim razie ja chętnie Józwiakowej przeczytam, co tu jest napisane.

Kobieta zrobiła znudzoną minę. Anna przeczytała na głos punkt po punkcie, ignorując pojedyncze śmiechy, które się za nią rozlegały. Była przekonana, że Józwiakowa ją przedrzeźnia. Kiedy się odwróciła, baba stała z kpiącym uśmiechem na twarzy.

– Nic nie rozumiała... – Roześmiała się, pokazując popsute zęby. – I głupot nie będę słuchała. Paniusia to mi tu chodzi i dupe zawraca, a ja tu się do roboty najęłam.

Koło kobiety stało kilka do niej podobnych samozwańczych położnych, które za jedyny środek dezynfekcyjny uznawały gorzałkę wlewaną we własne gardła. Anna przeklinała dzień, w którym lekkomyślnie zgodziła się na pracę

„babeł” we własnym przytułku. Niesłusznie uznała, że w razie gdyby nie chciały postępować zgodnie z jej naukami, to je odeśle do sprzątnia i wynoszenia nocników, a te, które okażą się pojętne, skieruje do szkoły przynajmniej na kilka wykładów, żeby umiały wiedzę praktyczną połączyć z teorią. Tyle że nie przewidziała, że baby są bezczelne, zdegenerowane i ciemne jak tabaka w rogu. A Józwiakowa wiodła wśród nich prym.

– Hmm... – Anna przybrała groźną minę. – Skoro Józwiakowa najęła się do roboty, to może Józwiakowa do tej roboty się weźmie, co?

– Nijakiej roboty nie ma. Dwie rodzą i wrzeszczą, jakby je ze skóry obdzierali, to ja niepotrzebna jeszcze ze dwie godziny. To ja se na dwór pójde zakurzyć.

Kobieta ponownie się roześmiała. Anna żałowała, że nie ma przy jej boku Kasi, która wciąż była w połogu, i Grażyny, która w przededniu porodu nie wychodziła z domu, czekając na rozwiązanie. Może Grażyna niewiele by jej pomogła, za to Kasia starłaby babę z powierzchni ziemi i posłała do piekła.

– Nigdzie nie pójdzie zakurzyć, bo tu nie kurzymy. Iść mi zaraz do rodzących zobaczyć, czy czegoś nie trzeba. A jak ktoś jest przy nich, to niech Józwiakowa idzie posprzątać. Nocniki trzeba wynieść i...

Baba wzięła się pod boki.

– A od kiedy to położna brudami się zajmuje? – spytała. – Co to ja praczka czy sprzątaczką jestem? Ja jestem akuszerka, zapamięta sobie paniusia.

Anna spojrzała na nią groźnie.

– Do obowiązków położnej należy sprzątnie po położnicy. Tłumaczyłam, jak was do pracy najmowałam.

– Ja tam nie pamiętam. – Baba wzruszyła ramionami.

– No to ja jeszcze raz wam tłumaczę, że macie być przy rodzącej kobiecie. Wiem, że poród trwa co najmniej kilka godzin. To jest czas na umycie położnicy i...

– A po co to? – odezwała się najlepsza koleżanka Józwiakowej, niejaka Terecha, baba niby cichsza i bardziej pokorna. – Może jeszcze grzanego będziemy im dawać?

– Tak – odpowiedziała Anna, starając się zachować cierpliwość. – Będziecie nosić wodę z beczki i na kuchni grzać, żeby pomóc położnicy. Dziecko też potem trzeba umyć, a brudy wynosimy na bieżąco, bo zaraza...

– Same niech własne szczyny i gówno wynoszą. – Józwiakowa splunęła na podłogę.

Anna pokazała palcem na plwocinę.

– Niech pani to sprzątnie – zażądała.

– A jak nie, to co?

– Jak nie, to was wyrzucę z roboty – zagroziła.

– Jak mnie wyrzuci, to one za mną pójdą i se paniusia sama sprzątnie to, co nacharchałam, i te szczyny, co przeszkadzają – rzuciła i zaniósła się śmiechem.

– Tak zrobię, skoro nie mam już pomocnic – powiedziała twardo. – Zwalniam was. Won mi stąd. Już. Wszystkie, którym się robić nie chce. Won. Babie zamarł śmiech na ustach.

– Co? Mnie wyrzuca? – rozeźliła się, jakby jej Anna nie uprzedzała.

– Tak, ciebie, tłumoku jeden, wyrzucam! – wrzasnęła Anna głosem, o który nikt jej nie posądzał. – Won mi! Już!

Józwiakowa znów splunęła na ziemię i postąpiła krok do przodu, a potem obejrzała się na koleżanki, które nie miały takich pewnych min.

– Chodźta, baby! – krzyknęła w stronę gromadki. – Nie będzie mi tu rządziła! Nie będzie mną pomiatała! Ja położna jestem z babki i prababki!

Anna się nie odezwała, tylko uniosła rękę i palcem pokazała drzwi.

– Chodźta! – wrzasnęła Józwiakowa, ale żadna z kobiet się nie ruszyła.

– Janino, dajcie spokój – powiedziała jedna, która Annie dziękowała za możliwość pracy. Wcześniej przyznała jej się, że nigdy nie miała do czynienia z ciężarnymi, ale całe życie sprzątała i umie ciężko pracować.

– Ty cicho siedź, Mazurkowa – odezwała się Janina Józwiakowa i podeszła do Anny.

Anna nie okazała przestraszenia, tylko obrzydzenie, bo Józwiakowa woniała potem i moczem.

– Mnie wyrzuca? – spytała, jakby Anna nie dość jej to powtarzała. – Mnie?

– Nie chcę was tu więcej widzieć – powiedziała lekarka cicho, ale stanowczo. – Niech pani pobierze, co się należy do tej pory, i znikaj.

Kobieta jeszcze raz obejrzała się na inne, ale te stały ze spuszczoneymi głowami. Przez chwilę wydawało się, że rzuci się na Annę z pięściami, ale nic takiego nie nastąpiło. Józwiakowa sapnęła kilka razy, po czym zagroziła:

– Jeszcze w łaskę przyjdą. – Po czym, co Anna miała wspominać jako jedno z najgorszych przeżyć w swojej dotychczasowej karierze, odwróciła się, uniosła spódnicę i wypięła tłusty tyłek. – Tu niech mnie pocałuje – dodała, opuściła odzienie, a następnie przytułek.

Anna zwróciła się do pozostałych:

– Macie tu pracę i płacę. Jak się której nie podoba, to do widzenia.

– Mnie się nie podoba, żeby baba mną rządziła – odezwała się jedna z kobiet z tyłu. – Ile porodów odebrała w życiu, co?

– Nie liczyłam – powiedziała Anna. – Będzie z kilkaset.

– No to ja z tysiąc dzieciuków na świat przyprowadziłam! – zawołała baba z triumfem w głosie. – I mnie niejedno pomarło! I matki chowałam! Dzieciaki grzebałam! I w nędzy pracowałam, tam gdzie pańskie rączki brzydzą się dotykać, boby się w gównie umazały!

– I właśnie dlatego wyrzuciłam Józwiakową – wyjaśniła jej Anna. – Mnie ani jeden dzieciak z brudu nie umarł. I ostatni raz mówię, jeśli któraś z was nie chce myć się, szorować łóżek i prać prześcieradeł, to do widzenia!

Baba splunęła obok płwociny wcześniej pozostawionej przez Józwiakową, zdjęła fartuch dany jej rano przez Annę, rzuciła na ziemię, kucnęła i nasikała na niego. Potem wstała i schodząc po schodach, zawołała głośno:

– Janino! Czekażcie i ja se idę!

– Jeszcze ktoś? – Anna była na skraju wytrzymałości, ale udawała, że nic jej to zajście nie obeszło.

Za poprzedniczkami ruszyła jeszcze jedna, garbata Renatka, która całowała Annę po rękach, kiedy ta jej obiecała posadę praczki. Teraz wyglądała, jakby się miała rozplakać, ale zdjęła swój fartuch i poszła za babami.

Przekonawszy się, że to koniec exodusu, Anna zwróciła się do kobiet, które zdecydowały się pozostać w pracy.

– Komuś jeszcze raz przeczytać zasady aseptyki? – spytała. – Mogę to robić co dzień, po dziesięć razy, bylebyście się nauczyły do tych zasad stosować.

Kobiety stały ze spuszczoneymi głowami.

– Niech pani nie wyrzuca – poprosiła Mazurkowa.

– Mnie idzie o to, żebyście pracowały zgodnie z moimi zaleceniami – wyjaśniła spokojnie. – Nikogo, kto będzie używał mydła i szorował się do siódmej skóry, nie wyrzucę.

– My się staramy, pani doktor – wyszeptała Mazurkowa.

– Nie dość się staracie – powiedziała Anna. – Wy, Mazurkowa, macie brudny fartuch. Czym umazany?

– Poród odbierałam, sama pani wie, co wtedy z kobiety wychodzi.

– A wiem, wiem... – Anna pokiwała głową. – Gównno wychodzi razem z dzieckiem. Tak, poród jest piękny i brudny jednocześnie. I to normalne, że się wybrudzicie przy położnicy kałem, moczem i krwią. Ale co mówiłam, żeby robić?

– Prać i prać... – mamrotały jedna przez drugą.

– Właśnie – przytaknęła Anna. – Prać i myć, myć i prać.

– Renatka, praczka, sobie poszła – bąknęła najmłodsza z kobiet, Marysia.

– Ile nam praczek pozostało? – spytała Anna. – Kto był z Renatką na zmianie?

– Ruda Elka – wyjaśniła Marysia. – Ale ona poszła, bo jej ślubny pijany przyszedł i do domu kazał jej wracać.

– Świetnie. – Annie ręce opadły. – To ona nie ma tu czego szukać, skoro z pracy wychodzi, bo ślubny kazał.

– To dziś nie prać? – indagowała Marysia.

– Oczywiście, że prać! – krzyknęła Anna. – Zawsze prać. W praniu nie ma nic trudnego! Jak nie Renatka i ta Elka, to któraś z was niech się do prania zabierze, a ja pójdę do położnic.

Kobiety wciąż przestępowały z nogi na nogę.

– Nie ma wody... – bąknęła jedna z położnych, które kończyły szkołę pod jej kierunkiem, bodaj Heniusia. – Pani się nie gniewa, ale nam bardzo ciężko.

– Wiem, że nie ma bieżącej wody ani ubikacji – odparła Anna. – Myślicie, że to specjalnie? Co ja bym dała, żeby nie trzeba było do beczki latać. Ale to niczego nie zmienia. Musimy postępować według zaleceń Listera.

– Kogo?

– Nieważne. – Anna machnęła ręką. – Musimy mieć tu czysto. Teraz umiera nawet jedna na dziesięć położnic.

– Zawsze tak było – stwierdziła Heniusia.

Z jednego z pokoi dobiegł wrzask rodzącej.

– Niech któraś do niej idzie, bo już czas – zarządziła, a Heniusia natychmiast wykonała polecenie.

Pozostałe też chciały się rozejść, ale Anna zatrzymała je gestem.

– Umierają kobiety w położu – powiedziała. – Co z wami? To wasze siostry. Zawsze tak było? To może my do jaskiń wrócimy zamiast maszyny parowe budować?

Kolejny wrzask przeszył ciszę.

– To się musi zmienić – kontynuowała Anna. – Po każdym porodzie zmieniacie fartuch. Co pół godziny myjecie porządnie ręce. Wynosicie miednice z brudami i nalewacie czystej wody. Na razie jest jej w studni pod dostatkiem. Dwa razy dziennie praczka przynosi fartuchy i prześcieradła. Płacimy za to dużo, ale to jest niezbędne.

Do garstki kobiet, które stały w korytarzu i słuchały Anny, dochodziły następne. Koło niej stanęła Halszka, jedna z pierwszych absolwentek szkoły dla akuszerok, i powiedziała:

– Myjemy położnice. Nawet jak się opierają. Dzieci zawijamy w czyste pieluszki.

Anna spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Tak jest. – Pokiwała głową. – I zapamiętajcie sobie: każdy sra tak samo. Więc tak samo jak u siebie w domach wynosicie brudy, tak i tu to robicie.

Rozumiemy się?

Kobiety cicho przytaknęły.

– Jak się komuś nie podoba, to nie jego miejsce – dodała. – Wystarczająco ciężko pracuję, żeby jeszcze z brudasami się użerać.

Nikt nie śmiał się odezwać, bo każda z kobiet zatrudnionych w przytułku widziała, że Anna przychodzi do pracy pierwsza, wychodzi ostatnia i ma tyle siły, ile trzech mężczyzn by w sobie nie znalazło. Poza tym zawsze służyła radą, pomocą, zajmowała się najcięższymi przypadkami, nigdy nie przestawała uczyć młodych akuserek. Była przy tym spokojna, fachowa i miła. Stawała się groźna tylko wtedy, gdy ktoś nie przestrzegał zasad czystości.

– To do roboty – zarządziła lekarka i poszła najpierw zobaczyć, jak się mają dwie rodzące kobiety, a potem zajrzała do tych, które urodziły wczoraj, by sprawdzić, czy one i dzieci czują się dobrze.



– I wiesz ty, Konradku, ile użerania... – powiedziała do męża, kiedy ledwie żywa wróciła do domu po kolejnym ciężkim dniu.

– Lister miał jeszcze trudniej – odparł Konrad.

– Wiem, czytałam w „Lancecie” i wstydziłam się, że jestem lekarzem. Żeby wydawcy takiego pisma nie rozumieli najprostszycich spraw.

– U nas w szpitalu to jeszcze myją się jako tako, ale jakby mieli prac fartuchy i gotować narzędzia po każdym zabiegu... – Pokręcił głową.

– Nie słyszeli o pracach Pasteura? – Anna aż uniosła się na posłaniu. – Przecież ten człowiek obalił teorię samoródtwa, posłał miazmaty do diabła.

– Na naszym oddziale tylko ja czytałem jego prace. Wierz mi, próbowałem zreferować, ale nikt nie słuchał.

– Dlaczego? – Nie rozumiała.

– Po pierwsze, to chemik, nie lekarz, więc nie będzie nas pouczał. Po drugie, on swoje teorie opisuje terminami chemicznymi, które są

nierozumiałe dla lekarza. Po trzeciej, od stuleci chirurg umazany krwią i w brudnym fartuchu uchodził za sprawnego i takich właśnie ceniono.

– Co ty mówisz, Konradku? – spytała z niedowierzaniem. – Sądziłam, że tylko ja mam przeprawy z prostymi babami, ale ty z oświeconymi doktorami?

Konrad Dobrski pokręcił przecząco głową.

– Francuski chemik nie przebije się ze swoimi teoriami w polskim szpitalu.

– Prościej byłoby, gdyby posłuchali Listera, który z tych nauk wyciągnął co najlepsze – zauważyła Anna.

Konrad chciał zgasić lampkę, ale Annie coś się przypomniało.

– Nie gaś jeszcze przez chwilę. Wstanę i spakuję artykuł Listera o aseptyce, jutro mam wykład w szkole dla akuszerki, to akurat pokażę dziewczętom.

– Zapracowujesz się – powiedział Konrad, kiedy Anna wróciła. – Doszły mnie słuchy, że nie tylko sama odbierasz porody, ale też sprzątasz, jak nie ma komu.

– Tak to na razie wygląda – wyjaśniła. – Dopóki wszystko się nie poukłada. Na Twardej też tak było, zanim nie znalazłam odpowiednich położnych i osób, które umiały sprzątnąć jak trzeba.

– Co to znaczy sprzątnąć jak trzeba? – zainteresował się Konrad.

– To znaczy po mojemu. – Uśmiechnęła się, zorientowawszy się, że jej mąż żartuje, bo doskonale wie, co ona ma na myśli.

– Żeby z podłogi można było jeść. – Konrad pocałował żonę w czoło.

– Żeby z podłogi można było jeść – potwierdziła i wkrótce zasnęła.

Konrad popatrzył na śpiącą żonę i po raz setny zastanawiał się nad tym, czy powinien ją przeproszać za to, że z rozwijającej się praktyki posłał ją na niepewny grunt, gdzie od początku musiała się użerać z ciemnotą i pilnować wszystkiego, od sprzątnięcia, przez pranie, aż po opiekę okołoporodową. Starła się przy tym być dobrą matką dla Ignacego, bo jak sama mówiła, nie może być tak, że opiekuje się cudzymi dziećmi, a własne ledwo widuje.

– Żeby chociaż Grażyna prędko wróciła – zagadnął ją przy śniadaniu – tobyś miała lżej, kochana.

– Co też ty mówisz? – oburzyła się Anna. – Grażyna niech siedzi w domu jak najdłużej. Połóg to nie jest czas na pracę. Nie po to walczę o dobre warunki dla ciężarnych i młodych matek, żeby moja własna przyjaciółka ryzykowała życie. Nigdy na to nie pozwolę.

Konrad westchnął. Sądził, że Anna z niecierpliwością wyczekuje, aż Grażyna dołączy do grona osób pracujących w przytułku i jej pomoże.

– A Kasia? – spytał.

Była niedziela i Anna nie szła tego dnia do pracy. Uzyskał od niej tę obietnicę, argumentując, że to grzech. Wszystko by zresztą powiedział, żeby tylko żona zechciała odpocząć chociaż jeden dzień w tygodniu. Wprawdzie zdarzało się, że posyłano po nią do trudnych porodów nawet w niedziele, a wtedy jechał z nią i czekał, pilnując, żeby tuż po odebraniu porodu natychmiast wracała do domu. Na razie mu się to udawało.

– Kasia ma trzymiesięczne dziecko. Konradku, zlitujże się.

– Założę się, że w domu przebiera nogami – mruknął.

– Nie przebiera. – Uśmiechnęła się, dolewając sobie i mężowi herbaty. – Przeciwnie. Gdy tylko urodziła, przestała chodzić całe dnie i noce i Włodzimierzowi dała odetchnąć. Cud nastąpił. Biedak już był u kresu sił.

– Co ty mówisz? – wykrzyknął Konrad i kazał sobie opowiedzieć o tej dziwacznej przypadłości dawnej służącej żony.

– I teraz Kasia spokojnie piastuje małą Anusię i opiekuje się Henryczkiem. Wszyscy są zadowoleni. Nawet nie wspomina o pracy, co mnie cieszy, bo nie mam siły jeszcze z nią się użerać. Wystarczy mi ta zbieranina głupich bab, która wody boi się jak diabeł święconej... wody.

– Nadal wyrzucasz te, które się nie sprawdzają?

– Tak i będę je wyrzucać na te zbite mordy, dopóki się wszystkie nie nauczą – powiedziała spokojnie, a Konrad aż drgnął, bo nigdy nie słyszał w ustach żony podobnie wulgarnych słów.

– Mój Boże – powiedział tylko.

– A co się dziwisz? – Wzruszyła ramionami. – Ja się dziwię, że ty się dziwisz.

Konrad był z wizytą w dwóch innych przytułkach, o czym nie powiedział Annie. Tamte kamienice były znacznie mniejsze, nie tak zrujnowane jak kamienica przy Prostej przed remontem, ale panowały tam chaos i bałagan.

– Bo brakuje ci rąk do pracy – powiedział niezadowolony, że w wolny dzień rozmawiają o pracy, chociaż sam zaczął ten temat.

– Brakuje, ale jak mam przyjąć kogoś, kto nie chce się uczyć, to wolę sama więcej pracować.

– Ale mnie się nie podoba, że zamiast tylko zajmować się porodami, i to tymi trudniejszymi, ty łapiesz za ścierkę i opróżniasz nocniki! – nie wytrzymał Konrad.

– Ja nie jestem hrabianką, a jak znajdę ludzi dobrych do pracy, wszystkich przyzwyczaję do swoich zasad, to będzie lżej.

Konrad pokiwał głową. Dla Anny „lżej” oznaczało, że tylko część dnia spędzi w przytułku, resztę poświęci na nauczanie, a wieczorami będzie siedzieć przy biurku i bez końca pisać listy do innych uczonych oraz przeprowadzać analizy danych naukowych. Wiedział, że Annie ogromnie brakuje pracy badawczej, mimo że ciągle publikuje analizy przyczyn rozprzestrzeniania się chorób czy śmiertelności przy gorączce połogowej. Obecnie przygotowywała publikację zatytułowaną *Poziom życia Europejczyków, z uwzględnieniem społeczności polskiej*. Wstyd mu było, że tak mało jej pomaga. Proponował, że będzie przychodził raz albo dwa w tygodniu i badał pacjentki, ale zaraza, która panoszyła się w Warszawie, nie tylko zbierała żniwo wśród położnic, ale też trzebiła jego własnych pacjentów, więc był od świtu do nocy zajęty w swoim szpitalu.

– Miałem ci pomóc, moja Aniu... – zaczął ze skrucą w głosie.

– Jeszcze się przydasz – powiedziała ciepło. – Powiedz mi, co z twoimi pacjentami.

– Szerzy się zaraza. Gruźlica i zapalenie płuc. Dzieci, młodzi, starzy, wszyscy po równo...

Westchnął głęboko.

– Uważaj na siebie... – zaczęła, gdy ścisnęło ją w gardle, bo zdała sobie sprawę z tego, że gdyby Konrada zabrakło, w jej sercu powstałaby wyrwa

głęboka niczym krater wulkanu.

– Uważam, uważam. – Uśmiechnął się do niej. – A wiesz? Powiesiłem i u nas twoje *Śluby czystości*.

– I jak je przyjęli koledzy? – spytała, chociaż wiedziała, co odpowie.

– Oczywiście wszyscy się ze mnie podśmiewali – pogodnie opowiadał. – Jestem przyzwyczajony do drwin. Zniosę nawet szyderstwo. Powiedziałem wtedy jedno słowo: „Rembieliński”.

Jacenty Rembieliński był jednym z przeciwników zasad postępowania aseptycznego Josepha Listera i głośno wyśmiewał teorię czystości. Chodził do pracy w garniturze, odmawiał zakładania fartucha, mycia rąk, twierdził, że miazmaty to bzdura, Pasteur jest wariat, a Darwin powinien zostać spalony na stosie. Jakiś czas temu skaleczył się i nie oczyścił rany. Miesiąc temu go pochowano.

– I co na to twoi koledzy?

– Skarbenku, oni wiedzą, że Lister ma rację, że ty masz rację. Tyle że wciąż sądzą, że aż tyle trudu to przesada. Owszem, już wkładają fartuchy, ale niektórzy, jak Hübner czy Tarkowski, tylko opłukują ręce w wodzie, zamiast je umyć ługiem i natrzeć karbolem.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Na niektórych nie było sposobu. Bała się powiedzieć to głośno, ale była głęboko przekonana, że lekarze pokolenia brudu muszą wymrzeć, żeby nowi mogli leczyć.

– Zwłaszcza Tarkowski – kontynuował Konrad. – Ten to już nic nie rozumie. Mówiłem, że trzeba zakaźnych izolować, a ten podniósł larum, że nie będzie mnie słuchał, bo chodzę u ciebie na pasku.

– Doznajesz przeze mnie przykrości... – powiedziała cicho.

– Mylisz się – zaprotestował gwałtownie. – Jakiej przykrości? Dla mnie jesteś wzorem do naśladowania, a nie powodem do przykrości. A on to powiedział z innej jeszcze przyczyny. – Konrad uśmiechnął się szelmowsko.

– Bo przyszła, wyobraź ty sobie, kobieta, dyplom pokazała i spytała grzecznie, czyby nie mogła pracować. Twoja szkoła.

Uniosła brwi ze zdumienia.

– Kto? Powiedz kto.

Konrad wymienił nazwisko, którego się spodziewała. Teresa Kraciakówna skończyła medycynę w Berlinie i nie chciała być położnikiem, tylko chirurgiem. Anna rozmawiała z nią i gorąco ją zachęcała, aby spróbowała zatrudnić się w którymś z warszawskich szpitali, ale miała świadomość, że kobieta lekarka jeszcze długo nie będzie mogła liczyć na swobodny wybór specjalizacji.

– I co oni na to?

– Tu już nic nie mogę. – Konrad uniósł ręce w obronnym geście. – Chociaż próbowałem. Mowy nie ma. Dyrektor zasugerował, żeby się zajęła położnictwem.

– No to pewnie wróci do mnie – westchnęła Anna. – Byłaby wspaniała jako chirurg. Niezwykle bystra, sprawna i uzdolniona manualnie.

– Ale to kobieta – podsumował Konrad.

– Ale to kobieta – powtórzyła Anna i spojrzała na męża błagalnie. – Konradku... Czy ty byś mi pozwolił, żebym ja dziś, no wiesz...?

Dobroski był bardzo stanowczy.

– Nie pozwalam. To nie po chrześcijańsku. – Zacisnął palce w pięść dla lepszego efektu. – Pan Bóg siódmego dnia odpoczywał. Praca w niedzielę to prosta droga do piekła. I nie chodzi mi tu, moja droga, o obowiązki względem rodziny, a o twoje zdrowie. Musisz odpoczywać choć jeden dzień w tygodniu, żeby mieć siłę pracować. I ja bym zalecił ci spacer, bo tak narzekasz, że jak u ciebie w przytułku baby już się myją, to znów nie chcą wietrzyć.

– Masz rację – westchnęła Anna, zupełnie pokonana. – Jak już się myją, to za moimi plecami zamykają okna, a piec dymi i duchota w powietrzu. Nie rozumieją, że zarazki trzeba wygnać, żeby uleciały z wiatrem. No cóż, daleka droga.

– A dałaś sobie radę z nadmiernym obłożeniem? – spytał jeszcze, ale zaraz zajął się małym Ignasiem, który wpadł do salonu i poślizgnąwszy się na podłodze, złapał za serwetę na kredensie, na której stał wazon z kwiatami. Wazon się wywrócił i stłukł.

– Gosieńko! – krzyknęła Anna, ale zaraz się zorientowała, że to niedziela i bona dostała wolne, a Ignasz był pod opieką służącej. Służąca zresztą zaraz

przybiegła, przeprosiła, że dziecka nie upilnowała, ale przecież miała „swoje robotę”.

– Dobrze, dobrze – uspokajał Konrad, bo Anna szybko traciła cierpliwość do tego rozrabiaki, który tylko biegał i psocił.

Po kilkunastu minutach wszystko zostało sprzątnięte, dziecko okiełznane, a Anna mogła wrócić do rozmowy z mężem.

– Ledwie zaczęliśmy pracę, a sale się zapełniły. Położnice przybywają tłumnie – westchnęła. – Ja sobie wyobrażałam, że one przyjdą, urodzą, trochę poleżą w połogu i pójdą, a tu...

Machnęła ręką zniechęcona.

– Bo za miękkie masz serce. Jak nie mają dokąd pójść, to ja rozumiem – przekonywał Konrad. – A jeśli mają dach nad głową, ale ślubny pije i bije i jeść nie ma za dużo, to musisz wyrzucać. Stanowczo, moja droga.

– Kiedy ja nie potrafię, kiedy taka płacze, że on zaraz wszystko jej zabierze i przepije. Jak sobie pomyślę, że udało mi się szczęśliwie przyjąć dziecko na świat, a potem wyrzucam je nieomalże na ulicę...

– Musisz, bo zaraz zamkniesz przybytek i tyle po tych staraniach.

– Wiem, że muszę. Na szczęście ten Kronenberg okazał się wielce rozumny i cały czas pomaga. Pieniądze dał na to, żeby te kobiety wspomagać po opuszczeniu przytułku. I tu wkroczył nieoceniony Włodzimierz, który chodzi do nich, za pieniądze Kronenberga coś tam poprawia. A to piec naprawi, a to pleśń ze ścian usunie i pobieli. Zdarza się nawet, że kupimy maszynę do szycia, żeby kobieta miała z czego żyć, albo... – Zamilkła, bo Ignasz sposobił się do ściągnięcia kolejnego obrusa.

– Słyszałem, że jednej biednej rodzinie kupiliście konia, bo miała powóz, ale koń jej padł.

Pokiwiała głową.

– To był węglarz. W domu ósemka dzieciaków i ciężarna żona. Tłumaczyłam im, że nie powinni mieć więcej dzieci, ale tylko patrzeć, jak z dziesiątym przyjdzie. Nie przetłumaczysz.

– Na pewno to pieniądze Kronenberga? – spytał Konrad i nakrył dłonią rękę żony. – Bo ja słyszałem, że ty osobiście, mój skarbie, te kobiety

wspomagasz.

– Tylko wtedy, kiedy już nie można inaczej – odpowiedziała ze skrucą. – Gdy trafi się jakaś wdowa w połogu, naprawdę uboga, to daję pieniądze na jedzenie albo jakiś przyodziewek. Z reguły jestem jednak zwolenniczką wędki, a nie ryby.

– Że co? – Konrad nie zrozumiał.

– Wolę dać komuś wędkę, żeby mógł złowić ryby dla siebie i na sprzedaż, a nie gotową rybę, bo wtedy zje i dalej będzie chodził głodny.

Konradowi oczy się rozszerzyły ze zdumienia, bo czegoś tak mądrego dawno nie słyszał. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo rozległo się gwałtowne pukanie.

– Pewnie z Prostej. – Anna podniosła się i ruszyła w kierunku drzwi.

Konrad westchnął. „No tak, postawiła na swoim”, pomyślał. „Skoro sama nie poszła do przytułku, to po nią posłali”. Tyle że to nie był nikt z Prostej, a Fela, służąca Grażyny i Gracjana.

– Grażyna rodzi – wyjaśniła Anna Konradowi, biorąc płaszcz i torbę z narzędziami.

– Pan prosił, żeby po panią posłać, bo pani już wieczorem wody odeszły, a ona nic, nic i nic – wyjaśniła Fela.

– Co to znaczy, że nic? – Konrad nie zrozumiał w pierwszej chwili.

Anna zagryzła wargi. „Nie ma czynności skurczowej. Niedobrze”, pomyślała.

– No, wody odeszły wczoraj, a dzieciak sobie siedzi i na świat się nie wybiera. Ja się nie znam, ale teraz pani Grażyna kazała po panią doktor przyjechać, bo się zaczęła bać, że to niedobrze.

Konrad zrozumiał, że sytuacja jest wielce niepokojąca.

– Jedź, jedź, kochana, w takim razie, oczywiście, i niech Bóg ma was w swojej opiece – pożegnał żonę.

– Ja jeszcze mam zawiadomić rodziców – bąknęła Fela.

Anna pomyślała, że to nieroztropne informować pana Bogumiła w tym momencie. Nic nie pomoże, a jeszcze się zdenerwuje. Przecież to sędziwy

człowiek.

– Jedziemy do pani Grażyny, a jak się dziecko szczęśliwie urodzi, to wtedy się pośle po rodzinę – zdecydowała.

Fela popatrzyła na nią niepewnie.

– Mnie mój pan kazał – powiedziała.

– Ja to biorę na siebie – zapewniła ją Anna. – Potem powiadomisz pana Bogumiła. Pani Domicela też nic nie pomoże, a jak się zorientuje, że coś nie tak idzie, to ją samą trzeba będzie ratować.



W domu Ungerów zastała dziwną scenę. Grażyna leżała na łóżku i trzymała się za brzuch. Była blada, ale po jej twarzy i postawie nie można było poznać, żeby cokolwiek ją bolało. Jej mąż chodził za to nerwowo po pokoju, a minę miał taką, jakby cierpiał katusze.

– Kiedy odeszły wody? – spytała, rezygnując z powitania.

– Wczoraj, kiedy się do spania szykowałam, czyli około dziewiątej wieczorem – odpowiedziała Grażyna.

– I co zrobiłaś? – spytała Anna.

– Nic. – Przyjaciółka bezradnie rozłożyła ręce.

– Jak to nic? – zdumiała się Anna.

– A co miałam według ciebie zrobić? – Grażyna była rozdrażniona, co dla Anny było zrozumiałe, więc nakazała sobie w myślach, żeby nie denerwować przyjaciółki pytaniami, które nic nie wnoszą, a sugerują, że Grażyna zrobiła coś niezgodnie ze sztuką lekarską.

– Masz rację, czekałaś na czynność skurczową. – Anna uśmiechnęła się z wysiłkiem. Narastał w niej niepokój.

– Najpierw myślałam, że czynność skurczowa sama się pojawi – tłumaczyła Grażyna. – Jak zwykle, prawda? Ale kiedy przez godzinę nic się nie działo, to trochę pochodziłam. Wciąż nic się nie działo, więc poszłam spać. Zrobiłam się bardzo senna. Źle zrobiłam...

Anna podeszła do niej i odsłoniła jej brzuch. Zbadała Grażynę, przykładając trąbkę do jej brzucha.

– Serce bije prawidłowo. Wszystko jest dobrze.

– Tylko mały nie chce się urodzić – mruknęła Grażyna. – Dlaczego? Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. A trochę porodów odebrałam.

Anna czytała o podobnych przypadkach, ale nie chciała dzielić się tą wiedzą z przyjaciółką. Bywało, że czynność skurczowa, konieczna do porodu, nie pojawiała się. Jeśli nie udało się jej sprowokować żadnymi działaniami, należało przeprowadzić operację i wyjąć dziecko. Tyle że takie zabiegi były pionierskie i przeważnie kończyły się śmiercią. Na szczęście mąż Grażyny wybawił ją od odpowiedzi.

– Dlaczego jej nie boli? – spytał niezbyt szczęśliwie.

– Najlepiej, żeby wrzeszczała, jakby ją kto ze skóry obdzierał – mruknęła Anna. – I tak będzie, ale najwidoczniej dzieciak chciałby jeszcze pogrzać się w ciepłym brzuchu.

– Może ma swoje powody, żeby nie wychodzić. – Grażyna uśmiechnęła się słabo.

– Ale wyjdzie? – indagował Gracjan Unger.

– Wyjdzie, bo nie ma dokąd pójść – odpowiedziała Anna, nie patrząc ani na przyjaciółkę, ani na jej męża.

– Ale przecież nie możemy czekać w nieskończoność, bo... – Umilkła, nie chcąc wymówić słów, których i Anna unikała. – Sama wiesz.

– Dlatego musimy sprowokować skurcze – zdecydowała Anna. – Wstawaj.

Po godzinnym wchodzeniu i schodzeniu ze schodów Grażyna była zmęczona, podobnie jak Anna, ale czynność skurczowa nie nastąpiła. Potem Anna zażądała od służącej wiadra z wodą i kazała Grażynie podnieść ciężar i chodzić z nim po pokoju. Co kilka minut sprawdzała, jak dziecko reaguje na te wszystkie zabiegi.

– On jest jakby mniej ruchliwy. – Grażyna się zaniepokoiła. – Boże, Boże...

– Trzeba się modlić – wyszeptał jej mąż.

Anna się rozzłościła, ale nie na Gracjana za pomysł z modlitwą, tylko na to, że jej zabiegi nic nie pomagają i brzuch pozostaje wiotki.

– Może wódki bym się napiła? – zasugerowała Grażyna.

– Alkohol hamuje czynność skurczową. – Anna popatrzyła na nią z wyrzutem. – Nam chodzi o to, żeby ją wywołać.

– To co robić? – spytał Gracjan.

Anna popatrzyła na przerażonego mężczyznę i zdecydowała.

– Ty, Gracjanie, pójdziesz się modlić. To znaczy wyjdiesz stąd i pójdziesz gdziekolwiek: do kościoła, na spacer, gdzie tam chcesz. Nie wracaj wcześniej niż za trzy godziny. Fela, zagotuj wody i daj prześcieradła. Potem podam ci pewien adres, pójdziesz i sprowadzisz mi jedną położną. Mogę sobie sama nie poradzić.

– A pana Korzyńskiego zawiadomić? – spytał mąż. – Bo już prosiłem, ale żeście inaczej zdecydowały.

– Boże broń! – krzyknęły obie naraz.

Mąż szybko podszedł do żony, pocałował ją w czoło i wyszeptał coś do ucha. Z oka Grażyny wypłynęła łza i powoli spłynęła po policzku.

– Idź, kochany, i o nic się nie martw – powiedziała szeptem.

Na twarzach obojga malowały się ból i strach. Anna była równie przerażona. Jeśli czynność skurczowa nie zacznie się najpóźniej za dwie godziny, dziecko i matka mogą umrzeć. Nie mogła jednak dopuścić, aby przeciw świadoma zagrożenia Grażyna bała się jeszcze bardziej.

– Ściągaj tę suknię – zakomenderowała, kiedy Gracjan wreszcie wyszedł, a Fela po przyniesieniu wody i prześcieradeł pobiegła pod wskazany adres.

– A co ty zamierzasz? – spytała. – I dlaczego spać mi się chce?

– Bo jesteś zmęczona – powiedziała, pomagając jej rozpiąć haftki. – Przecież chodziłaś po schodach i dźwigałaś wiadro. To normalne, że chce ci się spać. Ale teraz nie mogę ci na to pozwolić. Gdy urodzisz, będziesz sobie spała, ile zechcesz.

– Albo snem wiecznym – mruknęła Grażyna.

– Na to nie pozwolę – odparła stanowczo. – Kładź się i unieś nogi.

– Co chcesz zrobić? – Grażyna położyła się na łóżku.

– Będę masowała szyjkę macicy – powiedziała Anna. – To jest bardzo bolesne i niezwykle przykre. Czytałam o tym. Ale to jedyny sposób, żeby wywołać skurcze.

– Wytrzymam – powiedziała przyjaciółka.

Anna zbadała ją. Faktycznie, szyjka była długa i twarda niczym drewno. Anna przywołała w pamięci ruchy, jakie widziała na rycinie w artykule napisanym przez wybitnego położnika Jamesa Simpsona. Starła się nie myśleć o tym, jak zakończył się przypadek uczonego opisany w owym artykule: udało się w końcu wywołać czynność skurczową, ale dziecko urodziło się martwe.

– Aaa! – krzyknęła Grażyna. – Mój Boże, jak to strasznie boli.

– Musisz wytrzymać – wyszeptała Anna i ponownie ścisnęła szyjkę. – Nie mogę robić tego delikatniej.

– Aaaa! – wrzasnęła jeszcze głośniej, ale się nie poruszyła.

Po godzinie tych zabiegów wciąż nic się nie działo, ale Anna się nie poddawała, mimo ogromnego cierpienia przyjaciółki. Dołączyła do nich doświadczona położna Wiesia i z Anną zmieniały się podczas masowania szyjki. Kiedy Wiesia masowała – a Anna nie miała wątpliwości, że robiła to bardzo dobrze, bo Grażyna zwijała się z bólu – Anna ocierała położnicy czoło i szeptała słowa otuchy.

– Zostawcie mnie, proszę... – Po dwóch godzinach Grażyna była ledwie żywa z bólu i ze zmęczenia.

Wiesia przerwała masaż.

– Może chwila odpoczynku? – spytała Annę.

Anna pokręciła głową i spojrzała na Wiesię znacząco, a ta domyśliła się, że Anna coraz mniej wierzy w powodzenie ich starań.

– Chwila minęła – rzuciła i zmieniła Wiesię.

W trzeciej godzinie Grażyna wydawała już tylko słabe okrzyki, a jej ciałem przy każdym dotyku masażystek wstrząsały dreszcze.

– Ma temperaturę – zameldowała Wiesia.

Anna omdlała ręką ścisnęła szyjkę najmocniej, jak umiała.

– Jest! – wrzasnęła Wiesia.

Brzuch Grażyny wreszcie się napiął.

– Dzięki ci, Boże – wyszeptała Anna. – Grażynko, jest skurcz. Jest skurcz.

– Dzięki Bogu. – Głos Grażyny był ledwie słyszalny.

Za drzwiami rozległ się tupot. Drzwi się uchyliły i pokazała się w nich Fela.

– Wrócił młody pan ze starszym panem – powiedziała z przestraszeniem. – Co mam z nimi zrobić?

– Powiedzieć, że porody nie są dla mężczyzn, i wyrzucić, żeby mi tu nie przeszkadzali.

Głowa Feli zniknęła.

– Świetnie. – Anna złożyła omdlałe ręce jak do modlitwy, kiedy po pięciu minutach wywołała kolejny skurcz.

– Panowie nie chcą iść i pytają, czy wszystko w porządku. – Fela znów pojawiła się w pokoju.

– Tak! – wrzasnęła Grażyna. – Wszystko dobrze! Tylko niech już idą!

Anna wyszła na chwilę porozmawiać z mężczyznami.

– Panie Bogumile, bardzo proszę, żeby panowie sobie poszli. Bardzo proszę.

– Czy Grażyna ma wąską miednicę? – spytał doktor Korzyński. – Jej matka miała wąską miednicę i z trudem rodziła. Jej siostry nie, wszystko szło szybko i sprawnie...

– Panie doktorze, nie było czynności skurczowej, ale udało się ją wywołać.

– Jest? – spytał mąż Grażyny. – To, czego trzeba, żeby dziecko się urodziło? Jest?

– Jest – potwierdziła Anna. – Ale proszę mi pozwolić wrócić do Grażyny.

Doktor Korzyński chwycił ją za rękę. Syknęła z bólu.

– Ale czy ma wąską miednicę? – nie poddawał się pan Bogumił, aż Annie zrobiło się go żal.

– Miednicę ma najzupełniej prawidłową. Już dawniej mierzyłam. Wszystko będzie dobrze, tylko proszę...

Bogumił patrzył na nią nieprzytomnie. W jego pojęciu do zagrożeń okołoporodowych kwalifikowała się jedynie wąska miednica.

– Pani doktor! – rozległ się wrzask Wiesi.

– Przepraszam. – Odwróciła się i pobiegła do pokoju.

Wiesia stała przy Grażynie, która leżała zemdlna.

– Ocuć ją! – zarządziła Anna, a sama ponownie włożyła rękę w drogi rodne przyjaciółki.

– Nie mogę – wyszeptała Grażyna, kiedy się ocknęła. – Aniu, zostaw mnie, proszę...

– Powinnaś wiedzieć, że ja się nie poddam. – Anna była ledwie żywa ze zmęczenia, ale powtarzała sobie, że Grażyna cierpi bardziej. – Nie teraz, kiedy mamy rezultaty.

– Jakie? – spytała przyjaciółka.

Jej obolałe ciało napięło się i Grażyna ponownie zemdlła.

Wiesia skropiła jej czoło wodą i zaczęła klepać blade policzki.

– A takie – powiedziała Anna, kiedy Grażyna odzyskała przytomność, tonem, jakby nic się szczególnego nie działo – że czynność skurczowa jest regularna, a szyjka już nie taka sztywna i skróciła się znacznie. Jest zresztą rozwarcie. Na opuszkę palca, ale jest.

– To... nie... zmarnuj... tego... – usłyszały słaby szept i Grażyna znów straciła przytomność.

– Niech może tak poleży – zdecydowała Anna, nie przerywając masowania, chociaż nie czuła już ręki. – Odpocznie sobie. Teraz pójdzie szybciej, bo czynność jest co minutę i szyjka prawie zgładzona.

– Oby dzieciak wytrzymał – wyszeptała Wiesia.

– Oby wytrzymał. – Anna nie mogła się nawet przeżegnać, ale wzniosła oczy ku krzyżowi, który wisiał nad łóżkiem, i zmówiła w myślach modlitwę. Nieoczekiwanie Bóg postanowił dopomóc Annie, bo czynność skurczowa się wzmogła, a szyjka zgładziła do końca.

Anna wyjęła ręce i uniosła je przed siebie. Były czerwone i opuchnięte. Drżały lekko.

– Sprawdź tętno, bo ja nie chwycę już nic przez najbliższą godzinę.

Wiesia ponownie przyłożyła trąbkę do brzucha Grażyny.

– Jest prawidłowe. I dzieciak się ładnie ustawił.

– Miednica też w porządku – dodała Anna, wspominając obawy doktora Korzyńskiego. – No to teraz módlmy się, żeby nic się już nie stało.

– Módlmy się – powtórzyła Wiesia, która przy każdym skurczu zęgnęła się kilka razy i zmawiała modlitwę.

– Pięć centymetrów – powiedziała Anna po kolejnej godzinie. – Będzie dobrze. Teraz szybko pójdzie.

Po kolejnej godzinie Grażyna wciąż leżała nieprzytomna. Z jednej strony Annę cieszyło to, że przyjaciółka cierpi mniej, z drugiej bała się, co się stanie, kiedy trzeba będzie przec.

Po kolejnych dwóch godzinach były gotowe, aby przyjąć dziecko na świat.

– Grażyna! Grażyna!

– Nie mam siły – wyszeptała położnica. – Nie dam rady.

– Musisz – rzuciła twardo Anna. – Dokonałyśmy tego. Jest rozwarcie, zaraz pojawią się skurcze parte. Musisz przec, bo dziecko się samo nie urodzi.

– Nie mogę... – Grażyna nie otwierała oczu. – Nie...

Anna złapała przyjaciółkę za ramiona i potrząsnęła nią. Uderzyła ją mocno w twarz.

– Musisz, słyszysz?! Musisz! Co ja powiem twojemu mężowi i ojcu?!

– Ja nie...

Anna ponownie energicznie poklepała ją po twarzy i chlusnęła zimną wodą w dekolt kobiety.

– Przyj! Już! – wrzasnęła.

Grażyna nabrała nieco powietrza i wykonała słaby wysiłek, aby wypchnąć dziecko.

– Dobrze! – krzyknęła Anna, chociaż wcale nie było dobrze. – Jeszcze raz! Na szczycie skurczu! Już!

Grażyna poradziła sobie nieco lepiej, ale wciąż niedostatecznie.

– Grażyna! – wrzeszczała Anna. – Postaraj się trochę! No już! Im mocniej poprzysz, tym szybciej skończymy! Już!

– Tylko mnie nie bij... – wyszeptała Grażyna i tym razem wykrzesła z siebie więcej siły.

– Wreszcie! – krzyknęła Anna. – I jeszcze!

Po dziesięciu skurczach partych rozległ się słaby płacz dziecka i głośny trzech kobiet: Anny, Wisi i Grażyny.

– Dziewczynka – powiedziała Anna z czułością. – Mój Boże, to dziewczynka.

EPILOG

Profesor Albert Sokołowski, sekretarz stały Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, zupełnie się tego nie spodziewał. Kiedy zaprosił tu jedną z najlepszych i najbardziej cenionych lekarek warszawskich – Annę Dobrską – aby zaproponować jej objęcie kierownictwa jednego z dwóch nowo powstałych szpitali położniczych, ona stanowczo odmówiła. Sokołowski, który myślał, że z radością zacznie organizować najnowocześniejszą klinikę położniczą w Królestwie Polskim, nie mógł ukryć zdumienia.

– Dlaczego? – spytał, wpatrując się w lekarzkę.

– Pan dobrze wie – odparła.

Sokołowski wiedział, że Dobrska nie jest żadną panią z towarzystwa, której wystarczy rzucić dwa komplementy, by zapewnić sobie jej przychyłność w tej czy innej kwestii.

– Tylko pani może poprowadzić szpital położniczy – powiedział. – Otwieramy dwa nowe: Świętej Zofii przy Żelaznej i Świętej Anny na Karowej. Może pani wybrać, którym zechce kierować.

Pokręciła przecząco głową.

– Sądziłem, że przyjmie pani tę propozycję z radością.

– Gdyby przysła dwadzieścia lat temu... pewnie tak. Teraz nie mam już siły – oznajmiła.

– Jak to? Pani nie ma siły?

– Ano ja – westchnęła. – Mam pięćdziesiąt siedem lat i jestem zmęczona. Miałabym w tym wieku zaczynać od nowa czwarty raz? Myśli pan, że mogłabym powiedzieć spokojnie o tym mężowi?

– Jak to czwarty? – Sokołowski nie zrozumiał. – Poza tym kolega Dobrski zawsze był z pani dumny.

– A ja z niego – potwierdziła, uśmiechając się na samą myśl o minie Konrada, kiedy powtórzy mu tę rozmowę.

Gdy dostała zaproszenie od Sokołowskiego, wiedziała już, że przytułki zostaną zamknięte na rzecz nowych szpitali. Konrad prorokował, że zaproponują jej objęcie kierownictwa placówki przy Żelaznej, w końcu to niedaleko od jej dotychczasowego miejsca pracy. Powiedziała mu, że odmówi, ale mąż jej nie uwierzył.

– Otworzyłam praktykę na Twardej, następnie stworzyłam i prowadziłam przytułek przy Prostej. Praca tam była niezwykle trudna i latami zabiegałam o miejsce, gdzie będę miała lepsze warunki. W końcu udało się przenieść przytułek do nowego obiektu przy Żelaznej, ale trzeba go było przysposobić. Za każdym razem zakasywałam rękawy i z pomocą męża i przyjaciół tworzyliśmy z niczego szpital położniczy. Czwartym razem nie dam rady, ale mogę polecić kogoś zamiast mnie. Sama go wyszkoliłam i jestem bardzo dumna. To...

– Wiem kto. – Sokołowski machnął ręką. – Zostałby kierownikiem tego drugiego szpitala, tego, którego pani by nie wybrała.

– Przykro mi – stwierdziła. – Pora, żebym usunęła się w cień.

Sokołowski się roześmiał.

– Pani? W cień? Ile położnych pani wykształciła?

Zamyśliła się.

– Ja pani powiem, bo mam te dane. – Sokołowski otworzył jakąś teczkę. – Wypuściła pani w świat trzysta trzydzieści dyplomowanych położnych i dwudziestu lekarzy położników. Specjalnie mówię lekarzy, a nie lekarki.

– Tak, mężczyźni także sobie cenią moje nauki, aczkolwiek nie mają łatwo w tej specjalizacji. Pacjentki wolą kobiety – zażartowała.

Sokołowski roześmiał się krótko, ale zaraz spoważniał.

– Pewnie najczęstsze pytanie, które pani słyszy, to: „Jak pani to robi, pani doktor?”.

– Tak. – Pokiwała głową. – Oraz: „Czy mąż to toleruje?” i „Czy nie żałuje pani, że nie jest prawdziwą kobietą?”.

Profesor zacisnął ręce w pięści.

– Ten Rydygier. Wielki lekarz, a umysł zaściankowy.

Wzruszyła ramionami.

– Każdy ma swoje racje. Nigdy nie poznałam profesora Rydygiera i nie jest mi z tego powodu przykro. Nie obchodzi mnie, co głosi na tematy społeczne, grunt, że w kwestiach naukowych trzyma się dobrej praktyki klinicznej.

Sokołowski zamknął teczkę.

– Ma pani dużo argumentów, ale postanowiłem, że zrobię wszystko, żeby panią przekonać. Pani wie, jak bardzo tu panią cenimy.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Wiem, profesorze. Wiem.

– Przecież na Prostej nikt nie dawał pani wielkich szans, a pani zmniejszyła śmiertelność kobiet do jednej na sto.

– Chciałam osiągnąć rezultat jedna na tysiąc, ale zrobi to już następne pokolenie...

– Albo szpital położniczy – podsunął. – Niech pani pomyśli, jakie możliwości operacyjne da pani szpital z pełnym zapleczem.

– Panie profesorze, wykonałam pierwsze w Królestwie Polskim cięcie cesarskie i pacjentka przeżyła. Zrobiłam je razem ze swoją przyjaciółką, doktor Grażyną Ungerową. To było w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku, już przy Żelaznej. Wyszkoliłam wielu położników, dadzą sobie radę. Naprawdę nie ma ludzi niezastąpionych.

Sokołowski nie wiedział, co powiedzieć. Wyglądało na to, że Anna Dobrska odeprze każdy argument.

– Niech pani porzuci myślenie o emeryturze na rzecz stworzenia nowej kliniki. Proszę.

– Złożyłyśmy z przyjaciółką solenną obietnicę, że się sobą zajmiemy – wyjaśniła pogodnie. – Na starość. I wnukami. Czy pan wie, że mój wnuczek mówi do mnie „pani” albo „stłasna baba”? – dodała już ciszej. – To jest wystarczający powód, aby się przekwalifikować. Z lekarki na babcie.

– Błagam panią, pani doktor – zaprotestował profesor. – Proszę zrobić to, co pani umie najlepiej: stworzyć szpital położniczy.

– Najlepiej to ja potrafię ludzi zmuszać do czystości. Nieodżałowany doktor Markiewicz mógłby coś o tym powiedzieć. Zamierzam uczyć tego biedne dzieciaki. W szkołach, na koloniach, w ochronkach...

– Właśnie chciałem powiedzieć, że kolega Markiewicz na pewno by panią przekonał. Stanisław nie pozwoliłby pani odejść.

Zakłuło ją w sercu na wspomnienie wspaniałego człowieka, społecznika, higienisty, twórcy kolonii letnich dla dzieci, dobrego przyjaciela i niezwyklej pracowitości lekarza, którego pochowali ledwie tydzień wcześniej.

– On by mnie zrozumiał – zaprzeczyła. – Bo mówiąc, że usunę się w cień, mam na myśli to, że rozwinę swoją działalność społeczną.

– Wiem, wiem... Nieustająca walka o kobiety i dzieci. Pani, Konopnicka i ta trzecia, jak jej tam?

– Eliza Orzeszkowa – podpowiedziała. – We trzy doprowadziłyśmy do zorganizowania pierwszego Zjazdu Kobiet Polskich. Ale tylko ja zostałam na placu boju, w zeszłym roku obydwie odeszły.

Sokołowski złożył ręce jak do modlitwy.

– Jest pani lekarką, pacjentki pani potrzebują. Feministki sobie poradzą. Niech im artystki pomagają.

Bardzo lubiła Sokołowskiego, ale nie mogła się z nim zgodzić.

– Panie sekretarzu – uśmiechnęła się blado – pewnie mi pan nie uwierzy, ale gdybym mogła, nigdy bym się nie interesowała tym, co robią kobiety. Gdybyśmy miały takie same możliwości jak mężczyźni, ja pierwsza bym powiedziała: „Korzystajcie, nie musicie o nic walczyć. Czyńcie, co chcecie”. Pan jednak wie, że to niemożliwe. Wciąż potrzebujemy wsparcia, pomocy, dostępu do edukacji. Musimy o to walczyć.

Sokołowski westchnął kilka razy.

– Nie zmieni pani zdania?

Pokręciła przecząco głową.

– Co będzie pani robiła, kiedy zamkniemy przytułki na rzecz szpitali?

– Zostanę prawdziwą kobietą – powiedziała spokojnie.

– To znaczy? – zaciekawiał się Sokołowski.

– To znaczy, że będę pilnowała służących, haftowała na tamborku i wtrącała się do życia syna i synowej.

Sekretarz wybuchnął śmiechem.

– Dla mnie jest pani najprawdziwszą kobietą na świecie, ale haft na tamborku...?

– Można ćwiczyć szwy chirurgiczne. – Mrugnęła zawadiacko. – Tylko potem na serwecie dziwnie to wygląda...



Anna Dobrska zmarła w 1918 roku na gruźlicę, którą zaraziła się od jednej z pacjentek. Do końca życia prowadziła praktykę lekarską, kształciła przyszłych lekarzy położników, akuszerki i pielęgniarki. Wdrażała zasady aseptyki, angażowała się w przedsięwzięcia społeczne związane głównie z edukacją kobiet i dzieci oraz profilaktyką zdrowotną. Kiedy zmarła, przyjaciele zaapelowali, aby nie przynoszono kwiatów, tylko wpłacano datki na akcję „Kropla Mleka”. I w tej materii wyprzedziła swój czas prawie o sto lat.

PRZYPISY

- [1] Harriet Beecher Stowe (1811–1896) – pisarka i działaczka społeczna, znana głównie jako autorka powieści *Chata wuja Toma*, opisującej życie murzyńskich niewolników zamieszkujących amerykańskie Południe.
- [2] Lucy Stone (1818–1893) – jedna z pierwszych amerykańskich sufrażystek, abolicjonistka.
- [3] Gra słów. Ang. *rat* – szczur.
- [4] Antoinette Brown (1825–1921) – feministka, abolicjonistka, pierwsza unitariańska duchowna w USA.
- [5] Wojna secesyjna w Stanach Zjednoczonych z lat 1861–1865.
- [6] Marie Zakrzewski (1829–1902) – feministka i abolicjonistka polskiego pochodzenia, jedna z pierwszych absolwentek szkoły medycznej w Cleveland, współzałożycielka drugiego szpitala w USA, w którym pracowały wyłącznie kobiety.
- [7] Chodzi o wojnę krymską.
- [8] Mowa o *Aidzie* Verdiego, która w Petersburgu miała premierę 1 kwietnia 1877.
- [9] Gra słów – *well done* po angielsku oznacza „świetna robota”.
- [10] Laureat Nagrody Nobla w 1905 roku w dziedzinie chemii za pracę nad syntezą barwników.
- [11] Car Aleksander II Romanow zginął w zamachu bombowym przeprowadzonym przez Ignacego Hryniewieckiego 13 marca 1881.
- [12] Kronenberg był sądzony w Petersburgu za to, że swoją ośmioletnią córkę Marię przez piętnaście minut bił różgą za kradzież suszonych śliwek. Proces odbił się głośnym echem, a bankiera uniewinniono.